JASON MATTHEWS

KONTYNUACJA *CZERWONEJ JASKÓŁKI*

DRUGA CZĘŚĆ TRYLOGII

PAŁAC ZDRADY

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42

Rozdział 43

Podziękowania

JASON MATTHEWS

PAŁAC ZDRADY

Z angielskiego przełożył
Jan Kraśko

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
PALACE OF TREASON

Wydawcy
Grażyna Woźniak
Jacek Fronczak

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Anna Landowska

Korekta
Jan Jaroszuk
Jadwiga Piller

Copyright © 2015 by Jason Matthews
Copyright © for the Polish translation by Jan Kraśko, 2018

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2018

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-995-0

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Mojemu bratu Williamowi – z podziwem

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 2707069

1

Przemykając przez tłumy przechodniów i skłębiony chaos Boulevard de Clichy przy placu Pigalle, Dominika Jegorowa, kapitan SWR, Służby Wniesznej Razwiedki[1], Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, obciągnęła brzeg małej czarnej sukienki. Z wysoko podniesioną głową, postukując w chodnik czarnymi szpilkami, nie spuszczała z oczu siwej głowy idącego przed nią królika – indywidualna obserwacja celu poruszającego się piechotą jest jedną z trudniejszych umiejętności ofensywnego rzemiosła ulicznego. Aby wtopić się w tło, dawała mu sporo luzu, to przechodząc na rozdzielający bulwar pas zieleni, to snując się za przechodniami.

Śledzony przez nią mężczyzna przystanął, żeby kupić spieczony szaszłyk – najpewniej wieprzowy, jak to w dzielnicy chrześcijańskiej – od właściciela stojącego przy małym piecyku z rusztem, który wachlował palenisko złożonym kawałkiem tektury, od czasu do czasu posyłając iskrę w tłum mijających go ludzi i zasnuwając róg ulicy kłębami dymu pachnącego kolendrą i chili. Dominika zwolniła kroku i ukryła się za słupem latarni: było mało prawdopodobne, żeby królik sprawdzał teren – chodziła za nim od trzech dni i przez ten czas ani razu nie zainteresował się najbliższym otoczeniem – mimo to nie

chciała, żeby namierzył ją za wcześnie. Wystarczy, że gdy prześlizgiwała się przez tłum, zauważyło ją mnóstwo innych ulicznych stworów – nogi baletnicy, okazały biust, świetliste jasnoniebieskie oczy – że już zwęszyło jej zapach, zastanawiając się pewnie, czy i jak łatwo da się ją wyjąć.

Dwoma wprawnymi spojrzeniami oceniła menażerię ludzkich twarzy, ale nie, nie poczuła znajomego mrowienia na karku, które byłoby zapowiedzią kłopotów. Królik rozszarpał zębami ostatni kawałek sczerniałego mięsa i wrzucił patyk do rynsztoka. Był szyitą, lecz najwyraźniej nie miał oporów przed jedzeniem wieprzowiny, tak jak przed wciskaniem gęby między uda prostytutek. Gdy ruszył przed siebie, poszła za nim.

Śniady, nieogolony młody mężczyzna oderwał się od grupki kumpli podpierających zaparowane okno baru z kluskami, dogonił ją i położył jej rękę na ramieniu.

– *Je bande pour toi* – powiedział łamaną francuszczyzną rodem z Maghrebu.

Stanął mu na jej widok, Jezu. Nie miała na to czasu i poczuła, jak tlący się w brzuchu gniew wpełza jej na ramiona. Nie. Bądź jak lód. Strąciła z ramienia nachalną rękę, odepchnęła dłonią twarz i poszła dalej.

– *Va voir ailleurs si j'y suis* – rzuciła przez ramię; sprawdź, czy nie ma mnie gdzie indziej. Tamten zbaraniał, zrobił obraźliwy gest ręką i splunął na chodnik.

Siwą głowę królika namierzyła ponownie, kiedy ten przechodził pod kaskadą migoczących świateł u wejścia do La Divy. Niespiesznie podeszła do drzwi, zobaczyła ciężką aksamitną zasłonę i odczekała chwilę, żeby mężczyzna mógł spokojnie wejść do środka. Ten drobny człowieczek był strażnikiem największych tajemnic nuklearnych Islamskiej Republiki Iranu, jej zwierzyną, celem rozpoznania osobowego. Silna wola i umysł jak brzytwa – miała to być próba werbunku

osobnika wrogo nastawionego, zasadzka z wykorzystaniem środków przymusu, podejście bez kontaktu wstępnego, i była pewna, że uda jej się skaptować go w ciągu pół godziny.

Tego wieczoru miała rozpuszczone włosy, które opadając brązowymi lokami na ramiona, przesłaniały oko, i wyglądała jak tancerka z lat dwudziestych, mistrzyni apaszowskiego tanga. Była w kwadratowych „zerówkach" w szylkretowej oprawce, niczym paryska Lois Lane w drodze na imprezę. Emploi biurowej maszynistki psuła jedynie czarna obcisła sukienka i szpilki od Louboutina. Ponieważ kiedyś tańczyła w balecie, miała kształtne nogi o dobrze umięśnionych zgrabnych łydkach, choć leciutko utykała, odkąd kochanek jej rywalki ze szkoły baletowej złamał jej na próbie stopę. Miała wtedy dwadzieścia lat.

Paryż. Nie oddychała powietrzem Zachodu od wielu miesięcy, odkąd wróciła do Moskwy po wymianie szpiegów w Estonii. Ale tamte obrazy zaczynały już blaknąć, a czas coraz bardziej tłumił odgłos jej kroków na połyskującym srebrzyście mokrym moście, otulając go nocną mgłą. Wróciwszy do domu, wciągnęła do płuc haust *russkogo wozducha* – to była jej ojczyzna, jej *rodina*, jednak w czystym zapachu sosnowego lasu i piaszczysto-ilastej czarnej ziemi wyczuła trującą nutę pełzającej korupcji, która cuchnęła jak martwe zwierzę pod deskami podłogi. Tak, oczywiście, powitano ją bardzo entuzjastycznie, kwiecistymi pochwałami i życzeniami od brzuchatych oficjeli. Natychmiast zgłosiła się do pracy w kwaterze głównej SWR, w centrali, lecz na widok dawnych kolegów, tego kłębiącego się stada *siłowików* z namaszczonego

wewnętrznego kręgu mundurowych i tajniaków, podupadła na duchu. A niby czego się spodziewałaś? – pomyślała.

Ale teraz czuła się inaczej. Zupełnie inaczej, inaczej na sposób cudowny i niebezpieczny. Zakochała się w oficerze operacyjnym CIA, który prześwietlił ją, przeszkolił i skierował z powrotem do Moskwy z zadaniem spenetrowania centrali. Uczyła się czekać, słuchać i sprawiać wrażenie obojętnego wytworu trującej atmosfery tajnych służb. Dlatego odrzuciła kilka idiotycznych propozycji pracy w kwaterze głównej – nie, chciała zaczekać na taką, która da jej dostęp do materiałów, o jakie chodziło Amerykanom. Udając zainteresowaną, grała na czas, zaliczając dwa krótkie kursy, z psychologii operacyjnej i kontrwywiadu: uznała, że dobrze będzie wiedzieć, jak myśliwi ze służb polują na krety, jak zabrzmią ich kroki na klatce schodowej, gdy kiedyś po nią przyjdą.

Cierpliwie czekając, zaglądała w głąb ich duszy, gdyż była synestetką o umyśle obdarzonym zdolnością widzenia kolorowych aureoli wokół ludzi, dzięki czemu potrafiła odczytać przejawy namiętności, zdrady, strachu i oszustwa. Przypadłość tę wykryto u niej, gdy miała pięć lat, i jej rodzice – ojciec, profesor historii, i matka, znakomita skrzypaczka – byli tym załamani. Musiała im przyrzec, że nigdy, przenigdy nie zdradzi nikomu swojego sekretu, nawet jeśli z czasem do niego przywyknie. Kiedy miała dwadzieścia lat, unosiły ją kasztanowe fale muzyki w szkole baletowej. Mając lat dwadzieścia pięć, potrafiła ocenić pożądanie mężczyzn po nasyceniu ich jasnoczerwonych aureol. Teraz, gdy przekroczyła trzydziestkę, umiejętność odgadywania nastroju tych, z którymi miała do czynienia, mogła ocalić jej życie.

Ale było coś jeszcze. Od chwili werbunku nawiedzał ją duch matki, dobroduszna chimera, która pojawiała się u jej boku, by dodać odwagi i udzielić wsparcia. Rosjanie są ludźmi bardzo

uczuciowymi i uduchowionymi, dlatego odwiedziny zmarłych przodków nie przyprawiają ich o gęsią skórkę ani nie są objawem obłąkania. Nie były, przynajmniej dla niej. Poza tym, gdy podejmując podwójne życie, stanęła u wejścia do mrocznej jaskini i doszedł ją odór drzemiącej tam bestii, duch matki – świetlista ręka na ramieniu – dodał jej sił.

Aby ponownie uzyskać dostęp do informacji tajnych i zastrzeżonych, po powrocie do centrali odbyła dwie sesje sprawdzające z tłustym kurduplem z kontrwywiadu i ponurą stenotypistką. Kurdupel wypytał ją najpierw o *ubijca*, egzekutora ze specnazu, który omal nie zabił jej w Atenach, a potem o agentów CIA, którzy ją przetrzymywali: jacy byli, o co ją pytali i co im powiedziała? Dominika spojrzała na posępną stenotypistkę tonącą w chmurze żółtej mgły oszukaństwa i chciwości i zmusiwszy ją wzrokiem do spuszczenia głowy, odparła, że nic. Niedźwiedź obwąchał jej buty i najwyraźniej usatysfakcjonowany kiwnął głową. Sęk w tym, że niedźwiedź nigdy nie ma dość, pomyślała. Nigdy.

Jej wyczyny, nieprawdopodobne ucieczki i kontakty z Amerykanami budziły podejrzenia – tak jak w przypadku wszystkich wracających z czynnej służby na Zachodzie – dlatego wiedziała, że krwistookie jaszczury z FSB, Federalnej Służby Bezpieczeństwa, bacznie ją obserwują, czekając na jakieś potknięcie, mejla czy pocztówkę z zagranicy, tajemniczy telefon z przedmieść Moskwy czy choćby przelotny kontakt z obcokrajowcem. Ale żadnych potknięć nie było. Dominika zachowywała się normalnie i niczego nie zobaczyli.

Dlatego napuścili na nią przystojnego trenera, który prowadził „obowiązkowy” kurs samoobrony w starej willi w Domodiedowie przy szosie Warszawskiej niedaleko obwodnicy MKAD. Koślawy, zatęchły dom ze skrzypiącymi schodami i upstrzonym zielonymi plamami miedzianym

dachem stał w zaniedbanym ogrodzie botanicznym, ukrytym za murem z przekrzywioną tablicą z napisem INSTYTUT ROŚLIN APTECZNYCH. Kilkoro znudzonych kursantów – rumiana urzędniczka ze Służby Celnej i dwóch podstarzałych strażników granicznych – paliło papierosy na ławkach pod ścianą oranżerii, która służyła za salę ćwiczeń.

Trener Daniił, dostojnie szczupły, wysoki, jasnowłosy Rosjanin, miał około trzydziestu pięciu lat, silne nadgarstki, ręce pianisty, delikatne rysy twarzy, senne niebieskie oczy oraz misternie wycyzelowaną żuchwę, policzki i czoło, a stojąc pod ścianą sali, swoimi nieprawdopodobnie długimi rzęsami mógłby pewnie poruszyć liście palmy rosnącej w donicy na jej drugim końcu. Dominika wiedziała, że w SWR nie ma czegoś takiego jak „obowiązkowe zajęcia z samoobrony" i że Daniił jest najpewniej podstawionym agentem, który ma zadawać jej pytania – ot tak, niby przypadkowo i od niechcenia – aby w końcu opuściła gardę i wyznała, że ją zwerbowano, że działała w zmowie z agentami obcego wywiadu i przekazała im sto tajemnic państwowych albo uwiódłszy piętnastu rozpasanych kolegów po fachu, spała z nimi na górnej leżance w kiwającym się na boki dusznym wagonie nocnego pociągu. Nieważne, co by z niej wyciągnęli. Psy myśliwskie rosyjskiego kontrwywiadu nie znały definicji zdrady, lecz – o tak, umiały ją rozpoznać.

Oczywiście nie oczekiwała, że będą ją uczyli technik walki wręcz. Pierwszego dnia, gdy przez brudny przeszklony sufit oranżerii przebiły się promienie słońca, zaintrygowana ujrzała bladoniebieską aureolę głębokiej myśli i duszy wirującą nad głową Daniiła i sączącą się z jego palców. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy zaczął ją uczyć tak zwanej Systemy, *sistiemy rukopasznogo boja*, technik wynalezionego przez Rosjan sposobu walki, niezwykle brutalnych, średniowiecznych,

osadzonych w kozackich tradycjach sięgających dziesiątego wieku i mających mistyczne więzi z religią prawosławną. Zazwyczaj uczono ich tylko wojskowych.

Widziała, jak zabójca ze specnazu wykonuje identyczne ruchy w zbryzganym krwią pokoju hotelowym w Atenach i choć wtedy nie wiedziała, z czym ma do czynienia, z przerażeniem podziwiała jego motylą lekkość i skuteczność. Daniił jej nie oszczędzał i wkrótce stwierdziła, że wysiłek fizyczny znów sprawia jej przyjemność, przypomniała sobie, jak pilnie ćwiczyła w szkole, chcąc zrobić karierę jako baletnica – karierę, którą ci zawistnicy skutecznie przekreślili. Systema kładła nacisk na gibkość, maksymalną szybkość i znajomość najbardziej wrażliwych miejsc ludzkiego ciała. Demonstrując chwyty i przytrzymania, z twarzą blisko jej twarzy, Daniił dostrzegł w jej głębokich oczach coś, czego bał się niepotrzebnie poruszyć.

Po dwóch tygodniach treningu ćwiczyła ciosy i rzuty, jakich inni uczyliby się wiele miesięcy. Początkowo zasłaniała usta, śmiejąc się z małpiego chodu, jakiego używano podczas walki, i teatralnego wzruszenia ramieniem poprzedzającego morderczy cios ręką. A teraz rzucała Daniiła na matę równie często, jak on ją. Gdy w szarawym świetle wczesnego popołudnia pokazywał jej nową technikę, patrzyła na napięte mięśnie jego pleców i myślała: porusza się jak baletmistrz czy gimnastyk. Jak to się stało, że zainteresowały go sztuki walki? Służył w specnazie? W elitarnym wympiele? Oczami jaskółki, wyszkolonej przez państwo uwodzicielki, zauważyła, że jego palec serdeczny jest znacznie dłuższy od wskazującego. Było więc prawdopodobne – przynajmniej według upstrzonych brodawkami dozorczyń ze szkoły jaskółek – że ma ponadprzeciętne przyrodzenie.

Szacowanie wielkości męskiego penisa nie było jedyną rzeczą, jakiej nauczyła się w Szkole Państwowej IV, tajnej akademii szpiegowskiej, gdzie szkolono ich w sztuce uwodzenia mężczyzn i kobiet. Wciąż pamiętała sale zajęć i audytoria w otoczonym murem, obłażącym z farby dwupiętrowym neoklasycystycznym domu z mansardą w głębi sosnowego lasu pod Kazaniem na brzegu Wołgi. Wciąż pamiętała monotonne, beznamiętne wykłady na temat ludzkiej seksualności i miłości. Oczyma duszy wciąż widziała rozedrgane czarno-białe filmy przedstawiające spółkujące pary i wszelkiego rodzaju perwersje. Złożona z setek pozycji lista technik seksualnych, których bez końca ich uczono – nr 88: „Skrzydła motyla"; nr 42: „Sznur pereł"; nr 32: „Chwyt dywanowy" – wracała do niej nieproszona w pełne otępienia dni i złe noce wraz z zapachem różanej wody, którą próbowano zabić piżmowy zapach podnieconych mężczyzn i kobiet, wraz z widokiem zakończonych brudnymi paznokciami palców ściskających jej uda, zwisających z mięsistych nosów kropli potu, które nieuchronnie i nieubłaganie spadały w końcu na jej twarz. Wytrzymała to na przekór tym wszystkim świniom, przebrzydłym wieprzom, które myślały, że położy się grzecznie na plecach i rozchyli nogi. O tak, teraz pokaże im, w jak wielkim byli błędzie.

Uspokój się, pomyślała. Walczyła z narastającym stresem, następstwami powrotu do służby w objęciach *matuszki Rossii*, skutkami niemożliwie ryzykownego życia, jakie właśnie zaczynała. Dręczyło ją coś jeszcze: nie wiedziała, czy jej ukochany żyje, czy zginął. Ale jeśli wciąż żył i oddychał, jej miłość musiała pozostać najpilniej strzeżoną tajemnicą ze względu na mały, malutki drobiazg: mężczyzna ten był agentem CIA. A teraz czekała na mocno spóźnioną, pozornie niezobowiązującą rozmowę z Daniiłem, na przesłuchanie,

którego po intensywnej dwutygodniowej znajomości mogła się z powodzeniem spodziewać. Będzie musiała zachować niezwykłą ostrożność – żadnego kuszenia i uwodzenia, żadnego sarkazmu – wykorzystując jednocześnie znakomitą okazję do dezinformacji, ot, choćby do przemycenia nieśmiałej wzmianki, że podziwia prezydenta Putina. Wszystko, co mu powie, trafi do FSB, a potem do centrali, gdzie zostanie dołączone do pozostałych materiałów z powitalnego śledztwa, które ostatecznie ustali, czy Dominika Jegorowa utrzyma status *opierupołnomoczennoj*, oficera operacyjnego. Ale Chryste, te rzęsy…

Długa, elegancka szyja, wysoko podniesiona głowa – rozchyliła cuchnącą papierosowym dymem zasłonę i podeszła do drzwi. Stojący przed nimi wykidajło spojrzał z aprobatą na jej obcisłą czarną sukienkę, a potem zerknął na kopertówkę, malutką czarną torebkę, w której mieściła się jedynie szminka i cieniutki smartfon. Rozsunął szerzej ciężką kotarę i ruchem głowy dał jej znak, że może wejść. Nieuzbrojona, pomyślał. Mademoiselle Doudounes, panna Cycolina, jest czysta.

Kapitan Jegorowa dysponowała tymczasem iście zabójczą bronią. Szminka w jej torebce była *elektriczeskim pistoletom*, jednostrzałowym pistoletem elektrycznym, najnowszym produktem laboratoriów technicznych Zarządu T, nową wersją sędziwej broni z okresu zimnej wojny. Niepozorna szminka jednorazowego użytku wystrzeliwała zabójczą dziewiątkę Makarowa, pocisk o donośności skutecznej dwóch metrów. Jego rdzeń składał się ze sprasowanego metalowego pyłu, który eksplodował w chwili uderzenia w cel. Odgłos wystrzału brzmiał jak głośne kliknięcie.

Dominika ogarnęła wzrokiem mroczne wnętrze klubu, półokrągłego pomieszczenia pełnego wyszczerbionych stolików i wyłożonych dermą zmęczonych boksów pod ścianami. Niska scena ze starodawnymi reflektorami w podłodze była ciemna i pusta. Jej cel, Parvis Jamshidi, siedział samotnie w środkowym boksie, patrząc w zadumie na sufit. Dominika zlustrowała teren jeszcze raz, dzieląc salę na sektory, skupiając się na odległych kątach: nie, ani gnuśniejących w fotelach ochroniarzy, ani oznak kontrinwigilacji, przynajmniej tych oczywistych. Ruszyła w stronę Jamshidiego, lawirując między stolikami i nie zwracając uwagi na grubasa, który pstryknął na nią palcami – pewnie chciał zamówić kolejny kieliszek petit jaune albo zaprosić ją na półgodzinne tête-à-tête w pobliskim hotelu Chat Noir Design.

Była podekscytowana. Znów ogarnęło ją znajome uczucie, jakie towarzyszy na polowaniu każdemu myśliwemu, podniecenie, które ścisnęło jej gardło i rozgrzało brzuch. Wślizgnęła się do boksu i położyła torebkę na stole. Jamshidi wciąż patrzył w sufit, jakby się modlił. Niski i drobny, miał rozwidloną hiszpańską bródkę i nieruchome, smukłe jak u El Greca ręce o długich palcach. Był w eleganckim perłowoszarym garniturze i rozpiętej pod szyją białej koszuli bez kołnierzyka. Ot, mały człowieczek, fizyk, specjalista od kaskadowego rozdzielania izotopów, najważniejszy ekspert irańskiego programu wzbogacania uranu. Dominika milczała, czekając, aż się odezwie.

Jamshidi wyczuł jej obecność, spuścił wzrok i otaksował spojrzeniem jej figurę, szczupłe ramiona i równo przycięte paznokcie. Patrzyła mu w oczy, aż przestał się gapić na pokryty niebieskimi żyłkami rowek między jej piersiami.

– Ile za godzinę? – rzucił swobodnie. Miał piskliwy głos i odezwał się po francusku. W przesyconym zapachem piżma

powietrzu jego słowa miały kolor zmętniałej żółci, cuchnącą barwę fałszu i chciwości. Dominika z zaciekawieniem stwierdziła, że potrafi ją zidentyfikować nawet w ultrafioletowym świetle zalewającym salę. Przyglądała mu się spokojnie.

– Nie słyszałaś? – Jamshidi podniósł głos. – Mówisz po francusku czy jesteś dziwką z Kijowa? – Znów spojrzał na sufit, jakby chciał ją odprawić. Poszła za jego wzrokiem. Tuż nad jego głową, na biegnącym pod krokwiami pleksiglasowym wybiegu, tańczyła naga kobieta w szpilkach. Dominika zerknęła na groteskową bródkę Irańczyka.

– Dlaczego uważasz, że jestem prostytutką? – spytała nienaganną francuszczyzną.

Jamshidi spuścił głowę, spojrzał jej w oczy i parsknął śmiechem. Gdyby chciał uniknąć ostrych szponów i kłów, to właśnie teraz, w tym momencie powinien był usłyszeć cichy szelest wysokiej trawy.

– Pytałem, ile za godzinę? – powtórzył.

– Pięćset. – Dominika założyła za ucho niesforny kosmyk włosów. Irańczyk nachylił się i złożył jej perwersyjną propozycję.

– Plus trzysta – odparła Dominika, patrząc na niego znad okularów. Poprawiła je, uśmiechnęła się i wtedy, jak na umówiony znak, zapłonęły światła rampy i na scenę wyszło kilkanaście kobiet ubranych jedynie w sięgające uda winylowe kozaczki i czapki z daszkiem. Ustawiły się w szereg i zaczęły kręcić biodrami w rytm tanecznego popu, a cętkowane reflektory malowały na ich ciałach różowo-białe pasy.

Jamshidiego wypatrzył w Wiedniu pracownik Rostiechnadzora, rosyjski przedstawiciel MAEA, Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, który zauważył, że po godzinach pracy Irańczyk przejawia upodobanie do długonogich kobiet o wątpliwej reputacji sączących sherry w barach w dzielnicy Gürtel. Wiadomość trafiła do wiedeńskiego *riezidienta*, który z kolei przekazał ją do kwatery głównej SWR w Jasieniewie na południowy zachód od Moskwy.

W centrali doszło do burzliwej dyskusji na temat tego, czy Jamshidi jest celem właściwym i wartym zachodu. Jedni utrzymywali, że próba pozyskania ważnego reprezentanta państwa satelickiego nie jest mądrym posunięciem. Inni twierdzili, że stare techniki szantażu czy wymuszenia na niego nie podziałają. Jeszcze inni, że ryzyko ewentualnej wpadki odbiłoby się negatywnie na stosunkach bilateralnych między Rosją i Iranem. Szef jednego z zarządów zastanawiał się na głos, czy nie jest to przypadkiem zbyt dobra okazja. Może to prowokacja, pułapka dezinformacyjna zastawiona przez zachodnie służby wywiadowcze, CIA, Mossad czy MI6? Może chcą w ten sposób zdyskredytować Moskwę?

Tego rodzaju *zagowory*, spiski, nie należały do rzadkości. Współczesna Służba Wywiadu Zagranicznego bała się prezydenta Federacji – rentgenowskich spojrzeń jego niebieskich oczu i represji w ciemnych zaułkach miasta – tak jak NKWD Stalina podczas czystek w latach trzydziestych. Nikt nie chciał zatwierdzić wątpliwej operacji i popełnić wykroczenia uznawanego za grzech wszystkich grzechów: ośmieszenie Władimira Władimirowicza Putina na arenie międzynarodowej.

Aleksiej Iwanowicz Ziuganow, szef kontrwywiadu SWR – Zarządu KR – jako jeden z pierwszych oświadczył, że próba pozyskania Jamshidiego byłaby zbyt ryzykowna (głównie

dlatego, że to nie on prowadził tę sprawę). Jednak prezydent, były oficer KGB (przebieg jego służby, a zwłaszcza okres sennej rezydentury w komunistycznym Dreźnie w latach osiemdziesiątych, był tematem tabu i nigdy, przenigdy go nie poruszano), uciszył bojaźliwe głosy swoich podwładnych.

– Sprawdźcie, co ten naukowiec wie – rozkazał dyrektorowi generalnemu SWR przez kremlowski telefon *wysokoj czastoty*, wysokiej częstotliwości. – Chcę wiedzieć, co ci irańscy fanatycy knują, jak bardzo są zaawansowani. Uran to nie przelewki, Żydzi i Amerykanie zaczynają tracić cierpliwość. – Umilkł i dodał: – Dajcie tę sprawę Jegorowej, niech się nim zajmie.

Prezydent Federacji osobiście wyznacza oficera do przeprowadzenia niezmiernie ważnego i bardzo ryzykownego werbunku – w normalnych okolicznościach byłby to wielki komplement; Putin wydał taki rozkaz ledwie kilka razy, zlecając zadania swoim starym ulubieńcom z KGB – lecz Dominika nie miała złudzeń: dobrze wiedziała, dlaczego wybrano właśnie ją.

– To dla mnie wielki zaszczyt – powiedziała, gdy dyrektor wezwał ją do siebie i poinformował o decyzji Kremla. *Chujnia*, pomyślała, pierdolenie o Szopenie. Chcą, żeby była jaskółka popracowała cipką? Proszę bardzo, chłopcy, tylko uważajcie na palce.

To, że ją wybrano, miało jeden pozytywny skutek. Spadł jej z ramion namacalny ciężar kontrwywiadowczego śledztwa FSB. Natychmiast przerwano wszystkie gierki i podchody: spod okien jej mieszkania przy Kastaniewskiej zniknął peugeot z przyciemnionymi szybami, który parkował tam rano i wieczorem, ustały miłe pogawędki z agentami kontrwywiadu, skończyły się treningi z apetycznym Daniiłem. Dominika wiedziała już, że została oczyszczona z wszelkich podejrzeń – niecierpliwy rozkaz Putina z pewnością to przyspieszył, jednak najważniejsze, że przeszła przez sito. Delektowała się ironią

tego, że to sam prezydent wpuścił lisicę do kurnika. Ale miły smaczek ironii szybko ustąpił miejsca zimnemu gniewowi.

Potem wszystko potoczyło się szybko, łącznie z przydziałem do Zarządu KR, kontrwywiadu SWR. Aleksiej Ziuganow wezwał ją do siebie i oschle poinformował, że zgodnie z rozkazami z trzeciego piętra ona, kapitan Jegorowa, przeniesiona obecnie do służby kontrwywiadu, ma opracować i przeprowadzić operację przeciwko Jamshidiemu. Miał skwaszoną minę, pogardliwy głos i wymijające spojrzenie. A gdy na kilka sekund spotkali się wzrokiem, Dominika dostrzegła pod tą fasadą oznaki obłąkania i paranoi. Tonąc w skłębionym obłoku czerni, wycedził, że środki, jakimi dysponuje zarząd, mają służyć jednemu celowi: nie może dojść do żadnej wpadki, bo żadna, nawet najmniejsza, nie będzie tolerowana. Stojący z tyłu Jewgienij, jego trzydziestokilkuletni zastępca, tęgi, nachmurzony, szeroki w barach, skwaszony jak prawosławny diakon i nieprawdopodobnie wprost ciemny, od gęstej strzechy włosów na głowie i krzaczastych brwi po małpie przedramiona, opierał się o futrynę drzwi, nadsłuchując i podziwiając jej krągłe pośladki pod gładką spódnicą.

Ale tak naprawdę chodziło o to, że Ziuganow był wściekły, iż jego decyzję w sprawie werbunku irańskiego naukowca publicznie uchylono. Jadowity i malutki – miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu – został ugodzony podwójnie, ponieważ sprawę przydzielono nie jemu, a Dominice Jegorowej, jego nowej podwładnej, zdzirze, która dochrapała się nędznej rangi kapitana, i ponieważ stało się oczywiste, że prezydent Federacji Rosyjskiej o niej słyszał i ma ją na oku. *Szlucha*. Dziwka. Wyszkolona kurwa – zakalcowaty umysł Ziuganowa prześwietlił ją na wskroś.

To rzadkie w służbie i zupełnie idiotyczne, ale ta ścierka była oficerem operacyjnym, choć trzeba przyznać, że o dobrym

pochodzeniu i nieposzlakowanej reputacji. Tak, tak, słyszał te opowieści, czytał zastrzeżone raporty. Jednym z jej osiągnięć było to, że zdobyła informacje, które doprowadziły do wykrycia, zdemaskowania i aresztowania zasłużonego dla kraju generała lejtnanta Władimira Korcznoja, prowadzonego przez Amerykanów zdrajcy, który penetrował SWR bez mała dwie dekady, co zakończyło wieloletnie polowanie na ukrywającego się w ich szeregach kreta. Potem została ranna, schwytana przez agentów CIA i krótko przez nich przetrzymywana, by następnie wrócić triumfalnie do Jasieniewa i dostać chwalebny awans na kapitana. A teraz zdecydowany głos z samego Kremla przydzielił ją do kontrwywiadu, gdzie miała poprowadzić operację, czym powinien się zająć on, Aleksiej Ziuganow.

Ziuganow, który zaczynał swoją jadowitą karierę w prekursorskich latach KGB, jako śledczy w podziemiach Łubianki, nie mógł zlekceważyć osobistego rozkazu prezydenta. Odprawił Jegorową i odprowadził ją wzrokiem do drzwi; wychodząc, musiała otrzeć się o pogardliwie uśmiechniętego Jewgienija, który oczywiście nawet nie drgnął, żeby ją przepuścić. Operacja wymierzona w Irańczyka była zbyt ważna, by ją storpedować, jednak wykształcony na moskiewskiej Łubiance instynkt skierował go w inną stronę. Gdyby kapitan Jegorowa zniknęła ze sceny wydarzeń, mógłby przejąć kontrolę i zasłużyć na najwyższe uznanie za zwerbowanie irańskiego naukowca. Siedział w obrotowym fotelu, machał krótkimi nóżkami i patrząc szklistymi oczami na mrocznego Jewgienija, czekał z nadzieją, że ten coś powie. Przyszłość? *Wiłami na wodie pisano*, patykiem na wodzie pisana. Nikt nie wiedział, co przyniesie.

Dominika wzięła Jamshidiego za lepką, wilgotną rękę i poprowadziła przez mglistą gęstwinę wieczornego ruchu ulicznego. Przemknęli przez Place Blanche, a potem, już nieco wolniej, ruszyli w dół wzgórza w stronę Hôtel Belgique, małego hoteliku z baldachimem w niebieskie pasy nad wejściem. Znudzony *ubijca* za ladą, rosły wykidajło w brudnym podkoszulku, rzucił jej ręcznik i klucz.

Drzwi otworzyły się na trzydzieści centymetrów i grzmotnęły w metalową ramę łóżka. Musieli się nimi przeciskać, najpierw drzwiami, potem obok pękniętej toaletki. Wokół osłoniętej parawanem muszli klozetowej w kącie pokoju roiło się od brązowych plam, a nad łóżkiem, na niebezpiecznie przetartym aksamitnym sznurze, wisiało lustro, też przydymione od brudu.

Jamshidi wszedł za parawan, żeby oddać mocz.

– Rozbierz się – rzucił przez ramię, obficie sikając na podłogę.

Dominika usiadła na brzegu łóżka, skrzyżowała nogi i pokiwała stopą. Za pięć kopiejek mogłaby przytknąć szminkę do jego łba i nacisnąć tłoczek. Irańczyk zapiął rozporek i odwrócił się do niej.

– Na co czekasz? Rozbieraj się i na brzuch. – Zdjął marynarkę i powiesił ją na gwoździu w drzwiach. – Spokojnie, mam pieniądze. Będziesz mogła wysłać je mamusi do Kijowa, chyba że też gdzieś tu pracuje.

Dominika odchyliła się do tyłu, tłumiąc śmiech.

– Dobry wieczór, doktorze Jamshidi – powiedziała. – Nie jestem Ukrainką.

Jamshidi poderwał głowę i obmacał wzrokiem jej twarz. Każdy irański naukowiec nuklearny, który narusza zasady szariatu i chodzi na dziwki na Montmartre, szybko wyczuwa niebezpieczeństwo. Nie spytał, skąd Dominika zna jego nazwisko.

– Mam to gdzieś – warknął.

Boże moj, taki wykształcony, a taki głupi.

– Proszę tylko o kilka minut pańskiego czasu. Zapewniam, że będzie pan zainteresowany.

Jamshidi wciąż sondował jej twarz. Dziwka o twarzy Mony Lisy – kto to, do diabła, jest?

– Kazałem ci się rozebrać. – Nie wiedząc, co się dzieje, zrobił krok w jej stronę. Podniecenie i zapał wypłynęły z niego jak woda z dziurawego garnka. Chwycił ją za nadgarstek, ściągnął z łóżka, zbliżył twarz do jej twarzy i w delikatnym zapachu perfum Vent Vert spojrzał jej w oczy błyszczące za absurdalnymi okularami. – A *poil* – powtórzył; rozbieraj się. Zacisnął palce, obserwując jej twarz, lecz nic z niej nie wyczytał. Dominika spojrzała mu prosto w oczy i wbiła paznokieć kciuka między pierwszy i drugi kłykieć. Irańczyk syknął z bólu i zabrał rękę.

– Tylko kilka minut – powiedziała znacząco, żeby go skusić, dać mu lekki przedsmak tego, co go czeka. Znacząco, jednocześnie swobodnie, jakby w ogóle nie podrażniła nerwu pośrodkowego w jego prawej ręce.

Irańczyk zrobił krok do tyłu.

– Kim jesteś? – spytał. – Czego chcesz?

Dominika położyła dłoń na rękawie jego koszuli, sprawdzając, jak zareaguje. Gdyby była muzułmanką, przekroczyłaby granice przyzwoitości, ale dla tego mieszkającego w Europie wykształconego Persa, tej gustującej w rudowłosych kobietach szui, nie stanowiło to widocznie żadnego problemu.

– Chcę zaproponować panu pewien układ – odparła. – Układ wzajemnie korzystny. – Nie zabrała ręki, więc Jamshidi gwałtownie zabrał swoją i ruszył do drzwi. Bez względu na to, o co tu chodziło, chciał natychmiast wyjść. Dominika z wdziękiem zaszła mu drogę i gdy chciał odepchnąć ją na bok,

powoli, niemal czule, przytrzymała na piersi jego eleganckie, choć wilgotne palce, naparła na nie i ściągnęła je lekko w dół, wykręcając mu rękę, i gdy Irańczyk boleśnie wykrzywił twarz, głową naprzód pchnęła go na dziurawą narzutę. – Nalegam na chwilę rozmowy.

Jamshidi usiadł na łóżku z rozszerzonymi oczami. To mu wystarczyło, już wiedział.

– Jesteś z francuskiego wywiadu? – spytał, rozmasowując nadgarstek. Dominika nie odpowiedziała. – Z CIA? MI6? – Dominika wciąż milczała i przerażony zadrżał. – Z Mossadu?

Dominika pokręciła głową.

– No to skąd?

– Jesteśmy waszymi sojusznikami i przyjaciółmi. My i tylko my stoimy u waszego boku, pomagając wam w walce z ogólnoświatową wendetą, sankcjami i wojennymi groźbami. Wspieramy was pod każdym względem, panie doktorze.

– Jesteś z Moskwy? – Jamshidi roześmiał się pod nosem. – Z KGB?

– KGB już nie ma, panie doktorze. Teraz jest Służba Wnieszniej Razwiedki, SWR.

Irańczyk pokręcił głową i odetchnął. Więc to jednak nie Żydzi, Allahowi niech będą dzięki.

– Czego chcesz? I co to za bzdura z tym układem. – Odzyskał pewność siebie i otaczająca go żółta aureola rozbłysła z dawną intensywnością.

Ty wstrętna ropucho, pomyślała Dominika, przygotowując się na wybuch oburzenia i stek obelg.

– Moskwa chciałaby się z panem skonsultować. Chcielibyśmy, żeby podzielił się pan z nami informacjami o waszym programie.

– Skonsultować? – przemówił Jamshidi sprawiedliwy, Jamshidi patriota. – Podzielić się informacjami? Chcecie, żebym

dla was szpiegował, zdradził wam szczegóły mojego programu, naraził Iran na niebezpieczeństwo?

– Iranowi nic nie grozi – odparła spokojnie Dominika. – Dzięki tym informacjom Moskwa będzie mogła ochronić was przed wrogami.

– To jakiś absurd – prychnął Jamshidi. – Puść mnie, zejdź mi z drogi.

Dominika ani drgnęła.

– Wspomniałam, że moja propozycja będzie korzystna i dla pana, i dla nas. Prawda? Chciałby pan jej wysłuchać?

Irańczyk znów głośno prychnął, lecz nie wstał z łóżka.

– Jako naukowiec akredytowany w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej mieszka pan i pracuje w Wiedniu. Często jeździ pan do Teheranu. Jest pan wybitnym specjalistą od kaskadowego rozdzielania izotopów uranu i od kilku lat kieruje pan budową zespołu szybkoobrotowych wirówek w zakładzie wzbogacania uranu w Natanz. Zgadza się, czy coś pomyliłam?

Jamshidi patrzył na nią, bez słowa masując bolącą rękę.

– Błyskotliwa kariera, pasmo sukcesów, względy Najwyższego Przywódcy i sojusznicy w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Żona i dzieci w Teheranie. Ale jako człowiek o wyjątkowych potrzebach, ktoś, kto w pełni zasłużył na to, aby robić, co mu się żywnie podoba, zawarł pan pewne znajomości zarówno w Wiedniu, jak i tutaj, w Paryżu, gdzie przyjeżdża pan ukradkiem i bez zezwolenia, zwykle na weekendy. Ceni pan kobiety, a one pana.

– Niech cię diabeł przeklnie! Łżesz!

– Oj, czyżby wypierał się pan swoich przyjaciółek? Byłyby bardzo zawiedzione. – Dominika sięgnęła po torebkę, wyjęła z niej telefon i położyła go sobie na dłoni. Irańczyk nie odrywał od niej wzroku. – Zwłaszcza Udranka. Ma mieszkanie przy

Langobardenstrasse. W Wiedniu oczywiście, bardzo blisko siedziby MAEA. Dobrze je pan zna.

– Pieprzeni Rosjanie – warknął Jamshidi.

– Nie, bo tak naprawdę pieprzy się pan z Serbką, Bogu ducha winną dziewczyną z Belgradu. Często ją pan widuje.

– To… to kłamstwo – wydukał Irańczyk. – Nie macie żadnych dowodów.

Dominika przesunęła palcem po ekranie smartfonu, puściła nagranie i pochyliła telefon w jego stronę.

– Dwudziesty drugi sierpnia, pańska ostatnia wizyta. Przyniósł pan coś słodkiego, czekoladki Sissi-Kugeln, i butelkę nussberga sauvignon. Udranka usmażyła befsztyk. O dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć odbył pan z nią stosunek analny i wyszedł kwadrans później. – Rzuciła telefon na łóżko, patrząc, jak miażdżą go te brutalne słowa. – Może go pan zatrzymać – dodała.

Jamshidi zerknął na ekran i odsunął się na koniec łóżka.

– Nie – powiedział. Aureola wokół jego głowy i ramion błyskawicznie wyblakła, była ledwo widoczna. Dominika wiedziała, że zdążył już oszacować tę niewypowiedzianą groźbę. Gdyby jego perwersyjne zwyczaje i zamiłowania wyszły na jaw, gdyby wydało się, że defrauduje państwowe pieniądze, przeznaczając je na lubieżne cele, mułłowie skazaliby go na śmierć, ale skróciliby go o głowę przede wszystkim dlatego, że okazał się na tyle głupi, by dać się zaszantażować. – Nie – powtórzył.

Rańsze siadiesz, rańsze wyjdiesz, pomyślała Dominika. Prędzej przyjdziesz, prędzej wyjdziesz. Usiadła na łóżku i ukrywając pogardę, zaczęła przemawiać do niego łagodnym głosem. Nie miał dokąd uciec, był tylko małym żuczkiem w pudełku od zapałek – nie pozwalając mu na protesty i udawanie, stanowczym głosem wyłożyła zasady gry: ma

odpowiadać na wszystkie pytania. Spotkają się dyskretnie i dostanie pieniądze na „koszty własne”. Ona będzie go chroniła, a on (tu lekko skinęła głową) będzie mógł dalej widywać się z Udranką. Następne spotkanie? Za tydzień w Wiedniu, w jej mieszkaniu. Ma zarezerwować sobie cały wieczór. Spytała, czy mu to odpowiada, i wstała, zanim zdążył otworzyć usta. Nie miał wyboru. Podeszła do drzwi, uchyliła je i zerknęła przez ramię. Irańczyk siedział na poplamionej narzucie mały i cichy.

– Zajmę się panem, doktorze – powiedziała. – Pod każdym względem. Idziemy?

Zeszli na dół wąską klatką schodową o obłażących z tapety ścianach i skrzypiących stopniach. *Ubijca* wyszedł zza lady, stanął u stóp schodów i skrzyżował ręce.

– Pięćdziesiąt euro – rzucił. – Podatek rozrywkowy. – Nad jego głową unosiła się brązowa mgła: okrucieństwo, przemoc i głupota. Zdezorientowany Jamshidi próbował się obok niego przecisnąć, lecz tamten wbił mu mięsiste ramię pod podbródek i przyparł go za szyję do ściany. Drugą ręką wyjął brzytwę. – A ty sto – dodał, patrząc na Dominikę. – Podatek od prostytucji. – Unieruchomiony Jamshidi mógł jedynie wytrzeszczać oczy i patrzeć, jak rosyjska agentka schodzi z ostatniego stopnia schodów.

Dominika była częściowo świadoma lekkiej irytacji wywołanej niespodziewaną ingerencją, dlatego docierający do jej oczu obraz, choć ostry w środku, miał rozmazane kontury. Czuła zapach bijący spod koszuli bandziora, jego zwierzęcy odór. Nie zwalniając kroku, weszła w otaczającą go brązową chmurę, delikatnie, niemal czule, chwyciła go za tył tłustej głowy, dłonią drugiej ręki objęła bok twarzy i wymacawszy kciukiem zawias szczęki, gwałtownie ucisnęła go w głąb i do góry. Staw skroniowo-żuchwowy puścił z cichym trzaskiem,

bandzior zadarł głowę, zawył z bólu i brzytwa zaklekotała na podłodze. W obłoku przesyconym jego smrodem i zapachem perfum Dominika szarpnęła go za cuchnące włosy i pomyślała: coś takiego, wpadłam w złość. Co powiedziałby na to *moj bratok*, duży braciszek Gable, jeden z moich prowadzących z CIA? I natychmiast przeszło jej przez myśl coś jeszcze: co powiedzieliby inni, wszyscy jej amerykańscy znajomi, widząc ją w tej cuchnącej norze z tym żałosnym, śmierdzącym typem? Myśl ta poraziła ją jak prąd. Momentalnie otrzeźwiała i kantem otwartej dłoni uderzyła bandziora w grdykę. Mężczyzna jęknął, a wtedy przyciągnęła go do siebie i głową naprzód pchnęła na ścianę. Huknęło, pękł tynk i *ubijca* znieruchomiał na podłodze.

Dominika pochyliła się, podniosła brzytwę i złożyła ją, choć tak, miała ochotę przeciągnąć nią szybkim ruchem po szyi nieprzytomnego łachmyty. Jamshidi sapnął, zarzęził i powoli osunął się na podłogę. Ukucnęła obok niego i sukienka podjechała jej do pół uda, odsłaniając koronkowy trójkąt czarnej bielizny, lecz Irańczyk patrzył tylko na jej świetlistą twarz, na kosmyk włosów kusząco przesłaniających oko.

– Mówiłam panu – powiedziała lekko zdyszana. – Pomagamy naszym przyjaciołom. Zawsze będę pana chronić. Jest pan teraz moim agentem.

WIEPRZOWINA SATAY

Smarujemy cienkie paski schabu wieprzowego gęstą pastą z oleju sezamowego, kardamonu, wyciśniętego czosnku, imbiru, sosu rybnego, brązowego cukru i sosu z limonki. Pieczemy na ruszcie, aż wierzch się skarmelizuje i stanie się chrupki.

2

O trzeciej nad ranem na wąskich uliczkach Le Marais w czwartej dzielnicy Paryża było cicho i ciemno. Dominika wracała do hotelu butikowego w pobliżu Place Sainte-Catherine, przeklinając cisnące szpilki. *Tant pis*, trudno. Przecież nie będzie chodziła na bosaka chodnikami uwielbiającego psy Paryża.

Skończywszy układać zaszyfrowany raport dla Ziuganowa, szybko oceniła przebieg werbunku. Oszołomiony Jamshidi przestąpił nad nieprzytomnym wykidajłą i wyszedł chwiejnie na ulicę, a gdy czułym szeptem przypomniała mu o następnym spotkaniu, niepewnie skinął głową. Był wstrząśnięty, zaszokowany i obłok żółtej mgły nad jego głową niemal całkowicie wyblakł. W raporcie do centrali – oraz do sceptycznego i pełnego urazy Ziuganowa – skromnie napisała, że werbunek przebiegł pomyślnie i rokuje sukcesy. Tak jak we wszystkich tego typu operacjach to, czy Irańczyk rzeczywiście poszedł na współpracę, miało się okazać dopiero za tydzień. Jeśli potulnie stawi się na przesłuchanie w wiedeńskim mieszkaniu Udranki i odpowie na wszystkie pytania, będzie to znak, że dojrzał i jest ugotowany. A mając w perspektywie dalszą, jakże słodką i kuszącą znajomość z tą mierzącą metr osiemdziesiąt pięć Serbką o purpuroworóżowych włosach, obecnie podległą jej jaskółką, na pewno będzie grzeczny. Udranka – Dominika bardzo jej współczuła. Od czasu do czasu chodziła z nią na wino i dobrze jej płaciła – z siostrzanej

solidarności. Ale przede wszystkim uważnie wysłuchiwała jej wnikliwych uwag na temat Jamshidiego, ponieważ im więcej znała szczegółów, tym pewniejszy był werbunek.

Choć o tej porze było to mało prawdopodobne, skręciwszy w opustoszały zaułek, sprawdziła, czy nikt jej nie śledzi, przechodząc na drugą stronę ulicy i zerkając przez lewe i prawe ramię. Towarzyszył jej najpierw jeden, potem dwa, w końcu trzy koty, które z wysoko podniesionymi ogonami truchtały zygzakiem wokół jej nóg. Stwierdziła, że dzięki szkole jaskółek zaszła w niej jedna fundamentalna zmiana. Odkąd SWR nasłała ją na agenta CIA Nathaniela Nasha, którego miała uwieść i skompromitować, i który miał jej zdradzić nazwisko kreta w szeregach tajnych służb Federacji Rosyjskiej, zmieniło się jej życie, całe i na zawsze. Sęk w tym, że wymierzona w Nate'a operacja nie przebiegła do końca tak, jak zaplanowali to jej przełożeni. Prawda? I teraz pracowała dla CIA, szpiegowała dla Amerykanów, ponieważ uważała, że Rosja jest do cna zepsuta, a jej system polityczny toczy rak. A jednak robiła to dla ojczyzny. Nie dla Amerykanów, tylko dla dobra kraju. Tak, zmówiła się z CIA i została kretem. I wbrew wszelkiej logice, wbrew zdrowemu rozsądkowi wylądowała w łóżku Nate'a. Zamknęła oczy i szepnęła:

– Gdzie jesteś, *Niejt*? Co teraz robisz?

Jeden z kotów zerknął na nią z pytającym wyrazem pyszczka. *Qu'est-ce que j'en sais?* A skąd mam wiedzieć?

W tym samym momencie, w opustoszałym gmachu Zarządu KR, Ziuganow kipiał gniewem w mrocznym gabinecie, który rozświetlała jedynie lampa na biurku. Pod lampą leżał raport Jegorowej, który kilka minut wcześniej przekazano mu

zaszyfrowaną pocztą elektroniczną. Udana próba werbunku w klubie nocnym na placu Pigalle. Lakoniczny meldunek ze szczegółami udanej akcji gapił się na niego bezczelnie i szyderczo. Jegorowa stanowiła dla niego bezpośrednie zagrożenie, przez tę zręcznie przeprowadzoną operację wyszedł na ostatniego tępaka i ciemięgę. Przeczytał jej krótki raport jeszcze raz, ważąc ryzyko i ewentualne korzyści. Udana solowa akcja – tak, ta cycata nowicjuszka dobrze się sprawiła. Paryską rezydenturę całkowicie wyłączono z operacji – im mniej ich pchało się do żłobu, tym lepiej. Przeczytał raport po raz czwarty: meldunek był krótki, wyważony i powściągliwy. Ziuganow poprawił się w fotelu, nerwowo machając nogami. Zazdrość ustąpiła miejsca irytacji, a ta gniewowi podsycanemu zalęknioną interesownością.

Jegorowa rozegrała to wszystko bardzo szybko, precyzyjnie i z niestrudzoną dokładnością. Niech to szlag, pomyślał. Prześwietliła cel, przeprowadziła rozpoznanie w Austrii i we Francji, żeby zbadać jego zwyczaje, a potem skrupulatnie i metodycznie zastawiła *połowuju zapadniu*, klasyczną sekspułapkę, wykorzystując do tego celu tę prymitywną, długonogą Serbkę. A ta, niczym słodki nektar pszczołę, zwabiła Irańczyka do swojego wiedeńskiego mieszkania, kiczowatego gniazdka miłosnego, dbając o to, żeby jego ociekający chucią *czlen* był w stanie ciągłego pogotowia. Tak, Jegorowa prześwietliła go na wylot. A dzisiaj zwerbowała, oczywiście udając prostytutkę. Ziuganow intensywnie myślał: nazajutrz ma wracać do Moskwy. Z Paryża. Poszperał w leżących na biurku papierach i znalazł nazwę hotelu, w którym się zatrzymała. Paryż to niebezpieczne miasto. Bardzo niebezpieczne. Podniósł słuchawkę telefonu.

Koty ją opuściły. Wpół do czwartej rano na drzewie przy Rue de Turenne zaśpiewał ptaszek. Skręciła w słabo oświetloną Rue de Jarente. Nocny portier pewnie już dawno spał i będzie musiała go obudzić. Nad wejściem do hotelu Jeanne d'Arc paliła się pojedyncza lampa. Dominika już dochodziła do drzwi, gdy zza rzędu samochodów parkujących po drugiej stronie ulicy dobiegły ją czyjeś kroki. Odwróciła się, naciskając plecami guzik dzwonka.

Szedł ku niej mężczyzna w skórzanej kurtce, ubrany na czarno bysior o włosach à la Fabio. Zza rogu bocznej uliczki po lewej stronie wychynął drugi – ten też ruszył w jej stronę. Niższy i łysawy, choć szerszy w barach, był w wywatowanej kamizelce i koszuli. W prawej ręce miał „kichę", giętką skórzaną pałkę. Obaj patrzyli na nią z tępą, wilgotnoustą lubością. Amatorzy, pomyślała. Na pewno nie ze służb. Najęte zbiry, nawalone absyntem i marychą. Naparła ramieniem na guzik dzwonka, lecz na próżno: w holu nikt się nie poruszył, nie zapaliło się nawet światło. Sunąc plecami po ścianie i szurając po chodniku czerwonymi podeszwami szpilek, ruszyła bokiem w stronę najbliższego rogu. Mężczyźni spotkali się kilka metrów przed wejściem do hotelu i szli teraz ramię w ramię. Nie spuszczając ich z oczu, skręciła w Rue Caron wychodzącą na Place Sainte-Catherine, wysadzaną drzewami brukowaną uliczkę, na której drzemały sterty kawiarnianych stolików. Dwie bójki jednego wieczoru, pomyślała. Kusisz los, dziewczyno.

Mając więcej miejsca, mężczyźni puścili się ku niej z wyciągniętymi rękami, chcąc ją chwycić i przytrzymać, lecz gdy ten niższy podniósł „kichę", Dominika przekręciła nasadkę szminki w torebce. Odległość była mała, wystarczyło wycelować i wystrzelić. Rozległ się stłumiony przez satynę metaliczny trzask elektrycznej spłonki i z kamizelki łysielca

buchnął gejzer gęsiego puchu. Kula ugodziła go tuż nad prawym sutkiem i metalowy pył eksplodował w jego klatce piersiowej z impetem trzykrotnie większym niż odłamki miedzianego płaszcza zwykłego pocisku, rozrywając na strzępy żyłę główną, prawą komorę serca, prawe płuco i szczyt płata wątroby. Mężczyzna okręcił się wokół własnej osi, runął na ziemię i z głuchym stukotem uderzył podbródkiem w chodnik. Czarna „kicha" spoczęła obok niego. Wyglądała jak psia kupa.

Cholera jasna, pomyślała Dominika. Dlaczego nie wynaleźli dwustrzałowej szminki? Rzucił się na nią Fabio, o głowę wyższy. W świetle lampy ulicznej miał czerwone obwódki wokół oczu i otaczał go tuman żółtej mgły. Gdy wyciągnął rękę, poczuła zapach skóry, nawet całkiem przyjemny. Podsunęła mu nadgarstek, który momentalnie chwycił, a wtedy naparła na niego, tak że musiał odchylić się do tyłu. Błyskawicznie zahaczyła łydką o wnętrze jego kolana i mocno go pchnęła. Powinien był upaść, a wtedy zdążyłaby wbić mu w oko obcas szpilki, lecz on złapał ją za przód sukienki i pociągnął za sobą, rozrywając materiał i odsłaniając miseczki koronkowego stanika. Upadli ciężko na chodnik i gdy szpilki pofrunęły w dal, przewrócił ją na plecy i przygniótł do ziemi. Tonąc w zapachu skórzanej kurtki, wymieszanym z odorem noszonej przez tydzień koszuli, próbowała dosięgnąć go rękami – oczu, skroni, tkanki miękkiej, czegokolwiek – lecz na próżno. Coś huknęło, głośno i śpiewnie, i głowa odskoczyła jej w bok. Wiedziała, że wytrzyma najwyżej dwa takie ciosy, nie więcej.

Przygniatający ją ciężar zniknął – Fabio wstał. Dominika skuliła się, lecz kopnął ją w żebra i już odmierzał odległość, żeby wziąć zamach i wielkim buciorem miażdżyć jej gardło, gdy na końcu placu pojawiła się – Bogu niech będą dzięki! – czyszczarka połączona grubą rurą z pękatym jak u żuka nosem polewaczki z obracającym się wesoło pomarańczowym

światłem na dachu, która zaczęła polewać uliczny bruk. Fabio kopnął Dominikę w bok – cios był na szczęście powierzchowny – i uciekł. Dominika leżała przez chwilę, sprawdzając, czy ma całe żebra, i patrząc, jak polewaczka sunie powoli przez plac. Odwróciła głowę i spojrzała na martwego mężczyznę, który leżał na brzuchu w kałuży czarnej krwi, skurczony i mały. Chłopcy będą mieli trochę więcej zmywania, pomyślała. A teraz do hotelu. Stłumiwszy jęk, przetoczyła się na bok, niepewnie wstała, podniosła buty, potem okulary i ściskając drugą ręką brzegi rozdartej sukienki, pokuśtykała przed siebie. Wyglądała tragicznie: powie portierowi, że ma dość zjazdów i kongresów. Sprzedawcy nawozów sztucznych z Nantes mogą się wypchać.

Nie zapalając światła, weszła do łazienki, ściągnęła sukienkę i przejrzała się w lustrze. Siniaki, teraz czerwone, będą jutro fioletowe jak bakłażan. Bolał ją policzek. Puściła gorącą wodę, przyłożyła zimną myjkę do oka i z jękiem weszła do wanny, myśląc o nieprawdopodobnym wprost zbiegu okoliczności, jakim był ten uliczny napad, i o Jamshidim.

I o Ziuganowie. *Jadowityj* Ziuganow. Jeden z dwóch znanych jej mężczyzn, który zamiast w kolorach, tonął w zwojach czerni. Domyślała się, że zdradzał bez chwili wahania i najmniejszych wyrzutów sumienia, i wszędzie wypatrywał zdrady. To, że Putin spojrzał na nią z zainteresowaniem spod ciężkich powiek, traktował jako poważne zagrożenie, jakby dybała na niego z nożem w ręku. Traktował tak również każdy operacyjny triumf, taki, jak choćby pozyskanie Jamshidiego. Gdyby zawaliła albo została ranna – na przykład podczas przypadkowego napadu ulicznego – mógłby przejąć dowodzenie operacją i osobiście zanieść sensacyjny raport wywiadowczy na trzecie piętro Jasieniewa i na Kreml.

Poczuła w ustach znajomy smak podstępu i oszustwa, morderczej zdrady, i znów ogarnęła ją nieokiełznana chęć

walki, zniszczenia tych wszystkich służb, zrujnowania życia tym, którzy w nich pracowali. Zastanawiała się nawet, czy nie odnowić kontaktu z CIA już teraz, tego wieczoru, z CIA i Nate'em. To, że aktualnie pracowała w Zarządzie KR i zwerbowała Jamshidiego, umożliwiało jej dostęp do niewiarygodnej wprost ilości najtajniejszych informacji. Ci z *wierchuszki* będą zachwyceni, że tak szybko się uwinęła. Zanurzyła się po szyję w gorącej wodzie. Do Moskwy wracała dopiero za sześć godzin.

Ale nie, tym razem nie chodziło o matkę. Chodziło o Anię, koleżankę ze szkoły jaskółek w Kazaniu. Ania miała jedwabiste blond włosy, niebieskie oczy i delikatne usta, i doprowadzona do obłędu przez obowiązujące tam ohydne wymagania powiesiła się w swoim pokoju. Dominika była początkowo bardzo smutna, potem wściekła: kremlowski piec pochłonął kolejną duszę. Ania usiadła na brzegu wanny i przesunęła palcami po wodzie, jakby coś pisała. Na Amerykanów masz jeszcze czas. Najpierw musisz wrócić do domu i założyć diabłu pętlę na szyję.

Poobijana, zesztywniała i z bolącym podbitym okiem wróciła do Moskwy porannym samolotem Aerofłotu. Samochód zawiózł ją do Jasieniewa, lecz zanim zdążyła złożyć meldunek Ziuganowowi, czekający na nią adiutant wskazał jej windę i pojechali na trzecie piętro, gdzie wisiały namalowane aerografem, dyskretnie podświetlone portrety byłych szefów KGB, mężczyzn o krzaczastych brwiach i wilgotnych oczach, z medalami na klapach eleganckich garniturów z Savile Row. Gdy szła po kremowym dywanie, śledzili ze ścian jej znajomą

postać, wołając: Witaj! To znowu ty? Jeszcze cię nie złapali? Nie daj się, malutka, uważaj na siebie!

Kiedy otwierała drzwi wielkiego gabinetu dyrektora generalnego SWR i przechodziła przez wyłożoną grubym dywanem recepcję, zalała ją fala wspomnień z czasów, kiedy zmanipulował ją Iwan Dimitrijewicz Jegorow, wujaszek Wania, ówczesny pierwszy zastępca naczelnego. O tak, wiele razem przeżyli: wujaszek wykorzystał ją jako przynętę seksualną w zabójstwie politycznym Dimitrija Ustinowa, potem zwerbował do służby, a jeszcze potem wysłał do szkoły jaskółek – szkoły kurew – na profesjonalne przeszkolenie w sztuce uwodzenia. Aż za dobrze znała jego żółtą aureolę oszukaństwa i bufonady, dlatego nawet nie mrugnęła okiem, kiedy wyrzucono go z trzeciego piętra, relegowano ze służby i pozbawiono emerytury.

Stare dzieje. Teraz, gdy weszła do przestronnego, jasnego gabinetu z zajmującymi całą ścianę oknami, które wychodziły na rosnący wokoło sosnowy las, zdenerwowany dyrektor, mężczyzna o ziemistej cerze, wyszedł zza biurka, zrobił krok w prawo, potem w lewo, spojrzał na zegarek i mruknął, że najwyższa pora. Prezydent na nich czekał. Zjechali windą do podziemnego garażu i wsiedli do wielkiego czarnego mercedesa pachnącego skórą i wodą kolońską o sandałowym aromacie. Z włączoną migałką, niebieskim „kogutem” na desce rozdzielczej, pasem dla VIP-ów przejechali pod prąd pół Moskwy. Dyrektor zerkał od czasu do czasu na jej podbite oko, ukradkiem i z lekkim zainteresowaniem.

Dudniąc oponami po kremlowskim bruku, limuzyna przemknęła przez Bramę Borowicką, minęła złocistożółty Wielki Pałac Kremlowski, okrążyła Sobór Archangielski w kolorze kości słoniowej i śmignąwszy pod łukowatym przejazdem, wjechała na dziedziniec przed zwieńczonym

zieloną kopułą gmachem Senatu. Dominika zadrżała. Kreml. Majestatyczne gmachy, złocone sufity i strzeliste sale wypełnione po strop zakłamaniem, nieokiełznaną chciwością i okrucieństwem. Pałac zdrady. A ona, też zdrajczyni, choć innego rodzaju, przyjechała tu, żeby lizać z uśmiechem kamienną twarz nowego cara Rosji.

Szybko obciągnęła spódnicę, założyła za ucho niesforny kosmyk włosów i postukując w duecie obcasami, weszli do wysoko sklepionej wielkiej sali recepcyjnej Senatu, pomieszczenia tak ogromnego, że gigantyczny dywan z Buchary na wyłożonej parkietem posadzce wyglądał jak dywanik modlitewny w meczecie. Dominika zerknęła na chmurę zielonej mgły nad głową dyrektora i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest bardzo zdenerwowany, może nawet przerażony spotkaniem z prezydentem. W drzwiach na końcu sali stanął *chef de cabinet*, szef gabinetu Putina, który ruszył w ich stronę po tłumiącym kroki dywanie. Brązowy garnitur, brązowe buty, brązowa aureola – zamknięty w sobie i układny lekko skłonił głowę.

– Panie dyrektorze, czy nie zechciałby pan skorzystać z okazji i wpaść do pana ministra? Z przyjemnością powita pana w swoim gabinecie. – Otworzyły się inne drzwi i w ich progu stanął na baczność adiutant. Przekaz był oczywisty: prezydent chce rozmawiać z Jegorową w cztery oczy. Dyrektor skinął głową Dominice i patrząc na jej zgrabne nogi, odprowadził ją wzrokiem do drzwi prywatnego gabinetu prezydenta federacji. Jak za dawnych czasów, pomyślał. Kolejna faworyta. Ciekawe, jak długo się utrzyma?

Zgodnie z protokołem adiutant podał jej ramię, przeprowadził ją przez wyłożony jasną boazerią hol, zapukał raz do kolejnych drzwi i otworzył je. Mały salonik. Tonące w popołudniowym słońcu wypukłe niebieskie tapety, dywany, błękitna atłasowa sofa przy oknie. A za oknem, nad

wierzchołkami rosnących w ogrodzie drzew – miedziana wieżyca Baszty Troickiej. Prezydent podszedł i uścisnął jej rękę. Był w ciemnym garniturze, białej koszuli i granatowym jedwabnym krawacie pasującym kolorem do jego niezwykłych niebieskich oczu.

– Pani kapitan – zaczął znacząco, nawiązując do jej oszałamiającego awansu. Bez uśmiechu, z kamienną twarzą i nieruchomymi oczami. Dominika zastanawiała się, czy wybiera krawaty tak, żeby pasowały do nich kolorem. Gestem ręki wskazał sofę, która cicho westchnęła, gdy Dominika na niej usiadła.

– Panie prezydencie. – Ona też potrafiła być flegmatyczna. Putin tonął w turkusowo-błękitnej mgle emocji, uduchowionej sztuki i zawiłej myśli. Nie w żółtej poświacie oszukaństwa czy szkarłatnej aureoli namiętności – był człowiekiem głębokim, skomplikowanym i nieprzeniknionym, nigdy takim, jakby im się wydawało.

Natomiast ona miała na sobie ciemnoszary kostium, granatową bluzkę, ciemne pończochy i niskie czółenka – dzięki Bogu, nie chciała nad nim górować. Zgodnie z obowiązującymi w służbie zaleceniami nie założyła biżuterii i wysoko upięła włosy. Wciąż stojąc, Putin przyglądał się jej, być może porównując głębię jej niebieskich oczu z głębią swoich. Jeśli zauważył podbite oko, nie dał tego po sobie poznać. Do gabinetu wszedł cicho adiutant z tacą, którą postawił na małym stoliku. Prezydent wskazał ją ruchem głowy.

– Wezwałem panią w porze lunchu, bardzo przepraszam. Może zechce pani coś zjeść?

Na przepięknym żłobkowanym półmisku z petersburskiej fabryki porcelany Łomonosowa, wykonanym na specjalne zamówienie carycy Katarzyny Wielkiej, leżały smażone grzyby z warzywami w sosie musztardowym. Do tego srebrna łyżka

i wykałaczki. Putin pochylił się, nałożył trochę grzybów na czubek trójkątnej grzanki i podał jej. Dosłownie podał, na otwartej dłoni. Jedz, kotku, nie chcesz spróbować? Chciała grzecznie odmówić, lecz w końcu przyjęła poczęstunek. Ona podgryzała grzankę – grzyby miały złożony ziemisty smak, sos był gęsty i gładki – a on na nią patrzył, jakby próbował ocenić jej sposób jedzenia. Nalał jej wody mineralnej. Czysty obłęd. Błękitna mgiełka za jego głową i nad ramionami nie zmieniła barwy. *Boże moj*, pomyślała. Jem przystawki na Kremlu. Co dalej? Zaproponuje mi wykałaczkę? Rozbolały ją żebra i poprawiła się lekko na sofie.

– Cieszę się, że wróciła pani bezpiecznie z Estonii. – Prezydent usiadł obok niej. – Zdobyte przez panią informacje przyczyniły się walnie do zdemaskowania tego zdrajcy Korcznoja. Należy się pani pochwała za zimną krew i hart ducha.

Generał Władimir Andriejewicz Korcznoj, szef wydziału Ameryki i Kanady, szpiegował dla Amerykanów czternaście lat i był najlepszym rosyjskim agentem w historii. Kiedy Dominikę zwerbowano do służby, został jej opiekunem, drugim ojcem. Po jego aresztowaniu CIA zaproponowała Rosjanom wymianę – ona za niego – umieszczając ją jednocześnie w szeregach SWR jako nowego superkreta. Ale coś poszło nie tak, nie wiedziała tylko co. Kiedy znalazła się w rękach Rosjan, na środku mostu w Estonii kogoś postrzelono, raniono, może nawet zabito – przez zasłonę nocnej mgły widziała czyjeś ciało, słyszała głośny krzyk. Oszukali ją? Doszło do potwornej zdrady? A rozkaz musiał wydać siedzący obok niej mężczyzna. Na moście mógł leżeć Korcznoj, a nawet Nate. Nate mógł już nie żyć, a ona wciąż myślała o nim tak, jakby nic mu nie groziło. Chryste, *Niejt* mógł już nie żyć. Myśl ta zabiła mdławy smak grzybów w ustach, stłumiła ostry smak sosu w gardle.

– *Spasibo*, panie prezydencie. Spełniłam tylko swój obowiązek. – Nie za dużo cukru, pomyślała, wystarczy jedna łyżeczka. – Szkoda tylko, że ten *izmiennik* znalazł schronienie na Zachodzie, że nie zapłacił za swoją zdradę.

Otaczająca Putina niebieska aureola rozbłysła jeszcze jaśniejszym blaskiem.

– Nie, został zlikwidowany – powiedział spokojnie i wstrząśnięta Dominika pomyślała: Nate jest bezpieczny. A zaraz potem: zabili generała. W zalanym słońcem saloniku zapadła cisza. – *Wot*, i poznała pani naszą tajemnicę – dodał prezydent, leciutko zakrzywiając do góry kąciki ust.

Ten ironiczny uśmieszek wypłynął z mrocznych głębin jego duszy, mimo to stanowił śmiertelne zagrożenie, ponieważ Dominika z goryczą uświadomiła sobie, że jest z nim teraz związana, z tym nowym carem Rosji, tym imperatorem, że sama założyła sobie pętlę na szyję i zatkała usta kneblem. Ale tak, Putin przed chwilą to potwierdził: zabili Korcznoja. Na moście, ledwie kilka metrów od wolności. Stary generał marzył o emeryturze, o życiu bez strachu i ryzyka.

Wypuściła powietrze przez nos i spojrzała na kamienną twarz prezydenta. Nie wiedzieć czemu, przypomniała się jej ulubiona zimnowojenna groźba Chruszczowa, chłopskie przekleństwo *Ja wam pokażu Kuźminu mat'* – pokażę wam matkę Kuźmy, czyli coś strasznego, coś, czego jeszcze nigdy nie widzieliście, słowem, zetrę was na proch. Dobrze, panie prezydencie, pomyślała. Niech pan lepiej zadzwoni do Kuźmowej, bo zamierzam was ukarać. Tajemnicą, która zabijała miedziany smak w ustach, zimnym jak lód brylantem w piersi, była świadomość, że jest teraz agentką CIA, nowym kretem w rosyjskich służbach. Nie wiedziały o tym nawet niebieskie oczy tego pytona.

– Może pan polegać na mojej dyskrecji, panie prezydencie – powiedziała, odwzajemniając jego beznamiętne spojrzenie. Kultywował swój wizerunek jasnowidza potrafiącego czytać w myślach i sercach. Czy potrafił zajrzeć do jej duszy?

– Oczekuję szybkich rezultatów w sprawie irańskiego naukowca. Pani paryska operacja to niewątpliwy sukces, ale najważniejsze będzie przyszłotygodniowe przesłuchanie. Chcę otrzymywać od pani regularne raporty na temat postępów w tej kwestii.

Jasne, zna już wszystkie szczegóły, pomyślała Dominika. Od Ziuganowa. Ty karle zasrany, a powiedziałeś mu, kto mi podbił oko?

Putin nie odrywał oczu od jej twarzy.

– Naturalnie poprowadzi panią dyrektor, pułkownik Ziuganow – dodał.

Przekaz był aż nadto oczywisty: miała pracować w strukturach hierarchicznych tajnych służb i jednocześnie składać meldunki bezpośrednio jemu. Wbijać kliny i umieszczać informatorów w szeregach ambitnych podwładnych – stara sowiecka taktyka. Błękitna chmura nad jego głową płonęła blaskiem podsycanym przez zalewające salonik słońce.

Amerykański kret w Służbie Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej liczył uderzenia swojego serca.

– Oczywiście, panie prezydencie. Będę informowała pana na bieżąco.

GRZYBY PO KREMLOWSKU

Kroimy grzyby w cienkie plasterki i smażymy na dużym ogniu, aż zbrązowieją na brzegach. Dodajemy warzywa (szpinak, botwinę lub jarmuż) oraz kapary i dusimy do miękkości pod przykryciem. Doprawiamy do smaku, dodajemy musztardę z odrobiną octu i gotujemy sos na małym ogniu, aż zgęstnieje. Podajemy na ciepło lub zimno.

3

Przez brudne okna rezydentury CIA przy Vasilissis Sofias Avenue – okiennic ani samych okien nie otwierano od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, kiedy to z pompą przecięto wstęgę podczas ceremonii otwarcia ambasady w Atenach; wisiały w nich zasłony, lecz ich też nigdy nie rozsuwano – wpadał niekończący się szum ruchu ulicznego. Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego ani razu nie odmalowano także samego budynku rezydentury, mrówczego labiryntu połączonych ze sobą biur, korytarzy i pakamer: na dnie jednej z szaf na ubrania stał zapomniany elektroluks z tamtych lat, a obok leżała płaska gitara akustyczna firmy Martin; nie miała strun i pokolenia agentów były przekonane, że jest w niej ukryty schowek do przewożenia dokumentów przez granicę, tylko nikt nie pamięta, jak się go otwiera.

Marty Gable, zastępca szefa rezydentury, wszedł do małego gabinetu oficera prowadzącego Nate'a Nasha. Na biurku leżała resztka tiropity, małej trójkątnej pizzy z serem, którą Nate kupił na śniadanie w drodze do pracy; właśnie jadł, dlatego wstając, strzepnął okruszki ze spodni. Gable sięgnął po ten ostatni kawałek, wepchnął go do ust i jedząc, rozejrzał się po nowym pokoju podwładnego. W końcu przełknął, wziął z biurka oprawione w ramkę zdjęcie i podniósł je do światła.

– Twoja rodzinka? – Nate kiwnął głową i Gable odstawił zdjęcie. – Nieźle, same przystojniaczki. To co, adoptowali cię czy miałeś poród kleszczowy?

– Cieszę się, że znów jestem w twojej rezydenturze, Marty – odparł Nate. Szanował przysadzistego Gable'a, może go nawet lubił, lecz nie zamierzał mówić tego na głos. Przed dwoma miesiącami rozpoczął trzecią turę służby w tym rojnym ateńskim mrowisku i naprawdę cieszył się, że znów trafił pod skrzydła obytego szefa rezydentury Toma Forsytha i jego cynicznego, niekiedy wulgarnego zastępcy.

Stanowili skuteczną ekipę i ostatnimi laty przeprowadzili razem kilka pierwszorzędnych operacji. W Moskwie, podczas swojej pierwszej tury, Nate prowadził Marmura, najlepszego agenta penetracyjnego CIA w Rosji – do chwili, gdy zastrzelono go podczas wymiany szpiegów w Estonii, pod koniec operacji, która miała go uratować. Podczas drugiej tury, już w Helsinkach, pozyskał młodego oficera SWR Dominikę Jegorową – kryptonim Diva – by wraz z Forsythem i Gable'em ukartować jej powrót do Moskwy jako kreta następnej generacji w szeregach rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego.

Zdradzieckie posunięcie Kremla i strata Marmura dotknęło ich wszystkich, ale najbardziej jego, bo tego wieczoru to właśnie on trzymał na kolanach głowę Korcznoja, patrząc, jak mokry od estońskiej mgły asfalt zalewa krew błyszcząca w świetle reflektorów. Przedtem był człowiekiem nerwowym, poważnym i ambitnym, a po tej tragedii stał się mroczniejszy i bardziej skupiony. Mniej dbał o karierę zawodową, przestał zwracać uwagę na krytyków i rywali.

– Walić twoją radochę – powiedział Gable. – Mamy na dole „przechodnia". Wartownik przed chwilą dzwonił. Chodźmy.

Schody. Umysł Nate'a natychmiast włączył wyższy bieg. „Przechodzień" – ktoś obcy, prosto z ulicy.

Czas.

Zegar zaczął tykać w chwili jego przybycia do ambasady. Żołnierze marines zatrzymali go pewnie w holu, sprawdzili, czy

nie ma broni, zabrali mu paczki, listy czy co tam jeszcze miał, i zamknęli w „poczekalni”, pozbawionym okien pomieszczeniu nafaszerowanym sprzętem audiowizualnym i aparaturą do cyfrowego przesyłania danych.

Czas.

„Przechodzień” mógł być kimś albo nikim: wariatem w wyłożonej aluminiową folią czapce, która zabezpieczała przed promieniami obcych, błagającym o wizę emigrantem bez dokumentów czy domokrążnym informatorem amatorem, który nauczył się na pamięć artykułu z porannej gazety i liczył na to, że za kilka stów uda mu się opchnąć zawarte w nim informacje.

Czas.

Ale równie dobrze „przechodzień” mógł być autentycznym ochotnikiem – oficerem obcego wywiadu, dyplomatą czy naukowcem – dysponującym olbrzymią ilością informacji, które chciał przekazać Amerykanom albo za pieniądze, albo dlatego, że przechodził kryzys ideologiczny, albo z zemsty na swoim szefie tyranie, albo z gniewu na system polityczny, w który przestał wierzyć.

Czas.

Dobrego ochotnika nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, wystarczy tylko sprawdzić, czy rzeczywiście ma dostęp do tajnych informacji, i można zaczynać żniwa. Nazwiska takich informatorów powinny być wyryte w kamieniu.

Czas, czas, czas.

Dowiedzieć się, kim jest, błyskawicznie go prześwietlić, pozyskać, umówić się na ponowny kontakt i jak najszybciej wyprowadzić z ambasady. Jeśli to Rosjanin, północny Koreańczyk albo Chińczyk, rozlicza się z każdej minuty i psy

z kontrwywiadu na pewno odnotują, na jak długo zniknął. Ma najwyżej pół godziny.

Na parterze Gable skinął głową stojącemu przed drzwiami żołnierzowi i weszli do „poczekalni". Natychmiast uderzył ich rybi odór wymiocin. Na plastikowym krześle przy małym biurku siedział stary włóczęga w wygniecionej, zarzyganej marynarce i poplamionych, zakurzonych spodniach. Około sześćdziesiątki, miał porośnięte siwą szczeciną policzki i wilgotne, przekrwione oczy. Gdy weszli, podniósł głowę.

– Chryste – mruknął Gable. – Nie mamy czasu na te bzdety. Wyrzuć go stąd. – Wskazał drzwi, dając Nate'owi znak, żeby wezwał żołnierza. Zaprowadzą go do podziemnego garażu i rampą załadunkową trafi na ulicę. Zatrzymać zegar. Fałszywy alarm.

Nate szybko otaksował mężczyznę wzrokiem. Facet nie wyglądał na greckiego kloszarda: miał silne ręce i zadbane paznokcie. Buty były uwalane błotem, lecz kosztowne. Włosy zmierzwione, ale starannie przycięte tuż nad uszami. Kiedy weszli, odruchowo się wyprostował – pijak by tego nie zrobił. Nate zerknął na Gable'a. W jego umyśle cichutko zadzwonił mały dzwoneczek.

– Zaczekaj. – Usiadł na krześle obok mężczyzny, próbując nie oddychać przez nos; przybysz cuchnął kocim moczem. – W czym możemy panu pomóc? – zaczął po angielsku. Gable niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę.

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Słabo znam angielski – odparł silnym, zdecydowanym głosem. Do pierwszego dzwoneczka dołączył drugi. – Mam informacje – dodał. Ciszej, jakby słowa te sprawiały mu ból.

– Przepis na muskat już mamy. – Gable skrzyżował ręce.

– Nie rozumiem – powiedział mężczyzna.

– Kim pan jest? – spytał Nate. „Przechodzień” zamrugał i jego oczy wypełniły się łzami.

– O Chryste – mruknął Gable.

Gdy mężczyzna wycierał oczy, Nate zwrócił uwagę na jego zegarek: stalowa bransoleta, gruba, ciężka koperta, napis „Pobieda” na ciemnym cyferblacie. Sowiecki zegarek wojskowy? Przypomniało mu się, że takie nosili rosyjscy żołnierze po powrocie z Afganistanu.

Podniósł rękę.

– Daj mu chwilę.

– Mój syn… *kaput*. W Osetii. Bomba. – Nate rozpoznał intonację i akcent. Rosyjski?

– Córka też. *Gieroin*. – Heroina. – Koniec *raboty*. Grecja to *dla mienia izgnanije*.

Wygnanie? Kurde, co tu jest grane? Gable na szczęście się zamknął i zapominając o odorze, Nate nachylił się ku mężczyźnie.

– Kim pan jest?

– *Wy goworitie po-russki*?

Nate kiwnął głową i zerknął przez ramię na Marty’ego.

– Gławnoje Rozwiedywatielnoje Uprawlenije – powiedział po rosyjsku przybysz. – Słyszeliście o GRU? – Wyprostował się jeszcze bardziej, patrząc to na Nate’a, to na Gable’a.

– Co? – Nie zrozumiał Marty. – Że co?

– Pracuję w Sztabie Generalnym GRU.

– W którym zarządzie? – Nate uciszył Gable’a gestem ręki.

– W Służbie Informacyjnej Dziewiątego Zarządu pod dowództwem generała lejtnanta Bierkutowa.

– O kurwa – rzucił Nate kącikiem ust. – On jest z Dziewiątego Zarządu GRU.

Gable podszedł bliżej.

– Legitymacja, dokumenty – rzucił.

Mężczyzna zrozumiał słowo „dokumenty” i wyjął wyblakłą czerwoną książeczkę.

– *Wojennyj bilet.*

– Książeczka wojskowa – przetłumaczył Nate. Spojrzał na pierwszą stronę, na zdjęcie przypięte do papieru stalowymi nitami. – Generał lejtnant Michaił Nikołajewicz Sołowiow – przeczytał, podkreślając rangę. – Urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim w Niżnym Nowogrodzie. – Przerzucił kartkę. – Zgadza się, Dziewiąty Zarząd GRU. – Podał książeczkę Marty’emu. Ten podszedł do małej szafki w kącie pokoju, otworzył ją i włączył sprzęt; w ciągu najbliższych piętnastu sekund książeczka zostanie skopiowana, a obrazy przekazane do Langley. Wysłał także SMS-a na górę, żeby podlegli mu ludzie mogli przysłuchiwać się na bieżąco rozmowie.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że pobyt w Atenach to dla pana wygnanie? – spytał po rosyjsku Nate.

Generał błysnął oczami.

– Kierowałem Dziewiątym Zarządem trzy lata. – Strzelał teraz słowami jak karabin maszynowy. – Wiecie, czym zajmuje się dziewiątka? – Zamknął oczy i wyrecytował: – Analizą zagranicznego potencjału militarnego. Tajnym zdobywaniem technologii zwalczającej systemy broni wroga. Koordynacją działań i współpracą z krajowym przemysłem zbrojeniowym. – Nate przetłumaczył to Marty’emu.

– Dobra, ale co on robi w Grecji? – rzucił Gable.

Generał zrozumiał pytanie i skinął głową.

– W GRU toczy się walka – odparł. – Putin – słowo to zabrzmiało jak splunięcie – wsadza wszędzie swoich ludzi. Jest mnóstwo kontraktów do zdobycia, góra pieniędzy do wyprowadzenia. Sprzeciwiłem się zmianom w moim zarządzie, zdemaskowałem łapówkarzy. Za karę przeniesiono mnie do ambasady w Atenach. Do ataszatu wojskowego, jako

podwładnego zwykłego pułkownika. Równie dobrze mogli mnie wysłać do gułagu.

– I przyszedł pan do nas – podsumował Nate.

– Poświęciłem trzydzieści lat życia służbie i ojczyźnie. Moja żona nie żyje. Syn służył w wojsku i pół roku temu zginął w bezsensownej wojnie domowej. Córka zmarła samotnie w opuszczonej ruderze w Moskwie, z igłą w ramieniu. Miała osiemnaście lat. – Generał siedział teraz sztywno i prosto, jakby składał meldunek przełożonym. Nate znieruchomiał, pozwalając mu mówić, wiedząc, że następny krok będzie krytyczny.

– Wczoraj wieczorem upiłem się i wyszedłem z domu. Jestem generałem. Noszę na mundurze Zołotuju Zwiezdu, Złotą Gwiazdę. Wie pan, co to jest?

– Medal dla osób z tytułem Bohatera Federacji Rosyjskiej – odparł Nate – kiedyś Bohatera Związku Radzieckiego.

Zaskoczony mężczyzna zmrużył oczy.

– Mam medal *Za Wojennyje Zasługi*, *Ordien Swiatogo Gieorgija,* Świętego Męczennika i Zwycięzcy Jerzego, wojskowy order pierwszego stopnia. – Spojrzał na nich, sprawdzając, czy im zaimponował. – Całe życie zajmowałem się zbieraniem informacji. – Postukał się w czoło. – I mam je tu, w głowie. Jestem w kontakcie z wiernymi mi podwładnymi, którzy pracują nad tajnymi projektami w Moskwie i za granicą. Mam dostęp do tajnych danych, moje obowiązki uprawniają mnie do zadawania szczegółowych pytań. Opowiem wam o GRU. O operacjach, którym celem jest zdobywanie informacji technologicznych. O naszych systemach broni.

Nate przetłumaczył to na angielski.

– Niech powie dlaczego – rzucił cicho Marty. Choć nie znał rosyjskiego, rozumiał generała tak dobrze jak Nate i wiedział, że są bardzo, bardzo blisko.

– Dlaczego? – powtórzył generał. – Bo wszystko mi odebrali i zniszczyli, dzieci, karierę i życie. Zlekceważyli moją wartość, podważyli wierność. Więc teraz to ja coś im odbiorę – powiedział to stanowczo, twardym jak stal głosem. Zapadła cisza. Nate i Gable czekali na ciąg dalszy.

– Wiem, że się zastanawiacie. Zadajecie sobie to pytanie, rozmawiając z każdym *dobrowolcem*, ochotnikiem: czego chcę w zamian? Oto moja odpowiedź: niczego. Jesteście zawodowcami, zrozumiecie. – Zabrzmiało to jak rozkaz.

Nate zerknął na Gable'a. Zemsta i rozbuchane ego. Zapanować nad pierwszym, dokarmić drugie. Czas? Dwadzieścia minut. Ustalić szczegóły następnego kontaktu, wybrać dyskretne miejsce, które można będzie dobrze zabezpieczyć. I wyprowadzić generała z ambasady.

– Spotkamy się za dwa dni – dodał Sołowiow, wskazując Nate'a. – Pan i ja. Chcecie sprawdzić moją *dobrosowiestnost'*, moją uczciwość. Dlatego przekażę wam parametry operacyjne SU-57 PAK FA, T-50, naszego samolotu myśliwskiego piątej generacji, łącznie ze szczegółami konstrukcyjnymi krawędzi natarcia skrzydła. Wy niczego takiego nie macie.

I rzeczywiście. W deszczowy wieczór dwa dni później, na błotnistej ścieżce w parku w Filotei, nowy amerykański kret o świeżo przydzielonym kryptonimie Liryk przekazał CIA wszystkie obiecane informacje.

Od wstąpienia do CIA Nate zdążył poznać całe łajdactwo współczesnej Rosji, a zwłaszcza rozpasanej Służby Wywiadu Zagranicznego, SWR, wynaturzonej następczyni KGB. Tym, co podsycało kremlowską kleptokrację, co ją motywowało, nie była ani chęć przywrócenia Związku Radzieckiego, ani sianie

na świecie strachu przed odrodzoną Armią Czerwoną, ani uprawianie polityki zagranicznej w oparciu o potrzeby bezpieczeństwa wewnętrznego. Nie, w dzisiejszej Rosji chodziło jedynie o utrzymanie *nadziratieli*, nadzorców, o ochronę ich władzy, możliwość dalszego łupienia dziedzictwa narodowego. Nate pragnął pomścić Marmura i zniszczyć przeciwnika, odebrać mu władzę.

Nate miał czarne włosy, proste brwi i był średniego wzrostu. Był także szczupły, bo na studiach pływał w drużynie uniwersyteckiej. Jednak koledzy i znajomi z college'u zapamiętali przede wszystkim jego ruchliwe brązowe oczy, które potrafiły czytać z twarzy i oceniać gesty, i które zwężały się po rozszyfrowaniu rozmówcy. Na ulicy oczy te patrzyły przed siebie, obserwując jednocześnie to, co działo się na skrzydłach, wykrywając anomalie, zanim te zdążyły się rozwinąć. Podczas ćwiczeń inwigilacyjnych w CIA jego instruktorzy zauważyli – początkowo ze sceptycyzmem, potem z aprobatą – że Nate nigdy się nie wyłącza. Czy to Waszyngton, czy kipiący życiem bulwar europejskiego miasta, doskonale wyczuwał tętno ulicy i znakomicie wtapiał się w tłum, co przekraczało możliwości wyższych, tyczkowatych czy rudowłosych.

Oprócz strachu przed porażką – mimo symptomatycznych sukcesów u zarania kariery – nieustannie towarzyszyło mu niezłomne postanowienie, że nigdy, przenigdy nie wróci na łono rodziny w Richmond w stanie Wirginia, do ojca, braci i dziadka, tych gburowatych, patriarchalnych, bezpardonowych w rywalizacji prawników. Żaden nie zachęcał go do wstąpienia do CIA, za to wszyscy byli zgodni co do tego, że za kilka lat Nate wróci, by rozpocząć staż w rodzinnej kancelarii prawniczej. Nie wyobrażał sobie pigułki bardziej gorzkiej niż zerwanie z CIA i powrót do domu.

Lecz chociaż stal stawała się coraz ostrzejsza, choć skupiając się na tajnych operacjach, nabierał coraz większego doświadczenia, wciąż tkwiło w nim coś, co nie chciało go opuścić: bolesna tęsknota. Minęło ponad dziewięć miesięcy, odkąd Diva wróciła do kraju. Wściekła, że ją zmanipulowano i zmuszono do wymiany szpiegów w Estonii, nie zgodziła się na podjęcie współpracy. Nie było tygodnia ani dnia, żeby Nate się tym nie zadręczał, wciąż czekając, aż Dominika da znak życia. Cierpliwie czekała także kwatera główna CIA z nadzieją, że Diva zmieni zdanie i wyjechawszy służbowo za granicę, zadzwoni do nich, uruchamiając alarm w ogólnoświatowym systemie telefonicznym Sentry. Gdyby zadzwoniła, natychmiast wysłano by do niej agentów, do każdego miasta, jakie by tylko wybrała. Ale telefon milczał. Diva się nie odzywała i nikt nie wiedział, czy wciąż pracuje tam, gdzie pracowała, czy siedzi w więzieniu i czy w ogóle żyje.

Zaraz po werbunku Nate popełnił niewyobrażalne wprost wykroczenie, idąc z nią do łóżka. Zaryzykował wszystko. Rzucił na szalę jej życie, życie swojej agentki. Karierę zawodową, która zapewniała mu niezależność, pracę, która go określała. Ale oślepiły go jej niebieskie oczy, wybuchowy temperament i lekko drwiący uśmiech. Jej ciało, ciało baletnicy, było niezrównane i wrażliwe. Szanował i podziwiał jej miłość do ojczyzny, jej gniew na żądnych władzy polityków i oligarchów. I wciąż pamiętał, jak wymawiała jego imię: *Niejt*.

Kochali się niecierpliwie, agresywnie, łapczywie i z poczuciem winy. Jako zawodowi oficerowie wywiadu oboje wiedzieli, że popełniają kardynalny błąd. Dominika miała to oczywiście gdzieś. Była kobietą i pragnęła go, nie bacząc na związek, jaki powinien łączyć prowadzącego i agentkę. Natomiast on nie mógł – nie chciał – wejść w taki układ, bojąc się o swoją pozycję i bezpieczeństwo operacji. Oboje dostrzegali

wynikający z tego paradoks: skrępowana przepisami Rosjanka wykazywała większą chęć do złamania obowiązujących reguł i zaspokojenia namiętności niż swobodny, bezpośredni i wyluzowany Amerykanin.

Tymczasem jednak, przynajmniej do chwili kiedy okaże się, że Dominika żyje, Nate miał pod opieką nowego Rosjanina.

Zsunął się kamienistym zboczem w kłębach pyłu i zaklął. W butach miał pełno piachu. Znajdował się w karłowatym sosnowym lesie w okolicach greckich Meteorów, wysokich na setki metrów skalnych monolitów, z których najwyższe były domami dla przysadzistych klasztorów. Spojrzał na kompas w talonie, urządzeniu wielkości niewielkiego tabletu, który Dyrektoriat Nauki i Techniki przekazał niedawno wybranym rezydenturom, i skręcił w lewo, na skos między drzewa. Na świecie używano obecnie jedynie sześciu talonów i chłopcy z DNT przysłali jeden do Aten ze względu na superciężką wagę agenta, którego prowadził. Za siedemset metrów miał przeciąć górski strumień – turkusowomleczny i bystry – i iść jego brzegiem przez kolejne sto.

Za ostrym zakrętem strumienia zobaczył człowieka, dla którego pokonał trzysta kilometrów i zaliczył gigantyczną trasę sprawdzeniową. Trzy samochody i dwa przebrania później ubezpieczający go agenci z kontrwywiadu zameldowali, że jest czysty. Z oczami piekącymi od kolorowych soczewek, dziąsłami bolącymi od rozpychających policzki wkładek i głową swędzącą od peruki à la Elvis Presley, zdjął ostatnie przebranie, porzucił samochód i próbując się skupić, ruszył piechotą na miejsce spotkania. Cuchnący „przechodzień”, generał lejtnant Michaił Nikołajewicz Sołowiow z rosyjskiego wywiadu wojskowego,

GRU, obecnie kryptonim Liryk, stał z wędką na drugim brzegu strumienia. Ze zwisającym w kąciku ust papierosem nie dał po sobie poznać, że go zauważył, i spokojnie łowił ryby. Przeklinając i czując się jak nowicjusz na pierwszej misji, Nate poszukał wzrokiem płycizny, którą mógłby się do niego dostać, i powoli, ostrożnie, wszedł na śliskie kamienie.

Liryk przestał zarzucać wędkę i obserwował jego poczynania z naburmuszoną dezaprobatą. Wysoki i sztywny jak kołek, miał okrągłą głowę, wysokie czoło, zaczesane do góry rzadkie siwe włosy i prosty nos. Miał także małe, cienkie, ironicznie wykrzywione usta, miękkie i ściągnięte, zupełnie niepasujące do sztywnego dwugwiazdkowego generała. Kiedy Nate wygramolił się na brzeg, Sołowiow wyjął papierosa z ust, wykruszył żarzący się koniuszek i rozgniótł go butem. Króciutki niedopałek i filtr schował do kieszeni z nawyku wyrobionego podczas tysiąca inspekcji na placu defiladowym.

Następnie zerknął na zegarek – na drugim spotkaniu zaproponował, żeby zsynchronizowali czas, ale Nate pokazał mu zegar na talonie, zsynchronizowany z atomowym zegarem w Boulder w Kolorado, który pokazywał dwadzieścia cztery międzynarodowe strefy czasowe i spóźniał się dwie sekundy na dziesięć lat. Generał gniewnie fuknął i od tej pory nie wspominał już o zegarkach.

– Gdyby nie przyszedł pan w ciągu najbliższych pięciu minut – zaczął po rosyjsku – zrezygnowałbym ze spotkania. – Mówił głębokim, dźwięcznym basem prosto z piersi.

– *Towariszcz gienierał*, cieszę się, że pan zaczekał – powiedział Nate płynną ruszczyzną, wiedząc, że ten wciąż popularny w wojsku sposób zwracania się sprawi mu przyjemność. Wiedział także, że Liryk czekałby na niego pół nocy. – Na tym odludziu traci się poczucie czasu.

– To odludzie gwarantuje bezpieczeństwo i ma znakomite trasy dojazdowo-ewakuacyjne. – Generał odłożył wędkę. To właśnie on zaproponował spotkanie w pobliżu Meteorów.

– *Konieczno*, oczywiście – odparł Nate, nie chcąc urazić starego żołnierza. Agenta trzeba nieustannie zadowalać, zachęcać go do mówienia. Niedbałym ruchem postukał palcem w ekran talonu, włączając nagrywanie. – Cieszę się, że znalazł pan czas na spotkanie. Bardzo doceniamy pańskie wyjątkowe spostrzeżenia. – Rozbuchane ego generała, latami podsycane przez sowiecką fanfaronadę i słowiańską pewność, że wróg stoi u bram, a cudzoziemcy cały czas knują przeciwko *rodinie*, było nie do naruszenia. To właśnie o te ksenofobiczne skały rozbiła się waszyngtońska polityka „resetu" z Moskwą, nieważne, że Departament Stanu po rosyjsku napisał ten wyraz z błędem.

– Cieszę się, że pańscy zwierzchnicy uznali moje informacje za użyteczne – powiedział gderliwie generał. – Choć myślę, że czasem ich nie doceniają. – Nate nie pierwszy raz zauważył, że Liryk zdaje się pomijać fakt, iż zgłosił się do CIA z własnej woli, że był „przechodniem".

Przedwieczorne słońce wisiało tuż nad lasem. Usiedli nad strumieniem, patrząc, jak promienie igrają w spienionych bystrzach. Generał, stary traper, wyjął z plecaka mały pakunek, rozwinął gruby papier i pokazał mu kilkanaście kawałków jagnięciny, które kupił u rzeźnika w pobliskiej wiosce – na mięsie leżały dwie gałązki dzikiego oregano. Wstał, zebrał trochę suchego drewna i liści na podpałkę, po czym na oczach zafascynowanego i zachwyconego Nate'a skrzesał snop iskier i rozpalił małe ognisko.

– Zestaw polowy GRU – rzucił, podając mu stalowe krzesiwo. – Najlepsze. Magnezowe.

Nadział mięso na patyczki, wcisnął w nie obrane z gałązek listki oregano i podał szaszłyk Nate'owi. Piekli mięso nad

ogniem, śmiejąc się i próbując nie poparzyć palców. Kiedy skwierczące mięso porządnie zbrązowiało – generał obejrzał jego szaszłyk krytycznym okiem – zaczęli jeść, polewając je sokiem z cytryny i przegryzając surową cebulą.

– Na urlopie piekłem takie dla moich dzieci. – Liryk obrócił swój szaszłyk i odgryzł kawałek jagnięciny. – A teraz jem z panem, to miło. – Wbił wzrok w ogień.

Nate uświadomił sobie, że łączący ich związek karmi się nie tylko nienawiścią, jaką generał żywi do rosyjskiego bestialstwa. Był czymś więcej niż zwykłą operacją wywiadowczą, więcej niż początkiem bezcennej współpracy, która miała otworzyć im dostęp do moskiewskiego skarbca technologii wojskowych. Stary generał szukał kontaktu z ludźmi i pragnął troskliwej uwagi. Miał potrzeby metafizyczne i wyciskając go niczym cytrynę, CIA musiała je zaspokoić. Przetrwa czy skończy jak Korcznoj? – pomyślał. Zalała go fala wspomnień i zacisnął zęby, przyrzekając sobie, że zrobi wszystko, aby zapewnić Lirykowi bezpieczeństwo.

– Znajomość z panem to dla mnie zaszczyt, panie generale – powiedział. – Dopiero zaczynamy naszą współpracę, ale początek był niesamowity.

– W takim razie do roboty. – Liryk wyprostował się, unikając jego wzroku. – Niech pan włączy tę piekielną maszynę.

Usiedli na kłodzie drewna i zaczął mówić. Mówił non stop, niepowstrzymanie, poruszając szeroki wachlarz tematów, sypiąc szczegółami dokładnie zapamiętanymi i starannie ułożonymi, głosem niskim i wyważonym. Uniesieniem palca czy brwi podkreślał najistotniejsze aspekty, czasem wdając się w dygresje osobiste obnażające smutnego, samotnego starca, choć tylko na chwilę, bo zaraz znów prostował się jak struna i stawał wyniosłym generałem.

Nate dziękował Bogu za talon, którego trzymał na kolanie – robiąc notatki, za nic by za nim nie nadążył. Liryk był nowym agentem, więc niech gada, niech peroruje do upadłego. Mówił zresztą bezcenne rzeczy: transfer technologii wojskowych, badania nad sterowaniem wektorami ciągu, nowy, niewykrywalny dla radarów samolot myśliwski PAK FA, sterowane radarem rakiety BUK SA-11 używane przez ukraińskich separatystów. Pentagon przygotowywał już zestawy konkretnych pytań i Nate wiedział, że kiedy przyjdzie czas, będzie musiał złamać stalową dumę generała, przekłuć rozdęty balon ego i wycisnąć z niego interesujące ich szczegóły.

– Pana przełożeni z Langley muszą planować z wyprzedzeniem – pouczał go Liryk. Zapalił papierosa i trzasnął pokrywką zapalniczki. – Bo na razie tylko się cieszą i pławią w zalewie moich informacji. Szukają uznania i mizdrzą się przed lustrem. Są podekscytowani, chcą jak najszybciej znormalizować przetwarzanie zdobytych danych, zastanawiają się, jak poprowadzić nowego agenta. – W zadumie przekrzywił głowę i umilkł.

– Tak – dodał po chwili – Langley będzie podejmowało próby przejęcia kontroli, ale pan i pański szef z ateńskiej rezydentury powinniście je ukrócić. Jeśli brakuje panu amunicji, może pan im powiedzieć, że agent – à propos: jaki daliście mi kryptonim? – nie chce współpracować z prowadzącymi z Waszyngtonu. Ma pan moją zgodę, tylko niech pan im nie mówi, że chcę rozmawiać tylko z panem, bo to oczywisty znak, że prowadzący zmyśla i kombinuje. Niech pan po prostu powie, że będę rozmawiał wyłącznie z przedstawicielami miejscowej rezydentury, ludźmi doskonale wprowadzonymi w temat. – Spojrzał na Nate’a jak Scrooge na swojego buchaltera.

– Jestem pana prowadzącym – zauważył Nate. – I poznał pan już wiceszefa naszej rezydentury, który w razie czego może

mnie zastępować.

– Szkoda tylko, że nie zna rosyjskiego – prychnął generał, strzepując popiół z rękawa.

– Jestem pewien, że Gable bardzo nad tym boleje, tak jak pan nad słabą znajomością angielskiego. – Nadeszła pora przyhamować – lekko, leciutko – spuścić trochę powietrza z balonu ego.

Generał przeszył go bez słowa wzrokiem, uśmiechnął się słabo i kiwnął głową. *Wsio poniatno*. Okazano sobie wzajemny szacunek, karta w spisie reguł obowiązujących agenta i prowadzącego została przewrócona.

– A mój kryptonim? – spytał, znów zmieniając się w mrukliwego szpiega.

– Bogatyr – skłamał Nate, nie mając zamiaru zdradzać mu prawdziwego. Bogatyr, rycerz ze słowiańskich legend, urodził się na stepach w pobliżu Niżnego Nowogrodu, tak jak generał.

– Ładny, podoba mi się. – Liryk zgasił papierosa i schował niedopałek do kieszeni.

– Co to za bałach? – mruknął Gable.

On, Nate i szef rezydentury Tom Forsyth siedzieli w „klatce”, dźwiękoszczelnym, zabezpieczonym przed podsłuchem elektronicznym pomieszczeniu, pochylając się nad stołem, na którym leżał podłączony do laptopa talon.

– Bogatyr to taki rosyjski samuraj – odparł Nate, który tłumaczył im właśnie najważniejsze fragmenty dwugodzinnego spotkania z Lirykiem. – Generał uważa się za bohatera. Wymyśliłem to na poczekaniu.

Gable pokręcił głową.

– Dobra – powiedział Forsyth, wybiegając myślą pięć kroków do przodu. – Dogadzaj mu, niech mówi. Oficer tej rangi może być trudny do prowadzenia. Tu trzeba delikatnej równowagi. Langley szaleje. Wywiad potwierdził wszystkie dane osobowe, Sołowiow to autentyk. Chłopcy z Sił Powietrznych przejrzeli jego informacje i mają teraz mokre sny.

Kiedy Forsyth mówił, Nate słuchał. Wiedział, że szef ma na koncie tyle samo spektakularnych sukcesów, co Gable, były to jednak sukcesy innego rodzaju. Podczas gdy Gable zabijał węże łyżką do opon, on pił wino w Warszawie ze znaną rosyjską aktorką, a przy okazji kochanką admirała Floty Północnej, która korzystając z jego łazienki, sfotografowała dokumenty opisujące stan gotowości bojowej sowieckich okrętów oraz roczne plany ich rozmieszczenia. Kilka miesięcy przedtem Forsyth dał jej tessinę, mieszczący się w dłoni aparat, a ona, w drodze do Warszawy, przemyciła mikrokasetę ze zdjęciami, wkładając ją do prezerwatywy i ukrywając tam, gdzie szukałby jej tylko wyjątkowo bystry ginekolog. Forsyth przyjął tę metodę z otwartymi ramionami i aplauzem. On i Gable – obydwaj mieli wywiad we krwi i obydwaj wiedzieli, o czym mówią.

Dla spostrzegawczego Nate'a łączące ich stosunki były pragmatycznym sojuszem wykutym podczas wieloletniej współpracy. Forsyth był szefem, lecz nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby Gable'owi rozkazywać. Gable wiedział, co ma robić i bez tego: jeśli się z czymś nie zgadzał, po prostu mówił, że się nie zgadza, po czym bez szemrania wykonywał polecenie. Godził się z tym, że Forsyth ma go czasem za nietaktownego gbura, choć obydwaj wiedzieli, że ten sam genialny Forsyth kilka razy wpakował się w poważne biurokratyczne kłopoty, mówiąc to, co myśli, jak choćby podczas pamiętnego spięcia z członkinią Kongresu, która odwiedziła ich rzymską rezydenturę w czasie letniej przerwy, kiedy to nie mogli opędzić

się od „delegacji służbowych”, a tak naprawdę krajoznawczych wycieczek na koszt amerykańskiego podatnika. Ponieważ paniusia spóźniła się na odprawę trzy godziny, spojrzał wymownie na sześć toreb z zakupami u Gucciego, Fendiego i Ferragama, które wniósł do sali jej szef sztabu, po czym to wytknął. Gable’a wtedy nie było – na szczęście – ale Forsyth siedział potem przez rok na ławce kar.

Nate widział, że się wzajemnie szanują i są lojalni, domyślał się także, że łączy ich szorstka męska przyjaźń. Forsyth osłaniał Gable’a, Gable Forsytha, czytali sobie w myślach i rozumieli, co jest najważniejsze: działalność operacyjna, która leżała u podłoża wszystkiego, co robili. Dosłownie wszystkiego. Nate tego nie wiedział, ale podczas odprawy u głównego szefa kontrwywiadu Simona Benforda pokłócili się z nim o jego zażyłość z Dominiką. Według agencji był to grzech śmiertelny, kardynalne pogwałcenie przepisów: wszyscy ci, którzy się tego dopuścili, sypiając ze swoimi agentami czy agentkami, zostali wydaleni ze służby. Forsyth krzyczał, Gable groził, Benford szalał i w końcu przekonali go, że warto Nashowi odpuścić. Ale nie dlatego, że bezbłędnie prowadził Marmura, Divę i Liryka, ani dlatego, że dostrzegli w nim wyjątkowo utalentowanego oficera operacyjnego: jako starzy weterani doszli po prostu do wniosku, że dla większego dobra warto jest przymknąć oko na jego występek. Jednak nigdy by mu tego nie powiedzieli.

Nagranie z talonu przerwał nagle kobiecy krzyk, a właściwie trzy następujące po sobie krzyki, głośne, ostre i piskliwe.

– Co to, kurwa, jest? – spytał Gable, gdy zagłuszyły głos generała.

– Dwa pawie – wyjaśnił Nate. – Wyszły z lasu i zaczęły wrzeszczeć. Wystraszyliśmy się jak cholera.

– Pawie! Dobry Boże.

Forsyth wybuchnął śmiechem.

– Lepiej uprzedź tych z Langley, bo pomyślą, że zabrałeś na spotkanie jakąś kobietę.

– Niezły pomysł, tylko skąd by ją wytrzasnął? – rzucił Gable.

Zbierali już papiery, gdy kazał Nate'owi usiąść. Forsyth cierpliwie czekał z ręką na klamce dźwiękoszczelnych drzwi. Poza akrylowymi ścianami „klatki" nie rozmawiali o Liryku ani o sprawie, nie wymieniali nawet jego kryptonimu. Bez żadnych wyjątków: tak nakazywały moskiewskie zasady operacyjne. Nazwisko generała krążyło już skategoryzowanymi, ściśle tajnymi kanałami w Langley. Dostęp do jego depeszy miało nie więcej niż pięćdziesiąt osób.

– Z bólem przyznaję, że odwaliłeś kawał dobrej roboty – powiedział Gable.

Nate poruszył się nerwowo na krześle. Marty nie prawił nikomu komplementów.

– Gdyby nie ty, wyrzuciłbym tego zarzyganego pijaka za drzwi – ciągnął Gable. – Poszedłeś za głosem instynktu, uwierzyłeś przeczuciom i mamy teraz żyłę złota na tapecie. Dobra robota.

Stojący przy drzwiach Forsyth z uśmiechem skinął głową.

– Teraz pora na precyzję i skupienie – dodał Gable. – Masz go przenicować jak kelnerkę z Wientianu.

– Jak kelnerkę… Chyba nie rozumiem.

– Nieważne, wytłumaczę ci to, kiedy zdasz maturę.

– Nie mogę się doczekać.

– Co nie znaczy, że możesz się obijać – przestrzegł go Gable – pracować na patataj. Zwłaszcza na początku tury. Pierwsza samodzielna kupa dopiero przed tobą. Pamiętaj, że mam cię na oku.

Forsyth stłumił śmiech.

– Nate, Marty chce ci chyba powiedzieć, że cię lubi. – Otworzył drzwi.

– Dobry Boże… – szepnął Nate.

Chwila ciszy i na korytarzu rozbrzmiał głośny śmiech szefa ateńskiej rezydentury.

W Helsinkach Gable uważnie obserwował młodego Nate’a. Regularnie kopał go w tyłek i udzielał cennych lekcji: zawsze kryj swojego agenta, nigdy nie ufaj tym ciastkożernym urzędasom z Langley, podejmuj trudne decyzje operacyjne i nie przejmuj się tą zasraną polityką.

Gable miał pięćdziesiąt kilka lat, pobrużdżoną, kościstą twarz, obcięte na jeża siwe włosy, niebieskie oczy i ostry, prosty nos. Nosił browninga HP przy pasie firmy Bianchi i swego czasu szalał na całego we wszystkich zaściankowych stolicach krajów Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji. Na równiku werbował spoconych i gadatliwych ministrów, w Ugandzie pił z nimi whisky w rozgrzanym do białości land roverze. W Birmie, z papierem toaletowym w ręku, wypatrywał błękitnołuskich grzechotników, przesłuchując czterogwiazdkowego generała, podczas gdy ten – dotknięty dyzenterią – kucał w wysokiej trawie. W tropikalnej ulewie wyprowadził swojego agenta z andyjskiej dżungli – po pierwszej w historii udanej próbie spenetrowania Świetlistego Szlaku, kiedy sprawy poszły źle.

Każdy z nich, spokojny Forsyth, krewki Gable i rezolutny Nate, był zrobiony z innego tworzywa i miał inny temperament, lecz według CIA, która tradycyjnie nie zwracała na to uwagi, tworzyli zgrany zespół ludzi związanych trudami operacyjnymi i braterstwem zrodzonym z pracy w tajnym świecie wywiadu. A teraz Nate dostał przydział do Aten i znowu byli razem. Wszyscy z wyjątkiem Dominiki, z którą nie mieli kontaktu i której losu nie znali.

Nate, młody oficer CIA, pozyskał ją w Helsinkach – olbrzymi sukces u progu kariery – pod czujnym okiem Gable'a. Dlatego ten szybko zauważył, że do czegoś między nimi doszło. I dostał szału.

– Czyś ty, kurwa, zwariował? – wrzeszczał. – Narażasz jej życie, życie swojej agentki!

Nate próbował zaprzeczać, lecz Marty go uciszył.

– Ani mi się waż! – ryknął. – Masz ją chronić, ale nie dlatego, że ją kochasz, ani dlatego, że tak każą przepisy. Masz ją, kurwa, chronić, bo zgodziła się dostarczać ci informacji, bo powierzyła ci swoje życie. Dlatego musisz poświęcić wszystko, żeby przeżyła. Nie ma nic ważniejszego.

Słowa te przypominały się Nate'owi, ilekroć o niej myślał.

Wysoki, chudy Forsyth, ówczesny szef rezydentury w Helsinkach – też około pięćdziesiątki, mocno zarysowany podbródek i siwe, rzedniejące włosy, wiecznie rozczochrane przez okulary do czytania, które nosił na czubku głowy – zgodził się ze swoim chętnym do bitki zastępcą. Ale w przeciwieństwie do niego wezwał Nate'a do swojego wyłożonego boazerią gabinetu i odprawił tam godzinną mszę z kazaniem tak błyskotliwym i pełnym niuansów, że Nate ani razu nie poruszył się na krześle. Ochrona przepływu zdobytych informacji jest twoim świętym obowiązkiem, mówił, to właśnie dlatego jesteś oficerem operacyjnym. Więc jeśli nie potrafisz zapanować nad żądzami, cóż, może nadeszła pora, żebyśmy porozmawiali o tym, co chciałbyś robić przez resztę życia? Nie śmiejąc odetchnąć, Nate spojrzał na ręce i podniósł głowę, niemo prosząc o głos.

– Tom, a co jeśli to ona chce ze mną być, jeśli będzie dzięki temu lepszą agentką?

Forsyth poprawił okulary.

– Zaspokajanie potrzeb informatorów nie jest niczym nowym – odparł. – Kilku dawaliśmy heroinę, żeby tylko nie zerwali kontaktu. Pamiętam pewnego uzależnionego od pornografii chińskiego ministra, który zaczynał mówić dopiero wtedy, kiedy puszczaliśmy mu film. I buty, dziesiątki pudełek butów dla żony indonezyjskiego prezydenta. Chryste, baba przymierzała dosłownie wszystkie, para po parze, a ja klęczałem na podłodze z łyżką. Ale niezupełnie o tym mówimy. – Obrócił się z fotelem w jego stronę.

– Milion lat temu, podczas mojej pierwszej tury, zwerbowałem szyfrantkę z czeskiej ambasady w Rzymie, słodkie, nieśmiałe maleństwo. Nie mogła wychodzić do miasta sama. Szyfrantkom zawsze ktoś towarzyszył, jej – starsza kobieta, żona pracownika ambasady. Mieliśmy tam wsparcie pewnego młodego Włocha, który pracował w sklepie ze sprzętem stereo, ale wyglądał jak gwiazdor filmowy. W pół roku uwiódł tę starszą, więc gdy w sobotę po południu wychodziły na spacer, ta, zapominając o naszym kwiatuszku, czym prędzej pędziła Via Veneto do jego mieszkania. A na kwiatuszka czekałem ja. Trwało to kolejne pół roku, ale w końcu zaczęła przynosić mi kopie depesz, szczegóły dotyczące ich wywiadu, kontrwywiadu, korespondencję z Moskwą, niezłe materiały z bloku wschodniego… Langley wtedy za tym szalało. Zimna wojna, kurwa.

– Jak ją zwerbowałeś? – spytał Nate. – Widać, że była przerażona.

Forsyth odwrócił się z fotelem.

– Trochę to trwało. Dużo spacerowaliśmy po parku. Musiałem sto razy wysłuchać opowieści o jej starszym bracie w wojsku. Potem zaczęła opowiadać o swoim życiu, o marzeniach… Chryste, miała dopiero dwadzieścia cztery lata. Kiedy zaczęła opowiadać o swojej pracy w ambasadzie,

o księgach szyfrów, sprawa była załatwiona. Mój pierwszy werbunek. Ale nic z tego nie wyszło.

Nate czekał, Forsyth jeszcze nie skończył.

– Oboje byliśmy bardzo młodzi. W końcu poszliśmy do łóżka, tak to przypieczętowałem. – Szef rezydentury patrzył na niego bez mrugnięcia okiem. – Darzyłem ją szczerym uczuciem, ale wmówiłem sobie, że zakochana dziewczyna może zrobić dużo więcej. Zaangażowałem się emocjonalnie i przestałem uważać. A ona chciała zrobić mi niespodziankę i przynieść rolkę tajnej taśmy. Zatrzymali ją, kiedy wychodziła z ambasady. Kochanka sklepowego Romea wszystko mu opowiedziała. Czesi odesłali ją do domu, może do więzienia, może skończyła jeszcze gorzej. Już się tego nie dowiedzieliśmy.

Nate milczał. Na bulwarze roztrąbiły się samochody.

– Mój ówczesny szef mnie nie wyrzucił – dodał Forsyth – i dwadzieścia lat później ja nie wyrzucę ciebie. Ale… – Patrzyli na siebie dziesięć sekund, wreszcie wskazał drzwi. – Idź i rób swoje. Strzeż Divy. Prowadź ją jak na zawodowca przystało. W ostatecznym rozrachunku to twoja i tylko twoja decyzja.

SZASZŁYK LIRYKA

Jagnięcinę kroimy w małą kostkę i marynujemy w zalewie z soku cytrynowego, oregano, oliwy z oliwek, soli i pieprzu. Nadziewamy mięso na patyczki i pieczemy nad ogniem, aż zbrązowieje i stanie się chrupiące. Smarujemy grubo gęstym jogurtem. Podajemy z cebulą i sałatką z ogórka.

4

Pułkownik Aleksiej Ziuganow nie zamierzał walczyć o lojalność Jegorowej, zresztą był na to zbyt prymitywny. Relacje osobiste się nie liczyły. Nikt nie znał jego wczesnej przeszłości, nikt nie wiedział nic o jego dzieciństwie. Jego ojciec, prominentny *apparatczik*, zniknął na początku lat sześćdziesiątych, pod koniec okresu czystek Chruszczowa. Matka, Jekatierina Ziuganowa, była znaną postacią w starym Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego. Zasiadała w Radzie Wykonawczej, potem była przedstawicielką KGB w Sekretariacie Komitetu Centralnego, w końcu trafiła do kolegium. Niska, piersiasta, o fanatycznie zaczesanych do góry włosach, miała wąsik i z dumą nosiła Ordien Krasnoj Zwiezdy, Order Czerwonej Gwiazdy, który nadano jej „za wkład w umacnianie siły obronnej Związku Radzieckiego w czasie wojny i bezpieczeństwa państwowego w czasie pokoju” – do chwili, aż obnoszenie się z czerwonym, ceramicznym świecidełkiem przestało być modne.

Dziewiętnastoletni Aleksiej trafił do służby dzięki jej protekcji, jednak podczas wykonywania pierwszych prostych zadań nie zrobił dobrego wrażenia wśród biurokratycznej *wierchuszki*. Wybuchowy, czasem nierozważny i skłonny do gwałtownych napadów paranoi, nie miał czego szukać w KGB: wszyscy o tym wiedzieli, jednak instynkt samozachowawczy powstrzymywał przełożonych przed złożeniem wniosku o wyrzucenie go z pracy. Nikt nie śmiał wystąpić przeciwko

Madame Ziuganowej, która chroniła syna z zaciekłą determinacją. I nagle Aleksiej zniknął z korytarzy kwatery głównej: mamusia znalazła w końcu coś, do czego miał wybitne kwalifikacje.

Został czwartym podkomendantem więzienia na Łubiance. Tytuł i stanowisko były jak najbardziej oficjalne, jednak na tyle nijakie i nic niemówiące, że nie wzbudzały żadnego zainteresowania, poza tym nie pociągały za sobą konieczności papierkowej roboty. W rzeczywistości jednak Ziuganow dołączył do niewielkiego personelu współczesnych śledczych z Łubianki, specjalistów od *czornoj raboty*, ekspertów od likwidacji, egzekucji i tortur. Ludzie ci byli spadkobiercami *komandantury*, departamentu NKWD, Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, narzędzia stalinowskich czystek, które likwidowało rosyjskich białych emigrantów, starych bolszewików i trockistów, i które wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego roku w ciągu dwudziestu ośmiu dni rozstrzelało siedem tysięcy polskich więźniów w lesie pod Katyniem. Po czterech latach służby awansował na drugiego egzekutora Łubianki, a kiedy ten pierwszy, jego patron i protektor, popełnił błąd, Ziuganow z lubością wpakował mu kulę pod prawe ucho. Nareszcie znalazł dom.

Rozpad Związku Radzieckiego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku zakończył erę niekontrolowanej mokrej roboty. Część KGB przekształciła się w SWR; więzienie w podziemiach Łubianki zamknięto, a jej gmach przejęła Federalna Służba Bezpieczeństwa, FSB. Jako wybitny specjalista Ziuganow mógłby przejść do V Zarządu SWR, który wciąż kolokwialnie nazywano *otdiełom mokrych dieł*, wydziałem mokrej roboty, ale jego matka, Jekatierina, znała się na rzeczy i chciała zapewnić mu lepszą przyszłość. Przeszła już na emeryturę i w nagrodę za pełną poświęceń

pracę dla *rodiny* dostała mało ważną, lecz ciepłą posadkę doradczyni politycznej paryskiego *riezidienta*. Jej ostatnim poleceniem służbowym było przeniesienie Aleksieja do Zarządu KR i awansowanie go na trzeciego zastępcę. Tam jej ukochany synek sadysta mógł być bezpieczny i spokojnie piąć się po szczeblach kariery. Nic więcej nie mogła dla niego zrobić.

Psychopatyczny brak zdolności do współczucia, połączony z wrodzoną agresją podsycaną przez sadyzm i zaprawiony całkowitym brakiem empatii, miał niezwykle pozytywny wpływ na jego karierę zawodową w podziemnym więzieniu. Z nastaniem postsowieckiej Rosji złote dni Łubianki, kiedy to egzekutor miał ręce pełne roboty, niestety minęły. Jednak sprawy przybrały trochę lepszy obrót, kiedy prezydentem został Władimir Władimirowicz Putin. Widowiskowe operacje zagraniczne – Juszczenko na Ukrainie, Litwinienko i Bieriezowski w Wielkiej Brytanii – skutecznie uciszyły hałaśliwych wygnańców, a sprawiających kłopoty miejscowych dziennikarzy i aktywistów – Politkowską, Estemirową, Markiełowa i Baburową – sprawnie zlikwidowano. Ale na każdą z tych głośnych akcji przypadało kilkanaście dużo mniejszych pluskiew, które także trzeba było rozgnieść: zbyt niezależnych prowincjonalnych zarządców, cywilnych logistyków wojskowych, którzy nie chcieli płacić haraczu Moskwie, czy przemądrzałych oligarchów, którym trzeba było przypomnieć, jak funkcjonuje współczesna Rosja. Prędzej czy później wszyscy oni poznawali podziemia medycznego skrzydła więzienia w Lefortowie lub na Butyrkach.

Podejrzani trafiali do Ziuganowa po długich przesłuchaniach w prokuraturze, gdzie stanowczo odrzucali wymyślone na

poczekaniu oskarżenia o oszustwo, przekupstwo czy unikanie podatków. I wtedy zaczynały się prawdziwe kłopoty. W Jasieniewie szeptano, że wciągnąwszy do płuc pierwszy haust smrodliwego powietrza bijącego z lepiących się od brudu rur ściekowych w swoim podziemnym królestwie, pułkownik Ziuganow bardzo się zmieniał – dosłownie i w przenośni – i od tej chwili przesłuchiwał oskarżonych osobiście, ale tylko pod warunkiem, że włoży najpierw swoją ulubioną czerwonoarmijską kurtkę od munduru polowego, upstrzoną brązowymi plamami, sztywną od zaschniętej, łuszczącej się krwi i cuchnącą płynami ustrojowymi, opłucnym, ocznym i mózgowym, z którymi niechętnie rozstawali się wrogowie ojczyzny.

Wszyscy ci ludzie byli już winni – pułkownik tak bardzo chciał zadać im ból, że niemal czuł jego smak, że z niecierpliwości kręciło mu się w głowie – a on miał tylko oficjalnie potwierdzić, że tak, dopuścili się *priswojenija*, malwersacji, *wziatoczniczestwa*, łapówkarstwa, *nizosti*, demoralizacji, *chuliganstwa*, wszystko jedno czego. Skłaniał ich do tego, dynamicznie podwyższając poziom dyskomfortu fizycznego, od pierwszego do trzeciego. Bywało – kiedy podejrzani go nie słuchali albo odmawiali współpracy – że odzyskiwał przytomność umysłu w chwili, gdy strażnicy wywozili z sali zmasakrowane ciało przykryte gumowym prześcieradłem. Nic nie mógł na to poradzić: narzędzia się czasem ześlizgiwały, naruszając tętnicę, a uwolnione skrzepy doprowadzały do opuchnięcia mózgu.

Bywało także, że podejrzany, który mógł być powodem publicznego wstydu czy ośmieszenia – choćby tylko hipotetycznie – sprzeciwiając się prezydentowi Putinowi, grożąc mu, psując mu szyki czy przeciwko niemu spiskując, stawał się osobą „niepożądaną”. Kremlowką, bezpośrednią linią

łączącą dyrekcję więzienia z Kremlem, przychodził wówczas zakodowany rozkaz, stare hasło WMN, pod którym kryły się trzy niezmieniające się od lat słowa: *wysszaja miera nakazanija*, najwyższy wymiar kary, dosłowny cytat z 58 artykułu kodeksu karnego Stalina. WMN znaczyło, że obywatel ma zniknąć i podczas przesłuchania Ziuganow może pójść na całość, czyli połamać mu kości i miednicę ciężką pałką – najlepszy był giętki stalowy pręt zbrojeniowy – a potem usiąść na niskim stołku u szczytu stołu, zbliżyć twarz do jego twarzy i przy wtórze agonalnych jęków patrzeć, jak oczy uciekają mu w głąb czaszki i jak na wyłożoną płytkami śliską podłogę spływają srebrzyste nitki jego śliny.

Przed rokiem, po przesłuchaniu *Czornych Wdow*, Czarnych Wdów, dwóch czeczeńskich terrorystek samobójczyń, miał kłopoty służbowe. Kobiety aresztowano, gdy wsiadały do autobusu w Wołgogradzie; pasy szahida na szczęście nie eksplodowały. Bezpośredni rozkaz z kremlowskiego sekretariatu odebrał pierwszeństwo Federalnej Służbie Bezpieczeństwa i na śledczego w tej sprawie z nazwiska wyznaczył pułkownika Ziuganowa, starego weterana KGB i egzekutora z Łubianki. Jego wypełnione bagienną wodą serce omal nie pękło z dumy: przecież nie mógł zawieść prezydenta.

Jako szef kontrwywiadu doskonale wiedział, jakich informacji potrzebuje najpilniej: musiał poznać nazwiska działających w kraju czeczeńskich separatystów, konstruktorów bomb oraz adresy ich miejskich kryjówek. Niecierpliwość, z jaką pragnął je zdobyć – bardziej po to, aby sprawić przyjemność swojemu przywódcy, niż po to, aby strzec i bronić ojczyzny – jeszcze mocniej wypaczyła jego już i tak zwyrodniałą duszę.

Na początku pierwszego etapu przesłuchania silniejsza z kobiet – śniada, szczupła, pełna życia Miedna – splunęła na

jego czerwonoarmijną kurtkę. Poważny występek, niesłychana bezczelność. Drzemiąca w jego trzewiach gadzia wściekłość natychmiast wezbrała i buchnęła ustami. Miedna była przywiązana do krzesła i zanim zdążył się opanować, zbyt mocno przekręcił żłobiony uchwyt garoty i zamiast dusić ją stopniowo i powoli, sznur ze słyszalnym pyknięciem zmiażdżył jej tchawicę, zablokował drogi oddechowe, co w trzydzieści sekund doprowadziło do cichej, sinej śmierci. Cholera, pomyślał Ziuganow. Jedno potencjalne źródło ważnych informacji taktycznych diabli wzięli. Ta suka go oszukała.

Druga Czeczenka, Zareta, była przerażona. Wspominała dzień, w którym do domu jej rodziców w Groznym przyszła kobieta w średnim wieku. Najpierw porozmawiała po cichu z matką, a potem zabrała ją do sypialni na godzinną rozmowę, fascynującą, hipnotyzującą i poruszającą. Tamto popołudnie było początkiem, myślała, a to będzie końcem. Przez kwaśno cuchnący kaptur na głowie usłyszała pisk gumowych podeszw na płytkach podłogi, a potem metaliczny trzask karabińczyka na drucie, którym związano jej z tyłu ręce. Z trzęsącymi się ze strachu nogami gwałtownie wciągnęła powietrze. Coś zaterkotało, jej ramiona powędrowały do góry, ścięgna zawyły z bólu i musiała się pochylić. Gdyby Ziuganow miał ochotę na małą pogawędkę, wytłumaczyłby jej, że *strappado* – podwieszanie – to bardzo stara metoda, którą stosowali już florenccy Medyceusze w tysiąc pięćset trzynastym roku. Ale pułkownik nie miał czasu na pogaduszki.

Przeraźliwie krzycząc, Zareta nie mogła początkowo zrozumieć, co jej robią – wiedziała jedynie, że strasznie boli ją całe ciało, że jest to ból pierwotny, ostry i elektryczny, i że czuje go zarówno tuż pod skórą, jak i w trzewiach. Drżały jej nogi, bose stopy miała mokre od moczu. A potem zaczęły się pytania, po rosyjsku; kobiecy głos tłumaczył każde na silnie

akcentowany czeczeński. W ciągu trzydziestu minut podała im nazwisko kobiety, która ją zwerbowała, nazwisko dowódcy swojej komórki szkoleniowej, nazwisko jego zastępcy, a także namiary obozów szkoleniowych w Czeczenii, w Szatoj, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Groznego, na końcu drogi P305, i w Dżałce na wschód od stolicy.

Nieskończenie bardziej przerażające było to, że nic nie widząc, nie mogła przygotować swojego systemu nerwowego na kolejną torturę. Wykrzyczała nazwisko młodego mężczyzny, który konstruował pasy szahida w Wołgogradzie, i brodatego chłopaka, który założył go jej tuż pod piersi. Brodacz uśmiechał się do niej. Jeśli jeszcze żył, właśnie go zabiła.

Kobiecy głos, ten mówiący po czeczeńsku z dziwnym akcentem, spytał ją, czy Czarne Wdowy zamierzają przeprowadzić podobną operację w Moskwie. Zareta znała jedno nazwisko i jeden adres, ale nie, nie chciała zdradzać tych dwóch ostatnich kolegów. Wtedy odezwał się jakiś Rosjanin, głosem tak szorstkim i piskliwym, że prawie nieludzkim. Choć boleśnie pochylona, wyraźnie czuła, że stoi tuż obok niej. Ktoś uderzył ją otwartą dłonią w tył głowy, pogmerał palcami i gwałtownie ściągnął kaptur. Skrzywiła się, bo oślepiło ją białe laboratoryjne światło, ale światło było niczym w porównaniu z tym, co zobaczyła niemalże tuż przed sobą, ledwie krok dalej. Zaczęła krzyczeć i krzyczała trzy minuty, nie biorąc oddechu.

Miedna siedziała na krześle z oparciem. Jak królowa, z rękami przywiązanymi drutem do podłokietników i głową, którą utrzymywał w pionie skórzany pasek na czole. Miała czerwonosiną twarz. Z lekko otwartymi ustami, patrzyła na nią spod przymkniętych powiek. Z kącików jej ust i z nosa ściekała krzepnąca już czarna krew. Ale najkoszmarniejszym akcentem autorstwa pułkownika było to, że miała delikatnie skrzyżowane nogi, jak w teatrze, z obciętym małym palcem u tej bliżej jej

twarzy. Zareta znów zaczęła krzyczeć, lecz Ziuganow zatkał jej ręką usta.

– Spójrz na nią – powiedział. – Ona każe ci żyć. – Chwycił ją za włosy i potrząsnął głową. – Żyj, przeżyj i wróć do rodziców. Te bydlaki oszukały cię i wykorzystały. Wystarczy jedno nazwisko, jeden adres. I będzie po wszystkim.

Jakby na dowód szczerości tego zapewnienia, zwolnił łańcuch, tak że mogła się wyprostować i stanąć na chwiejnych nogach, a potem przeciął krępujące ją druty. Pochyliła głowę, nie mogąc patrzeć na skatowaną przyjaciółkę ani myśleć o poddaniu się.

W końcu spojrzała na Ziuganowa, zawahała się i cichym szeptem podała mu nazwisko moskiewskiego łącznika oraz adres mieszkania w bloku na osiedlu w podstołecznym Ziablikowie. Pułkownik kiwnął głową i uszczypnął ją żartobliwie w policzki: grzeczna dziewczynka. Potem podszedł do stojącego pod ścianą stołu z nierdzewnej stali. Na oczach Zarety, znającej czeczeński piersiastej dozorczyni i umundurowanego strażnika w kącie sali wyjął spod ręcznika duży, szary rewolwer – MP412 REX załadowany potężnymi nabojami.357 Magnum – przystanął obok krzesła i z odległości trzydziestu centymetrów wpakował kulę w lewą skroń martwej już Miedny.

Zareta spojrzała na niego z pełnym przerażenia niedowierzaniem. Strażnik zasłonił ręką usta. Dozorczyni odwróciła się, zgięła wpół i zwymiotowała. Hydrostatyczny wstrząs wywołany uderzeniem kuli przewrócił krzesło i pod ciałem Miedny zaczynało wzbierać jezioro czarnej krwi spływającej powoli w stronę przecinającego podłogę głównego ścieku.

Normalno, pomyślał Ziuganow. Lubił takie potworności.

– Matka będzie musiała wypchać jej głowę gazetami, inaczej całun się zapadnie – powiedział głosem kilka oktaw niższym, jakby przemawiał przez niego sam diabeł.

Z trudem panując nad trzęsącymi się rękami, Zareta wytarła lepką twarz i zamrugała, żeby strząsnąć krew z rzęs. Zastanawiała się, jak zatrze wspomnienie tego wyłożonego białymi płytkami jasnego pokoju, tego *czorta*, małego, czarnego diabła w śmierdzącej kurtce, i czy kiedykolwiek wróci do Czeczenii, gdzie jako zdrajczyni musiałaby stawić czoło radzie i wstydowi rodziców. Już widziała ich twarze, ale będzie przynajmniej żyła, bo tak bardzo chciała żyć.

Ziuganow dał znak strażnikowi – który poszarzał na twarzy – żeby ją wyprowadził i gdy ledwo powłócząc nogami, minęła go w drodze do drzwi, przystawił lufę rewolweru do zawiasu szczęki pod jej lewym uchem i pociągnął za spust. Zareta runęła na podłogę i znieruchomiała na brzuchu, w więziennej koszuli zadartej powyżej bioder. Żadnej godności w obliczu śmierci, pomyślał pułkownik. Mała prowincjonalna dziwka. Przerażony strażnik przeraźliwie krzyknął – ochlapało go coś z głowy zastrzelonej – a dozorczyni znów zwymiotowała w kącie sali. Ziuganow objął wzrokiem ociekające czerwienią pomieszczenie i spiesznie wyszedł, aby napisać protokół z przesłuchania dla służb wewnętrznych, a tak naprawdę dla prezydenta Putina. Chciał jak najszybciej zameldować o swoim sukcesie i przekazać ważne informacje.

Wiele dni później kierownictwo więzienia przedłożyło pisemną skargę z żądaniem, aby pułkownikowi Ziuganowowi udzielono nagany za nadmierną brutalność i dopuszczanie się czynów przestępczych, takich jak tortury i zabójstwo, jednak skarga wyparowała w mgnieniu niebieskiego oka. Prezydent zlecił mu zadanie i Aleksiej je wykonał. A marudnym oficjelom

Putin powiedział podobno tak: *Nie diełajtie iz muchi słona*, robicie z igły widły.

Młody Aleksiej funkcjonował w nieufnym bagnie SWR tak dobrze, że zaskoczył tym sam siebie, i z czasem awansował na stanowisko szefa. Jego paranoidalnie zaburzona osobowość doskonale pasowała do tego rodzaju pracy. Choć podczas pierwszych lat na Łubiance wiele się nauczył – głęboko zakorzenione mordercze ciągotki udało mu się zepchnąć na drugi plan, a na pierwszy wydobyć przebiegłość – jego pierwotne instynkty wciąż tkwiły w sowieckiej epoce parku jurajskiego. Trochę lepiej rozumiał też politykę. Tęsknił za tymi nieokiełznanymi czasami, a prezydent Putin był największą nadzieją na odzyskanie majestatu i potęgi Związku Radzieckiego, na przywrócenie czerwonozębnej furii i bestialskiego okrucieństwa, przed którymi drżeli niegdyś ich wrogowie.

Niewielu oficerów pracujących w Zarządzie KR mogłoby profesjonalnie zdiagnozować, jaka choroba, jaki robak zżera mózg Aleksieja Ziuganowa. Dobrze wyszkolony psycholog ze służb medycznych SWR stwierdziłby pewnie, że jego potworne predylekcje są objawem wyjątkowo złośliwego narcyzmu, ale byłoby to tak, jak nazwać Drakulę melancholijnym rumuńskim księciem. Nie, Ziuganow miał w sobie coś więcej – dużo więcej – lecz jego podwładni musieli wiedzieć tylko to, że ta jadowita skolopendra może ukąsić bez najmniejszego ostrzeżenia, w napadzie furii wywołanej rzeczywistym lub domniemanym przeoczeniem, zaniedbaniem w pracy, pilnym zadaniem z trzeciego piętra, a zwłaszcza przytykiem z Kremla, połajanką z ust innego małego narcyza rządzącego zza czerwonych

murów pałacu. Oficerowie Zarządu KR płacili za każdy błąd, który mógłby spowodować – nawet tylko hipotetycznie – że prezydent spojrzy na niego krytycznym okiem. Ziuganow czcił go jak Aztekowie słońce.

Kiedy ten toksyczny karzeł przyszedł do kontrwywiadu, Jewgienij, jego zastępca, pracował tam już od trzech lat, po cichu i nie rzucając się w oczy. Ziuganow od razu wziął go na muszkę, szukając oznak nie talentu czy inicjatywy, tylko całkowitej, służalczej lojalności. Zbyt ambitni zastępcy byli niebezpieczni: egzekutorzy nie ufają tym, którzy kryją się za ich plecami. Pułkownik zaczął sprawdzać swojego włochatego podwładnego od samego początku, nasyłając na niego kilku wiernych donosicieli, którzy proponowali mu przejście do innego zarządu SWR i próbowali przekupić go łapówkami czy korzystnymi dywidendami. Ale najważniejszą próbę przeprowadziły *maleńkije gołubi*, małe gołąbki, które szeptały mu do ucha oszczercze pomówienia albo proponowały zawiązanie spisku przeciwko szefowi. Jewgienij meldował o wszystkim Ziuganowowi, natychmiast i niczego nie pomijając. Po roku stażowych testów, pułapek i zasadzek, pułkownik doszedł do wniosku, że może mu zaufać i awansował go na swojego zastępcę. Jewgienij pracował ciężko i trzymał język za zębami. Zamiłowanie szefa do lochów, więzów i strzykawek zupełnie go nie obchodziło.

A teraz Ziuganow siedział rozparty w fotelu w sali konferencyjnej Zarządu KR, z irytacją obserwując Jegorową, która właśnie wróciła z Paryża i składała raport na temat Jamshidiego. Dominika siłą woli powstrzymywała grymas bólu na twarzy – żebra paliły ją żywym ogniem. Siedziało przed nią

czterech dyrektorów naczelnych, szefów Zarządu X (wywiad naukowo-techniczny), T (operacje techniczne), R (planowanie operacyjne) i KR (kontrwywiad). Zarząd X przygotowywał już zestaw szczegółowych pytań na temat irańskich wirówek, które miała zadać agentowi na najbliższym spotkaniu w Wiedniu.

Łagodnie odrzuciła sugestie tych z wywiadu naukowo-technicznego, żeby w spotkaniu wziął udział analityk, specjalista od energii atomowej. Twierdziła, że Jamshidiego trzeba najpierw dobrze sprawdzić, że na razie jest zbyt płochliwy, by zaakceptować nową twarz. Zapewniła dyrektorów, że poradzi sobie ze szczegółami technicznymi – przynajmniej początkowo – i zasugerowała, że należy poczekać, aż sprawa *utwierditsia*, nabierze bardziej formalnego charakteru, i Irańczyk zacznie w pełni współpracować. Dla dobra operacji dyrektorzy niechętnie się zgodzili.

Ziuganow patrzył na nią, ważąc, oceniając i kalkulując. Oczywiście, że chciała poprowadzić Jamshidiego sama. Próbowała go zmonopolizować, żeby potem pobiec na Kreml ze zdobytymi informacjami i zabiegać o względy Putina, żeby je sobie zapewnić. Bardzo delikatna sytuacja. Jegorowa była w gruncie rzeczy nietykalna. Musiał zachować wielką ostrożność – nieudany napad w Paryżu, który miał ją unieszkodliwić, był krokiem przemyślanym, lecz ryzykownym. Wyglądało na to, że wyszła z tego obronną ręką – wbrew budzącemu wątpliwości raportowi z Paryża, który zapewniał, że solidnie ją pokiereszowano – co więcej, pokazała, że ona też ma pazury. Wydał już stosowne rozkazy, żeby dopiąć operację i oczyścić teren, i Fabio pływał teraz pewnie w kanale Saint-Martin, z wachlarzem włosów na cuchnącej ściekami wodzie.

Dominika zobaczyła, jak za głową Ziuganowa rozwijają się opatrzone szponami nietoperze skrzydła. Wyczuła, że jest wzburzony, wiedziała, że obserwuje ją, ocenia i kalkuluje.

Zapewnić go o swojej lojalności? Szaleństwo i głupota. Ani tego nie oczekiwał, ani by tego nie kupił, ani od niej, ani od nikogo innego. Nie chciała go do siebie zrażać, choć była pewna, że to on nasłał na nią tych dwóch oprychów, o czym po powrocie do Moskwy nikomu nie wspomniała. Dowodziło to, do czego jest zdolny i jak daleko może się posunąć. Boże, jak niewiele zmieniło się w służbie od czystek z lat trzydziestych i pięćdziesiątych.

W Zarządzie KR nie było zespołu zajmującego się operacjami ofensywnymi sensu stricto – co udowodnił choćby przypadek Jamshidiego – dlatego sprawę domyślnie przydzielono Jegorowej. Ziuganow chciał zawalić ją robotą, odsunąć od prac zarządu. Postanowił, że tego dopilnuje, osobiście on i Jewgienij. Nie będzie łatwo zamknąć jej w kojcu, oj, nie będzie. *Szyła w mieszkie nie utaisz*, szydła w worku nie schowasz.

Intuicja socjopatycznego paranoika podszeptywała mu niewyraźnie, że budzi w niej odrazę, lecz to mu nie przeszkadzało. Ale tak, chciał ją zdominować, pokazać jej, że w tym stadzie to on jest wilkiem alfa. Dlatego zaraz po odprawie postanowił zabrać ją do Lefortowa w charakterze obserwatorki.

– Musi się pani tego nauczyć – rzucił szyderczo. – Kiedyś pani też będzie prowadziła przesłuchania.

– Oczywiście – powiedziała Dominika, z trudem ukrywając panikę. Ją też tam kiedyś więziono i „przesłuchiwano”, lecz się nie przyznała, nie uległa, i po sześciu tygodniach męczarni została zwolniona. Wytrzymała pobyt w chłodzonej celi, wstrząsy elektryczne i manipulację nerwów, ale na koniec spojrzała w oczy śledczym, odczytała otaczające ich kolory i wiedziała już, że wygrała.

Ziuganow dreptał tymi samymi podziemnymi korytarzami, którymi prowadzono ją kiedyś pod ręce, a ona szła za jego

czarną jak noc chmurą. W kątach wciąż stały te same rozpadające się drewniane schowki, w których zamykano więźniów, żeby nie widzieli prowadzonych na przesłuchanie podejrzanych, nie mieli kontaktu z ludźmi i sprzedali im duszę. Z kamienną twarzą – pułkownik zerkał na nią ukradkiem – po prostu szła na pozbawionych nerwów nogach. Gnom truchtał przed nią z wysoko zadartym nosem, jak pies myśliwski na mokradłach. Minęli znajome, obłażące z farby stalowe drzwi, te, za którymi kryły się ścieki, haki i inne potworności, i skręcili za róg. Ziuganow kazał strażnikowi otworzyć inne, też stalowe, za którymi ciągnął się korytarz z drzwiami po obu stronach. Ale nie, nie dochodziły zza nich ani krzyki, ani wycie, przez wąskie otwory, którymi więźniowie odbierali jedzenie, nie patrzyły na nich zwierzęce oczy. Panowała zupełna cisza.

Przystanęli pod drzwiami na końcu korytarza i Ziuganow załomotał w nie pięścią. Otworzył się judasz, w judaszu mignęło oko, trzasnęła stalowa zasuwa. Pułkownik wszedł szybko do środka i skinieniem głowy pozdrowił pulchną dozorczynię w zbyt obcisłym mundurze. Dominika weszła za nim i drzwi się zatrzasnęły. Była w pokoju przesłuchań, jakiego nigdy dotąd nie widziała, czymś w rodzaju sali operacyjnej oświetlonej przez nierzucające cienia jarzeniówki, tak jaskrawe, że miała wrażenie, iż całe pomieszczenie wypełnia biała gazowa mgła. Podłoga i wszystkie ściany aż po sufit wyłożono białymi kwadratowymi płytkami o boku długości siedmiu i pół centymetra. W powietrzu unosił się silny, drażniący zapach, który drapał w gardle i nosie – płytki zmyto amoniakiem. Ziuganow oddychał głęboko i z lubością, jak w różanym ogrodzie, zerkając na nią, by ocenić jej reakcję.

Na stojących pod ścianami stołach z nierdzewnej stali leżały instrumenty i narzędzia. Największy stół stał na środku sali, pod regulowaną lampą chirurgiczną. Ziuganow ściągnął

marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Zdjął z haka brązową kurtkę, włożył ją i zapiął wszystkie guzki oprócz tego pod szyją. Dziarsko, żwawo, jak wiejski elegancik. Spojrzał na zegarek, potem na dozorczynię.

– Zadzwoń – rzucił. – Najpierw coś zjemy.

Dozorczyni podeszła do ściany i nacisnęła guzik. Już po chwili rozległo się pukanie i do sali weszła inna, z tacą przykrytą płócienną serwetką. Postawiła ją na środkowym stole, nad rurką odprowadzającą płyny ustrojowe, i szybkim ruchem ściągnęła serwetkę.

– *Seloodki*, śledzie, pani kapitan – powiedział Ziuganow – nie jedliśmy lunchu.

Stojąca w progu Dominika poczuła zapach marynowanych śledzi i cebuli, który zmieszał się z intensywną wonią amoniaku. Pokręciła głową i usiadła na krześle z dala od stołu.

Ziuganow świetnie się bawił.

– Poproś naszego gościa – rzucił z ustami pełnymi śledzia.

Dwie minuty czekali w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie jego mokrym mlaskaniem. Patrząc na tył jego głowy, Dominika skupiła wzrok na zagłębieniu tuż nad kręgiem szyjnym, gdzie wbiłaby któreś z dłut chirurgicznych leżących na bocznym stoliku.

Otworzyły się drzwi i dozorczyni wciągnęła do sali jakąś kobietę. Była w brudnej więziennej koszuli, filcowych kapciach i miała skute z tyłu ręce.

– *Gospoża* Mamułowa. – Ziuganow wytarł serwetką usta. Dozorczyni pchnęła kobietę na przyśrubowane do podłogi stalowe krzesło i stanęła za nią z rękami luźno wspartymi na jej ramionach. Pułkownik odprawił pomocnicę machnięciem ręki i spojrzał na Dominikę.

– Proszę, pani kapitan. Niech pani przytrzyma ją za ramiona.

Dominika na próżno próbowała wymyślić jakąś wymówkę, lecz postanowiła, że nie, nigdy, przenigdy nie okaże słabości przy tym zdegenerowanym karle. Stanęła za kobietą, położyła jej ręce na ramionach i poczuła, że lekko drżą. Co takiego mogła zrobić, za co tu trafiła? Ziuganow przystawił sobie krzesło i usiadł naprzeciwko niej, tak blisko, że niemal stykali się kolanami, po czym nachylił się, zbliżając twarz do jej twarzy. Coś cicho zatrzeszczało i z jego kurtki posypały się płatki zaschniętej krwi. Żeby nie czuć obrzydliwego fetoru, Dominika oddychała przez usta, zastanawiając się, skąd zna nazwisko Mamułowa. Kim ta kobieta jest?

Irina Mamułowa była żoną Borysa Mamułowa, rosyjskiego potentata prasowo-telewizyjnego. Mamułow atakował Kreml ze wszystkich stron i z każdej broni, jaką dysponowało jego imperium medialne. Jego reporterzy niezmordowanie krytykowali politykę współczesnej Rosji, przeprowadzając wywiady z rywalami politycznymi podległych Kremlowi marionetek, dysydentami i buntownikami, w tym z telegenicznymi członkiniami punkrockowej grupy Pussy Riot po ich wyjściu z więzienia. Protestując publicznie przeciwko ponownemu wyborowi Putina na prezydenta, Mamułow sprowokował nieuchronne śledztwo w sprawie jego podatków i zagranicznych kont bankowych, które z kolei zmusiło moskiewską prokuraturę do postawienia mu zarzutów korupcji, unikania płacenia podatków i kradzieży. Niebieskooki skorpion podniósł sztywny, zakrzywiony odwłok i był gotów wbić w ciało jadowity kolec.

Mamułow dobrze wiedział, co się dzieje z tymi, którzy otwarcie występują przeciwko prezydentowi – czekało ich więzienie, ginęli w wypadkach samochodowych, podczas „przypadkowych” napadów ulicznych lub umierali na zawał serca – dlatego postanowił nie wracać do kraju i zostać

w Paryżu, dokąd wyjechał w interesach. Wysłał pilną wiadomość do żony, każąc jej zabrać futro z soboli i biżuterię i czekać na niego w wypełnionym antykami apartamencie przy Avenue Foch. Irinę zatrzymano na międzynarodowym lotnisku Wnukowo, pół godziny przed odlotem na Orly, i pozbawioną okien furgonetką przewieziono do Lefortowa, do bloku dla więźniów politycznych. Podczas czynności rejestracyjnych nie sporządzono listy rzeczy, które przy sobie miała. Jej futro i biżuteria zniknęły bez śladu, tak jak wszyscy poprzedni wrogowie prezydenta.

Putin zadzwonił do Ziuganowa szyfrowaną *kremlowką* i z kamienną twarzą kazał mu poprosić Mamułową o listę zagranicznych zasobów finansowych męża, łącznie z numerami kont, w przeciwnym razie trudno mu będzie oczyścić się z zarzutu korupcji. Pułkownik miał także spytać ją, czy nie zechciałaby namówić go do powrotu do Moskwy w najbliższym dogodnym terminie. Prezydent wyraził również przekonanie, że Ziuganow przeprowadzi śledztwo skutecznie i dyskretnie.

Telefon nie musiał być szyfrowany, ponieważ Putin nie mógł wyrazić się jaśniej. Irina Mamułowa była zakładniczką, przynętą, która miała zwabić Borysa do *rodiny*, i jeśli podbite oczy, wybite zęby czy nabrzmiałe siniaki – czyli obrażenia po torturach poziomu pierwszego – nie przyspieszą jego powrotu, zawsze były jeszcze poziomy drugi i trzeci.

Irina Mamułowa, szczupła kobieta średniego wzrostu, miała trzydzieści kilka lat, czarne włosy do ramion, słowiańskie policzki i duże brązowe oczy. Poznała męża w wieku dwudziestu pięciu lat, pracując w jego stacji radiowej, i choć prowadziła życie miliarderki – prywatne samoloty odrzutowe, jachty i penthouse'y – pozostała osobą rozsądną i spostrzegawczą. Siedziała w Lefortowie już od dwóch tygodni

i wiedziała, co się dzieje. Postanowiła nie współpracować. Jej mąż musiał trzymać się z daleka od Rosji.

Dominika stała w niebieskim obłoku wokół jej głowy – kobieta była przerażona, spodziewała się najgorszego. Chuchając na nią zapachem marynowanego śledzia, Ziuganow zbliżył twarz do jej twarzy i obłok zginął pod skrzydłami czarnej mgły.

– Nie mogłem się doczekać naszego dzisiejszego spotkania – powiedział. – Słyszeliśmy, że mąż bardzo się o panią martwi i zastanawia się, czy nie wrócić do Moskwy i nie załatwić tych wszystkich kłopotliwych spraw.

Irina podniosła głowę, sondując jego twarz. Zrozumiała, że karzeł kłamie i jej oczy straciły blask.

– Jeśli monsieur Mamułow wróci, ten nieprzyjemny epizod natychmiast dobiegnie końca – ciągnął Ziuganow.

„Monsieur”? „Epizod”? – zdumiała się Dominika, próbując wyobrazić sobie zetlałe obwody w jego mózgu. Ziuganow przysunął się tak blisko, że dotknął kolanami jej kolan i kobieta wzdrygnęła się i skurczyła. Karzeł spojrzał obojętnie na Dominikę, jakby sprawdzając, czy ta jeszcze tu jest.

– Wczoraj słyszałem dowcip – powiedział. – Na milicję przychodzi kobieta i mówi: „Błagam, pomóżcie, mój mąż zaginął. Tu jest jego zdjęcie i dane osobowe. Kiedy go znajdziecie, powiedzcie mu, że moja matka postanowiła nie przyjeżdżać!”.

Znów zerknął na Dominikę. Chciał zobaczyć, czy się roześmiała? Irina patrzyła na niego bez ruchu. Rosjan już dawno zaprogramowano tak, że doskonale rozumieli wszelkie aluzje. Następna w kolejce na szafot jest jej matka.

– Powinniśmy powiedzieć naszemu drogiemu Borysowi, że matka nie przyjedzie – ciągnął szeptem Ziuganow. – Może wtedy zmieni zdanie. – Wstał, podszedł do bocznego stolika

i wrócił z krótką dubinką w ręku, płaską, wiotką pałką, obszytą czarną skórą i obciążoną na końcach. Irina zamknęła oczy. Włosy opadły jej na twarz, loki zadrżały.

– Otwórz oczy – rzucił i kiedy je otworzyła, szybkim ciosem z góry na dół uderzył ją w prawy policzek. Głowa odskoczyła w bok, Irina syknęła z bólu, lecz nie krzyknęła. Postanowiła walczyć, pomyślała Dominika, trzymając ją za podnoszące się i opadające ramiona. – Poza tym jest jeszcze ten drobiażdżek z kontami bankowymi, ich numerami.

Karzeł znów uderzył ją w prawy policzek, a zaraz potem w lewy. Tym razem Irina krzyknęła, lecz zagryzła usta, żeby przestać. Zwiesiła głowę, zadygotały jej ramiona. Ziuganow milczał, miał mnóstwo czasu. Sięgnął w dół i zdjął jej kapcie z nóg.

Spojrzał na Dominikę z uniesionymi brwiami i obiema rękami podniósł skórzaną pałkę.

– Powszechnie wiadomo – powiedział swobodnym tonem – że golenie i podeszwy stóp są miejscami niezwykle wrażliwymi, ale ja odkryłem inne, dużo wrażliwsze, na przykład pięty i wnętrze kolan. Ostatnio, dodam, że zupełnie przypadkowo, uzyskałem znakomite rezultaty, uderzając w czubki palców u nóg. – Pochylił się, wziął zamach i ruchem równoległym do podłogi uderzył dubinką w palce Iriny. Grzbiety jej stóp były już sinoczarne. Kobieta przeraźliwie krzyknęła i mimowolnie pochyliła ramiona. Jej nogi szarpnęły się spazmatycznie i zadrżały. Ziuganow delektował się jej jękami jak zapachem perfum.

Dominika z trudem powstrzymała mdłości. Miała ochotę wyrwać mu z ręki lepką skórzaną pałkę i rozbić na miazgę tę płaską jak patelnia gębę. Irina podniosła głowę. Miała mokre policzki i pusty wzrok. Pora skontaktować się z Nathanielem, pomyślała Dominika. Podjąć współpracę z CIA.

– Proszę, pani kapitan. – Gnom podał jej dubinkę. Chciał, żeby stanęła obok niego i uderzyła Irinę. Naciskał na nią, to była próba. Dominika wiedziała, że nie może odmówić – okazując słabość i odrazę, naraziłaby się na niebezpieczeństwo. Obeszła krzesło i wzięła pałkę.

– Panie pułkowniku – powiedziała z natarczywym przekonaniem. – Nie dorównam panu i nie śmiem nawet próbować, ale przyszło mi coś do głowy, myśl, która może przynieść rezultaty, zwłaszcza że po pierwszych próbach zatrzymana w pełni zdaje sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazła.

Karzeł spojrzał na nią kwaśno.

– Myśl? Jaka?

– Pozwoli mi pan na pewien eksperyment? – Dominika z trudem tłumiła gniew, ledwo panowała nad głosem. – Zostawi pan nas na pięć minut?

– Przepisy mówią, że podczas przesłuchania przez cały czas mają być obecne dwie osoby – odparł Ziuganow.

– Przecież to pan tu rządzi. A jeśli sposób okaże się szybki i skuteczny? Chyba warto spróbować.

Karzeł spojrzał na nią, potem na Irinę, która płakała ze spuszczoną głową.

– Tylko pięć minut, panie pułkowniku. – Dominika ścisnęła palcami jej twarz i lekko nią potrząsnęła, głównie po to, żeby ukryć drżenie swoich własnych rąk. – Będzie nam się miło gawędziło.

Ziuganow zmrużył oczy podejrzliwie, choć z lekkim zainteresowaniem. Żeński duet? – pomyślał. Co ta Jegorowa knuje? Chciałby zostać, lecz był zaintrygowany. Poza tym doszedł do wniosku, że przecież może obserwować je na monitorze w pokoju strażnika. Kiwnął głową i wyszedł. Drzwi się zamknęły i Dominika podeszła do Mamułowej.

Z kąta obserwowały ją we dwie, jej przyjaciółki: jasnowłosa dojarka Ania i posągowa Marta, była jaskółka i powiernica z Helsinek, która rzuciła wyzwanie służbom i pewnej zimowej nocy zniknęła bez śladu. Patrzyły na nią, niemo każąc jej się pospieszyć i zachować ostrożność.

Dominika zbliżyła twarz do twarzy Iriny, chwyciła ją za włosy, odchyliła do tyłu głowę, zbliżyła usta do ucha i ryzykując wszystko, szepnęła:

– *Siestra*, masz trzy minuty, żeby mnie wysłuchać. Będziesz słuchała uważnie? – Mamułowa patrzyła na nią tępym wzrokiem. Dominika uderzyła „kichą" w nogę krzesła z nadzieją, że na ekranie monitora wyglądało to tak, jakby uderzyła ją. Zaskoczona Irina wytrzeszczyła oczy. Dominika posłała jej znaczące spojrzenie i znów uderzyła dubinką w krzesło – głośny trzask zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Wolną ręką chwyciła ją za twarz.

– Posłuchaj – syknęła. – Zrobią z ciebie kalekę, a potem wsadzą do domu wariatów. A twoją matkę zamkną w chłodzonej celi. – Jeszcze mocniej odchyliła jej głowę, jeszcze bliżej przysunęła usta do ucha. – Podaj im numery kont, to tylko pieniądze. Wypuszczą cię na parę dni, żeby podsłuchać waszą rozmowę, kiedy zadzwonisz do męża. Wtedy będziesz mogła uciec. Z matką.

Mamułowa popatrzyła na nią przez obłok kłębiącej się zielonej mgły i lekko pokręciła głową. Nie wierzyła jej. Dominika wzięła zamach, lecz zamiast uderzyć ją pałką w ramię, grzmotnęła w oparcie krzesła. Irina drgnęła i głośno sapnęła – w miarę dobra reakcja. Od gwałtownego zamachu Dominikę jeszcze bardziej rozbolały żebra, mimo to stanęła nad nią, znów przytknęła usta do jej ucha i szepnęła:

– Chcesz mieć dzieci? Chcesz zobaczyć Borysa? Daj im to, czego chcą. Daj wszystko.

Pochyliła się jeszcze niżej, wyobrażając sobie, jak musi to wyglądać na ekranie monitora.

– Daj jego księgi z numerami zagranicznych kont. Klucze do schowków bankowych. Pokaż, gdzie macie w domu sejf. Obiecaj, że wyciągniesz od męża jeszcze więcej. A potem zabieraj matkę i uciekaj. Dasz radę to zorganizować?

Irina zawahała się i kiwnęła głową. Tak, poradzi sobie. Nic dziwnego, znała pewnie dobrze opłacanych prawników męża, miała kontakty, zagraniczne paszporty, dostęp do prywatnych samolotów. Jeśli wszystko dobrze zaplanuje, ucieczka z Rosji nie powinna nastręczyć jej kłopotów.

– Jesteś jedną z nich – szepnęła. – Więc… dlaczego?

Trzasnęła zasuwa, do sali zajrzał Ziuganow i Dominika uderzyła ją w twarz, mocno, rozcinając wargę. Nic takiego. Odrobina paryskiej bacytracyny i nie będzie śladu.

Nie, nie jestem jedną z nich, pomyślała. Może pewnego dnia spotkamy się w Le Procope w Paryżu, usiądziemy przy stoliku, odsuniemy na bok torebki z krokodylej skóry i zamszowe rękawiczki, i wszystko ci wyjaśnię. Jasne, *kogda rak na gorie swistniot*, jak rak świśnie, a ryba piśnie.

– Mów. – Chwyciła ją za twarz i odwróciła głowę w stronę Ziuganowa. – Gadaj! – Potrząsnęła jej zieloną aureolą strachu i niezdecydowania. Czy ta głupia gęś zechce się uratować? Ziuganow patrzył to na nią, to na Dominikę.

– Podam… – Irina spuściła oczy. – Podam numery kont.

Karzeł był pod wrażeniem. Dominika podniosła skórzaną dubinkę i, jakby trzymała w rękach bezcenny antyk, delikatnie przesunęła palcem po jej brzegu.

– Zgodzi się pan ze mną, że to kobieta wie najlepiej, czego boją się kobiety. Mamułowa postanowiła nie nadużywać pańskiej cierpliwości. Gratuluję.

Co to za bzdury? Bzdury? A może objawienie? Ziuganow zmarszczył brwi. Ciekawe. Może rzeczywiście kobieta potrafi torturować kobietę lepiej niż mężczyzna? Może lepiej wie, co ofiara myśli, lepiej zna jej ciało? Jedno było pewne: przesłuchanie nie wzbudziło w Jegorowej odrazy. Ba! Tylko co o tym myśleć? Tego nie wiedział, ale dała mu podarek, zwycięstwo dla prezydenta, który mógł teraz wejść do internetu i w godzinę wyczyścić wszystkie konta Mamułowa. A wtedy on, pułkownik Ziuganow, uplasuje się na czołowej pozycji noworocznej listy ulubieńców Putina. Ale nie, to musiała być pułapka. Podarunek od Jegorowej? Na pewno był zatruty i ta *szlucha* jakoś to wykorzysta, znajdzie sposób, żeby zdobyć przewagę, pokazać mu, kto jest lepszy. A prezydent to zauważy.

Kiedy Mamułową wyprowadzono z sali, Dominika wymazała z pamięci obraz wyłożonych białymi płytkami ścian i lepiącej się pałki, i kilka razy głęboko odetchnęła, żeby usunąć z nosa zapach marynowanego śledzia i amoniaku. Głośno przełknęła ślinę i zdała sobie sprawę, że już za kilka dni leci do Wiednia na spotkanie z Irańczykiem. I znów zobaczy Nate’a.

LEFORTOWSKIE ŚLEDZIE NA SŁODKO

Wykładamy głęboki półmisek kawałkami obranego ze skóry filetowanego śledzia, zalewamy octem i oliwą, posypujemy cukrem i posiekanym koperkiem. Chłodzimy przez kilka godzin. Podajemy na razowym chlebie z cieniutko pokrojoną cebulą.

5

Simon Benford, szef kontrwywiadu CIA, był niski i brzuchaty. Miał krowie oczy, obfity podbródek i przyprószone siwizną włosy, wiecznie rozczochrane od nawyku chwytania się za głowę. A chwytał się za nią często, wrzeszcząc na skulonych z przerażenia podwładnych albo urzędasów z Dyrektoriatu Wywiadu FBI, Amerykańskiej Agencji Wywiadu Wojskowego, Biura Wywiadowczego Departamentu Stanu, Biura Wywiadu i Analiz Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego, słowem, na przedstawicieli każdej rządowej agencji ze słowem „wywiad" w nazwie, według niego ostatnich kretynów od przynieś, wynieś, pozamiataj, którzy nie znając się ani na klasycznym rozpoznaniu osobowym, ani na operacjach szpiegowskich, nie mieli zielonego pojęcia o zbieraniu i analizowaniu informacji wywiadowczych albo – zawilej mówiąc – „umieli tylko walić konia rękawicami kuchennymi".

Był mizantropem i enfant terrible, ale także legendarnym łowcą kretów, strategiem, arcykapłanem operacyjnym, sawantem i prawdziwym dopustem bożym dla wrogich służb, bardziej podstępnym niż rosyjska SWR, bardziej nieprzeniknionym niż chińska MSS, bardziej eleganckim i przebiegłym niż kubańska DI i bardziej nerwowym niż północnokoreańska RGB. Współpracujący z nim na co dzień oficerowie mówili, że jest „maniakiem, cyklofrenikiem i socjopatą", ale w duchu go wielbili. Służby wywiadowcze zaprzyjaźnionych państw kochały go, nienawidziły i słuchały:

przed laty pomógł Brytyjczykom wykryć sieć nielegałów w Izbie Gmin, którą Moskwa kierowała przez piętnaście lat. Zgorszonym członkom Połączonego Komitetu Wywiadu wyjaśnił, że zrobił to, „śledząc ostatniego heteroseksualistę w Parlamencie", który doprowadził go prosto do rosyjskiego oficera prowadzącego. Anglicy nie byli zachwyceni.

A teraz zadzwonił do Aten, żeby pogratulować tamtejszym rezydentom najnowszego werbunku – według wstępnych analiz pierwsze informacje Liryka były jak najbardziej wiarygodne – i oficjalnie wyznaczyć Nasha na prowadzącego sprawę.

– Diva wciąż milczy – powiedział do słuchawki szyfrowanego telefonu. – Zaczynam się niepokoić.

– My też, Simon, my też – odparł Tom Forsyth. – Nash jest w każdej chwili gotowy do drogi, siedzi na walizkach.

– Nikt jej nie widział, nikt o niej nie słyszał, nie ma żadnych doniesień. W „Rossijskoj gazietie" też puchy. – Benford mówił o nekrologach, których jego obserwatorzy wypatrywali dawniej w „Prawdzie".

– To przedsiębiorcza dziewczyna – powiedział Forsyth. – I twarda. – Sam Benford podjął decyzję o odesłaniu jej do Moskwy, a teraz denerwował się, że nie ma z nią żadnego kontaktu. Forsyth dobrze znał to uczucie. Było tak ze wszystkimi agentami, tymi na Kubie, w Syrii, Birmie czy Mołdawii. – Możemy tylko czekać.

– Wiem, kurwa, wiem – warknął Benford. – Gdyby Forsyth był oficerem dyżurnym GS-13 na służbie w kwaterze głównej, nawrzeszczałby na niego tak, że pękłaby mu żyłka na szyi, ale nie krzyczy się na szefa rezydentury, zwłaszcza ateńskiej.

– Kiedy tylko się pokaże, Nash już czeka – powiedział uspokajająco Forsyth. – Jesteśmy jak kaczki: spokojni na górze, pod spodem wściekle wiosłujemy.

Benford głucho jęknął i odłożył słuchawkę.

Przyleciała do Wiednia wieczorem, a rano w samej bieliźnie położyła się na podłodze malutkiego mieszkanka przy Stuwerstrasse, kilka ulic od Dunaju i niedaleko elegancko wygiętych wież siedziby MAEA, Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej na wschodnim brzegu rzeki. Przez otwarte okna wpadał letni wiatr. Na południu widać było niewyraźną sylwetkę tonącego we mgle olbrzymiego diabelskiego młyna na Praterze – pudełkowate wagoniki świeciły nocą jak białe choinki.

Ze stopami opartymi na siedzeniu krzesła z jadalni robiła pompki, za każdym razem dotykając piersiami podłogi i głośno wypuszczając powietrze. Kiedy mięśnie klatki piersiowej zaczęły błagać o litość, oparła ręce o siedzenie krzesła, nogi o sofę i zrobiła prawie trzydzieści powolnych pompek tricepsowych. Więcej nie dała rady, zresztą akurat wtedy w malutkiej kuchni zadzwonił telefon. Ciężko dysząc, podniosła słuchawkę.

Od razu poznała gardłowy głos Udranki.

– *Kak pożywajesz*, *diewuszka* – wysapała. *Diewuszka*: umówione hasło.

– *Diewczonka*, ty łajzo, *diewczonka* – odparła po rosyjsku Udranka. Odzew: wszystko w porządku. – Czemu tak sapiesz? Co robiłaś? Dopiero dziewiąta. – Czyli: muszę się z tobą zobaczyć, za godzinę.

Tajny język jaskółek, szybki, wulgarny i niezawodny. Prysznic, sześć przystanków metrem, stacja Hardeggasse, i czyściutkimi schodami na trzecie piętro cichej austriackiej kamienicy. Udranka otworzyła drzwi, zanim Dominika zdążyła

zapukać. Małe, ciasne mieszkanie wypełniała orgia kolorów: lustra na ścianach, jaskrawe poduszki na sofie, otwarte drzwi, a za drzwiami koszmarna różowa sypialnia z rojącymi się od falbanek i frędzli lampami. Wszystko na koszt SWR, łącznie z kamerami i mikrofonami ukrytymi w każdym pokoju. Udranka rozłożyła ramiona – były szerokie jak skrzydła albatrosa – i jej karmazynowa aureola rozjarzyła się jak węgle w ognisku.

Dominika objęła ją, myśląc: jaskółka, choć nietypowa. Udranka zupełnie nie przypominała idealnej słowiańskiej królowej śniegu, wydepilowanej, przerasowionej do anorgazmii laleczki o sterczących sutkach. Nie, nic z tych rzeczy. Oglądane oddzielnie części jej ciała nie mieściły się w definicji zmysłowego piękna. Chuda jak szczapa – metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, kościste łokcie, kolana i biodra – miała płaskie piersi i za nic nie chciała wstawić sobie implantów. Od lewego kącika jej ust aż do lewego ucha biegła ledwo widoczna cieniutka blizna, pamiątka z dzieciństwa, którą podarował jej żołnierz z batem. Miała ruchliwe ręce, długie palce o krótkich paznokciach koloru czerwonego hibiskusa, niekończące się nogi i duże stopy o pomalowanych na ten sam kolor paznokciach. Tego ranka włożyła małe koralowe kolczyki i była w króciutkim jaskraworóżowym kimonie, niebezpiecznie odsłaniającym prawie całe uda.

Ostrzyżona na jeża, miała ogniste włosy – w odcieniu zwanym chyba bałkańską rdzą – i pełne białych zębów usta, które ani na chwilę nie przestawały się poruszać, uśmiechając się, wydymając, z dezaprobatą cmokając czy śmiejąc się niepohamowanym śmiechem. Rozszerzając się, źrenice jej dużych jasnozielonych oczu usianych ciemnymi plamkami, jak posypane chipsami lody, mogły w ułamku sekundy przekazać zmysłowe pożądanie.

Była sybarytką, samorodnym talentem, i obserwatorzy ze szkoły jaskółek natychmiast to wyczuli. Kiedy szkoleniowcy oszlifowali jej chropowate instynkty, oficerom takim jak Dominika pozostawało jedynie wycelować działo, podpalić lont i się cofnąć. Dominika nigdy czegoś takiego nie widziała: ta kobieta, bez wątpienia charakterystyczna, lecz zdecydowanie nieefektowna, potrafiła w okamgnieniu zmienić się w zniewalającą uwodzicielkę, by swoim topornym jak kłoda ciałem hipnotyzować, paraliżować i pożerać podstawione jej ofiary.

Przed dziesięciu laty jako długonoga nastolatka, mała żyrafa o dudniącym śmiechu, spakowała plecak i pojechała do Moskwy w poszukiwaniu pracy. Zaczynała jako modelka w podrzędnych domach mody, reklamując głównie buty i biżuterię. Zaliczyła wszystkich tych, których musiała zaliczyć, żeby przetrwać w branży, kilku dyrektorów, ministrów, a nawet jednego muzyka, ale gdy skończyła dwadzieścia sześć lat, skończyła się i praca. Kiedy wchodziła do moskiewskich restauracji, ludzie odwracali głowy i swoją gruszkowatą głowę odwrócił kiedyś włoski ambasador (niski, krępy książę, potomek rodu Barberinich z Palestriny), którego zafascynował jej wzrost i wyszczerzone w promiennym uśmiechu zęby. Drobniutki Włoch nigdy nie kochał się z tak wysoką kobietą i ciekawiło go, czy i jak dopasują się do siebie poszczególne części ich ciał.

Ambasador był hojny, troskliwy i gadatliwy, i w tajemnicy przed żoną zrobił z niej utrzymankę. FSB szybko namierzyła jego długonogą towarzyszkę. Nie minął rok, jak Udranka została zwerbowana w charakterze agentki dostępu, następnie porwana przez SWR i wysłana do szkoły jaskółek. Nie miała pieniędzy, a Rosjanie zagrozili jej deportacją do Belgradu,

proponując jednocześnie wygodne gniazdko miłosne, w którym mogłaby spokojnie mieszkać i pracować. Czemu nie?

Trzy lata później, szukając *primanki* dla Jamishidiego, przynęty, dla której Irańczyk zapomniałby o zasadach i religii, kapitan Jegorowa natrafiła na jej *dieło-formular*, teczkę osobową. Przebieg służby plasował Udrankę wśród najlepszych jaskółek: miała bardzo dobre oceny z technik i metod wywiadowczych oraz „ocenę celującą" z czegoś, co w Szkole Państwowej IV nazywano „sztuką uwodzenia". I została przydzielona do sprawy. Dominika uważała, że Serbka jest kobietą cyniczną, ponurą, przedsiębiorczą i twardą. Dobrze się dogadywały, zwłaszcza że znając brzemię tej pracy, po ludzku Udrankę traktowała.

Wystarczyło jedynie pokazać ją Irańczykowi. Zorganizowano małe przedstawienie uliczne, podczas którego złodziej na motorze wyrwał jej torebkę przed wiedeńskim barem, czego świadkiem był nie kto inny jak Jamshidi. Zaproponował, że odwiezie ją taksówką do domu, wdzięczna Udranka propozycję przyjęła i nieśmiało zaprosiła go do siebie na kawę. Znalazłszy się w jej pstrokatym mieszkanku – bezszelestnie filmowanym i podsłuchiwanym – Irańczyk przełamał jej dziewiczy opór i triumfalnie przyjął omdlewający akt kapitulacji, by następnie delektować się nieokiełznanymi serbskimi orgazmami – miała trzy, dwa udawane, jeden prawdziwy – podczas których ciemniała jej przecinająca policzek blizna. Kloaczny umysł Jamshidiego momentalnie zmobilizował go do drugiej rundy, wariantu dobrze znanego tunezyjskim chłopcom od ręczników. Myślał, że nowo poznana nieśmiała żyrafa będzie stawiała opór, krzyczała z bólu – co też byłoby podniecające – nie spodziewał się jednak takiej reakcji ani się nie zorientował, że musiano ją wyszkolić, inaczej nie straciłby dla niej głowy, gdy zgodziła się na pozycję seksualną nr 73: „Wejść na Kreml przez

Bramę Nikolską”. Od tego wieczoru należał już do niej: Udranka złowiła go i trzymała, jak Putin rekordowego wołżańskiego karpia, którego nadziano mu na haczyk.

– Jak ty tu nie oślepniesz? – spytała Dominika.

Serbka wzruszyła ramionami.

– Belgrad był zawsze szary. Moskwa też. Burdel powinien być kolorowy. – Roześmiała się, błysnęła zębami i jej czerwona aureola rozbłysła jeszcze silniejszym blaskiem.

– *Kak twoj sycz*, jak twój puchacz?

– Robi postępy. Nie wiem, może to coś ważnego. – Udranka wstała, otworzyła górną szafkę i bez najmniejszego trudu zdjęła z najwyższej półki pękatą butelkę ze złocistą nakrętką. Jej kimono rozchyliło się, odsłaniając płaskie piersi. Moje są większe, pomyślała Dominika i natychmiast poczuła się jak ostatnia idiotka.

– *Srpska šljiwowica* z Szumadii. – Udranka nalała im po kieliszku.

Boże, jest dziesiąta rano. Dominika westchnęła. Trąciły się szkłem i ostrożnie pociągnęła mały łyczek, podczas gdy Udranka odchyliła do tyłu głowę i jednym haustem opróżniła kieliszek do dna.

– Ale co ważnego? – spytała Dominika. W tym kolorowym gniazdku miłosnym zawsze miała wyostrzony instynkt, dlatego patrzyła jej w oczy, uważnie obserwując jej twarz.

– Pan Puchacz był tu wczoraj wieczorem. Zachowywał się normalnie. Nie był zły, chciał się kochać. – Dominika wymieniła imię Udranki w Paryżu, dlatego ostrzegła, że Jamshidi może zrobić jej za to awanturę. Ale nie, nie zrobił: dobrze wyszkolona jaskółka umiała udawać niewinną.

– Mówił, że ktoś próbował go zwerbować, pytał o kamery?

– Nie. Chyba nie ma do mnie pretensji. Był bardzo podniecony, niecierpliwy. Kiedy robiłam „skrzydełka kolibra”,

drżała mu ta śmieszna bródka. – Udranka powiedziała to bezbarwnym głosem, jak zawodowy mechanik, który tłumaczy klientowi, co nawaliło w silniku.

– „Numer trzydzieści trzy” – Dominice znów przypomniały się po sowiecku prymitywne opisy technik seksualnych ze szkoły jaskółek. – „Nieustanna stymulacja zakończeń nerwowych w celu utrzymania podniecenia”.

– Pamiętasz – mruknęła niechętnie Serbka, jakby nie chciała o tym rozmawiać. – Jeśli tęsknisz za dawnym życiem, możemy pójść z nim do łóżka we dwie.

Dominika roześmiała się. Stół tonął w letnim słońcu i butelka śliwowicy płonęła złocistym ogniem.

Udranka też się roześmiała. Nagle spoważniała, zagryzła wargę i ścisnęła ją za rękę długimi, kościstymi palcami o jaskrawoczerwonych paznokciach. Jej aureola, zawsze jasna i pulsująca, skurczyła się i przygasła.

– Powinnaś go wypróbować – dodała. – Lubi gryźć. I bić. I chce tylko jednego. Mam nadzieję, że jest tego wart.

– Jest – zapewniła ją Dominika, nie zamierzając jej mówić, o jak cenne informacje chodzi. – Wierz mi.

Serbka spojrzała na nią i chrząknęła. Odchyliła głowę, wypiła i dolała sobie śliwowicy. Milczały. Udranka odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

– Aha, najważniejsze. Powiedział, że chce się tu spotkać z kimś ważnym. Za dwa dni. W moim mieszkaniu! Bezczelny kutas.

Dominika kiwnęła głową. A jednak. Jamshidi zamierzał przyjść.

– Rozumiem, że ma spotkać się z tobą – ciągnęła Udranka. – Wpuszczę go i wyjdę.

– Nie, chcę, żebyś została na wypadek, gdyby przestał mówić. Wtedy przypomnisz mu, że ma się zachowywać.

– Włożę coś obcisłego – powiedziała z kamienną twarzą Serbka i jej aureola ożyła, płonąc szkarłatnym blaskiem. – On może mnie nie posłucha, ale ten łysy w wełnianym golfie posłucha na pewno.

Dominika stłumiła śmiech. Nie słyszała tego określenia od szkoły jaskółek. Udranka nalała im śliwowicy.

– Kiedy to się skończy, zabiorę cię stąd. Nie tylko z Wiednia, ale w ogóle.

– Jasne. – Serbka wypiła. Stężałe powietrze w kanarkowej kuchni było przesycone słońcem i zapachem przypalonego karmelu. Spotkały się wzrokiem. – Nie mogę już się nawet upić – dodała szeptem.

Dominika wstała i objęła ją. Długonoga pożeraczka mężczyzn, mająca zębiczny uśmiech, który potrafił rozświetlić każdy pokój, bezgłośnie płakała, zwilżając łzami bluzkę swojej prowadzącej.

Wiedeń latem: zielone parki, musztardowe domy o statecznych fasadach pamiętających czasy dawnych imperiów, bardziej i mniej strome dachy, zbiegające się i rozchodzące szyny tramwajowe, wypolerowane na błysk mosiężne klamki, wszędzie ziemisty zapach kawy i słodki chrzęst ciastek, chlebów i bułeczek leżących stosami na tacach w oknach wystawowych ze złocistymi napisami. A w każdej bramie wszechobecny Strauss i wyblakłe wspomnienie zgrzytliwej, basowej nuty gąsienic czołgowych z mniej szczęśliwych czasów. Wiedeń.

Wróciła z walizeczką opracowanych przez centralę pytań, dwiema bardzo niebezpiecznymi szminkami i duszą na ramieniu. Spotkanie z Jamshidim przyspieszyło decyzję:

nadeszła pora odnowić kontakt z CIA. I z Nate'em. Myśl, że znów się z nim zobaczy, wezbrała w jej piersi tak bardzo, że prawie nie mogła oddychać. Nie wiedziała, jak *Niejt* się zachowa, nie wiedziała, jak między nimi będzie. Rosyjska duma, zadziorność i przekora nie pozwalały jej zrobić pierwszego ruchu. Nie, nie rzuci mu się w ramiona – nie zamierza patrzeć, jak Nate się wycofuje i chowa za przepisy, zasady bezpieczeństwa operacyjnego czy wyrzuty sumienia. Słysząc spokojny głos operatora Sentry, powtórzyła swój kod, podała kryptonim, nazwę miasta, parku oraz miejsca, gdzie miało dojść do pierwszego przelotnego spotkania. Pora przejść do interesów – jej interesów.

Dotarcie do Wiednia zajęło Nate'owi dwanaście godzin, choć wyruszył w drogę zaraz po tym, jak zautomatyzowany system Sentry wysłał do ateńskiej rezydentury depeszę z wiadomością, że moskiewska agentka GT Diva nawiązała kontakt. Wiedeń, Stadtpark, wieża zegarowa – codziennie o dwunastej w południe, poczynając od jutra. Pierwszym samolotem poleciał do Monachium i tam przesiadł się na pociąg. Etap jazdy koleją zawsze dodawano ze względów bezpieczeństwa: w Unii Europejskiej nie było granic, nie ciągnął się więc za nimi papierowy ślad, a lekkie przebranie załatwiało sprawę kamer na dworcach i stacjach. Gable dojechał na miejsce przez Pragę – miał go ubezpieczać, ponieważ Dominika mu ufała – i wynajęli apartament w Schick Hotel Am Parkring naprzeciwko parku miejskiego.

Nate stał w przeszklonych drzwiach i patrzył na wiedeńskie niebo, wiedząc, że gdzieś tam, pod jednym z tych szpiczastych dachów, jest Dominika. Odezwała się, zadzwoniła. Przyjechała. Zdawało się, że odkąd przepadła bez śladu w Rosji, minęło dziesięć lat. Spróbował pozbierać myśli i ścisnęło go w brzuchu. Opracowane przez Langley dyrektywy wywiadowcze, systemy

łączności i dostępu, zasady bezpieczeństwa, sygnały, miejsca – lista nie miała końca. Wiedział, że ich ponowny kontakt będzie krytyczny: mieli spotkać się pierwszy raz od werbunku. Zadzwoniła, ale czy zechce z nimi współpracować? Tkwiący w nim oficer operacyjny zdawał sobie sprawę, że musi to być współpraca w pełni profesjonalna. Tak, zachowa się jak zawodowiec, bez względu na koszty. To nie była zabawa, to było szpiegostwo.

Pierwszego dnia nie stawiła się na umówione miejsce spotkania, lecz choć trochę go to zaniepokoiło, przeszedł na tryb oficera prowadzącego i spokojnie obserwował umówione miejsce spotkania. Drugiego dnia, z ławki za niskim żywopłotem, zobaczył, jak Dominika idzie wysadzaną drzewami żwirową alejką. Leciutko utykała – dobrze znał ten chód – i wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał: może była odrobinę starsza, może czas wyostrzył rysy jej twarzy, lecz oczy miała te same i wciąż chodziła z wysoko podniesioną głową. Gdy go minęła, sprawdził jej status, czekając, aż dojdzie do bogato zdobionej marmurowej balustrady u podnóża wieży. Doszła, przystanęła i zerknęła na zegarek. Nate nie ruszył się z miejsca. Wciąż uważnie obserwował, badał teren, sprawdzał, czy nikt nie czai się w cieniu pod odległymi drzewami.

Po czterech minutach – standardowym w SWR okienku czasowym – poszła przed siebie, pozornie nie wypatrując ogona, lecz wszystko widząc. Przez chwilę szedł za nią w bezpiecznej odległości – był chyba czysty, bo nie zauważył, żeby ktoś przechodził w pobliżu drugi raz – patrząc na jej wysoko upięte włosy i silne nogi. Gdy zwolniła, żeby obejrzeć jakiś posąg, minął ją i poszedł dalej w kierunku widocznego za drzewami hotelu. Wtedy odwróciła się i ruszyła za nim.

Windą jechali sami, stojąc w przeciwległych kątach kabiny i patrząc na zmieniające się cyferki nad drzwiami. Nate spojrzał

na nią i spotkali się wzrokiem. Jego szkarłatna aureola świeciła tym samym blaskiem, silnym i stałym. Szpiegowska biblia głosiła, że w windzie nie powinni się do siebie odzywać, ale on musiał coś powiedzieć.

– Jesteś. Tak się cieszę.

Spojrzała na niego niebieskimi oczami, lecz nic z nich nie wyczytał. Gdy bez słowa wysiadła, wyprzedził ją, stanął przed drzwiami do ich pokoju i zapukał. Gable otworzył i wciągnął ją do środka – kremowa wykładzina, ciemnozielona kanapa, podwójne przeszklone drzwi z widokiem na piaszczysty kopiec majaczącej w oddali katedry św. Stefana.

– Dziewięć miesięcy – rzucił z uśmiechem. – Nieźle nas przetrzymałaś. Wszystko w porządku? – Jego szkarłatna aureola, okrągła, krzykliwa i pulsująca, też była taka sama.

– *Zdrawstwuj, bratok* – powiedziała, ściskając mu rękę; lubiła go i zaczęła go tak nazywać w Helsinkach. Spojrzała na Nate'a. – Jak się masz, *Niejt*. – Ale do niego ręki nie wyciągnęła.

– Miło cię widzieć, Domi.

– Dobra – przerwał im Gable – wszyscy się cieszymy, ale zanim popłaczę się z radości, powiedz, co się z tobą działo? Ile masz czasu? Cały dzień?

Usiadła z nim na kanapie, Nate przystawił sobie krzesło. Marty przejął inicjatywę.

– Najpierw coś zjedzmy. Nash, zadzwoń na dół i… Nieważne, dawaj telefon. – Wybrał numer i zasłaniając ręką słuchawkę, popatrzył na Dominikę. – Chuda jesteś. Chorowałaś czy usychałaś z tęsknoty?

Dominika uśmiechnęła się lekko i usiadła wygodniej. Powoli zaczynała się odprężać. Nie patrzyła na Nate'a. Zapomniała już, jacy są czarujący, jak profesjonalnie działają, jak bardzo ich lubi. Tonęli w fioletach, purpurach i szkarłatach, kolorach silnych, solidnych i wiarygodnych.

Gable zamówił tyle jedzenia, że przyjechało na dwóch wózkach: wędzony pstrąg i łosoś, buraczki, sałatka jarzynowa Olivier, kurczak w rosole, domowy majonez, lejący się ser brie, gouda, bochen chleba z chrupiącą skórką, masło ziołowe, sałatka z ogórków, szynka w plastrach, dwa rodzaje musztardy, jagnięce szaszłyki, sos jogurtowy, dwa strudle, naleśniki z doprawionym brandy dżemem morelowym, austriackie czekoladki, zimna jak lód woda mineralna Alpquell, grüner veltliner sauvignon i słodkie, złocistożółte ruster ausbruch.

Rozmawiali godzinę. Pozwolili jej się wygadać; nie potrzebowała zachęty. Wiedziała, co jest ważne, co pominąć, o czym wspomnieć. Mówiła po angielsku, całymi akapitami, choć Nate podsuwał jej czasem angielskie słówka. Powrót do Moskwy. Awans na kapitana. Przydział do Zarządu KR i nowy szef Aleksiej Ziuganow. Rozmowa z Putinem. Przesłuchanie Mamułowej w Lefortowie. Sprawdzonych informacji na temat działalności Zarządu KR zdobyła niewiele, bo po prostu nie zdążyła. Zagraniczne operacje SWR, kanały kontrwywiadowcze – o tym zamierzała opowiedzieć im później.

– Moment – przerwał jej Gable. – Rozmawiałaś z Putinem?

Kiwnęła głową.

– Dwa razy. Pogratulował mi wykrycia zdrady Korcznoja – odparła cicho, patrząc na ręce. – Powiedział, że generał został zlikwidowany. Wiem, że to on wydał rozkaz. Widziałam coś na moście, ale niedokładnie. To prawda?

– Zastrzelili go z drugiego brzegu rzeki, na końcu mostu – odrzekł Nate. – Był już prawie wolny, a oni go zabili. – Powiedział to spokojnie i bez emocji.

– Nigdy go nie zapomnę. – Jej oczy zaszły łzami.

Umilkli i w pokoju słychać było przez chwilę tylko słaby szum ulicy.

– Dlatego się odezwałam – powiedziała w końcu Dominika. – Nie byłam pewna, czy podejmę z wami współpracę, ale *siłowiki* się nie zmienili, są tacy sami, nawet gorsi.

– Cieszymy się, że się zdecydowałaś. – Gable sięgnął po talerz. – Wiedziałem, że do nas wrócisz. Masz to we krwi. Pysiaczku ty mój, znowu jesteśmy razem!

O cholera, pomyślał Nate i wstrzymał oddech.

– Pysiaczku? – powtórzyła Dominika z pozornym spokojem. Odstawiła kieliszek. Była to chwila, kiedy ktoś krzyczy: „Uwaga, granat!", i wszyscy padają na ziemię.

– To znaczy… *mileńka* – wyjaśnił szybko Nate po rosyjsku. – Starszy brat zwróciłby się tak do siostry. „Serce ty moje", coś w tym stylu.

Nie do końca udobruchana Dominika zamrugała. Chyba mu nie uwierzyła. Niczego nieświadomy Gable smarował musztardą plaster szynki.

Pora przejść do interesów. Interesów Nate'a: operacji wewnętrznych, nauki, sztuki, czarnej magii spotkań we wrogim środowisku, miastach takich jak Moskwa, Pekin, Hawana czy Teheran, do prowadzenia agentów w państwach z najgroźniejszymi służbami kontrwywiadowczymi – spotykać się ze szpiegiem na takim terenie to tak, jak starając się nie poruszyć mułu, z nieskończoną ostrożnością brodzić w czarnym od tanin stawie, w którym roi się od piranii. W Helsinkach Nate buntował się na myśl, że mógłby narazić Dominikę na niebezpieczeństwo, prowadząc ją *in situ*. Po Korcznoju wytłumaczył sobie, że muszą to zrobić wszelkim kosztem, ale teraz, widząc, jak siedzi na kanapie, jak założywszy nogę na nogę, beztrosko kiwa stopą, znów zacisnął zęby.

– Domi – zaczął – musimy omówić sprawy techniczne, sposoby łączności. Jeśli uda ci się wyjechać za granicę,

wykorzystamy każdą okazję, żeby się z tobą spotkać. Ale może się stać coś nagłego, niespodziewanego, nie wiem, dostaniesz zakaz podróży czy coś, a wtedy będziemy musieli spotkać się w Rosji.

Dominika kiwnęła głową.

– Chcemy dać ci kryptokomunikator, bardzo szybki i bezpieczny. Ty mogłabyś wysyłać nam krótkie wiadomości, a my kierowalibyśmy cię w nowe miejsca i planowali spotkania twarzą w twarz. Sama wiesz, jak to działa. Pierwszym niebezpiecznym wyzwaniem będzie dostarczenie ci komunikatora. Musimy zostawić go w martwej skrytce, stare kryjówki odpadają. Musiałabyś podjąć przesyłkę w ciągu góra kilku dni.

Nie wspomniał tylko, że jej życie będzie zależało od umiejętności oficera z moskiewskiej rezydentury, któremu przydzielą to zadanie, i od przenikliwości jego szefa, który zatwierdzi plan działania. Jeśli podczas trasy sprawdzającej młody amerykański agent błędnie ustali swój status, jeśli idąc nocą przez Moskwę i patrząc, jak letni świt wyławia z mroku linię nieba, zrobi coś nie tak, to będzie koniec. Jeżeli ci z FSB przyłapią go na załadunku skrytki, zastawią zasadzkę i będą czekali – tydzień, miesiąc czy rok – żeby sprawdzić, kto przyjdzie ją rozładować. Dominika nie wiedziałaby nawet, co ją zabiło.

– Da się zrobić – powiedziała spokojnie. – Zarząd KR ma dostęp do nadzoru nad wszystkimi zadaniami, planami i harmonogramami. Będę mogła ustalić, gdzie są jakie służby, FSB, milicja czy SWR. Pierwsza wymiana będzie niebezpieczna, ale damy radę.

– Zrobimy to powoli, bez pośpiechu – powiedział Gable. – Krok, kurwa, po kroku, inaczej to bez sensu. – Dolał jej wina. – Pamiętasz, jak gadaliśmy w Grecji, w tej restauracyjce na plaży?

Mówiłaś, że nic na chybcika, że najpierw musisz zdobyć pozycję, reputację, dostać dobre zadanie, że dopiero wtedy zaczniesz się rządzić.

Dominika posłała mu uśmiech.

– I się rządzisz! Jestem z ciebie dumny.

Marty powiedział to jak rodzic, który nie wyłączając silnika, wysadza córkę przed akademikiem, ale Dominika wiedziała, o co mu chodzi. Poklepała go po ramieniu.

– *Bratok*, zrobiłam coś jeszcze. – Wzięła kieliszek ze stołu i powiodła palcem po brzegu, budząc przeciągłą samotną nutę. – Zwerbowałam pewnego Irańczyka, specjalistę nuklearnego. Nazywa się Parvis Jamshidi. Jest tutaj, w Wiedniu, pracuje w MAEA.

Gable i Nate wymienili spojrzenia. Nazwisko Jamshidiego nic im nie mówiło, ale jako irański spec od energii atomowej naukowiec musiał zajmować wysoką pozycję na liście potencjalnych celów CIA.

– Przekazałam mu złe nowiny – ciągnęła Dominika. – Jak to się mówi? Zaszantażowałam go i namówiłam do współpracy.

Gable, legendarny łowca skalpów i werbownik, z zaciekawieniem przekrzywił głowę. Chciał usłyszeć coś więcej.

– Czym go zaszantażowałaś?

Dominika spojrzała na niego, jakby była szklaneczką zimnego dżinu z tonikiem.

– Podsunęłam mu jaskółkę. – Kokietowała ich, drażniła się z nimi. Palce przesunęły się po brzegu kieliszka i w powietrzu znów zawisła smutna nuta.

– Jaką? – drążył Gable.

– Moją. Mieszka dziesięć minut stąd, niedaleko siedziby MAEA. – Upiła łyk wina.

– I namówiłaś go do współpracy? Jak?

– Pokazałam mu filmik, na którym łamie zasady szariatu. – Pokiwała nogą.

– To znaczy?

– *Ramoner* – odparła po francusku. – Lubi czyścić kominy, ma kręćka na punkcie seksu.

Gable wybuchnął śmiechem, nie mógł mówić.

– Ale właściwie do czego go namówiłaś? – spytał Nate.

– Zgodził się przyjść na spotkanie i zdradzić mi tajemnice irańskiego programu nuklearnego. Jest wrogo nastawiony i będzie próbował zataić niektóre szczegóły, ale w końcu pęknie. – Dominika sięgnęła po czekoladkę i zaczęła rozwijać sreberko.

– Na spotkanie gdzie? – dociekał Nate. Nachylili się ku niej, jeden i drugi.

– U mojej jaskółki. – Dominika wrzuciła czekoladkę do ust.

– Kiedy?

– Jutro wieczorem.

– Jutro wieczorem? – powtórzył Nate.

– Tak – potwierdziła. – Ty też tam będziesz.

– Dobry Boże – szepnął Gable.

SAŁATKA OLIVIER

Gotujemy ziemniaki, marchew i jajka. Warzywa, koperek i marynowane ogórki kroimy w kostkę i wkładamy do miski. Podobnie kroimy gotowaną szynkę, krewetki lub jedno i drugie. Wkładamy do miski i dodajemy zielony groszek. Obficie przyprawiamy i posypujemy świeżym koperkiem. Łączymy z domowym majonezem i podajemy.

6

Gable powiedział potem, że nigdy nie słyszał o takiej zagrywce: Diva, zwerbowana rosyjska agentka SWR, proponuje, żeby udając rosyjskiego analityka nuklearnego z Zarządu KR, Nate, jej prowadzący z CIA, poszedł z nią na spotkanie z irańskim informatorem. Gdyby udało im się wykręcić taki numer, Langley dysponowałoby tajną kopią wszystkich materiałów wywiadowczych uzyskanych od Jamshidiego i wysyłanych do Moskwy, co dałoby bezcenną wprost możliwość poznania szczegółów irańskiego programu nuklearnego.

– Jezu Chryste – mówił, wrzucając ubrania do walizki. – Fantastyczny szwindel. I jaki wredny!

Przekazał już wiedeńskiej rezydenturze streszczenie propozycji Divy – rezydentura miała je przesłać do Stanów – i natychmiast wracał do Aten, żeby pogadać z Forsythem. Nie wspomnieli Dominice jedynie o tym, że szczegóły tej zwariowanej zagrywki zostaną dokładnie przeanalizowane przez WP, Wydział Proliferacji, supertajną komórkę CIA, która planowała, opracowywała i przeprowadzała operacje mające na celu zwalczanie programów broni masowego rażenia (BMR) na całym świecie. W tym eklektycznym wydziale pracowali bardzo dziwni ludzie – fizycy, inżynierowie i operatorzy – z których kilku można by uznać za względnie normalnych: rozmawiając, ekstrawertycy z WP patrzyli na buty osoby, do której mówili.

Gable przystanął w progu i spojrzał na Nate’a.

– Nie mam takich uprawnień, ale daję ci zielone światło bez zgody Langley. Pieprzyć ryzyko, politykę i prawników. Forsyth i szef wiedeńskiej rezydentury mnie poprą. Tylko pamiętaj: nie spierdol sprawy.

Zbliżył do niego rumianą twarz.

– Posłuchaj. Jutro wieczorem masz przejść samego siebie. Nie będzie żadnych prób. Kiedy wejdziesz tam z Dominiką, ten perski kutas ma uwierzyć, że jesteś najprawdziwszym Rosjaninem. Najmniejszy błąd i powie swoim, że na rozmowie był ktoś jeszcze, jakiś, kurwa, analityk. Wiadomość w pięć minut trafi do Ruskich i będzie po Dominice. Pamiętasz, co ci mówiłem w Atenach, o kelnerce z Laosu? Na pewno wszystko zrozumiałeś?

Dominika patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– On zawsze tak mówi? Co to za kelnerka?

Gable odchrząknął.

– Już ci mówiłem, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. Przyjeżdżasz i ot tak, podajesz nam na tacy informatora, jakiego nie mieliśmy od dziesięciu lat. Przeszłaś samą siebie, ale nie chcę, żebyś stała się nieostrożna. Chcę jadać z tobą przez następne pięć lat.

– Dzięki, *bratok*, ale spokojnie, bez nerwów. Dla SWR to nic takiego, zwyczajna *maskirowka*. Rosjanie są w tym dobrzy.

Gable westchnął, pokręcił głową, wyszedł i zamknął drzwi.

Dominika i Nate stali na środku pokoju. Wszędzie sterty talerzy, walające się na podłodze serwetki, odwrócone do góry dnem butelki w wiaderkach z lodową breją – jak w niedzielny poranek po sobotniej imprezie.

– O co mu chodziło z tym Laosem? – Dominika zaczęła zbierać brudne talerze.

– Chodźmy stąd – odparł Nate. – Przyjdą i posprzątają, dajmy im czas.

Dominika posłała mu łagodne spojrzenie.

– A Laos?

– To tylko przenośnia. Ostrożność, rozwaga i żadnych błędów. Jak podczas każdej operacji.

– Operacji z kelnerkami? – Dominika postawiła talerze na wózku.

– Nie, chodzi o ścisłą koordynację, współpracę, jakbyś obejmowała i przytulała dziewczynę. Chryste, nie umiem tego wytłumaczyć.

– Ale z ciebie *mużłam* – rzuciła oschle. – Jak to jest po angielsku?

– Przykro mi, ale nie znam tego słowa. – Kmiotek? – pomyślał Nate. Ja?

– Szkoda. Musimy jeszcze omówić jutrzejszy plan działania. Chcę ci pokazać listę dyrektyw. Będę rozmawiała z nim po francusku, ale ty masz mówić tylko po rosyjsku. On pewnie zna angielski, jak większość naukowców.

– Dużo masz tych pytań? Sama je przywiozłaś?

– Oczywiście, że sama. Jest tego czterdzieści stron, w tym sporo wykresów. Nie mogliśmy przesłać ich do wiedeńskiej rezydentury, ta sprawa *razdielonnaja*, ściśle zaszeregowana.

Nate pokręcił głową.

– Przewiozłaś samolotem tajną listę dyrektyw? To bardzo nieprofesjonalne. A gdybyś ją zgubiła?

Nie chciał jej krytykować, po prostu martwił się, że może dojść do jakiejś wpadki. Jeden błąd i Langley straciłoby wspaniałą okazję. Ale od razu zobaczył, jak rozbłyskują jej oczy: Gable powiedział mu kiedyś, że nie ma na świecie tajnego agenta, który by się nie zjeżył, słysząc, że pogrywa jak amator. Można mu spokojnie powiedzieć, że przy łóżku jego siostry stoi

licznik parkingowy, ale na pewno nie zniesie tego, że ktoś kwestionuje jego umiejętności.

– Ja nie gubię dokumentów – odparła lodowato Dominika. – I nie pouczaj mnie, panie *Niejt*. Znamy się na tym. Nasz profesjonalizm nie ustępuje waszemu.

Nate już miał spytać: „A kto zwerbował kogo?”, ale nie chciał być nie fair, poza tym oberwałby pewnie w twarz. Zasady, pomyślał. Podstawowe zasady prowadzenia agenta, panie oficerze. Daj temu spokój.

Ale Dominika jeszcze nie skończyła.

– To my wymyśliliśmy szpiegostwo – ciągnęła, wymachując widelcem. – Wiesz, co to jest *konspiracyja*? Tajne, niewykrywalne działania, to, co Amerykanie nazywają pracą w podziemiu. To nasz wynalazek.

Rosjanie wymyślili szpiegostwo? A nie Chińczycy w szóstym wieku przed naszą erą? Nate podniósł ręce, teatralnie udając, że się poddaje.

– Dobra, chcę tylko, żebyśmy byli ostrożni.

Dominika zerknęła na niego z ukosa. Ponieważ jego purpurowa aureola pulsowała jasnym, stałym blaskiem, uznała, że (a) nie próbuje jej zdyskredytować i (b) że naprawdę go kocha.

– Więc chcesz przejrzeć te pytania czy nie?

– Tak, muszę je wykuć na pamięć – odparł. – Gable nie zdąży przysłać nam naszych. – Możliwość przeanalizowania samych pytań byłaby dla Langley złotą żyłą.

– Mamy dużo pracy.

– I nie możemy pokazać się razem na ulicy.

Zapadła cisza.

– Może przyjdziesz do mnie? – zaproponowała. – Żeby popracować nad szczegółami.

– U ciebie byłoby dyskretniej niż tutaj. Dobra, idź. Przyjdę za pół godziny. Tylko gdzie to jest?

– Stuwerstrasse trzydzieści pięć, mieszkania sześć. Bądź za godzinę.

Nate odchrząknął. Ścisnęło go w gardle.

– No to… do zobaczenia.

– Zadzwoń dwa razy krótko i raz długo. Wpuszczę cię – powiedziała Dominika, nie czując warg.

– Przyjąłem – rzucił i pomyślał: Idiota. Od kiedy to jesteś pilotem?

Dominika otworzyła drzwi i zerknęła na niego przez ramię.

– Wiesz, w sumie to możesz być kmiotkiem. Mnie to nie przeszkadza.

Dominika, mając pięć lat, zaczęła widzieć kolory. Słowa w książkach były czerwone i niebieskie, ze skrzypiec matki wydobywały się falujące w powietrzu kasztanowe i fioletowe kreski taktowe, a bajki, które ojciec opowiadał jej po rosyjsku, francusku i angielsku, szybowały na błękitnych i złocistych skrzydłach. Kiedy miała sześć lat, jego kolega, psycholog, w tajemnicy zdiagnozował u niej synestezję. Przy okazji stwierdził, że Dominika potrafi także odczytywać emocje z otaczających ludzi aureoli.

Synestezja umożliwiła jej pełną synergię z muzyką i tańcem, dlatego przemknęła jak burza przez Moskiewską Akademię Choreografii, marząc o występach w zespole baletowym Teatru Bolszoj, ale kochanek rywalki, niejakiej Soni, złamał jej podczas próby stopę. I tak, w jedno popołudnie, jej kariera dobiegła końca. Bezradna i pozbawiona celu dała się zwerbować podstępnemu wujaszkowi Wani, wówczas pierwszemu zastępcy

dyrektora generalnego SWR, który namówił ją do wstąpienia do służby na pogrzebie ukochanego ojca.

Bujstwo, gniew i wściekłość, którymi kipiała w reakcji na niegodziwość i zakłamanie sowieckich tajnych służb i na występki pyszałkowatych aparatczyków, którzy przywłaszczyli sobie jej życie – wszystko zaczęło się mniej więcej wtedy. Już dawno straciła patriotyczny idealizm młodości. Gdy zobaczyła, że następcy sklerotycznego politbiura – hochsztaplerzy z dawnego KGB, spragnieni oligarchowie, mafiosi, a nawet sam prezydent, człowiek o twarzy pokerzysty i charakterystycznym ukradkowym spojrzeniu – trwonią potencjał Rosji, sprzedając jej przyszłość i zaprzepaszczając wspaniałe dziedzictwo Tołstoja, Czajkowskiego, Puszkina i jej idolki Ułanowej, primabaleriny wszech czasów, gniew ustąpił miejsca smutkowi i żalowi. Ci ludzie robili to potajemnie, za dziesiątkami kremlowskich zasłon, podając się za rząd suwerennego państwa.

Jej rodzice, ojciec – profesor historii, matka – skrzypaczka, byli uosobieniem rosyjskiej duszy, lecz wrzuceni do sowieckiego moździerza utknęli pod stalinowskim tłuczkiem. Na pozór tacy sami jak inni, zwierzali się tylko sobie, żeby mała Dominika ich nie słyszała, i idąc ostrożnie przez życie, jak inni ze znużeniem dawali łapówki, gotowali brązową kranówkę, marzyli o wiejskim mleku, wystawali w kolejkach po mięso i niczym najdroższy skarb przechowywali puszeczkę rosyjskiego kawioru, aby doczekała Maslenicy, święta starego jak Rosja, pożegnania zimy i powitania wiosny, słońca, ciepła, obfitości i zmiany, która jednak nie nadchodziła. I nie nadeszła.

Podczas studiów w Akademii Wywiadu Zagranicznego, w cuchnącej środkami odkażającymi szkole jaskółek, a potem na pierwszej zagranicznej placówce w Helsinkach synestezja okazała się cennym atutem operacyjnym. Dzięki niej Dominika

mogła także wypatrywać oszustów i manipulatorów w swojej własnej rezydenturze. Kiedy poznała oficerów operacyjnych CIA, jej prowadzących, szybko zauważyła, że otaczają ich niewzruszone aureole lojalności i wierności – purpurowe, jak królewska purpura jej ojca – i że świetlista aureola Nathaniela Nasha promieniuje miłością. Do kraju i być może do niej.

Pchnięci ku sobie zdenerwowaniem i przemęczeniem Dominiki i lękiem Nate'a o jej bezpieczeństwo wylądowali w łóżku. Kochali się wbrew zdrowemu rozsądkowi i obowiązującym w tajnych służbach zasadom, gwałcąc wszystkie możliwe przepisy. Ona wmawiała sobie, że już i tak popełniła zbrodnię zdrady kraju, więc druga kula w łeb – za sypianie z Największym Wrogiem – nie zrobi żadnej różnicy. Ale kiedy bojąc się o karierę, Nate zawahał się i ukrył za przepisami, gniew i duma nie pozwoliły jej mu wybaczyć.

Minął prawie rok i dużo się zmieniło. Na nowo odżyła w niej odraza do *zwieriej* z Moskwy. Wiedziała, że Ziuganow chętnie zabiłby ją przy pierwszej nadarzającej się okazji, ale wiedziała także, że protekcja wilgotnoustego Putina utrzyma go na smyczy, przynajmniej przez jakiś czas. Tak, całkiem poważnie zastanawiała się, czy będzie musiała go zabić, zanim on zabije ją. W jej piersi coraz częściej wzbierała nieokiełznana wściekłość na myśl o Korcznoju, którego ci zwyrodnialcy zamordowali, gdy dzielił go ledwie krok od wolności. Było więc nieuchronne, że zacznie przymierzać się do wznowienia współpracy z CIA. Co więcej, podejrzewała, że ci zawsze uśmiechnięci zawodowcy od początku o tym wiedzieli. Spotkanie w hotelu dało jej dużo satysfakcji. Gable miał rację: brakowało jej tego. No i dużo myślała o *Niejcie* – ostatnią rzeczą, jaką jej powiedział, zanim weszła na most, było to, że mu na niej zależy. Świetnie, ale nie zamierzała mu się narzucać. Nie drugi raz.

Weszła do małej łazienki i uczesała włosy szczotką o pięknie rzeźbionej, długiej szylkretowej rączce, która należała kiedyś do jej prababki z Petersburga. Miała ją w akademii, w szkole jaskółek i podczas pierwszej zagranicznej tury w Helsinkach. Szczotka była jedną z nielicznych pamiątek rodzinnych. Tą elegancko zakrzywioną rączką bez wstydu zaspokajała – uwalniała – dziewczęce żądze okresu dorastania. Już jako młoda kobieta odkryła swoje „sekretne ja", przesycone seksualnością, wybuchowe i wiecznie poszukujące, coś, co mieszkało w zakamarkach jej duszy, w zamkniętej klatce więżącej huragan – dopóki nie otworzyła drzwi i go stamtąd nie wypuściła. Odłożyła szczotkę i spytała siebie, czego właściwie chce od takiego życia, od ledwo trzymającej się Udranki, od poważnego, rozdartego Nate'a. I od siebie samej.

Bz-bz-bzzzz!

Zabzyczał domofon.

Skończyli o północy. Stół był zasłany papierami. Szklanki pozostawiły okrągłe ślady na kartkach z pytaniami na temat gradientu termicznego w gazowych rotorach irańskich wirówek w Natanz. Dominika wstała, odgarnęła włosy z oczu, wyciągnęła się na małej sofie w kącie pokoju i zrzuciła buty.

– Jutro mamy duże szanse na sukces – powiedziała.

– Pod warunkiem że Jamshidi się nie rozmyśli – odparł.

– Nie, nie może sobie pozwolić na skandal. I nie oprze się Udrance. Jego żądza jest silniejsza niż strach.

– A jeśli odmówi? Dotrzymasz słowa i rzucisz go mułłom na pożarcie?

– Oczywiście. Wcale nie blefowałam. – Podniosła głowę. – Ty byś nie rzucił? Więc co byś zrobił?

– Nie wiem. Spróbowałbym go przekonać, odwołałbym się do jego rozsądku. Ostatecznie jest naukowcem.

– A gdyby nie poskutkowało?

– Z jakiegoś błahego powodu wyrzucilibyśmy go z MAEA.

– Żeby zachował twarz, wrócił do kraju i kontynuował swoje niszczycielskie dzieło? – Dominika wyprostowała nogi i poruszała palcami.

– W CIA nie eliminujemy potencjalnych informatorów, jeśli odmówią współpracy. Czekamy, obserwujemy i wracamy, za miesiąc, rok czy pięć lat. Poza tym werbujemy ich dopiero wtedy, kiedy jesteśmy pewni rezultatu.

Palce znieruchomiały.

– A jak było ze mną? Wiedzieliście, co odpowiem?

– Nie. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać o ewentualnej współpracy, wstrzymałem oddech. Wydawało mi się, że… Miałem nadzieję, że powiesz „tak”. – Nate przełożył jakieś papiery. – Ale potem wszystko się skomplikowało i… – Jezu Chryste, pomyślał. Zamknij się wreszcie!

Palce znów się poruszyły.

– A tamto?

Miał wilgotne usta, kartki lepiły mu się do rąk.

– Jakie „tamto”? – nie zrozumiał.

– Jak to jakie? Przecież się kochaliśmy.

– A jak myślisz, Domi? Pamiętasz, co ci powiedziałem w Estonii, zanim wróciłaś do Moskwy? Powiedziałem…

– Że mamy mało czasu, strasznie mało czasu i nie możesz mi w pełni wyjaśnić, jak bardzo ci przykro z powodu tego, co powiedziałeś. Że nie wiem, ile znaczę dla ciebie jako kobieta, kochanka i partnerka, i że będziesz bardzo tęsknił. – Zapadła cisza, którą przerwał dźwięk klaksonu na ulicy.

Dominika spojrzała na ręce.

– Dobrze zapamiętałam? – spytała cicho.

– Niesamowite. Jutro spotykamy się z Jamshidim, a twoja słynna pamięć nadal cię nie zawodzi. Mamy fart. – Nate przestał grzebać w papierach i spojrzał jej w oczy. – Mówiłem szczerze.

Drgnęły jej usta i stłumiła uśmiech, a może jakieś uczucie.

– W każdym razie dobrze jest znów pracować razem – powiedziała szybko.

Bańka pękła, oboje o tym wiedzieli. Nie było innego sposobu.

– Jesteś głodny? – rzuciła. – Masz ochotę na tę paskudną kiełbasę z kapustą?

– Nie smakuje ci? Mnie tak.

– A mnie nie, *protiwno*. Jest okropna.

– Aha, a *sało* pewnie lepsze, tak?

Dominika usiadła i skrzyżowała ręce na piersi.

– *Sało* palce lizać.

– To solona słonina, sam tłuszcz, a wy jecie ją na zimno i na surowo, im tłustsza, tym lepsza.

Dominika pokręciła głową.

– *Oj, ty niewinnyj* – westchnęła. – Jesteś jak dziecko, nie wiesz, co dobre.

– Poza tym lepiej razem nie wychodzić.

– Znam pewną restaurację. Nazywa się Stary Wieloryb i jest ukryta w ogrodzie. Tu, niedaleko, w parku. Do centrum nie pojedziemy.

Nate wciąż się wahał.

– No chodź, *duszeńka* – namawiała. – Będę wypatrywała kłopotów i cię obronię. – Wiedziała, że jest dobra, ale wiedziała także, że w tłumie on pracuje dwa razy lepiej od niej.

Pchnął drzwi, wyszli i przystanęli na chodniku. Ani on, ani ona nie zarejestrowali, że każde z nich natychmiast spojrzało na drugą stronę ulicy, że gdy skręciwszy w kierunku parku, przecinali Ausstellungsstrasse, jedno i drugie nieustannie

rozglądało się na boki, sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi. Ruch uliczny został w tyle i znaleźli się na wysadzanej drzewami promenadzie Zufahrtsstrasse, potem w parku, za budkami, beczkami śmiechu, lampkami i zawsze widocznym ponad drzewami wielkim diabelskim młynem z przypominającymi pojemniki na chleb wagonikami, na których wieczorem świeciły białe lampki. Dominika wzięła Nate'a pod rękę i idąc niespiesznie w zapachu ciastek, świeżego pieczywa i pieczonego mięsa, oboje porządkowali w pamięci listę twarzy, ubrań i butów, aby móc potem rozpoznać tych, którzy mijali ich więcej niż jeden raz.

Letni wieczór był chłodny i przyjemny. Obejmując jej nagie ramię, rozluźnione i ciepłe, Nate czuł znajomy ucisk w gardle, pragnienie, czułość i pożądanie. Nie mógł się opanować i w końcu spojrzał na nią, na jej twarz odbijającą się w setkach wirujących świateł. Zauważyła, że na nią patrzy, szarpnęła go za rękaw, żeby się zachowywał, i pociągnęła za sobą w stronę stolików pod lipami restauracji Der Gute Alte Walfisch, Dobry Stary Wieloryb – ona zamówiła pulpeciki z kiszonej kapusty z musztardą i marynowaną wołowiną z kluskami i czerwoną kapustą, a on nürnberger rostbratwurst z sosem chrzanowym. Wzięli też butelkę wina, ale kiedy chciał wznieść toast, Dominika pokręciła głową.

Odstawił kieliszek, nie upiwszy łyku.

– Co się dzieje? – spytał.

Zatoczyła ręką łuk, wskazując talerze.

– To. W Rosji jedzą tak tylko *siłowiki*, tłuste kocury, które mruczą i oblizują łapy, kiedy nasz ukochany prezydent podrapie ich za uchem. Mieszkają w daczach, willach i nadmorskich kurortach. Słyszałeś o pałacu Putina w Praskowiejewce nad Morzem Czarnym? Żeby go wybudować, ukradł pieniądze na budowę kilku szpitali.

Nate podniósł kieliszek.

– Cóż, w takim razie niechaj nigdy nie zaznają spokoju. Dominika Jegorowa nie da im zasnąć, będzie jak rosyjskie złe duchy domowe… Jak one się nazywają? Te, które mieszkają pod podłogą i całą noc hałasują.

Trącili się kieliszkami.

– *Barabuszki. Domowyje*. Nocnice, gnieciuchy i biże.

Nate upił łyk wina.

– Właśnie, to ty. Jesteś nocnicą Putina, tylko jeszcze o tym nie wie.

– *Domowyje* cuchną i nie umieją się zachować.

– To na pewno nie ty.

– Zabawne. Czy wszyscy mężczyźni z twojej rodziny są tacy czarujący?

Podniósł ręce.

– Lepiej w to nie wchodźmy. Porozmawiajmy o gnieciuchach i biżach.

– Dlaczego?

– Nieważne.

Nachyliła się ku niemu.

– Nie, nie możesz odmówić. Zaciekawiłeś mnie.

– Porozmawiajmy o czymś innym. – Dolał im wina.

Patrzyła na niego, choć unikał jej wzroku.

– Agent ma być zadowolony i zmotywowany. No? Mów.

Wziął głęboki oddech.

– To nic dramatycznego. Mam dwóch starszych braci. Są wspólnikami w rodzinnej firmie prawniczej. Ojciec jest prawnikiem, dziadek sędzią. Kancelarię założył pradziadek. W hrabstwie Dinwiddie w Wirginii, niedaleko Richmond. Stare Południe. Słyszałaś o Starym Południu?

Kiwnęła głową.

– Wojna domowa. Abraham Lincoln. *Przeminęło z wiatrem*. Tak, słyszałam.

– Właśnie, bardzo dobry film. – Nate poklepał ją po ręku. – Dorastanie było zażartą rywalizacją. W szkole i na boisku ciągle ze sobą walczyliśmy, zwłaszcza moi bracia. Wszyscy są prawnikami i lubią wygrywać, jak mój ojciec i dziadek. Jak cała rodzina. Byłem od nich lepszy tylko w jednym: w pływaniu. Któregoś lata brat miał wywrotkę na żaglówce i wyciągnąłem go na brzeg. Chyba uratowałem mu życie, ale kiedy tylko go wyciągnąłem, zaczął się ze mną siłować. Byłem mniejszy i drobniejszy, więc wrzucił mnie do jeziora i poszedł do domu. Podziękowania nie wchodziły w grę. Musiał wygrać.

Jeden i drugi ożenili się z dziewczynami z dobrego domu, posłusznymi i wytwornymi, ze starych rodzin z Południa. Wszystko musi być tak, jak jest od czterech pokoleń. Przegrana nie wchodzi w grę. Moje wykończone szwagierki nie radzą sobie bez pigułek i bourbona. Kiedyś dowiedziałem się, że żona najstarszego brata odgrywa się na nim, sypiając ze studentami z Richmond. Mógłbym rzucić mu tym w twarz, odpłacić za to, że ciągle mnie lał, ale wtedy by przegrał, on i cała rodzina, więc zamiast tego wyjechałem na studia.

Ojciec chciał, żebym też został prawnikiem. Kiedy poszedłem na rusycystykę i wybrałem inną drogę, w rodzinie doszło do poważnego kryzysu. Wszyscy dawali głowę, że mi się nie uda i za dwa lata wrócę do domu.

Dominika upiła łyk wina.

– Tymczasem jesteś w Wiedniu, masz mnie i we dwoje opracowujemy plan desperacko śmiałej, niezwykle niebezpiecznej operacji, żeby zniszczyć wszelkie zło i uratować świat.

– *Imienno*, właśnie. Jesz ten ostatni pulpecik? Mam dość gadania o sobie.

– Śmiało, jedz. Ale powiedz: chyba ich nie nienawidzisz, prawda? O rodzinie się nie zapomina, w razie czego zawsze ci pomogą. Jak moja mama.

– Mama? Myślałem, że zmarła kilka lat temu.

– Tak, ale zawsze jest przy mnie.

– Chcesz powiedzieć, że zawsze o niej pamiętasz? To oczywiste. Wszyscy pamiętamy o zmarłych rodzicach.

– Nie, to coś więcej niż pamięć. Czasem ją widzę. Przemawia do mnie.

Nate usiadł prosto.

– Jej… duch? – Czy będzie musiał wysłać do Langley depeszę z wiadomością, że Diva miewa napady schizofrenii?

– Nie patrz tak na mnie. *Ja nie sumasszedszaja*, nie zwariowałam. Rosjanie odczuwają silną więź z przodkami i zmarłymi przyjaciółmi. Jesteśmy bardzo uduchowieni.

– Aha. Nie ma to jak butelka wódki dziennie – podsumował obojętnie. – Inne duchy też widzisz?

Dominika spuściła wzrok.

– W szkole jaskółek poznałam pewną dziewczynę. Już nie żyje. Tak jak moja przyjaciółka z Finlandii, ta, która zniknęła.

– Ona też była kiedyś jaskółką?

Kiwnęła głową.

– Wiem, że to centrala kazała ją zlikwidować.

– I wszystkie one do ciebie… przemawiają?

Podparła się ręką.

– Niech pan się nie martwi, doktorze Freud, ja nie bredzę. Po prostu pamiętam o swoich przyjaciołach. Są ze mną duchem, pomagają mi przetrwać, kiedy cię nie ma. Jak rusałki, które śpiewają nad brzegiem rzeki.

– Słowiańskie rusałki, tak, czytałem o nich. Ale o ile wiem, śpiewają tylko po to, żeby wabić mężczyzn i ich topić.

– Groźnie to brzmi, co? – Na jej ustach zagościł cień uśmiechu. – Ale dzisiaj ich tu nie ma, bo przyjechałeś. – Ścisnęła jego rękę.

Jasnowłosa kelnerka w dirndlu, tradycyjnym stroju ludowym, nachyliła się nad stolikiem, żeby zabrać sztućce i talerze. Nie spieszyła się. Sięgając po musztardę, posłała Nate'owi przeciągłe spojrzenie, z talerzami na ręku, poprawiła włosy i spytała po niemiecku, czy życzy sobie coś jeszcze. Nate uśmiechnął się, znanym wszędzie gestem poprosił o rachunek i przeniósł wzrok na Dominikę. Była poirytowana. Naburmuszona jak Kozak. Z jej oczu strzelały elektryczne iskry.

– Daj spokój – powiedział. – Myślałem, że jesteśmy groźnymi agentami, którzy mają uratować świat.

– Kochasz mnie? – Przeszła na rosyjski.

– Co? Co jedno ma wspólnego z drugim? To tylko ładna kelnerka.

– Dunaj jest dwa kroki stąd. Rusałki to moje dobre znajome. Wciągną cię do wody i… – Urwała i spojrzała ponad jego ramieniem.

Nie poszedł za jej wzrokiem – powstrzymało go wyszkolenie – ale uważnie obserwował jej twarz i czekał.

– Dwóch w koszulach z krótkimi rękawami – powiedziała cicho. – Jeden wysoki, drugi gruby.

– Ten niski w idiotycznym tyrolskim kapeluszu?

Zrobiła wielkie oczy. Była pod wrażeniem.

– Dobry jesteś. Szli przed nami, kiedy spacerowaliśmy po parku.

– Przystanęli przy budce z jedzeniem, żeby nas przepuścić.

– I przeszli obok, kiedy siadaliśmy.

– Co robią?

Dominika wzruszyła ramionami.

– Idą. Jedzą lody.

– Trzy mijanki. Pora na małą przebieżkę.

Zapłacili i niespiesznie poszli w przeciwną stronę. Przecięli Messestrasse, wpadli na drinka do hotelu Messe, wyszli z baru przez ogród, tuż przed zamknięciem zajrzeli do pobliskiego centrum handlowego, obeszli parter, wyszli na Ausstellungsstrasse, na czerwonym świetle przebiegli na drugą stronę ulicy i znaleźli się niedaleko miejsca, gdzie mieszkała Dominika. Nie zauważyli żadnych niezwykłych ruchów w odpowiedzi na te prowokacyjne, agresywne manewry: nikt za nimi nie szedł, nie biegł ani nie jechał równoległą trasą. Flip i Flap w tyrolskim kapeluszu też zniknęli. Zostali sami.

Postanowili wpaść na sznapsa do pijalni wódki przy Arnezhoferstrasse. Zmęczeni i trochę zdyszani, ale i podnieceni tętnem ulicy, afrodyzjakiem dźwięku, ruchu i spalin, usiedli przy stoliku z widokiem na duże okno wystawowe. Nie, nikt ich nie śledził ani nie czaił się w mroku i krążąca w żyłach adrenalina powoli wyparowywała. Dominika zastanawiała się, czy Nate jest tak samo „poruszony” jak ona i czy zechce pójść z nią do łóżka. Pragnęła go, ale nie zamierzała mu tego proponować.

– Denerwujesz się jutrem? – Prawie dotykali się ramionami i czuła ciepło jego ciała przez koszulę.

– Nie, będzie dobrze – odparł. – A ty?

Purpurowa aureola nad jego głową pulsowała równym rytmem.

– Jamshidi będzie próbował robić uniki, ale polegnie. Uprzedziłam moją jaskółkę. W razie czego pokaże mu się i przypomni, jaki z niego *szałun*, niegrzeczny chłopiec.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli Jamshidi zacznie gadać, centrala w końcu sprawdzi, czy wprowadziłaś ją w sprawę i ile wie. A wtedy posiekają ją na kawałki. Zastanawiałaś się nad tym?

Udranka ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, pomyślała Dominika. Ciekawe, ile to kawałków.

– Nie ma dokąd pójść – odparła. – Jest sama.

– Jeśli będziemy musieli się spakować, trzeba włączyć ją do planu eksfiltracji, tak uważam.

Dominika zmrużyła oczy.

– Naprawdę byś to zrobił?

– Bierze udział w operacji. – Troska o niczego nieświadomą dziewczynę to nie wszystko, pomyślał. Jeżeli będziemy musieli się wycofać, jej eksfiltracja zatrze ślady wpadki. Mimo to Dominika była szczerze wzruszona. Posłała mu uśmiech.

Siedzieli przy małym plastikowym stoliku i patrzyli na siebie z twarzami tonącymi w przyćmionym świetle baru. Nie dotykali się, nie odzywali. Dominika czuła, jak przeskakują między nimi niewidoczne elektrony, jak przeszywają jej szybko bijące serce. Obrzuciła wzrokiem jego twarz, usta, oczy, kosmyk włosów na czole. Patrzył na nią i wyobraziła sobie dotyk jego skóry. Powtarzała, że nie, niczego nie zacznie, choć bardzo go pragnęła i potrzebowała. Chciała, żeby pomógł jej dźwigać ciężar nowego życia, życia kreta i zdrajczyni mieszkającej w przedsionku komory śmierci. Ale nie, o nic go nie poprosi.

Nate widział jej drżące usta. W Helsinkach natychmiast poszedłby z nią do łóżka. Ale nie tutaj. Odezwała się, wróciła, chciała zostać ich agentką. Nie mógł narażać jej na niebezpieczeństwo, musiał uszanować pamięć o Marmurze. Patrząc na jej błyszczące włosy, zastanawiał się, co dalej.

Blask jego purpurowej aureoli, zawsze tak rytmicznej i wyraźnej, gwałtownie osłabł. Niezwykła intuicja podpowiedziała Dominice, że Nate jest wciąż rozdarty, że choć jej pragnie – poznała to po jego oczach – wciąż walczy z dyscypliną zawodową. Gdyby leżąc obok niego, zobaczyła, że w jego oczach gaśnie światło, nie zniosłaby tego po raz drugi.

– Porozmawiamy o niej potem – powiedziała. – Teraz musimy się przespać.

– Chcesz, żebym u ciebie przenocował? – spytał Nate.

Wiedziała, że chodzi mu jedynie o bezpieczeństwo operacyjne. Przyprawiające o zawrót głowy napięcie opadło.

– Nie, chyba nie – odparła.

Zapłacili i cichymi ulicami odprowadził ją do drzwi. Jako oficer CIA od razu wyczuł, co postanowiła, i dokładnie wiedział dlaczego. Poprawna, roztropna i spokojna pocałowała go w policzek i nie oglądając się przez ramię, weszła do środka.

Już w mieszkaniu oparła się plecami o drzwi do łazienki, zamknęła oczy i objęła się ramionami. Nadsłuchiwała, wsłuchiwała się w uliczne odgłosy z nadzieją, że zaraz zadzwoni domofon, że otworzy mu drzwi, zaczeka, aż Nate wbiegnie na górę i ją przytuli.

Zrzuciła buty, ściągnęła sukienkę i padła na miękkie łóżko, próbując nie myśleć ani o nim, ani o szujach z centrali, ani o jakże ryzykownej jutrzejszej operacji, ani o swędzącej głowie, ani o uporczywej wilgoci między nogami. Przewróciła się z jękiem na bok, zawahała i wzięła szczotkę ze stolika. Pamiątkę po prababce, znajomą i zakazaną. Wiedziała, że wystarczyłyby trzy minuty i zadrżałaby, trzepocząc powiekami i przewracając oczami, by chwilę później zasnąć. Powiodła wzrokiem po ciemnych kątach pokoju, szukając przyjaciółek rusałek, ale tego wieczoru nie przyszły. Widziała jedynie Nate’a, jego poważną, zgorzkniałą twarz, kiedy opowiadał o sobie w restauracji, czujne oczy, gdy szli ciemnymi ulicami, jego minę, kiedy na nią patrzył.

Znów jęknęła, rzuciła szczotkę w kąt i przewróciła się na brzuch, by stawić czoło niespokojnej nocy.

KLOPSIKI Z KAPUSTĄ KISZONĄ À LA PRATER

Podsmażamy na maśle cebulę i czosnek, dodajemy mieloną szynkę oraz mąkę i smażymy, aż szynka zbrązowieje. Odsączoną kapustę kiszoną wkładamy do miski, dodajemy jajko, natkę pietruszki i odrobinę bulionu, następnie przekładamy na patelnię i odparowujemy do gęstości. Chłodzimy. Lepimy klopsiki, obtaczamy je w mące i jajku, następnie w bułce tartej i smażymy na złocisty kolor.

7

Miał wyglądać jak analityk nuklearny z Zarządu X SWR, dlatego się przyłożył. Przebrania stosowane podczas spotkań twarzą w twarz to nie tyle kwestia wąsów i kolorowych soczewek kontaktowych, ile nauki i sztuki, drobnych szczegółów, które wzięte razem sprawiają konkretne wrażenie, malują iluzję, którą umysł obserwującego podświadomie uzupełnia. O zmierzchu spotkali się w umówionym miejscu i Dominika uważnie mu się przyjrzała.

Pochwaliła fryzurę; rano poszedł do fryzjera i kazał obciąć się na krótko i wysoko z boków. Zwykła marynarka na trzy guziki była modna od Alp po Ural. Ale krawat, który wybrał, okazał się do kitu („Żaden moskwianin by takiego nie włożył”), więc postanowili, że pójdzie bez, w rozpiętej pod szyją jasnoniebieskiej koszuli ze szpiczastym kołnierzykiem. Buty były polskie, z płaskimi, kwadratowymi czubkami, kupione w sklepie z przecenionymi towarami („Okropne. Zrób wszystko, żeby je zauważył”), a okulary miały tandetną złocistą drucianą oprawę i zerowe szkła. Dominika uznała, że w sumie wygląda nieźle.

Po południu odbył krótkie, bo tylko trzydziestosekundowe spotkanie z oficerem z wiedeńskiej rezydentury, który przekazał mu przybornik z Biura Służb Technicznych. Pudełeczko zawierało złotą koronkę na ząb, silikonowe wałeczki do podnoszenia policzków, wkładki do butów – na wypadek, gdyby chciał utykać – farbę do włosów, sztuczne

wąsy, klej spirytusowy, przyklejany pieprzyk i buteleczkę środka chemicznego (z aplikatorem), którym można było namalować znikające z czasem wiśniowe znamię z boku szyi czy na wierzchu dłoni. Postanowił wykorzystać tylko buteleczkę.

– Nic nie przyciąga uwagi tak bardzo jak drobny szczegół – wyjaśnił, gdy Dominika spojrzała sceptycznie na pająkowatą plamę na jego ręce. – Przegapiliście *głasnost'*, bo trzy lata widzieliście tylko znamię Gorbaczowa.

– *Wot*, *niekulturnyj* – prychnęła.

Skręcili w kierunku mieszkania Udranki i odruchowo, bez słowa, rozpoczęli klasyczny manewr sprawdzający, idąc okrężną drogą, zerkając w głąb mijanych ulic, przystając na rogu i obserwując. W końcu skinęli do siebie głową: byli czyści. Na ulicy Dominika radziła sobie dobrze, ale z odrobiną zazdrości stwierdziła, że Nate jest bezbłędny.

Gdy wchodzili po cichu na górę, w połowie krętych schodów chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Klatkę schodową wypełniały dochodzące zza drzwi odgłosy, słabe i przytłumione.

– Zanim wejdziemy – szepnął – chcę ci powiedzieć, że bardzo się cieszę, że znowu pracujemy razem. – Wciąż trzymał ją za rękę. Dominika milczała niepewna, co to znaczy, jak ma się zachować. – Ta operacja to prawdziwy skarb. Jeśli wypali, zmieni dosłownie wszystko. – Uśmiechnął się jak uczniak, z purpurową aureolą wokół ramion. Przypieczętować to pocałunkiem? – pomyślała. Nie, nie zaryzykuje, jest na to za dumna.

– Ja też się cieszę. – Spojrzała na jego znamię. – Chociaż wyglądasz jak *bomż*, mieszkający pod mostem troll. – Łagodnie uwolniła rękę. – Chodź. Za pół godziny przyjedzie Puchacz.

Udranka otaksowała go wzrokiem, bez słowa oceniając szczupłą sylwetkę, ręce i twarz. Jak jaskółka szacująca wartość

spożywczą owada. Potem spojrzała znacząco na Dominikę, jakby chciała spytać: „A jaki jest w łóżku?”. Tego wieczoru włożyła rudą sukienkę do kolan, obcisłą na górze i w biodrach, i czarne szpilki, w których była jeszcze wyższa. Kiedy chcąc wyłączyć nagrywanie, Dominika zaczęła grzebać w skrytce, ona usiadła obok niego na sofie.

– Jesteś z Moskwy? – spytała po rosyjsku.

– Tak – odparł – przyleciałem wczoraj wieczorem. – Spodziewając się, że Jamshidi może mu zadać to samo pytanie, rano wykuł na pamięć rozkład lotów Aerofłotu.

– Pracowałeś już z Jegorową? – Udranka nie wiedziała, że jest amerykańskim oficerem prowadzącym. Rozsądek nakazywał, żeby tak pozostało.

– Nie. – Już miał pogratulować jej znakomitej roboty z Irańczykiem, ale ugryzł się w język. Analityk z SWR, całkowicie skupiony na czekającym go przesłuchaniu, nie wchodziłby w szczegóły operacji.

Serbka przyjrzała mu się spod przymkniętych powiek. Założyła nogę na nogę, napięła pośladki i pod sukienką uwodzicielsko poruszyły się mięśnie ud.

– Byłam przekonana, że się znacie. – Zerknęła na Dominikę, która właśnie wróciła do pokoju. – Nie wiem, ale weszliście tu tak, jakby…

– *Diewuszka*, domysły zostaw na potem – przerwała jej z uśmiechem Dominika.

– Podoba mi się. Ma niezłą twarz.

– Myślisz?

– No jasne, a ty nie? – Udranka znów otaksowała go wzrokiem.

Nate rozpiął torbę, unikając jej wzroku.

– Ale skrupulatny ekspert z Moskwy? – dodała Serbka. – Raczej nie.

– Przestań gadać i przynieś coś do picia – rzuciła Dominika.

Udranka uśmiechnęła się, poszła do kuchni i wróciła z tacą, na której stała butelka whisky i szklanki. Pochyliła się nad stojącym przed sofą niskim stolikiem, posłała Nate'owi powłóczyste spojrzenie rodem z kart podręcznika uwodzenia, a on nagle zrozumiał, jak musieli czuć się pierwsi chrześcijanie, czekając na lwy w rzymskim Koloseum.

Dominika, była jaskółka, natychmiast to zauważyła.

– *Worobiej wczera, worobiej wsiegda* – powiedziała. Wróbel wróblem pozostanie.

Udranka roześmiała się, wstała, wyszła do drugiego pokoju i cicho zamknęła drzwi. O tak, Rosjanki umieją wykorzystywać pierwotne instynkty, pomyślał Nate, dziękując Bogu, że zaraz zaczynają. Właśnie wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– *Gotow?* – szepnęła Dominika.

Kiwnął głową i już skoncentrowany spojrzał na rozłożone na stole papiery.

Maglowali go od dwóch godzin. Dr Parvis Jamshidi siedział na sofie nisko pochylony i przejęty. Na poduszce leżała walizeczka, której ani razu nie otworzył. Przyszedł zły, rozdrażniony i wzburzony. Omal nie wpadł we wściekłość na widok Nate'a, ale dwoma gładkimi zdaniami Dominika przekonała go, że obecność analityka jest wielkim komplementem, znakiem, że Moskwa docenia jego niezwykły talent. Irańczyk przełknął to bez mrugnięcia okiem.

Ale ponieważ wciąż demonstrował wrogie nastawienie – zrodzoną przez strach arogancję – Dominika musiała usiąść obok niego, żeby zapanować nad sytuacją. Wprawnie połechtała jego dumę zawodową i mimo słabej znajomości

francuskiego Nate szybko zauważył, że opierający się początkowo Irańczyk zaczyna niechętnie godzić się z sytuacją. Rozprawiając o nauce i nieuchronnym sukcesie irańskiego programu nuklearnego, puszył się jak paw, delektował samym sobą. Dominika manipulowała nim, jak na profesjonalistkę przystało, i wkrótce miała go w garści.

Po piętnastu minutach walki z francuską terminologią Jamshidi spojrzał na nią i spytał:

– Mówi pani po angielsku?

– Oczywiście – odparła.

– A pan?

Notes na stoliku, długopis w ręku – siedzący naprzeciwko nich Nate nie zareagował.

– Niestety, mój kolega mówi tylko po rosyjsku – powiedziała Dominika.

Uważaj, pomyślał Nate. Teraz ostrożnie.

– Tak myślałem – mruknął Jamshidi i przeniósł na nią wzrok. – Znam kogoś, kto mógłby usunąć to znamię – dodał nagle i spojrzał na Nate'a.

Nate pisał dalej, modląc się, żeby nie zadrżała mu ręka.

– Dobrze, kontynuujmy – powiedziała po angielsku Dominika. – Opisywał pan hale z wirówkami w Natanz…

– Są trzy – ciągnął Irańczyk. – Hala A, hala B i hala C. Każda ma powierzchnię dwudziestu pięciu tysięcy metrów kwadratowych, wzmocniony stalą sufit i fundamenty grubości dwudziestu dwóch metrów. – Dominika przetłumaczyła to na rosyjski.

Encyklopedyczne bzdury, pomyślał Nate, patrząc na rosyjską listę dyrektyw i żałując, że nie ma swojej. Pora pociągnąć faceta za bródkę.

– Znamy konfigurację zakładu wzbogacania uranu – rzucił oschle i niecierpliwie. – Ale wiemy tylko o dwóch halach. Spytaj

go o tę trzecią, to nowość.

Dominika spytała. Jamshidi uśmiechnął się i rozsiadł na sofie.

– W halach A i B zamontowano łącznie dziesięć tysięcy wirówek, po pięć tysięcy w każdej. Ale regularnie pracuje tylko część.

Nate zaczekał, aż Dominika to przetłumaczy i zajrzał do notesu.

– Dlaczego? – spytał. – Macie jakieś problemy?

Irańczyk wzruszył ramionami.

– Wciąż przerabiamy te stare, pakistańskie P-1 i P-2. Uczymy się na błędach. Nasze IR-1 są bez porównania lepsze i nowocześniejsze, ale połączone w kaskady często odmawiają posłuszeństwa, nie chcą długo pracować.

Dominika to przetłumaczyła, lecz Nate się nie odezwał. Czekał na ciąg dalszy.

– W zeszłym roku mieliśmy awarię, bo jeden z techników montował wirówkę bez sterylnych rękawiczek – ciągnął Jamshidi. – Bakterie przeniesione z jego rąk na wewnętrzną ściankę cylindra wystarczyły, żeby minimalnie zdestabilizować pracę całego mechanizmu. Wirnik poszedł w ruch, cylinder nie wytrzymał i mieliśmy efekt domina. Chyba nie muszę tego opisywać. No i dostawy sześciofluorku uranu. Są bardzo nieregularne. Mamy też inne problemy…

– Na przykład? – spytała Dominika.

– Głównie zewnętrzne. Embargo na materiały strategiczne. Wirusy komputerowe, którymi zatruwają nas Żydzi i ten Wielki Szatan, Amerykanie. – Irańczyk zerknął na Nate’a, jakby coś podejrzewał. – Trzy miesiące temu jacyś sabotażyści wysadzili w powietrze trzy słupy wysokiego napięcia na pustyni w pobliżu zakładów.

– A ta trzecia hala? – drążyła Dominika.

Jamshidi usiadł prosto.

– To mój własny projekt. Ja go stworzyłem. Budujemy ją w ścisłej tajemnicy, zgodnie z najwyższymi wymaganiami technicznymi. Od pozostałych hal oddziela ją tunel i trzy pancerne grodzie. Będzie tam reaktywna sejsmicznie posadzka. Filtrowana, komputerowo kontrolowana atmosfera. Tej hali nic nie ruszy. Inspektorzy z MAEA o niej nie wiedzą. – Irańczyk dumnie zadarł głowę.

Dominika przetłumaczyła to na rosyjski, lecz Nate nie zareagował. Nareszcie coś, pomyślał. Zaczyna się.

– Niech pan mówi dalej – zachęcała Dominika. – Jakie jest jej przeznaczenie?

Jamshidi uśmiechnął się i niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

– To mój projekt. Za daleko się posuwacie.

Dominika błysnęła oczami.

– Panie doktorze. – Jej głos był jak przyprawiony octem miód. – Już o tym rozmawialiśmy. Nie może pan przestać, nie teraz. Jesteśmy pańskimi sojusznikami i chcemy ustrzec Iran przed wrogimi siłami zewnętrznymi, o których pan wspomniał. Siłami, które uniemożliwiają panu pracę. – Włożyła rękę do kieszeni i wymacała palcem przycisk telefonu.

Irańczyk nie przestawał się uśmiechać.

– Jeżeli naprawdę chcecie pomóc mojemu krajowi, sami rozwiążcie tę zagadkę. Żądacie niemożliwego.

– Co możemy zrobić, żeby zmienił pan zdanie? Łączą nas prastare więzi.

– Oczywiście – prychnął Jamshidi. – Rosja wtrąca się w nasze sprawy od wieków.

Nate uczestniczył już w trudnych przesłuchaniach. Widział, jak Marty Gable chwyta chińskiego attaché za klapy marynarki i dosłownie sadza go tyłkiem na kominku, grożąc, że nie zdejmie go stamtąd, dopóki ten nie przestanie wierzgać i nie

zacznie znowu współpracować. Choć nie do końca akceptowalna, zastosowana przez niego technika potrąciła ukrytą strunę wstydu i dwie minuty później Chińczyk siedział już w fotelu, chlejąc maotai i śpiewając jak pierwszy sopran w operze.

Ale tu było inaczej. Wszyscy informatorzy mają wewnętrzne blokady i Jamshidi najwyraźniej jakąś napotkał: tak, zdradzi szczegóły ogólnego programu, ale o swoim nie powie ani słowa. Taki już był.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Udranka. Purpuroworóżowe włosy, falująca wraz z ciałem obcisła sukienka – Nate miał wrażenie, że nad jej głową drży rozpalone powietrze. Gdy go minęła, poczuł zapach krasnoj moskwy, słynnych perfum znanych w Europie pod nazwą Czerwona Moskwa: Rosjanie stworzyli je w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, tym samym, w którym OGPU, stalinowska policja polityczna, wysłała do gułagu pierwszy transport rodzin.

Jamshidi zerknął na nią z miną winowajcy i odwrócił wzrok. Uparł się, pomyślał Nate, będzie blefował. Udranka przeparadowała przed sofą, górując nad Irańczykiem, który wciąż nie chciał na nią spojrzeć, i ciągnąc za sobą wonną smugę perfum – kolendra i jaśmin – weszła do kuchni. Jamshidi nie odrywał wzroku od Dominiki.

– Panie doktorze, wszyscy mamy potrzeby i pragnienia. Ja nikogo nie osądzam. Ale boję się, że w przeciwieństwie do mnie pańska społeczność nie pochwaliłaby pana poczynań. Nie uważa pan?

Irańczyk bez słowa patrzył na jej kamienną twarz.

– Nie wspominając już, z całym szacunkiem, o tych staroświeckich siwobrodych z Rady Najwyższej – dodała

Dominika. – Ajatollah byłby bardzo zawiedziony. Proszę tylko pomyśleć, jak by pana ukarał. Co by pan stracił.

Jamshidi zbladł.

Jak na umówiony znak wróciła Udranka, by z metalicznym brzękiem postawić na stoliku tacę ze świeżymi szklankami. Co trochę osobliwe, obok szklanek stała miseczka *shirini keshmeshi*, złocistych ciasteczek z rodzynkami, które na prośbę Dominiki Serbka kupiła w perskiej piekarni. Irańczyk wytrzeszczył oczy: oto siedzi tu z szantażystką z rosyjskiego wywiadu, zdradza jej największe tajemnice państwowe, a prostytutka częstuje go smakołykami z dzieciństwa.

Udranka usiadła na krześle dokładnie naprzeciwko niego i skrzyżowała nogi. Irańczyk dosłownie drgnął, szybko zamrugał i zerknął na nią z ukosa, uparcie nie chcąc odwrócić głowy. Siedział na wprost niej i Nate zastanawiał się, co widzi.

– Niech pan pomyśli o zamieszaniu, jakie wybuchnie w MAEA, jeśli tęskniąc za panem, Udranka zadzwoni tam i poprosi pana do telefonu – nie ustępowała Dominika. – Takie rzeczy lepiej załatwiać dyskretnie, w miejscach takich jak to małe mieszkanko.

Udranka dolała mu whisky, upiła łyk i podała mu szklankę. Jamshidi spojrzał na pomarańczowy ślad na brzegu szklanki i zamknął oczy; Dominika zauważyła, że jego żółta aureola rozmyła się i wyblakła. Serbka wstała, sunąc ręką po jego ramieniu, obeszła sofę i niczym niszczyciel stawiający zasłonę dymną, postukując obcasami i ciągnąc za sobą wonną smugę, zniknęła w drugim pokoju.

Podręcznik jaskółek, rozdział czterdziesty czwarty, przypomniała sobie Dominika. „Maksymalizowanie pożądania seksualnego nietypowymi bodźcami wizualnymi, słuchowymi i zapachowymi”.

Nate poprawił się w fotelu, zajrzał do notatek i pomyślał: Boże, co za maszyna.

Zapadła cisza. Irańczyk zerknął na niego, potem na Dominikę. Był zły i wystraszony. Dominika wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem.

– Pytałam pana o przeznaczenie hali C… – przypomniała mu spokojnie, jakby wysoka na metr osiemdziesiąt pięć Udranka nie zademonstrowała mu przed chwilą swoich dzikich powabów.

Ciekawe, czego boi się najbardziej? – myślał Nate. Zdemaskowania i kompromitacji w oczach mułłów czy utraty serbskich praw wiertniczych? Gable powiedział kiedyś, że strach to uczucie, kiedy pieprząc wszystko i wszystkich, ma się ochotę wziąć nogi za pas, i właśnie tak musiał czuć się teraz Jamshidi.

– Po osiągnięciu dwu-, pięcioprocentowego progu proces wzbogacania zwykle zwalnia – zaczął drewnianym głosem. – Wydajność, jaką dzisiaj osiągamy, to mniej więcej sześć tysięcy kilogramów nisko wzbogaconego surowca. Cztery lata próbowałem ją podwyższyć, wykonać krytyczny skok i dojść do poziomu dwudziestu procent. Zaangażowałem wszystkie dostępne środki, ale przeszkodą był brak dostatecznej wiedzy fachowej, a zamach, podczas którego Żydzi zamordowali kilku naszych czołowych specjalistów, jeszcze bardziej wszystko opóźnił. Udało nam się wyprodukować tylko sto dziesięć kilogramów dwudziestoprocentowego uranu dwieście trzydzieści pięć. – Irańczyk sięgnął po szklankę, spojrzał na pomarańczowy odcisk ust na jej brzegu i wypił łyk whisky. Zmęczony i pokonany głośno wypuścił powietrze.

Nate zerknął w bok, żeby sprawdzić, czy Dominika widzi to, co on.

– Co ma z tym wspólnego hala C?

– Rada dała mi pozwolenie na budowę dziesięciu kaskad, zamontowanie tysiąca siedmiuset wirówek w osobnej hali. Hala C to prawdziwy klejnot, doskonale zaprojektowane dzieło sztuki. Nowe maszyny. Fachowy montaż. Najlepsi technicy i cel: zbudować niewielką, ale całkowicie niezawodną kaskadę, która działaby długo i bez żadnych przerw.

Dominika przetłumaczyła to na rosyjski.

– Spytaj go, po co to robią – rzucił Nate.

Jamshidi pociągnął ze szklanki.

– Mamy jedynie sto dziesięć kilogramów dwudziestoprocentowego uranu, ale chcemy wzbogacić go do dziewięćdziesięciu procent, nawet jeśli miałoby wystarczyć go tylko na jedną głowicę. Kiedy ukończymy budowę hali C, natychmiast ruszymy z produkcją. Mówiąc po inżyniersku, moim zadaniem jest *hojoom*, przyspieszenie procesu wzbogacania, tak aby z uzyskanego w ten sposób uranu dało się zbudować w pełni funkcjonalną głowicę bojową. – Irańczyk wycelował bródką w Dominikę. – Podczas gdy świat przeprowadza inspekcję naszych zakładów, podczas gdy Tel Awiw, Waszyngton i Londyn zakładają, że miną miesiące i lata, zanim ci głupi Persowie odniosą pierwszy sukces, doktor Parvis Jamshidi wyprodukuje już wkrótce tyle uranu, że, in szallah, wystarczy go na budowę nie jednej, ale dwóch głowic.

Dominika przetłumaczyła to na rosyjski. Mówiła nerwowo, z trudem panowała nad głosem.

– Spytaj go, kiedy chcą zacząć – rzucił Nate. Te informacje wstrząsną całym wywiadem, pomyślał. Politycy z Kapitolu i Białego Domu posikają się w spodnie na myśl, jakie może to mieć konsekwencje.

– *Hojoom* będzie testowany stopniowo, trzema fazami. Ocenimy wydajność każdej nowo podłączonej maszyny oraz

maksymalną wydajność całej kaskady w wydłużonym okresie działania. Zajmie to parę miesięcy.

– Spytaj, czy zna wydajność wirówek, których używają teraz – poprosił Nate i powędrował wzrokiem w dół listy dyrektyw. – Mierzy się ją w jednostkach pracy rozdzielczej, tak zwanych SWU-ach.

– Nie znam, nie pamiętam – odparł Jamshidi.

Bzdura, pomyślał Nate. Naukowiec, irański czy amerykański, wyrecytowałby te liczby z pamięci.

– Panie doktorze – poprosiła Dominika z odrobiną jadu w głosie – a w przybliżeniu?

Jamshidi spojrzał na nich. Miał pokrytą plamami ciemną twarz. Otworzył walizeczkę, wyjął cieniutki laptop, położył go na stoliku i podniósł klapę.

– Powinienem mieć trochę danych w plikach… – Nacisnął przycisk i laptop wydał cichy, przeciągły jęk.

Ciekawe, co jeszcze tam ma, pomyślał Nate. Pewnie jest tego od cholery. Może nadeszła pora na małą sztuczkę? Dominika tego nie wiedziała, ale nagrywał przebieg spotkania talonem ukrytym w torbie na ramię, wiszącej na oparciu krzesła. Langley chciało mieć wszystko, informacje, głosy, rosyjską listę pytań, Udrankę, a nawet to, jak ich nowy nabytek, czyli Diva, radzi sobie z przesłuchiwanym. Miał wyrzuty sumienia, że ją oszukał – zwłaszcza że to ona zaproponowała mu udział w tej operacji – ale cóż, taką miał pracę.

Otworzył torbę, udając, że szuka długopisu, uruchomił odpowiednią funkcję w talonie, po czym postawił torbę na stoliku, tak aby jej dno znalazło się dokładnie naprzeciwko laptopa. Jeśli zrobił wszystko jak trzeba, urządzenie zeskanuje twardy dysk, a wbudowany w przezroczysty pas torby odbiornik ściągnie jego zawartość przez port podczerwieni.

Niezdający sobie z tego sprawy Irańczyk patrzył na ekran i mamrotał coś pod nosem.

– Nie, nie zapisałem tych danych – powiedział szybko i nieprzekonująco.

Nic nie szkodzi, bracie, pomyślał Nate. Już je mamy.

– Następnym razem – powiedziała Dominika. – Nie zapomni pan, prawda?

Irańczyk pokręcił głową.

– Oczywiście. Zatem powtórzę pytanie: kiedy zamierzacie oddać do użytku halę C? – Żółta aureola Jamshidiego to rozbłyskiwała, to przygasała. Jest rozdarty, stwierdziła Dominika. Ujawnienie każdej informacji sprawia mu fizyczny ból. Nie możemy go dłużej maglować. Coraz bardziej słabnie. Trzeba pomyśleć o kolejnym spotkaniu.

– Nie uruchomię kaskady bez okresu próbnego – odparł – jest zbyt cenna. Najpierw musimy zgrać cały system, tysiąc siedemset maszyn, i zakupić specjalistyczny sprzęt konstrukcyjny, który zapewni całkowitą stabilność posadzki.

– Niech poda szczegóły – rzucił Nate, kiedy Dominika przetłumaczyła to na rosyjski.

– Jesteśmy dopiero w pierwszej fazie. Zaopatrzeniowcy z Irańskiej Agencji Energii Atomowej badają źródła branżowe.

Nate omal nie spojrzał na Dominikę, która zerknęła na niego z ukosa.

– Gdzie? – spytała. – W jakich krajach? Od jak dawna? Kim ci ludzie są?

Jamshidi gwałtownie zamknął laptop.

– Na dzisiaj wystarczy. Muszę zajrzeć do notatek, zebrać informacje.

Gra na zwłokę, pomyślała. Opóźnienie niedogodne, lecz dopuszczalne. Spojrzała na Nate’a. Informator, któremu grozi dekonspiracja, jest bardzo wrażliwy i wybuchowy, zwłaszcza na

początku współpracy. Dlatego tak, dzisiaj mu odpuszczą. Nate kiwnął głową. Jak na pierwszy raz dowiedzieli się aż za dużo.

– Dobrze – powiedziała. – Zależy nam zwłaszcza na szczegółowych informacjach dotyczących sprzętu konstrukcyjnego, o którym pan wspomniał. Spotkamy się za tydzień, tutaj, w tym mieszkaniu. Czy to panu odpowiada?

Irańczyk zrobił gniewną minę.

– Chyba tak. – Schował laptop do walizeczki, wstał i ruszył do drzwi. Oni nie wstali – nie podziękowali mu ani nie okazali szacunku, musiał być pod stałą presją.

I znów jakby na umówiony znak z pokoju wyszła Udranka. Pomogła mu włożyć marynarkę i z korytarza dobiegł jej cichy, aksamitny śmiech, lepki jak miód głos, którym zapewniała, że będzie na niego czekała jutro wieczorem. Zagrają w jego ulubioną grę i zapomni o tej okropnej sprawie. Dobrze? Znów stłumiony śmiech i cichy szept. Jamshidi pożegnał się, drzwi się zamknęły, zastukały obcasy szpilek i Udranka wróciła do saloniku. Nalała sobie whisky na trzy palce i wypiła solidny łyk. Zdjęła jeden but, zrzuciła drugi, stanęła przed nimi na bosaka i z obojętną twarzą, jak modelka wypięła biodro, przenosząc ciężar ciała na długą, szczupłą nogę. Gdyby była kominem, nad jej głową unosiłaby się smuga gęstej pary.

– Zgadnijcie – powiedziała.

Dominika i Nate wymienili spojrzenia.

– Chciał przyjść jeszcze dzisiaj, w nocy. Dacie wiarę?

– Pewnie wziął go ten wzbogacony uran. – Domyśliła się Dominika.

SHIRINI KESHMESHI – CIASTECZKA Z RODZYNKAMI

Dokładnie mieszamy mąkę, stopione masło, olej roślinny i jajka. Dodajemy nasączony ciepłą wodą szafran, małe rodzynki i ekstrakt waniliowy. Dobrze mieszamy. Formujemy placuszki, kładziemy je na blasze wyłożonej papierem do pieczenia i pieczemy do uzyskania złocistobrązowego koloru.

8

Dominika wróciła do Moskwy następnego dnia rano, a Nate poleciał wieczorem do Aten. Dzień później troje znerwicowanych analityków z Wydziału Proliferacji przejrzało ściągnięte podczerwienią informacje z laptopa Jamshidiego (talon zadziałał bezbłędnie) oraz przetłumaczony zapis przesłuchania. Szef rezydentury Tom Forsyth, jego zastępca Marty Gable i Nate siedzieli w dźwiękoszczelnej „klatce", słuchając ich wstępnej analizy.

– Niektóre z tych informacji trafią prosto na biurko prezydenta – powiedział analityk nazwiskiem Westfall. Średnio co trzy sekundy przełykał ślinę i za każdym razem podskakiwało mu jabłko Adama. – Do codziennego biuletynu. Jest tego mnóstwo: dane produkcyjne, współczynniki wzbogacania, parametry surowca, osiągi… Niesamowity materiał.

– Wiadomość o hali C i przyspieszeniu produkcji całkowicie przekreśli nasze dotychczasowe oceny i wstrząśnie połową świata, od Waszyngtonu po Tel Awiw – dodał drugi, niejaki Barnes. – Izraelczycy się ucieszą, bo ich przewidywania okazały się słuszne. – Poprawił okulary. Z kieszeni koszuli wystawał mu batonik.

– Przygotowaliśmy już listę pytań uzupełniających na następne spotkanie. – Trzeci analityk, kobieta nazwiskiem Bromley, miała rude włosy, zielone oczy i ciągle klikała

długopisem. Byłaby całkiem ładna, gdyby nie ten aparat korekcyjny, pomyślał Nate. Jej twarz lśniła od potu.

Gable zmarszczył czoło.

– Możesz odłożyć długopis, skarbie? Zaraz się, kurwa, zapali.

– Przepraszam. – Bromley spiekła raka.

Siedzący obok niej Westfall przełknął ślinę.

– To klaustrofobia.

– Co? – Nie zrozumiał Gable.

– Lęk przed przebywaniem w ciasnych…

– Wiem, co to jest klaustrofobia – przerwał mu Marty.

– Bromley nie lubi zamkniętych pomieszczeń – wyjaśnił Westfall, patrząc na akrylową ścianę „klatki". – Denerwuje się.

Bromley znów sięgnęła po długopis, ale Marty spiorunował ją wzrokiem.

– A jak znosi pobyt w toalecie samolotowej?

Analitycy zgodnie pokręcili głową.

– Odpada – powiedziała Bromley. – Zdecydowanie.

– No to Mile-High Club chyba też – mruknął Gable.

Tamci popatrzyli po sobie, wyraźnie skonsternowani.

– Nieważne – rzucił Marty.

Forsyth zaszeleścił papierami.

– Dobra. Możecie zaznaczyć najważniejsze pytania? Jakich informacji nam brakuje? Nate musi go o to spytać.

– Niezawodność tych nowych wirówek – odparł Barnes. – Łączna wydajność tysiąca siedmiuset maszyn. To klucz.

– Krzywe wzbogacania nowej kaskady – dodał Westfall. – Kiedy już zacznie działać.

– To też, ale niech koniecznie spyta go o jednostki pracy rozdzielczej.

Nate czuł, że siedzący obok niego Marty zaraz wybuchnie.

– Czy wy znacie, kurwa, normalny angielski?

Westfall usiadł prosto i znów przełknął ślinę.

– Wyobraźcie sobie gęsty las wysokich na metr osiemdziesiąt rur, tysięcy cylindrów. W każdym mieści się idealnie osadzony i ustabilizowany wirnik obracający się z kosmiczną prędkością siedemdziesięciu tysięcy obrotów na minutę. Do pierwszego cylindra wpompowuje się gazowy sześciofluorek uranu. Pod wpływem siły odśrodkowej lżejsze cząsteczki uranu dwieście trzydzieści pięć gromadzą się wokół osi i zostają przepompowane do następnej wirówki, w której proces oczyszczania się powtarza. Im czystszy uran, tym bogatszy. W dużych kaskadach stopień wzbogacenia nieustannie rośnie, od dwóch do osiemdziesięciu procent. Dziewięćdziesiąt procent to uran przeznaczenia militarnego, materiał, który można wykorzystać do budowy urządzenia nuklearnego.

– Czyli bomby, tak? – upewnił się Gable.

Barnes kiwnął głową.

– Proces jest trochę bardziej skomplikowany, ponieważ mamy tu do czynienia z sześcioflourkiem uranu i uranem dwieście trzydzieści pięć, co znaczy, że…

Marty podniósł rękę.

– Wystarczy. Już wszystko wiem.

– A więc najważniejsza jest wydajność wirówek w tej nowej, tajnej hali Jamshidiego, tak? – spytał Forsyth.

– Nie. – Bromley nachyliła się w jego stronę; wyglądało na to, że klaustrofobia poszła w zapomnienie. – Jest coś ważniejszego. Irańczycy budują tę halę zupełnie inaczej.

Jej koledzy spojrzeli na nią i pokiwali głowami.

– Jamshidi wspomina o zaawansowanej konstrukcji – zauważył Barnes.

– Chce, żeby była niezawodna, co da im gwarancję nieprzerwanej produkcji – dodał Westfall. – Mówi o reaktywnej sejsmicznie posadzce.

– Co to właściwie jest?

Analitycy popatrzyli po sobie i lekko się uśmiechnęli, jakby Nate spytał ich o ulubioną grę wideo.

– Hala kaskadowa musi mieć idealnie gładką i idealnie równą posadzkę. Ewentualne odchyłki nie mogą przekraczać dwudziestu pięciu tysięcznych milimetra na wiele metrów kwadratowych powierzchni. Kaskada musi być także odporna na wibracje i wstrząsy wywołane trzęsieniem ziemi…

– A Natanz leży w aktywnej strefie sejsmicznej – wtrącił Barnes.

– Na uskoku kazeruńskim – dodał Westfall. – To znaczy, że…

Gable znów podniósł rękę.

– A może tak bez przystawek, co?

Tamci wymienili spojrzenia.

– Dobra, walcie dalej – mruknął Gable.

– Przejrzeliśmy dane z komputera Jamshidiego i te posadzki bardzo nas zainteresowały – powiedziała Bromley. – Trochę o nich poczytaliśmy. To bardzo skomplikowane urządzenia stosowane w laboratoriach, silosach rakietowych, zakładach wytwarzających sprzęt precyzyjny i…

– Jak taka posadzka działa? – przerwał jej Nate.

– Upraszczając – odparł Westfall, zerkając na Gable’a – jest to rama zbudowana z aluminiowych dźwigarów, na których spoczywa właściwa posadzka, podłoga o konstrukcji plastra miodu sterowana piezoelektrycznymi czujnikami, które mierzą odchylenia strukturalne i…

Marty przeczesał ręką włosy.

– Przepis! Nie da się tego uprościć jeszcze bardziej?

– Komputerowo sterowane czujniki wykrywają ruchy ziemi i delikatnie poruszają aluminiowymi dźwigarami, żeby posadzka nie straciła poziomu. Wydłużanie się i kurczenie metalu pod wpływem temperatury, silne wstrząsy, lekkie

drgania skorupy ziemskiej, wszystko jedno: posadzka trzyma poziom i kaskada pracuje.

– Irańczycy muszą ją najpierw kupić i zainstalować – zauważył Forsyth. – Ile to może potrwać?

– To zależy od mnóstwa czynników – odparła Bromley. – Musimy się dowiedzieć, gdzie jej szukają, w jakim kraju i konkretnie u jakiego producenta. – Klik-klik! Długopis znów poszedł w ruch. – Producent ją pewnie złoży, przetestuje, rozbierze na części, spakuje i wyśle. Trochę to zajmie.

Nate i Marty wymienili spojrzenia. Diva będzie musiała popracować.

– A w transporcie? Jaki to może mieć rozmiar?

– Będą musieli przewieźć ją statkiem – odparła Bromley. – Hala C będzie miała siedem i pół tysiąca metrów kwadratowych powierzchni, to mniej więcej dwadzieścia pięć kortów tenisowych. Podłoga zewnętrzna, dźwigary, czujniki, okablowanie: to spory pakunek. Może nie tak ciężki, ale duży.

– Dobra – odezwał się Forsyth. – Powiedzmy, że znajdziemy wytwórcę. Co dalej?

– Zrobimy macankę. – Zachwycona Bromley popatrzyła na kolegów. Barnes stłumił śmiech.

– O czym wy, kurwa, mówicie? – warknął Gable.

– No… o macance. – Bromley zachichotała.

– To taki żart dla wtajemniczonych. – Westfall był czerwony jak burak.

Marty miał ochotę ich zamordować.

Bromley spoważniała.

– Trzeba dostać się do ładunku, w fabryce czy magazynie, i zrobić małą podmiankę, zanim przesyłka trafi na miejsce przeznaczenia. Nazywamy to „macaniem” – wyjaśniła z uśmiechem rzeźnika.

– Konkretnie jaką podmiankę? – spytał Forsyth.

– Musiałabym użyć fachowego języka, to dość skomplikowane…

Marty nachylił się ku niej.

– Skarbie, są trzy rodzaje ludzi: dobrzy z matematyki i kiepscy. Postaraj się ująć to jak najprościej.

Nate obserwował ich, zastanawiając się, kto zada nieuniknione pytanie. Gable wykorzystywał ten trik, żeby sprawdzić błyskotliwość rozmówcy.

– A trzeci rodzaj? – spytał Barnes.

Bromley położyła mu rękę na ramieniu i pokręciła głową.

– Dobrze – powiedziała – więc tak: w końcu lat osiemdziesiątych Irańczycy zmądrzeli. Przestali kupować komputery na Zachodzie. Dokładnie sprawdzają wszystkie importowane urządzenia. To, czego nie mogą wyprodukować w kraju, kupują w tajemnicy za granicą. – Znów zaczęła klikać długopisem nieświadoma złowrogich spojrzeń Marty'ego.

Wbiła wzrok w akrylową ścianę nad jego głową i oczy zaszły jej szklistą mgłą.

– Składują wszystko głęboko pod ziemią – wymamrotała – w odpornych na bomby schronach, których nie namierzy telemetria satelitarna ani fale radiowe. Hala C ma pancerne grodzie, filtrowaną, komputerowo sterowaną atmosferę. Wyje w niej tysiąc siedemset wirówek, rurami płynie wzbogacony uran. Maszyny stoją na aluminiowej podłodze, która utrzymuje kaskadę w idealnym poziomie. Ci ludzie wytwarzają broń jądrową… – Bromley poruszyła się, spojrzała na Gable'a i zamrugała. – Oni produkują broń jądrową.

Marty zmrużył oczy.

– Witamy z powrotem. Miałaś przyjemny odlot?

Bromley nie odpowiedziała.

– Dobrze. – Forsyth odchrząknął. – Mniej więcej rozumiemy, ale konkretnie co chcecie zrobić?

Westfall kilka razy przełknął ślinę.

– Wciąż o tym dyskutujemy, ale chcielibyśmy zastąpić kilka aluminiowych dźwigarów naszymi. W fabryce, zanim wszystko spakują i wyślą.

– Kilka, to znaczy ile? – spytał Nate, który zastanawiał się już, jak mogliby dostać się do magazynu.

– Będziemy musieli to obliczyć, ale pewnie około stu. Z tysiąca. Są lekkie. Przy podłodze tej wielkości każdy miałby około półtora metra długości.

– To co, chcecie te belki nadpiłować, żeby się wygięły i zrypały posadzkę? – spytał Gable.

Westfall pokręcił głową.

– Rentgen, spektroskop, waga: Irańczycy sprawdzą każdą część, każde mocowanie, każdy czujnik, porównają wagę. Dźwigary, te nasze, musiałyby być identyczne. – Jego mina mówiła, że piłowanie dźwigarów jest, delikatnie mówiąc, niestosownie prymitywne, tak jak on.

– Rozmawiać z wami to tak, jak przesłuchiwać Ujgurów w jurcie – mruknął Marty, który naprawdę przesłuchiwał Ujgurów w jurcie. – Dacie radę opowiedzieć nam o tych dźwigarach w czterdzieści minut?

Barnes gryzmolił coś w notesie.

– Myśleliśmy, żeby zachowując wagę oryginalnych, odlać je ze stopu aluminium, skandu i białego fosforu. Ze skandu, żeby miały taką samą gęstość jak aluminiowe, z białego fosforu, żeby się zapaliły.

– Z białego fosforu? – powtórzył Marty; widział, jak używają go w Laosie.

Barnes nie przestawał gryzmolić.

– Ma bardzo niską temperaturę samozapłonu, około trzydziestu stopni Celsjusza, ale pali się w dwóch tysiącach siedmiuset sześćdziesięciu. – Powiódł wzrokiem wokół stołu. –

Aluminium w dwóch tysiącach czterystu osiemdziesięciu. Zadziałałoby jak paliwo.

– Trzeba by cholernie długiego lontu.

– Skand podniesie temperaturę zapłonu fosforu do względnie bezpiecznego poziomu około dziewięćdziesięciu trzech stopni, ale dźwigary będą musiały zapalić się bez impulsu zewnętrznego – odparł Westfall. – Żadnych lontów, komputerów, „zetbów”…

– „Zetbów”? – Nie zrozumiał Nate.

– ZB, zapalnik bojowy, głupku – wyjaśnił Gable, który przypadkowo o tym słyszał.

– Dobrze, załóżmy, że Irańczycy sprawdzą tę podłogę i zainstalują – powiedział Forsyth. – Jak się zapali?

– Dzięki bożemu detonatorowi S – odparł Barnes.

– Świetnie, a bez religii? – warknął Marty.

Westfall posłał mu krzywy uśmiech.

– Poczytaliśmy trochę o trzęsieniach ziemi. Fale sejsmiczne dzielą się na fale przestrzenne P, czyli podłużne, i fale S, czyli poprzeczne i powierzchniowe. Podczas trzęsienia ziemi występują jedne i drugie, ale to fale powierzchniowe dokonują największych zniszczeń. – Zerknął na Barnesa, który rysował w notesie faliste linie. – Wykrywające wstrząsy czujniki to zwyczajne przetworniki piezoelektryczne. Pod wpływem naprężeń mechanicznych wywołanych przez fale powierzchniowe pojawiają się ładunki elektryczne, które w normalnych okolicznościach uruchamiają system reaktywnego sterowania posadzką, ale w odlanych przez nas dźwigarach doprowadzą do zapłonu białego fosforu. Aluminium zmieni się w paliwo. Całe, łącznie z tym w rotorach i cylindrach wirówek.

– Nie tylko aluminium. – Barnes odłożył długopis. – Stal zbrojeniowa, rury, okablowanie, beton, biurka, krzesła… Ludzie

też. Wszystko.

– W hali C będzie gorąco jak w piecu – dodała cicho Bromley. – Jak na powierzchni słońca.

W „klatce” zapadła cisza.

– Jak na to wpadliście? – spytał w końcu Forsyth.

Analitycy wymienili spojrzenia.

– W sumie to był jej pomysł – odparł Westfall, patrząc na Bromley.

– Najważniejsze, że hala będzie wyglądała jak Jackson Pollock – podsumował Nate.

– Jak kto? – Nie zrozumiała Bromley.

– Jackson Pollock, ten z laboratorium nuklearnego Departamentu Energii – odparł Barnes.

– Tam pracuje Johnson Pollock, nie Jackson.

– Dobra, nieważne – uspokoił ich z uśmiechem Forsyth.

– Proponuję zrzucić tych troje na teren zakładów w Natanz – powiedział Gable. – Iran podda się w trzy minuty i będzie po ptakach.

Analitycy byli zachwyceni komplementem gburowatego oficera.

Marty spojrzał na Nate’a.

– Rozumiesz teraz, jakie to ważne? Irański program nuklearny, chwytasz? Teoretycznie za rok będą mieli dość dziewięćdziesięcioprocentowego uranu, żeby zmajstrować bombę. Weźcie tę kozią bródkę w obroty i niech wam powie, gdzie chcą kupić sprzęt. Kelnerka z Laosu, pamiętasz?

Nate kiwnął głową.

Barnes wyjął z kieszeni batonik.

– Dobrze się sprawiliście – pochwalił ich Marty. – Wszyscy. Dasz gryza?

Depesza z centrali – napisana charakterystycznym stylem Simona Benforda – jeden z analityków z Dyrektoriatu Wywiadu nazwał go kiedyś „powieścią wiktoriańską po zawale” – przyszła do Aten kilka dni po powrocie analityków do Waszyngtonu.

1. Centrala wyraża uznanie dla rezydentury i oficera prowadzącego Nasha za przesłuchanie irańskiego naukowca Jamshidiego. Informacje o irańskich zakładach atomowych w Natanz i planach przyspieszenia produkcji wzbogaconego uranu zostały przekazane decydentom.
2. Centrala usilnie prosi o jak najszybsze informacje na temat terminu ukończenia budowy hali i zakupu „posadzki sejsmicznej”. Możliwości przeprowadzenia tajnej akcji są w trakcie analiz, podobnie jak dostępne technologie. Operacji nadano kryptonim WULKAN. Będzie koordynowana zastrzeżonymi kanałami.
3. Centrala wyraża zadowolenie z ponownego nawiązania kontaktu z Divą. Jej czujność oraz inicjatywa w rozpoznaniu potencjału operacji WULKAN są godne pochwały. Mimo że bezpieczeństwo Divy jest absolutnym, powtarzam, absolutnym priorytetem, jej informacje na temat wysokich przedstawicieli rosyjskiego rządu (WPRR), ich planów i zamierzeń, byłyby nie do przecenienia.
4. Jeśli Diva wejdzie w posiadanie takowych informacji i jeśli do jej dalszego prowadzenia konieczne okaże się uruchomienie moskiewskich kanałów wewnętrznych, rezydentura natychmiast otrzyma stosowne instrukcje. Ponieważ Diva będzie przebywała w Europie cały tydzień, dyrekcja prosi o zorganizowanie spotkania z nią i jej prowadzącymi; za dwa dni w bezpiecznym lokalu w Wiedniu. Niezbędne wsparcie rezydentury.

Trzy dni po powrocie do Moskwy zaproszono ją do służbowego mercedesa i szosą Rublowo-Uspieńską powieziono na zachód. Ziuganow siedział obok niej na tylnym siedzeniu, wypełniając samochód czarną jak sadza chmurą urazy i gorzkiego jadu, która powinna buchać kłębami przez okno i ciągnąć się za nimi, jakby tapicerka stała w ogniu.

Jej wstępny raport z przesłuchania Jamshidiego został entuzjastycznie przyjęty przez Zarząd X (wywiad naukowo-techniczny), co z kolei zwróciło uwagę Kremla, Ministerstwa Obrony i specjalistów nuklearnych z Rosatomu, Rosyjskiej Państwowej Korporacji Energii Jądrowej. Ponieważ przesłuchania nie nagrywano – każdy doświadczony oficer wywiadu wiedział, że świeżo zwerbowanego informatora nie straszy się ukrytymi czy nieukrytymi magnetofonami – Dominika musiała przedstawić raport osobiście. Kremlowskie grube ryby – ministrowie, generałowie i biurokraci – były oczarowane niebieskooką agentką. Wywołała prawdziwą sensację.

Ziuganow kipiał gniewem, bo kilka razy wezwano ją do dyrektora generalnego, raz bez niego. Dlatego kiedy przyszło wezwanie z sekretariatu prezydenta, pomyślała: dzięki Bogu, że proszą i jego. Czuła, że uraza tli się w nim jak wełniany koc, w który zawinięto gorącą cegłę.

Limuzyna, prowadzona przez umundurowanego wieśniaka o czerwonych jak burak uszach, zjechała w Rublowce z głównej szosy, minęła żelazną bramę słynnego sanatorium, w tumanach kurzu popędziła drogą biegnącą nad brzegiem jeziora i minąwszy kilkanaście ukrytych za drzewami dacz, zwolniła przed stróżówką zamku w Barwisze, jednej z letnich rezydencji prezydenta.

Przez chwilę toczyła się wysadzaną drzewami aleją, potem wjechała na wyłożony różowym kamieniem podjazd, okrążyła niewielki, tradycyjnie urządzony ogród z fontanną pośrodku i zatrzymała się przed wejściem u stóp jednej z zamkowych wieżyczek. Lekka mżawka przyciemniała szare zarysy pozostałych i Dominika pomyślała, że jest to raczej pałacyk, a nie zamek. Na szczycie schodów czekał kamerdyner w białej liberii. Na podjeździe parkowało sześć innych samochodów, mercedesów, bmw i jedno ferrari o rekinim pysku. Ziuganow nerwowo wysiadł, rzucił bezsensowne „Chodźmy" i wszedł na schody. Otaczająca go czarna chmura pulsowała z podniecenia.

Był w źle dopasowanym brązowym garniturze, uszytym tak, jakby miał ukryć garb, kremowej koszuli, niedbale zawiązanym brązowym krawacie i brązowych butach. Dominika podziękowała Najwyższemu, że nie włożyła nic brązowego. idąc na bezpieczny kompromis, zdecydowała się na granatowy kostium i pantofle na niskim obcasie; nie będziemy przecież grać w krokieta, pomyślała. Jak zwykle miała wysoko upięte włosy. Jedyną ozdobą, jaką tego dnia nosiła, był cieniutki zegarek na wąskim czarnym pasku.

Jasno oświetlony korytarz wyłożony starym, skrzypiącym parkietem zaprowadził ich do małej sali recepcyjnej. Wspaniały, ręcznie tkany irański dywan, kryształowy żyrandol, wypukła boazeria, ciężkie fotele klubowe o grubych rzeźbionych podłokietnikach, obite zielonym brokatem przyprószonym złotem; *podlecy*, pomyślała. Spadkobiercy współczesnej Rosji wciąż ozdabiają swoje pałace jak dawni carowie. Adiutant zostawił ich samych i odszedł, nie zamykając drzwi. Gdzieś w pobliżu otworzyły się inne, rozbrzmiał cichy szmer głosów i w korytarzu zabrzmiały czyjeś kroki. Do sali wszedł prezydent Putin, a za nim niski mężczyzna w jedwabnym garniturze. Prezydent był jak zwykle w ciemnym,

kontrastującym ze śnieżnobiałą koszulą i zielononiebieskim krawatem.

– Panie pułkowniku, pani kapitan… – Uścisnął im ręce, tonąc w błękitnej jak lód chmurze, spokojnej i okazałej. Nie przedstawił towarzyszącego mu mężczyzny. Ten miał dwa grube podbródki, haczykowaty nos, ciemne brwi, kręcone siwe włosy i był w idealnie skrojonym kremowym garniturze, który dość skutecznie skrywał jego wielki brzuch. Wyglądał na sześćdziesięciolatka. Ze splecionymi z tyłu rękami stał cicho z boku w żółtej mgle oszukaństwa, chciwości i obżarstwa.

– Przeczytałem pani raport z przesłuchania tego Irańczyka – zaczął Putin. – Bardzo dobre spotkanie.

Dominika poczuła, że stojący obok niej Ziuganow przestępuje nerwowo z nogi na nogę.

– Dziękuję, panie prezydencie – odparła. – To głównie zasługa wskazówek operacyjnych pana pułkownika.

– Nie wątpię. – Putin zerknął na Ziuganowa. – Musicie teraz zdobyć jak najwięcej informacji o posadzce, którą Irańczycy chcą zamontować w tej tajnej hali.

Ziuganow zrobił krok do przodu.

– To nasz priorytet, panie prezydencie.

Dominika zastanawiała się, dlaczego Putina zainteresowały nagle sprawy czysto techniczne. Co więcej, dlaczego rozmawia o tym w obecności obcego? Spytać go o to? Wykluczone, rzecz nie do pomyślenia. Ziuganow najwidoczniej nie przejmował się nieznajomym.

– Zarząd X – dodał – ustali, jakiego potrzebują sprzętu i z kim negocjują zakup.

– Naturalnie – powiedział Putin. – Ale chcielibyśmy, żebyście śledzili tę sprawę wyjątkowo wnikliwie. Jeśli uda nam się poznać ich zamiary, niewykluczone, że Rosja zyska na tym finansowo.

Oczewidno, oczywiście. Dominika natychmiast wszystko zrozumiała. Putin chciał wykorzystać SWR do zdobycia dużego kontraktu dla swojego kumpla i jeśli plan wypali, na jedno z pękających w szwach zagranicznych kont prezydenta wpłynie kolejna sowita działka. Jego błękitna aureola pulsowała równo i spokojnie. Wyrzuty sumienia nie przeszkadzały mu w rachubach.

– Przedstawiam państwu *gospodina* Gowormarienkę. – Na wpół odwrócił się w stronę mężczyzny. – *Gospodin* Gowormarienko jest związany z Iskrą-Eniergietiką. Panie pułkowniku, zechce pan umożliwić mu nawiązanie kontaktu z przedstawicielami Irańskiej Agencji Energii Atomowej.

Gowormarienko – Dominika znała to nazwisko. Sojusznik Putina, był kiedyś leningradzkim aparatczykiem – wartość jego prywatnego majątku wyceniano na dziewięćdziesiąt miliardów rubli. Garnitur z Paryża, buty z Londynu i – na sto procent – zaplamione moczem gacie. Żółta mgła unosiła się nad nim jak dym z cygara w zamkniętym pokoju.

– Oczywiście, panie prezydencie. – Ziuganow skinął mu głową. – Możemy to zrobić w miarę szybko za pośrednictwem przedstawiciela irańskiego wywiadu w Moskwie. Mam bezpośredni kontakt z irańskim Ministerstwem Wywiadu i Bezpieczeństwa.

– Zróbcie to, jak chcecie, byle szybko – powiedział Putin. – To najważniejsze.

– Przepraszam, panie prezydencie – wtrąciła Dominika. – Irańczycy bardzo się spieszą i podejrzewam, że *gospodin* Gowormarienko nie zdąży zaspokoić ich potrzeb. Chodzi o bardzo specjalistyczny sprzęt, więc…

– Dziękuję, pani kapitan – przerwał jej Ziuganow. – Szczegóły ustalimy w Moskwie.

– Skoro tak – spytał Gowormarienko, patrząc na Dominikę – co by pani proponowała? – Od hektolitrów wypitej wódki miał szorstki, chrapliwy głos.

Ziuganow zesztywniał – to była jego działka – i doszedł ją mokry łopot czarnych skrzydeł. Zerknęła na niego z ukosa, na tego obrzydliwego karła, który odkrył, że bicie kobiet w palce u nóg jest źródłem strasznego bólu, na spoconą gębę fałszywego pochlebcy, i wiedziała już, że on też był zamieszany w zabójstwo Korcznoja. Zerknęła i w ułamku sekundy podjęła decyzję: nie, nie będzie ich oszczędzała. Ze ściśniętym z zimna gardłem spojrzała na Putina i przypomniały jej się słowa babci: „*Da pozabył tiebie skazat': żena twoja pomierła wiesnoj*". Aha, zapomniałem ci powiedzieć: na wiosnę umarła ci żona. Spotkała cię katastrofa, tylko jeszcze o tym nie wiesz. Mawiali tak chłopi pańszczyźniani.

Wzięła oddech.

– Chcę tylko powiedzieć, że Irańczycy nie będą czekali, aż Rosja wyprodukuje potrzebny im sprzęt. Jeśli uda mi się dowiedzieć, gdzie i z kim na ten temat rozmawiają, moglibyśmy kupić go w ich imieniu, następnie przesłać do Teheranu. – Miała ochotę dodać: „z dużym zyskiem", lecz ugryzła się w język.

Co za bezczelność! Rozdrażniony Ziuganow zacisnął zęby. Putin to zauważył i odruchowo wbił między nich jeszcze szerszy klin.

– Jaką korzyść odnieśliby Irańczycy, kupując, powiedzmy, niemiecki sprzęt od Rosjan, zamiast bezpośrednio od Niemców? – Pytał Ziuganowa, lecz Dominika go uprzedziła.

– Panie prezydencie – odparła bez ogródek – zakup można utrzymać w tajemnicy, co bardzo by im odpowiadało. Sprzęt trafiłby po cichu do Teheranu, omijając międzynarodowe sankcje i embarga, a to dla nich rzecz najcenniejsza, coś, za co zapłaciliby nawet podwójną cenę. Natomiast Rosja, i pan, panie

prezydencie, zyskałaby duże wpływy w Iranie, a poprzez Iran w całym regionie.

Niebieska aureola Putina zawirowała jak promienie słońca na karuzeli. Oto on, car Wszechrosji, niepokonany mistrz *Turnira Tieniej*, Turnieju Cieni, Wielkiej Gry. Spojrzał na Gowormarienkę.

– Widzisz, Wasia? Siła i użyteczność wywiadu jest niepodważalna. Nasze służby nie mają sobie równych. – Przeniósł wzrok na Dominikę i Ziuganowa. – Pozostaje tylko sprawdzić, które podejście będzie dla nas korzystniejsze: Ziuganowa i twoje, oficjalnymi kanałami, czy kapitan Jegorowej, kanałami tajnymi. – Spojrzał na Dominikę, skinął głową i zakrzywiły mu się kąciki ust: bardzo wielka pochwała. Ziuganow oddychał głośno przez nos.

Rozmawiali stojąc, ale teraz Putin wskazał ciężkie fotele wokół bogato zdobionego stolika. Kelner wniósł kryształową wazę z lodem, w której stała butelka wódki, i cztery kieliszki. Obok wazy postawił tacę z grzankami posmarowanymi błyszczącą pastą z bakłażanów, kaparów, anchois i czarnych oliwek. Gowormarience rozbłysły oczy: szybko rozlał wódkę i zaproponował toast za przyszłe sukcesy. Dominika wypiła; alkohol palił w piersi jak gorące żelazo. Gowormarienko wepchnął grzankę do ust i zaczął energicznie żuć. Z uśmiechem skinął jej głową, zachęcając, żeby też się poczęstowała, pewnie po to, aby mógł więcej zjeść. Między zębami utkwiły mu kawałki jedzenia. *Mieszczanin wo dworianstwie*, uwalany błotem wieśniak, który awansował na królewskiego dworzanina. Dominika sięgnęła po *zakusku*. Bakłażany były słodkawe, lekko pikantne, soczyste i aromatyczne.

Popatrzyła na nich, na trzech mężczyzn siedzących pod kryształowym żyrandolem w wyłożonej boazerią sali. Oprócz nich w zamku przebywali także inni kamraci Putina,

uzurpatorzy rosyjskiego dziedzictwa. Z poparciem prezydenta zbierali się tu, by knuć nowe spiski, wypychać pieniędzmi kieszenie i obżerać się łakociami, podczas gdy poza Moskwą brakowało podstawowych produktów żywnościowych, jajek, mleka i mięsa. Widziała, jak żyje się ludziom na Zachodzie.

Cóż za prześwietne zgromadzenie: żłopiący wódę Gowormarienko we mgle koloru moczu, okryty czarnym całunem Ziuganow, lubiący bić kobiety sadysta, który gapił się na Putina jak myśliwski pies czekający na rozkaz pana, wreszcie sam prezydent, który siedział wygodnie w fotelu i nie pijąc, spoglądał na nią spod przymkniętych powiek, błękitny i zimny jak wódka w stojącym przed nim kieliszku. Spotkali się wzrokiem i znów drgnęły mu kąciki ust.

Zmrużyła oczy. On wie, co o nich myślę. Wie, że obietnicą przyszłych zaszczytów i uznania doprowadza Ziuganowa do szaleństwa, i napuszcza mnie na niego, doskonale zdając sobie z tego sprawę. Chaos, zazdrość i zdrada – oto jego narzędzia.

Kremlowskie zasłony rozchyliły się na chwilę i nagle dotarło do niej, że siedzący naprzeciwko niej niebieskooki blondyn jest wygłodniałym drapieżcą, wężem owijającym się wokół czegoś małego i kosmatego. Drugie olśnienie przyćmiło to pierwsze: Putina rozsadza zawistne pożądanie. Pragnie tego, co mają inni. I ograbianie ich sprawia mu największą przyjemność.

Agentką CIA została z wielu powodów: z wyboru osobistego, zemsty, bo tak kazała jej skrywana w piersi lodowata tajemnica, z szacunku dla Amerykanów, z miłości do Nate'a… Z miłości do Nate'a? Tak, chyba tak. Ale do tych wszystkich powodów dodała teraz nowy: jeszcze silniejsze postanowienie, że pokrzyżuje tym zwyrodnialcom szyki, rzuci im kłodę pod nogi. Przeniosła wzrok na Putina. Wciąż na nią patrzył i przeszedł ją zimny dreszcz. Znał prawdę? Jej tajemnicę? Reaktywowana agentka CIA, pseudonim Diva, kret w Służbie Wywiadu Zagranicznego

Federacji Rosyjskiej, nieświadomie pomachała pod stołem nogą. No i co mi teraz zrobisz, towarzyszu?

PRZYSTAWKA Z BAKŁAŻANÓW

Opiekamy bakłażany, aż zmiękną i zbrązowieją. Miąższ dokładnie miksujemy. Pokrojoną w kostkę cebulę i czerwoną paprykę obsmażamy na oliwie z dodatkiem koncentratu pomidorowego, octu, cukru i przypraw. Dodajemy zmiksowany miąższ, zmniejszamy płomień i mieszamy, aż pasta stanie się gęsta i błyszcząca. Studzimy i posypaną szczypiorkiem podajemy na grzankach z masłem.

9

Pułkownik Aleksiej Ziuganow nie miał zwyczaju jadania służbowych lunchów ze swoimi kontaktami ani też nie był zbyt obznajomiony z niuansami tajnych operacji, które SWR prowadziła wraz ze swoimi sojusznikami, agencjami wywiadowczymi zaprzyjaźnionych krajów. Niemniej doskonale rozumiał, jak krytyczne czeka go zadanie. Prezydent wystrzelił z pistoletu startowego, zapoczątkowując wyścig między nim i Jegorową, wyścig, którego metą był sprzęt dla Iranu. Dlatego pułkownik musiał zrobić wszystko, żeby ten gruby oligarcha Gowormarienko jak najszybciej nawiązał kontakt z przedstawicielem Irańskiej Agencji Energii Atomowej, dowiedział się, jakiego konkretnie potrzebują sprzętu, i zdobył kontrakt. Dzisiejszy lunch był pierwszym i chyba najważniejszym krokiem.

Zdenerwowany Ziuganow nie mógł usiedzieć na miejscu. Zwycięzca będzie miał posłuch u samego prezydenta, wkradnie się w jego łaski. Trafi do wewnętrznego kręgu jego najbardziej zaufanych doradców, zdobędzie wpływy i szacunek. Pułkownikiem owładnął paroksyzm żądzy. Musiał, po prostu musiał wygrać. I wiedział już jak. W jego zarobaczonym umyśle zalągł się zuchwały plan.

No i jeszcze coś: Gowormarienko też byłby bardzo pożytecznym protektorem. Bliska znajomość z nim przyniosłaby wymierne korzyści. Podczas gdy większość ludzi oceniała nowych znajomych kryteriami takimi jak osobowość,

wygląd czy seksualność, on potajemnie stosował inną skalę. W moich lochach, myślał, Gowormarienko płakałby, chlipał i śpiewał jak z nut. Ma niski próg bólu i boi się o swoje genitalia, jak każdy zboczeniec. Oderwał kawałek chleba i włożył go do ust.

Siedział przy bocznym stoliku w Damas, małej restauracji przy ulicy Marosiejka, trzy przecznice od placu Łubiańskiego. Białe ściany, geometryczne ozdoby na suficie, krzesła z wyłożonymi masą perłową oparciami – sala miała damasceński wystrój. I była prawie pusta. Gdy wszedł Mehdi Naghdi, przedstawiciel irańskiego Ministerstwa Wywiadu i Bezpieczeństwa w Moskwie, Ziuganow pozbierał myśli i wstał.

– *Salam*, pokój z tobą – powiedział Naghdi niemal doskonałą ruszczyzną.

Pułkownik stwierdził, że od ich ostatniego spotkania Irańczyk w ogóle się nie zmienił: średni wzrost, wystrzępiona broda, gęste brwi, przenikliwe oczy – był w ciemnym garniturze i białej koszuli. Wydawało się, że ciągle wypatruje jakiegoś bluźnierstwa czy obelgi i zaraz wybuchnie gniewem. Ziuganow rozmawiał z nim tylko dwa razy i nie lubił tego wiecznie podminowanego południowca.

– Dawno się nie widzieliśmy – zaczął z tłumioną pogardą. – Jak się pan miewa?

Naghdi spojrzał na niego nieprzeniknionymi, czarnymi jak bazalt oczami. Nawet nie mrugnął.

– Dobrze, dziękuję.

Dołbojob, pomyślał Ziuganow. No dobra, kutasie.

– Kontaktuję się z panem na polecenie naszych najwyższych władz. Chodzi o kwestię wielkiego znaczenia strategicznego zarówno dla Rosji, jak i dla Iranu. Sprawa jest bardzo pilna. Ma również duże znaczenie komercyjne dla naszych rządów.

Naghdi błysnął oczami.

– Zamieniam się w słuch.

Ten zacząłby krzyczeć dopiero po tygodniu, pomyślał Ziuganow. Byłby nie lada wyzwaniem. Zacząłbym od elektryczności, żeby zgasić ogień w tych gniewnych ślepiach.

Szybko zapoznał go z ogólnym zarysem propozycji: Gowormarienko, spotkanie z szefostwem Irańskiej Agencji Energii Atomowej, niewykluczone, że i z wysokimi urzędnikami z Teheranu i władzami Rosatomu, Rosyjskiej Państwowej Korporacji Energii Jądrowej.

Naghdi wysłuchał go bez słowa i spytał:

– Jakiemu celowi miałoby to spotkanie służyć?

– Wasi i nasi eksperci omówiliby sprawę zakupu wyspecjalizowanego sprzętu – odparł Ziuganow. – Przedyskutowaliby sposoby ominięcia embarga i sankcji, jakie ciążą na Iranie.

– Oczywiście na warunkach korzystnych dla pańskich zwierzchników – zauważył Naghdi.

Job twoju mat', pomyślał Ziuganow.

– Warunki byłyby korzystne dla obu stron – odparł zmęczony delikatnym charakterem rozmowy. Dogadywanie się z Irańczykami było przekleństwem.

– A może mi towarzysz powiedzieć, skąd SWR wie, że Iran poszukuje takiego sprzętu?

Cudownie, pomyślał pułkownik. Tylko na to czekałem. Pora wrzucić wyższy bieg.

Po spotkaniu z Putinem i Gowormarienką w Barwisze uknuł plan. Ta chytra i opanowana Jegorowa go nie pokona, nie zamierzał do tego dopuścić. Nie, była zbyt dobra, zbyt inteligentna. Wyciągnięcie kolejnych informacji od Jamshidiego było kwestią następnego przesłuchania. Natomiast on musiałby długo tańczyć na linie, zanim udałoby mu się doprowadzić do spotkania tych brodatych perskich sów z chciwymi, upartymi

Rosjanami. Kierowały nimi sprzeczne interesy i Jegorowa miałaby czas po swojej stronie.

Nie, ta chytra suka musi przegrać. Dać ciała. A siedzący naprzeciwko niego kozojebca będzie zapalnikiem zmyślnej operacji.

– W interesie naszej braterskiej współpracy chętnie panu powiem. – Ziuganow uśmiechnął się, odsłaniając kołkowate zęby.

Kelner postawił na stole półmisek smażonej ciecierzycy pachnącej kminkiem i czosnkiem. Wyczekująco przystanął, lecz Ziuganow odprawił go machnięciem ręki.

– Otóż wiemy, że Iran szuka sprzętu objętego embargiem, specjalistycznych urządzeń dla swojego programu nuklearnego.

– Skąd to przekonanie? – Naghdi nawet nie mrugnął.

Amator, pomyślał Ziuganow. Durne gierki. Pora zerwać zasłonę.

– Uważamy, że macie problem. Źródła tej informacji muszą pozostać utajnione, przynajmniej na razie, ale podejrzewamy, że służbom operacyjnym przeciwnika udało się pozyskać jednego ze znaczących specjalistów waszego programu nuklearnego. – Podniósł z uśmiechem ręce. – Wiem, wiem, to takie nagłe i niespodziewane. Odkrycie, że jest wśród nas zdrajca, zawsze niepokoi. My też miewamy takie problemy.

Naghdi uważnie sondował jego twarz.

– To wszystko, co może pan powiedzieć? Przecież to bezwartościowa informacja. Mniej niż bezwartościowa.

Ziuganow posłał mu kolejny uśmiech.

– Doskonale rozumiem pańską frustrację – powiedział jakby po namyśle. – Dlatego dodam coś nieoficjalnie, tylko między nami: przechwyciliśmy wiadomość, że za trzy dni dojdzie do spotkania między tym specjalistą i przedstawicielami wrogich nam służb.

– To niczego nie zmienia, ta informacja też jest zupełnie bezwartościowa. – Naghdi z trudem ukrywał wściekłość. Ten *teeleh*, ten rosyjski karzeł, próbował z nim pogrywać!

Ziuganow spojrzał na ręce, udając, że zastanawia się, czy warto pogwałcić zasady i zdradzić mu tajemnicę. Podniósł wzrok. Podjął decyzję.

– Ale tylko między nami, zgoda? – Obaj dobrze wiedzieli, że w tej branży nie ma powierników, mimo to Naghdi kiwnął głową i błysnął oczami. – A potem uzgodnimy szczegóły spotkania naszych urzędników, tak?

Irańczyk znów kiwnął głową. Drżały mu usta. Ziuganow miał ochotę podręczyć go trochę dłużej, lecz uznał, że już wystarczy.

– Powinniście zajrzeć do Wiednia. Wygląda na to, że jeden z waszych ekspertów nuklearnych zszedł na manowce. Nasz przeciwnik umie dotrzeć do takich ludzi, skądinąd zresztą uczciwych. Rozumie pan?

– Żydzi! – syknął Naghdi.

Ziuganow nie zaprzeczył. Skoro Irańczycy dostawali drgawek na myśl o Izraelu, proszę bardzo, nie zamierzał ich z tego leczyć.

– Sugerowałbym, żebyście rozegrali to bardzo dyskretnie. Nasz przeciwnik znakomicie wykrywa przecieki i wyczuwa niebezpieczeństwo. – Ach, marzył, chwycić szczypcami jego palec wskazujący i zmiażdżyć go na wysokości środkowego stawu…

– Proszę się nie martwić o nasze umiejętności – warknął Irańczyk. Było oczywiste, że zapomniał o lunchu i chce jak najszybciej wyjść.

– Ależ skąd. Wy macie swoje metody, my swoje.

Naghdi odsunął się z krzesłem od stołu, skinął mu głową i wyszedł z restauracji.

Ziuganow usiadł wygodniej. Wiedział, że Irańczyk pójdzie tym tropem z fanatyczną zaciekłością. „Przechwyciliśmy wiadomość” – dodał te słowa, żeby ichnie Ministerstwo Wywiadu i Bezpieczeństwa nie podejrzewało, że macza w tym palce SWR. Natomiast to, że Irańczycy we wszystkim widzieli udział Mossadu, jeszcze bardziej przyciemni sprawę. Skończy się na tym, że Jegorowa będzie czekała na Jamshidiego długo i bezskutecznie, bo Irańczycy natychmiast wsadzą go do samolotu i wywiozą do Teheranu. Źródełko informacji wyschnie i sprawa upadnie. Dlaczego agent nie przyszedł na umówione spotkanie? Dlaczego do tego dopuściła? – tak, to byłaby piękna scena: pani kapitan tłumacząca się przed prezydentem. Pole operacyjne stanie przed nim otworem.

Wrócili do Wiednia tego samego dnia. Po zmroku Nate wślizgnął się do jej mieszkania, żeby omówić plan działań i przejrzeć listę pytań, jakie Rosjanie chcieli zadać Jamshidiemu następnego wieczoru. Rozłożyli na stoliku papiery i usiedli obok siebie na sofie w malutkim saloniku. Nate zaczął analizować pytania Zarządu X i zapisywać je w talonie. Dominika patrzyła, jak pracuje. Miała skupioną twarz.

– Rozumiem, że tym razem Langley też zaopatrzyło cię w pytania.

Kiwnął głową. Delikatna sprawa i drażliwa chwila: ściśle biorąc, Diva nie powinna mieć dostępu do ich pytań. To ona była agentką i to ona dostarczała im informacji. Ona im, a nie oni jej. Materiały wywiadowcze miały płynąć tylko w jedną stronę. Zawahał się, zastukał w ekran i obrócił talon tak, żeby mogła wygodnie czytać. Nie zamierzał skopać tej misji tylko po to, żeby uszczęśliwić tych z Wydziału Proliferacji. Agentka czy

nie, Dominika była jego partnerką, przynajmniej chwilowo. Jedyną informacją, której pod żadnym pozorem nie zamierzał jej przekazywać, był projekt tajnej operacji zmodyfikowania posadzki sejsmicznej dla Irańczyków.

Poza tym, myślał, co by mogła zrobić? Wrócić do Moskwy i oświadczyć, że zdobyła listę amerykańskich dyrektyw wywiadowczych? Centrala natychmiast spytałaby ją od kogo.

Dominika przysunęła się bliżej.

– Dziękuję, że mi je pokazujesz – powiedziała cicho, patrząc na ekran. – Wiem, że to sprzeczne z przepisami. Jako mój oficer prowadzący wykazałeś się wielką odwagą moralną. Narażasz się na wielkie ryzyko. Ale nawet jeśli wyrzucą cię z pracy, te pytania bardzo przydadzą mi się podczas rozmowy z Jamshidim. – Zerknęła na niego z ukosa. – Możesz mi zaufać, *duszka*. Nikomu nie powiem.

– Ufam ci – przytaknął Nate. Po ociekającym sarkazmem głosie natychmiast poznał, że Dominika jest we frywolnym nastroju.

– Całkowicie?

Siedzieli bardzo blisko siebie i jego purpurowa aureola otaczała ich oboje.

– Całkowicie. Nawet wtedy, kiedy ci odwala.

– „Odwala”? Co to znaczy?

– Kiedy masz… *wspyszku gniewa*. Kiedy wybuchasz gniewem i przestajesz nad sobą panować.

– Chciałbyś zobaczyć *nastojaszczuju wspyszku*? – Świetnie się bawiła. Przypomniało jej się, jak w zadartej do bioder sukience tarzała się z nim po podłodze, jak miażdżył ustami jej usta, jak chętnie i szybko mu uległa… Przestań, pomyślała. Natychmiast przestań.

– A tak… – westchnął Nate. – Skąd ja to znam? Prędzej czy później wychodzi z ciebie jakże znakomicie udokumentowana

biesnowata, opętana. – Ze śmiertelną powagą spojrzał na jej usta. Dominika z trudem powstrzymała śmiech.

Oboje oddychali przez nos, oboje mieli wilgotne ręce i przyspieszony puls. Ona spojrzała na jego aureolę, on jej w oczy i oboje stwierdzili, że wyglądają teraz inaczej. On wiedział, co czuje ona, ona, co czuje on, i obojgu przemknęła przez głowę ta sama myśl: uspokój się. Jutro, a może i pojutrze czekało ich mnóstwo pracy, a potem ona wróci do Moskwy, gdzie będzie dalej szpiegowała, a on do Aten, by podjąć osobistą walkę z centralą i poprowadzić Liryka. Będą widywali się raz, najwyżej dwa razy w roku, w końcu przejmie ją moskiewska rezydentura.

Nate zamknął talon. Dominika wyprostowała się.

– Zaczekaj, nie zamykaj. O czymś zapomniałam. To ważne. Lepiej to zapisz. Nie tylko wy interesujecie się tym irańskim sprzętem. – Opowiedziała mu o Putinie, Gowormarience i Ziuganowie. – Chcą mieć w tym udział. Te świnie myślą tylko o pieniądzach.

O kurczę, pomyślał. O kurczę. Langley i ci z Wydziału Proliferacji się nie pozbierają: niczego nieświadoma Rosja kupuje zmodyfikowaną przez Amerykanów posadzkę sejsmiczną i omijając międzynarodowe embarga, za astronomiczną cenę sprzedaje ją Teheranowi. Rok później kosztowny podarunek prezydenta Putina dla irańskich mułłów staje w ogniu i tysiąc siedemset wirówek w tajnej hali C na najbliższe dwadzieścia pięć tysięcy lat zmieni się w radioaktywny żużel. Teheran zażąda od Moskwy odpowiedzi, Putin będzie poniżony, a Ziuganowa wywiozą na Syberię i rzucą wilkom na pożarcie. O kurczę…

Dominika czytała w jego myślach.

– Ziuganow i Gowormarienko chcą zaproponować interes Irańskiej Agencji Energii Atomowej. Ich rozmowy trochę

potrwają, więc spokojnie zdążymy wyciągnąć szczegóły od tego kretyna.

W tym problem, pomyślał. Wydział Proliferacji musi mieć czas na zamianę dźwigarów. Jeśli za dwa dni Dominika przekaże Moskwie uzyskane od Jamshidiego informacje, nie zdążymy zmontować operacji. Spojrzał jej w oczy.

– Nic z niego nie wyciągniemy – powiedział powoli. – A jeśli nawet, to nie zgłosisz tego centrali.

Przekręt do kwadratu – nie mógł tego przeprowadzić bez jej wiedzy, nie mówiąc jej o Wulkanie, nie wyjaśniając dlaczego i po co. A zrobić tego nie mógł. Nie miał prawa. Za takie przestępstwo – za takie bluźnierstwo – wylatywało się z pracy. Nie było czasu na telefon do Langley; rozmowę z Gable'em czy Forsythem ktoś mógłby podsłuchać. Zresztą Gable kazałby mu się wreszcie zdecydować – zrób coś, do cholery! – i ponieść konsekwencje. „Życie to kurwa. I ma od groma sióstr". Tak mu kiedyś powiedział.

– Możesz mi łaskawie wytłumaczyć dlaczego? – poprosiła Dominika głosem jak płynąca pod górę rtęć. Była gotowa wybuchnąć, tym razem naprawdę.

I Nate wytłumaczył, przekraczając granice i łamiąc kilkanaście przepisów. Słuchała go uważnie i bez słowa. Cholera jasna, pomyślał. Ona jest moją agentką, oficerem Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej, a ja zdradziłem jej właśnie nasze najtajniejsze plany. Już widział, jak wzywają go na dywanik do Biura Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Langley.

– Dobrze – powiedziała.

– Co dobrze? – Nie zrozumiał.

– Zrealizuję wasz plan. Jest genialny. Pomyśl tylko, jak zgnębiony będzie ich Najwyższy Przywódca, w jakie

zakłopotanie wpadnie Władimir Władimirowicz. No i mój biedny Ziuganow: wreszcie poczuje smak swojej własnej pałki.

SMAŻONA CIECIERZYCA

Ciecierzycę osączamy dokładnie na sicie i osuszamy papierowym ręcznikiem. Smażymy na gorącej oliwie (może pryskać) z nieobranym czosnkiem i liśćmi szałwii, aż stanie się chrupka, a czosnek się zezłoci. Wykładamy na papierowy ręcznik i oprószamy pieprzem cayenne i papryką. Podajemy w temperaturze pokojowej.

10

Zmierzch. Na spotkanie z Jamshidim przyszli oddzielnie, z dwóch stron, oglądając się za siebie, wypatrując powtarzających się przechodniów i niepasujących do otoczenia pojazdów w coraz dłuższych cieniach po obu stronach ulicy. Nate musiał zaczekać pół godziny na końcu Langobardenstrasse – Dominika zauważyła „podejrzanego" i zatoczyła dodatkową pętlę trasy sprawdzeniowej, co zajęło jej dokładnie trzydzieści minut. A teraz z talonem w torbie na ramieniu patrzył, jak dziewczyna wyłania się zza zakrętu ulicę dalej i skręca w jego stronę.

Elegancki chód, prawie niedostrzegalne utykanie, wysoko podniesiona głowa, upięte do góry włosy – dobrze znał ten widok. Nie rozglądała się, lecz wiedział, że nic nie uchodzi jej uwagi. On był ubrany tak jak poprzednio i nie rzucał się w oczy, natomiast ona miała na sobie ciemną plisowaną spódnicę, przepasaną paskiem tweedową kurtkę i czarną bluzkę. I była w botkach do kostek, czarnych, zamszowych i na niskim obcasie, które zupełnie do niej nie pasowały. Spojrzał na nie, gdy podeszła bliżej.

– No co? – spytała.

– Nie, nic – odparł.

– Patrzysz na moje buty. – Była szpiegiem, kretem, synestetką i jasnowidzką, ale lubiła też buty.

– Są… ładne.

– Co znaczy „ładne"? Coś z nimi nie tak?

– Bardzo stylowe. – Czysty obłęd: dwoje agentów w drodze na tajne przesłuchanie wrogo nastawionego informatora stoi na chodniku, dyskutując o damskich butach.

– Od razu widać, że się znasz. Otóż wiedz, panie ekspercie, że to ostatni krzyk mody. Specjalnie zmodyfikowane przez szewców z Zarządu T.

– Mają wbudowaną antenę telewizyjną?

– *Niewieżda*, ignorant. Mają stalowe czubki. Do samoobrony. Kopnąć cię w łydkę?

– Nie, nie, są naprawdę bardzo ładne. Mogę spytać, czy na pewno jesteś czysta?

Jeszcze raz spojrzała na buty, potem na niego i kiwnęła głową.

Nate zerknął na zegarek.

– Chodźmy, jesteśmy spóźnieni. Nasz chłoptaś pewnie już jest.

Dominika ruszyła za nim.

– Nie szkodzi. Udranka go zrelaksuje.

Kamienica. Krętymi schodami szli po cichu na górę, ostrożnie skradając się pod drzwiami mijanych mieszkań. Pierwsze piętro, drugie. Na klatce schodowej płonęły małe świeczniki, rzucając cienie na wyłożone marmurem ściany. Byli prawie na miejscu.

– Nie do wiary – szepnęła Dominika. – Moje buty mu się nie podobają…

Włożyła klucz do zamka i weszli. W mieszkaniu paliło się światło, z sypialni dochodziła cicha muzyka. Oboje przybrali służbowe miny, lecz zapomnieli o nich na widok much – mnóstwa much, od których poczerniały ściany – i krwi sączącej się spod kuchennych drzwi. Dominika chwyciła Nate’a za rękę, podeszła do nich na palcach i zajrzała do środka. Jamshidi leżał pod stołem, głowę opierał o zbryzganą krwią ścianę. Twarz wyglądała jak zapadnięty pasztecik w cieście: nie miał połowy

czaszki, pozostała jedynie pusta dziura o brzegach porośniętych zakrwawionymi włosami. Druga połowa twarzy zdawała się nietknięta, nie licząc nabiegłego krwią ocalałego oka. Krew wypłynęła mu z ust na podbródek, kozią bródkę i przód koszuli. Irańczyk leżał w kałuży czarnej krwi, na której brzegach roiło się od much tak obżartych i opitych, że nie mogły się poruszyć.

Nate nachylił się nad nim. Nie było sensu sprawdzać pulsu. Rozpiął mu marynarkę i obmacał kieszenie. Pokręcił głową. Puste.

– Broń – szepnął.

Dominika otworzyła po cichu szufladę i wyjęła dwa noże do steków o cienkiej rączce i ząbkowanym ostrzu. Jeden zatknęła za pasek – wygląda jak niebieskooki pirat, pomyślał Nate – drugi podała jemu, klepnęła go w ramię i wskazała kuchenkę. Wystawał spod niej rąbek czegoś plastikowego. Dominika przestąpiła nad kałużą krwi i wyciągnęła to powoli. Futerał na laptop. Jamshidiego. Wsunął go tam, zanim go zastrzelono? Wymienili spojrzenia. W futerale był laptop. Z tym, o co go prosili? Z brakującymi parametrami kaskady wirówek w hali C? Planami reaktywnej sejsmicznie posadzki? Nie było czasu na sprawdzanie. Dominika zarzuciła pasek na ramię i przewiesiła futerał przez pierś.

Cicha muzyka. I nic więcej, żadnych innych odgłosów. Dominika wskazała drzwi do sypialni.

– Udranka – szepnęła z oczami rozszerzonymi strachem, bojąc się najgorszego.

Nate wykonał gest otwartą dłonią – tylko powoli! Ocierając się plecami o ścianę, krok po kroku podeszli bliżej i ostrożnie zajrzeli do różowej sypialni. Zajrzeli i zamarli. Dominika zasłoniła ręką usta.

Z adapteru w kącie pokoju sączyły się dźwięki *Songs for Swingin' Lovers*. Mały elektryczny wentylator, też różowy jak

cukierek, obracał się w tę i we w tę, poruszając różowymi frędzelkami dwóch lamp, które rzucały cień na różowe łóżko i nagie ciało Udranki. Serbka leżała na plecach ze zwisającą z łóżka głową, szeroko rozrzuconymi rękami i wbitym w ścianę wzrokiem. Jej wygiętą we wdzięczny łuk szyję szpecił usiany węzłami sznur – pasek absurdalnego różowego kimona – mocno zaciśnięty na spęczniałych żyłach. Miała siną twarz przeciętą cienką, zbielałą blizną. I lekko rozchylone usta z częściowo odsłoniętymi zębami. Ilekroć wentylator dmuchał w jej stronę, leciutko poruszały się jej purpuroworóżowe włosy. Piersi i brzuch miała poprzecinane czerwonymi pręgami – wyglądały jak ślady oparzeń, ale Nate zobaczył na dywanie druciany wieszak, który wyprostowano i wykorzystano jak pejcz.

Między szeroko rozrzuconymi nogami Udranki sterczała butelka po winie. Dominika wstrzymała oddech, cicho sapnęła, pochyliła się, wyjęła ją i rzuciła w kąt pokoju. Butelka odbiła się od ściany i zawirowała na podłodze. Dominika odgarnęła włosy z pokrytego plamami czoła jaskółki i spróbowała poluźnić sznur, ale węzeł był mocno zaciśnięty, poza tym cała się trzęsła. Wzięła ją za rękę.

– Pomóż mi ją położyć.

Niedobrze, myślał Nate. Jesteśmy w czerwonej strefie. Rozwalili Jamshidiego, weszli do sypialni, wychłostali Udrankę drutem, zgwałcili ją butelką i udusili. Rosjanie? Nie. Irańczycy? A kto inny? Jak długo ich katowali, ją i Jamshidiego? Jakie zadawali im pytania i co usłyszeli w odpowiedzi?

– *Niejt* – powtórzyła niecierpliwie Dominika. – Pomóż mi.

I co najważniejsze, gdzie, kurwa, teraz są? Przed chwilą wyszli? Wiedzą, że zapomnieli o laptopie? Że w sprawę zamieszani są oficerowie obcego wywiadu? Czy po prostu się wycofali i czekają na drugą rundę?

– *Niejt*! Podnieś ją.

Chwycił za zimny nadgarstek i położyli Udrankę na łóżku. Jej głowa obróciła się w ich stronę, jakby pytając, co dalej. Trzęsącymi się palcami Dominika poluźniła i zdjęła sznur z jej szyi, potem przykryła ją kocem. Koc był za mały i wystawały spod niego stopy z pomalowanymi na czerwono paznokciami i purpuroworóżowe włosy. Nate czekał w drzwiach. Gdy wyszła z sypialni z zaczerwienionymi oczami, objął ją i przytulił, nadsłuchując odgłosów z klatki schodowej. Nie wiedział, ile mają czasu. Odsunął ją od siebie i położył ręce na jej ramionach.

– Posłuchaj: musimy uciekać.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie, zaczekajmy. – Miała chrapliwy, urywany głos, jakby coś w niej pękło.

– Na nich? – spytał, wiedząc, że mówi poważnie. – Z nożami do steków?

– Oni wrócą. – Dotknęła futerału na piersi. – Po to.

– Świetnie, niech wracają. Skopiujemy zawartość twardego dysku i zostawimy laptop tam, gdzie go znaleźliśmy. Nie mogą się domyślić, że ktoś zna ich plany. Inaczej nie zdążymy zmontować operacji. Musisz wrócić do Moskwy z pustymi rękami. Trudno, tę partię wygrał Ziuganow.

– Tak, to jego robota. Zabił Udrankę. – Dominika sondowała jego twarz, oceniając, jak bardzo chce się zemścić. Jego purpurowa aureola rytmicznie pulsowała, lecz nie z żądzy krwi: Nate intensywnie myślał.

– Daj – rzucił.

Postawił laptop na stoliku do kawy, włączył go i przysunął bliżej talon, tak żeby port podczerwieni komputera znalazł się na wysokości zdalnego portu USB. Gdy czternaście sekund później na talonie zamrugała dioda LED, schował laptop do

futerału, wszedł do kuchni i przestąpiwszy nad kałużą krwi, wsunął go pod kuchenkę, uważając, żeby nie zostawić śladów. Muchy były dosłownie wszędzie; musiał odgarniać je rękawem jak zielonkawy śnieg. Kiedy wrócił do saloniku, Dominika stała w drzwiach sypialni, patrząc na przykryte kocem ciało Udranki. Wziął ją za ramiona i odwrócił do siebie.

– Musimy wyjść – powiedział. – Natychmiast. Chcesz zabrać coś jeszcze?

Pokręciła głową.

– Pójdziemy razem – ciągnął. – Jeśli po godzinie teren będzie czysty, możemy się rozdzielić. Ale tylko wtedy, jeśli nie zauważymy niczego podejrzanego. Żadnych taksówek ani tramwajów. Idziemy piechotą. Zgoda?

Dominika znów kiwnęła głową.

Potrząsnął nią delikatnie.

– Skup się, Domi. Musisz mi pomóc. Nie wiem, z kim mamy do czynienia.

Dominika zamknęła oczy i nabrała powietrza.

– Jesteśmy po złej stronie rzeki – powiedziała. – W Donaustadt. To dzielnica częściowo mieszkalna, z domami, budynkami i uliczkami, częściowo przemysłowa, z mnóstwem różnych magazynów.

– Na drugi brzeg przejdziemy dopiero wtedy, kiedy będziemy czyści. Nie możesz wrócić do domu z ogonem. A jeśli Irańczycy odkryją, kim jesteś i że przesłuchiwaliśmy razem Jamshidiego, nie będziesz mogła wrócić także do Moskwy.

Dominika spojrzała na drzwi do sypialni.

– Jest tam duży most z kładką dla pieszych – rzuciła z roztargnieniem. – Ale na brzegu jest… Jak to się mówi? *Bołota*.

– Bagnisko? Będziemy musieli je przejść.

– Chciałam ją stąd zabrać. – Drżącą ręką odgarnęła z czoła kosmyk włosów. – Potem.

Nate puścił to mimo uszu.

– Posłuchaj, tam może być cała ekipa. Będą chcieli nas zidentyfikować…

– Ona nic by im nie powiedziała. Była silna. – Przypomniała jej się śliwowica i łzy. – Posłałaby ich do diabła.

– Nie wiem, może mają nas gdzieś. Może chcą tylko dokończyć to, co tu zaczęli.

Dominika wróciła do sypialni. Podniosła brzeg koca, popatrzyła na twarz Udranki i znów ją przykryła.

– Domi, musimy iść – ponaglił ją Nate. Nacisnął klamkę i ostrożnie wyjrzał na korytarz.

Dominika zamknęła drzwi.

– Zanim wyjdziemy… – Objęła go za szyję, pocałowała i ukryła twarz w zagłębieniu jego ramienia. Po chwili podniosła głowę i wytarła mokre policzki. – Zapłacą za to, niech tylko podejdą.

Nate przytulił ją.

– Posłuchaj. Mamy jeden cel: wyjść stąd i zgubić ewentualny ogon.

– Nie, mamy dwa cele.

Pociemniała mu twarz, rozbłysła aureola. Przygniótł ją do ściany i przytrzymał ręce. Nigdy go takiego nie widziała. Mówił spokojnym, lecz obcym głosem.

– Powiem to tylko raz. Choć raz przestań być Rosjanką. Bądź profesjonalistką. A wtedy może uda nam się przeżyć.

– Co znaczy „przestań być”…

– *Zatknis’* – przerwał jej łagodnie. Zamknij się.

Widziała jego oczy, nie musiała czytać kolorów. Poskromiła gniew i kiwnęła głową, czując, że kocha go jeszcze bardziej niż przedtem.

Gdy otworzyli frontowe drzwi, te głośno zaskrzypiały, oznajmiając, że właśnie wychodzą. Trwające sekundę zerknięcie w lewo, potem w prawo – sprawdzili ulicę. Jesteście tam, skurwysyny? Uważajcie, bo wychodzimy. Od razu skręcili. Nate trzymał rękę na jej ramieniu, żeby nie szła za szybko. Nic nie wyzwala instynktu pościgowego stada bardziej niż czmychający królik. Trzeba iść powoli, równym, pewnym krokiem.

Było chłodno – może tylko im? – a chmury wyblakły od łagodnej poświaty miasta. O tej porze na ulicach panował jeszcze ruch: od czasu do czasu mijały ich samochody, kilku przechodniów wracało spiesznie do domu. Bijące z okien światła rzucały atramentowy cień między ciasno parkujące samochody. Dominika ścisnęła go za rękę i wskazała mężczyznę idącego przed nimi po drugiej stronie ulicy. Nic, cisza. Dzwonki się nie rozdzwoniły i Nate pokręcił głową. Sposób, w jaki tamten szedł, to, jak pochylał ramiona – nie, to tylko przypadkowy przechodzień. Szli przed siebie za rzędem samochodów, tonąc w cieniu kamienic. Nate chciał iść prosto – żadnych skrętów czy zawracania, jeszcze nie teraz – żeby namierzyć tych, którzy ich śledzili, i rozciągnąć ich szyk.

Gorączkowo myślał. Jeśli to Irańczycy – a to musieli być Irańczycy – wyślą pewnie Siły Ghods albo Oddział 400, specjalistów od *mokrych dieł* za granicą. I zanim cokolwiek zaczną, spróbują ich najpierw zidentyfikować, sprawdzić, z kim mają do czynienia, a wtedy Diva, agentka CIA w SWR, raz na zawsze zakończy swoją karierę.

Czas. Prawie jedenasta. Na ulicy ucichło, niemal wszystkie okna poczerniały. Nate szedł, nadsłuchując kroków tych, którzy mogli za nimi iść, przytłumionego pisku opon wyjeżdżającego zza rogu samochodu, trzasku nie w porę potartej zapałki. Nic. Wszędzie panowała cisza. Widział, jak Dominika zerka

w prawo i w lewo, szybko, nie poruszając głową ani ramionami. Spotkali się wzrokiem: miała niespokojne oczy. On też się niepokoił. Szli już od pięćdziesięciu minut i jak dotąd nie zauważyli niczego, co prawdziwi zawodowcy nazywają anomalią – ani jednego dziwnie wyglądającego czy zachowującego się przechodnia, ani jednego samochodu, który pojawiłby się nagle i znikąd, mężczyzn palących papierosy na rogu ulicy, którzy rozchodzą się szybko jak obcy. Problem polegał na tym, że oboje wiedzieli, co podpowiada im instynkt: ktoś ich jednak śledził, nie mogło być inaczej. Poruszające się frędzle różowych lamp i dwa trupy w małym różowym mieszkanku pełnym krwi i much. Nuklearne tajemnice martwego Irańczyka w talonie. Skuteczna na dwa metry jednostrzałowa szminka Dominiki, z której w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku na rozkaz Stalina zastrzelono wschodnioniemieckiego zdrajcę w Berlinie. I dwa tanie noże do steków.

Gdy doszli do rogu Langobardenstrasse i Hardeggasse, z tonącej w mroku bramy wychynął cień mężczyzny, który natychmiast skręcił i ruszył przed siebie, wyprzedzając ich o kilkanaście metrów. Na następnym rogu znów skręcił i zniknął w bocznej ulicy. Minęła ich spiesznie kobieta w długim płaszczu i chustce, i prawie nie poruszając ustami, Dominika szepnęła, że obiekt nie miał w ręku ani torebki, ani torby, ani nawet jakiegoś pakunku. Może ich trochę rozciągnęliśmy, pomyślał Nate, i próbują podejść bliżej.

Wybrali krótką, wąską boczną uliczkę – Kliviengasse – która kończyła się schodami prowadzącymi do ciągnących się na dole ogrodów. Nate zatrzymał Dominikę lekkim szarpnięciem ręki. Przystanęli w cieniu i wytężyli słuch. Wciąż nic. Oboje byli spięci, zmęczeni stresem. Zerwał się nocny wiatr i na czyimś ganku zadzwonił cicho wietrzny dzwonek. Zaszczekał pies,

zaklekotała drewniana furtka. Nate spojrzał na Dominikę, ale ta wzruszyła ramionami. Cholera go wie. Nate pochylił się i przytknął usta do jej ucha.

– Pora na małą prowokację – szepnął. Przyspieszyć kroku i skomplikować trasę, żeby musieli wybierać: kontynuować dyskretną obserwację z dystansu, ryzykując, że stracą z oczu cel, czy podejść bliżej i się zdekonspirować.

– Tylko małą? Dlaczego? – spytała Dominika. Czyste szaleństwo: flirtowała z nim o krok od nieznanej, bezpostaciowej czarnej bestii, która na nich polowała, ale pod wpływem napięcia zawsze była trochę roztrzęsiona. Jego aureola gwałtownie rozbłysła – choć nie z gniewu – i pociągnął ją za sobą.

Skręcili na południe, w Augentrostegasse, przystanęli, trzydzieści sekund później skręcili w biegu w Orchisgasse, przycupnęli za płotem, odczekali dwie minuty i pobiegli znów na południe, skręcając w Strohblumengasse, gdzie roiło się od wąskich uliczek, mniejszych domów i ogródków. W pewnym momencie zobaczyli sylwetkę kobiety pod drzewem. O tej porze? Zrobiło się jeszcze ciszej, a oni minęli zamkniętą pływalnię z drewnianą budką i baterią złożonych parasoli – plaża Strand Stadlau okazała się nędznym kawałkiem trawy, lecz w świetle nagiej żarówki pod dachem budki dostrzegli cień stojącego nieruchomo mężczyzny – zza rogu wystawały tylko czubki jego butów. Jezu Chryste, pomyślał Nate. Biegamy jak idioci od dwóch godzin, ciągle skręcamy i zawracamy, a ten tu nas wyprzedził? Jakim cudem?

Robiło się coraz chłodniej. Czuli zapach rzeki, mułu i ropy rozlanej na nadbrzeżnym trzęsawisku. Przez jakiś czas szli na południe Kanalstrasse, potem skręcili w Mühlwasserstrasse i pobiegli na zachód, w kierunku zielono-czerwonego semafora kolejowego kilkaset metrów dalej. Niech obejdą zajezdnię,

pomyślał Nate. Był trochę zdenerwowany i zniecierpliwiony – panika jest dopiero wtedy, kiedy zaczynasz krzyczeć – więc jeszcze bardziej przyspieszył, ciągle sprawdzając, czy nikt za nimi nie biegnie, nadsłuchując brzęczącego warkotu motocykla, szczekliwego komunikatu przez radio. Przeskoczyli tory, potem drugie, czwarte i piąte, ślizgając się na czarnych od smoły podkładach, czując gryzący w nos zapach ropy. Ze sterczących ze żwiru zakrzywionych rur ciśnieniowych rozsianych po całej zajezdni biła w bok roznoszona przez wiatr para, biegli więc jak w cuchnącej białej chmurze, wciąż przez tory, wciąż w stronę rzędu widocznych w oddali magazynów.

Zaczęło się błoto. Rozmiękła ziemia była usłana zardzewiałymi częściami silników, niebezpiecznie pochylonymi stalowymi osiami, pękniętymi kołami – zobaczyli czarną paszczę otwartego magazynu, pochyłą rampą wbiegli do środka, usiedli ma mokrym betonie plecami do rozlatującej się skrzyni i rozprostowali bolące nogi. Nate zaklął. Chciało mu się pić, a nie pomyślał o zabraniu wody. Plum-plum-plum – jak metronom. Z przeciekającego dachu kapała deszczówka i na podłodze błyszczała wielka kałuża.

– Ilu ich jest? – Dominika odpoczywała z głową opartą o skrzynię. Jej zamszowe buty były mokre i porysowane.

– Nie wiem – odparł. – Co najmniej kilkunastu. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Jak przejdziemy przez rzekę?

Spojrzał na nią i przyszła mu do głowy zwariowana myśl, że mogliby zaryzykować i popędzić na oślep do ambasady amerykańskiej. Nie. Wykluczone. Dominika byłaby spalona, a wraz z nią Diva. Ale przynajmniej by przeżyli. Jezu, nie. Już słyszał wrzask Gable'a. Usiadł prosto.

– Marty coś mi kiedyś powiedział. Irańczycy robili to w Bejrucie, uczyli tego tych z Hezbollahu…

Dominika była zbyt zmęczona, żeby na niego spojrzeć.

– Zapędzali cel do komina, w ulicę, alejkę czy na opustoszały plac, tam, gdzie mogli użyć snajperki.

– Snajperki?

– Karabinu snajperskiego. Strzelec czekał już na ustalonej pozycji, miał dokładnie wyliczoną odległość.

– Myślisz, że oni też próbują zapędzić nas do komina?

– Nie wiem, ale odkąd wyszliśmy od Udranki, za każdym zakrętem ktoś na nas czekał. Rozstawili ludzi, a my od nich uciekaliśmy. Dokładnie tam, gdzie chcieli.

– Tam, czyli gdzie?

Brzęk metalu o metal. Z zewnątrz. Dominika wstała, spojrzała w stronę wejścia, ruchem głowy kazała mu wstać i przywarli do ściany, częściowo ukryci za zardzewiałym kanałem kablowym. Wstrzymali oddech. Choć nie było księżyca, zobaczyli na rampie rozmyty cień mężczyzny, który zatrzymał się tam wsparty pod boki i powiódł wzrokiem po mrocznym wnętrzu magazynu. Był w ciemnych dżinsach i nierzucającej się w oczy kurtce. Spojrzał prosto na nich, po czym ruszył w ich stronę. Nate pociągnął Dominikę za rękaw, żeby się nie ruszała, ale kiedy mężczyzna podszedł bliżej, ta grzmotnęła go z backhandu w nasadę nosa, miażdżąc ją z posępnym mlaskiem kija uderzającego w połeć mięsa.

Pełne zaskoczenia stęknięcie przeszło w mokre gulgotanie: mężczyzna zatoczył się do tyłu i dławiąc się, usiadł ciężko na podłodze z rękami na krwawiącym, spuchniętym nosie. Dominika ukucnęła, chwyciła go za włosy i odwróciła mu głowę. Miał krzaczaste ciemne brwi, szeroko otwarte, czarne jak smoła oczy i usmarowany krwią podbródek. Oddychał ciężko przez usta. Dominika nachyliła się ku niemu.

– *Chwatit* – rzucił Nate. Wystarczy.

Zignorowała go. Wciąż trzymając tamtego za włosy, potrząsnęła jego głową.

– Miała na imię Udranka!

Mężczyzna już wiedział. Spojrzał na nią i wyszeptał:

– *Morde shooreto bebaran*. – Idź do diabła. Bądź przeklęty ty, który obmywasz moje zwłoki.

Gwałtownym ruchem Dominika obróciła mu głowę w prawo, przytrzymała i odsłoniwszy gardło, wbiła czubek noża w zagłębienie między szyją a mostkiem. Prawidłowo, pomyślał Nate. Tętnica szyjna, cztery sekundy. Irańczyk wytrzeszczył oczy. Drgnęły mu nogi, bezwładnie opadła głowa. Dominika zabrała rękę i z głuchym stukotem upadł na podłogę.

– Lepiej nic nie mów. – Wstała. – Nie obchodzi mnie, co myślisz.

Mężczyzna patrzył na sufit.

– Udranka! – powtórzyła. Przykucnęła, rozpięła mu kurtkę, rozchyliła ją i przeszukała kieszenie. Znalazła telefon, który Nate wziął, wyłączył i rzucił w ciemność. Nie znali perskiego i nie chcieli mieć przy sobie czegoś, co było praktycznie nadajnikiem wskazującym ich aktualną pozycję. Z wewnętrznej kieszeni kurtki Dominika wyjęła mały pistolet. Był to niemiecki walther, dziewiątka z pełnym magazynkiem, coś, co Gable nazwałby damskim pistolecikiem, mimo to Nate zabezpieczył go i schował do kieszeni. Żałując, że musi zburzyć tę biblijną chwilę, chwycił Dominikę za ramię i odciągnął od Irańczyka, żeby nie odcięła mu głowy nożem do steków i nie zabrała jako trofeum wojennego. Dziewczyna wyszarpnęła się i zgromiła go wzrokiem.

Wyślizgnęli się tylnymi, rozlatującymi się drzwiami i przecięli ogrodzony plac dostawczy, zygzakując między dwudziestoma porzuconymi blokami silnika, które tkwiły w błocie jak gigantyczne kości do gry w roztopionej czekoladzie.

Za ostatnim magazynem rosła duża kępa cienistych drzew, więc przystanęli tam, wytężając słuch. Z Praterbrücke, majaczącego za drzewami wielkiego mostu nad Dunajem, dochodził przytłumiony ryk pędzących samochodów.

– Kiedy znajdą tego w magazynie, przyjdzie tu cała banda – powiedziała Dominika. Miała poszarzałą, pełną determinacji twarz. Nate patrzył w ciemność, wypatrując jakiegoś ruchu. Pogłaskała go po policzku. Nieme przeprosiny: próbował ją chronić, a jej kompletnie odbiło.

– Chyba musimy zaryzykować i spróbować mostem – zdecydował. – Myślałem, że będziemy mogli trochę zaczekać, ale nie damy rady. Po ciemku wybiją nas jak muchy. – Położył jej ręce na ramionach. – Musimy dostać się na drugi brzeg.

Kiwnęła głową.

– Drzewa nas osłonią. Mówisz, że jest tam kładka dla pieszych?

Dominika znów kiwnęła głową i zaniepokojona podniosła wzrok.

– *Niejt*, nie. Właśnie tam będą czekać. Na kładce są jasne neony. Oczywiście. To *zasada*, zasadzka. Mogą strzelać z obu stron, tam nie ma gdzie się schować…

Z ciemności dobiegł cichy trzask pękających gałązek i odgłos szybkich kroków. Już nadchodzili, co najmniej kilku. Tak szybko znaleźli kumpla w magazynie? Łaknęli krwi, szli, żeby zabić. Na znak Nate’a popędzili między drzewami, omijając pnącza i kępy krzaków. Nate cały czas czuł lodowate miejsce między łopatkami, gdzie lada moment miała trafić kula. Wyprzedzająca go o trzy kroki Dominika wpadła nagle po pas w trzęsawisko i runęła na twarz w słonawą wodę. Wstała, parskając, i już miała chwycić go za rękę, gdy wtem zasłoniła mu dłonią usta i pociągnęła go w nabrzeżne trzciny. Cuchnąca woda przesączała się przez ubranie, wpadała do nosa. Ona wyjęła

szminkę do ust, on po cichu wytrząsnął wodę z pistoletu. Niewypał zabiłby ich oboje.

– Między drzewami – szepnęła Dominika. – Dwóch.

Sylwetki dwóch ludzi. Znowu. Tego wieczoru nawiedziła ich plaga mrocznych sylwetek, duchów i fantomów – roiło się od nich na ulicach, za domami, pod drzewami – które zaganiały ich w upatrzone miejsce, jak pies pasterski zagania stado owiec. Robiło się późno i Nate zdawał sobie sprawę, że grozi im poważne niebezpieczeństwo. Napastnicy szli blisko siebie. Sądząc po sylwetkach, była to kobieta i rosły mężczyzna w czarnych dżinsach i ciemnej kurtce. W ręce kobiety błyszczało coś metalowego. Szli szybkim, zdecydowanym krokiem, rozglądając się na wszystkie strony i nie dbając o to, że hałasują – mieli zapędzić ich na most. Nate wiedział, że robi się coraz ciaśniej, że Dominice i jemu zaczyna brakować miejsca. Musieli pójść w przeciwnym kierunku albo zalec w wodzie, zaczekać, aż tych dwoje ich minie, i spróbować się przebić.

Rozwiązanie taktyczne Dominiki było trochę bardziej radykalne.

– Wezmę tego po lewej – szepnęła mu do ucha. – Trafisz tego drugiego? – Patrzyła na niego tak, jakby omawiali przepis na domowy chleb z rodzynkami.

Nate zważył w ręku mały pistolet, zerknął na zbliżających się naganiaczy – byli niecałe trzy metry dalej – i spróbował przypomnieć sobie podstawowe zasady strzelania. Odległość strzału skutecznego: skupić wzrok na muszce, zablokować nadgarstek i delikatnie ściągnąć spust. Nie szarpać.

Dominika już miała wstać, gdy wtem – co dziwne – pomyślała o ojcu i generale Korcznoju. Odwróciła głowę, spojrzała na Nate’a i krótko ścisnęła go za rękę. Już się szykował – musieli zaatakować jednocześnie – był blady, poważny i zdecydowany.

Jego aureola pulsowała rytmem serca i Dominika postanowiła, że nie pozwoli zrobić mu krzywdy.

Przechodząca przed nią kobieta była w kasku motocyklowym. Ociekając wodą, Dominika wynurzyła się z sitowia, spokojnie i bez pośpiechu zrobiła krok do przodu, przytknęła szminkę do przezroczystej osłony kasku i nacisnęła tłoczek. Rozległo się głośne kliknięcie i plastikowy kask zmienił się momentalnie w mikser siekający pomidory i tofu. Przedni płat mózgu nabrał konsystencji hiszpańskiego *gazpacho* i motocyklistka runęła jak kłoda na ziemię.

Nate, który też stanął w wysokich trzcinach, podniósł pistolet obiema rękami i umieściwszy białą kropeczkę muszki na nasadzie nosa mężczyzny, pociągnął trzy razy za spust. Puf-puf-puf – kieszonkowy pistolecik strzelał prawie bez odrzutu i udało mu się utrzymać lufę w poziomie. Spojrzał na Irańczyka. Mężczyzna potrząsnął głową. Załamywały się pod nim nogi, ale ponieważ wciąż ściskał w ręku wielką automatyczną spluwę, którą powoli podnosił do góry, Nate znów podniósł pistolet i dwa razy strzelił mu w czoło. Irańczyk upadł na plecy z szeroko rozrzuconymi rękami, bezwiednie naciskając spust i posyłając w niebo kilka kul. „Damski pistolecik, cholera”, mruknąłby Gable. Nate podszedł bliżej z bronią gotową do strzału, ale nie, nie było po co.

Bomba! Mógł teraz opowiedzieć coś młodszym kolegom, piękną historyjkę o strzelaninie, tak jak Marty opowiadał kiedyś jemu. Na twarzy Irańczyka widniały cztery czarne plamki w czerwonej obwódce, dwie na policzku i dwie na czole. Nate’owi trzęsły się ręce, miał coraz większe poczucie, że schrzanił: mógł wybrać lepszą trasę ucieczkową, mógł ich przed nimi uchronić, mógł sprytniej to rozegrać… I znów usłyszał głos Gable’a: Zamkniesz się, kurwa, czy nie? Musieli się bronić, to nie była zabawa w kotka i myszkę w Moskwie czy

Waszyngtonie. Tej nocy mieli skończyć z twarzą w bagnisku, w jazie w dole rzeki albo jedno na drugim na kładce pod mostem Praterbrücke. A godzina była jeszcze młoda. W ciemności czyhało ich więcej, w tym przyczajony na moście snajper, który z twarzą zielonkawą od podświetlonej siatki celownika optycznego wąchał zapach oliwy, tuląc do policzka kolbę karabinu.

Nate spojrzał na Dominikę. Z rękami pod brzuchem leżała twarzą do ziemi ze skrzyżowanymi w kostkach nogami. Katastrofa. Przewrócił ją na plecy, wytarł ubrudzone błotem policzki i szukając krwawiących ran, przesunął dłońmi po ciele, po słodkich, jakże znajomych krągłościach. Nic. Miała bezwładną głowę i luźną szyję, więc zrozpaczony potrząsnął nią gorączkowo. Jęknęła. Podtrzymał głowę i obmacał czaszkę… Miał mokre od krwi palce. Kula drasnęła ją i rozorała skórę na głowie. Niecały milimetr od śmierci, grubość płaszcza pocisku. Agonalny skurcz palca umierającego Irańczyka obezwładnił jego agentkę, tę błękitnooką gladiatorkę, namiętną kobietę o niepospolitej odwadze i wybuchowym charakterze, jego ukochaną. Mogła umrzeć na jego rękach, ale mieli trochę szczęścia i musiał zaprowadzić ją teraz w bezpieczne miejsce. Przytulił ją, pochylił się i zaczął przemawiać cicho do ucha. Znów jęknęła i zatrzepotała powiekami.

– Domi – szepnął natarczywie po rosyjsku. – Wstań, musisz wstać!

Spojrzała na niego pustymi oczami, z trudem skupiła wzrok, wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową.

– Pomóż mi, *duszka* – wybełkotała.

Dźwignął ją ostrożnie i z jej ramieniem na szyi podniósł z ziemi torbę z talonem.

– Chodź. Wycofamy się i…

Dominika zesztywniała.

– Tylko nie na ten duży most – wymamrotała. – Tam jest drugi. – Bezwładną ręką wskazała w dół rzeki. – Kolejowy, pięćset metrów stąd. Pójdziemy torami. Do mnie. To niedaleko. Dam radę. – Potknęła się, wyślizgnęła z jego uścisku i ze zwieszoną głową upadła, lądując na czworakach.

– Chodź, skarbie, chodź. – Pomógł jej wstać z jeszcze silniejszym postanowieniem, że musi ją uratować. „Skarbie" – gdyby nie była ranna, zrobiłaby mu za to piekło. Ruszyli przed siebie brzegiem rzeki, aby dalej od mostu, przez trzciny, krzaki i między drzewami, chlupocząc w niewidocznej czarnej wodzie. Kiedy na chwilę przystanął, żeby sprawdzić teren, osunęła się bezwładnie, dygocząc z szoku i zimna. Ale nie, ani przemykających w ciemności duchów, ani trzasku gałązek – może udało im się przebić przez sieć, a może tamci się wycofali przekonani, że zwierzyna idzie na most, prosto w objęcia czekającego tam snajpera.

Ruszyli, on z ciężkim pistoletem Irańczyka za pasem i obijającym się o biodro talonem, obejmując i podtrzymując słabnącą Dominikę, którą ciągle wstrząsały dreszcze. Posadził ją na kawałku suchej ziemi i obmacał głowę. Włosy były lepkie, lecz rana chyba nie krwawiła. Dominika podniosła wzrok. W świetle gwiazd miała czarne, drżące usta.

– *Niejt*, weź talon i uciekaj – szepnęła. – Trzeba zabezpieczyć dane. Spotkamy się u mnie, w moim mieszkaniu.

Uśmiechnął się i odgarnął jej włosy z twarzy.

– Pójdziemy razem, Domi. Nie zostawię cię.

Zamknęła oczy, tocząc ze sobą wewnętrzną walkę.

– Te informacje są zbyt cenne – wymamrotała.

– Nie, to ty jesteś zbyt cenna… dla mnie.

Otworzyła oczy. Purpurowy obłok nad jego głową rósł i wirował.

– Masz taki piękny… kolor – wyszeptała po rosyjsku.

Majaczy, pomyślał. Do mieszkania, jak najszybciej. Do suchego, ciepłego mieszkania.

– Co mówisz?

– Taki piękny… – powtórzyła.

Poprowadził ją przez zarośla, przez czepiające się kostek pnącza. Bagniska Dunaju nie chciały ich wypuścić. Ściągnął z niej przemoczoną tweedową kurtkę i okrył ją swoją marynarką. Miała lodowate ręce. Musieli, po prostu musieli wydostać się z tej gęstwiny.

Znów krzaki, znów zarośla i nagle wyrósł przed nimi kamienny filar mostu kolejowego. Spojrzeli w górę w chwili, gdy pędził nim srebrzystoniebieski, płaskonosy pociąg linii S80 i gdy sypiące się z trakcji elektrycznej błękitne iskry oświetliły ich twarze – Dominika ledwie to zarejestrowała. Pomógł jej wejść na nasyp, posadził, żeby choć trochę odpoczęła, i wszedł na tory. Zakrzywione kratownice mostu były bardzo blisko zewnętrznych szyn – dzieliła je odległość ledwie kilkunastu centymetrów – a tuż za nimi biegł wąski stalowy dźwigar. Musieliby przejść przez cały most, zanim nadjedzie kolejny pociąg, inaczej nie pozostawałoby im nic innego, jak wyjść na tę rojącą się od nitów guzkowatą belkę i zaczekać, aż ich minie. Było więcej niż prawdopodobne, że osłabiona, półprzytomna Dominika nie utrzyma się i spadnie. A w tej czarnej wodzie zniknęłaby tak szybko i bezpowrotnie, jak podczas nocnego sztormu na środku oceanu.

Spojrzał w górę rzeki. Mostem Pratebrücke wciąż mknęły pojazdy. Biegnąca pod nim kładka dla pieszych wyglądała jak kolorowa galeria – w przeciwieństwie do porośniętego mrocznymi drzewami lewego brzegu, gdzie leżały dwa sztywniejące już trupy i gdzie zaszył się cierpliwy snajper, czekając, aż on i Dominika wejdą do jasno oświetlonej klatki. Nate zastanawiał się, czy strzelec nie czyha między mostami,

w miejscu, z którego widziałby obydwa, ale nie, bo zamiast strzelać na wprost, musiałby wtedy mierzyć na skos, w dodatku do ruchomych celów. Tak czy inaczej nie było wyjścia: jeśli Dominika miała przeżyć, musiał zaprowadzić ją bezpiecznie do ciepłego mieszkania.

Byli w połowie mostu, gdy zawibrowały kratownice i cicho zabuczały kable trakcji – odgłos przypominał ten, jaki wydobywa się z butelki, kiedy dmuchnie się tuż nad jej otworem – i gdy po szynach, niczym coraz szybciej palący się zakrzywiony lont, pomknęło ku nim odbicie silnych świateł pędzącego pociągu. Nate pomógł Dominice przejść przez pochyłą kratownicę i kiedy chwyciwszy się stali zgrabiałymi palcami, w miarę pewnie stanęła na dźwigarze, stanął obok niej i przytrzymał ją wolną ręką. Obcasy ich butów zawisły nad czarną wodą, w której wzbierała groźna basowa nuta – Dunaj toczył do morza miliony litrów spienionej brązowej wody. Zadygotały kratownice i uderzyła w nich fala ściśniętego przez lokomotywę powietrza, która najpierw próbowała zepchnąć ich do wody, a sekundę później wessać na tory. Jak w kinetoskopie tuż przed nimi śmignął długi rząd rozświetlonych okien, zmieniając twarz Dominiki w twarz starej, osmolonej wiedźmy, lecz gdy spotkali się wzrokiem i gdy Nate się do niej uśmiechnął, Dominika wybuchnęła śmiechem i śmiali się oboje, aż most przestał się trząść i wibrować.

Wzywały ich kalejdoskopowe światła odległego Prateru, kusząc schronieniem i poczuciem bezpieczeństwa. Nieco chłodniejsze rzeczne powietrze ożywiło ją i dodało jej sił, lecz w połowie mostu przystanęła, zbielałą ręką przytrzymała się stalowego dźwigara, wychyliła się i to drżąc, to dygocząc, zwymiotowała w czarną otchłań. Nate objął ją mocniej i pokuśtykali dalej. Wciąż nadsłuchiwał, czy nie nadjeżdża kolejny pociąg, ale teraz zaczął także lustrować wzrokiem

zbliżający się brzeg i biegnącą tam Handelskai, wypatrując ciemnych sylwetek ludzi, samochodów parkujących z kopcącą rurą wydechową czy błysku soczewek celownika optycznego nad oksydowaną lufą karabinu wyborowego Dragunowa. „Wszystko gra, dopóki nie przestanie”. Wciąż oddalali się od rzeki. Przeszli przez park przy Hauptallee, Nate podtrzymując Dominikę, bo gdy nagle słabła, pomagał jej prosto iść.

Gdy dotarli do parku rozrywki – miał wrażenie, że chodzą tak całą noc – usłyszeli syreny na drugim brzegu rzeki. Szli esplanadą, trzymając się z dala od jasnych miejsc, żeby nikt nie zauważył krwi w jej włosach i na jego koszuli. Muzyka, zapach jedzenia – Dominika lekko się zataczała. Za dużo wina, pomyślały starsze panie ze straganów. Chwiejny chód maskował nadchodzące falami gwałtowne drżenie ciała. W uszach pobrzmiewała im skoczna muzyka i wietrzny pomruk diabelskiego młyna.

GAZPACHO

Miksujemy na gładko wiejski chleb, dojrzałe pomidory i pozbawione pestek ogórki z dodatkiem octu z czerwonego wina, oliwy z oliwek, soli i kminku. Przecieramy przez sitko o średniej wielkości oczkach do uzyskania aksamitnej konsystencji. Chłodzimy i podajemy z pokrojoną w kostkę zieloną papryką, ogórkiem i białą cebulką.

11

Gdy wpadli do mieszkania – ona na czworakach – Nate trzasnął zasuwą i zablokował ją dodatkowo ryglem. Potem wziął Dominikę na ręce, zaniósł do łazienki i zdjął z niej przemoczone ubranie. Mocno posiniaczona na całym ciele, miała lodowate plecy, nogi i piersi. Włożył ją do wanny i odkręcił kran – gorąca woda szybko zbrązowiała. Ona zamknęła oczy, a on obmył ją i przyjrzał się cieniutkiej bruździe na skórze głowy. Już nie krwawiła. Zatrzepotały powieki i Dominika znów zadrżała, nawet teraz, zanurzona po szyję w wannie – brudna powierzchnia wody lekko zawibrowała.

– To Ziuganow – szepnęła, gdy mył gąbką jej nogi aż po stopy. To dziwne, ale wszystko było zupełnie naturalne: ona leżała nago w wannie, a on jej doglądał. Żadne z nich nawet nie pomyślało o wstydzie.

– Nasłał na ciebie swoich ludzi?

– Nie, tak daleko by się nie posunął. Ale celowo wystawił Jamshidiego Irańczykom.

– Co będzie, jeśli ci z irańskiego Ministerstwa Wywiadu i Bezpieczeństwa zawiadomią waszą centralę, że ścigali dzisiaj dwoje przesłuchujących? – Nate układał już w głowie depeszę do Langley.

– Nie zawiadomią. – Dominika zaszczękała zębami. – Nasze służby nie wymieniają się informacjami. Ziuganow pójdzie w zaparte. Kiedy złożę raport, przypiszą to akcji

kontrwywiadowczej Irańczyków polujących na zdrajcę, ale Ziuganow zasugeruje, że to ja zawaliłam. Ja go znam.

– Jakie mamy szanse na zmontowanie operacji? – zastanawiał się na głos Nate.

Dominika wzruszyła ramionami.

– Twoi muszą robić swoje, i to szybko. Wrócę do Moskwy i dam ci znać.

Pomógł jej wyjść z wanny, wytarł ją delikatnie ręcznikiem poplamionym resztkami krwi, zaprowadził do łóżka i przykrył kocem. Dominika zadrżała i zamknęła oczy. Stał przez chwilę przy łóżku, patrząc na jej odwróconą twarz, na piękną, długą szyję.

Poszedł do saloniku, włączył talon, przewinął listę plików i otworzył katalog tych niemiecko-angielskich: Wilhelm Petrs GmbH; berlińskie zakłady montażowe w Niemczech; sejsmiczny system posadzkowy KT550G dla MMI III-IV; dwadzieścia milionów euro plus koszty zakwaterowania i utrzymania ekipy monterów. Wszystko to, co chcieli wiedzieć spece z Wydziału Proliferacji. Ekran po ekranie, wodospad danych. Bingo! W sypialni coś stuknęło i podniósł wzrok.

– Są tam? – W drzwiach stała Dominika. – Mamy to?

Kiwnął głową.

– Ile Moskwa zażądała za tę posadzkę?

Dominika chciała wzruszyć ramionami, ale tylko zadrżała.

– Dokładnie nie wiem, chyba ponad dwa miliardy rubli.

Nate stuknął kilka razy w ekran i pokręcił głową.

– Czterdzieści milionów euro. Dwa razy więcej.

– Oczywiście. Wzbogaci się wielu ludzi.

– A mułłowie będą mieli bombę. – Odłożył tablet.

– No to po robocie. – Dominika oparła się o futrynę. Splątane, zmierzwione włosy zasłaniały jej pół twarzy. Wstrząsały nią silne dreszcze. Nate zamknął laptop i podszedł do niej. Owinęła

się kocem, lecz była na bosaka. Wsunął ręce pod koc, przytulił ją i poczuł, że wciąż ma potwornie zimne ciało. Szok, pomyślał i zaprowadził ją do sypialni. Szła, kurczowo przytrzymując się jego ręki długimi, eleganckimi palcami.

– Drżysz – powiedział.

– *Gipotiermija.* – Zamknęła oczy.

– Wracaj do łóżka.

Przykrył ją prześcieradłem, potem kocem, a koc kapą. Mimo to wciąż trzęsła się i drżała, miała sine usta. Włożył ręce pod koc, dotknął jej dłoni i stóp. Były zimne jak lód. Zagotował wodę, zaparzył herbatę, wsypał cztery łyżeczki cukru i kazał jej wypić. Nie przestawała drżeć.

Nie wiedział, co robić. Szybko rozpiął koszulę, ale gdy zaczął ją zdejmować, stwierdził, że nie rozpiął rękawów. Potem ściągnął spodnie, wślizgnął się pod koc, przewrócił ją na bok i przytulił się do niej na łyżeczkę z udami na jej pośladkach. Sięgnęła za siebie, wzięła jego rękę i owinęła ją wokół bioder. Zimna jak marmur, wciąż dygotała. Jak Marmur, pomyślał i też zadrżał, siłą woli próbując przelać w nią ciepło swojego ciała.

I tak zasnęli. Obudził się godzinę, może dwie później; nie wiedział o której, stracił poczucie czasu. Dominika oddychała równo i spokojnie, dreszcze osłabły. Poruszyła się lekko, obudziła, odwróciła do niego, zbliżyła twarz do jego twarzy i spojrzała mu w oczy. Rozespana powoli zamrugała. Miała cieplejszą skórę. Pił ją, wdychał jej zapach. Wszystko było inne: to, kim byli przedtem, kim się stali, i to, kim byli teraz. Noc wstrząsnęła mozaiką ich związku. Wiedział, jak powinien postąpić, wiedział, co jest właściwe i bezpieczne, mimo to świadomie złamał wszystkie reguły gry: przespał się z nią, pokazał jej tajną listę dyrektyw, zdradził plany tajnej operacji. Ale to tutaj było ważniejsze. Znów ścisnęło go w gardle – znajome uczucie – i spróbował nie myśleć o Gable'u i Forsycie.

Leżeli na boku, patrząc na siebie. Miała nudności, lekkie zawroty głowy i znów zadrżała, lecz tym razem nie z zimna, tylko z pożądania. Przetrwali tę straszną noc, bardzo go potrzebowała i wciąż pamiętała dotyk jego skóry. Otarła się o niego piersiami, zarzuciła nogę na biodro, drugą zsunęła kołdrę i ściągnęła mu szorty. Wymazała z pamięci wszystko to, co ich dotąd powstrzymywało. Jutro nie miało nic wspólnego z tym, co działo się dzisiaj. Przysunął się bliżej i zaczęli się całować, w usta, oczy, szyję. Tulił ją do siebie, czuła jego ręce na plecach i biodrach. Zawirowało jej w głowie – idiotka, pomyślała, pewnie masz wstrząśnienie mózgu – ale było jej wszystko jedno. Jego dotyk krzesał iskry, budził prąd.

Pochylił się nad nią i lekko ugryzł ją w dolną wargę.

– Jak się czujesz? – wyszeptał. – Lepiej?

Zamrugała.

– Nie musisz tam wracać – dodał cicho i rzeczowo; trudno rozmawiać, kiedy usta są zajęte czymś innym.

Spojrzała mu w oczy, objęła go za głowę, przyciągnęła bliżej i jego purpurowa aureola otoczyła ich oboje. Wiedziała, że jej seksualne „ja” stoi w otwartych drzwiach klatki więżącej huragan. Ucieknie stamtąd czy czmychnie z powrotem?

– Do Moskwy? – Wciąż miała kłopoty z mówieniem. – *Duszka*, muszę tam wrócić, tym bardziej teraz. Oboje to wiemy. Musimy zrobić swoje.

– Nie, nie musisz – odparł. – Nie po dzisiejszej nocy.

Znieruchomieli. Spotkali się wzrokiem i pulsujący obłok nad jego głową rozjarzył się fioletową jasnością.

– Przestań gadać o pracy – szepnęła.

I żeby czar nie prysnął, walcząc z zawrotami głowy, pchnęła go na plecy, usiadła na nim i skupiona zamknęła oczy; tak było lepiej, bo pokój przestał wirować. Nate spojrzał na nią zaniepokojony. Miała lekko rozchylone usta i krótki, urywany

oddech. Z rękami na jego piersi, podniosła się powoli, pochyliła, wyprostowała i odchyliła do tyłu, aż schwytała go w pułapkę i głęboko wessała; nie ma to jak stara, jaskółcza „sztuczka bez rąk". Zaczęła się lekko kołysać – *jangha vibhor*, nazwa pozycji seksualnej nieudolnie przetłumaczona z sanskrytu na rosyjski, też z podręcznika dla jaskółek – zacisnęła powieki i odgarnęła włosy z twarzy. Oddychała coraz szybciej, cichutko postękując z wysiłku i bezwiednie poruszając oczami. Czuła w podbrzuszu każde wygięcie bioder, z każdym ruchem wzgórka łonowego ocierającego się o jego miednicę jej *klitora* – jak to jest po angielsku? – poruszała się w górę i w dół jak włącznik światła, którym ktoś się bez końca bawi.

Zaczęła przechylać się na bok i przytrzymał ją, żeby nie spadła. Odpierając jej genitalny atak, zaciskał zęby i napinał mięśnie brzucha i nagle, nie wiadomo dlaczego – czysty obłęd! – pomyślał o mruczącym w saloniku laptopie pełnym informacji o irańskich halach kaskadowych. Wpadające przez żaluzje światło malowało zakrzywione pręgi na jej srebrzystym ciele, a on znów zobaczył kolorowo oświetloną kładkę dla pieszych pod mostem, czarne ciała na bagnistym brzegu rzeki. Zacisnął powieki i ujrzał oczy martwego Irańczyka w magazynie, najpierw rozszerzone z przerażenia, potem nabiegłe krwią. Obrazy z niedawnej przeszłości. On też powoli wychodził z szoku. Chryste, pomyślał, skup się, do cholery!

Coś się działo i wrócił do rzeczywistości. Wyciągnięte przed siebie ręce, zaciśnięte pięści, szybki oddech – Dominika kołysała się na nim jak opętana diablica na drewnianym koniku. Nagle otworzyła oczy, nieprzytomnie pomacała wokoło, znalazła jego ręce i zacisnęła je na swoich ciężkich piersiach. Wisiała nad przepaścią, nad wzburzonym morzem – tylne koła wirowały w powietrzu, podwozie kołysało się niebezpiecznie na skalnej krawędzi. Gorące mrowienie między nogami powoli

ustępowało, chciała spaść, lecz nie mogła. Wstrząs, zmęczenie, hipotermia – rozpaczliwie jęknęła.

– *Pomogi mnie*… Pomóż mi.

Ja tobie? – pomyślał. Jesteś jaskółką, a ja tylko nędznym patyczkiem. Ale przypomniało mu się, co lubiła jego miła przyjaciółka z college'u: ścisnął palcami jej sutki, mocno przytrzymał i pociągnął, aż przywarła ustami do jego ust. Nie puścił nawet wtedy. Wymieszany z rozkoszą ból zaskoczył ją i cicho jęknęła – maska powędrowała do góry, samochód zsunął się z krawędzi i jej podbrzusze znów zawibrowało. Wibracje błyskawicznie objęły uda, łydki i stopy, wróciły na górę i wstrząsnęły nią gwałtowne skurcze, trzy silne i dwa słabsze. A potem samochód runął w otchłań i roztrzaskał się o skały w eksplozji większej niż wszystkie poprzednie razem wzięte. Z jej trzewi wydobył się długi, głęboki jęk.

Leżąc na dymiącym rumowisku, jak przez mgłę poczuła, że Nate kurczowo ją obejmuje, że ma coraz szybszy, coraz płytszy oddech. Jeszcze mocniej zacisnął ręce, jego napięty brzuch zadrżał, ciało wygięło się w łuk, uniosło ją w górę i boleśnie zderzyli się zębami. Zacisnęła uda, uniosła się jeszcze wyżej i opadła, raz, drugi, trzeci, czwarty i – *Boże moj!* – piąty, i wtedy, co zupełnie nieprawdopodobne, wszystko zaczęło się od początku, lecz tym razem inaczej, bo nie była to eksplozja, tylko jej echo, pogłos, B-dur dwie oktawy poniżej środkowego C, które to narastało, to opadało. Cicho jęknęła w jego usta – słyszała ten jęk w głowie – przywarła do niego całym ciałem i zadrżała, czekając, aż ktoś wyłączy prąd.

Dziesięć minut leżeli bez ruchu, wsłuchując się w bicie swoich serc. Odgarnęła włosy z twarzy, spojrzała na niego, zsunęła się, położyła i poszukała jego ręki. Wciąż wirowało jej w głowie, lecz nudności ustąpiły.

– Przykryj nas, *duszka*. Znowu mi zimno.

Nate sięgnął po kołdrę.

– Przynieść ci wody?

Pokręciła głową.

– Napiłam się w Dunaju.

Trzymali się za ręce i pieszcząc kciukiem wnętrze jej dłoni, pocałował ją w spoconą skroń. Leżała bez ruchu ciężka i bezwładna. Nate wypełniał bez reszty jej serce i głowę. Tego wieczoru uratował jej życie, wykąpał ją, podzielił się z nią ciepłem swojego ciała. Kochali się tak, jakby nigdy się nie rozstawali, jakby nigdy nie próbowali okiełznać trawiącej ich namiętności. Znów zadrżały jej uda, znów poczuła jego zapach.

Cielesne myśli powoli ustąpiły miejsca tym o pracy. Podjęła ogromne ryzyko i zdradziła mu tajniki irańskiej operacji, co omal nie doprowadziło do katastrofy. Mieli szczęście. Ziuganow. Ponieważ resztki mózgu Jamshidiego zdobiły ścianę żółtej kuchni Udranki, ten wstrętny gnom miał teraz przewagę i w imieniu Putina mógł dobić targu z Iranem. *Wot i choroszo*.

Zamknęła oczy i myśli zawirowały jak na karuzeli. A jej przyszłość? Zamierzała pracować przez lata, dziesiątki lat, dopóki by mogła. Skończyłaby jak Udranka? Tak bardzo jej współczuła, tak bardzo współczuła wszystkim przyjaciółkom, kremlowskim rusałkom, ofiarom systemu. W najlepszym razie widywałaby się z Nate'em raz, dwa razy w roku, resztę czasu żyjąc na krawędzi i działając w Moskwie. Wykradałaby tajemnice tym szakalom z Kremla i Jasieniewa, ryzykowałaby życie, żeby uratować krwawiącą moralnie Rosję. Robiła to dla ojca, dla generała Korcznoja, dla mężczyzny, który oddychał cicho obok niej, ale przede wszystkim dla siebie. Była tego świadoma bardziej niż jej spostrzegawczy prowadzący z CIA. Zerknęła na Nate'a, a on odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej. Głęboka purpura.

Zawierzył jej, pokazał listę pytań do Irańczyka, zdradził jej szczegóły tajnej operacji, złamał reguły dużo bardziej drakońskie niż zakaz bratania się z agentami obcych służb, który zdążył już złamać. Ale widziała, że się zmienił. Był teraz skłonny prowadzić ją we wrogiej Rosji, pogodzić się z tym, że jako niezależna agentka będzie mu kulą u nogi. Dlatego tak, wiedząc, że już postanowił, łatwiej zniesie strach i ryzyko.

Nate poczuł, że serce zaczyna osiadać na swoim miejscu; biło coraz wolniej, coraz spokojniejszym rytmem. Czubki palców u rąk i nóg wciąż były odrętwiałe, wciąż czuł zapach jej gorącego ciała. Przesunął kciukiem po jej słodkiej dłoni i zauważył, że jest lekko zgrubiała, jakby Dominika ćwiczyła podciąganie się na linie. Wezbrało w nim uczucie. Ryzykowała wszystko, ryzykowała życie dla niego i agencji. Nie, to nie było współczucie – to była płynąca z trzewi czułość dla tego dzielnego, nieprzewidywalnego stworzenia o brązowych włosach i niebieskich oczach, tej lekko utykającej kobiety, po rosyjsku upartej i namiętnej. Dziewczyny o stwardniałych dłoniach.

Patrzyli w sufit. Za oknem drzemało ciemne, nieruchome miasto. Ulice były ciche, nie licząc odległego jęku śmieciarki i grzechotu wpadających do niej puszek i butelek. W kuchni włączył się z łoskotem kompresor małej lodówki. Dominika przesunęła nogę i dotknęła stopą jego stopy. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Czwarta rano. Lodówka zadygotała i ucichła. Nie patrzyli na siebie.

– Oczywiście, że wrócę do Moskwy – oznajmiła Dominika.

Nazajutrz rano skontaktował się z rezydenturą w Atenach, zażądał spotkania w kafejce niedaleko parku Augarten, poszedł

tam i mile zaskoczony zobaczył, jak Kris Kramer, kolega z Farmy – od pierwszego tygodnia zajęć nazywali go Kramerkiem – zalicza trasę sprawdzeniową, by chwilę potem wejść do kawiarni i wślizgnąć się do jego boksu. Niski, śniady i zawsze skupiony, był najlepszy na roku, ale nie widzieli się od końca studiów. Nate w dziesięć minut zdał mu relację z nocnych wydarzeń, a on pilnie notował w notatniku Hello Kitty należącym do jego sześcioletniej córeczki.

– Kiedy zadzwoniłeś, byłem w domu i wziąłem pierwszą rzecz, jaka wpadła mi w ręce – wyjaśnił pewny, że Nate go za to zwymyśla.

Teraz odłożył notatnik i spojrzał na niego z ukosa.

– Niezła noc.

Nate wzruszył ramionami. Podał mu talon i hasło i poprosił, żeby natychmiast przesłano te materiały do Langley wraz z kopią do Forsytha w Atenach.

– Potem wyślij im depeszę operacyjną. Napisz, że Diva się trzyma i że zostawiłem tam laptop, więc Irańczycy myślą, że ich tajemnice są bezpieczne. Jutro opowiem wszystko Benfordowi.

Kramerek kiwnął głową, wyszedł i zniknął za rogiem.

Spotkali się ponownie o ósmej wieczorem, w atrium kawiarni w hotelu König von Ungarn przy Schulerstrasse za katedrą. Zamówili piwo i mały półmisek krokietów z wędzoną słoniną i serem gruyère. Nate przeczytał wiadomość od szefa wiedeńskiej rezydentury z instrukcjami z Langley, konkretnie od Simona Benforda, głównego szefa kontrwywiadu.

Benford przylatywał do Wiednia następnego dnia po południu, Marty Gable też; był już w drodze. Wiadomość, choć dość zawoalowana, wyraźnie podkreślała, że na spotkaniu przedyskutują przyszłość Divy oraz sposoby wykorzystania nowo zdobytych informacji. Nate przeczytał ją jeszcze raz. Zauważył, że papier jest dziwnie aksamitny w dotyku i zerknął

na Kramera, który lekko skinął głową. Nate wrzucił karteczkę do szklanki z wodą. Papier zasyczał i w pół sekundy zmienił się w papkę o konsystencji owsianki. Kramer przyjrzał mu się znad kufla.

– Od Moskwy jesteś piekielnie zajęty. – Włożył krokieta do ust i pociągnął łyk piwa. – Ciągle o tobie słychać: Nash i Benford, Nash i sprawy zastrzeżone, Nash i kultowe werbunki, Nash i fajerwerki w Atenach, Nash i nocny koszmar w Wiedniu. A teraz ten tajemniczy laptop. Oczywiście nie znam szczegółów, ale wygląda na to, że pogłoski o twoim, hm, moskiewskim upadku były bardzo przesadzone.

– Czy ja wiem… – Nate zaczerwienił się i pomyślał, że tak, rzeczywiście, katusze pierwszych lat kariery minęły, ustępując miejsca grze o poważniejsze stawki. Pracował teraz nad projektami, o jakich inni oficerowie prowadzący mogli tylko pomarzyć, organizował operacje, jakie inni dostawali co najmniej po pięciu latach służby.

Kramer wyczuł jego nastrój i spróbował go rozweselić.

– Powiem ci coś, co powinno cię ucieszyć: twój ulubiony anioł stróż Gondorf żyje i ma się dobrze. Bał się wysyłać ludzi w teren i zostawił w Moskwie kompletny burdel. Przenieśli go do wydziału Ameryki Łacińskiej i omal go nie rozpirzył. Podczas wizyty w Buenos Aires wydał podobno przyjęcie dla argentyńskich generałów. Generałowie, jak to generałowie, lubią whisky, a on zamówił damskiego drinka z parasoleczką. Po czymś takim trudno zachować stanowisko. Dostał kopa, wylądował w Paryżu i pewnie obraża teraz Dyrektora Generalnego Bezpieczeństwa Zewnętrznego, oczywiście nienaganną francuszczyzną. Wiesz, jak oni tam pracują.

Nate parsknął śmiechem.

– Będę już leciał. – Kramer zjadł ostatniego krokieta. – Muszę otworzyć dla was dom na jutro. Padniesz, jak go zobaczysz. Po

wojnie nasi wojskowi przesłuchiwali tam uciekinierów ze Wschodu, a teraz utrzymujemy go na wypadek, gdyby… hm, gdyby zawitał do nas ktoś taki jak wielki Nate Nash. Dwa piętra, komnata w wieży, dzikie wino na ścianach. W Grinzing. Tramwajem będzie najszybciej. Trzydziestkąósemką.

– Dzięki, Kramerku. – Przygotowanie domu dla odwiedzających kolegów to kupa roboty, Nate dobrze o tym wiedział.

– Nie ma sprawy, cieszę się, że mogę pomóc. Śledzę twoje poczynania z wielką przyjemnością. – Kramer spoważniał. – Uważaj na siebie, dobra?

KROKIETY PO WIEDEŃSKU

Do gęstego sosu beszamelowego dodajemy cienko pokrojony boczek (lub szynkę parmeńską), starty ser gruyère i gałkę muszkatołową. Dokładnie mieszamy, rozprowadzamy masę na papierze i schładzamy. Gdy masa stężeje, formujemy z niej małe kulki, zanurzamy je w rozbitym jajku i obtaczamy w panierce panko. Tak uformowane krokiety ponownie chłodzimy, następnie smażymy w gorącym oleju roślinnym, aż się zezłocą. Podajemy z sosem aioli z dodatkiem majonezu, przetartego czosnku, soku z cytryny i wędzonej papryki.

12

Wczesnym wieczorem Nate i Dominika wysiedli na przedostatnim przystanku tramwajowym w Grinzing i szybkim krokiem ruszyli w stronę Heiligenstädter Park. Płynna ewakuacja z tramwaju nie wypłoszyła nikogo podejrzanego, a zygzakowata trasa sprawdzeniowa – w pewnym momencie rozdzielili się, zatoczyli krąg i znów się spotkali – nie ujawniła żadnych pojazdów, które zmieniałyby spiesznie pozycję. Ramię w ramię wyszli z „gąszczu" – tłumu turystów w centrum dzielnicy – i znalazłszy się „na odludziu" – w opustoszałym parku – dwa, trzy, cztery razy sprawdzili swój status. Wysadzana akacjami aleja, tonące w akacjach latarnie, skręt w Steinfeldgasse i całkowity bezruch – wąska, kręta uliczka kończyła się na skraju parku. Wciąż nikogo.

Stał samotnie tuż za linią drzew, wielki gotycki dom porośnięty dzikim winem od kolumn przed wejściem po wystrzępiony dach kwadratowej wieży. Pnącza przycięto – a raczej wycięto – wokół niektórych okien. Zasłony były zaciągnięte i jedynie w najwyższym paliło się słabiutkie światło. Brakowało tylko obłąkanej muzyki Bacha, organów w wieży i grającego na nich zdeformowanego potwora. Czy agencja zatrudnia zdeformowane potwory? – zastanawiał się Nate. – Oczywiście nie licząc tych zdeformowanych emocjonalnie. Będę musiał spytać Gable'a.

Pomyślał o zrozpaczonych uchodźcach, żołnierzach, informatorach, sympatykach i zdesperowanych uciekinierach,

którzy spoglądali na ten dom przed przesłuchaniem po drugiej wojnie światowej, gdy Wiedeń był wysoką na dwa piętra stertą gruzu zalewaną przez trującą penicylinę z przemytu. A teraz mieli tam wejść, żeby porozmawiać o przyszłości, ustalić, czy Dominika przeżyje powrót do Moskwy. Żaden z nich nie chciał jej stracić, tak jak stracili generała Władimira Korcznoja, swojego najcenniejszego informatora, którego odebrała im kula snajpera – z pozdrowieniami od Putina.

Porośnięty zielskiem dziedziniec, najeżony szpikulcami niski żelazny płot, wytarte stopnie granitowych schodów i masywne dębowe drzwi przecięte na krzyż ozdobnymi sztabami z kutego żelaza – przez chwilę wsłuchiwali się w uliczne odgłosy, w dźwięki dochodzące z domu, w końcu wymienili spojrzenia: czysto. Zapukali. Otworzył im świeżo ostrzyżony Gable, który mrużąc wesoło oczy, objął ich i wprowadził do środka.

Wysoki sufit, nadproża z ciemnego drewna, wyblakłe dywany, mlecznobiały żyrandol, spękana skóra na fotelach, lampy – znaleźli się w austriackim domu z lat dwudziestych ubiegłego stulecia. W witrażowych oknach wisiały ciężkie aksamitne zasłony, które blokowały pomarańczowy blask latarni na skraju parku. Na ścianie po drugiej stronie salonu wisiały jelenie rogi. Rozpędzając wieczorny chłód, w wielkim kominku potrzaskiwała kłoda drewna. Na niskim kredensie pod ścianą stała bateria butelek i wyłożona woskowym papierem skrzyneczka pełna pieczonych bułeczek. Benford wskazał je i powiedział, że są nadziewane mięsem i pyszne.

Było ich tylko czworo, w tym, on, wszystkowidzący Simon Benford, którego nic nie dziwiło, a już na pewno nie bawiło. Jak zwykle wymięty i rozczochrany, siedział w ciężkim fotelu, paląc papierosa i bez większego przekonania wydmuchując dym w stronę przewodu kominowego. Oczywiście był w czarnym garniturze, w którym chyba sypiał. I w okularach na czubku

głowy; Nate wiedział, że w pewnym momencie zacznie ich szukać, klnąc i złorzecząc.

Marty, który dopiero co przyleciał z Aten, rozparł się wygodnie na skórzanej kanapie i wyciągnął nogi. Był w krótkiej brązowej kamizelce z mnóstwem zamków błyskawicznych i kieszonek. Dominika usiadła obok niego z założonymi nogami i, jak to ona, zaczęła lekko machać stopą, zdenerwowana, podekscytowana, zniecierpliwiona, a może nawet niechętna do dalszej współpracy; miało się to dopiero okazać. Była w lekkiej beżowej wełnianej sukience z szerokim paskiem z jaszczurczej skóry, która w rozproszonym świetle lamp łagodziła jej krągłości. Po wydarzeniach ostatniej nocy miała ściągniętą, zmęczoną twarz, ale Nate dostrzegł w niej także promienny blask, którego nie było tam, zanim poszli ze sobą do łóżka.

Do Benforda, z którym widziała się prawie rok temu, odnosiła się taktownie i z rezerwą, lecz gdy ponownie powitała Gable'a: – Jak się masz, *bratok?* – natychmiast złagodniały jej oczy. Fakt, Marty patrzył na nią jak starszy brat, mimo to Nate zacisnął zęby. A to kutas, pomyślał, kiedy Gable zerknął na niego z fotela. Pozna, że się kochaliśmy.

Benford pstryknął niedopałkiem w ogień.

– Mamy mnóstwo spraw do omówienia i bardzo mało czasu – powiedział. – Zacznę od tego, że niezmiernie mi ulżyło na wieść, że uszliście z życiem z zasadzki zastawionej przez Irańczyków. Należy się wam pochwała. – Zapalił kolejnego papierosa. – Kontynuując: dostarczone przez Dominikę materiały są najprzedniejszej jakości, dlatego patrząc w przyszłość, oczekiwalibyśmy dalszych, nie tylko informacji wywiadowczych, ale i wiadomości na temat planów oraz zamiarów Kremla. Waszyngtońskim decydentom trudno ogarnąć anatomiczne zawiłości Federacji Rosyjskiej oraz motywy kierujące prezydentem Putinem. Dominiko, pani stale

ewoluujące kontakty mogą być gwarantem pełniejszego zrozumienia, oczywiście zakładając, że te młoty z Białego Domu i Kapitolu są w stanie cokolwiek pojąć. – Strącił popiół na dywan. – Osobiście uważam, że nadrzędnym priorytetem rosyjskiego prezydenta jest utrzymanie się na stanowisku oraz dalsza eksploatacja lukratywnych gratyfikacji, jakie urząd ten zapewnia.

Dominika spojrzała na Nate'a.

– Putin chce dalej być prezydentem i dalej kraść – przetłumaczył Nate.

Benford spojrzał na sufit.

– Jego nieskazitelny wewnętrzny *image* kwitnie w atmosferze ultranacjonalizmu i zanikających swobód obywatelskich. Sytuację tę podsyca dodatkowo ów czarujący rosyjski apetyt na teorie spiskowe o wrogo nastawionym Zachodzie, którego bynajmniej nie umniejsza gnębiona przez władze niezależna prasa ani sponiewierany ruch dysydencki.

Nate znów zmienił się w tłumacza.

– Putin nie ma wewnętrznej opozycji.

– Dopóki jest cieszącym się popularnością władcą uśpionego narodu – ciągnął Benford – zagraniczne wpadki i wypadki, prowokacyjne wspieranie bandyckich państw i reżimów czy też różnego rodzaju wojenne zawirowania – niezależnie od ich wyniku i międzynarodowego potępienia – nie zagrożą temu, co jest mu najdroższe: utrzymaniu się przy władzy.

– Może robić, co chce, dopóki Rosjanie nie zaczną narzekać – streścił to po rosyjsku Nate.

Poirytowana Dominika pomachała nogą.

– *Gospodin* Benford. Prezydent Putin boi się tylko gniewu ludzi na ulicach, jak choćby w Gruzji czy na Ukrainie. Nie chce, żeby na placu Czerwonym doszło do… *lichoradki*. Nie wiem, jak to jest po angielsku.

– Nie chce rozruchów – przetłumaczył Nate.

– Dziękuję, że zechciała pani potwierdzić moje podejrzenia – powiedział Benford. – Bez względu na to, czy zajmie to pięć czy piętnaście lat, przeciętni Rosjanie kiedyś nie wytrzymają i wykopią go z Kremla.

– *Iz dworca izmieny* – mruknęła pod nosem Dominika.

Benford spojrzał na Nate'a i uniósł brew.

– Z pałacu zdrady – wyjaśnił Nate.

– Mnie to pasuje – burknął Gable.

– *Ad rem* – ciągnął Benford. – Teraz najważniejsze są dwie sprawy. Po pierwsze, bezpieczeństwo Dominiki i jej zdolność do kontynuowania misji w Moskwie. Po drugie, kwestia informacji z irańskiego laptopa, które są obecnie analizowane w Langley. Oczywiście Dominika nie powinna, a raczej nie może ich poznać, bowiem…

– Ona wie – przerwał mu dziwnie spokojny Nate.

– Nathanielu, prosiłem cię kiedyś o dwie rzeczy: żebyś zaczął mówić gramatycznie i przestał sypać zagadkami. Co znaczy „ona wie"?

– Powiedziałem jej o Wulkanie. Przed spotkaniem z Jamshidim pokazałem jej listę naszych dyrektyw.

Dominika przestała kiwać nogą i spojrzała na Benforda.

– Z góry panią przepraszam, Dominiko. – Benford przeniósł wzrok na Nate'a. – Zdradziłeś swojej agentce plany tajnej operacji CIA?

– Tak, panie dyrektorze. Musiałem ją wprowadzić. – Benford znieruchomiał, a Nate poczuł się tak, jakby skoczył do morza z trampoliny. – Dzięki niej mogliśmy porozmawiać z Jamshidim twarzą w twarz i każde z nas musiało odegrać swoją rolę. Dominika zna szczegóły przekrętu z zakupem posadzki sejsmicznej dla Teheranu. Co więcej, bierze w nim udział:

rozmawiał z nią o tym Putin, osobiście. A Putin to nieprawdopodobne dojście. Wszystko jest w moim raporcie.

Benford potwierdził to machnięciem ręki.

– Moskwa przeczyta o zabójstwie Jamshidiego i Dominika będzie się musiała przed nimi tłumaczyć – parł dalej Nate, spoglądając znacząco na Gable'a. – Podejrzewamy, a właściwie mamy pewność, że stał za tym pułkownik Ziuganow, ale Dominika powie, że Irańczykom odbiło, że zastrzelili Jamshidiego, a potem próbowali zabić ją. Będzie balansowała nad przepaścią. Ziuganow to podstępny, zdradziecki typ. Ma ją na oku, więc jeśli Irańczycy, zwłaszcza ci z Ministerstwa Wywiadu i Bezpieczeństwa, doniosą mu, że ścigali w Wiedniu nie tylko ją, ale i towarzyszącego jej mężczyznę, będzie miała poważne kłopoty.

– Irańczycy się do nas nie zgłoszą – wtrąciła Dominika – a centrala nie będzie ich nagabywała. Ziuganow skupi się na kontrakcie…

– Który musimy rozgryźć w najdrobniejszych szczegółach, jeśli Wydział Proliferacji ma zastąpić dźwigary palnymi substytutami – dokończył za nią Nate. – Wszyscy wiemy, że to niepowtarzalna okazja. – Zerknął na Benforda, ale szef miał kamienną twarz, z której nic nie zdołał wyczytać. – Oszacowałem elementy operacyjne i spróbowałem zmaksymalizować szanse. Dominika ryzykuje dla nas życie, dlatego postanowiłem zdradzić jej wszystkie szczegóły. Musiała je znać dla swojego własnego bezpieczeństwa.

Zapadła cisza. Część nadpalonej kłody spadła z paleniska w deszczu iskier. Gable wstał, otworzył puszkę zimnego piwa, wziął dwie bułeczki – były to tak zwane *runza*, coś w rodzaju rosyjskich pierożków, paszteciki z mieloną wołowiną, cebulą i kapustą – i podał jedną Dominice. Ta ugryzła kawałek

i pomachała nogą, obserwując Amerykanów i odczytując ich kolory. Milczeli pełne trzy minuty.

– Nathanielu – powiedział w końcu Benford – wykazałeś się nietypową dla siebie intuicją. – Wstał i podszedł do kredensu. – To godne pochwały.

– I już? – spytał Nate. – To wszystko?

Dominika spojrzała na niego z wesołymi iskierkami w oczach.

– Nie, bynajmniej – odparł Benford. – Nigdy dotąd nie graliśmy o tak wysoką stawkę. Ale mamy też wyjątkową okazję. Jak się zapewne domyślacie, kontrolowany przez Moskwę zakup posadzki sejsmicznej daje Rosjanom niepowtarzalną możliwość wpłynięcia na dalszy rozwój irańskiego programu nuklearnego, ponieważ od dłuższego już czasu Teheran starannie unika importu zachodnich technologii, objętych zresztą embargiem. W konsekwencji powyższego technologie importowane z Moskwy zostaną przyjęte bez wahania i podejrzeń.

Przesunął ręką po baterii butelek, nie wiedząc, którą wybrać.

– Dominiko, boję się, że będzie pani groziło podwójne niebezpieczeństwo, ponieważ chcemy panią prosić o raport na temat prezydenta Putina, jego planów zakupu niemieckiej posadzki sejsmicznej oraz sposobu, w jaki Rosja zamierza obejść nałożone na Iran embarga. Pociągnie to za sobą nieuchronną konieczność stałego utrzymywania kontaktu w Moskwie, co z kolei łączy się z tym, że będzie pani musiała często nadawać. – Odwrócił się i spojrzał na Gable’a i Nate’a. – Poleciłem, żeby stawił się tu nasz technik; przyleci najdalej jutro rano. Trzeba ją przeszkolić w obsłudze kryptokomunikatora. Musi to robić z zamkniętymi oczami.

Dominika pokiwała nogą.

– Za pozwoleniem, *gospodin* Benford. – Wszyscy spojrzeli na nią. – Rozumiem potrzebę utrzymywania kontaktu i nie zamierzam tego unikać. Ale nie podobają mi się wasze systemy satelitarne, te, które przydzieliliście generałowi Korcznojowi. – Korcznoj wysyłał błyskawiczne meldunki satelitarne do dnia aresztowania. Zgodnie z planem Benforda jego sprzęt wpadł w ręce Rosjan celowo, żeby uwiarygodnić wsypę i zasługę za wykrycie zdrajcy przypisać Dominice.

– Pani obawy są całkowicie zrozumiałe, lecz bezpodstawne – zapewnił ją Benford. – Te systemy są całkowicie bezpieczne. Dlatego jeden z nich przydzielę pani.

Nate i Gable wymienili spojrzenia. Na jego miejscu pograliby łagodniej i spokojniej. Dobrze wiedzieli, jak Dominika reaguje na władczy ton głosu.

– *Możet byt'* – odparła; być może. – Ale FAPSI, Federalna Agencja do spraw Komunikacji i Informacji Rządowej, nasz wywiad elektroniczny, ma te satelity na oku i próbuje przechwycić transmisje. W całej Moskwie eksperymentują z *trieugolnikom*. Zajmują się tym głównie Zarządy T i KR. Aresztowanie Korcznoja zapędziło ich do roboty.

– Z *trieugolnikom*? – powtórzył Nate. – Z siecią triangulacyjną? – Dominika kiwnęła głową. Fajnie, pomyślał Nate. FAPSI wzięła na muszkę kolejny strumień ściśle zaszeregowanych informacji wywiadowczych płynących z metropolitalnej Moskwy. Gable i Benford musieli pomyśleć o tym samym, bo mieli nietęgie miny.

Benford wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Diva musi, powtarzam, musi kontaktować się z nami w absolutnie niezawodny sposób – powiedział lekko zirytowany. Miał intensywnie niebieską aureolę.

Dominika zerknęła na Nate'a, szukając u niego wsparcia.

– A może SRAC, łączność krótkiego zasięgu? – zaproponował Nate. – Mogłaby wysyłać krótkie wiadomości do moskiewskiej rezydentury, stacji bazowej albo do jakiegoś naziemnego czujnika. Dwukierunkowe szyfrowanie, trzysekundowe serie, niska moc. Jeśli nie zawalimy, nikt takiej transmisji nie będzie się spodziewał ani jej nie namierzy. Dominika musi tylko znaleźć się w zasięgu odbiornika.

Benford zmarszczył brwi, ale wiedział, że to dobre rozwiązanie. Spojrzał na Dominikę.

– Co pani na to? Zrozumiała pani te wszystkie technikalia?

Dominika wzruszyła ramionami.

– Wiem, co to jest SRAC. – Wymówiła to jak „szrek”, zamiast „szrak”. – Nasze służby mają podobny sprzęt. Jeśli czegoś nie zrozumiem, wszystko wytłumaczy mi Nate.

Gable spojrzał na nią i wyczuwając unoszące się w powietrzu feromony, przeniósł wzrok na Nate’a. Kutas.

– Dobrze – zdecydował Benford. – Marty, zapędź do tego techników. Dostawa. Tak, będziemy musieli to jakoś przeżyć, ale chcę, żeby Dominika jak najszybciej dostała sprzęt.

– Jasne – rzucił Gable.

– Jeszcze jedno – dodał Benford. – Siedźcie tu choćby całą noc, ale chcę, żebyście opracowali z nią plan eksfiltracji. Mamy najwyżej jeden dzień, nie więcej, potem będzie musiała wrócić do Moskwy. Skontaktujcie się z Langley i zażądajcie w moim imieniu planu trasy. Niech przyślą bryk dwójki, Czerwonej Trasy Numer Dwa. Dominika musi znać ją na pamięć, dopilnujcie tego. Nie chcę ani nigdy nie zaakceptuję możliwości wpadki, ale jeśli dojdzie do niewyobrażalnego i będzie musiała uciekać, chcę, żeby uciekła najlepszą trasą, jaką dysponujemy. – Wziął z kredensu jakąś butelkę, spojrzał na naklejkę, potem na Dominikę.

– Co do pani: oczekujemy od pani raportu, jakiego nigdy dotąd pani nie składała. Chcemy znać wszystkie szczegóły rosyjskiego kontraktu z Irańczykami. Powtarzam, wszystkie, do ostatniego miejsca po przecinku. Chcemy wiedzieć, jak i kiedy zamierzają dostarczyć te urządzenia do Moskwy, a potem do Teheranu. Przygotowałem dla pani projekt trasy. Kto wie, może będzie pani miała okazję przedstawić go Putinowi i jeszcze bardziej zyskać w jego oczach.

Dominika pokiwała nogą.

– *Gospodin* Benford, nawiązanie kontaktu fizycznego z prezydentem nie jest takie trudne, Putin otacza się posłusznymi klakierami. Ale zdobycie jego zaufania to zupełnie inna sprawa. Jest podejrzliwy i zazdrosny.

– Fascynujące – powiedział Benford. – Pani się uda?

– Chyba tak – odparła Dominika. – Proszę pamiętać, że zanim rozpoczęłam z panami współpracę, przeszłam stosowne przeszkolenie. – I nie mrugnąwszy okiem, posłała mu ciepły uśmiech.

Nate poczuł się nieswojo. Stojący pod ścianą Gable spojrzał na niego, ściągnął usta i enigmatycznie uniósł brew.

– Co ty na to, Nash? Dobry pomysł?

Masywny drewniany stół, ciężkie porcelanowe dzbanki na mleko, lada, wielki zlew z szarego kamienia, czarno-białe płytki na podłodze – kuchnia też wyglądała dokładnie tak, jak przed stu laty. Gable upewnił się, czy drzwi łączące ją z salonem są zamknięte.

– Simon, chcę z tobą pogadać – powiedział; Benford mył ręce nad zlewem. – Ja i Nash jesteśmy zgodni. Forsyth też. Jest zupełnie nieważne, czy ona jest dobra, czy ma zimną krew i czy

znajdziemy w Moskwie parę dobrych miejsc na kontakt. To, czy Diva przeżyje, zależy tylko od jednego, od tego, jak dobry będzie nasz człowiek, gość, który podrzuci towar do skrzynki. Jeśli moskiewska rezydentura wyśle nieopierzonego dupka albo, co gorsza, idiotę, stracimy ją w ciągu miesiąca.

– Dziękuję, Marty. – Benford zakręcił kran. – Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Gable rzucił mu ręcznik.

– Wolałbym już przebrać Nasha za fińskiego turystę.

– Może się zdziwisz, ale też o tym myślałem. Jednak nie możemy aż tak ryzykować, nie z czystym sumieniem. Musimy polegać na tamtejszej rezydenturze. To oni mają dostarczyć jej sprzęt i odbierać meldunki.

– Ale tego palanta już tam nie ma, tak? – upewnił się Gable.

– Gondorfa? Nie. Przydzielono mu inne zadania i jak na razie sieje zgrozę w Paryżu.

– A w Moskwie? Kto jest teraz szefem?

– Vernon Throckmorton – odparł bez zająknienia Benford. Miał kamienną twarz.

Gable oparł się ciężko o stół.

– Żartujesz? Ten drętwy ćwok? On jest jeszcze gorszy od Gondorfa.

– Zyskał przychylność dyrektora wydziału i zaimponował mu na tyle, żeby otrzymać to stanowisko.

Niewielu ludzi w agencji śmiało odszczekiwać Benfordowi.

– Simon, przecież to idiota. Lista jego wpadek ma kilometr długości. Klapa za klapą, ten facet psuje wszystko nawet we śnie, ale najgorsze jest to, że nie zdaje sobie sprawy, jaki z niego pierdoła. Uważa się za wielkiego agenta.

– To twoje zdanie i być może masz rację, ale Throckmorton jest szefem moskiewskiej rezydentury i operacja podlega jemu.

– Benford westchnął. – Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Doprowadzony do rozpaczy Gable spróbował jeszcze raz.

– Simon, ja go znam. Uprze się i będzie chciał dostarczyć przesyłkę osobiście. Nie zauważy tych z FSB, nawet jeśli nadepną mu na odcisk.

Benford patrzył na niego z niewzruszoną twarzą. Gable rozłożył ręce.

– Jezu Chryste, zgarną go już po trzech metrach! On ma gębę jak kopnięty w dupę buldog!

Benford nie zareagował.

– Nie możemy powierzyć mu Divy. Lepiej od razu ją ewakuować, przynajmniej przeżyje.

Benford wzruszył ramionami.

– Istnieje pewna… alternatywa. Niestety, proste czasy, gdy historia wciąż nosiła różę, a polityka tańczyła walca, już minęły.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– *Więzień na zamku Zenda.* Czytałeś? To znaczy, że w beznadziejnych czasach trzeba chwytać się rozpaczliwych środków.

– Bomba. Wspaniale. – Gable pokręcił głową, ruszył do drzwi i przystanął. – Jaka alternatywa?

– Nie zamierzam niepotrzebnie jej narażać, i tak już bardzo ryzykuje. Żeby zapewnić jej maksymalne bezpieczeństwo, umieszczę w moskiewskiej rezydenturze swojego własnego agenta penetracyjnego.

Robiło się późno i rozgadany Benford siedział na kanapie obok Dominiki z wielkim atlasem świata na kolanach, piszczącym mazakiem rysując trasę wiodącą od Morza Północnego, przez

rosyjski interior, dorzecze Wołgi i południowy brzeg Morza Kaspijskiego do irańskiego portu Bandar-e Anzali.

– Zakładam – mówił – że wasz prezydent doceni nie tylko zalety transportu morskiego, ale i całkowitą tajność dostawy sprzętu.

Nate wstał.

– Nie będzie nic podejrzewał? Skąd Dominika miałaby wiedzieć o tych wszystkich kanałach i przesmykach?

Dominika posłała mu uśmiech.

– Nie, nie, będzie dobrze. Powiem im, że w szkole jaskółek często obserwowałam barki na Wołdze. Poza tym oni ślinią się na myśl o pieniądzach. Nigdy się nie zmienią. Nigdy. – Spojrzała na Benforda. – *Gorbatogo tolko mogiła isprawit* – dodała z uśmiechem.

– Że co? – Nie zrozumiał Gable.

– Garbatego tylko grób wyprostuje – przetłumaczyła.

Marty parsknął śmiechem.

Benford wyszedł, a on przyniósł z kuchni jedzenie. Pracowali cały wieczór. Pochyleni nad ekranem talona, długo ślęczeli nad mapami, zdjęciami i filmikami nagranymi na ulicach Moskwy, w końcu wybrali kilka miejsc, w których Dominika mogłaby odebrać kryptokomunikator. Wiedzieli, że najpierw będzie musiała obejrzeć je osobiście, już w Moskwie. Czekali na szczegółowy plan eksfiltracji – Czerwoną Trasę Numer Dwa – bryk z mapami, zdjęciami, namiarami skrzynek, częstotliwościami i harmonogramami, który mieli dostać rano. Teraz mogli jedynie teoretyzować, robić wstępne ustalenia. Eksfiltracja podczas pościgu, eksfiltracja z przechwyceniem…

– Włosy dęba stają – mruknął Gable.

Nie dodał, co się dzieje, kiedy plan ucieczki bierze w łeb. Nate wyobraził sobie, że Dominika ucieka: zapalają się reflektory,

ulicę blokują samochody, otacza ją tłum ponurych mężczyzn, a potem…

Ekran talona był mały i musieli siedzieć blisko siebie. Nate czuł ciepło jej ciała, zapach szamponu i mydła. Była całkowicie pochłonięta pracą. Kiedy poszła do łazienki, Gable otworzył dwa piwa i podał mu puszkę.

– Dobrze wygląda – powiedział.

– To znaczy? – Nate usiadł wygodniej i zapiął pas bezpieczeństwa. Zaczynało się.

– Nic. Po prostu dobrze wygląda, choć Irańczycy dali wam w kość. – Marty wypił łyk piwa. – Wyciągnąłeś ją z tego, dobra robota.

– Dzięki. – Nate wiedział, że to tylko koda symfonii.

– W Moskwie będzie jej ciężko. To trudne zadanie.

– Da radę. Dlatego Marmur ją wybrał. Byłby z niej dumny.

Gable kiwnął głową i dopił piwo.

– Pod warunkiem że nie wyślesz jej tam z SSP.

Nate zmarszczył brwi.

– Z czym?

– Syndromem skruszonego penisa – wyjaśnił Marty.

– Co?

Gable wycelował w niego palcem.

– Przestań. Ani, kurwa, słowa. Myślałem, że już to przerabialiśmy.

– Chryste, Marty, wiem, co robię. Nie naraziłbym jej…

– Nic nie wiesz. Nie odróżniłbyś musu jabłkowego od cienko rozsmarowanego gówna. Myślisz, że co? Że skoro cię kocha, to wszystko dla ciebie zrobi?

– Czego ty chcesz? Właśnie opisałeś agentkę doskonałą.

– Jasne. Doskonałą do chwili, kiedy dostaniemy wiadomość, że za bardzo dla ciebie zaryzykowała, że ją złapali i nogami do

przodu przepuścili przez rozdrabniacz drewna, oczywiście na żywca.

Umilkli, bo akurat wróciła. Weszła do salonu, zobaczyła dwie fioletowe chmury w kształcie grzyba nad ich głowami i już wiedziała, o czym rozmawiali. Wiedziała wszystko.

Skończyli o wpół do drugiej. Mieli przed sobą jeszcze jeden dzień pracy z technikami, godziny ślęczenia nad podręcznikiem obsługi SRAC i szczegółami trasy eksfiltracyjnej. Zmęczony podróżą Gable zasnął na kanapie; dopadła go różnica czasu. Dominika przykryła go kocem, a Nate dorzucił do ognia kłodę drewna. Krętymi schodami weszli na piętro i przystanęli w ciemnym korytarzu.

– Co ty na to? – spytał. – Poradzisz sobie?

Wiedziała, że się o nią martwi i bardzo ją to cieszyło.

– *Konieczno* – odparła. – W centrali powiem, że po śmierci Jamshidiego nie mogłam wrócić do mieszkania i musiałam zostać dzień dłużej. Nie będzie żadnych problemów. – Przypomniała jej się Udranka i umilkła.

– Chcę, żebyś jutro uważnie przejrzała *spasitielnuju zatieju*, plan eksfiltracji. Jeśli coś pójdzie nie tak, musisz się natychmiast wycofać.

– Rozkaz!

– Ja nie żartuję.

– Ja też nie. Naprawdę myślisz, że ucieknę? – Pogłaskała go po policzku. Purpurowa aureola nad jego głową była niemal namacalna. – Mam tyle do zrobienia. Te bydlaki muszą odpowiedzieć za śmierć Korcznoja.

Nate zesztywniał.

– Świetnie. To jakiś dżihad? Święta wojna?

– Musimy teraz o tym rozmawiać?

Ziewnął.

– Masz rację. Już późno. Trzeba się przespać.

Spojrzała na niego spod rzęs.

– Czy rano mam do ciebie zadzwonić czy… trącić cię łokciem?

– Domi, na dole jest Gable…

Roześmiała się cicho.

– Mam po niego pójść?

– Urocze – mruknął.

– Powiem ci coś bardziej uroczego. – Nachyliła się ku niemu, musnęła ustami jego usta i wciągnąwszy do płuc haust purpurowej mgły, szepnęła: – Chcę się z tobą kochać. – Pchnęła go w stronę drzwi.

Gable spał na dole, cicho chrapiąc. Ale by się domyślił, a potem dowiedziałby się Benford i Forsyth. Dominika wyciągnęła rękę i odgarnęła kosmyk włosów z jego czoła. Purpurowy obłok gwałtownie pulsował i zrozumiała, że dopadły go stare demony. Ale było jej wszystko jedno. Wydarzenia ostatniej nocy rozjaśniły jej w głowie i już wiedziała, czego chce. Przytknęła rękę do jego policzka.

– *Niejt*, pracuję w centrali. W SWR, Służbie Wywiadu Zagranicznego. Jestem w coraz lepszych stosunkach z prezydentem Federacji Rosyjskiej, mam dostęp do informacji, od których zależą losy waszej najważniejszej operacji. Wróciłam, znów jestem z wami. Będę przysyłała wam meldunki. Wiem, co robić i jak. Wiem, co mi grozi, ale znam się na swojej pracy.

Nate milczał.

– Po tej nocy z Irańczykami – ciągnęła – po tym, co między nami zaszło, odkryłam coś, czego mi dotąd brakowało. *Rawnowiesije*. Jak to jest po angielsku?

– Równowaga. – Nate wiedział, do czego to wszystko zmierza i przeraziło go, bo myślał o tym samym.

– Właśnie, równowaga. Harmonia. Przedtem tego nie czułam, ale teraz tak. Nie przeżyję bez niej. Nie przeżyję bez ciebie. – Położyła mu ręce na ramionach, lekko wbiła paznokcie w ciało i posłała mu kokieteryjne spojrzenie. – Potrzebuję cię.

– Ta noc… – powiedział. – Ta noc była cudowna, ale nie możesz pracować w Moskwie, mając romans. To wymaga skupienia, przezorności, czystego…

– *Boże moj*, mam romans! Mam romans, dlatego nie mogę pracować. *Gorie mnie*, biada mi, ach, biada!

– Na miłość boską, mów ciszej.

– Posłuchaj, *duszka*. To, co nas łączy, wzmacnia mnie i dodaje mi sił. To nic złego. *Bratok* się myli, wszyscy się mylicie.

– Marty? Skąd wiesz, co myśli?

– Bo ona jest mądra, a ty głupi jak but. – W ciemności krok za nimi stał Gable; opatulony kocem wyglądał jak Indianin. Nie słyszeli, jak trzeszczącymi schodami wchodził na górę i zaskoczeni drgnęli.

– Mam rację, braciszku? – Niespeszona Dominika odwróciła się i poprawiła koc na jego ramionach. Jak młodsza siostra, pomyślał Nate.

– Oboje wiecie, co myślę i dlaczego. Oficer prowadzący zakochany w swojej agentce nie da z siebie wszystkiego. – Ruchem głowy wskazał Dominikę. – Tak jak zakochana w nim agentka. Zwłaszcza we wrogiej strefie, takiej jak Moskwa. Przemyślcie to. – Przeczesał ręką włosy i odszedł, ale w połowie korytarza zawrócił.

– Przygotujcie się na czarne dni, najczarniejsze w waszym życiu. Ty, Nash, na dzień, w którym otoczeni przez tych z SWR zostawimy Dominikę na lotnisku, na peronie czy przejściu granicznym. Zostawimy ją i nie oglądając się za siebie,

odejdziemy, bo będziemy musieli, bo mów, co chcesz, ale gra toczy się o wyższą stawkę. A ty… – Spojrzał na Dominikę. – Ty przygotuj się na dzień, w którym świadomie dopuścisz do tego, żeby ten smutas wpadł w zasadzkę w jakiejś prowincjonalnej stolicy i na dwadzieścia lat trafił do pierdla, bo zawsze znajdzie się ktoś ważniejszy i nie będziesz mogła się zdradzić.

– Jak go nazwałeś? – spytała.

– Smutas – odparł Marty.

– *Grustnyj*. – Nate pokręcił głową.

Dominika wybuchnęła śmiechem. Ich fioletowe aureole unosiły się w przyćmionym świetle korytarza, podobne, lecz inne. W domu coś zatrzeszczało. Gable podciągnął koc.

– Chcę, żebyście byli na to przygotowani, bo jeśli nie, prędzej czy później dotrze do was, że już nigdy się nie zobaczycie, nie w tym życiu.

Dominika westchnęła.

– Dobrze, *bratok*. *Wot i priepiatstwije*. Jak to jest po angielsku?

– Przeszkoda – przetłumaczył Nate.

– Mała seksblokada – mruknął Gable. – Oby skuteczna.

– Jezu, Marty, przecież tego nie planowaliśmy. – Nate poczuł się nagle jak nierozgarnięty dupek.

Gable pokręcił głową.

– Nie powiedziałem, że to twoja wina. Powiedziałem, że to ty za to odpowiadasz.

Dominika otworzyła drzwi, spojrzała na nich i weszła do pokoju. Drzwi zostawiła lekko uchylone. Oczywisty znak: jestem tu. Twój wybór.

– Chodź, wypijemy strzemiennego. – Marty wskazał drzwi. – Potem zrobisz, co zechcesz.

Zdjął koc, dorzucił drewna do gasnącego ognia i nalał dwie brandy. Spojrzał na zegarek, masywnego breitlinga transocean, potarł twarz i z zapinanej na guzik kieszeni wyjął dwa cygara. Jedno włożył do ust, drugie rzucił Nate'owi.

Odgryzł koniuszek, splunął w ogień – a przynajmniej się starał – przypalił cygaro starym, sfatygowanym ronsonem z nierdzewnej stali i wypuścił kłąb tłustego dymu. Potem rzucił zapalniczkę Nate'owi. Widniał na niej grot włóczni.

– Tak, tak, to emblemat OSS, Biura Służb Strategicznych z drugiej wojny światowej. – Pyknął cygaro i spojrzał na rozżarzony czubek. – A teraz nasz, bo jakiś znerwicowany urzędas z Langley uznał, że tak będzie romantycznie. Powinni ten grot zaokrąglić i zrobić z niego korek do zatykania dupy.

Nate pstryknął zapalniczką. Cygaro, choć w czarnym owijaczu, było zaskakująco łagodne. Nie wypalił ich w życiu zbyt wiele i miał nadzieję, że nie zemdleje po trzecim pyknięciu. Milczeli pełne dwie minuty.

– Wiem, że Forsyth już z tobą gadał – odezwał się w końcu Gable. – Dlatego tak mnie to męczy i wkurza.

Nate wiedział, że powinien siedzieć cicho. I że będzie tak siedział przez następną godzinę.

– Nash, najważniejsza osoba w twojej tak zwanej karierze zawodowej ćwiczy teraz kugla pod kocem, czekając, aż jej chłoptaś zapuka do drzwi i wślizgnie się na palcach do pokoju.

Nate wydmuchał dym. Pod sufit, jak przed chwilą on. Beztrosko.

– Marty, *kugel* to żydowska babka ziemniaczana z cebulką. Chodziło ci o ćwiczenia Kegla.

Zagryzając cygaro, Gable łypnął na niego spode łba i Nate postanowił nie odzywać się niepytany.

– Ona jest najważniejsza – powtórzył Marty. – Z jednej strony to bezcenna własność tej zasranej CIA, nasz as

z nieograniczonym dostępem do SWR. Dlatego musimy ją chronić, dopilnować, żeby robiła swoje, bo stawką jest bezpieczeństwo narodowe.

Z drugiej strony to bystra, twarda dziewczyna, opętana misją zniszczenia parszywców, którzy z nią zadarli. Jest Rosjanką, trochę wybuchową, wszyscy o tym wiemy, ale Rosjanką, w dodatku głęboko zaangażowaną. To samobieżna haubica i jeśli będziesz ją dobrze prowadził, skorzystasz na jej motywacjach. Wróć, poprawka: ty je wykorzystasz. – Pyknął cygaro i strząsnął popiół mniej więcej w kierunku trzaskającego na palenisku ognia.

– Marmur był najlepszy, a ona może być jeszcze lepsza, pod warunkiem że przeżyje. A to, czy przeżyje, czy się nie zdekoncentruje, czy będzie podejmowała właściwe decyzje i nie straci motywacji, zależy tylko od was, bo ilekroć ściągacie majtki i zaczynacie rżnąć się jak dwa wkurzone wielbłądy w tycim samochodzie, grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nate z trudem siedział na miejscu.

– Zaczynamy nową fazę operacji i Diva będzie musiała pójść tam, gdzie odważyło się zajrzeć bardzo niewielu Rosjan. Bezprecedensowy kontakt: wyobrażasz sobie agentkę u boku Stalina? Nigdy w życiu. Ale ona wpadła w oko Putinowi i chcemy wiedzieć, co ten skurwiel ma za paznokciami. A jeśli uda nam się puścić z dymem te irańskie zakłady i opóźnić ich program nuklearny, stawka podskoczy jeszcze wyżej. – Gable wstał, dolał sobie brandy i podniósł wyżej butelkę. Nate pokręcił głową. Marty usiadł.

– Dam ci przykład: Dominika wraca i melduje, że Putin do niej uderza i chce, żeby spędziła z nim weekend w którejś z tych pieprzonych dacz. Jakie wydasz jej instrukcje jako jej prowadzący? Powiedz.

Nate milczał. Cygaro i brandy uderzyły mu do głowy i próbował pozbierać myśli. Otworzył usta, lecz nie zdążył nic powiedzieć.

– Ani słowa! – warknął Gable. – Powiem ci, co zrobisz. Przejrzysz z nią dyrektywy, żeby znała je na pamięć i wiedziała, co ma wyciągnąć z niego w łóżku. Dasz jej do przeczytania sporządzony przez naszych profil psychologiczny, żeby wiedziała, ile łyżeczek cukru ma wsypać mu rano do herbaty. I dopilnujesz, żeby zabrała dwie pary majtek na wypadek, gdyby jedne z niej zerwał. – Upił łyk brandy, pyknął cygaro, pochylił się i zniżył głos. – A kiedy po trzech dniach z Władimirem wróci do domu z podpuchniętymi oczami i włosami pachnącymi jego płynem po goleniu, przesłuchasz ją i powiesz, że odwaliła kawał dobrej roboty, bez cienia ironii i sarkazmu, normalnym głosem, bo ona zrobiła swoje, a ty swoje. Ale to jeszcze nie koniec, jest tyle do zrobienia, więc znowu na pokład i do roboty. – Odchylił się do tyłu i pyknął cygaro. – Chciałbyś tak? Oczywiście jako oficer prowadzący.

Nate zamknął oczy.

– Na miłość nie ma tu miejsca, co?

Gable uśmiechnął się.

– Nie, nie z cenną agentką. To stara szkoła. Pewien wiekowy szef wydziału, prawdziwy baron, powiedział mi kiedyś, że oficerowie prowadzący nie powinni się żenić. Małżeństwo za bardzo rozprasza.

– I się nie ożeniłeś?

– Tego nie powiedziałem.

– Więc ożeniłeś się czy nie?

Marty wzruszył ramionami.

– Tak, byłem żonaty. Przez chwilę.

Nate odstawił kieliszek.

– Opowiesz mi o tym?

– Wal się.

– Opieprzasz mnie, odkąd się poznaliśmy. Mógłbyś choć raz podać mi rękę. – Rozmawiali jak urodzeni manipulanci, próbujący podejść jeden drugiego.

Gable spojrzał w ogień.

– Pobraliśmy się młodo. Myślałem, że zniesie takie życie, te wszystkie podróże, nocne wyjścia, ale nie zniosła. Nie rozumiała, że ta praca pochłania w całości, bez reszty. To zabawne, bo była pianistką i pochłaniał ją fortepian. Nie odróżniałem Liszta od listerine, ale kiedy się nie kłóciliśmy, muzyka była spoko. Na drugą turę wysłali mnie do Afryki. Fortepian przestał nagle stroić i kiedy podnieśliśmy klapę, w pudle znaleźliśmy królewską kobrę. Chciała mieszkać w Paryżu i Rzymie, a ja zaciągnąłem ją do Manili i Limy, i nie podobała jej się krata w drzwiach sypialni ani strzelba w szafie. Ona chciała zranić mnie, ja ją, więc walczyliśmy jak dwa skorpiony w kieliszku, dopóki się nie spakowała i nie wyjechała. Drugiej szansy nie było, bo po powrocie do domu wpadła w poślizg na oblodzonej szosie i wylądowała w rzece. Miała dwadzieścia pięć lat. Lubiłem, jak grała Chopina, i dwa dni po jej śmierci miałem spotkanie z kilerem ze Świetlistego Szlaku w porcie w Limie. Ten palant przyszedł z kosą, więc go skasowałem, a przeszukując jego kieszenie, usłyszałem, że ze stojącego w oknie radia leci Chopin, kawałek, który często grała. Stałem nad tym facetem i stałem, bo porobiło mi się coś z oczami, ale nie, to był tylko zbieg okoliczności, bo już o niej nie myślę.

Mary Gable, Chopin i Świetlisty Szlak, pomyślał Nate. Chryste.

– Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro.

Gable wzruszył ramionami.

– Byłem wtedy mniej więcej tam, gdzie ty teraz. Tylko że ja nie miałem wrażliwego, kurde, opiekuna, a ty masz. Musisz

tylko posłuchać moich mądrości, nabrać rozumu i zacząć zachowywać się jak zawodowiec.

– A dwa skorpiony w kieliszku? Co się z nimi dzieje?

Marty pstryknął oślinionym cygarem w ogień i dopił brandy.

– Ciągle się ślizgają, więc próbują rozprawić się ze sobą pysk w pysk, ze skrzyżowanymi szczypcami. Żądlą się i żądlą, bo są odporne na jad. Ot i masz: pieprzona metafora małżeństwa.

RUNZA

Szklimy posiekaną cebulę i czosnek. Doprawiamy, dodajemy świeży koperek, koper włoski (albo kminek) i mieloną wołowinę. Mieszamy i przysmażamy. Dodajemy grubo posiekane liście kapusty, przykrywamy i gotujemy, aż kapusta zmięknie. Powstała masa powinna być dość sucha. Rozwałkowane ciasto na chleb dzielimy na dwunastoipółcentymetrowe kwadraty, faszerujemy nadzieniem, zaginamy rogi, ściskamy i zamykamy brzegi. Pieczemy w średnio nagrzanym piekarniku, aż paszteciki staną się złocistobrązowe.

13

Dick Spofford, szef NCS, Sztabu Tajnych Akcji, siedział przy biurku na szóstym piętrze kwatery głównej CIA. Z wysokich pod sufit okien gabinetu widać było wierzchołki bujnych drzew rosnących przy alei Waszyngtona i nad płynącym za nią Potomakiem. W skromnym gabinecie – gabinety wszystkich dyrektorów urzędujących na najwyższym piętrze gmachu zaskakiwały niewielkimi rozmiarami – była sofa, dwa krzesła, półka wbudowana w ścianę za nijakim biurkiem i mały, okrągły stół konferencyjny w kącie naprzeciwko.

Jako trzeci najstarszy rangą urzędnik CIA Spofford kierował wszystkimi zagranicznymi operacjami. Gabinet ozdobił tanimi reprodukcjami, głównie plakatami ze złotej ery statków parowych i sterowców kursujących między Nowym Jorkiem a Berlinem w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku oraz zdjęciami z włoskiej krainy jezior. Jedyną zgrzytliwą nutą była stojąca na półce kolekcja małych, pluszowych przytulanek, pingwinów, małpek, rozgwiazd, bizonów, lampartów, szczeniaczków i zezowatych ośmiornic; Spofford nie zauważył pełnych niedowierzania ukradkowych spojrzeń przedstawicieli Sojuszu Pięciorga Oczu – Australijczyków, Brytyjczyków, Kanadyjczyków i Nowozelandczyków – kiedy zobaczyli tę menażerię pierwszy raz.

Odchylił się w ergonomicznym fotelu – służbowym aeronie, modelu zaprojektowanym dla starszych urzędników z grupy

płacowej SIS-4 i wyższych – i zamknął oczy. Imogen, jego asystentka do zadań specjalnych, klęczała pod biurkiem, wykonując ręką ruchy przypominające zaciąganie i zwalnianie hamulca ręcznego w samochodzie. Spofford zerknął na zegarek: za piętnaście minut miał naradę kierownictwa. Okazało się, że kwadrans nie wystarczy.

Podczas wyjątkowo energicznego hamowania Imogen uderzyła ramieniem w biurko, a konkretnie w zamontowany pod szufladą przycisk, który uruchomił cichy alarm w pobliskim biurze ochrony, skutkiem czego już po chwili do gabinetu wpadło trzech uzbrojonych funkcjonariuszy oraz dwuosobowy zespół ratowników medycznych. Kiedy Imogen wyszła spod biurka i założyła ręce za głowę – zrobiła to z niejakim trudem, ponieważ chwycił ją skurcz – funkcjonariusze schowali pistolety. Zachowując to spostrzeżenie tylko dla siebie, członkini zespołu ratowników odnotowała, że hamulcowi dyrektora Spofforda przydałoby się kilka impulsów z podręcznego defibrylatora.

Z półki uśmiechała się do nich zezowata ośmiornica.

Przedwczesne przejście na emeryturę dyrektora Spofforda („mamy jeszcze dużo pracy, będę z wami duchem”) zapoczątkowało cichy wyścig między starszymi urzędnikami, którzy mieli szanse objąć zwolnione właśnie stanowisko. Najpoważniejszymi kandydatami byli trzej wicedyrektorzy: do spraw operacyjnych, wojskowych i łączności z Kongresem. Borden Hood, wicedyrektor do spraw operacyjnych, miał ostatnio poważne kłopoty wizerunkowe, ponieważ podczas inspekcji zagranicznych placówek terenowych zapłodnił oficera

sprawozdawczego, młodą dziewczynę z grupy płacowej GS-11. Naczelny szybko skreślił go z listy.

Wicedyrektor do spraw wojskowych Sebastian Claude Angevine (z francuska ą-że-win, choć wśród podwładnych szeroko znany jako „Angina") był wysokim, szczupłym mężczyzną o porośniętej falującymi włosami olbrzymiej głowie i galijskim nosie, który zwykle dumnie zadzierał. Do Sztabu Tajnych Akcji trafił z sektora bezpieczeństwa, ponieważ zaczynał jako specjalista od badań wariograficznych, co usilnie próbował ukryć; jego częste zapewnienia, że ukończył Akademię Marynarki Wojennej, były dość podejrzane. Swoim wydziałem kierował źle – Pentagon ledwie go tolerował. Apodyktyczny, pochłonięty sobą, słabo zorientowany, mściwy i nielubiany spodziewał się awansu na szefa STA. Zasługiwał na to stanowisko jak nikt inny.

Naczelny wszedł szybko do sali z kartonową teczką w ręku. Jego asystent zamknął drzwi i usiadł pod ścianą. Naczelny powiódł wzrokiem po pełnych wyczekiwania twarzach podległych mu wyższych urzędników. Siedzieli tam: jego pierwszy zastępca, zastępca do spraw wewnętrznych, szefowie Dyrektoriatu Operacyjnego – w tym szef sztabu operacyjnego, wywiadowczego, naukowego i administracyjnego – oraz inni urzędnicy odpowiedzialni za łączność z Kongresem, sprawy wojskowe i PR.

– Przepraszam za spóźnienie – zaczął, otwierając teczkę.

Siedzący blisko niego Angevine dyskretnie podciągnął rękawy marynarki, odsłaniając złote spinki do mankietów z emblematem CIA, zeszłoroczny podarunek od naczelnego.

– Ponieważ Dick Spofford przeszedł na emeryturę – powiedział dyrektor – musieliśmy szybko ustalić, kto zajmie jego miejsce. Fotel szefa Sztabu Tajnych Akcji nie może stać pusty nawet przez chwilę. – Przełożył kartkę, jakby chciał zajrzeć do notatek.

Oto nadchodzi wielka chwila, pomyślał Angevine. Kiedy naczelny ogłosi, że nowym szefem STA zostanie właśnie on, Sebastian Claude Angevine, wtedy wstanie i powie, że bardzo się cieszy, dziękuje za zaufanie, że czekają ich ważne zadania i nie może się już doczekać, kiedy będzie mógł rozpocząć współpracę ze wszystkimi tu obecnymi. Albo coś w tym stylu.

Popatrzył na Glorię Bevacquę, zastępczynię dyrektora do spraw łączności z Kongresem, i uśmiechnął się szyderczo, oczywiście tylko w duchu. Koszmar: poplamiony azjatycką sałatką kostium ze spodniami i podróbka apaszki od Hermesa jako szalik. Nabrzmiałe stopy, skórzane pantofle na grubych obcasach i słoniowate nogi. Słynęła z tego, że w jej sekretariacie zawsze czekały świeże bułeczki i ciastka. Nowa szefowa Sztabu Tajnych Akcji – jasne, już to widział.

W mieszczącej się na szóstym piętrze stołówce dla wyższych urzędników powiadano, że Bevacqua miała się podobno chwalić, iż to ona zostanie szefową, ale krążące tam plotki były niewiarygodne. Ten krępy hydrant nie miał praktycznie żadnego doświadczenia w pracy w CIA, tym bardziej w Dyrektoriacie Operacji: rok temu naczelny ściągnął ją do Langley z Kapitolu. Myśl, że to ona może pokierować Sztabem Tajnych Akcji, była śmiechu warta.

– STA bardzo ewoluowało… – mówił naczelny.

Chce powiedzieć, że to właśnie ja jestem najlepszym kandydatem, pomyślał Angevine, doświadczony administrator Sebastian Claude Angevine.

– …dlatego nowy szef – ciągnął dyrektor – musi nawiązać współpracę z całą naszą społecznością: Pentagonem, Agencją Bezpieczeństwa Krajowego, Narodową Agencją Wywiadu Geoprzestrzennego…

Znowu mówi o mnie, cieszył się Angevine, o mojej pracy w Departamencie Obrony.

– …ale przede wszystkim z komisjami nadzorczymi w Kongresie.

O czym on gada?

– Dlatego chociaż wszyscy tu obecni mają najwyższe kwalifikacje i zostali wzięci pod uwagę, mam przyjemność ogłosić, że stanowisko szefa Sztabu Tajnych Akcji przejmie Gloria. Jestem pewien, że Borden udzieli jej wsparcia na wszystkich frontach, tak jak pozostali.

Bevacqua powiodła wzrokiem wokół stołu, podziękowała im skinieniem głowy i powiedziała, że bardzo się cieszy. Mówiła krótko.

Kurwa mać! – Angevine znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w tego zdradzieckiego wieloryba. Niech to szlag! Nie wiedział, że naczelny – były szef sztabu jakiegoś senatora, a więc też „mieszaniec” – skreślił go z listy, uważając, że poziom jego „głupkowatości” jest zbyt wysoki, nawet jak na stanowisko szefa STA.

Ten awans należał się mnie! – myślał Angevine. Idealnie się nadawałem! Był tak skonstruowany, że po prostu nie dopuszczał do siebie myśli, iż naczelny mógł uważać inaczej. Przez następne pół godziny nic nie widział i nic nie słyszał. W ustach miał smak metalu, chyba cynku. Narada dobiegła końca i w drzwiach spotkał się z Bevacquą. Przystanął, żeby ją przepuścić, zresztą i tak nie przecisnęliby się razem.

– Moje gratulacje – wymamrotał.

Włosy miała w połowie jasne, w połowie zielone jak mech torfowiec, ściągnięte na bok klamerką.

– Dziękuję, Seb. – Powiedziała to ze złośliwym uśmieszkiem i Angevine'a olśniło: oni wszystko ukartowali! Wiedzieli o tym od samego początku, od wielu tygodni! Podstępni zdrajcy. – W najbliższych miesiącach chciałabym zacieśnić współpracę z Wydziałem Rozpoznania Osobowego Departamentu Obrony.

Więc może poczęstujesz ich swoim trzydziestocentymetrowym plackiem? – pomyślał Angevine.

– Tak, oczywiście – odparł.

Gloria dobrze wiedziała, że tak naprawdę powiedział: „Wal się", ale pracowała na Kapitolu przez wiele lat i umiała sobie radzić z krnąbrnymi elegancikami.

– Posłuchaj, wiem, że liczyłeś na to stanowisko, ale James chciał pójść w innym kierunku.

Aha, pomyślał, więc jesteście już z dyrektorem na „ty". Miał ochotę posłać ich wszystkich do diabła, to też dobry kierunek.

– Z czego na pewno się ucieszyłaś – powiedział, patrząc na nią z pogardą.

Zauważyła to i postanowiła pokazać temu zmanierowanemu drągalowi, gdzie jego miejsce.

– Seb – powiedziała z kpiącym uśmiechem. – Pominięto cię, ale to jeszcze nie tragedia. Dziewczyny i tak za tobą szaleją.

Angevine zamarł, dosłownie zesztywniał. Ten wstrętny *sagouine*, brudny, spocony niechluj, śmiał go obrażać!

Gloria odeszła, a on wrócił do siebie, usiadł przy biurku i popatrzył na gabinet obwieszony zdjęciami, dyplomami i nagrodami – miał całkiem porządną ścianę sławy i chwały. Ale teraz oprawione w ramkę eksponaty zdawały się z niego szydzić. Powoli przeanalizował swoją nienawiść do tego przeklętego babska. Pozostali *pèdès,* zboczeńcy z szóstego piętra, byli zerami. Naczelny go zdradził, ale niemal na pewno

za jej namową. Ten wstrętny tłuścioch miałby kierować STA? Operacjami szpiegowskimi i tajnymi akcjami?

Nienawiść kipiała w nim przez cały tydzień, aż skwaśniał jak tanie chianti w plastikowym baniaku. Tak, pragnął ich wszystkich zniszczyć, przeciągnąć palcem po lukrowanym wierzchu nieskazitelnego tortu weselnego, przejść po gładziutkim, dopiero co wylanym betonie. Nie musiał już być wobec nich lojalny – jakby kiedykolwiek był – i te małostkowe motywy kazały mu pomyśleć o czymś naprawdę wielkim, monumentalnym i oszałamiającym. O tak, nadejdzie dzień zapłaty. Bardzo dużej zapłaty.

Jego nieżyjąca już matka, Christine, pracowała w Departamencie Stanu jako zawodowa dyplomatka, specjalistka od przepisów konsularnych regulujących między innymi zasady wydawania wiz obcokrajowcom chcącym wyemigrować lub przyjechać do USA do pracy. Poważna i trudna, jak większość pracowników wydziału konsularnego, znała wszystkie te talmudyczne przepisy tak dobrze, jakby sama je napisała. Drobna i niska miała ptasie nadgarstki i rzadkie brązowe włosy spięte w skromny koczek. I cierpliwie pracowała na staropanieństwo, bo zupełnie zrezygnowała z mężczyzn.

Miała dobrych czterdzieści kilka lat, gdy wysłano ją do amerykańskiej ambasady w Paryżu jako nowego konsula generalnego. W tamtejszym wydziale konsularnym pracowało wiele osób, którymi kierowała z charakterystyczną dla siebie fachowością. Jej podwładni doceniali to i trochę jej współczuli, choć za nią nie przepadali.

Nie pozostawała obojętna na uroki Francji, nie umiała jednak zainicjować romantycznej przygody. Jej dwuletnia kadencja właśnie się kończyła i już niedługo Christine miała wrócić do Waszyngtonu. I wtedy, w pewne deszczowe popołudnie, na jak zwykle nudnym comiesięcznym lunchu dla lubiących sobie dogodzić zagranicznych konsulów generalnych, poznała Claude'a Angevine'a. Gdy pierwszy raz spotkali się wzrokiem, był zajęty rozsadzaniem przybywających dyplomatów, rozkładaniem serwetek i rozdawaniem menu. Pokłonił się jej nisko i uśmiechnął – ot, rozładowywacz węgla o galijskim uroku osobistym. Christine skinęła mu głową i pomyślała: jak z kart powieści Emily Brontë. Natomiast jego myśli natychmiast powędrowały tropem wizy K-3 (dla zagranicznych współmałżonków obywateli amerykańskich).

Był dobijającym pięćdziesiątki kawalerem, wysokim ektomorfem o dużej głowie, długich palcach i szerokim jak lemiesz nosie. Mówiąc zmysłowo akcentowaną angielszczyzną, lubił przeczesywać ręką włosy. Rozpoczęły się intensywne zaloty, podczas których nie brakowało – przynajmniej początkowo – niezręcznych chwil związanych, cóż, z sypialnią i seksem, ale Claude był troskliwy, bardzo *charmant* i mówił, że ją kocha. Trzy miesiące później byli już zaręczeni. Wkrótce potem wzięli ślub, przenieśli się do Stanów i Christine zaszła w ciążę.

Ich syn, Sebastian, wyrósł na wysokiego młodzieńca, bardzo podobnego do ojca, i tak jak ojciec szybko zaczął zadzierać nosa. Frankofilskie poczucie własnej wartości mieszało się w obydwu ze złymi manierami, interesownością i głębokim przekonaniem, że życie jest im coś winne. Rozmawiali ze sobą po francusku, żeby wygodniej im było szydzić z innych. Delikatna Christine nie radziła sobie z wyniosłą pogardą męża i w milczeniu znosiła coraz większy brak szacunku

dorastającego syna; tatuś dobrze go nauczył. A potem Claude porzucił rodzinę – Sebastian skończył akurat dwadzieścia lat – i jako amerykański ekspatriant wrócił do Francji. Natomiast Christine przeszła na emeryturę i zaczęła więdnąć. Więdła i więdła, aż w końcu umarła.

Bez wsparcia i miejsca do życia Seb ukończył college, wstąpił do marynarki wojennej, z trudem zaliczył szkolenie i żeby uniknąć służby na morzu, złożył podanie o przyjęcie do służby kryminalno-śledczej Departamentu Marynarki Wojennej. Okazało się, że świetnie sobie radzi, tropiąc fałszywe czeki, złodziei marynarskich zapasów i portowych gwałcicieli; praktycznie nie rozstawał się ze skórzanym portfelem z odznaką NCIS, którą lubił migać ludziom przed oczami. Gdy ogłoszono nabór na stanowisko operatora wariografu, natychmiast skorzystał z okazji i zapisał się na kurs – wszystko, byle tylko pochwalić się kolejnym papierkiem. Przydział do Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, gdzie miał badać wariografem studentów pierwszego roku, dał mu asumpt do twierdzenia, że „był w Annapolis". Cóż, nie ukończył akademii i nie nosił akademickiego pierścienia, ale tak jakby ukończył i nosił.

Szybko doszedł jednak do wniosku, że marynarka wojenna jest dla frajerów i złożył wniosek o przyjęcie do pracy w wydziale wariograficznym Biura Bezpieczeństwa w Dyrektoriacie Wsparcia CIA. Miał dwadzieścia pięć lat. I zdobywał coraz większy prestiż: najpierw Annapolis, teraz Langley, nieważne, że był tylko zwykłym śledczym. CIA – przecież to pierwsza liga! Podobał mu się nawet obowiązujący w wydziale żargon. Zaczynał od „przetrzepywania" nowych kandydatów do pracy w CIA. Przeprowadzał okresowe „przeglądy" oficerów prowadzących. W końcu wysłano go za

granicę na „wizję lokalną”, żeby zbadał wariografem świeżo zwerbowanego agenta.

Zazdrościł lakonicznym i sarkastycznym oficerom operacyjnym, których spotykał podczas zagranicznych wojaży. Owszem, pragnął prestiżu, jakim się cieszyli, ale szczerze mówiąc, wolał unikać kłopotliwych i niebezpiecznych misji. Dlatego zaczął planować bezpieczną i korzystną zmianę kariery zawodowej i przejście do tajnych służb: najpierw przydział do Dyrektoriatu Administracji, a więc czysto papierkowa robota. Potem staż w Dyrektoriacie Wsparcia, gdzie jako asystent zajmował się teczkami pozyskanych agentów. Następnie został asystentem specjalnym szefa dyrektoriatu i pilnował harmonogramu jego zajęć. Potem pracował krótko w Wydziale Public Relations, gdzie nauczył się sztuki niemówienia rzeczy ważnych. Jeszcze potem na plecach jednego z wicedyrektorów wjechał na szóste piętro kwatery głównej – znów kadry i papierkowa robota, ale mógł przynajmniej oddychać dyrektorskim powietrzem – aby szybko przenieść się do Sztabu Łączności z Kongresem, czyli kuźni przyszłych władców CIA. W końcu stało się to, o czym od dawna marzył: jego szef awansował i po piętnastu latach pracy w administracji CIA czterdziestoletni Sebastian Angevine, „weteran” Marynarki Wojennej USA, został nowym zastępcą dyrektora do spraw wojskowych, co łączyło się ze zmianą kategorii zaszeregowania płacowego z GS-15 na SIS-3 i podwyżką pensji zasadniczej ze stu dziewiętnastu tysięcy pięciuset pięćdziesięciu czterech dolarów do stu sześćdziesięciu pięciu tysięcy trzystu dolarów rocznie. Z okien służbowego gabinetu widział wierzchołki drzew. Na biurku miał trzy telefony, czarny, szary i zielony. Miał także czarnego jak noc SUV-a i szofera, który woził go na spotkania w Pentagonie.

Niecały rok później znało go już całe szóste piętro kwatery głównej oraz sale konferencyjne Pentagonu i Rady Bezpieczeństwa Narodowego, chociaż na piętrach operacyjnych, gdzie zaglądał dużo rzadziej, mało kto o nim słyszał. Z ambitnego oficera bezpieczeństwa zmienił się w zmanierowanego pracownika średniego szczebla kierowniczego. Nosił jedwabne krawaty od Ermenegilda Zegny, atłasowe szelki od Aldrige'a i antyczne spinki do mankietów z muszli morskich skorupiaków od Carringtona. Długimi palcami przeczesywał swoją lwią grzywę i starannie farbował siwiejące na skroniach włosy. Myśląc, że jest interesujący i pełen ogłady, flirtował z urzędniczkami, choć te uważały, że jest niestrawny i oślizgły.

W trakcie kariery zawodowej szybko odkrył, że tak naprawdę nie musi się specjalnie wysilać. Ciągłe spotkania, gadające głowy, polecenia z góry, które wystarczyło tylko przekazać w dół – ciężka praca przepływała obok jak leniwa rzeka. Reszta była zagrywką rodem z biblii każdego starszego urzędnika: żeby wykazać się wydajnością i dbałością o finanse, należało raz w roku zaproponować „nowy program", najlepiej mętnie zmodyfikowaną wersję poprzedniego, albo zamknąć program już realizowany. Aby udowodnić, że jest się silnym przywódcą, co kwartał trzeba było wyrzucić z pracy jednego, a najlepiej kilku nieradzących sobie podwładnych. I zawsze pamiętać, że służalczości i pustych komplementów w stosunku do przełożonych nigdy nie za wiele. Czyli łatwizna.

Reszta to same profity, dojścia i przywileje. Przez jego biurko przewijały się wrażliwe dokumenty, korespondencja operacyjna CIA, surowe, nieprzetworzone informacje wywiadowcze. A był to dopiero początek. Miał dostęp do setek zaszeregowanych programów Departamentu Obrony; w pękatych segregatorach aż się od nich roiło, bo departament

i agencja ściśle ze sobą współpracowały i wymieniały się materiałami. W świecie wywiadu wagę i znaczenie urzędnika mierzyło się liczbą stojących za jego nazwiskiem pozwoleń na dostęp do tajnych informacji: im dłuższa lista, tym większa estyma, a on miał ich kilkanaście, w tym rzadko udzielane pozwolenie na dostęp do opracowywanych przez Wydział Technik Wywiadowczych ściśle zaszeregowanych ramówek, które cyniczne sekretarki i asystenci specjalni z szóstego piętra nazywali skrótowo ZASRAM. Tak, Sebastian Angevine był człowiekiem dobrze poinformowanym i wtajemniczonym.

Zgoda, zarabiał tak sobie, co trochę bolało. Pragnął ładnych rzeczy, chciałby mieć apartament w Watergate, nowe audi, przyjaciółkę, która mogłaby rozmawiać z nim po francusku. Lubił chodzić do restauracji, barów i nocnych klubów ze striptizem – żeby się odprężyć – jak choćby do Good Guys przy Wisconsin Avenue. Ale to kosztowało, a jemu coraz częściej brakowało pieniędzy. Mógłby zamienić skromną pensję urzędnika państwowego na sowite wynagrodzenie w sektorze prywatnym, ale nie był jeszcze na to gotowy, poza tym w sektorze prywatnym wymagano by od niego ciężkiej pracy i rezultatów. (Po przejściu na emeryturę trafiało tam bardzo wielu wysokich rangą dyrektorów agencji, ale wytrzymywali najwyżej trzy lata, a potem ich wyrzucano: w sektorze prywatnym nikt się nie obijał, a już na pewno nie były urzędnik państwowy – nie pozwalała mu na to etyka pracy). Nasuwało się oczywiste rozwiązanie: musiał pozostać w CIA trochę dłużej. I kiedy Dicka Spofforda nakryto na zabawie hamulcem postojowym, ujrzał przyszłość: zostanie szefem Sztabu Tajnych Akcji. Dyrektor był jego sojusznikiem i na pewno zatwierdzi jego awans.

Ale teraz wszystko się zmieniło.

AZJATYCKA SAŁATKA Z CZERWONEJ KAPUSTY

Sos sojowy i rybny gotujemy z cukrem i na wolnym ogniu, aż zgęstnieje. Do mocno zbrązowiałej glazury dodajemy majonez. Tak przyrządzonym gęstym sosem polewamy grubo posiekane liście czerwonej kapusty, pokrojoną w kostkę szalotkę i czerwoną cebulę, posiekaną kolendrę i startą marchewkę. Doprawiamy do smaku. Polewamy olejem sezamowym, olejem arachidowym i octem ryżowym, następnie przybieramy płatkami czerwonej papryki i prażonym sezamem.

14

Najlepszą miarą jego aberracji było to, że nagła, sensacyjna decyzja o sprzedaży tajemnic państwowych Rosjanom zupełnie nie kolidowała w nim z takimi pojęciami, jak wierność, lojalność czy zdrada kraju. Sebastian Angevine był po prostu wściekły, że pominięto go w awansie – takie rzeczy przydarzały się innym, ale nie jemu! Na próżno próbował usprawiedliwiać się przed samym sobą, że sprzedaż tajemnic (a co za tym idzie wyrównanie poziomu boiska, na którym wywiad amerykański rozgrywał mecze z wywiadem rosyjskim) uspokoi Kreml i samego Putina, sprawiając, że rosyjska polityka zagraniczna będzie mniej wojownicza i mniej skłonna do ogólnoświatowego awanturnictwa. Może i tak, myślał. *Je m'en tamponne*, mam to gdzieś.

Ku szpiegostwu popychały go dwa klasyczne bodźce: pieniądze i ego. Tak, chciał mieć pieniądze, dużo pieniędzy, a sądząc po licznych meldunkach, jakie przewinęły się przez jego biurko, Rosjanie płacili teraz o wiele lepiej niż kiedyś. Natomiast jego mocno nadszarpnięte, lecz wciąż rozbuchane ego pragnęło odpłacić naczelnemu pięknym za nadobne, odpłacić tym wszystkim napuszonym wicedyrektorom, tej *morue*, tej flądrze Bevacqui, całej CIA. Zjadliwa pogarda dla kolegów wyrugowała – bardzo skutecznie – wyrzuty sumienia, które mogłyby mu przeszkodzić, i pozwoliła całkowicie skupić się na tym, czego naprawdę pragnął.

Dręczyło go i pochłaniało tylko jedno: jak przekazywać Rosjanom tajne informacje, bo oczywiście nie chciał, żeby go złapano. Podczas szkolenia na specjalistę od badań wariograficznych miał możliwość zapoznania się z wieloma aferami szpiegowskimi – Pollard, Ames, Hanssen, Pelton, Walker – i doskonale wiedział, co doprowadziło każdego z nich do wpadki: fuszerka, wkurzona była żona, głupi wspólnik. Tak, ale jeśli było się Amerykaninem sprzedającym tajemnice państwowe Ruskom, istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że może wsypać cię także oficer SWR pozyskany i prowadzony przez CIA, który zawiadomi Langley, że rosyjska centrala ma u nich swojego agenta. Nie musi nawet podawać jego nazwiska, bo już samo to wystarczy, żeby FBI wszczęło śledztwo.

Hanssen pogrywał sprytnie. Od pierwszego kontaktu z Rosjanami starał się zachować anonimowość, konsekwentnie odmawiając spotkań twarzą w twarz i używając tylko kryptonimu „Ramon”. Ale Rosjanie też byli sprytni i nagrali jego rozmowę z prowadzącym. No i clou programu: oryginalne nagranie wykradł pracujący w Moskwie agent CIA, który natychmiast przekazał je do Langley. Skutek? Oniemiali koledzy z FBI rozpoznali znajomy głos i Hanssen odsiadywał teraz karę dożywocia w więzieniu o zaostrzonym rygorze we Florence w Kolorado.

Dlatego najważniejszym, wprost fundamentalnym zadaniem było znalezienie bezpiecznego dojścia do Rosjan. Wyczerpany i poirytowany Seb myślał o tym cały weekend, lecz nic nie wymyślił. Na kolację zjadł w roztargnieniu kilka filipińskich naleśników *lumpia*, które zostawiła mu w lodówce Arcadia, jego gosposia. I nagle przypomniało mu się, że ma przesłuchanie w OSI.

AFOSI, czyli Biuro Dochodzeń Specjalnych Sił Powietrznych USA albo po prostu OSI – podobnie jak NCIS, czyli Kryminalne Biuro Śledcze Marynarki Wojennej – zajmowało się zwalczaniem przestępstw, tyle że wśród amerykańskiego personelu lotniczego. Nieduża komórka kontrwywiadowcza biura prowadziła niewiele spraw, ale jeśli któraś groziła wybuchem, natychmiast przejmowali ją agenci z gmachu Hoovera, a w przypadku tropów prowadzących za granicę – agenci CIA.

Seb Angevine wiedział, że operacje typu „podwójny agent" są trącącym myszką anachronizmem z czasów zimnej wojny. Generowanie (i zatwierdzanie) autentycznych materiałów dla przeciwnika było żmudnym, niekończącym się zadaniem. Co gorsza, agencje wywiadowcze na całym świecie doskonale zdawały sobie sprawę, że kontakt z „ochotnikiem" może okazać się groźną w skutkach prowokacją – wszystkie się na tym sparzyły, i to nie raz. Dlatego informacje, jakie podwójny agent sprzedawał przeciwnikowi, musiały spełniać niezwykle wysokie kryteria i być rzeczywiście sensacyjną tajemnicą państwową. Jeśli sprokurowana informacja była błaha albo nie dawało się jej potwierdzić, ochotnika odprawiano z kwitkiem.

Jako wicedyrektor do spraw wojskowych Angevine miał wgląd w szczegóły wszystkich tajnych przesłuchań związanych z tego typu operacjami i żeby zapoznać się z tymi aktualnie prowadzonymi, zadzwonił do znajomych z Pentagonu. Okazało się, że najnowszej przydzielono kryptonim „Szperacz". Podwójnym agentem miał zostać major lotnictwa Glenn Thorstad, rudowłosy, zielonooki luteranin z Minnesoty. Prymitywny wiking, pomyślał Angevine. Był zaskoczony, że Thorstad zdążył już nawiązać kontakt z rosyjską ambasadą

w Waszyngtonie, zostawiając list za wycieraczką rosyjskiego dyplomaty, którzy zwiedzał akurat Narodowe Arboretum Stanów Zjednoczonych przy New York Avenue.

Wszedłszy do sali przesłuchań OSI w Pentagonie, zobaczył siedzącego pod ścianą Simona Benforda. Słabo go znał, bo ich ścieżki rzadko się przecinały. Wiedział, że Benford jest szefem kontrwywiadu i enfant terrible CIA i że obraca się w mrocznym świecie kretów, szpiegów, kłamstw, tropów i przecieków. Nie lubił go, bo podczas spotkań wysokiego szczebla na szóstym piętrze kwatery głównej czuł na sobie jego wzrok i słyszał nutę pogardy w jego głosie. Ale z drugiej strony Benford zachowywał się tak w stosunku do wszystkich.

Angevine zdawał sobie sprawę, że starzy weterani, zasłużeni oficerowie operacyjni (tacy jak Simon Benford), lekceważą go, bo nie dochrapał się stanowiska, prowadząc tajne operacje za granicą. Cudowna ironia tej sytuacji polegała na tym, że Seb przewyższał ich wszystkich rangą, ale tego nie mógł wykorzystać. W dziwnym, egalitarnym światku tajnych służb, i wbrew ich patrycjuszowskim korzeniom, nawet najmłodsi oficerowie zwracali się do starszych po imieniu.

Co Benford robił na tym mało ważnym przesłuchaniu? Angevine usiadł obok niego. W sali pełnej niebieskich mundurów i baretek byli jedynymi przedstawicielami CIA.

– Witaj, Simonie – rzucił, patrząc przed siebie.

– Witaj, Sebastianie – odrzekł Benford ze wzrokiem wbitym w ścianę.

– Co ty tu robisz? – spytał Angevine. – Dla ciebie to chyba za niskie progi.

– Mógłbym powiedzieć to samo o tobie.

Ani razu na siebie nie spojrzeli.

– Staram się być na bieżąco z wieloma sprawami – oznajmił wyniośle Angevine.

– To zrozumiałe – mruknął Benford. – *Noblesse oblige*.

Seb zignorował sarkastyczną nutę w jego głosie.

– A ty?

Benford odwrócił się w jego stronę.

– Wiesz, co myślę o tego rodzaju operacjach. Są powolne, czasochłonne i rzadko kiedy skuteczne. Wszystkie poważne służby przestały już zawracać sobie nimi głowę. Ale na pewno o tym słyszałeś, prawda, Simonie?

– W takim razie, co tu robisz? – powtórzył Angevine.

– Niech Bóg ich błogosławi – westchnął Benford. – Tych z OSI. Są rozgadani, pełni entuzjazmu i się starają. A ten ich „Szperacz", czy jak mu tam, to czysto bolszewicka operacja. Niesamowite.

– Bolszewicka? – nie zrozumiał Angevine.

– Rosyjska. Waszyngtońska *riezidientura* odpowiedziała na list naszego młodego majora. Co więcej, wyznaczyła mu miejsce spotkania w Maryland. Chcą rozmawiać z ochotnikiem. Zadziwiające. Zwykle ich odprawiają. Może centrala zaczęła nalegać na większą wydajność?

– Ciekawe… – zgodził się z nim Angevine. – À propos, kto jest tam teraz szefem? – Nazwisko rosyjskiego *riezidienta* mogło mu się przydać.

– Nie szefem, tylko szefową – poprawił go Benford.

Bardzo interesujące, pomyślał Angevine.

– Poważnie?

– Tak. – Benford przekrzywił głowę. – Julia Zarubina. Mówi ci to coś?

Seba przeszedł dreszcz poczucia winy.

– Nie, a powinno?

– Jej babka, Jelizawieta Zarubina, pracowała w Waszyngtonie w tysiąc dziewięćset czterdziestym i podczas gdy ludzie Hoovera uganiali się po mieście za jej mężem, ona zwerbowała dla Moskwy połowę amerykańskich szpiegów atomowych, Oppenheimera, Golda, Halla, Greenglassa i tak dalej. Dostała nagrodę od samego Stalina, była legendą.

– Nigdy o niej nie słyszałem – przyznał Angevine.

– Stara historia. Julia zachowała jej nazwisko pewnie po to, żeby ich ród nie wymarł.

– Aha, więc przyjechałeś, żeby się jej przyjrzeć.

– Właśnie. W SWR to biały kruk, najwyższa rangą rezydentka w historii. Ma pięćdziesiąt pięć lat. Niewielu takich zostało. Zaczynała jak inni, od Instytutu Języków Obcych i Akademii Dyplomatycznej przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ma geny babki: jest sprytna, kulturalna i zna dziesięć języków. Zaliczyła rezydentury w Paryżu, Tokio i Sztokholmie. Podobno jest tak czarująca, że nikt się jej nie oprze, więc Putin wysłał ją do Waszyngtonu. Ale ma też inne zalety, dlatego tu przyjechałem.

– Tak? – Angevine rozejrzał się wokoło, udając, że go to nie interesuje.

– Zarubina werbuje jak nikt, ma to we krwi. Jeden z informatorów zameldował kiedyś, że nazywają ją szwieją, szwaczką, bo kroi agentów i zszywa jak chce.

Dobrze wiedzieć, ucieszył się Angevine. Benford odrobił za mnie pracę domową.

– Więc jeśli zechce zabawić się z naszym majorem, warto by to zobaczyć.

– To trochę melodramatyczne – powiedział Angevine. – Nie uważasz, Simonie?

Benford znów przekrzywił głowę.

– To zależy od definicji dramatyzmu, Sebastianie.

Angevine wytrzymał do połowy przesłuchania, po czym wymknął się z sali, nie zważając na Benforda, który przyglądał mu się spod ciężkich powiek. Dość już się nasłuchał. Oficerowie prowadzący podwójnych agentów – bardzo produktywne kolegium rewizyjne – oraz zastępca dyrektora Sztabu A-2 (wywiad, inwigilacja i rozpoznanie) co miesiąc przeglądali i recenzowali przygotowane przez OSI informacje, które miały zostać przekazane Rosjanom.

Angevine uważał, że „Szperacz" jest operacją idiotyczną i zbyt oczywistą. Ale to, że dokumenty fotografowano aparatem cyfrowym, było ciekawe – może właśnie tu należało szukać okazji? Na przykład dołączyć prawdziwe informacje do tych spreparowanych przez OSI. Wyobraził sobie, jak Rosjanie je przeglądają i jak opadają im szczęki na widok zdjęć z zupełnie innego źródła, sensacyjnych obrazów i prawdziwych tajemnic. Żadnych nazwisk i spotkań twarzą w twarz – będzie fruwał tuż nad ziemią, poza zasięgiem radarów, kontaktował się z nimi tylko ustalonymi kanałami. Nowego informatora – czekała go dobra zabawa, ponieważ musiał wymyślić kryptonim – nie wykryje nawet Langley, bo nawet jeśli pojawią się jakieś podejrzenia, łowca szpiegów Benford będzie musiał przejrzeć tysiące teczek osobowych personelu Sił Powietrznych USA z dostępem do tajnych informacji, zanim zacznie szukać gdzie indziej.

Dopracowania wymagały jedynie dwa szczegóły: musiał zdobyć wabik „Szperacza" i odebrać pieniądze. Gorączkowo myślał. Zażąda, żeby przed przekazaniem wabika do kontrwywiadu przejrzał go jego wydział i zrobi to osobiście. A pieniądze? Żadnych kont bankowych, ani krajowych, ani zagranicznych. Śledczy z kontrwywiadu poznaliby ich numery

w jedno popołudnie. Nie, Rosjanie przekażą mu pieniądze staroświeckim sposobem: za pomocą ukrytej skrzynki kontaktowej. Ale skrzynka kontaktowa to igranie z niebezpieczeństwem. Agenci FBI chodzili za Rosjanami po całym mieście, tylko czekając, aż ci coś gdzieś podrzucą albo odbiorą. Nie, na waszyngtońskich oficerach SWR mógłby się mocno sparzyć. Może z wyjątkiem obytej i skutecznej Julii Zarubiny, dumy i chluby Putina, która miała polepszyć stosunki bilateralne między Rosją a Stanami. Tak, to może wypalić…

Kurier z Pentagonu przywiózł zamkniętą i zapieczętowaną teczkę, oderwał podpisane przez sekretarkę potwierdzenie odbioru i wyszedł. Po wabik miał wrócić następnego dnia rano, po tym, jak zgodnie z obowiązującymi procedurami przejrzy go zastępca dyrektora do spraw wojskowych. Kiedy CIA zatwierdzi jego zawartość, wabik zostanie przekazany majorowi Thorstadowi, który przygotowywał się już do spotkania z Rosjanami.

Angevine wetknął pendrive'a do odciętego od internetu laptopa na podręcznym stoliku za biurkiem i szybko przejrzał materiał. *Ordure*, same śmieci. Co za idiotyzm. Poprzedniego wieczoru zamknął się w gabinecie i leciutkim nikonem sfotografował ekran służbowego komputera stacjonarnego, trzy strony tajnej depeszy – żadnych tam papierów i drukarek, tylko zdjęcie, anonimowe i nie do wytropienia. Wybrał meldunek na temat werbunku rosyjskiego attaché wojskowego w Wenezueli. Depesza z rezydentury w Caracas była bardzo szczegółowa, zawierała nazwiska oraz przekazane przez attaché informacje. Piękno tej sytuacji polegało na tym, że Angevine nie miał nic wspólnego ani z wydziałem operacyjnym, ani wydziałem do

spraw Ameryki Łacińskiej – miał po prostu dostęp do depesz ze wszystkich amerykańskich rezydentur.

Wiedział, że nic nie ucieszy Rosjan tak jak afera szpiegowska z udziałem ich ziomka. Uwielbiali łapać zdrajców *rodiny*. Za ujawnienie nazwisk dwunastu sowieckich szpiegów na liście płac CIA w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku zapłacili Amesowi pięć milionów dolarów, olbrzymią kwotę jak na skąpą zazwyczaj Moskwę. Oprócz trzystronicowej depeszy z Caracas załączył także zdjęcie swojego listu. Przelał cztery zdjęcia na pendrive'a wabika i sprawdził, jak to wygląda. Tajne instrukcje obsługi czegoś tam, potem trzy strony depeszy operacyjnej CIA, a na końcu liścik miłosny. Jego materiał rzucał się w oczy – zawierał szczegółowe metadane i pliki z rozszerzeniem.dox – ale tak było nawet lepiej, bo jeszcze bardziej tajemniczo. Natomiast liścik był krótki, mocny i treściwy. Rosjanie zesrają się w gacie, kiedy go przeczytają.

Nazywam się Tryton. (Wybrał ten kryptonim z prawdziwą lubością). *W zamian za pieniądze proponuję informacje, które na pewno zainteresują Wasze służby. Ich przykładem jest trzystronicowa depesza z rezydentury CIA w Caracas ze szczegółami wymierzonej w Was operacji.*

Nie przedstawię się, nie zdradzę swojego stanowiska ani nie wymienię swoich kontaktów. Żądam szybkiej zapłaty w dolarach amerykańskich. Honorarium to będzie jednocześnie wyrazem zaufania i gwarantem przyszłych informacji, które prześlę tym samym kanałem. Za trzy dni – tyle czasu w zupełności wystarczy Wam na zweryfikowanie załączonych materiałów – włóżcie sto tysięcy dolarów do wodoodpornego pojemnika i zostawcie go w opisanym poniżej miejscu (narysował trasę dojścia do

skrzynki kontaktowej w Rock Creek Woods w północno-zachodniej części Waszyngtonu).

Jeśli Wasze służby spróbują mnie zidentyfikować albo jeśli wiadomość o mojej propozycji wycieknie z moskiewskiej centrali, natychmiast się o tym dowiem i raz na zawsze zerwę kontakt. Tryton.

Dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć. Chryste, pomyślał major Thorstad, wygląda na to, że pierwsze spotkanie z Rosjanami będzie katastrofą. Bał się, że źle zrozumiał instrukcje: o dziewiątej wieczorem miał spacerować półtorakilometrowym odcinkiem nieoświetlonej Capital Crescent Trail w Bethesda, konkretnie między Massachusetts Avenue i MacArthur Boulevard. Osiemnastokilometrową linię kolejową łączącą Georgetown z Silver Spring w stanie Maryland przekształcono w asfaltową trasę rekreacyjną, lecz o tej porze nie było tam ani piechurów, ani rowerzystów, a po obu stronach drogi rósł gęsty, czarny las. Thorstad zaliczył już trzy kółka – było tak ciemno, że zrobił to niemal po omacku – i zbliżał się właśnie do wyłożonego kostką tunelu Dalecarlia, który na przełomie wieków wykopano pod pobliskim zbiornikiem wodnym.

I wtedy z ziejącej paszczy tunelu wyłoniła się sylwetka mężczyzny z twarzą i rękami ledwo widocznymi w świetle ubywającego księżyca. Thorstad podszedł do niego powoli.

– Torstud? – spytał tamten, przekręcając jego nazwisko. Major kiwnął głową. – Bliżej – rozkazał mężczyzna; mówił chyba z rosyjskim akcentem.

Thorstad zrobił krok do przodu

– Myślałem, że pomyliłem miejsca – powiedział. – Spóźnił się pan prawie godzinę i…

– Twarzą do ściany. – Mężczyzna podniósł mu ramiona i major plasnął dłońmi w szorstki beton. W tunelu było zimno. Pok-pok-pok! – z głuchym echem z łukowatego stropu ściekała woda. Rosjanin obszukał go wprawnie z przodu, z tyłu i między nogami. Potem powiódł po jego ciele elektronicznym wykrywaczem metalu, po kurtce i butach. Był przysadzisty i miał tępą, zaciętą twarz. Cuchnął alkoholem – pewnie wódką, pomyślał Thorstad – ale nie chwiał się ani nie zataczał. Skończywszy go obmacywać, burknął coś pod nosem i major się odwrócił. Rosjanin wyjął z kieszeni małą latarkę i błysnął nią dwa razy w głąb tunelu i w przeciwną stronę. Nikt mu nie odpowiedział, lecz major zrozumiał nagle, że nie są sami, że rosyjskie wilki obserwują go, odkąd tu przyszedł. Zadrżał na myśl, że po zadbanych lasach ekskluzywnej Bethesdy mogą grasować uzbrojeni Rosjanie.

– Dlaczego się z nami skontaktowałeś? – spytał ciężko mężczyzna.

Thorstad starał się być miły, poza tym ci z OSI kazali mu być rozmownym i chętnym do współpracy.

– Tak jak napisałem, potrzebuję pomocy finansowej – odparł. – Pieniędzy.

– To dlaczego nie poszedłeś do banku? Czemu zwróciłeś się akurat do nas?

– Bo mam informacje, które mogą was zainteresować – odrzekł niepewnie major.

– Pokaż.

Thorstad wyjął z kieszeni pendrive’a i podał mu go na dłoni, jakby karmił cukrem konia. Rosjanin obrócił urządzenie między palcami, jakby nie wiedział, co z nim zrobić, szybkim ruchem rozchylił kurtkę i schował je do kieszeni koszuli. Do odoru wódki dołączył smród potu.

Mężczyzna włożył rękę do innej kieszeni i podał majorowi karteczkę z mapką konturową miejsca następnego spotkania.

– Na następny raz. – Odwrócił się, wszedł do czarnego tunelu i zniknął. Thorstad odprowadził go wzrokiem.

Rosjanin, cepowaty ochroniarz SWR z waszyngtońskiej *riezidientury*, wiedział tylko, że jeśli na podstawie otrzymanych informacji centrala uzna, iż Amerykanin jest *priedawszczij* i gra na dwa fronty, na następne spotkanie nikt się nie stawi. A zrobiona z karboksymetylocelulozy karteczka powoli wchłonie wilgoć z otoczenia i w ciągu miesiąca zmieni się w papkę.

Co za cham, pomyślał Thorstad. Schował kartkę do kieszeni i ruszył na północ, w stronę świateł Massachusetts Avenue, aby dalej od lasu. Z udawaną obojętnością patrzył przed siebie, żeby nie dostrzec przypadkiem błysku słowiańskich oczu między czarnymi drzewami.

– No i? – spytał Benford.

Rudowłosy major dolał sobie wody z karafki na środku stołu konferencyjnego. Ku oczywistej irytacji Benforda trzech oficerów OSI robiło obszerne notatki. Rozradowani mieli to gdzieś: nawiązali kontakt z rosyjskim wywiadem! Na przedmieściach Waszyngtonu! Pierwszy raz od trzech lat! Prowadzili własną operację! Nareszcie będą mieli co napisać w miesięcznym sprawozdaniu dla generalicji. A ten żłób z CIA może pocałować ich w dupę.

– Powiem tylko, że był to cham i arogant – odparł Thorstad.

Benford poprawił się na krześle i w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ten rudy idiota nie jest jego podwładnym i nie może na niego nawrzeszczeć.

– Spóźnił się czterdzieści pięć minut – ciągnął major. – Zrobiłem dwa pełne kółka! – Pokazał dwa palce, żeby Benford na pewno go zrozumiał. Ci z OSI notowali każde jego słowo.

– Pewnie miał ludzi w lesie – powiedział Benford. – Z noktowizorami. Cały czas pana obserwowali, sprawdzali, czy jest pan sam.

Major strzelił palcami.

– Właśnie, otóż to, ma pan całkowitą rację. Błysnął latarką, dwa razy, w głąb tunelu i w przeciwną stronę. To był sygnał.

Benford stłumił jęk.

– Jak to miło, że jesteśmy co do tego zgodni – powiedział, ale Thorstad, który próbował przypomnieć sobie więcej szczegółów, nie usłyszał ironii w jego głosie. Benford zastanawiał się, czy majorowi w ogóle przyszło do głowy, że gdyby nie ten sygnał, wykrwawiłby się na śmierć na mokrych kostkach tunelu.

– Wziął wabik i dał mi kartkę z mapą miejsca następnego spotkania. W Georgetown, za dwa tygodnie.

Benford obejrzał satynową w dotyku kartkę i przesunął ją w stronę oficerów OSI siedzących na końcu stołu.

– Rozpuszczalna – rzucił. – Zróbcie werystyczną kopię, a to włóżcie do satynowanej koperty, inaczej w trzy tygodnie zostanie z niej tylko papka. – Tamci wymienili spojrzenia niepewni, co znaczy „werystyczny” i „satynowany”. – Benford spojrzał na Thorstada. – Poszło zgodnie z przewidywaniami. Ten nieprzyjemny typ…

– Zapomniałem dodać – przerwał mu major – że nie dość, że był nieuprzejmy, to jeszcze cuchnął, dosłownie śmierdział wódką.

– Cóż, pewnie ma własne kłopoty – mruknął Benford. Thorstada naszły chyba wyrzuty sumienia: był trochę niesprawiedliwy, bo nie przyszło mu do głowy, że Rosjanin też

może mieć jakieś problemy. Benford przyglądał mu się z chłodnym zainteresowaniem. Skąd OSI wytrzasnęło tego dzieciucha?

– To niemal na pewno oficer bezpieczeństwa niższego szczebla z ambasady, może z rezydentury – dodał. – Na pierwsze spotkanie centrala nie wysłałaby oficera operacyjnego, za duże ryzyko.

Major kiwnął głową i Benford przeniósł wzrok na koniec stołu.

– Zalecałbym dużą powściągliwość. To niepewny kontakt i trudno jest cokolwiek rokować. Wasz materiał jest przestarzały, dlatego prawdopodobieństwo następnego spotkania jest bardzo małe. Rosjanie polują na informacje wyjątkowej jakości. Jeśli ich nie dostaną, dojdą do wniosku, że major Thorstad jest podstawiony i po prostu przerwą operację.

Oficerowie OSI patrzyli na niego ponuro.

– Myślę, że następnym razem trochę się naczekacie – zakończył Benford. – Nie bądźcie zaskoczeni, jeśli nikt się tam nie pokaże.

Wstał i wyszedł. Jeden z oficerów pokazał drzwiom środkowy palec. Major spiorunował go wzrokiem.

– Spokojnie, sierżancie – powiedział. – W Siłach Powietrznych załatwiamy to inaczej.

FILIPIŃSKIE NALEŚNIKI LUMPIA

Kroimy w kostkę kapustę, marchew, cebulę, szalotkę i czosnek i podsmażamy na oliwie z dodatkiem sosu sojowego. Mieloną wieprzowinę podsmażamy, aż zbrązowieje, następnie mieszamy z warzywami. Farsz owijamy ściśle dużym kawałkiem ciasta na pierożki wonton lub ciasta naleśnikowego i smażymy w oleju roślinnym, aż naleśniki staną się chrupkie i złociste.

15

W zaciszu wyłożonego boazerią domowego gabinetu Seb Angevine przeniósł na wabik dziewięć cyfrowych zdjęć ekranu swojego służbowego komputera w Langley. Wabik miał zostać przekazany Rosjanom na drugim spotkaniu i ci z OSI załadowali go dwudziestoma trzema starannie wyedytowanymi zdjęciami dokumentów z parametrami technicznymi i osiągami wykonanego w technologii *stealth* samolotu myśliwskiego F-22 Raptor, którego produkcji zaprzestano ze względu na regularne przekroczenia budżetu i ciągłe kłótnie z podwykonawcami. Analitycy z Sił Powietrznych upierali się, że informacje te skuszą Rosjan i podtrzymają kontakt. Angevine ledwie na nie zerknął. Głównym daniem będą jego zdjęcia oraz umieszczony w dziesiątej klatce „liścik miłosny" z żądaniem, aby w Rock Creek Woods czekało na niego kolejne sto tysięcy dolarów. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Rosjanie zapłacą.

Pierwsze honorarium odebrał bez żadnych kłopotów w niedzielny poranek, choć, cokolwiek nerwowo, dał im dzień więcej na wypadek, gdyby nie zdążyli. Ale niepotrzebnie się martwił. Las ciągnący się wzdłuż Oregon Avenue jest gęsty, a w Barnaby Woods znalazł mnóstwo cichych uliczek, gdzie mógł bez problemu zaparkować. Ładny, bezwietrzny dzień, ani jednego samochodu, pusty las – choć był pewny, że Rosjanie nie zawalą sprawy, obserwując skrytkę, nieustannie wypatrywał podejrzanych osobników, a także miejsc, gdzie mogliby ukryć

kamery z czujnikiem ruchu. Wiedział, że nie zaryzykują, ale cały czas zachowywał dużą ostrożność.

Słoneczną ścieżką doszedł bez przeszkód do powalonego przez wiatr dębu. Jego odsłonięte korzenie tworzyły naturalną kieszeń, z której trzęsącymi się rękami wyjął pakiet wielkości bochenka chleba, szczelnie owinięty niebieską taśmą. Pokryta ziemią paczka była imponująco ciężka. Sto tysięcy kawałków. Porsche Carrera. Rolex GMT-Master II.

A potem kazał Rosjanom przygotować kolejną setkę. Szefostwo *riezidientury* przy Wisconsin Avenue musiało robić pod siebie, zastanawiając się, kim ten cholerny Tryton jest, co knuje i gdzie pracuje. W pakiecie był napisany na maszynie list do „drogiego przyjaciela", z numerem telefonu na wypadek, gdyby chciał porozmawiać. Jasne, *va t'en faire*. Walcie się, *druzja*.

Zauważył, że list jest chłodny i ostrożny. Oczywiście. Rosjanie wciąż nie wiedzieli, co im może zaoferować, ale informacje o werbunku w Caracas były niepodważalnym dowodem, że mają do czynienia z kimś o nieprawdopodobnych dojściach. Tryton, władca mórz i oceanów. Anonimowy. Monumentalny.

Tak, myślał, będą cierpliwi i chętni do współpracy. Są przekonani, że w końcu dowiedzą się, kim jestem. Bzdura. Nietykalny Tryton wynurzy się z morskiej piany, machnie trójzębem, rozpętując sztorm, i majestatycznie zniknie pod falami. A ta *pouffiasse*, ta suka Bevacqua, może sobie siedzieć przy biurku i zastanawiać się, co jest grane.

Tak więc Rosjanie otrzymali już pierwszą przesyłkę, wiadomość o werbunku w Caracas. Nadeszła pora dać im coś lepszego, jeszcze bardziej wystrzałowego: dziewięć zdjęć dwóch zastrzeżonych depesz z ateńskiej rezydentury, raportu zawierającego wrażliwe informacje na temat wojskowych projektów badawczo-rozwojowych, które mówiący po rosyjsku

oficer prowadzący CIA uzyskał podczas dwóch długich przesłuchań od informatora o kryptonimie Liryk.

O dziesiątej wieczorem major Glenn Thorstad stał w ciemnym ogrodzie ozdobnym przy Grace Street nad kanałem C&O, ulicy odchodzącej od Wisconsin Avenue. Był po cywilnemu, w marynarce, koszuli z wykładanym kołnierzykiem i opasanym skórzaną taśmą zamszowym kapeluszu z szerokim rondem. Kapelusz nie przypominał kowbojskiego – kowbojski za bardzo rzucałby się w oczy – choć był podobny do kapelusza Indiany Jonesa, no i zakrywał rude włosy. Po raz piąty w ciągu ostatnich trzydziestu minut zerknął na zegarek.

Nie licząc spotkania w tunelu, z tym ziejącym wódą zbirem, miało to być jego pierwsze spotkanie twarzą w twarz z prawdziwym oficerem rosyjskiego wywiadu, coś, o czym nie śmiał nawet marzyć. Zaczynał w TransCommie, Dowództwie Transportu, małym, aczkolwiek newralgicznym trybiku machiny Sił Powietrznych, i szybko awansował, wypełniając ważne zadania w wydziale finansów, koordynacji i planowania. Zauważono go i przeniesiono do OSI, ponieważ miał praktycznie nieograniczony dostęp do tajnych informacji. Śpiewająco zaliczył badanie wariografem, bo nie miał nic do ukrycia, nie pił nawet alkoholu. Początkowo schlebiało mu, że planiści z OSI zaproponowali mu rolę podwójnego agenta, poza tym szkolenie i ćwiczenia praktyczne były bardzo ekscytujące i jakże inne od wszystkiego, czym się dotąd zajmował. Ale teraz, stojąc w ciemnym ogrodzie i czekając na agenta SWR, szybko tracił pewność siebie.

Solidnie go przećwiczono, powiedziano, co ma mówić i jakich pytań się spodziewać, uprzedzono, że Rosjanie będą traktowali

go jak podwójnego agenta, dopóki naturalnym zachowaniem i niepodważalną jakością materiałów nie udowodni, że nim nie jest.

– Co znaczy „naturalne zachowanie” podwójnego agenta? – spytał ich Thorstad.

Tamci wymienili spojrzenia – nikt ich dotąd o to nie pytał. I wtedy marudnym głosem odezwał się rozczochrany mężczyzna siedzący w kącie pokoju: Simon Benford.

– Niech pan nie traci na to czasu, bo czegoś takiego nie ma – powiedział niczym cierpiący na podagrę nauczyciel łaciny; następnego dnia miało dojść do pierwszego, potencjalnie rzeczowego kontaktu z SWR i przyszedł na spotkanie niezaproszony. – Niech pan będzie wystraszony, nieufny i skruszony. Jest pan oficerem lotnictwa, który zdradza swój kraj.

Thorstad głośno przełknął ślinę. Znowu ten kłopotliwy gość?

– Tak, tak, jest pan zdrajcą – ciągnął Benford. – Rosjanie wezmą wabik, zapłacą parę dolarów, a kiedy źródełko wyschnie albo kiedy zatrzyma pana FBI, wzruszą ramionami i zaczekają, aż przyjdzie do nich następny major Thorstad. – Wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Gówniane samopoczucie będzie jak najbardziej na miejscu. To ich uspokoi i przekona. – I spojrzał na oficerów OSI, którzy poruszyli się nerwowo na krzesłach.

Słowa te przypomniały się Thorstadowi, gdy czekał na kontakt. Myślał, że przyjdzie kolejny bandzior, wielkolud w skórzanej kurtce, który rzuci go na ścianę i obmaca w poszukiwaniu podsłuchu. Nie wiedział, czego się spodziewać. Po raz jedenasty dotknął palcami pendrive’a w kieszeni. F-22 Raptor. Druga przesyłka dla Rosjan.

Zza niskiego murku niosły się odgłosy imprezy na cumującej przy nabrzeżu barce. Major spojrzał na odbijające się w wodzie

bajkowe światła lampek. Dużo bardziej wolałby być tam niż tutaj.

– Glenn? – Niski kobiecy głos.

Thorstad odwrócił się i zobaczył jasnowłosą kobietę z rękami w kieszeniach lekkiego płaszcza. Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat, niska, może trochę przysadzista – w świetle padającym z okien pobliskiego domu miała okrągłą twarz, mądre brązowe oczy, wesołe zmarszczki w kącikach ust i upięte w kok włosy. Uśmiechała się przyjaźnie. Bibliotekarka, kadrowa, urzędniczka z administracji szpitalnej, ale na pewno nie Rosjanka. Nawet nie wyglądała na Rosjankę. Thorstad nie wiedział, co powiedzieć.

– Pan major Thorstad z Sił Powietrznych USA – spytała płynną angielszczyzną i podeszła krok bliżej. – Urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku w Farmington w Minnesocie? – Thorstad przełknął ślinę i kiwnął głową. – Sądząc po nazwisku, ma pan szwedzkie korzenie?

– Ale od trzech pokoleń mieszkamy… tutaj – wymamrotał jak idiota.

– *Talar ni svenska*? – spytała. Mówi pan po szwedzku?

– Tylko kilka słów.

– *Charmerande*. Bardzo miło wspominam moje podróże po Szwecji. *Gillar du kroppkakor?* Lubi pan nadziewane kluski ziemniaczane? Są takie lekkie, naprawdę pyszne…

Szczebiotała radośnie o żarciu, a on stał i wybałuszał oczy. Czysty obłęd.

– Ale powinniśmy chyba rozmawiać po angielsku. Prawda?

Znów kiwnął głową.

– Przejdziemy się? – Podeszła jeszcze bliżej i wzięła go pod rękę jak ciotka na poobiednim spacerze. – Mam na imię Julia.

Ruszyli przed siebie ciemną, wąską ulicą. Stojące przy niej domy były zamknięte i ciche. Po chwili skręcili w jeszcze mniejszą, węższą i wyłożoną kostką; ta biegła ku brzegowi Potomacu i rozciągającemu się tam parkowi. Wokoło nie było żywego ducha i gdy Julia delikatnie pociągnęła go za ramię, by skręcił w Cecil Place, w uliczce zabrzmiało przytłumione echo ich kroków. Gdyby Thorstad miał jakiekolwiek doświadczenie w obserwacji ulicznej, być może zauważyłby ciemną sylwetkę mężczyzny stojącego na rogu Cecil Place. Drugi mężczyzna stał pod latarnią u stóp skarpy, patrząc, jak ku niemu idą. Kilkadziesiąt metrów dalej, przy Water Street, w mroku pod wiaduktem autostrady Whitehurst Freeway, za przednią szybą parkującej tam furgonetki dostrzegłby może niewyraźną twarz kierowcy, który co pewien czas spoglądał w lusterka. Julia Zarubina, rezydentka SWR w Waszyngtonie, słynna *szwieja*, wysłała w teren swoich najlepszych pomagierów.

– Cieszę się, że pan się ze mną skontaktował. – Wciąż trzymała go pod rękę, choć patrzyła pod nogi. – Chciałabym panu pomóc.

Thorstad znów zaniemówił – oficerowie OSI przygotowali go na burzliwą tyradę plującego śliną zbira.

Julia podniosła wzrok.

– Proszę mi o sobie opowiedzieć.

Jezu, pomyślał, niby szpieg, a taka uprzejma. Ani razu nie poczuł, że szwaczka Zarubina obszywa go po mistrzowsku delikatnym ściegiem.

W ciągu dwóch minut z zadowoleniem potwierdziła swoje podejrzenia, że Thorstad jest prostodusznym naiwniakiem i że niemal na pewno to nie on załączył „dodatkowy materiał” w pierwszym wabiku. Uśmiechnęła się i zaczęła konstruować swoją własną *maskirowkę*. Na pierwszy ogień poszły przyjazne pytania o przestarzałe informacje z pierwszej przesyłki.

– F-22 Raptor? Na litość boską, Glenn! Nie może pan znaleźć czegoś bardziej aktualnego? Przecież piastuje pan wysokie stanowisko. Pokładam w panu wielkie nadzieje.

Major był zaskoczony, nie tego kazano mu się spodziewać.

– To znaczy? – spytał, w ostatniej chwili przypominając sobie, że ma także pozyskiwać informacje, nie tylko je sprzedawać. Pozyskiwać, łatwo powiedzieć.

Zarubina patrzyła na nocny Potomac, jarzące się światła Rosslyn i ciemne drzewa na Roosevelt Island.

– To wszystko jest takie… techniczne. – Ścisnęła jego ramię i ruszyli powoli brzegiem rzeki. Spotkali się wzrokiem i uśmiechnęła się jak babcia, która ma za chwilę zdradzić przepis na ulubione ciasteczka. – Ale ucieszyłabym się, gdyby przyniósł mi pan coś na temat problemu z drganiem skrzydeł F-35, cokolwiek, aktualne dane diagnostyczne, dane z lotów próbnych czy wyniki analiz konstrukcyjnych. Byłoby wspaniale. – W kącikach jej oczu pojawiły się wesołe kurze łapki.

– Efa trzydziestego piątego? – Thorstad zadał to pytanie tak, jakby znał ten samolot od podszewki.

– Tak, nazywacie go chyba Lightningiem dwa. Chciałabym, żeby znalazł pan coś na jego temat. Tak się ucieszyłam, kiedy pan się ze mną skontaktował… – Julia rzadko kiedy używała słowa „centrala”, starając się, żeby pierwsze rozmowy miały charakter przyjazny i nieoficjalny. Na te oficjalne przyjdzie czas, kiedy sprawa *utwierditsia* i będzie za późno.

Dzięki Bogu, że Amerykanie byli tacy przewidywalni. Wiedziała, że ten naiwniak pójdzie do swoich prowadzących – operację niemal na pewno zainicjowało OSI – i zamelduje, że tak, Rosjanie są zainteresowani, nawet bardzo zainteresowani i gotowi do współpracy. Świadczyło o tym jej osobiste zaangażowanie się w sprawę i miała nadzieję, że jego przełożeni pociągną to dalej. Będzie musiała spotykać się z tym

frajerem i z udawanym zaciekawieniem cierpliwie wypytywać go o rzeczy, których Siły Powietrzne USA nigdy by nie zdradziły. Kimkolwiek ten Tryton był, kanał komunikacyjny musiał pozostać otwarty i czynny.

Dyrektywy wywiadowcze, kierowane do Amerykanów pytania, mogły być także okazją do *aktiwnogo mieroprijatija*, dezinformacji. Kiedyś poprosiła francuskiego attaché – kolejnego podwójnego agenta – o dostarczenie podręczników operacyjnych mirage'a 2000N, części od pierwszej do dwunastej i od piętnastej do dwudziestej drugiej. Kiedy zdziwiony Francuz spytał, dlaczego nie chce trzynastej i czternastej (tych opisujących trzykilotonowy ASMP, nuklearny pocisk średniego zasięgu powietrze–ziemia), przygładziła włosy, puszczając pytanie mimo uszu, co zapoczątkowało dwuletnie polowanie na kreta we francuskim Ministerstwie Obrony i wywołało kryzys konstytucyjny w Pałacu Elizejskim w związku z nieustanną słabością francuskiej polityki nuklearnego odstraszania. Nie ma to jak inspirująca dezinformacja.

Przemawiała do Thorstada kojącym głosem, lecz jej wyjątkowy umysł pracował już na trzecim biegu. Przez słuchawkę w prawym uchu, którego major nie widział, bo szła po jego prawej stronie, odbierała meldunki zespołu obserwacyjnego. W kieszeni miała pendrive'a i nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do rezydentury i sprawdzi, czy Tryton znów załączył coś do wabika. Intuicja podszeptywała jej, że jest to początek naprawdę dużej sprawy.

Po spacerze Thorstad, w tej idiotycznej *szlapie* z szerokim rondem, powlókł się ciężko Trzydziestą Pierwszą Ulicą w stronę świateł M Street. Zarubina miała nadzieję, że Tryton jest inteligentny. Martwiło ją trochę, że ukrywa się pod kryptonimem, bo mogło to wskazywać, że ma ego megalomana. Poza tym „tryton", władca mórz, znaczyło po rosyjsku „traszka".

Oślizgły płaz, pomyślała. Niezbyt heroiczny pseudonim, ale cóż, być może okaże się trafny.

– Była sympatyczna i bardzo zainteresowana – mówił Thorstad. Siedział przy stole w sali konferencyjnej w Pentagonie otoczony agentami OSI i dwoma oficerami ze Sztabu A-2. Benford gapił się w sufit z miną człowieka zastanawiającego się, co zjeść na kolację.

– Poprosiła, żebym opowiedział jej coś o sobie – ciągnął major. – Powiedziałem, że potrzebuję pieniędzy, tak jak ćwiczyliśmy na szkoleniu. Że lubię hazard.

– Jak zareagowała? – spyta Benford.

Ci z OSI nie słuchali, bo tak jak poprzednio, teraz też wszystko notowali: „drugi kontakt z SWR, parametry F-35". Operacja „Szperacz" nabierała rumieńców. Do miesięcznego sprawozdania dołączą kolejny ważny raport – nie, napiszą notatkę służbową do sekretarza Sił Powietrznych, może nawet do sekretarza obrony. Popatrzyli na Benforda. Ten dupek twierdził, że nic z tego nie będzie. Ładny mi ekspert.

– Powiedziała, że wszyscy miewamy problemy – odparł Thorstad. – Była bardzo wyrozumiała. Żadnego fanatyzmu czy bezkompromisowości, nic z tych rzeczy.

No jasne, pomyślał Benford, nie ma to jak miły wieczorny spacer ze starszą panią, *szwieją* z rosyjskiej rezydentury. Trzydzieści lat czołgał się przez dzikie gąszcza luster i coś mu tu nie grało. Rosjanie polujący na materiały wywiadowcze byli chciwi, zachłanni, drapieżni, podejrzliwi, niecierpliwi, skąpi, agresywni i brutalni. Ale nie głupi. Znał to uczucie, znów miał tę gulę w gardle. Co oni knuli? Tak, prawda wypłynie kiedyś na wierzch jak oliwa albo jak głowa owcy z dna garnka

z gulaszem. Spojrzy na nich, wyszczerzy zęby w uśmiechu i okaże się, że jest już za późno.

KROPPKAKOR – SZWEDZKIE KLUSKI ZIEMNIACZANE

Gotowane ziemniaki rozgniatamy, łączymy z mąką i żółtkiem, doprawiamy solą, czarnym pieprzem i gałką muszkatołową. Ugniatamy na jednorodne ciasto. Na patelni rozgrzewamy masło, podsmażamy na nim boczek z cebulą, doprawiamy solą. Z ciasta robimy nieduże grube placki, na środku układamy nieco farszu, zamykamy i formujemy w kulkę. Gotujemy w bulionie i podajemy z kwaśną śmietaną.

16

Vern Throckmorton, trudny szef moskiewskiej rezydentury, stacji terenowej CIA, siedział naburmuszony przy biurku. Gabinet był tak malutki, że nawet jeśli Vern nie zamykał rozsuwanych drzwi, nie starczało tam miejsca choćby na jedno krzesło, dlatego Hanna Archer musiała stać. Od czasu do czasu Throckmorton łypał na nią spode łba, więc czuła się trochę nieswojo. Była najnowszym nabytkiem rezydentury – przyleciała do Moskwy trzy dni temu – i do tej pory szef ani jej do siebie nie wzywał, ani nawet nie raczył zauważyć.

– Miara – powiedział. – Wiesz, co to jest? – Wielki, szeroki w barach i brzuchaty miał podwójny podbródek, krzaczaste brwi i rzadkie, sztywne brązowe włosy przyklejone pianką do głowy przypominającej plażową piłkę. Hanna pomyślała, że gdyby delikatnie podważyć je paznokciem, podniosłyby się jak pokrywka pudełka z sucharami.

– Nie wiem – odparła. – Coś do mierzenia? – Miała dwadzieścia pięć lat i dopiero co ukończyła szkolenie na oficera prowadzącego agentów na wrogim terenie; „katechizm i abecadło”, tak ten kurs nazywali. Ładna i szczupła – lubiła swoją dziewczęcą figurę – miała kędzierzawe blond włosy i pełne usta. Wiedziała, że jej atutem są niezwykłe oczy: jasnozielone jak karaibskie morze, miały oprószone złocistymi płatkami tęczówki. Była w hipsterskich okularach w ciemnej oprawce, prostej bluzce i spódnicy. W szkole średniej i college’u grała w lacrosse, dzięki czemu miała silne, szczupłe

nogi. Ludzie uważali, że jest pyskata – dorastała z braćmi – ale podczas szkolenia starała się trzymać język za zębami. Stała nieruchomo, nie licząc tego, że leciutko postukiwała nogą w podłogę, czego Throckmorton oczywiście nie widział. Za dużo nerwowej energii, będzie musiała nad tym popracować.

Szef rezydentury przyjrzał się jej uważnie: dziewczyna była chętna, bystra i bezczelna. Według depeszy kwalifikacyjnej należała do najlepszych kursantek. Na ulicy wyczuwała ogon nie gorzej niż instruktorzy, podczas egzaminu końcowego dała popalić ekipie złożonej z dwudziestu samochodów FBI i dokonała wymiany tuż pod nosem tropiących ją speców. Throckmorton sapnął. ZJS, zrzutka z jadącego samochodu, jedna z najbardziej niebezpiecznych technik kontaktu z agentem. Musi być niezła.

Było trochę komplikacji. Tuż przed jej przyjazdem dostał poufną depeszę z kontrwywiadu, od samego Simona Benforda, która w gruncie rzeczy nakazywała – jemu, szefowi moskiewskiej rezydentury! – powierzyć nowo przybyłemu oficerowi prowadzącemu Hannie Archer zorganizowanie sieci SRAC celem wsparcia agentki CIA Divy. W depeszy wspominano, że Archer przeszła dodatkowe przeszkolenie w tym zakresie. A gówno! – pomyślał. To moja działka. Natychmiast odpisał, że poprowadzi Divę osobiście, ale zadzwoniła do niego Gloria Bevacqua, nowa szefowa Sztabu Tajnych Akcji, która kazała mu się zamknąć i bez szemrania wykonać rozkaz. Wkurzył się i wciąż był wkurzony.

– Tak – mruknął, odchylając się do tyłu w obrotowym fotelu. – To kij, którym mierzę osiągnięcia agentów i którym odsyłam ich do domu, jeśli nie potrafią się wykazać. – Odczekał chwilę, żeby sprawdzić jej reakcję, ale miała kamienną twarz. Niezła jest, umie nad sobą panować. – Mam tu depeszę, która wyznacza cię na oficera prowadzącego Divy – ciągnął nadęty. –

Poprowadzisz ją pod moim kierownictwem, a jeśli uważasz, że nie mam do tego kwalifikacji, możesz od razu zrezygnować.

Nie chwalił się zbytnio tym, że przed objęciem moskiewskiej placówki uchylił się od szkolenia operacyjnego, wyniośle oświadczając, że jest zbyt zajęty ważniejszymi rzeczami, ale tak naprawdę nie zamierzał ryzykować, bojąc się, że może nie zaliczyć tego piekielnie wymagającego kursu: odsiew był wysoki, bo oblewała zwykle jedna czwarta kursantów. Spojrzał na biurko. Na rogu stała atrapa granatu ręcznego na drewnianej podstawce. Na podstawce była metalowa tabliczka z napisem: „W celu szybszego kontaktu z wydziałem zażaleń wyciągnij zawleczkę". Granat należał do jego zapomnianego już poprzednika, ale jemu się podobał, tak jak widniejące na tabliczce słowa.

– Swoją pierwszą turę zaliczyłem w Bukareszcie – ciągnął, nie omieszkując zauważyć, że dziewczyna patrzy mu prosto w oczy. – Należę do pierwszych specjalistów od działania we wrogich strefach. Robiłem zrzutki tuż pod nosem Rumunów, a wierz mi, ci z Securitate byli jak zwierzęta.

– Złoty wiek tajnych operacji. – Hanna powiedziała to beznamiętnym głosem, lecz natychmiast pożałowała. Zamknij się, durna babo! Ale szef nie dopatrzył się złośliwości, przeciwnie, odzywka chyba mu się spodobała. Specjalista od wrogich stref, pomyślała. Benford opowiadał jej, że w latach siedemdziesiątych jedną ze zrzutek Throckmortona – w Pădurea Pantelimon, gęstym sosnowo-dębowym lesie pod Bukaresztem – obserwowali agenci Securitate. Czekali w deszczu trzy tygodnie i kiedy agent przyjechał wreszcie po przesyłkę, żeby uniemożliwić mu ucieczkę, powalili na drogę cztery topole, dwie za nim, dwie przed nim. Ładny mi specjalista.

Według jednego z instruktorów, umiała oceniać ludzi – zaczyna się o tym myśleć dopiero wtedy, kiedy trafiasz do zwariowanej szkółki dla szpiegów, gdzie wciskają ci różne bzdury na temat twojej psychiki – dlatego szybko rozgryzła jego zrodzone z zazdrości ego, chroniczną podejrzliwość i podsycaną przez zwątpienie nieomylność. Jakim ciężarem musi być ta wielka głowa, kiedy wchodzi się do pokoju. I jak trudno jest włożyć przez nią sweter.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała w głąb korytarza pustej stacji, w gruncie rzeczy dźwiękoszczelnego kontenera, większego niż te morskie. Ani jednego okna i tylko jedne drzwi – trochę klaustrofobicznie. Ściany wyłożone grubymi filcowymi panelami w kolorze zgaszonego błękitu, mocna wykładzina na podłodze, też jasnoniebieska. Korytarz, a raczej wąskie przejście, po obu jego stronach sześć biurek modułowych, na każdym lampa rzucająca na blat kolistą plamę światła, a nad biurkami długa półka, jedyne miejsce na rzeczy osobiste. Biurka były „gorące”, co znaczyło, że aby coś przeczytać czy napisać, siadało się przy dowolnym. Pod biurkami stały przysadziste dwuszufladowe sejfy, szare i poobijane. Więcej miejsca było w samolocie, pomyślała. Oto twój dom na następne dwa lata. Moskiewska rezydentura. Siedziba stalowych gigantów. Prawdziwych graczy. Drzwi otworzyły się z hydraulicznym jękiem, błysnęły sprężyste miedziano-berylowe uszczelki EMI – drzwi też musiały być dźwiękoszczelne – zadzwoniły o futrynę i do kontenera weszła Irene Schindler, zastępczyni szefa. Nie patrząc, nacisnęła wielki czerwony guzik na ścianie: drzwi drgnęły, zgrzytnęły i zamknęły się z cichym sykiem. Schindler miała około

trzydziestu pięciu lat, ziemistą cerę, zapadnięte policzki i obcięte na pazia włosy. Ocierając się głową o niski sufit, wycelowała w Hannę wąskim, szpiczastym nosem, spojrzała na nią bez słowa, przeszła na drugi koniec kontenera, otworzyła małe drzwi i zniknęła w swoim gabinecie. Drzwi zasunęły się z cichym kliknięciem. W przejściu pozostał dziwny, cierpki zapach.

Jezu Chryste, pomyślała Hanna. Moja pierwsza tura i wysyłają mnie do domu rodziny Adamsów. Po jednej stronie jeden mizantrop, po drugiej drugi, a na ulicach trzy tysiące rosyjskich tajniaków śliniących się na myśl, że wyjdę się z nimi pobawić. No i czekająca na koło ratunkowe Diva.

Od urodzenia prowadziła zwyczajne, spokojne życie: New Hampshire, duża rodzina, kościół, jesienią i wiosną lacrosse, latem żagle. Rodzice nauczyli ją zarabiać własne pieniądze, więc podczas ferii i wakacji smażyła hamburgery i małże. Mów, co robisz, i rób, co mówisz. Mów prawdę i walcz o swoje przekonania. Potem obściskiwanie się z opalonymi, piegowatymi chłopcami, picie zimnej shandy z aluminiowych puszek po piłkach tenisowych, odkryty dżip i leniwe ósemki na łące zalanej światłem księżyca.

Jeszcze potem arystokratyczne Południe, cztery lata na Washington and Lee, dwa lata na Uniwersytecie Wirginii, w końcu dyplom z filozofii i nauk kognitywnych; już po fakcie uznała, że W&L stoi jednak niżej niż UW. Wszystko to razem było ciekawe, ale pragnęła czegoś innego, chciała intensywniej żyć. Więc złożyła podanie o przyjęcie do CIA, uznając, że to bardzo poważne zobowiązanie: służba, poświęcenie, ofiarność,

ochrona kraju i tak dalej. Może niezupełnie patriotyzm, ale prawie.

Została przyjęta, pojechała do Langley i ze świata wypolerowanego na błysk mahoniu wpadła po pas w bulgoczące metanem cyprysowe bagnisko, gęste, grząskie i muliste. Centralna Agencja Wywiadowcza. Poznała tam ludzi, o których nie wiedziała, że w ogóle istnieją, osobników z DNA przedpotopowych ryb, które wypełznąwszy z oceanu, zaczęły oddychać tlenem i wypuściły nogi. Pocieszni sceptycy, uzależnieni od konfliktów nerwicowcy, dwubiegunowi egotyści, leniwi tyrani, przebiegli inkwizytorzy, którzy uwielbiali tortury, jak łasuch sos mousseline – Chryste, co za galeria, mogłaby tu prowadzić warsztaty z nauk kognitywnych!

Ale zanim uświadomiła sobie, że przez pomyłkę tylnymi drzwiami weszła do domu wariatów, zaczęła podświadomie wybierać spośród nich tych, których potem nazwała Godnymi: menadżerów, inżynierów, analityków i asystentów o dobrym sercu i miłym usposobieniu, którzy związawszy życie z krajem i poczuciem misji, głęboko wierzyli, że jedyną trwałą spuścizną tej służby jest praca z podwładnymi, dzielenie się z nimi doświadczeniem i nadzorowanie ich rozwoju, kształcenie przyszłych przywódców, którzy kiedyś będą kształcić i wspierać swoich następców. (Zastanawiała się, jak sklasyfikować Simona Benforda: zaliczyć go do Godnych czy do obłąkanych ekstatyków).

Kiedy zaczęło się poważne szkolenie, jak zwykle spostrzegawcza nauczyła się rozpoznawać pracowników wydziału operacyjnego, którzy dokonywali bohaterskich czynów, żyjąc w wiecznym mroku, którzy wykradali niedostępne tajemnice, nieustannie ryzykowali, igrali ze szczęściem, których rzadko chwalono za utajnione sukcesy i zawsze obarczano winą za publiczne porażki. Hanna

wiedziała, kim jest, a teraz przekonała się ostatecznie, kim chce być: oficerem operacyjnym.

Na Farmie ciężko pracowała, zdała egzamin z najlepszymi ocenami i spodziewała się, że przydzielą ją do wydziału Afryki lub Ameryki Łacińskiej; tak, chciała pracować w brutalnym Trzecim Świecie, bardzo ją to pociągało. Ale pewien uparty urzędniczyna średniego szczebla, gość o spłaszczonym czole i wystającej szczęce neandertalczyka przydzielił ją do wydziału Europy – tylko dlatego, że mógł – gdzie pracował jako zastępca szefa. Kazano jej się tam stawić. Kiedy pełna szacunku poszła do niego, żeby poprosić, aby zechciał zrewidować swoją decyzję, w trybie natychmiastowym wstrzymał skierowanie na pierwszą zagraniczną turę i do odwołania przeniósł ją do wydziału iberyjskiego, sali wypełnionej niekończącymi się rzędami boksów i bzyczących jarzeniówek. Poirytowany oznajmił, że będzie tam sprawdzała nazwiska poszukiwanych i sporządzała okólniki tematyczne, co da jej nauczkę za kwestionowanie decyzji przełożonych.

Zastanawiała się już, czy nie zrezygnować, nie zaciągnąć się na okręt jako kucharka i nie wyruszyć w podróż dookoła świata, lecz pewnego dnia zauważyła, że przygląda jej się ktoś z sąsiedniego boksu.

– Prosto z Farmy? – Jakaś kobieta. Widać było tylko czubek głowy i niebieskie oczy. Mówiła łagodnym, leniwym głosem.

– Tak, prosto z Farmy do najniższej sutereny – odparła smętnie Hanna. – Myślałam, że dadzą mi jakieś zadanie, ale zastępca szefa miał inne plany.

– Hm, nasz zastępca – powiedziała miękko kobieta. – Jest jak cuchnąca piwnica.

– Cuchnąca… piwnica?

– Zalatuje stęchlizną, ocieka wodą i jest niemiły. – Kobieta otaksowała ją wzrokiem od głowy po buty i zajrzała do boksu.

Hanna nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby za dwa dni spytać ją, co tam widziała, kobieta sporządziłaby dokładną listę wszystkich rzeczy.

– A pani? – spytała. – Długo tu pani pracuje?

– Hanna Archer, prawda? – Kobieta obeszła boks i wyciągnęła do niej rękę. Miała ciepłą dłoń i zaskakująco silne palce. – Jestem Janice. Janice Callahan.

– Hanna. Skąd wiedziałaś, jak się nazywam?

– Przejdziemy się?

– Chętnie. Zawsze odpowiadasz pytaniem na pytanie?

– A jak myślisz?

Janice miała pięćdziesiąt kilka lat, roztrzepane włosy w kolorze rudego miodu – czesała się na bok, jak mężczyzna – niebieskie oczy, ostry nos i mocno zarysowany podbródek. Zdawało się, że na jej ustach stale błądzi uśmiech, jakby znała odpowiedź, zanim zadano jej pytanie. Kiedy się uśmiechała, na policzkach pojawiały się dołeczki. Ciemnoturkusowy jedwabny żakiet z chińskimi guzikami, czarna, wąska spódnica – widać było, że ma ponętne kształty. Hanna pomyślała: nie wiem, kto to jest, ale bije z niej zmysłowość i królewska wyniosłość.

Zjadły razem lunch w kącie stołówki, a potem poszły na spacer wokół gmachu kwatery głównej. Janice chodziła szybko, miała lekkie nogi i ruchliwe oczy. Kurczę, myślała Hanna, ona ma oczy jak kameleon, umie patrzeć w dwie strony naraz. Okrążyły ozdobny staw i przeszły pod potężnym blackbirdem SR-71, słynnym samolotem szpiegowskim, który stał na wysokim pylonie, jakby zrywał się do lotu; była to spuścizna po byłym dyrektorze, wojskowym, który z godną podziwu niefrasobliwością zamknął pięćdziesiąt lat amerykańskiego szpiegostwa w muzeum Sił Powietrznych. Potem minęły trzy betonowe fragmenty muru berlińskiego, których jedna strona

była upstrzona graffiti, a druga nietknięta ludzką ręką i dziewiczo czysta.

Janice często przeczesywała ręką niesforne włosy, być może poruszona wspomnieniami o dawnych szpiegach i kochankach. Słodkim jak nugat głosem opowiedziała jej o swojej karierze zawodowej. Teraz pamiętają ją tylko starzy weterani, mówiła obojętnie, a wśród nich wielu wspomina ją wyjątkowo dobrze.

Kochała tę pracę. Spośród innych wyróżniało ją coś niebywałego: jako jedyna w CIA służyła we wszystkich stolicach bloku wschodniego. Nie mógł się tym pochwalić żaden inny agent czy agentka. Nie wyszła za mąż. Pociągająca i filuterna przechodziła z rezydentury do rezydentury, stając w szranki i wygrywając z siedmioma wrogimi służbami – wyposażonymi w czerwone szpony i czerwone kły wasalami Sowietów – polską SB, wschodnioniemiecką Stasi, czeską StB, węgierską ÁVH, jugosłowiańską SDB, rumuńską Securitate i bułgarską SD. Zmysłowa i uwodzicielska przez dwadzieścia lat działała na tych zbirów tak, że wyskakiwali ze skarpetek, nie zdejmując butów. Prowadziła informatorów, obsługiwała tajne skrytki kontaktowe, kopiowała dokumenty Układu Warszawskiego i ewakuowała spalonych agentów przez zardzewiałą żelazną kurtynę – ciągnące się od Bałtyku po Adriatyk druty kolczaste obwieszone łopoczącymi na wietrze plastikowymi torbami, szalikami i wełnianymi czapkami.

Hanna słuchała jej z wytężoną uwagą.

– To tak, jak zatoczyć koło doskonałe – mówiła Janice, opisując swoje wrażenia z udanej operacji. Wyjście w teren, trasa sprawdzeniowa, spotkanie, odbiór przesyłki i powrót: iście niebiański krąg. Płonęły jej oczy. Czy by ją to interesowało?

Zaintrygowana Hanna poprosiła o więcej opowieści, ale Janice zrobiła coś dużo ciekawszego: następnego dnia zaprowadziła ją do Simona Benforda, szefa kontrwywiadu CIA.

Biuro za biurem, pozamykane drzwi, na wszystkich cyfrowe zamki – siedziba kontrwywiadu przypominała pozbawiony okien labirynt. Mieszczący się w odległym rogu gabinet Benforda wyglądał jak słabo oświetlona nora, po brzegi wypełniona papierami, teczkami i gazetami. Simon Benford siedział przy biurku, mając przed sobą najwyżej kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych wolnego blatu. Na tej wolnej powierzchni Hanna zobaczyła pomarańczową teczkę osobową ze swoim nazwiskiem na grzbiecie. Benford uważnie ją studiował. Hanna zerknęła na Janice, która lekko skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Uważaj na ręce i nogi".

– Ukończyłaś kurs ze świetnymi wynikami. – Benford podniósł w końcu wzrok. Mówił głosem cichym, zbolałym i niecierpliwym. – Zwłaszcza z ćwiczeń terenowych. Masz świetne oceny.

Słucham? – pomyślała Hanna. Przeglądali jej teczkę. Ta Janice to łowczyni talentów czy co? Wzruszyła ramionami.

– Podobało mi się całe szkolenie – odrzekła. – Chcę tylko uciec z tej cuchnącej piwnicy i dostać jakieś zadanie. – Uznała, że dobrze będzie pojechać żargonem, ale Janice zerknęła na nią z uśmiechem, który kazał jej się zamknąć.

– Wierzę – powiedział Benford. Był trochę rozczochrany i na czoło opadł mu kosmyk włosów. – Mam dla ciebie propozycję. Posłuchaj uważnie, bo może od tego zależeć dalszy kierunek i charakter twojej kariery zawodowej, bez względu na to, jak długiej czy krótkiej.

Hanna znieruchomiała.

– Zaistniało nagłe zapotrzebowanie na oficera operacyjnego, specjalisty od tajnej komunikacji i działań we wrogiej strefie. Zostanie wysłany za granicę jako wsparcie dla bardzo wrażliwej operacji, dzięki której otrzymujemy niezwykłe istotne informacje wywiadowcze. Szukam oficera z pierwszej

tury, twarzy obcej dla naszego przeciwnika. Kogoś obdarzonego intuicją, zimną krwią, wyobraźnią, przezornością, umiejętnością oceny sytuacji i, przepraszam cię, Janice, jajami niezbędnymi do działania we wrogim, stresującym środowisku. Dlatego zastanawiam się nad twoją kandydaturą. – Zamknął teczkę i spojrzał na Hannę.

Nie powiem ci, gdzie ani z kim będziesz pracowała, dopóki nie ukończysz szkolenia. Jeśli je ukończysz, odbędziesz dodatkowe, techniczne, oraz szkolenie z obecną tu Janice; nie ma i nie było lepszej od niej. Jeżeli nie zaliczysz ani jednego potknięcia, usiądziemy i omówimy szczegóły twojego pierwszego zadania. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wykonując je, pogwałcisz wewnętrzne przepisy CIA i narazisz się na postępowanie dyscyplinarne, jeśli nie prokuratorskie.

– A jakie są minusy? – spytała Hanna. Stojąca obok Janice nawet na nią nie spojrzała. Kameleon, kurczę. Nie musi odwracać głowy.

– Postaraj się nie mądrzyć, dopóki ci nie pozwolę – skarcił ją Benford.

Hanna zaczerwieniła się.

– Chcę, żebyś dobrze mnie zrozumiała. Proponuję, żebyś została specjalistką od operacji wewnętrznych, tak jak stojąca obok ciebie Janice. – Benford wskazał ją leniwym ruchem ręki. – Po tym zadaniu przyjdą następne. Zawsze przychodzą. Twoja kariera zawodowa w tajnych służbach będzie inna niż typowego oficera do spraw operacyjnych, co wpłynie na rodzaj przydzielanych ci misji zagranicznych i tempo awansowania. To jedna szala wagi. Na drugiej jest przynależność do elitarnej grupy najlepszych oficerów operacyjnych wykonujących zadania, o jakich inni nie śmią nawet marzyć. – Benford przyjrzał się jej spod przymkniętych powiek. Cały czas patrzyła mu prosto w oczy, nawet nie mrugnęła.

– Jeśli potrzebujesz czasu na zasta…

– Nie – przerwała mu Hanna. – Przyjmuję propozycję.

Benford miał wrażenie, że dziewczyna wibruje jak kamerton.

Po jej wyjściu usiadł wygodniej i położył nogi na odwróconym do góry dnem koszu na śmieci. Przesunął zakurzoną lampę, zamrugał i spojrzał na Janice, której udało się wygospodarować trochę miejsca na zawalonej teczkami małej sofie.

– No i? – spytała. – Co o niej myślisz?

Benford wzruszył ramionami.

– Wyczuwam ducha i determinację. Na papierze jest zdecydowanie lepsza od innych. Bo ten muskularny chłopak z Delaware… – Pokręcił głową. – Tak czy inaczej, podoba mi się. Dobra robota, Janice.

Janice usiadła wygodniej i wyprostowała nogi, na co normalny mężczyzna natychmiast zwróciłby uwagę.

– Będzie musiała skończyć z pyskowaniem.

– Bzdura – mruknął. – Tutaj nie da się inaczej. – Zaczął bawić się ołówkiem. – Myślisz, że ma ikrę? Da radę?

– Okaże się w praniu. Widziałam kursantów, którzy byli świetni na szkoleniu i pękali w terenie. Ale myślę, że sobie poradzi.

– Ja też. – Benford rzucił ołówek na biurko.

– A to, że jest kobietą? – Janice przesunęła palcami po włosach, bardziej je wichrząc, niż czesząc. Rozpiął jej się górny guzik żakietu. Choć nawet nie próbowała flirtować, wydawało się, że sofa, gdzie siedziała, zaczęła emanować słonecznymi rozbłyskami.

– Bez znaczenia – odparł nieświadomy tego Benford. – Lata, kiedy agentki udawały gospodynie domowe, dawno minęły.

Teraz Rosjanie podejrzewają wszystkich. FSB będzie chciało wytrącić ją z równowagi. Przygotuj ją na najgorsze.

Janice kiwnęła głową.

– Kiedy dowie się o Divie, musi odkryć w niej bratnią duszę. Bóg da, a nigdy się nie spotkają, ale chcę, by czuła, że kontaktuje się z własną siostrą. Że łączy je braterstwo krwi.

– Braterstwo krwi? – powtórzyła Janice.

– Dobrze słyszałaś. Do roboty. Natychmiast ściągnij tu Nasha. Niech pokieruje nią podczas szkolenia.

SOS MOUSSELLINE

Przygotowujemy kąpiel wodną. Do górnego naczynia wbijamy żółtka i energicznie rozbijając trzepaczką, stopniowo dodajemy roztopione masło, aż powstanie gęsta, błyszcząca masa. Wciąż mieszając, przyprawiamy ją sokiem z cytryny i solą, po czym dodajemy ubitą śmietanę. Podajemy natychmiast.

17

Przydzielono jej instruktora imieniem Jay. Dziarski, cyniczny i uszczypliwy, miał sześćdziesiąt lat, hiszpańską bródkę i był jak guru, który siedząc na szczycie góry, uczy maluczkich samodzielnego myślenia. On, Janice i Nate w charakterze obserwatora kazali jej ganiać ulicami Waszyngtonu dwanaście, piętnaście godzin na dobę. Nasyłali na nią pięć, dziesięć, a nawet dwanaście samochodów, a ona musiała je zidentyfikować i zapamiętać numery rejestracyjne. Chodziła, ciągnąc za sobą ogon złożony z dwunastu, piętnastu, a nawet dwudziestu agentów, wąskimi uliczkami, kładkami dla pieszych i schodami. Musiała określać swój status pewnie, dokładnie i bezbłędnie, identyfikować i zapamiętywać twarze. Benford śledził jej postępy ze swojej jaskini w kwaterze głównej. Wiedział, że w Moskwie będzie tysiąc razy gorzej, milion razy niebezpieczniej.

Mrowienie w ramionach i na wierzchu dłoni, chłodny powiew powietrza na szyi, stojące włosy na karku, to, że potrafi wyczuć obecność przeciwnika, zanim go zobaczy, policzy samochody i skataloguje twarze – kiedy opowiedziała o tym Jayowi, ten doskonale ją zrozumiał i pomógł jej udoskonalić czary, aby stały się uzupełnieniem nauki. Boże, w nocy była tak zmęczona, że zaczęło jej się to śnić, te dwie minuty dzielące ją od skrytki kontaktowej, ten narastający szum i widzenie tunelowe w trzysekundowej luce, gdy obserwatorzy tracili z oczu jej ręce.

Obecność młodego oficera, który nadzorował przebieg szkolenia, początkowo ją denerwowała. Wiedziała, kto to jest, znała jego nazwisko i słyszała krążące w Farmie plotki. Na trasie sprawdzeniowej zawsze ją wyprzedzał, uważnie obserwując, jak rozplanowuje postoje, w jaki sposób zbliża się do miejsca kontaktu, jak wykorzystuje rogi ulic i skrzyżowania. Oczywiście jako instruktor oceniający znał trasę, ale widziała, z jaką łatwością porusza się na ulicy.

Pierwszy raz odezwał się do niej na nocnej odprawie po ośmiogodzinnych ćwiczeniach. Dziesięć samochodów, które ją śledziły, wróciło już do domu. Na parkingu przed supermarketem przy Wisconsin Avenue Jay rozłożył plan trasy na masce swojego wozu; Janice przeglądała zapiski w wygniecionym notesie, a spocony Nate siedział na zderzaku. Noc była parna i po wielogodzinnym wysiłku Hanna czuła, że cierpnie jej skóra. Oświetlające parking rtęciówki odpierały atak setek ciem, które rzucały rozedrgane cienie na szyby samochodów. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał i słychać było tylko cichy szelest kartek. Janice była w dżinsowej koszuli przepoconej pod pachami i między łopatkami. Miała związane włosy, lecz kilka niesfornych kosmyków przywarło do jej szyi.

Tego dnia Hanna pierwszy raz zawaliła: błędnie oceniła, że samochód parkujący na końcu malowniczego punktu widokowego na George Waszyngton Memorial Parkway jest przypadkowym wozem, głównie dlatego, że siedząca w nim para się całowała. Zmęczona, zniecierpliwiona i zdecydowana jak najszybciej zakończyć akcję, zlekceważyła mrowiący ruch włosków na karku, pochyliła się nad niskim murkiem i włożyła przesyłkę do dziury po brakującym kamieniu. Okazało się, że zakochana para w samochodzie to przeciwnik. I tak zepsuła podejście.

– W Moskwie zaczekaliby, aż odejdziesz i ustawiliby tam kamery – powiedział Nate. – Czekaliby tydzień, miesiąc, a nawet rok, aż zdobyliby numer rejestracyjny wozu agenta, który przyjechał odebrać przesyłkę. – Nie oskarżał jej ani nie krytykował. Po prostu stwierdzał fakt.

Hanna chodziła nerwowo tam i z powrotem.

– Ten samochód nie podobał mi się od samego początku. – Głupia uwaga. Zamknij się, babo!

Nate zerknął na zegarek, czarny luminox na gumowym pasku. Miał błyszczącą od potu twarz.

– Dwadzieścia lat temu od razu by go aresztowali, zawieźli na Łubiankę i zastrzelili. Teraz przez rok rozgrywaliby go przeciwko tobie, namierzyliby więcej skrytek, zidentyfikowali więcej naszych, a potem zastawiliby zasadzkę i pokazali to wszystko w telewizji. I dopiero wtedy by go zabili.

Hanna z trudem hamowała gniew. Mogli przemawiać tak do niej Janice i Jay, ale ten tu był niewiele starszy od niej.

– Wiem – rzuciła poirytowana. – Dotarło.

Słysząc ton jej głosu, Jay podniósł głowę.

– Dlatego nazywamy to szkoleniem – powiedział łagodnie. – Czegoś się dzisiaj nauczyłaś. Możesz być czysta szesnaście godzin, ale kiedy już dotrzesz na miejsce i kogoś tam zobaczysz, pijaka, dwoje dzieci bawiących się w krzakach czy stado lam, przerywasz akcję i próbujemy kiedy indziej, z inną skrytką. Twój podopieczny się trochę nabiega, ale przynajmniej przeżyje.

– Ty musisz być pewna dwadzieścia cztery godziny na dobę – dodała cicho Janice. – Im wystarczy tylko sekunda.

Hanna przystanęła.

– Dotarło – powtórzyła – rozumiem. Kiedy następna próba? Pojutrze? Będę gotowa.

Jay i Janice odjechali jednym samochodem. Ciekawe, czy to robią, pomyślała.

Nate wciąż siedział na zderzaku.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak – odparła. – Jestem tylko trochę zmęczona.

– Masz ochotę na drinka? Trochę się rozluźnisz. – Spojrzał na zegarek. – Niedaleko jest bar. Zamykają dopiero o drugiej.

– Już późno – powiedziała, zdając sobie sprawę, że ma ochotę pójść.

– Po ćwiczeniach nigdy nie chciało mi się spać.

– Wiem, mnie też się nie chce. Główna sprężyna jest za bardzo napięta.

– Jay mawiał, że koło zamachowe wciąż się kręci. – Krótka wymiana uwag między wtajemniczonymi, członkami ekskluzywnego klubu. Hanna wyraźnie to czuła.

Zamówili piwo i półmisek frytek z sosem rosyjskim, może w niezbyt oficjalnym, dyplomatycznym stylu, lecz stosownie. Hanna zdjęła lekką kurtkę i kiedy przeczesała ręką kędzierzawe włosy, Nate zauważył, że ma długie, szczupłe palce i dobrze umięśnione ramiona. Oraz brudne okulary.

Nie miała ochoty na drugie piwo, ale odlał jej do szklanki trochę swojego.

– Głupia wpadka – powiedziała i szybko dodała: – Nie, nie, nie dopominam się współczucia, lepiej nic nie mów.

„Lepiej nic nie mów”. – Przypomniała mu się Dominika.

– Posłuchaj, nikt nie zalicza kursu bez paru potknięć. Lepiej tu niż tam.

Pokręciła głową.

– Nie, to było naprawdę głupie. Benford mnie skreśli.

– Nie znasz go. Poza tym Jay i Janice coś dzisiaj zauważyli.

Wstrzymała oddech.

– Nie załamałaś się, nie tłumaczyłaś i pokazałaś im, że jesteś gotowa natychmiast powtórzyć ćwiczenie. To bardzo się liczy.

Wrzuciła frytkę do ust.

– Skąd wiesz, co zauważyli?

– Bo ja też to widziałem – odrzekł.

Piekło trwało. Ktoś niewidzialny włamał się do jej mieszkania i samochodu, żeby ją trochę ponękać, podręczyć i zdenerwować, złamać pyskatą blondynkę, która wieczór w wieczór wyprowadzała w pole najlepsze zespoły obserwacyjne. Przygotujcie ją na najgorsze, powiedział Benford, niech ma przedsmak Moskwy. No i zaczęły się gierki: oliwa z anchois na rozgrzanym silniku, wazelina na wycieraczkach samochodowych, koszmarne węzły na delikatnym złotym łańcuszku matki, cieknąca lodówka, którą na dwanaście godzin wyłączono z prądu, obrzydliwa pamiątka pływająca cały dzień w muszli klozetowej, brudny odcisk buta na poduszce. Cóż, wróciła do domu, jadąc z otwartymi oknami i patrząc przez zatłuszczoną szybę. Przewróciła poduszkę na drugą stronę, zatkawszy nos, spuściła wodę w toalecie i padła na łóżko skonana, lecz szczęśliwa.

Nate poszedł raz do niej z ekipą „włamywaczy”, żeby sprawdzić, czy nie zostawiła gdzieś map z zaznaczonymi trasami albo kartek z notatkami, co było częstym błędem szkolących się kursantów; wszyscy wiedzieli, że Rosjanie przewrócą jej moskiewskie mieszkanie do góry nogami. Włamywacze robili swoje, a on wszedł na korytarz, stanął w progu małej sypialni, oparł się o futrynę i znieruchomiał. W pokoju pachniało cytrusami. Opuszczona roleta w jedynym oknie, pospiesznie posłane łóżko, koszula na oparciu

wyplatanego trzciną krzesła, czarne czółenka pod krzesłem – schludna i porządna, ale nie fanatyczka. Drzwi małej szafy były lekko uchylone i zobaczył coś czarnego i koronkowego na haczyku. W kącie stał kij do lacrosse z poczerniałą od potu taśmą na uchwycie. Kusiło go, żeby wejść do środka i zajrzeć do szuflad stolików nocnych, ale nie, tym mieli zająć się koledzy.

Pod koniec szkolenia stwierdził, że Hanna znów jest w pełnej formie. Wciąż pamiętała o swoim błędzie, lecz zapanowała nad demonami i przeszła nad nim do porządku dziennego. Doskonale wyczuwała ulicę i powoli zmieniała się w jasnowidzkę, prorokinię. Co więcej, zaczęła odgadywać myśli przeciwnika, wiedziała, co i gdzie zrobi, zanim to rzeczywiście zrobił.

Nadeszła pora na decydujący egzamin – dwunastogodzinne starcie z Federalnym Biurem Śledczym. Zespół kontrwywiadu zagranicznego FBI – nieoficjalnie zwany Gs, najlepszy w branży – chciał nauczyć tę nadętą cipkę manier. Bezbłędnie naprowadzani przez niesłyszalny i niewidoczny samolot obserwacyjny, wyposażony w zamontowany na żyroskopie potężny teleskop, który śledził każdy jej ruch, otoczyli jej malutki samochód całą zgrają. Jay i jego ludzie dowiedzieli się o samolocie dopiero po rozpoczęciu egzaminu, kiedy Hanna była już zdana tylko na siebie. Walić fair play, to jest wojna! Jay zacisnął usta i otoczony przez szyderczo uśmiechniętych instruktorów z FBI słuchał napływających z miasta meldunków, modląc się, żeby Hannie włączył się szósty zmysł. Niepotrzebnie się martwił.

Choć w dyspozytorni wciąż pachniało płynem po goleniu Aqua Velva, wypełniające ją szydercze uśmieszki błyskawicznie zniknęły, kiedy „nadęta cipka” celowo okrążyła krajowe lotnisko – malutkim samochodzikiem, w którego wnętrzu wciąż zalatywało smażonym na silniku anchois – i kiedy kontrolerzy

ruchu powietrznego zmusili samolot do zmiany kursu, żeby nie zderzył się z lądującymi tam maszynami pasażerskimi. Samolot musiał zatoczyć krąg i teleskop – a tym samym obserwatorzy FBI – stracił samochód z oczu. Hanna wykorzystała tę krótką przerwę na to, aby skręcić w Czternastą Ulicę, przemknąć mostem South Capitol i zniknąć w południowo-wschodniej części Waszyngtonu. Godzinę później spece z Gs namierzyli jej cuchnący samochód w pobliżu domu Frederika Douglasa w historycznej Anacostii – oczywiście bez kierowcy, który zdążył się już przebrać i rozpłynąć w tłumie. W ciągu pozostałych sześciu godzin ćwiczenia udało jej się załadować jedną skrytkę, opróżnić drugą oraz spotkać się i przesłuchać agenta specjalnego FBI, chłopaka z Gs, który – o ironio – udawał kreta zakamuflowanego w Federalnym Biurze Śledczym.

Myśliwi najpierw się wściekli, potem pogrążyli w smutku, ale późnym wieczorem, stawiając jej piwo i pizzę, byli bardzo mili i koleżeńscy. Benford zamówił *calzone* z porem i grzybami, czego, jak twierdził, nigdy wcześniej nie jadł. On, Nate, Janice i Jay siedzieli na końcu długiego stołu, patrząc, jak wśród powszechnej wesołości młodzi agenci FBI przybijają z Hanną piątki i poklepują ją po plecach. W pewnym momencie spojrzała na Benforda i lekko skinęła głową – przez krótką chwilę byli sam na sam w swoim zasnutym pajęczynami świecie. Nieźle, pomyślał Benford. Całkiem nieźle.

Nadzór nad resztą szkolenia objął Nate. Zaczęli przeglądać akta Divy i opisał Hannie agentkę, którą miała pokierować i za której życie miała odpowiadać. Godzinami analizowali potężną komputerową bazę kontaktów bezosobowych w Moskwie – zwaną Złotym Samorodkiem – zawierającą namiary na martwe

skrytki kontaktowe, punkty zrzutek samochodowych, skrytki, miejsca przekazywania informacji w przelocie, w ruchu pieszym i samochodowym, punkty krótkich spotkań oraz miejsca sygnałowe, archiwum pochodzące z lat sześćdziesiątych, z okresu, kiedy agenci tacy jak Popow i Pieńkowski ratowali świat przed wojną atomową. Po rozpadzie Związku Radzieckiego, podczas modnego wówczas resetu między mocarstwami, baza została odłączona, skasowana i uznana za niepotrzebną, ponieważ w przypływie odprężeniowej lekkości ówczesny szef wydziału Rosji uznał, że „Rosjanie są teraz naszymi przyjaciółmi". Na szczęście kilku zakamuflowanych nonkonformistów z archiwum zachowało kopię zapasową i kiedy – co było do przewidzenia – Rosjanie znów stali się typowymi Rosjanami, odtworzono bazę danych, którą następnie rozszerzono i zmodyfikowano. Była teraz nieporównywalnie większa, szybsza i interaktywna.

Nate i Hanna przesiadywali w nieużywanej sali konferencyjnej – nieużywanej, ponieważ podziemne stwory Benforda praktycznie nigdy nie spotykały sią na naradach czy odprawach. Było tak częściowo dlatego, że polujący na krety analitycy z kontrwywiadu pracowali w odosobnieniu, lecz głównie dlatego, że źle się czuli w tłumie. Hanna podziwiała Nate'a za wprost niewiarygodną znajomość Moskwy – nie dorastam mu do pięt, myślała – i chłodno zauważyła, że jest bardzo zaangażowany w sprawę Divy. Jeszcze nie znała jej prawdziwego imienia, jednak kobiecym okiem spostrzegła, że jest jej bardzo oddany. Tak, „oddany". Nie znalazła innego określenia.

– Będziesz pracowała pod kierownictwem szefa moskiewskiej placówki – powiedział jej Benford. – Jak sama zobaczysz, jest to człowiek o bardzo silnej osobowości, wymagający i nieelastyczny. Co dziwne, jest także zręcznym

politykiem i ma poparcie naczelnego. – Spojrzał na Nate'a i obydwaj pomyśleli o poprzednim szefie Gordonie Gondorfie, megapartaczu, który po Moskwie uwił sobie gniazdko w Paryżu.

– Mówię to z prawdziwym bólem – ciągnął – ale w kwestiach operacyjnych jest kompletnym patałachem, niereformowalnym dyletantem, który przez nieuwagę, ignorancję, pozbawioną podstaw pewność siebie oraz ewidentną głupotę pozostawił za sobą długi ślad pełen wsyp, wpadek i dekonspiracji. Według moich obliczeń ma na sumieniu życie dwóch, może nawet trzech agentów. Nie powtórzysz tego nigdy i nikomu.

– Pewnie je szarlotkę nożem. – Hannie przypomniały się słowa matki, popularny w Nowej Anglii symbol prostaka. Powiedziała to i natychmiast pomyślała: O Chryste, zamknij się, durna babo!

Benford przewrócił oczami, ale siedzący po drugiej stronie stołu Nate podniósł wzrok. Jasne, kręcone włosy, okulary, inteligencja i seksowna zuchwałość – był zachwycony.

– Właśnie – mruknął Benford. – Nie licząc tego, że w niewytłumaczalny sposób potrafi uniknąć odpowiedzialności za błędy, najbardziej przerażające w jego karierze zawodowej jest to, że nie zdaje sobie sprawy z własnej nieudolności. Po prostu nie dostrzega swoich braków. Jest jak Ropuch za kierownicą samochodu.

– Jak Ropuch? – Nie zrozumiał Nate.

Hanna stłumiła śmiech.

– *O czym szumią wierzby*. – Świeżo po prysznicu, z błyszczącymi włosami i twarzą, z której biło podekscytowanie i zadowolenie ze zdanego egzaminu, zdobywała teraz zaufanie samego szefa. Czuła się już członkinią klubu i lubiła pracować z Nate'em. Podobało jej się jego luźne podejście i, jak nazywała

to w duchu, kontrolowany fanatyzm, z jakim mówił o operacjach na wrogim terenie i o Divie.

Tego dnia była w perłowoszarym kostiumie i czarnych szpilkach (wygląda w tym trochę za staro, pomyślał Nate, powinna ubierać się bardziej na luzie). Nie włożyła żadnej biżuterii, nie licząc ciężkiej, metalowej bransolety dużego zegarka z grubym pierścieniem wokół szkiełka. Podobały mu się okulary w grubej oprawie – radosny animusz i kryjąca się pod nim inteligencja. Pierwszy raz zauważył jej prosty nos, zielone oczy i usta pociągnięte błyszczykiem w naturalnym różowym kolorze, a kiedy spotkali się wzrokiem i posłała mu lekki uśmiech, odpowiedział tym samym.

– Choć oficjalnie będziesz podlegała jemu – kontynuował Benford – pamiętaj, że pracujesz dla mnie. Znasz wymagania i priorytety. – Zawiesił głos.

– To znaczy? – spytała Hanna.

– To, co powiem, pozostanie między nami. Jeśli Throckmorton nie będzie się wtrącał, zmieniał celów twojej misji czy w jakikolwiek inny sposób na nie wpływał, świetnie, bardzo dobrze. Ale kiedy tylko spróbuje narazić je na szwank, masz zlekceważyć jego rozkazy i działać dalej według własnego uznania.

– Jezu, Simon… – jęknął Nate.

Benford uciszył go gestem ręki.

– Jeśli sytuacja stanie się nie do opanowania, pójdziesz do centrali i bez jego wiedzy, a tym bardziej aprobaty, wyślesz mi pilną depeszę prywatnym kanałem.

– Chryste, namawiasz ją do buntu? – zaprotestował Nate. – To ona ma być tą zakamuflowaną agentką penetracyjną w rezydenturze?

– Nie narażę Divy na niepotrzebne ryzyko, tym bardziej na zrodzone z głupoty niebezpieczeństwo. Hanna ma przekazywać

jej instrukcje pewnie i bez najmniejszego zagrożenia. I tak będzie. Nie pozwolę, żeby Throckmorton spieprzył i to. – Benford odwrócił się do Nate'a. – Jak widzisz, twoja powszechnie znana troska o Dominikę może nie być bezpodstawna.

Padło prawdziwe imię agenta. Rzecz niebywała, nie do pomyślenia.

– Ładne imię – rzuciła z uśmiechem Hanna, żeby przerwać ciszę. Siedzą w tym tak głęboko, że w życiu nie poznam wszystkich ich tajemnic, pomyślała. Ale teraz ja też w tym siedzę. Ma na imię Dominika. Witaj, siostrzyczko!

Jako nowicjuszka nie wiedziała, że pokręcony umysł Benforda nigdy nie dopuściłby do takiego błędu. Nie mogła także wiedzieć, że szef zrobił to celowo, aby między nią, jasnowłosą gladiatorką, i mieszkającą w oddalonej o osiem tysięcy kilometrów Moskwie byłą rosyjską baletnicą nawiązała się metafizyczna więź.

Następnego dnia znowu chciał z nią porozmawiać.

– Przeszłaś dwutygodniowe szkolenie techniczne i zaliczyłaś je z satysfakcjonującymi ocenami – podsumował. – Podobnie jak trzymiesięczne szkolenie terenowe. Zasługujesz na pochwałę.

Hanna zaczerwieniła się, nie wiedząc, co zrobić z rękami. Wysłali ją do rezerwatu Santee Coastal Reserve na Cane Island na południe od Georgetown w Karolinie Południowej, gdzie pod okiem wysokiego, smukłego technika imieniem Hearsey – w kowbojskim kapeluszu wyglądał jak dostojny senator z Montany – przez bite dwa tygodnie ćwiczyła ustawianie i obsługę czujników łączności krótkiego zasięgu SRAC –

nazywano je raptorami – na porośniętej krzakami dwuhektarowej działce należącej do agencji. Zrobione z karbowanego włókna szklanego czujniki miały dwadzieścia centymetrów długości. Lekko wypukłe i dość ciężkie wyglądały jak pokaźne kapelusze grzybów, które trzeba było ukryć kilkanaście centymetrów pod ziemią. Miały przechwytywać wysłane przez Divę serie impulsów z informacjami, przechowywać je i wysyłać na polecenie przechodzącego w pobliżu oficera z rezydentury. Ten z kolei mógł zostawiać w nich instrukcje, które Diva mogła odbierać podczas krótkiego „uścisku dłoni", aktywując czujnik małym nadajnikiem. Były to po prostu zdalnie załadowywane i opróżniane elektroniczne skrytki mejlowe.

– W Moskwie trzeba je oczywiście zakopać latem – mówił Hearsey, przeciągając samogłoski i bawiąc się specjalnie zaprojektowaną łopatką ogrodniczą; jednym ruchem można nią było wykopać w ziemi dziurę wielkości talerza, którą po włożeniu czujnika zadeptywało się nogą. – Zimą ziemia jest za twarda.

Podał jej nylonowy plecak.

– Na trzy czujniki. Jest wyłożony folią aluminiową po kąpieli w roztworze siarczanu baru…

– Moment – przerwała mu Hanna. – Dlaczego jest wyłożony folią?

Hearsey zrobił urażoną minę.

– Czujniki są zasilane akumulatorami strontowymi. W Moskwie jest kiepskie słońce. Daje za słabe światło, którego nie da się przetworzyć na prąd, dlatego skonstruowaliśmy radioizotopowy minigenerator termoelektryczny. Przy rozpadzie połowicznym wynoszącym osiemdziesiąt dziewięć lat z tych maleństw będą korzystały jeszcze wnuki twojego agenta…

– Zaraz, chwila – przerwała mu znowu Hanna. – Nie wiem dlaczego, ale „rozpad połowiczny” kojarzy mi się z napromieniowanymi zombie i filmami o zagładzie atomowej.

– Nie, nie, raptory są zupełnie bezpieczne… – Hearsey przeczesał ręką rudawe włosy.

– Hearsey!

Kowboj uciekł wzrokiem w bok.

– Są szczelnie osłonięte, ale…

– Ale?

– Ale na wszelki wypadek nie noś ich poniżej talii, w pobliżu jajowodów. Po co ryzykować?

Po zakończonych ćwiczeniach Hanna zdziwiła się, kiedy objął ją, przytulił i powiedział:

– Tak bardzo bym chciał z tobą pojechać. Wiesz, żeby ci pomóc.

– No to się zaczyna – powiedział Benford. – Twoje zadanie: rozstawić czujniki łączności krótkiego zasięgu SRAC w ustalonych miejscach na obrzeżach Moskwy. Znasz instrukcje: najpierw zostawiasz przesyłkę dla Divy; nie muszę ci przypominać, że ta faza operacji jest najważniejsza, najbardziej krytyczna i śmiertelnie niebezpieczna. Potem rozstawiasz raptory… Ile ich jest? Trzy, tak? Rozstawiasz trzy raptory i przygotowujesz bazy, stałą i mobilne.

– Pierwsza przesyłka dla Divy – odezwał się Nate. – Pamiętaj: zawalisz i będzie po niej.

Był w granatowej marynarce, szarych spodniach, koszuli i granatowym krawacie. Koszula była w niebieskie paski, a krawat w cieniutkie różowe paseczki. Jakby przyjechał na ferie prosto z kursu przygotowawczego na wyższą uczelnię,

pomyślała. Chciała powiedzieć: „Coś ty?”, ale ugryzła się w język i kiwnęła głową. Poprzedniego wieczoru poszli na hamburgera i znów opowiadał jej o Moskwie, o tym, jak pracował tam pod przykrywką dyplomaty, o ambasadzie, mieście i jego atmosferze. Mówił jak stary wyjadacz, a ona uważnie słuchała.

– Jeśli chodzi o raptory, zostałaś przeszkolona do poziomu eksperckiego – ciągnął Benford. – Nie da się poznać ich lepiej, więc nic tu po mnie. Nash będzie dalej wprowadzał cię w taktykę FSB i działalność Divy. Chcę, żebyś zaczęła rozumieć jej życie, upodobania i dziwactwa. Oraz jej niezmiernie ważne, wprost krytyczne znaczenie dla Stanów Zjednoczonych.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Zobaczymy się jutro. Przejrzymy pobieżnie wszystko to, o czym mówiliśmy, a potem wyślę cię do Moskwy. Kropka. – Skinął im głową i wyszedł.

CALZONE Z POREM I GRZYBAMI

Kroimy w kostkę cebulę, czosnek i umytego pora, następnie przesmażamy z grzybami shiitake, pieczarkami i boczniakami, aż grzyby się zeszklą. Dodajemy szpinak i smażymy do miękkości. Powstała masa powinna być sucha. Wykładamy nadzienie na rozwałkowane ciasto na pizzę, dodajemy kilka kostek fety i szczyptę kopru włoskiego. Ciasto zaginamy w połowie w kształt pieroga i dobrze sklejamy brzegi. Pieczemy w wysokiej temperaturze, aż się zezłoci.

18

Poszli do jadłodajni Hawk'n'Dove przy Pennsylvania Avenue na Kapitolu, niedaleko jej mieszkania.

– Jest wybuchowa, ale lojalna – powiedział Nate, biorąc kawałek łososia. – Dużo przeżyła. Widziała wszystko co najgorsze w tym systemie.

Hanna upiła łyk wina, sondując wzrokiem jego twarz.

– Dlatego chciała z tym skończyć. Było bardzo burzliwie. Ale kiedy Rosjanie zabili Marmura, który był dla niej jak ojciec, wściekła się i wróciła. Rok później podała nam na tacy tego Irańczyka.

Hanna uważnie słuchała. Przeczytała w końcu wszystkie osiem tomów akt Divy.

– Opowiedz mi o tej zasadzce w Wiedniu – poprosiła.

Nate spuścił oczy.

– Co tu opowiadać? Mieliśmy szczęście, i tyle. To był czysty surrealizm. Polowanie na ludzi we współczesnym Wiedniu.

– Nie wiem, jak bym się zachowała. – Hanna sięgnęła po kieliszek. – Chciałam cię o coś zapytać. Po Wiedniu wysłałeś depeszę operacyjną. Napisałeś w niej, że, cytuję, „w magazynie Diva przestała nad sobą panować".

Nate pokręcił głową.

– Tak, to prawda. Tamci zamordowali jej przyjaciółkę, Serbkę, i Domi wpadła w szał.

Domi, pomyślała Hanna. Pieszczotliwe zdrobnienia między prowadzącym i agentką? Czuła, że Nate coś przed nią ukrywa.

– Przestała nad sobą panować i wpadła w szał? Co to właściwie znaczy?

– Nie wchodziłem w szczegóły ani w depeszy, ani w sprawozdaniu. Zabiła jednego z Irańczyków, którzy na nas polowali. Nożem do steków przecięła mu tętnicę szyjną.

Hanna odłożyła widelec. Nate myślał, że zasłoni rękami twarz, zblednie i wyszepcze coś wstrząśnięta, tymczasem nawet nie mrugnęła.

– Zrobiłabym to samo – powiedziała bez cienia emocji.

Przyjrzał się jej uważnie, ponownie ją oceniając. Zielone oczy ani drgnęły.

– Walczyliśmy o życie – dodał. – To była gigantyczna obława. Wyskakiwali dookoła jak spod ziemi, spychali nas na most, pod lufę snajpera. Chciałem ją stamtąd jak najszybciej wyciągnąć.

Jest opiekuńczy, pomyślała Hanna. Zależy mu na niej.

– Tak, rozumiem.

– Cóż, Domi musi być bezpieczna, to niezmiernie ważne.

Naprawdę mu na niej zależy.

Uregulowali rachunek i zerknęli na zegarek. Było za wcześnie, by wracać do domu. Parę kroków dalej był bar, więc wpadli tam, usiedli w skórzanych fotelach i kontynuowali rozmowę: o Moskwie, moskiewskich punktach kontaktowych, rosyjskiej inwigilacji i o Divie. Dwa drinki później zaczęli rozmawiać o swoich zadaniach, karierze zawodowej, agencji i życiu. Rozmawiało im się bardzo dobrze, chociaż Hanna instynktownie unikała tematu życia intymnego. Doszła do wniosku, że Nate jest bardzo życzliwy i trochę nieśmiały, on zaś, że Hanna to dziewczyna spostrzegawcza i pełna wigoru. Lubili się – jako współpracownicy i jako ludzie – wiedli wyjątkowe życie i mieli wyjątkowy zawód. Ostatnio prawie się nie rozstawali. Wrażenie dziwne, ale przyjemne.

Wyszli z baru, przecięli Pennsylvania Avenue, okrążyli Seward Square, skręcili w Szóstą i ruszyli w stronę jej domu, parterowego mieszkania w suterenie ulicę od Eastern Market. Wino, dwa dżiny z tonikiem – zdrętwiał jej nos i idąc nierównym chodnikiem, musiała zachowywać dużą ostrożność. Jemu z kolei uderzyło do głowy morze piwa i musiał, po prostu musiał opowiedzieć jej kawał o Putinie, oczywiście po rosyjsku, ale kiedy pociągnęła go za ramię – szli pod rękę – i przypomniała mu, że nie mówi po rosyjsku, przetłumaczył kawał na angielski.

Putinowi śni się duch Stalina. Przychodzi do niego i tłumaczy, jak trzeba rządzić Rosją. „Wybij bez litości wszystkich demokratów – mówi – potem ich rodziców, powieś ich dzieci, wsadź do więzienia krewnych i znajomych, powystrzelaj ich zwierzęta domowe, a swój kremlowski gabinet pomaluj na różowo". „Dlaczego na różowo?" – pyta Putin.

– Nie rozumiem – powiedziała Hanna.

– No przestań! Jedyną rzeczą, która nie ma dla Putina sensu, jest kolor ścian gabinetu?

Hanna parsknęła śmiechem, on też, i musiała się go przytrzymać, żeby nie stracić równowagi. Przystanęli, spojrzeli sobie w oczy, a potem odruchowo zerknęli na drugą stronę ulicy ot tak, ze szpiegowskiego nawyku. Hanna nagle spoważniała.

– Mogę ci coś powiedzieć?

Nate zamrugał, próbując rozpędzić piwne opary.

– Jasne.

– Trochę się boję. Nie miałam odwagi powiedzieć tego Benfordowi, ale boję się, że nie dam rady. No wiesz, bo czy zachowam zimną krew? Jeśli Rosjanie kogoś na mnie naślą, czy na pewno ich namierzę?

W piersi Nate’a wezbrała fala czułości. Biedny dzieciak, będzie tam zupełnie sama. Podszedł bliżej i ujął jej głowę.

– To normalne, że się boisz. Ale masz to we krwi, jesteś jedną z najlepszych, jakie widziałem. Wszyscy tak uważają, inaczej by cię nie wysyłali. Ten pierwszy raz, godziny przed pierwszym wyjściem w teren, tak, to daje w kość. Ale kiedy już wyjdziesz, natychmiast wyczujesz ulicę i nikt cię nie tknie.

Hanna głośno czknęła.

– Szekspirze, czy ty naprawdę trzymasz w rękach moją głowę? – Zachichotała.

Nate zaczerwienił się i lekko zawstydzony szybko opuścił ręce.

Przez liście rosnących przy chodniku drzew sączyło się rozmyte światło latarni. Napięcie i zmęczenie w końcu wykipiało. Hanna podeszła bliżej – tylko się teraz nie cofnij, idiotko! – objęła go nieporadnie i zaczęli się całować, trochę niepewnie, mimo to poczuła, że ją przytula, więc nie przerwała pocałunku i też go przytuliła.

Kiedy go pocałowała, Nate był szczerze zaskoczony. Ta utalentowana dziewczyna zaliczyła na maksa najtrudniejszy kurs w agencji. W pięknym stylu wyprowadziła w pole cały waszyngtoński aparat kontrwywiadowczy FBI, w dodatku na ich własnym terenie. Dlatego wymagający i wybuchowy Benford zdecydował, że to właśnie ona będzie obsługiwała skrytki w Moskwie i utrzymywała kontakt z Divą, najważniejszą amerykańską agentką penetracyjną CIA.

Podczas szkolenia, a zwłaszcza ostatnio, świetnie się dogadywali – bez tych wszystkich terytorialno-hormonalnych potyczek tak typowych dla oficerów operacyjnych płci męskiej – i szczerze się cieszył z jej sukcesu. A teraz wszystko wskazywało na to, że pójdą ze sobą do łóżka, chyba że w ciągu najbliższych dwóch minut całą dzielnicę zniszczy bomba termobaryczna.

Kiedy Hanna znów go pocałowała – smakując limonką i tonikiem – zawirowało mu w głowie i niczym mały szczeniak, który coś przeskrobał i boi się spojrzeć na swojego pana, szybko zepchnął myśli o Dominice na dalszy plan. Hanna, odważna, miła, spostrzegawcza, pociągająca, pyskata i pełna życia, promieniała inteligencją i pewnością siebie, no i byli w sumie partnerami w bardzo ryzykownym przedsięwzięciu. Poza tym, czy wypadało odtrącić ją w przededniu tak niebezpiecznej wyprawy? Mógłby się tak usprawiedliwiać w nieskończoność, ale czuł na ustach jej zachłanne usta, a na karku i plecach jej ręce, chyba że stał za nim ktoś jeszcze. Znów ten zwinny język i nagle znaleźli się w jej schludnym, spartańskim mieszkaniu. Kilka książek na półce, buty do biegania ustawione jeden przy drugim tuż za drzwiami – omal nie wypalił, że już tu był, na szczęście znów go objęła i ugryzł się w język.

Boże, ta nagła wilgoć między udami. Całowali się teraz bez pośpiechu, lecz namiętnie, więc zamknęła oczy, czując coraz większą gulę w żołądku. Co ty wyczyniasz, kretynko? Zwariowałaś? Ściągnęła sweter przez głowę, najpierw swój, potem jego, i padli na łóżko, na niebieskobiałą narzutę, którą uszyła matka – Chryste, w takiej chwili myślisz o matce? – wciąż się całując, bez słowa zrzucając buty i zdzierając z siebie ubranie. Położyła okulary na stoliku. Był taki ciepły, taki gorący, więc nie przerywając pocałunku, sięgnęła w dół – Boże, pomyśli, że jestem wyuzdaną dziwką! – wprowadziła go w siebie tak słodko pełnego i naprężonego i zaczął się w niej poruszać, tam i z powrotem, powoli i rytmicznie, jak kipiąca seksem płyta tektoniczna, tam i z powrotem, w górę i w dół. Rozpalone od tarcia uda, wpatrzone w siebie oczy, otwarte z wysiłku usta – uwielbiała to pierwsze drżenie w podbrzuszu, więc oplotła go w pasie nogami, docisnęła do siebie piętami – Boże, znów nie posmarowałam stóp kremem nawilżającym, po

cholerę tyle biegam? – chwyciła mocno za ramiona, opadła na poduszkę i gdy zaczął pieścić ustami jej wygiętą w łuk szyję, nieśmiałe drżenie w dole brzucha przeszło w serię silnych wstrząsów i – Boże, za długo tego nie robiłaś – poczuła znajomą wilgoć pod pośladkami. Nate wciąż się poruszał. Wrażenie było niesamowite, więc otworzywszy oczy, dotknęła palcami jego warg, przyciągnęła go do siebie i pocałowała, myśląc, Jezu, tylko nie przestawaj, nie przestawaj!

Nate doszedł do wniosku, że Hanna jest inna w dotyku niż Dominika, na swój sposób mniej pierwotna. Była niczym miodowy topaz, podczas gdy Dominika kojarzyła mu się z bezdennym szafirem. Cicha Hanna wibrowała, podczas gdy głośna Dominika gwałtownie dygotała. Jasne, kręcone włosy wyglądały na poduszce zupełnie inaczej niż długie i kasztanowe – czuł, że zaraz zwariuje. A potem poczuł jej mokry orgazm, jakże inny od orgazmu Dominiki – Chryste, zamkniesz się wreszcie czy nie? – poczuł, jak przywiera wargami do jego warg, jak je całuje, jak jeszcze mocniej, choć wciąż bez słowa go przytula, i pocałowali się znowu, tym razem czulej, bardziej intymnie niż przed dwudziestoma minutami, jak dwoje kochanków. A potem legli na plamie wilgoci i objęci usnęli.

Gdy wstała, żeby pójść po wodę, było wciąż ciemno i do pokoju wpadały jedynie skośne smugi światła z ulicy. Patrzył, jak przeciąwszy mroczny pokój, odkręca kran, jak wraca z dwiema szklankami wody i zauważył – nie mógł się powstrzymać – że jest niższa, że ma bardziej płaskie pośladki, szczuplejsze nogi, mniejsze piersi, ciemniejsze sutki i jasne, puszyste włosy między nogami. Kurwa mać, przestań! Nigdy, przenigdy nie będziesz ich porównywał! Zobaczyła, że na nią patrzy, postawiła szklanki na stoliku nocnym i wszystko zaczęło się od początku, i znów zawibrowała, choć tym razem z cichym, drżącym jękiem wymawiając jego imię, a potem

opadli na łóżko i zasnęli na znacznie większej plamie wilgoci na kołdrze.

Kiedy za małym zakratowanym oknem pojaśniało, szepnęła mu do ucha, że według mahometan noc ustępuje miejsca dniowi dopiero wtedy, kiedy odróżnisz w mroku nić czarną od białej. Położyła mu głowę na piersi. Miała lekko przekrzywione okulary i rozczochrane włosy, które błyszczały w świetle wstającego dnia. Nie potrzebował nici – widział już jej zielone tęczówki.

– Ochronię ją – szepnęła.

Spojrzał jej badawczo w oczy.

– Kochasz ją, prawda? Divę. To znaczy… Dominikę.

Znieruchomiał.

– Nie wyobrażam sobie, jak musisz się czuć. Ten ciągły niepokój, to, że nie wiesz, co się z nią dzieje…

Nie wiedział, co powiedzieć. Hanna umilkła.

– Cieszę się, że to zrobiliśmy – dodała po chwili z uśmiechem. – Że cię poznałam. I nie pozwolę, żeby coś się jej stało.

Ścisnęło go w gardle, lecz ucisk ustąpił, bo wezbrała mu w piersi fala czułości.

Hanna nachyliła się, żeby go pocałować, ale chwycił ją za ramiona i gwałtownie usiadł.

– Co się stało?

– Co dzisiaj mamy? – rzucił zaniepokojony.

– Spotkanie z Benfordem – odparła. – O dziesiątej, przegląd szkolenia. Co ci jest?

– Chodź. – Pociągnął ją przez pokój do małego wieszaka z lustrem przy drzwiach i odwrócił w lewo jej głowę. – Golf. Nie za ciepło dzisiaj na golf?

– O kurwa… – Na szyi miała malinkę, mniej więcej w kształcie Rumunii.

Ich romans elektryzował powietrze jak burza zbierająca się nad mokrym polem pszenicy, gdy tuż po pierwszym grzmocie, lecz jeszcze przed ulewą, przestają grać świerszcze. Wspólnie spędzone dni dobiegały końca, co jeszcze bardziej wzmagało już i tak gorączkowe napięcie. Tik-tak, tik-tak – czas płynął, a oni nerwowo wertowali akta, oglądali zdjęcia i chodzili razem na naprędce zorganizowany kurs podstawowego rosyjskiego, żeby Hanna mogła chociaż przeczytać znaki uliczne. Gra pozorów, w którą grali, była pospieszna i absurdalna, lecz nie mogli się powstrzymać: przestali patrzeć na zegary ścienne, siadali oddzielnie w stołówce, teatralnie machali do siebie, wychodząc po zajęciach do domu i skręcając w przeciwną stronę na parkingu. Niecierpliwie czekali na zmierzch, na chwilę, gdy otworzą się drzwi i po trwającej wieczność rozłące – tak naprawdę trwała najwyżej dwanaście godzin – znów będą mogli siebie posmakować. Niczym zakochane króliki zapamiętale chrzcili wszystkie pomieszczenia w swoich mieszkaniach – kuchnię, salon, garderobę, parapety – po czym gadali do świtu, aż któreś musiało iść. Mieli wrażenie, że znają się od lat, a wspólne tajemnice zbliżały ich do siebie jeszcze bardziej. Nate dał jej ckliwy podarunek, błękitną bawełnianą plecioną bransoletkę, którą musiała namoczyć w wodzie, żeby skurczyła się i dobrze opinała nadgarstek.

Ani razu o tym nie rozmawiali, lecz Hanna instynktownie wyczuwała, kim Dominika dla niego jest, dlatego postanowiła zostać oficerem prowadzącym ich obojga. Miała za zadanie chronić Divę w Moskwie i wiedziała, że odda temu całe serce. I że dopóki będzie mogła, tym samym sercem i całą duszą będzie jednocześnie wielbiła Nate’a. Wiedziała, że nie ma żadnego powodu oczekiwać szczęśliwego zakończenia tej bajki.

Jednak tymczasem delektowała się i gigantycznym zadaniem w Moskwie, i słodkim bólem kochania Nathaniela Nasha.

Miłość do Hanny wpłynęła na Nate'a w sposób, którego ani nie oczekiwał, ani nie potrafił dobrze wyjaśnić. Agentka, nie agentka, Dominika była jego życiem; urzekła go jej pasja, odwaga i determinacja. Ale jak elegancko ujął to Forsyth i trochę mniej elegancko Gable, ich przyszłość miała być jak ciąg długich, ciemnych tuneli, z których pociąg wyjeżdża czasem na słońce tylko po to, by niemal natychmiast zniknąć w szeregu następnych. Bardziej złowieszczy Gable twierdził, że ich związek zagraża bezpieczeństwu Divy, zarówno uczuciowemu, jak i fizycznemu. Ona to niebezpieczeństwo lekceważyła, Nate nie. Jego miłość do Dominiki mogła ją zabić.

Nie wiedział, co o tym myśleć, chociaż tak, zastanawiał się nawet, jak wyglądałoby jego życie z koleżanką po fachu, oficerem operacyjnym Hanną Archer. Małżeństwa – mąż agent, żona agentka – pracowały zawsze w tandemie, wspierając się wzajemnie i ubezpieczając, ale… Otrząsnął się jak mokry pies. Nie, nie wyobrażał sobie życia bez Dominiki, a pokonywanie trasy sprawdzeniowej z Hanną byłoby jak występ dwóch Beethovenów przy klawiaturze tego samego fortepianu. Znów zobaczył partenoński profil Dominiki na tle świateł wiedeńskiego parku, który szybko przybrał kształt chłodnych palców Hanny w jego włosach. Usłyszał jej wesoły śmiech – Chryste!

Grom uderzył w dniu, kiedy Hanna poszła na obowiązkowe badania przed wyjazdem na misję. (Czy lekarz potrafi wyczuć, że pacjentka kochała się w nocy na stoliku do kawy?). Benford kazał Nate'owi przyjść na lunch do stołówki dla pracowników wyższego szczebla na szóstym piętrze gmachu kwatery głównej, kiszkowatego pomieszczenia z widokiem na Potomac, gdzie bywali głównie starsi rangą prawnicy agencji, najbardziej

doświadczeni łącznicy z Kongresem i ambitni urzędnicy w przybrudzonych sałatką krawatach. Ignorując nieśmiałe pozdrowienia, Benford, którego dobrze znano, którego się bano i którego ukradkiem wyzywano, mijał pokryte białym obrusem stoliki i pobrzękujących sztućcami gości. Idący za nim Nate czuł na plecach ich spojrzenia i przypomniał mu się dawny raport Dominiki o lunchu w prywatnej jadalni w centrali. Dominika. W Moskwie dochodziła północ. Śpij dobrze.

Benford usiadł przy małym stoliku, machnięciem ręki podziękował za jadłospis, kazał kelnerowi podać dwie miseczki zupy z krabów, po czym bez żadnych przeprosin zapewnił Nate'a, że tutejsza zupa jest przepyszna, znakomita.

– Musi być naprawdę dobra – powiedział Nate.

Benford oderwał kawałek bułki i wrzucił go do ust.

– Niektóre rzeczy, na przykład zupa z owoców morza, zupa z krabów czy operacje we wrogiej strefie, muszą być przygotowane idealnie albo wcale. Aha, dodaj do listy *chili con carne*.

– W zupełności się z tobą zgadzam, Simon – powiedział Nate z pełną ironii ogładą. – Już dodaję.

– W takim razie dlaczego sypiasz z Hanną Archer w przededniu jej wyjazdu do Moskwy, gdzie ma prowadzić i wspierać Divę, z którą, notabene, też się pieprzysz? – Benford oderwał następny kawałek bułki. – Uważasz, że to sposób na danie doskonałe?

Kelner postawił przed nimi dwie miseczki gęstej, aromatycznej zupy. Nate zanurzył w niej łyżkę i drżącą ręką z trudem doniósł ją do ust. Nie poczuł żadnego smaku. Oparł łyżkę o talerz.

– Nie zamierzam się usprawiedliwiać – powiedział. – Po prostu wpadliśmy na siebie z Dominiką podczas werbunku, z Hanną podczas szkolenia.

Benford siorbał zupę.

– Aha, wpadliście na siebie, straciliście równowagę i skończyliście w pozycji horyzontalnej?

Nate pochylił głowę, wziął głęboki oddech i zaczął mówić. Benford, choć pozornie skupiony na jedzeniu, uważnie wsłuchiwał się w każde jego słowo. Nate opowiedział mu o rozterkach, jakie przeżywał, kochając Dominikę, o rozmowach z Forsythem i Gable'em, o koszmarze nocnej zasadzki w Wiedniu i o tym, co było potem. Tak, to prawda: tu, w Waszyngtonie, podczas szkolenia Hanny nawiązał z nią romans. Benford zamienił miseczki. Podsunął mu swoją, już pustą, i ze smakiem zajadał jego zupę, słuchając, jak Nate zwierza mu się z czarnych, niegodnych myśli o życiu z Dominiką albo z Hanną.

W końcu wytarł usta serwetką, usiadł wygodniej i powiedział:

– Nash, jesteś kompletnie popierdolony. Ale wiem, co czujesz i potrafię poczuć wobec ciebie empatię.

– Tobie nigdy się to nie przytrafiło, co?

– Pozwolę sobie kontynuować syzyfową pracę poszerzania twojego słownictwa, bo widzę, że nie odróżniasz empatii od współczucia. Otóż empatię odczuwamy wtedy, kiedy przeżyliśmy coś, co przeżył nasz rozmówca. Natomiast współczujemy mu wtedy, kiedy nie mamy takich przeżyć.

– A więc ty też? – spytał Nate.

– Chyba nie oczekujesz, że opowiem ci ckliwą dykteryjkę z żałosnym morałem. Chcę tylko, żebyś wiedział, że już dawno wyleciałbyś ze służby, gdyby nie to, że tak wprawnie poprowadziłeś nasze dwa asy, Marmura i Divę, i że zwerbowałeś Liryka, który może się okazać nabytkiem równie ważnym. Krótko mówiąc, pracujesz w firmie tylko dlatego, że kiedy zamiast fiutem, myślisz głową, jesteś naprawdę świetnym

oficerem operacyjnym. Tak, Forsyth i Gable stoją za tobą murem, ale te bachanalia muszą się skończyć.

Benford odsunął się od stołu.

– Jaki miły lunch. A teraz pójdziesz na spacer, przemyślisz to sobie, wrócisz i powiesz mi, czego właściwie chcesz. Stawiam tylko jeden warunek: nie wolno ci zniszczyć Divy jako agentki ani złamać serca Hannie, zwłaszcza teraz, w przededniu jej wyjazdu do Moskwy. Prędzej czy później zrobi to za ciebie ten pieprzony Throckmorton.

ZUPA KRABOWA BENFORDA

Podsmażamy do miękkości drobno posiekaną cebulę i marchew. W oddzielnym naczyniu robimy zasmażkę z masła i mąki, zalewamy bulionem i mieszamy do uzyskania aksamitnego sosu. Do sosu dodajemy zeszkloną cebulę i marchew i gotujemy na wolnym ogniu. Przyprawiamy kremówką, sherry, sokiem z cytryny, sosem worcester, pieprzem, pieprzem cayenne, po czym dodajemy mięso kraba w kawałkach. Garnirujemy kwaśną śmietaną i szczypiorkiem.

19

Wskazówki na tarczy fosforyzującego zegarka pokazywały pięć minut po północy. Krążyła po moskiewskich ulicach od trzynastu godzin, pokrzepiając się batonikiem energetycznym. Teraz spacerowała po parku w pobliżu miejsca, gdzie miała zakopać ostatni czujnik. Latem dni były tu długie, a podczas przesilenia w nocy nie zapadała zupełna ciemność. Zaliczyła skomplikowaną trasę sprawdzeniową; specjaliści z Langley zaplanowali ją w najdrobniejszych szczegółach, do ostatniego skrętu i ostatniej minuty. Throckmorton patrzył jej przez ramię cały czas, ale nie powiedział ani słowa, kiedy skończyła opracowywać plan.

Nate miał rację: kiedy tylko wyszła na ulicę, by z niedbale przewieszonym przez ramię plecakiem pochodzić po sklepach, natychmiast ożyły wszystkie zmysły i momentalnie odzyskała pewność siebie. Odrobiła pracę domową: znała Moskwę tak, jakby mieszkała tam od lat. Przez godzinę od wyjścia z ambasady miała chyba kilku na ogonie, ale z czasem pozbyła się ich jednego po drugim. Małą czeską skodą – zapach nowego samochodu jest milion razy przyjemniejszy niż odór przypalonego anchois – pojechała daleko na północ, aż za obwodnicę, następnie skręciła na zachód i wykonawszy serię z góry zaplanowanych manewrów prowokacyjnych, zostawiła wóz na rozległym podziemnym parkingu centrum handlowego Wriemiena Goda. Zrobiła to na wszelki wypadek: sygnał z nadajnika, który FSB mogła umieścić w samochodzie, nie

dotarłby stąd na ulicę. Nie dostrzegła nic, co wskazywałoby, że jest śledzona, ani gwałtownie przyspieszających kroku przechodniów, ani pospiesznie odwracanych głów, ani głośno gazujących samochodów, ani zamykających się z trzaskiem drzwi – ani z przodu, ani z tyłu nie czuła żadnego naporu na skrzydła. Tak, nigdy nie wiadomo na pewno – właśnie tu pałeczkę przejmowały instynkt i zimna krew – ale gdy zapadł zmierzch, całą sobą poczuła, że jest czysta.

Opierając się plecami o pień drzewa, siedziała w mrocznym parku z włosami pod kapturem lekkiej nylonowej wiatrówki i plecakiem między nogami. Była w czarnych dżinsach, chłonącym wilgoć podkoszulku i butach na miękkiej podeszwie. Oprócz plecaka miała przy sobie niewiele rzeczy: kompas magnetyczny, pięciocentymetrową latarkę taktyczną z czerwonym obiektywem, narzędzie wielofunkcyjne i łopatkę Hearseya. Czarną wiatrówkę można było wywrócić na drugą, jasnoniebieską stronę, co trochę zmieniało jej profil. Noc nie należała do najcieplejszych. Bolało ją całe ciało, rwały z bólu nogi, miała zaparowane na brzegach okulary i trzęsące się ręce, którymi wyjęła z opakowania ostatnią połówkę batonu. Lepka i brudna marzyła o prysznicu, mimo to miała jasną głowę, czujne zmysły i skupiony umysł. Nadeszła pora wytężyć słuch. Nic. Wszędzie zupełnie pusto i ciemno – w parku panowała stężała cisza. Czekała na króciutkie skrzypnięcie taniego skórzanego buta, ostry trzask radionadajnika, ale nie, była częścią rosyjskiej nocy, unoszącą się w powietrzu rosyjską sylfidą, była… Więc może pobaraszkujesz po parku, rozsypując wokoło czarodziejski pył? Skup się, kretynko!

Oparła głowę o drzewo i zamknęła oczy. Zostało ci pół butelki wody, pomyślała. Wypij wszystko do dna i ruszaj. Zmieścisz się w czasie, powinnaś wrócić do samochodu, kiedy otworzą… Nagle usiadła prosto, chwyciła plecak i położyła go obok siebie.

Chryste, masz tam pełno strontu dziewięćdziesiąt i ściskasz go udami? Jeszcze trochę i już nigdy nie będziesz potrzebowała latarki. Świadomość, że mogła właśnie napromieniować pochwę, kazała jej pomyśleć o Nacie, a potem o niemającej twarzy kobiecie, której życie zależało od rozmieszczonych przez nią czujników, liny bezpieczeństwa łączącej ją z Langley. Znów mignął jej przed oczami obraz pięknego nagiego Nate'a w skośnych smugach światła wpadających przez okno jej waszyngtońskiego mieszkanka.

Te ostatnie wspólne dni były dziwne: Nate zdawał się nieobecny i niespokojny. Intuicja naturalnej, beztroskiej dziewczyny natychmiast podszepnęła jej, że jest rozdarty między nią a Dominiką Jegorową, kobietą, którą kochał, i wrodzone opanowanie zabroniło narzucać się mu fizycznie – a szkoda, bo zamierzała kochać się z nim aż do wyjazdu. Oczywiście po to, żeby do pełna załadować akumulatory, bo czuła, że w Moskwie czeka ją długa posucha: była singielką, a w ambasadzie obowiązywała zasada niebratania się z tubylcami, co znaczyło, że amerykańska dyplomatka nie może sypiać z kochankami spoza NATO.

Ostatniego wieczoru ona usmażyła steki, on zrobił sałatkę i otworzyli butelkę wina. Zapaliła świeczkę, postawiła na stoliku płaski wazon z kwiatami – trochę ckliwie i po staroświecku, ale w ciemnym mieszkaniu wyglądały bardzo ładnie – a kiedy zaczęli jeść, przyciszyła José Gonzáleza na stereo; śpiewał *How Low*, ponieważ tak się właśnie czuła: fatalnie. Było naprawdę okropnie, bo oboje czuli się nieswojo – tylko się nie rozrycz! – więc położyła ręce na kolanach, aby nie zobaczył, że drżą. Rozmowa o Dominice nie wchodziła w rachubę, dalsze roztrząsanie szczegółów moskiewskiej operacji zdawało się głupie, a analizowanie ich związku – bezsensowne i okrutne. Widziała, że Nate się maskuje – agenci

wywiadu potrafią czytać w ludzkich twarzach – dlatego, żeby się czymś zająć, wstała, aby dolać mu wina. Wtedy objął ją w talii, bardziej jak starszy brat niż kochanek, a kiedy spróbowała się uwolnić, przyciągnął ją do siebie i pocałował, raz i drugi. Odebrał jej pustą butelkę – jak idiotka wciąż trzymała ją w ręku – zaprowadził tyłem do sypialni – nie, no coś ty, na pewno? – i znów szeptała w ciemności jego imię.

Potrzasnęła głową. Do roboty, już czas. Była w parku Gorkiego, wielkim, gęsto zadrzewionym parku nad brzegiem rzeki Moskwy w centralnym okręgu administracyjnym miasta, na górnym skraju trawiastej skarpy opadającej ku długim schodom wiodącym do rzeki. Wzdłuż schodów ciągnął się rząd równo rozmieszczonych latarni z kulistymi szklanymi kloszami. Samochody wyjeżdżające z rykiem z tunelu na TTK, Tretiem transportnom kolce, ośmiopasmowym wewnętrznym pierścieniu drogowym stolicy, pędziły w kierunku pobliskiego mostu Andriejewskiego. Skarpa była widoczna ze wszystkich ośmiu pasów, dlatego właśnie tam Hanna zamierzała umieścić trzeci, ostatni już czujnik. Jadąca samochodem Diva będzie miała go w zasięgu przez wymagane minimum – dwie sekundy – co w zupełności wystarczy do przesłania niewykrywalnego sygnału SRAC. Tę ukrytą na zboczu elektroniczną skrytkę kontaktową mógł opróżnić lub załadować każdy przejeżdżający tą trasą pracownik rezydentury.

Hanna po raz ostatni sprawdziła teren i niewidoczna – niczym ubrana na czarno wojowniczka ninja – trawiastym zboczem skarpy zsunęła się w dół. Wiedziała, gdzie zakopać ostatniego raptora: czujnik musiał znaleźć się w elektronicznym polu widzenia ruchomego odbiornika na autostradzie, o tej porze ledwie w trzech czwartych wypełnionej pędzącymi na złamanie karku samochodami, buchającymi dymem autobusami i przeładowanymi ciężarówkami. Specjalna łopatka

Hearseya bez trudu wbiła się w ziemię. Hanna podważyła kawałek murawy, podniosła ją jak skalp, wyjęła z plecaka czujnik numer trzy – żegnaj, sukinsynu, mam nadzieję, że nie sprzedałeś mi raka – i umieściła go w dziurze. Przykryła dziurę murawą, mocno docisnęła – Hearsey mówił, że lekkie wybrzuszenie zniknie z biegiem czasu, gdy ziemia osiądzie – wyjęła z kieszeni paczuszkę wielkości saszetki cukru i posypała brzegi murawy ziarnistą mieszanką nasion trawy. Teraz wystarczyło tylko zaczekać na deszcz i nasiona – wyhodowane przez graminologów z Departamentu Rolnictwa były identyczne jak nasiona wydmuchrzyc występujących na terenie parku – wykiełkują, skutecznie kamuflując brzegi fragmentu wykrojonej z ziemi murawy.

Hanna wspięła się na zbocze, zniknęła między drzewami, zastygła bez ruchu i przez dwie minuty nadsłuchiwała podejrzanych odgłosów, trzasku zapałki, stłumionego kaszlnięcia, cichutkiego, melodyjnego dźwięku, jaki wydaje włączony noktowizor czy dyszenia i nosowego skowytu psa. Nic. Wokoło panowała zupełna cisza. No i już. Udało się. „Niebiański krąg” – dopiero teraz zrozumiała słowa Janice. Wyobraziła sobie Benforda, jego twarz, kiedy przeczyta depeszę z meldunkiem, że „wszystkie przesyłki są rozmieszczone”. Miała nadzieję, że będzie zadowolony, może nawet wyśle depeszę do Aten, żeby zawiadomić Nate’a. Tak, Nate też będzie pod wrażeniem. On na pewno wie, jakie to uczucie. Za kilka miesięcy dostanę urlop, pomyślała. Może wyskoczę do Grecji? Czemu nie? Nie wiadomo dlaczego pomyślała także o swojej rodzinie, o tym, jak dumni byliby jej rodzice, gdyby wiedzieli, co robi ich córka. Matce zaskrzyłyby się oczy, ojciec by się uśmiechnął, jak zwykle hałaśliwi bracia poklepaliby ją po plecach… Nie, nie mogła im powiedzieć. Nigdy.

Wróciła do rzeczywistości. Musiała teraz wysłać sygnał Divie, wrócić po samochód i pojechać do ambasady. Dzień jak co dzień, ot, po prostu spóźniła się trochę do pracy. Najważniejsze było to, że trzy raptory, które tej długiej nocy ukryła – dobrze zakamuflowane i rozmieszczone w pobliżu arterii komunikacyjnych o dużym natężeniu ruchu w oddalonych od siebie częściach miasta – działały zupełnie niezależnie od nadajników na terenie zachodnich placówek dyplomatycznych, ponieważ te były otoczone pierścieniem detektorów FSB i mogły zdradzić Rosjanom, że właśnie doszło do wymiany informacji za pośrednictwem łączności krótkiego zasięgu SRAC.

Najważniejszą przesyłkę – sprzęt dla Divy – dostarczyła przed tygodniem. Była to jej pierwsza zagraniczna operacja. Trasę sprawdzeniową zaliczyła wietrzną, ulewną nocą. Ciężkie krople zacinającego deszczu były jak łzy bezradnej wściekłości duchów dawnego politbiura, które patrzyły, jak amerykański szpieg – w dodatku nieustraszona, jasnowłosa kobieta! – popełnia akt szpiegostwa w ich własnej stolicy, mieście „czarnych, mętnych wód”, bo właśnie z tego określenia wzięła się nazwa Moskwy.

Przesyłkę dla Divy zakopała w małym parku pod wiaduktem na skrzyżowaniu prospektu Wołgogradzkiego z ulicą Lublińską. Gdy po wykonaniu zadania zameldowała, że sprzęt dotarł na miejsce, amerykańskie satelity obserwowały park przez cały tydzień, aby ustalić, czy nie dzieje się tam nic podejrzanego, czy na ziemi nie pojawiły się nowe ślady kół albo czy gdzieś w pobliżu nie ustawiono gryzącego się z otoczeniem kontenera dla obsługi technicznej. Zrobiono wszystko, aby mieć całkowitą pewność, że kiedy Diva będzie odbierała przesyłkę, ze szczurzych nor nie wyskoczy nagle banda tajniaków FSB.

Ku irytacji Throckmortona ostateczną decyzję podjął Benford. Napisał do Hanny depeszę, ale szef rezydentury

wycelował w nią kartoflanym nosem i przeczytał ją sam, na głos. „Przesyłka bezpieczna. Kontynuować. Czujniki na miejscu. Kontynuować”. Hanna musiała teraz przesłać Divie sygnał „skrytka załadowana”, zostawić w mieście ostatni fizyczny znak swojego istnienia.

Ze zmęczenia widziała jak przez mgłę, mimo to powlokła się do Dorogomiłowa, dzielnicy, gdzie mieściło się jej służbowe mieszkanie. Ulica Kastaniewska była opustoszała, szeroki bulwar też. Hanna wyjęła mały pojemnik farby w spreju i na żelaznym ogrodzeniu za zadaszonym przystankiem autobusowym namalowała trzy poziome linie. Zawarty w farbie związek chemiczny o opóźnionym działaniu, bezbarwny i niewykrywalny, kilka godzin później miał zareagować na promieniowanie ultrafioletowe porannego światła słonecznego, w ciągu kilku minut „zardzewieć” i stać się niewyraźnym maziajem widocznym jedynie dla tych, którzy wiedzieli, gdzie patrzeć. Diva mijała przystanek w drodze do pracy i do domu, więc musiała tylko zerknąć na ogrodzenie.

Dwa dni później odezwał się raptor numer dwa. Sygnał odebrała Irene Schindler, zastępczyni Throckmortona, która objechawszy miasto w markowanym poszukiwaniu sklepów z antykami, trzęsącą się ręką położyła na biurku Hanny odbiornik i zalatując dżinem, szybko odeszła. Hanna podłączyła odbiornik do komputera i na monitorze ukazał się pierwszy meldunek Divy.

> Raport 1. Przesyłka odebrana. Sprzęt sprawny. Naciski na kontrakt z Iranem. Przyjazd waszyngtońskiej rezydentki, powody nieznane, plotki o amerykańskim ochotniku. Informacja zastrzeżona, ale wice zna szczegóły. Sprawdzę. olga.

Napisane małymi literami imię, po imieniu kropka – znak, że nie działała pod przymusem, nie siedziała na Butyrkach pod okiem techników SWR, którzy spoglądali jej przez ramię z tłustymi jak salami łapami na jej karku. Oby tak dalej, siostrzyczko.

Olga. Nate powiedział jej, że to ona wybrała ten kryptonim. Olga Priekrasna, Piękna Olga, zwana także Mądrą, była średniowieczną królową i wojowniczką, która zniszczyła stolicę wroga, wypuszczając setki jaskółek z nasączonymi siarką sznurkami u łapek. Gdy o zmierzchu ptaki poszły spać – pod okapami, na strychach, w stodołach i stogach siana – tlące się sznurki stanęły w ogniu, wywołując setki pożarów w całym mieście, zrównując je z ziemią. Jaskółka niosąca ogień i zniszczenie. Olga, piękna i mądra.

Szef kontrwywiadu, pułkownik Aleksiej Iwanowicz Ziuganow, wsiadł do windy na trzecim piętrze kwatery głównej SWR w Jasieniewie i mamrocząc pod nosem, zjechał na dół. Właśnie zdał dyrektorowi raport o nowym amerykańskim informatorze, który nadał sobie kryptonim Tryton. Traszka, prychnął Ziuganow. Co za idiotyzm. Jego pierwsza wiadomość, sprytnie ukryta na końcu aż nazbyt oczywistego wabika przekazanego im przez podwójnego agenta z Sił Powietrznych USA, dotyczyła werbunku rosyjskiego attaché wojskowego w Wenezueli. Zarząd KR nie potrzebował niczego więcej. Młodego attaché, który kilka miesięcy przedtem zdradził ojczyznę, zgadzając się szpiegować dla Amerykanów, wezwano do Moskwy pod pierwszym z brzegu pretekstem administracyjnym.

Żadnych przesłuchań nie było, przynajmniej jak dotąd. Dano mu jakąś bezsensowną robotę i obserwowano – za dawnych

czasów rozstrzelano by go na Łubiance, w podziemnym lochu z hakami, ściekiem na krew i zapobiegającą rykoszetom ścianą wyłożoną grubymi sosnowymi okrąglakami. Ale nie, była to klasyczna *potiomkinskaja dieriewnia*, wioska potiomkinowska, sztuczna fasada, którą zbudowano tylko po to, żeby chronić Trytona. Z czasem, kiedy ślady się nieco zatrą, wyrok zostanie wykonany i tak. *Mołodoj pieriebieżczik*, młody zdrajca, już nie żył, tylko jeszcze o tym nie wiedział. Tak jak CIA.

To, że Zarząd KR rozprawiał się ze zdrajcami tak szybko, sprawnie i bezwzględnie, było kolejnym sukcesem pułkownika. Idiota dyrektor nie rozumiał, jak zbawienny wpływ ma obecność wszechwiedzącej machiny kontrwywiadu, która okrywała pozostałe służby niczym wielki całun. Zdrada? Z Ziuganowem u władzy nikt nie śmiałby się jej dopuścić. Nie, ten skretyniały były polityk nigdy nie dostrzeże ani nie pojmie niuansów jego gry – w przeciwieństwie do kogoś, kto doskonale je rozumiał, kto służył kiedyś w wywiadzie i był teraz nieskończenie ważniejszy od niego. Tak, prezydent Putin to zupełnie inna półka.

Ziuganow znajdował się w znakomitej sytuacji: zneutralizował zdrajcę z Caracas, w imieniu samego prezydenta pracował nad kontraktem z Irańczykami i wraz z Zarubiną zamierzał poprowadzić Trytona (który musiał mieć dostęp albo do Białego Domu, albo do NSC – Rady do spraw Bezpieczeństwa Narodowego – albo do Langley). Kolosalna sprawa. Putin obejmie go patronatem i szczodrze wynagrodzi. Czekała go różowa przyszłość. Powszechnie uważano, że po powrocie z Waszyngtonu Zarubina zostanie nowym szefem SWR, pierwszą w historii kobietą na tym stanowisku. A Ziuganow zawarł z nią niepisane porozumienie, że nie odstąpi jej na krok. Co za spółka: szwaczka i kat.

Jedynym *priepiatstwijem*, jedyną przeszkodą, która mu zawadzała, była Jegorowa. Pułkownik miał intuicję śledczego i wiedział, że wpadła w oko Putinowi i może pokrzyżować mu szyki. Irańskie fiasko bynajmniej jej nie zaszkodziło. Cóż, sprawa była dość prosta: mógł zaufać swoim umiejętnościom i zdać się na bieg wypadków albo zaaranżować kolejną przygodę, oczywiście bardzo niebezpieczną. Ta druga możliwość była nieskończenie bardziej kusząca nie tylko ze względu na jej złośliwy i gwałtowny charakter, ale i dlatego, że pułkownik dokonał ostatnio ciekawego odkrycia.

Jedyną aktywnością społeczno-towarzyską, na jaką sobie pozwalał jako mizantrop, były rzadkie wizyty w wydziale „mokrej roboty" Departamentu V SWR, gdzie wciąż pracowała garstka znajomych ze złotego wieku Łubianki: niedobitki batalionu „do zadań specjalnych" złożonego z zabójców i sabotażystów. Tam, wśród powściągliwych zawodowców o kamiennych twarzach, tych młodszych, którzy próbowali się dopiero wybić, jak i tych starszych, którzy mieli niebawem przejść na emeryturę, czuł się prawie jak w domu. W każdym razie lubił ich dużo bardziej niż nowych dyletantów z kwatery głównej, którzy znali angielski i umieli zamówić wino. Nie, wolał kumplować się z chłopakami od mokrej roboty.

Siedział w świetlicy Departamentu V, gdy ktoś do niego podszedł. Kobieta. Stanęła przed nim ze złączonymi obcasami i cichym szeptem spytała, czy mogłaby z nim porozmawiać. Średniego wzrostu, przysadzista, choć nie gruba, miała około czterdziestu lat, krótko obcięte jasne włosy, bary jak mężczyzna, płaski, szeroki nos, cienkie jak brzytwa usta i szpiczasty podbródek. Ziuganow nie miał ochoty rozmawiać z kimś, kto

w tak oczywisty sposób zamierzał prosić go o przysługę, ale za szkłami drucianych okularów zauważył jej otoczone czerwonymi obwódkami oczy, oczy tak szare, że wyglądały jak sztuczne. Poza tym nie mrugały, były zupełnie nieruchome. W jego umyśle drgnęło coś pierwotnego i czarodziejskiego: socjopata wyczuł bratnią duszę.

Kobieta była w taniej sukience z długimi rękawami, też szarej i pod szyję zapiętej. Z rękawów wystawały zdecydowanie za długie ręce. Bezkształtne wybrzuszenie na tułowiu wskazywało na pokaźny biust, chyba że czymś go sobie wypchała. Nerwowo skubała boczne szwy na sukience i zauważył, że ma żółte palce.

– O co chodzi? – warknął.

Kobieta nawet nie drgnęła i wciąż patrzyła mu prosto w oczy.

– Chciałabym dla was pracować – odparła cicho.

– Wykluczone. Macie czelność mnie o to prosić? Nie wiecie, że selekcja kandydatów do pracy w moim zarządzie jest nadzwyczaj surowa? – Odwrócił głowę na znak, że rozmowa dobiegła końca.

Ale kobieta nie odeszła.

– Nie w zarządzie – szepnęła. – Na dole.

Pułkownik zbył ją machnięciem ręki i w tym momencie do świetlicy wszedł szef Zarządu V. Kobieta łypnęła na niego spode łba, odwróciła się i wyszła.

Szef Piątki nie przepadał za Ziuganowem. Nie lubił, kiedy ten karłowaty troll ich odwiedzał, gardził jego oślizgłą reputacją. Był reformatorem i karierowiczem, a nie *pałaczom*, katem.

– Ty co? – spytał. – Rozmawiałeś z Ewą?

– Nie rozmawiałem – zaprzeczył Ziuganow.

– Dam ci dobrą radę: lepiej trzymaj się od niej z daleka.

– Niby czemu? Kto to jest?

Szef Piątki podszedł do syczącego na stoliku samowara i nalewając sobie herbaty, zastanawiał się, jak opisać potwora

drugiemu potworowi.

– Jewdokia Buchina, dla przyjaciół Ewa, choć wątpię, czy jakichś ma. Zaczynała w Sankt Petersburgu. W stopniu kaprala przeniesiono ją do Moskwy i skierowano do pracy administracyjnej w Piątce, moim wydziale. Próbuję pozbyć się jej od roku, odkąd tylko tu przyszła.

Ziuganow udał, że mało go to interesuje.

– Dlaczego? Coś z nią nie tak?

– Nie, w sumie to nic takiego – odparł tamten. – Była zbyt agresywna i dostała naganę. Przeniesiono ją za stosowanie przemocy wobec więźniów.

– Za stosowanie przemocy wobec więźniów? – powtórzył pułkownik.

– Paru pobiła w celi na śmierć. Jednego w Petersburgu, drugiego w Moskwie.

– Wypadki się zdarzają – zauważył Ziuganow.

Szef Piątki wzruszył ramionami.

– Chcesz ją mieć u siebie? Cudownie. Przyślę ci jej akta. Nie rozumiem połowy słów z jej profilu medycznego.

Ziuganow nie dał mu jednoznacznej odpowiedzi. Kobieta powiedziała, że chce pracować „na dole”, i zastanawiał się, czy nie znalazł przypadkiem kogoś naprawdę wyjątkowego. W jej teczce osobowej roiło się od kuszących słów, w tym takich, których znaczenie musiał sprawdzić w słowniku. Hermafrodytyzm. Panseksualizm. Schizotymia.

Rozmowa w cztery oczy nie przyniosła ostatecznego rozstrzygnięcia. Kobieta odpowiadała monosylabami, kręciła głową albo niewyraźnie mamrotała. I ani na chwilę nie odrywała od niego tych szarych jak mokry cement oczu. Idąc za głosem instynktu, zabrał ją na Butyrki, żeby obejrzała przesłuchanie aresztowanego aktywisty, członka grupy performerskiej *Wojna*, który podczas ulicznej demonstracji

przeciwko polityce Władimira Putina rzucił słoikiem zielonej farby w działającego po cywilnemu oficera SWR. Miał pecha, ponieważ sprawa z automatu trafiła do Departamentu Ochrony Systemu Konstytucyjnego, co znaczyło, że nieszczęśnikiem miał zająć się Ziuganow i debiutująca na tym polu Jewdokia Buchina.

Do północy Jewdokia zdążyła złamać mu sześć palców, zwichnąć lewe ramię, zmiażdżyć wszystkie kostki prawej stopy i złamać górną szczękę. Zafascynowany Ziuganow nie mógł oderwać od niej wzroku. Była zręczna, metodyczna, cierpliwa, silna i pełna wdzięku. Pracowała bez zadyszki i niczym szukający pochwały pies myśliwski, od czasu do czasu zerkała na niego spod błyszczących w świetle staropanieńskich okularów. Pułkownik czuł się tak, jakby siedział w prywatnym pokoju Brahmsa i patrzył, jak mistrz komponuje. Znalazł swojego *izwierga*, Beliala, swojego potwora.

Zrobić krzywdę Jegorowej. Podciąć jaskółce skrzydła. Nie, zamknął tę myśl w ociekającym krwią schowku swojego umysłu. Postanowił, że na razie odetnie ją tylko od informacji na temat kontaktu z Irańczykami, wyłączy te akta z obiegu, żeby mu nie przeszkodziła i go nie przyćmiła. Musiał obłożyć ją bezsensowną robotą, zastosować *otwlekajuszczij maniewr*, manewr opóźniający.

Następnego dnia rano uśmiechnęło się do niego szczęście.

Włochaty Jewgienij wręczył mu najświeższą depeszę z waszyngtońskiej rezydentury, w której Zarubina donosiła, że doszło do kolejnego spotkania z Thorstadem, majorem Sił Powietrznych USA. Na końcu serii bzdurnych informacji była kolejna bomba od Trytona: piętnaście zdjęć. Anonimowy jaszczur sfotografował trzy depesze, tajną korespondencję między Langley i rezydenturą CIA w Atenach na temat informatora o kryptonimie Liryk, który zdradził Amerykanom,

w jaki sposób GRU zamierza dobrać się do amerykańskich technologii wojskowych. Ziuganow uniósł brwi. Sądząc po streszczeniu, przekazane CIA informacje musiały pochodzić z najwyższego szczebla GRU, od kogoś z praktycznie nieograniczonym dostępem.

Pust' budiet, niech będzie. Kolejny kret do wykurzenia, kolejny blin do zjedzenia. Amerykanie byli niezmordowani, werbowali Rosjan i werbowali. Tymczasem Tryton jednym uderzeniem trójzęba pozbawi ich wszystkich zdobyczy. Głęboko zamyślony spojrzał na depeszę od Zarubiny. Ten Liryk musi pracować gdzieś w Moskwie, zajmować ważne stanowisko i mieć dostęp do najtajniejszych informacji. Nie, to nie urzędniczyna z byle ambasady. Tak, do spotkania doszło w Atenach, ale to nieistotne. Grecja jest popularnym i tanim miejscem letniego wypoczynku dla spragnionych słońca Rosjan. Zdrajca pojechał tam pewnie na urlop z rodziną, nawiązał kontakt z CIA, został przesłuchany, odebrał pieniądze i wrócił do kraju. Tak, wystarczy zorganizować małe polowanie, tu, w Moskwie. Przejrzeć wszystkie podania o urlop za granicą, sprawdzić, kto gdzie wyjechał, zgarnąć garstkę podejrzanych, najpewniej z GRU, porządnie ich przesłuchać i wyłowić spośród nich *priedatielnuju swinju*.

Hm, przesłuchania. Ziuganow oblizał usta – wydział okulistyczny przysłał mu zestaw narzędzi do trepanacji czaszki, który chciał wypróbować. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl: przecież Grecja to znakomity pretekst! Mógłby skorzystać z okazji i wysłać tam Jegorową. Tak, do Aten, na inspekcję kontrwywiadowczą. Niech przesłucha pracowników rezydentury i ambasady. Straci dwa tygodnie na bezsensowne polowanie, tymczasem on zdemaskuje moskiewskiego kreta.

Spojrzał kwaśno na stojącego w progu zastępcę. I wydał mu rozkaz: iść do kapitan Jegorowej i poinformować ją, że w Grecji

doszło do przecieku. Nie wspominać o Zarubinie ani o raporcie Trytona na temat Liryka. Kapitan Jegorowa ma udać się do Aten i dyskretnie przesłuchać agentów SWR, GRU oraz pracowników ambasady, odnotowując to, co odbiega od normy, i nie wracać, dopóki nie przesłucha wszystkich, choćby miało to potrwać dwa tygodnie lub dłużej.

– Wszystkich? – powtórzył Jewgienij. – Pod jakim pretekstem? Jak wyjaśnimy to ateńskiej rezydenturze? – Znał swojego szefa i wiedział, że nie warto zbyt mocno naciskać. Tak czy inaczej, Jegorowa będzie miała kupę roboty.

– Powiedz jej, że to rutynowa kontrola – odparł pułkownik. – Że wszyscy muszą ją zaliczyć. A teraz precz. I połącz mnie z Zarubiną.

Jewgienij Pletniew spojrzał na siedzącą przy biurku Jegorową i pierwszą myślą, jaka przeszła mu do głowy, było to, że nigdy w życiu nie widział bardziej niebieskich oczu. Potem ocenił wzrokiem wagę jej piersi, a jeszcze potem wyobraził sobie, że jest z nią w łóżku. Podrapał się pod pachą. Poszedł do Zarządu KR i zgodnie z poleceniem przekazał rozkaz pułkownika w jej malutkim gabinecie. Wysłuchała go z kamienną twarzą. Zaciekawiony, uważnie ją obserwował – krążyło o niej mnóstwo opowieści. Oprócz Ziuganowa jedynie on miał dostęp do wszystkich informacji na temat tego, co działo się w zarządzie i zgodnie z obowiązującą w SWR żelazną hierarchią służbową odpowiadał tylko przed swoim szefem. Ale ta celebrycka sława, te wpływy, chłodny dystans, z jakim wszystkich traktowała – bardzo go to intrygowało. Tego dnia była w ciemnym żakiecie i jasnoniebieskiej bluzce. Miała wysoko upięte włosy, spokojną twarz i nie nosiła żadnej biżuterii, nie licząc małego zegarka na

wąskim aksamitnym pasku. Patrzyła na niego tak, jakby go sondowała. Szczupłe, eleganckie ręce trzymała na skórzanym bibularzu. Wydawała się inna, nie wiedział, czego się po niej spodziewać. Nic dziwnego, bo przywykł do zjadliwych wybuchów gniewu zawistnych socjopatów.

– Dziękuję, Jewgienij – powiedziała. – Natychmiast rozpocznę przygotowania do wyjazdu. – O ironio: Ziuganow myślał, że ją odcina, tymczasem dawał jej w podarunku dwa tygodnie na spotkanie z CIA – dwa tygodnie na to, żeby mogła zobaczyć się z Nate'em. Nie przypuszczała, że dojdzie do tego tak szybko, praktycznie zaraz po Wiedniu. Zaczęła układać w myśli depeszę SRAC, którą zamierzała wysłać jeszcze tego samego dnia wieczorem.

Tak, oto znakomita okazja. Spojrzała na raz jaskrawą, raz blaknącą brudnożółtą aureolę wokół głowy Jewgienija. Ten podstępny lizus regularnie właził w tyłek Ziuganowowi, ale miał dostęp do informacji, których bardzo potrzebowała. I nie miał wzięcia u kobiet, choć marzył o nich na jawie i we śnie. Zerknęła na tego dziwnego stwora i zadrżała.

Na szafce na akta siedziała Udranka ze skrzyżowanymi nogami. No dalej, powiedziała. Na co czekasz? Nie musi ci się to podobać, po prostu masz to zrobić.

Jewgienij Pletniew trafił do SWR zaraz po studiach na wydziale informatyki Uniwersytetu Moskiewskiego, które ukończył z miernym wynikiem. Zwerbowano go dzięki znajomościom wujka, deputowanego do Dumy Państwowej i szefa Państwowej Komisji Legislacyjno-Antykorupcyjnej. Jednak jego wpływy skończyły się przed progiem okazałych drzwi Jasieniewa i nowego pracownika SWR – Jewgienij miał wtedy dwadzieścia

pięć lat – skierowano do pracy w administracji, w wydziale kadr, logistyki i wsparcia technicznego. Tam młody Pletniew szybko zrozumiał, że pewność przyszłego awansu zależy od tego, czy i jak skutecznie będzie unikał niebezpiecznych politycznie dyrektoriatów operacyjnych.

Pracował tam kilka ponurych lat – nie miał wyboru – do chwili, gdy zwolniło się stanowisko asystenta administracyjnego w Zarządzie KR, trochę podejrzanym wydziale zajmującym się kontrwywiadem i inwigilacją obywateli rosyjskich za granicą. Mimo ostrzeżeń kolegów Jewgienij dostrzegł w tym swoją szansę, złożył podanie i został przyjęty. Po trzech latach spędzonych na modernizowaniu przestarzałej sieci komputerowej i czyszczeniu twardych dysków zauważył go ten straszny gnom, dyrektor Zarządu KR Aleksiej Ziuganow, który kazał mu się przenieść najpierw do sekretariatu, a potem do szefostwa sztabu. Jeszcze potem mianował go swoim adiutantem, a przed rokiem – zastępcą. Jewgienij wiedział, że już sama myśl o windowaniu się na jego plecach jest niezwykle niebezpieczna, a nawet samobójcza: *czort pobieri* – to tak, jakby z diabłem tańcować! Ale miał wtedy trzydzieści pięć lat i wiedział już, że Ziuganow jest potężny i niezastąpiony i że krążą o nim makabryczne plotki. Co więcej, wiedział także, że upiorna, budząca grozę reputacja szefa przylgnie do niego.

Gdy obejmował stanowisko zastępcy, pułkownik spojrzał na niego z ukosa jak żółw i powiedział:

– To bardzo wrażliwe stanowisko. Będziesz widział i czytał to, co ja, będziesz miał dostęp do moich akt, dlatego wymagam lojalności i dyskrecji. Od przejścia do Zarządu KR pracujesz dobrze, ale najmniejsze naruszenie obowiązujących tu standardów pociągnie za sobą natychmiastowe postępowanie

dyscyplinarne. Innymi słowy, osobiście zawlokę cię do piwnicy i przywiążę do stołu. Jasne?

Jewgienij kiwnął głową i przez rok pracował czternaście godzin na dobę. Był wzorem wydajności i uosobieniem dyskrecji. Z czasem nauczył się odgadywać nastrój szefa, przewidywać czarne dni i napady *biezumija*, szaleństwa. Dostrzegł także, że wizyty w lochach poprawiają mu humor, że kiedy stamtąd wraca, cuchnąc zapachem kostnicy bijącym z ubrania, włosów i oddechu, natychmiast zapomina o wszystkich troskach.

Pół roku socjopatyczny karzeł traktował go bardzo podejrzliwie, ale w końcu przywykł do jego niewolniczego posłuszeństwa i uznał, że włochatemu zastępcy można zaufać – oczywiście do pewnego stopnia. Jedyną osoba, której kiedykolwiek całkowicie zawierzył – jedynym człowiekiem, przed którym potrafił się całkowicie otworzyć – była matka. Tak czy inaczej, Jewgienij Pletniew został jego zastępcą i mieli do wykonania ważne zdanie: musieli złapać kreta.

PIECZONE TOPINABURY (KARCZOCHY JEROZOLIMSKIE)

Mieszamy kremówkę z przeciśniętym czosnkiem, sokiem z cytryny, estragonem i serem gruyère i dobrze przyprawiamy. Dodajemy obrane, grubo pokrojone topinambury i przelewamy całość do żaroodpornego naczynia. Posypujemy bułką tartą i startym żółtym serem, skrapiamy oliwą z oliwek i pieczemy w dobrze nagrzanym piekarniku, aż karczochy zmiękną, a posypka zbrązowieje.

20

Był to początek niebezpiecznej, niezwykłej i niezwykle bezczelnej operacji werbunkowej: spenetrować swój własny wydział poprzez przekupienie i nakłonienie do współpracy Jewgienija Pletniewa, zastępcy pułkownika Ziuganowa – Nate i CIA postradaliby zmysły, gdyby wiedzieli, co Dominika zamierza. Poza tym miała na to niewiele czasu, ponieważ zbliżał się termin wyjazdu do Aten. Przyspieszanie jakiejkolwiek operacji było napraszaniem się o katastrofę, o wpadkę i dekonspirację. Ale nie miała wyboru.

Wiedziała, że musi uwieść Pletniewa i wydobyć z niego najpilniej strzeżone tajemnice Zarządu KR. Musiała poznać stan rokowań z Irańczykami i zbadać, co knuje waszyngtońska rezydentka SWR, słynna Zarubina. Może zdobyła nowego informatora, a jeśli tak, CIA na pewno zechce o tym wiedzieć. No i była jeszcze kwestia śledztwa w Atenach. Chciała poznać wszystkie szczegóły i przekazać je Nate'owi.

Ale najpierw musiała wykorzystać poznane w szkole jaskółek chwyty i uwieść włochatego Pletniewa, odbyć koszmarną podróż w czasie i ponownie otworzyć rozdział kariery zawodowej, który kazano jej kiedyś przeczytać. W jej głowie odezwał się ostrzegawczy głos Gable'a, oczyma wyobraźni zobaczyła minę Nate'a.

Kiedy nie było Udranki, w nogach łóżka siadała Marta. Odrzucała do tyłu włosy, wydmuchiwała dym pod sufit i kazała

jej działać, wziąć się w garść, zacisnąć zęby i zrobić, co postanowiła.

Początkowo Jewgienij zauważał kapitan Jegorową jedynie wtedy, kiedy stała przed biurkiem Ziuganowa albo kiedy szła korytarzem w siedzibie zarządu. Lubił oglądać kobiety z profilu, więc przesunąwszy się nieco na bok, podziwiał jej elegancki podbródek, długą szyję, wypięte piersi, podrygujące pośladki, kształtne nogi i zgrabne kostki. Dominika wiedziała, że się na nią gapi, widziała jego pulsującą żółtą aureolę, lecz udawała, że niczego nie dostrzega. Pletniew nie zauważył, że dziwnym zbiegiem okoliczności spotyka ją coraz częściej i częściej, bo a to przyniosła mu jakiś okólnik, a to usiadła obok niego przy stole konferencyjnym, a to wpadła na niego w stołówce albo na słonecznym tarasie podczas lunchu. Tak się przypadkiem złożyło, że wieczorami coraz częściej wracali razem z Jasieniewa szóstą linią metra, a potem przesiadali się do trójki. Ona wysiadała przy parku Zwycięstwa, a on trochę dalej, w Stroginie.

– Strogino – powiedziała pewnego wieczoru, trzymając się uchwytu w kołyszącym się wagonie, o tej porze prawie pustym. Mogli bezpiecznie rozmawiać. – Korcznoj tam mieszkał – dodała krótko.

Jewgienij spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Oblizał usta.

– Ten Korcznoj? – spytał szeptem i wokół jego ramion rozbłysła kanarkowa aureola.

– Strogino i ten mały, żałosny most w Estonii – odrzekła ponuro. – Kawał drogi. Długo kazał nam czekać, ale w końcu zapłacił za zdradę. – Odczuwała niemal fizyczny ból, mówiąc tak o generale i hańbiąc jego pamięć. Z trudem stłumiła kipiący w gardle gniew.

Jewgienij nachylił się ku niej.

– Tak, słyszałem. To stare akta, niekompletne i zredagowane. Ale wy znacie tę sprawę od środka, bo przecież tam byliście. Opowiecie mi kiedyś?

Wzruszyła ramionami.

– Cóż, Kreml był zadowolony – odrzekła lekko. – Zdobyłam informacje, które go zdemaskowały. Prezydent prawił mi komplementy, ale to… troszkę krępujące.

– Dużo się o tym mówiło – powiedział Pletniew. – Spodobaliście się mu, *zołotaja z was diewoczka*. – Zmrużył oczy. – Wyrobiliście sobie dobrą pozycję.

Posłała mu uśmiech.

– Mój przystanek. – Stanęła przed drzwiami. – Do jutra.

Jewgienij odprowadził ją wzrokiem.

Wieczorne rozmowy we względnie anonimowym wagonie metra stały się ich zwyczajem. Koleżeńskość? Przyjaźń? Nie, Jewgienij nawet o tym nie pomyślał. Kapitan Jegorowa była dla niego pluszowym misiem w oknie wystawowym sklepu, przytulanką, którą chciałby wyściskać. Obmacywał ją w wyobraźni od mięciutkich, pomarszczonych podeszew stóp po surowe usta, którymi błagałaby go, żeby się z nią kochał – albo coś w tym stylu. Lojalny wobec Ziuganowa, doskonale wiedział, że Jegorowa straciła dostęp do tajemnic Zarządu KR, ale marzenia o nagiej pani kapitan zupełnie temu nie przeszkadzały. Poza tym bardzo kusiły go opowieści o zdrajcy Korcznoju i kobiecie, która go zdemaskowała. No i musiał, po prostu musiał się dowiedzieć, co łączyło ją z Putinem. Nie mógł się temu oprzeć, był niczym osa krążąca nad miską wody z cukrem.

– Jaki jest prezydent? – spytał któregoś wieczoru.

– Wszystko, co o nim słyszałeś, jest prawdą – odrzekła enigmatycznie. – O, mój przystanek. – Poprowadziła rozmowę tak, żeby przerwać ją dokładnie w tym momencie.

Jewgienij pochylił się, żeby wyjrzeć przez brudne okno. Zapiszczały hamulce i ukazała się elegancka stacja Park Zwycięstwa ze wspaniałymi łukowatymi ścianami wyłożonymi żółtobrunatnym marmurem i rozświetlonymi żyrandolami. Pletniew nerwowo poruszał twarzą.

– Posłuchajcie, jeśli nie jesteście zbyt zajęta, to może z wami wysiądę? Moglibyśmy pójść na kieliszek czegoś mocniejszego.

Pociąg szarpnął, zatrzymał się, otworzyły się drzwi.

– Spóźnisz się na pociąg – rzuciła Dominika, czekając na klakson ostrzegający, że drzwi zaraz się zamkną.

Jewgienij zarzucił torbę na ramię.

– Jeżdżą całą noc.

Zabrzmiał klakson.

– No to chodź. – Dominika wyciągnęła go z wagonu, tuż zanim syknęły zamykające się drzwi.

Głośno oddychając przez nos, rozemocjonowany Jewgienij stanął na peronie, zacisnął usta i uśmiechnął się nieśmiało: nareszcie będzie miał to, o czym tak marzył. Nie wiedział, że stoi o krok od zamaskowanych liśćmi sideł.

W okno sypialni bębnił deszcz, wiatr szarpał pnączami dzikiego wina porastającego framugę. W kuchni zapiszczał czajnik.

– Absurd. – Dominika włożyła krótki szlafrok. – To anonimowe źródło… Jak go nazwaliście? – Poszła do kuchni.

Przy stole siedziała Marta z papierosem w ręku. Dobrze ci idzie, powiedziała. Ostra w łóżku, łagodna w jego wyobraźni. Dominika uciszyła ją machnięciem ręki.

– Tryton. Sam się tak nazwał – odparł sennie Jewgienij. Leżąc z rękami pod głową, wyglądał jak szympans. Ciemne włosy porastały mu brzuch, nogi i ramiona, łącząc się z kępami

gęstych włosów pod pachami. Sflaczały penis spoczywał w gąszczu włosów łonowych niczym mysz na łapce do trzymania garnków. Kiedy Dominika zobaczyła go nago pierwszy raz, pomyślała, że gdyby chcieć oskubać go z tych wszystkich kłaków, w Rosji zabrakłoby wosku do depilacji.

Na stworzenie solidnej bazy i zadzierzgnięcie elementarnych więzów zaufania wystarczyły ledwie dwa wieczory. Ot, rzuciła mu kość, opowiadając o swojej pracy za granicą, a on się otworzył. Nie był głupi, więc grała ostrożnie, ale nawet największy introwertyk nie oprze się pokusie mówienia o sobie. Werbunek, uwiedzenie, perswazja – wszystko zaczęło się od słuchania, obserwowania poruszających się ust, najpierw łapczywie jedzących, potem coraz śmielszych, zbliżających się nieubłaganie do jej twarzy. Jeszcze potem dotyk warg, mokrych i jak wątroba oślizgłych – przypomniał jej się dotyk ust Nate'a – i trzasnąwszy trzema zasuwami, jej sekretne „ja" zabarykadowało się w klatce więżącej huragan.

Boże, pomogi mnie. Coś pośredniego między koniem a wieprzem – tak wyglądał seks w jego wykonaniu. Dla jaskółki to nic nowego, ale przedtem musiała oddzielić umysł od ciała, żeby nie czuć dotyku jego włosów na piersiach, odpędzić od siebie wrażenie, że pełzają po niej setki pajączków, które przed chwilą wyszły z pękniętego kokonu. Zacisnęła zęby i zrobiła wszystko, żeby tylko zapomniał o zasadach i zaczął mówić. Nie mogła odwrócić głowy, nie mogła ukryć oczu ani zatkać uszu, by nie słyszeć jego stękania. Było koszmarnie, obrzydliwie, bo znów wpadła w bagno, w które kiedyś wepchnęli ją tamci. Poprzysięgła sobie, że odpłaci im pięknym za nadobne, a teraz wracała tam z własnej woli, dla Amerykanów, dla Nate'a. Nie, nie zdradziła go, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Jewgienij leżał na zupełnie innym ciele, bo to drugie, prawdziwe, należało tylko do *Niejta*.

– Skąd pewność, że to nie część operacji kontrolowanej przez Amerykanów? – spytała z kuchni. Postawiła na blacie dwa ceramiczne kubki ozdobione ludowymi malunkami ptaków i jak każe stary rosyjski zwyczaj, posłodziła herbatę powidłami truskawkowymi. Kubki ze szkoły jaskółek, pomyślała. A on gadał. Przespał się z piękną podwładną i gadał o pracy. Zwyczajna rzecz, zupełnie naturalna.

– Rezydentka uważa, że nie – zawołał. Wróciła do sypialni. – Zarubina nie popełnia błędów. Po powrocie z Waszyngtonu chce zostać dyrektorem generalnym SWR. – Pletniew podparł się łokciem i wziął od niej kubek. – Poza tym Tryton wydał nam tego z Caracas. Amerykanie by tego nie zrobili. Nigdy.

Pomyślała o swoim podwójnym życiu. Oj, chłopcze, nigdy nie mów nigdy.

Usiadła obok niego, założyła nogę na nogą, upiła łyk herbaty i gorącą od kubka ręką przesunęła po jego włochatym udzie. Nr 45: „Stymulacja reakcji włókien nerwowych poprzez zastosowanie dużej różnicy temperatur”. Jewgienij przyglądał się jej spod ciężkich powiek. Wciąż nie wierzył własnemu szczęściu, że udało mu się uwieść tę oszałamiającą Jegorową. Wiedział, że od tej chwili patrząc na nią w biurze, będzie widział ją nagą, taką, jaką była od ostatnich trzydziestu sześciu godzin.

– W tego rodzaju sprawach najważniejsza jest miarodajność – powiedziała, rysując palcami gorące kręgi na jego skórze. Za oknem szemrał deszcz, a w jego gardle coraz bardziej chrapliwy oddech. Mysz na szmatce do trzymania garnków podniosła łebek.

– Podobasz mi się, kiedy tak drżysz. – Słyszała swój własny głos, widziała swoje odbicie w ciemnej szybie. *Worobiej, szpion, koniec*. Dziwka i szpieg. I koniec. Zamknij się i skup!

– Miarodajność, a tym samym wnikliwa ocena sytuacji operacyjnej – ciągnęła, obierając jego umysł jak sparzony wrzątkiem pomidor. – Zarubina próbowała zidentyfikować Trytona? – Pochyliła się i podparła pod brodę, żeby zobaczył z bliska jej niebieskie oczy i poczuł zapach perfum. Rozchyliły się poły kusego szlafroka, ale tylko troszkę.

Jewgienij zamrugał.

– Nie – odparł drżącym głosem. – Nie chcą go spłoszyć. Jest zbyt cenny. – Dominika patrzyła na niego jak na apetyczną polską babkę rumową. – Zarubina udaje, że kupiła tego podwójnego agenta, żeby zachować otwarty kanał komunikacyjny.

– Na jej miejscu trochę bym się bała, że to jakaś *maskirowka*. Nie tylko nasze służby umieją w to grać. CIA też ma swoich mistrzów.

– Nie jestem oficerem operacyjnym i nie mam waszego doświadczenia, ale…

– Jewgienij, zważywszy na okoliczności, kiedy jesteśmy sami, możesz mi mówić po imieniu.

Pletniew nie wierzył własnym uszom.

– Więc… nie mam… twojego doświadczenia, ale myślę, że to wiarygodne źródło. Dowodzi tego drugi raport. Podał nam nawet kryptonim innego informatora, tego… Liryka.

– Chodzi o ten grecki trop?

– Nie, nie grecki. Moskiewski. Pułkownik uważa, że do przecieku doszło tutaj, w Moskwie, że to ktoś z dostępem do najtajniejszych materiałów. – Jewgienij zerknął na nią niepewnie i z poczuciem winy.

Przysunęła się bliżej i spojrzała mu w oczy, jakby szukała w nich czegoś, co sprawia, że nie można mu się oprzeć, że może mieć i ją, i każdą inną kobietę. Chwyciła go żartobliwie za szczeciniasty podbródek.

– W takim razie powiedz mi, Żenia, dlaczego wysyłają mnie do Grecji? – spytała, doskonale znając odpowiedź; pieszczotliwe zdrobnienie imienia dodało pikanterii całej sytuacji.

– Nie wiem – odparł.

Nie kłamie, pomyślała. Jego żółta aureola mogła wskazywać na galopujące pożądanie, karierowiczostwo i niesolidność, lecz jej niezmienność sugerowała, że ten *izwraszczeniec*, ten włochaty zboczeniec, mówi prawdę.

– Początkowo myślałem, że pułkownik wysyła cię do Aten, żeby zabezpieczyć się na wszystkich frontach. Ale potem wyraźnie podkreślił, żebym nie wspominał ci ani o Trytonie, ani o Liryku, ani o Zarubinie… – Mówił coraz ciszej, w końcu umilkł i spojrzał jej w oczy.

Zauważyła cień na jego twarzy, poczuła, że zadrżał. Jego aureola zamigotała i przygasła. Właśnie zdał sobie sprawę z ogromu przestępstwa, jakie popełnił (zdradzając jej tajemnice służbowe), z tego, co robi (sypiając z podwładną), i z czekających go konsekwencji (gniewu Ziuganowa, tortur w lochach). Dzięki Bogu, że nie rozumiał najgorszego, tego, że właśnie dostarczył jej informacji do raportu dla Nate'a i Gable'a. Moje gratulacje, kochanieńki, pomyślała. Oto twój pierwszy raport dla Langley. Musiała teraz dodać mu troszkę *mużestwa*, troszkę odwagi, w przeciwnym razie pozostawałoby jej tylko zmiażdżyć mu gardło czajnikiem i zakopać go w ogródku. Faza „zakotwiczania" była bardzo niebezpieczna.

– Posłuchaj – powiedziała, wciąż trzymając go za podbródek. – Wiem, o czym myślisz, ale natychmiast przestań. Pomagając mnie, pomagasz sobie. Ziuganow nie nagradza za lojalność, on nie wie, co to wdzięczność. Pracując u niego, bardzo ryzykujesz bez względu na to, co robisz i jak bardzo jesteś mu wierny. Ja też ryzykuję. Ten gnom dopadnie nas prędzej czy później, dlatego musimy walczyć, inaczej nie przeżyjemy. Będziemy

sobie wzajemnie pomagali, będziemy się wzajemnie kryli. Zgoda?

Pletniew nie odpowiedział. Leżał nieruchomo i milczał. Pnącza dzikiego wina drapały w szybę. A może to jej przyjaciółki rusałki?

– Pomyśl, Żenia. – Pociągnęła go za ucho. – Ziuganowowi zależy tylko na karierze. Odciął mnie od informacji i wysyła mnie do Grecji, ponieważ boi się nieuchronnego: tego, że Putin będzie mnie faworyzował, choćby w sprawie kontraktu z Irańczykami. Widzę, jak prezydent na niego patrzy. Nie lubi go, brzydzi go jego odrażająca przeszłość w podziemiach Łubianki. – Szczerze mówiąc, pomyślała, nasz niebieskooki pewnie go za to podziwia.

– Jutro jadę z wami na Kreml – ciągnęła. – Będzie tam naczelny, ministrowie i grube ryby z energetyki. – Na czoło Jewgienija wystąpiły krople potu. – Sam zobaczysz, jak Putin go potraktuje. – Wytarła palcami jego spoconą wargę. – Zobaczysz, jak się ze mną przywita i zdecydujesz. – Jewgienij roześmiał się krótko.

Wiedziała, że ten lizus natychmiast melduje Ziuganowowi o wszystkich tarciach, waśniach, skandalach, plotkach i spiskach. Ale teraz sam popełnił poważne wykroczenie, bo przespał się ze swoją podwładną, w dodatku tą, której zgodnie z rozkazem pułkownika miał nie wprowadzać w tajemnice zarządu. Dlatego – sądząc po pulsującej żółtej aureoli – intensywnie myślał, zastanawiał się nad konsekwencjami. Przełknęła ślinę, pocałowała go i stado świeżo wyklutych pajączków znów załaskotało ją w ręce i nogi.

Jak długo Pletniew zachowa zimną krew? Nie licząc tych największych, prawdziwie monumentalnych, wszyscy zwerbowani agenci potrzebowali motywacji, stałego jej podtrzymywania. Cóż, w takim razie da mu motywację.

Jewgienij zobaczy na własne oczy, jak Putin zareaguje na nią na Kremlu i przekona się, że będzie lepszą sojuszniczką niż Ziuganow. Zamierzała wpłynąć na wynik jutrzejszego spotkania, choć było to ryzykowne – niezmiernie ryzykowne na kilku płaszczyznach. Była gotowa uruchomić plan Benforda, ten, który omówili w Wiedniu. Ostatnia wiadomość – nie miała wątpliwości, że bezpośrednio od niego – ostatecznie ten plan zatwierdziła. Wiedziała, że Benford popycha ją w stronę Putina, chcąc, żeby wkradła się w jego łaski. Ale Jewgienij… Tak, będzie musiała mieć go na oku. Jej bezpieczeństwo spoczywało teraz gdzieś między jego sercem i jądrami.

– Więc będziemy się wzajemnie chronić, tak? – Żółta aureola zatrzepotała jak skrzydła ptaka. – I razem pójdziemy do przodu. – Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie.

Jesteś niezwykłą kobietą, wiesz?

– Jesteś niezwykłą kobietą, wiesz? – powiedział Jewgienij.

Jaskółka roześmiała się.

– Wiem. Idę do kuchni po lód. A ty leż, nie ruszaj się!

Rada Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej zbierała się w kremlowskim gmachu numer jeden, siedzibie Senatu. Ta mieszcząca się w pobliżu gabinetu Putina średniej wielkości sala opływała w znamiona wprost królewskiego przepychu. Pod ścianami stały półkolumny z czarnego marmuru, a w ich korynckich głowicach odbijał się blask wielkiego dwupoziomowego żyrandola. Sala tonęła w świetle; Dominika zauważyła, że na wyłożonej parkietem błyszczącej posadzce nie ma śladu cienia. Przez środek sali biegł długi drewniany stół, na którym leżały skórzane bibularze, przez środek zaś stołu – dwa rzędy ledwie wystających z blatu mikrofonów. Po jego obu

stronach stało dwanaście drewnianych krzeseł z miękkimi zielonymi podłokietnikami i oparciami inkrustowanymi kością słoniową. Dodatkowe krzesła dla doradców i sekretarzy ustawiono pod kremowymi ścianami.

U szczytu stołu stał duży fotel obity błyszczącym jedwabiem, prawdziwy tron z oparciem wyższym od pozostałych. Na ścianie za fotelem wisiał wspaniały kobierzec i jasnoczerwona tarcza z dwugłowym złotym orłem, godło Federacji. Starsi urzędnicy państwowi – było ich dziesięciu – ustawili się po obu stronach stołu. Dwugłowy orzeł Romanowów był czarny, pomyślała stojąca w drzwiach Dominika. Co za paradoks: współcześni Rosjanie są równie biedni jak chłopi pańszczyźniani cara Iwana Groźnego. Jak na umówiony znak, bocznymi drzwiami do sali wszedł Putin, a zanim dwóch adiutantów. Urzędnicy zaczekali, aż zajmie swoje miejsce, i usiedli.

Dominika wiedziała, że będzie to sesja planistyczna w sprawie Iranu, a nie posiedzenie rady. Rada Bezpieczeństwa straciła wpływy oraz znaczenie podczas pierwszych dwóch kadencji Putina i jego reżimu i była teraz cmentarzem słoni dla wojskowych, a także dla wysokich funkcjonariuszy wywiadu, którzy mieli wkrótce przejść na emeryturę, w tym dla obecnego dyrektora generalnego SWR – korzystając z okazji, Zarubina przygotowywała się do tego, żeby wysadzić go z siodła. Jako najmłodszej uczestniczce sesji, Dominice przydzielono miejsce na końcu stołu, obok poirytowanego Ziuganowa. Dyrektor generalny, pełnoprawny członek rady, siedział jak kołek w jego połowie.

Dominika powiodła wzrokiem po twarzach. Ciasne kołnierzyki koszul, rozepchnięte przez brzuch marynarki, rzadkie, proste włosy, błyszczące czoła – ludzie Putina, nowe politbiuro. I te żółte, brązowe i niebieskie aureole, paleta

chciwości, lenistwa, dumy, chuci, zazdrości i obżarstwa. Siedzący po drugiej stronie stołu Gowormarienko z Iskry-Eniergietiki dłubał w zębach. Na rogu po lewej stronie Putina, w tumanie brudnożółtej mgły siedziała bez uśmiechu Nabiullina, jedyna poza nią kobieta w tym gronie, jedna z jego najbliższych współpracownic, którą ostatnio niespodziewanie mianował prezeską Centralnego Banku Rosji.

I nagle stało się. Prezydent popatrzył na nich i zatrzymał wzrok na Dominice. Był w ciemnym garniturze, białej koszuli i zielononiebieskim krawacie, który dosłownie skrzył się w scenicznym blasku sali.

– Pani kapitan, zapraszam. – Gestem ręki wskazał narożne krzesło po swojej prawej stronie.

Dominika wstała i na drewnianych kołkach, które jeszcze przed chwilą były nogami, przeszła przez rozpostarte czarne skrzydła obłędu Ziuganowa, mijając po drodze Jewgienija, który siedział pod ścianą z notesem na kolanach. Brzuchaci notable odprowadzali ją wzrokiem, ci najbystrzejsi z porozumiewawczym uśmieszkiem na twarzy.

– *Inicyatiwa. Tałant* – zaczął Putin, kiedy usiadła. – W kwestii irańskiego zamówienia talent był najważniejszy. Inicjatywa też. To dzięki naszym służbom ta okazja wpadła nam w ręce. Zwłaszcza dzięki pani kapitan Jegorowej… i pułkownikowi Ziuganowowi. – Skinął mu głową, choć karzeł równie dobrze mógłby siedzieć na przystanku autobusowym w Kazachstanie. – Przeszliśmy już do ostatniej fazy i mamy niezbędne fundusze. – Spojrzał na Nabiullinę, która ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy potwierdziła jego słowa. – Posadzka sejsmiczna jest w trakcie montażu, zgodnie z zamówieniem.

Gowormarienko podniósł do góry trzy żółte od nikotyny palce.

– Montaż zakończy się za trzy miesiące – zameldował.

Zrobię z tego nagłówek mojej dzisiejszej depeszy, pomyślała Dominika.

– A Niemcy dostarczą sprzęt zgodnie z planem – dodał prezydent. To nie były pytania, to były dekrety.

– Ładunek zostanie załadowany na frachtowiec Sowkomfłotu w Hamburgu – wtrącił mężczyzna o krzaczastych brwiach. – Miesiąc później rozładujemy go w porcie Bandar Abbas w Zatoce Perskiej

Putin spojrzał na niego nieruchomymi oczami.

No dobra, *gospodin* Benford. Tak, jak się umówiliśmy. Dominika wzięła głęboki oddech.

– Mam pewną uwagę – powiedziała. – Czy mogę?

Prezydent odwrócił się do niej, skinął głową i spotkali się wzrokiem.

– Nie znam się na transporcie morskim ani na ciężkich maszynach, ale oficerowie naszych służb znają się na wielu rzeczach. – Nie śmiała spojrzeć na ich twarze, zwłaszcza na twarz Ziuganowa i naczelnego. – Przykrywka. Bezpieczeństwo. Niewykrywalny kamuflaż.

W sali zapadła cisza.

– Z tego, co rozumiem – ciągnęła – Irańczycy zgodzili się na naszą propozycję, ponieważ chcą kupić ten sprzęt w tajemnicy. To dla nich najważniejsza część umowy, dlatego są gotowi zapłacić podwójną cenę.

Putin wciąż sondował ją wzrokiem.

– Na trasie z Hamburga do Iranu nasz frachtowiec musiałby przepłynąć przez kanał La Manche, Cieśninę Gibraltarską, Morze Śródziemne, Kanał Sueski, Morze Czerwone, Zatokę Omańską, a potem cieśninę Ormuz w Zatoce Perskiej.

– Zgadza się – potwierdził przedstawiciel Sowkomfłotu.

– Ta trasa przecina najbardziej monitorowane wody międzynarodowe na świecie.

Przedstawiciel Sowkomfłotu kiwnął głową.

– To prawda.

– Poza tym okręt zostałby rozładowany w porcie Bandar Abbas, tak?

– Tak.

– Byłabym zaskoczona, gdyby zachodnie morskie służby wywiadowcze nie udokumentowały przybycia rosyjskiego statku wyładowanego po brzegi nieznanym sprzętem, nie wspominając już o tym, że jako główny irański port Bandar Abbas jest pod stałą obserwacją ich satelitów.

– To nieuniknione – rzucił ten z Sowkomfłotu, poirytowany, że ktoś wtrąca się w jego sprawy.

– Nie – odezwał się prezydent. – To nie do przyjęcia. Irańczycy będą mieli do nas pretensję. Mogą zerwać kontrakt, ośmieszyć nasz rząd.

A tak naprawdę boisz się, że pieniądze przejdą ci koło nosa, prawda? – pomyślała Dominika. I że nie rząd się ośmieszy, tylko ty.

– Dobrze – prychnął przedstawiciel Sowkomfłotu – W takim razie jak dostarczylibyście ładunek z Niemiec do Iranu?

Boże, Benford, obyś się nie mylił.

– Tak, jak robimy to u nas, w naszych służbach – odparła. – Niezauważenie. Tylnymi drzwiami.

– Mówicie zagadkami, a zagadki…

Putin podniósł rękę.

– Proszę, pani kapitan.

– Zamiast płynąć na południe, nasz frachtowiec popłynąłby na północ, z Hamburga do Petersburga, i tam zostałby rozładowany, zupełnie niewinnie i rutynowo. Potem trzeba przetransportować sprzęt przez Rosję do jakiegoś małego irańskiego portu na południowym wybrzeżu Morza Kaspijskiego.

– To niemożliwe – burknął ten z Sowkomfłotu. – Transport lądem wymagałby potężnego ciągnika i platformy. Ten ładunek jest wielki jak dom, waży ponad czterdzieści ton. Nawet wojsko nie dysponuje takim sprzętem.

Odezwało się kilku innych, bardziej po to, żeby coś powiedzieć, niż doradzić.

– Można by zmodyfikować transporter rakiet balistycznych… – zaczął jakiś łysielec.

– To potrwałoby kilka miesięcy – przerwał mu inny – poza tym na południu kraju mamy gorsze drogi, dlatego…

– Zwariowaliście? – wykrzyknął przedstawiciel Sowkomfłotu. – Chcecie wieźć to przez cały kraj?

– Trzeba by też wziąć pod uwagę warunki pogodowe. – Gowormarienko wciąż dłubał w zębach.

Putin uciszył ich gestem ręki. Za jego głową i ramionami wirowały kręgi kobaltowego światła. Nawet nie spojrzał na siedzących przy stole prostaków. Już wiedział, już wyczuł, że Dominika jeszcze nie skończyła i ma rozwiązanie. Nie wiedział tylko, że opracował je Simon Benford.

– Pani kapitan?

Zapadła cisza.

– Wczoraj wieczorem popatrzyłam na mapę – odrzekła Dominika. – I przyszło mi coś do głowy.

Szmer głosów na końcu stołu. Putin to zignorował. Dominika nie śmiała spojrzeć w tamtą stronę.

– Z Sankt Petersburga do jezior Ładoga i Onega. Przez Zbiornik Rybiński do Wołgi, Wołgą do Astrachania, z Astrachania na południe, przez Morze Kaspijskie do portu Bandar-e Anzali w północnej części Iranu. – Popatrzyła wokoło i znów spojrzała na Putina. Nikt się nie odezwał. Wszyscy czekali, aż prezydent powie im, co mają myśleć.

– Transportem wodnym – podsumowała Dominika. – Dyskretnie. Z suwerennej Rosji prosto do Iranu. Trasa jest gotowa i sprawdzona. Po wszystkich kanałach, jeziorach i morzach wewnętrznych pływają barki motorowe zdolne do przewożenia trzykrotnie większego ładunku. Transportują drewno, stal, węgiel i żwir, w dzień, w nocy i w każdą pogodę. – Putinowi drżał kącik ust. – Teheran płaci, o dostawie nikt nie wie, rośnie reputacja Rosji. – A wraz z reputacją twoja międzynarodowa pozycja i – cóż za zbieg okoliczności – stan konta.

Nabiullina usiadła wygodniej. Powiadano, że jest błyskotliwa i, jako wierna sojuszniczka Putina, bardzo protekcjonistyczna. Miała pięćdziesiąt lat, prostokątną twarz, długie do ramion kasztanowe włosy i druciane okulary w kształcie ptasich skrzydeł na nosie. Była w rudym żakiecie i kwiecistej bluzce z kokardą pod szyją.

– Jak sama raczyła pani wspomnieć – powiedziała głosem przywodzącym na myśl rozpuszczające się lody – nie ma pani doświadczenia w transporcie wodnym ani lądowym. Więc jak obmyśliła pani ten niezwykły plan? Skąd pomysł wykorzystania rzek i kanałów? Wiem, że w tajnych służbach pracują fachowcy z wielką wyobraźnią, ale to jest doprawdy zdumiewające. – Przekaz był oczywisty: to trochę bardziej skomplikowane niż potrząsanie biustem, panieneczko. To jest Kreml, to prezydent, a to prezydencki kutas, który właśnie stanął na twój widok i dźwięk twoich słów.

Nabiullina z uśmiechem skrzyżowała ręce. Dominika też się uśmiechnęła i pomyślała: Dzięki ci, Benford, jesteś wielki. Simon wyczuł, że ktoś ją o to spyta i zaproponował stosowną odpowiedź.

– Pomyślałam o rzece, ponieważ często widywałam barki i statki na Wołdze pod Kazaniem. Byłam słuchaczką Instytutu

Kona. Słyszała pani o szkole jaskółek? – Walcząc z narastającym w gardle gniewem, spojrzała babie prosto w oczy. Wywlekanie tego na światło dzienne było niezmiernie bolesne, ale Benford dobrze przewidział efekt. – Przywożono nas tam wodolotem, a po zajęciach chodziłyśmy na spacer brzegiem Wołgi. Ciągle widywałam barki, stąd mój pomysł. – Prawdziwa odpowiedź brzmiała następująco: Mam wysokie kompetencje, *siestra*, więc nie myśl, że nie poradzę sobie z tymi ponurymi ekonomistami czy *stojakom* Władimira.

Nabiullina zmrużyła oczy, przyglądając się jej, próbując rozszyfrować jej słowa i zrozumieć stojące przed nią wyzwanie. Putin najwyraźniej delektował się tą wymianą zdań, bo mało brakowało i na jego ustach zagościłby cień uśmiechu. Wstał, spojrzał na przedstawiciela Sowkomfłotu, dając mu znak, żeby kontynuowali bez niego, po czym skinął głową pozostałym. To wystarczyło. Kiedy wszyscy wstali i odeszli od stołu, czekając, aż prezydent wyjdzie, ten przystanął, skinął głową Dominice i dopiero wtedy wyszedł z sali. Nabiullina i adiutanci podążyli za nim, boczne drzwi się zamknęły i członkowie rady zaczęli się rozchodzić.

Dyrektor generalny wytarł chustką spocone czoło i cicho westchnął. Jewgienij unikał wzroku Dominiki – zdążył się już napatrzeć, ujrzeć przyszłość. U jej boku jak z bagna wynurzył się Ziuganow z zastygłymi we wściekłym grymasie ustami.

– Bardzo ładnie, pani kapitan – powiedział. – Prezydent był pod wrażeniem.

– Dziękuję, panie pułkowniku – odrzekła, patrząc, jak z jego pleców wyrastają łukowate czarne skrzydła. – Prezydent wyraził uznanie naszej służbie. Uznanie, na które w pełni zasłużyliśmy. Dopiąć kontrakt z Irańczykami: w bardzo krótkim czasie dokonał pan wielkiej rzeczy. To pański projekt.

Ziuganow lekko przekrzywił głowę, jakby zastanawiał się, w którym miejscu naciąłby jej skórę dermatomem, by następnie zedrzeć ją z pleców i brzucha. Echo ich kroków zabrzmiało w marmurowym korytarzu Senatu i ucichło, gdy weszli na wyłożone grubą wykładziną schody. Idący tuż za nimi Pletniew wytężał słuch.

– Wolałbym jednak, żeby w przyszłości uprzedzała mnie pani o swoich planach – powiedział Ziuganow.

Oczywiście, że byś wolał, przebrzydła gnido, pomyślała Dominika, fantazjując, że podstawia mu nogę i popycha go. Spadłby ze schodów na pysk.

– Nie spodziewałam się, że prezydent tak nieoczekiwanie poprosi, bym usiadła obok niego. Proszę mi wierzyć, nigdy nie zaproponowałabym…

– Kiedy wyjeżdża pani do Grecji? – przerwał jej karzeł. Na jego dolnej wardze błyszczała kropelka śliny.

– Za kilka dni – odparła. – Chętnie wysłuchałabym pańskich uwag i sugestii w tej sprawie.

– Niech pani porozmawia z Jewgienijem, wszystko pani powie. – Ziuganow odwrócił się, by sprawdzić, czy zastępca go słyszał. Pletniew miał błyszczące od potu czoło.

To na pewno, pomyślała.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Ateny. Ponowne spotkanie ze znajomymi. Ponowne spotkanie z agentami CIA. O tak, z przyjemnością opowie Gable'owi o naradzie z Putinem; postanowiła, że z kamienną twarzą zaproponuje mu nawiązanie romantycznej znajomości z Nabiulliną. Forsyth, jak zwykle rozsądny i cichy, skupi się pewnie na kontrakcie z Irańczykami. Benford będzie chciał rozmawiać o Trytonie, Liryku i Zarubinie. Nowe informacje i tropy sprawią mu przyjemność. Tak, w ramach zajawki wyśle wieczorem kilka depesz SRAC. Nerwowo przełknęła ślinę

i pomyślała, jak wytłumaczy się Nate’owi z „werbunku” Pletniewa.

Z Jasieniewa wracali z Udranką, która siedząc obok niej na tylnej kanapie limuzyny, wyciągnęła nogi, założyła ręce za głowę i powiedziała:

– Rozumiem, że chcesz, by ci wybaczył, ale ja bym mu nie mówiła. Wiesz, co zrobiłaś i dlaczego. Kto powiedział, że nie możesz mieć jakiejś tajemnicy?

POLSKA BABKA RUMOWA

Masło i cukier miksujemy w misce na jasną, puszystą masę, po czym nie przerywając mieszania, dodajemy jajka, mąkę, sodę do pieczenia, mleko i wanilię. Przelewamy masę do formy i pieczemy w średnio nagrzanym piekarniku do „suchego patyczka”. Lekko przestudzone ciasto nakłuwamy i mocno nasączamy sokiem cytrynowym z dodatkiem cukru, startej skórki pomarańczowej, wanilii i rumu.

21

Placówka CIA w Atenach. Gable i Forsyth czekali w milczeniu w dźwiękoszczelnej „klatce”. To, że siedzieli bez słowa pół metra od siebie, było absurdalne – nie, przyprawiało o gęsią skórkę – ale w otwartej „klatce” się nie rozmawia. Nigdy. Chwilę później wszedł Nate z metalową tacą pełną kartonowych teczek. Zamknął drzwi, przekręcił dźwignię, podobnie jak wszystkie pozostałe części sześciometrowego kontenera zrobioną z przezroczystego pleksiglasu, i kiedy uszczelki odcięły pomieszczenie od swobodnego obiegu powietrza, pyknęło im w uszach. Niebawem atmosfera miała zgęstnieć od zapachu kawy.

– Jak ci poszło z Lirykiem? – spytał Forsyth.

– Robię za Syzyfa – odparł Nate. – Jakbym toczył głaz pod górę. Znowu to jego przeklęte ego. – Zaczął wyjmować teczki i układać je na stole.

– Przyniósł plany budżetowe Dziewiątego Dyrektoriatu? Departament Obrony ciągle o nie pyta.

– Bo to taka pora – mruknął Gable. – Naci ciastkożercy też myślą o budżecie i chcą mieć podkładkę na nowe wydatki.

– Nie. – Nate pokręcił głową. – Kiedy go o to spytałem, powiedział, że ma coś lepszego. – Otworzył teczkę, wyjął grubą na trzy centymetry broszurę i podsunął ją Forsythowi.

– Co to, kurwa, jest? – warknął Marty.

Nate zerknął na okładkę.

– Poufny raport na temat sposobu, w jaki Dziewiąty Dyrektoriat GRU zdobył parametry i technologię produkcji bezramowej osłony kabiny pilota chińskiego niewykrywalnego myśliwca J-20. Liryk twierdzi, że rosyjskie siły powietrzne chcą zamontować taką w swoim T-50. Lepsza widoczność, lepszy system przeziernikowy, fotel katapultowany przy większej prędkości.

Forsyth spojrzał na Gable'a.

– Nasi lotnicy zesrają się z radości. – Zamknął broszurę i zwrócił ją Nate'owi. – Takie informacje są zawsze mile widziane.

– Sam z tym wyskoczył? – spytał Marty. – To dobry znak.

– Dobry znak? – Nie zrozumiał Nate.

– Nie było innych problemów? – spytał Forsyth. – Żadnych zgrzytów?

Nate poczuł, że cierpnie mu skóra na głowie.

– O czym wy mówicie?

– Diva przysłała wczoraj trzy meldunki. Późnym wieczorem, kiedy wyszedłeś już na spotkanie z Lirykiem. Znasz jej prowadzącą? – Forsyth podał mu depesze.

– Tak, to Hanna Archer – odparł Nate. – Pewna i rzetelna dziewczyna. – Hanna nago, jej włosy w dzikim nieładzie, stopy na jego ramionach… Rzetelna, jasne. – Aż trzy?

– W sumie pięć. Ta Archer napisała, że dziś wieczorem spodziewa się dwóch kolejnych. Przesyła nam je na bieżąco, a potem wraca do ambasady. – Marty przeczesał ręką krótko ostrzyżone włosy. – Dwie trasy w dwa dni. Ma jaja, prawdziwa z niej kowbojka. Kiedy skończy w Moskwie, trzeba ją wziąć do rezydentury.

Jezu, pomyślał Nate, próbując czytać. Byłoby fantastycznie. W połowie pierwszego meldunku gwałtownie podniósł wzrok.

– Centrala wie o Liryku? Co na to Benford?

– Mamy szczura w rurze – odparł Gable.

– Rosjanie mówią, że Liryka zwietrzył jakiś Tryton – wyjaśnił Forsyth. – Diva pisze o tym w drugiej depeszy. W normalnych okolicznościach nie pozwoliliby nam się tym zająć, ale ponieważ to ona przysłała wiadomość, Benford postanowił nas wprowadzić. – Pokręcił głową.

– Tak więc Benford ma problem, Ruscy mają problem i my też mamy problem – podsumował Gable. – A konkretnie ty, bo wzięli na muszkę twoją agentkę.

– Wydział Rosji robi w portki – dodał Forsyth. – Benford mówi, że jest kolejna wtopa. Moskwa wezwała na konsultacje kilku Rosjan z Ameryki Południowej.

– Gówno chodzi po ludziach trójkami – mruknął Gable. – Widziałem to milion razy.

– Divie może grozić poważne niebezpieczeństwo – ciągnął Forsyth. – Jest tematem intensywnej wymiany depesz między Atenami, Wiedniem i Langley. Bóg wie, ilu ludzi je czytało.

Marty spojrzał na broszurę Nate'a.

– A udupienie tego kutasa, tego, jak mu tam, Trytona, nie będzie łatwe. Dzięki Langley wie o nim tylko około tysiąca gadatliwych palantów. Pentagon, lotnicy, zleceniobiorcy, Biały Dom, te wszystkie komisje…

– Benford będzie miał kupę roboty – skonstatował Forsyth.

– Trzeba ewakuować ich oboje – powiedział Nate, myśląc trzy kroki naprzód i chcąc trochę przyhamować, podczas gdy tak naprawdę miał ochotę wskoczyć do samochodu i pojechać po Liryka. – Generała najlepiej stąd, z Aten. Z Domi będzie trudniej, bo…

– Za tydzień przyjeżdża do Grecji – przerwał mu Marty. – Mówię ci o tym, żebyś zdążył się ostrzyc.

Nate przerzucił kartki i znalazł depeszę, w której Diva wspominała krótko o Zarządzie KR i inspekcji w Atenach.

– Od powrotu do Moskwy odwaliła kawał świetnej roboty – powiedział Forsyth. – Ściśle tajne informacje z Kremla, wiadomość o krecie, kontrwywiad, kontrakt z Iranem…

– Trzeba z nią pogadać, uprzedzić o ryzyku. – Gable zerknął na depeszę w drżących rękach Nate'a. – Jej raporty są tak wielotematyczne, że musiała zwerbować kogoś z dostępem do innego źródła informacji. Ciekawe, z iloma Ruskami sypia. Ma, kurde, jaja.

Nate roześmiał się, krótko i nerwowo.

– Możemy przedstawić ich sobie w samolocie – powiedział – ją i Liryka. A potem niech uczą się jeździć konno w Wyoming.

– Konia to ty lepiej wstrzymaj – odezwał się Forsyth. – Jeszcze nie wiemy, co tak naprawdę mamy. Ale zgoda, wygląda na to, że Diva zwerbowała co najmniej jednego informatora. Kiedy przyjedzie, spokojnie z nią porozmawiamy i wtedy zobaczymy. Benford też przyjeżdża. Chce z nami pogadać, z nią też. W przyszłym tygodniu.

– A Liryk? – spytał Nate. – Może w każdej chwili wpaść. Jego raporty są bardzo konkretne.

– Ruscy myślą, że jest w Moskwie. – Gable podrapał się w policzek. – Dopóki go nie wezwą, możemy trochę poczekać. Mimo to przygotuj się na nocne tańce, bo cholera go wie, może będziemy musieli go ewakuować. Miejsca, kryjówki, sygnały i tak dalej.

– Już to opracowałem, ale mam problem.

– Coś oprócz twojej znękanej aparycji? – spytał Marty.

Nate puścił tę uwagę mimo uszu.

– Problem polega na tym, że prosiłem Liryka o dokumenty budżetowe, już trzeci raz. Nie żeby ich nie miał, bo na pewno ma. Kurczę, przecież jest rezydentem GRU.

– I co? Skopiesz mu tyłek?

– Jasne, i dodam kilka kwiatków. Ma zemścić się na Putinie, Langley pokłada w nim wielkie zaufanie i niech pamięta o dzieciach. Nie, on to wszystko rozumie.

– Myślisz, że się do niego dobrali?

– Nie, przychodzi na spotkania z torbą pełną dokumentów. Jest produktywny jak jasna cholera, ze spotkania na spotkanie coraz bardziej. Sęk w tym, że robi, co chce i kiedy chce.

– Zwerbowałeś rosyjskiego generała – powiedział Forsyth. – Przyszedł do nas przybity, ale teraz jesteś jego życiem. Odwaliłeś kawał dobrej roboty i znów kwitnie. Musisz na niego uważać, zwłaszcza teraz.

– W tym rzecz. Ma ego wielkości placu Czerwonego, jakby zdążył już zapomnieć, jak się czuł, kiedy go zwerbowaliśmy. Nie jestem pewny, czy zgodzi się uciec z kraju.

– Więc zacznij z nim o tym rozmawiać, ale delikatnie – doradził Forsyth. – Nie strasz go, tylko przygotuj.

– Jedno jest pewne. – Gable ziewnął i przeciągnął się. – Jeśli z jakiegokolwiek powodu wezwą go do Akwarium, siedziby GRU – na konsultacje, półtoramiesięczny kurs przygotowawczy do kolejnego awansu, nowe, prestiżowe stanowisko albo dlatego że babka cioteczna spadła ze schodów – to jeśli tam wejdzie, już nigdy go nie zobaczymy.

Dwa dni później Nate szedł z Lirykiem wyłożoną marmurowymi płytami ścieżką w Glyka Nera na ciemnym wschodnim zboczu góry Hymet. Z dala od centrum Aten, szmat drogi od najbliższego miejsca, gdzie rosyjski generał mógłby spacerować czy robić zakupy, szli pod górę po kręgach światła namalowanych na marmurze przez rząd latarni o białych, kulistych kloszach. Przeciąwszy niewidoczną chmurę zapachu

kadzidła wypływającą z otwartych drzwi małego kościółka pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego, wijącą się między sosnami opustoszałą ścieżką wspinali się dalej i wyżej, aż aromat kadzidła ustąpił miejsca zapachowi dzikiego oregano.

Liryk był w ciemnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie – w przeciwieństwie do Nate'a, który miał na sobie ciemne spodnie i nylonową wiatrówkę i który tego wieczoru zaliczył wyjątkowo długą trasę sprawdzeniową. Poruszony depeszą Divy, tym, że centrala wie już o istnieniu agenta CIA, postanowił, że zrobi wszystko, aby na awaryjne spotkanie z generałem nie przywlec żadnego ogona. Miał też nadzieję, że nie wystraszył go nagłą prośba o kontakt, choć w jego przypadku było to mało prawdopodobne. Czekał na ławce między sosnami, wypatrując go zza gałęzi. O tej porze nie było tu ani przechodniów, ani podejrzanych samochodów pełnych mrocznych sylwetek ludzi i żarzących się papierosów. Pusto. Nikogo. Więc do roboty.

Stary generał nie zawahał się ani nawet nie zwolnił kroku, kiedy Nate powiedział mu, że moskiewska centrala może wiedzieć o nowym źródle informacji, o kimś z GRU, wysokim funkcjonariuszu z dostępem do materiałów na temat sposobów pozyskiwania zagranicznych technologii wojskowych. Zapalił tylko papierosa i lekko przekrzywił głowę.

– Dokładnie co wiedzą? – spytał.

– Za kilka dni poznamy więcej szczegółów – odparł Nate. – Przypuszczamy, że jeszcze pana nie zidentyfikowali. – Zdawał sobie sprawę, że kiepsko to zabrzmiało.

– Żadnych konkretnych informacji o randze ani dyrektoriacie? – Ręce z tyłu, papieros w ustach – ot, starszy pan na spacerze.

– Nie, jak dotąd nie, ale centrala wie, że może chodzić o Ateny. To może zawęzić krąg poszukiwań i niebezpiecznie

ułatwić postępy w śledztwie.

Liryk lekceważąco machnął ręką.

– *Kto w armii służył, tot w cyrkie nie smiejotsia*. Ten, kto służył w wojsku, nie śmieje się w cyrku. A ja dobrze znam błaznów z kontrwywiadu GRU. Nie złapaliby przywiązanej do płotu kozy. – Generał zawadiacko wydmuchał dym.

– A FSB i SWR? Myśli pan, że włączyłyby się do śledztwa?

Liryk wzruszył ramionami.

– Może SWR, gdyby trzeba było działać za granicą. FSB tylko w kraju. Ale ci z GRU dadzą im odpór i zechcą poprowadzić tę sprawę sami. Tam wszyscy się rozpychają, każdy poluje na najsmakowitsze kąski. Są jak stado gołębi.

Doszli do końca ścieżki i spojrzeli w górę, na pasmo Hymetu rysujące się w oddali na tle świateł miasta. Zawrócili i zaczęli powoli schodzić; siedmiominutowy limit na spotkanie twarzą w twarz już nie obowiązywał. Nie stosowali się do moskiewskich przepisów – jeszcze nie – co jednak nie znaczyło, że za każdym rogiem nie czai się niebezpieczeństwo. Z niewidocznej tawerny u stóp wzgórza dochodził to silny, to słabnący zapach skordalii, sosu czosnkowego, i chrupkiej ryby smażonej na oleju. Nate odchrząknął.

– Panie generale, jeśli stanie się pan obiektem śledztwa, chciałbym, żeby rozważył pan propozycję wyjazdu do Ameryki.

Liryk spojrzał na niego z ukosa.

– Ucieczkę z kraju? Na Zachód? – Przystanął. Przesycone zapachem czosnku powietrze było zupełnie nieruchome, tak jak wierzchołki otaczających ich sosen. – Nie zacząłem tego, żeby teraz uciekać. Poza tym nic mi nie grozi. Zresztą zobaczymy.

Nate położył mu rękę na ramieniu.

– Nie chodzi o ucieczkę, panie generale. Mówię o zasłużonym przejściu na emeryturę. O spokojnym, wygodnym życiu.

– Wykluczone. – Liryk zapalił czwartego papierosa.

– Bardzo cenimy pańską wiedzę. Doradzałby pan naszym ekspertom, rządowym, wojskowym i naukowym… – Nate gorączkowo myślał, zastanawiał się, co można zrobić, żeby generał zaakceptował ich plan emerytalny. W zanadrzu miał jeszcze apartament w ośrodku wypoczynkowym Fontainebleau w Miami.

– Będę pomagał i doradzał waszym agencjom bez względu na to, gdzie rzuci mnie los – zapewnił go Liryk. – Jestem zadowolony z naszej współpracy i waszego profesjonalizmu. Nawet bardzo zadowolony.

Jego wyniosła pewność siebie i rozbuchane ego były nie do ruszenia. Nate postanowił przebić tę mydlaną bańkę.

– Ale gdyby trafił pan do Czarnego Delfina, musielibyśmy ją przerwać – powiedział cicho.

Czarny Delfin, Federalny Zakład Karny nr 6 na kazachskiej granicy, najcięższe więzienie w Rosji – generał poderwał głowę. Nate nie musiał dodawać, że życie za kratami byłoby najlżejszą karą, jakiej Liryk mógł się spodziewać.

– Dlatego proszę, żeby się pan zastanowił. Nowe życie, nowy początek. Na razie nie ma powodu do zbytniego niepokoju, ale musimy się do tego przygotować. To żaden dyshonor.

Generał spojrzał na niego i wymijająco wzruszył ramionami. Cenny to może on jest, pomyślał Nate, ale na pewno nie jest Marmurem. Nigdy nie będzie dla mnie *diadiej*, wujkiem.

– Rozważę tę propozycję, ale nie mam zamiaru uciekać. Tak, chcę, żeby zapłacili za swoje czyny, ale wciąż jestem wierny *rodinie*.

Nate umilkł. Było to typowe samousprawiedliwienie, balsam na udręczone sumienie agenta, który w ciszy przed wschodem słońca zastanawia się, czy zdradzić swoją ojczyznę. Liryk jak zwykle wykruszył żarzący się koniuszek, rozgniótł go butem, a króciutki niedopałek i filtr schował do kieszeni. Dochodzili do

końca ścieżki, gdzie musieli się rozstać. Nate znów stanął przed ponurą wizją wielogodzinnej trasy sprawdzeniowej, ciągłego chodzenia i zmiany trzech autobusów, żeby opuścić niebezpieczny teren i wrócić do samochodu. Liryk przystanął.

– Kiedy będzie pan meldował przełożonym, że wyrażam chęć dalszej współpracy, proszę im także przekazać, że jestem zawiedziony tym ewidentnym zaniedbaniem norm bezpieczeństwa. Mimo to nie zerwę kontaktu.

– Dziękuję, panie generale. – Nate miał go trochę dość. Nadeszła pora rozdzielić się i zniknąć. – Pamięta pan nasz numer? Ten awaryjny, miejscowy, na wypadek, gdyby zechciał pan się pilnie spotkać.

Liryk kiwnął głową.

– A procedurę? Zadzwonić z czystego telefonu, z hotelu, restauracji czy baru. I ani słowa.

– Tak, pamiętam. Zadzwonić i zastukać ołówkiem w słuchawkę. Będzie to znaczyło, że dzwoni Sołowiow. – Generał poklepał się w pierś. – Generał Sołowiow, kryptonim Bogatyr, prosi o pilne spotkanie. Muszę powiedzieć, że to trochę prymitywne. Funkcjonariusze GRU komunikują się ze swoimi informatorami za pomocą telefonów wysokiej częstotliwości.

– *Prostota, towariszcz gienierał* – powiedział Nate. – Grunt to prostota. Linie naziemne i sygnały niewerbalne to najpewniejsze rozwiązanie. – Drogi przyjacielu, pomyślał, twoi funkcjonariusze narobiliby w portki, gdyby wiedzieli, że FBI i NSA już dawno dobrały im się do tyłka. Chcąc, żeby generał się skupił, znów położył mu rękę na ramieniu. – Proszę dzwonić w każdej sprawie. Będę czekał o zwykłej porze, trzy kolejne wieczory. Tak jak się umawialiśmy.

Liryk kiwnął głową.

– Niech pan tego nie lekceważy. I zachowa ostrożność. Ze względu na mnie. Jeśli pod jakimś pozorem wezwą pana do

Moskwy, proszę natychmiast dać mi znać. Zgoda?

Stary żołnierz poklepał go po dłoni. Nie zabierając ręki, Nate spojrzał mu w oczy.

– Zgoda? – powtórzył.

– *Da, ładno* – odparł generał.

– *Stupajtie s Bogom*. – Uścisnęli sobie ręce i Nate ruszył w stronę rogu ulicy.

– *Podożditie minutu*. – Liryk uśmiechnął się i wyjął z kieszeni kopertę. – Płyta CD. Budżet Dziewiątego Dyrektoriatu, zgodnie z życzeniem.

Punkt w czasie, wychylenie wahadła; wola agenta uznającego wyższość oficera prowadzącego. Tylko na jak długo?

SMAŻONY DORSZ Z GRECKIM SOSEM CZOSNKOWYM

Namoczony w wodzie, następnie odciśnięty chleb, dużą ilość zmiażdżonego czosnku, mielonego pieprzu, oliwy z oliwek oraz octu winnego z czerwonego wina dokładnie mieszamy do uzyskania gęstego sosu. Podajemy z krótko smażonym filetem z dorsza w panierce z mąki, jajek, piwa, octu i odrobiny ouzo.

22

Już za kilkanaście godzin miała lecieć do Aten. Ale tego ranka w siedzibie Zarządu KR w Jasieniewie coś się działo. Do dużej sali konferencyjnej na końcu korytarza wbiegali i wybiegali zaaferowani funkcjonariusze. Dominika zajrzała do środka. Właśnie wycierali zakurzony, porysowany brzozowy stół, na którym ustawiono już cztery ciężkie szklane popielnice. Na stoliku bocznym czekały karafki z oksydowanego aluminium. Ściany sali były obite brudnym szaroniebieskim filcem, podłoga wyłożona niebieską wykładziną, a pełny zacieków sufit – płytkami dźwiękochłonnymi. Co za nora, pomyślała Dominika. Ma się nijak do sali konferencyjnej dyrektora generalnego na trzecim piętrze, eleganckiej i wyposażonej w elektroniczny system zapewniający całkowitą dźwiękoszczelność czy do mieszczącego się na parterze reprezentacyjnego audytorium.

Ale to małe, zapuszczone pomieszczenie miało swoją historię. Przesłuchiwano w nim jedenastu oficerów SWR, nielegałów aresztowanych i wydalonych ze Stanów Zjednoczonych, uśpionych szpiegów, którzy pod głęboką przykrywką przez wiele lat mieszkali w Ameryce, od Seattle po Nowy Jork i Boston. Potem wzięli się za ręce, oni i ówczesny premier Putin, i odśpiewali kilka pieśni patriotycznych z ponurą świadomością, że czeka ich namiastka kariery zawodowej na łonie *rodiny*.

Dominika rozejrzała się po sali. Czy zostawi po sobie podobną spuściznę? Czy zapamiętają ją jako podłego szpiega, który zbiegł na wrogi Zachód i został skazany zaocznie na dwadzieścia pięć lat więzienia za zdradę kraju i dezercję – na tak zwany *Stalinskij czetwiertak*, Stalinowskie ćwierćwiecze – czy też skończy jak wielu przed nią, w nieoznakowanym grobie?

Zauważył ją jeden z młodszych funkcjonariuszy. Natychmiast stanął na baczność i trzasnął obcasami. Nowo mianowaną panią kapitan rzadko tu widywano, ale po Jasieniewie krążyły plotki: misje zagraniczne, bezcenne dokumenty, które wykradła Amerykanom, aresztowanie w Atenach i uwolnienie z rąk oprawców z CIA. Inni opowiadali po kątach historie dużo mroczniejsze, takie, o których mówiło się tylko szeptem: Jegorowa zabijała zarówno obcokrajowców, jak i Rosjan. Była w Instytucie Kona, tajemniczej szkole jaskółek. Przetrwała śledztwo w lochach Lefortowa. Plotki czy nie, nikt nie śmiał igrać z tymi przeszywającymi jak laser oczami.

– Co się tu dzieje? – spytała.

Na dźwięk jej głosu dwóch pozostałych funkcjonariuszy przerwało pracę i stanęło na baczność przodem do niej.

– Dzień dobry, pani kapitan – powiedział ten pierwszy. Wokół jego głowy wirowało zielone światło lęku i strachu. Mimochodem zauważyła – coraz częściej to widziała – że ludzie się jej boją. Oto, co zrobił z nimi czarny jak smoła reżim Putina. Rosja marniała w oczach.

– Dzień dobry – odrzekła. Tamci zastygli bez ruchu, żaden nawet nie mrugnął. Milczeli. Popatrzyła na nich, potem na stół i przeniosła wzrok z powrotem na tego pierwszego. Spojrzała mu w oczy i uniosła brew, ot tak, żeby nie wyjść z wprawy. Mody funkcjonariusz drgnął jak porażony prądem.

– Przepraszam, pani kapitan. Pułkownik kazał nam przygotować salę na jutrzejsze spotkanie.

Nie spytała go jakie i z kim. Pletniew zdążył już wszystko jej powiedzieć. Kwaśno odnotowała, że Ziuganow o niczym jej nie wspomniał. Skinęła głową, wyszła i ruszyła przed siebie nieodnawianym od trzydziestu lat jasnożółtym korytarzem o ścianach, na których spodzie widniały długie, czarne smugi od wózków z korespondencją i sprzętem.

Zapukała głośno do drzwi gabinetu Ziuganowa i weszła do środka. Karzeł spojrzał na nią znad rozrzuconych na biurku papierów. Niczym napalony pies na stojącym z boku krześle siedział Jewgienij w żółtym obłoku chuci, który rozbłysnął na jej widok. Ostatnia noc była ciężkim wyzwaniem: po tym, jak od niej wyszedł, musiała wytrzepać za oknem całą pościel, żeby pozbyć się tych kędzierzawych włosów.

Widok jego zadowolonej gęby wzbudził w jej piersi znajomą urazę, która powiększając się i pulsując, zawędrowała aż do gardła. W innych okolicznościach to, co robiła z Pletniewem, byłoby nie do pomyślenia dla każdej działającej bez przymusu kobiety, dla kogoś, kto tak jak ona kochał i całym sobą pożądał kogoś innego. *Siłowiki*, jej szefowie, dobrze się sprawili: nauczyli ją nie słyszeć dobywającego się z nosów świszczenia, nie czuć bijącego zza uszu kwaśnego smrodu, nie zwracać uwagi na srebrzyste nici śliny zwisające z wątrobianych ust. Tak, nauczyli ją wślizgiwać się bezszelestnie do rynsztoka. To nie była miłość, to nie był seks ani radosna kopulacja z frywolnym kochankiem. To była *rabota*, praca, zajęcie, obowiązek.

Podeszła do jego krzesła i kłykciem zgiętego palca wskazującego uderzyła go w skroń, celując w miejsce leżące dwa i pół centymetra na prawo od ucha. Jewgienij przewrócił oczami i opadła mu głowa. Nie przystając ani nie zwalniając

kroku, Dominika obeszła biurko, wbiła paznokcie w sterczące uszy Ziuganowa, szarpnęła w dół, raz, drugi i trzeci grzmotnęła jego twarzą w blat, a potem przesunęła się w bok i wyłupiła mu oko kantem biurka. Płyn oczny bryzgnął prosto na bibularz. Wtedy puściła go i zsunął się na podłogę ze zmasakrowaną mordą.

– Dzień dobry, panie pułkowniku. – Opanowała się i poprawiła żakiet.

Gnom zerknął na leżące przed nim dokumenty i podniósł wzrok. Tego ranka miał dziwne włosy. Pewnie posmarował je pomadą, ale zrobił to nierówno. Z bystrością socjopatycznego paranoika zauważył, że Dominika im się przygląda i odrobinę urosły mu czarne skrzydła. Na ustach Jewgienija błądził lekki uśmieszek.

– Jegorowa. – Ziuganow nie powiedział nic więcej.

– Zauważyłam, że funkcjonariusze przygotowują salę konferencyjną. Mamy dziś jakieś spotkanie?

Karzeł siedział nieruchomo i patrzył na nią, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Pletniew poprawił się na krześle. Wieczorem uprzedził ją o konferencji i powiedział, kto weźmie w niej udział. Ale musiała spytać, nie mogła się zdradzić, że zna szczegóły, ani udawać, że jej to nie interesuje. Ziuganow wziął do ręki piętnastocentymetrowe dłuto chirurgiczne z nierdzewnej stali – jeden z wielu drobiazgów walających się na biurku – i zaczął się nim bawić.

– Do centrali przyjechała waszyngtońska rezydentka – odparł niechętnie. – Wczoraj wróciła z Ameryki.

Julia Zarubina, *szwieja*. Legendarna agentka i waszyngtońska rezydentka, absolwentka Instytutu Języków Obcych, stara KGB-istka, doskonale wykształcona wielojęzyczna hybryda, zbyt dobrze ustosunkowana, żeby kremlowscy *nadziratieli*, kremlowscy nadzorcy, śmieli wtrącać się w jej sprawy.

Dziesiątki lat spektakularnych sukcesów wywiadowczych, dziesiątki pozyskanych agentów precyzyjnym ściegiem ciasno zaszytych w płócienny worek, podobny do tych, w jakie grabarze z uralskich wiosek zaszywali zmarłych. Putin wysłał ją do Waszyngtonu w zeszłym roku. A teraz chciała sięgnąć po dyrektorski stołek. Przyjechała do Moskwy, żeby omówić nową sprawę…

– I mamy z nią spotkanie? – spytała. – To coś ważnego?

– Złoży raport o stanie waszyngtońskiej rezydentury. Omówi panującą tam atmosferę i oceni rozwój wydarzeń w Ameryce.

Ten podstępny sukinsyn jak zwykle kluczył i wymigiwał się od odpowiedzi. Żaden starszy rezydent nie przyjeżdżał do centrali, żeby złożyć prozaiczny raport na temat swojej działalności. Ziuganow nie zamierzał jej nic powiedzieć. Spojrzała na Pletniewa. Widzisz, jakiego masz szefa? Jewgienij uciekł wzrokiem w bok.

– O której zaczynamy? – spytała wyzywająco, by sprawdzić, czy pozwoli jej przyjść.

– O dwunastej – odrzekł.

– Dziękuję.

Zarubina, pomyślała. Waszyngtońska rezydentka i Zarząd KR. Coś w sam raz dla Forsytha i Benforda. A potem pomyślała o *Niejcie* i o tym, jak bardzo go jej brakuje.

Wszyscy patrzyli na drzwi. Zarząd R (analiza), Zarząd T (wsparcie techniczne), Zarząd PR (wydział polityczny), wydział Ameryki (dawne poletko generała Korcznoja) – przyszli wszyscy. W progu stał Ziuganow, witając gościa, zacierając ręce i szczerząc zęby. Zarubina weszła do sali, skinęła im głową i zaczęła obchodzić stół, ściskając ręce tym, których znała,

i pozdrawiając nieznajomych. Krok za krokiem zbliżała się do Dominiki.

Niska i piersiasta przekroczyła już chyba pięćdziesiątkę. Miała pszeniczne włosy, ściągnięte do tyłu i związane w dostojny kok, pełną twarz z drobnymi zmarszczkami wokół oczu i ust, a gdy je otwierała, widać było nierówne ciemne zęby, typowe dla jej pokolenia; luźna skóra pod podbródkiem i lekki zarys szczęki nieco łagodziły ten obraz. W jej oczach – mocno przesłoniętych dużymi powiekami, co wskazywało, że jej przodkowie pochodzili z rosyjskich stepów – skrzyła się intuicja. Witała się z każdym dziesięć sekund, zawsze z ciepłym uśmiechem na ustach, jednak co trzy sekundy, czujniejsza niż sarna w syberyjskim lesie, strzelała oczami na boki lub ponad ramieniem rozmówcy.

Była już blisko i z kimś rozmawiała, ale cały czas świdrowała wzrokiem Dominikę. Jeszcze bliżej. I jeszcze. Dominika poczuła uderzenie fali podwyższonego ciśnienia i nagle otoczyła ją jej żółta aura – nie, więcej niż żółta, bardziej intensywna, gęsta i aksamitna, obłok, w którym pulsowała trucizna, oszustwo, podstęp, *zasady* i *zachwaty*, zasadzki i pułapki. Przez ułamek sekundy Zarubina wędrowała wzrokiem po jej twarzy, oceniając i ważąc. Ona mną oddycha, pomyślała Dominika, wciąga mnie do płuc, filtruje *ruskij wozduch*, rosyjskie powietrze, szukając zapachu wroga. Nikt nie wie, że potrafię czytać kolory, ale ta Baba-Jaga może coś zwietrzyć.

– Dzień dobry – powiedziała. – Jak się pani miewa? – Mówiła niskim, łagodnym głosem, jak babcia znad garnka z bulgoczącym gulaszem. Miała ciepłą, miękką dłoń. – Dużo o pani słyszałam, pani kapitan. Winszuję błyskotliwego początku kariery.

Odpędziwszy starorosyjską pokusę, żeby się przeżegnać, Dominika podziękowała jej z uśmiechem, czując znajomy ucisk

w gardle. Znów to samo, tylko że teraz miała do czynienia z wilczycą w owczej skórze. Co ty knujesz, szwaczko? Co szyjesz? No powiedz, babciu, zdradź mi swój sekret. I nagle coś kliknęło jej w głowie. Znasz moją przeszłość? Domyślasz się, kim jestem? Wiesz, co kryje moje lodowate serce? Szaleństwem było już samo to, że myślała o tym, stojąc tak blisko niej.

Podszedł Ziuganow, który wymamrotał, że powinni już zaczynać. Ukryty za oczami rentgen zrobił jej ostatnie zdjęcie i Zarubina usiadła na szczycie stołu.

Cichym głosem, wodząc wokoło hipnotyzującymi oczami, zapoznała zebranych z sytuacją wywiadowczą w Waszyngtonie: FBI jest zajęta i na ulicach panuje spokój, dlatego przypadki inwigilacji są sporadyczne. Amerykańska administracja ugrzęzła w resecie stosunków bilateralnych z Moskwą. Decydenci wszystkich szczebli chętnie kontaktują się z rosyjską ambasadą, w rezultacie czego oficerowie operacyjni mają ręce pełne roboty. Co ważniejsze, zamrożenie pensji urzędników państwowych, w tym pracowników CIA, FBI i Departamentu Obrony, wywołuje niesnaski i niezadowolenie, co otwiera przed SWR możliwość łatwiejszego ich zwerbowania. Waszyngtońska *riezidientura* prowadzi także *aktiwnoje mieroprijatie*, intensywną kampanię dezinformacyjną, żeby Biały Dom nie wrócił do pomysłu zbudowania tarczy antyrakietowej w krajach Europy Wschodniej ani nie popierał oddolnych ruchów demokratycznych w krajach nadbałtyckich i na Ukrainie. Oczywiście nie wchodziła w szczegóły, nie było takiej potrzeby. Szukała jedynie wsparcia analityczno-technicznego. Spojrzała na Ziuganowa.

– A wasz zarząd cieszy się pod tym względem najlepszą opinią.

Karzeł kiwnął głową. Widział się już na stanowisku jej pierwszego zastępcy.

– Osobiście tego dopilnuję.

Zarubina położyła na stole pokryte plamami pulchne ręce. Od czasu do czasu jak w ekstazie drżały jej palce, a złocistożółta aureola nad jej głową wyglądała jak diadem. Choć mówiła cicho, potrafiła skupić na sobie uwagę do tego stopnia, że serca zebranych biły zgodnie z rytmem jej serca. Towarzysze, wszystko zmierza ku dobremu. Moskwa jest silna jak nigdy dotąd. Polityka Kremla współgra z naszymi celami globalnymi. Trwa nieprzerwane pasmo sukcesów zagranicznych. Rosyjskie służby wywiadowcze, wciąż najlepsze w świecie, są przedmiotem zazdrości wszystkich krajów i – tu skinienie głową w stronę Ziuganowa – dopustem bożym służb przeciwnika. Nie wspomniała o czasach świetności Związku Radzieckiego – bo nie musiała, doszła do wniosku Dominika. Jej słowa sprawiłyby przyjemność samemu carowi Władimirowi I, gdyby mu je odtworzono.

Ociekające miodem słowa chwytały za serce wszystkich zebranych, nawet tych niegłupich. Siedzący obok Dominiki Pletniew nie odrywał oczu od łagodnej babci, która miała zostać następną dyrektorką SWR. Poczuł, że Dominika na niego patrzy, odwrócił głowę, powoli skupił wzrok na jej twarzy i natychmiast zrozumiała, co się stało. Zarubina zburzyła brudnożółtą chmurę pożądania, teraz już wypłowiałą i poprzetykaną zwątpieniem, wyrzutami sumienia, poczuciem winy za to, co zrobił, i paniką, że powiedział jej to, co powiedział. Dominikę poczuła krótki przebłysk niepokoju, lęku, że skruszony Jewgienij może się do wszystkiego przyznać. Nie byłoby to jednoznacznym dowodem jej zdrady, ale na pewno wzbudziłoby podejrzenia Zarubiny i Ziuganowa. Z zainteresowaniem odnotowała, że mimo wszystko nie boi się kłopotów i jest złowieszczo zdeterminowana – Korcznoj musiał delektować się tym ekscytującym dreszczykiem do końca swych

dni. Będzie musiała uspokoić Pletniewa, inaczej… Inaczej co? Nawet w szkole jaskółek nie uczyli ich, jak zadupczyć kogoś na śmierć.

Zarubina popatrzyła na nich z ciepłym uśmiechem na twarzy. Ziuganow wstał.

– Na tym chwilowo skończymy – powiedział. – Zarząd OT, proszę zostać.

Pozostali, w tym Dominika, zaczęli wychodzić. Jewgienij oczywiście został; przycupnął na krześle po lewej stronie Ziuganowa i coś notował. Zarubina gawędziła przyjaźnie z oficerami siedzącymi po drugiej stronie stołu, lecz jej oczy cały czas wędrowały po sali, wypatrując sprzeciwu i niechęci, katalogując twarze, oceniając miny, wyglądając kłopotów. Jej złocista aureola pulsowała silnym blaskiem – oto ktoś, kto nie ma żadnych wątpliwości i nigdy się nie waha. Ktoś, kto pragnie tylko trzech rzeczy: polować, zabijać i karmić się ciałem zdobyczy.

Bez względu na to, co zamierzała zrobić w waszyngtońskiej rezydenturze – obecność oficerów technicznych z Zarządu T sugerowała, że chce lepiej zabezpieczyć kontakty ze swoim nowym informatorem, Trytonem – szczegóły jej planu miały krytyczne znaczenie dla CIA. Zrezygnowana Dominika uzmysłowiła sobie, że przed wyjazdem do Aten będzie musiała wytrzymać jeszcze jedną noc z Jewgienijem.

Kiedy wróciła, w biurze czekały na nią Marta i Udranka. Marta jak zwykle paliła papierosa. Przestań się nad sobą użalać, jaskółeczko, powiedziała. Piętnaście minut z orangutanem między nogami i będziesz miała najwspanialszy prezent dla swojego pięknego kochasia.

Wyjeżdżała następnego dnia rano. Powinna układać i wysyłać depesze, pakować walizki – a już na pewno pozbierać myśli przed nieuniknionym maratonem przesłuchań z agentami CIA – znaleźć na planie miasta miejsce pierwszego spotkania z *bratkom* i *Niejtem*, adres kryjówki, który jej przysłano. Tymczasem stojąc przed zaparowanym lustrem w łazience, dokładnie wycierała piersi myjką. Jewgienij miał swoje upodobania.

W klasycznym jaskółczym stylu przecięła wieczorem jego kurs, odpowiedziała uśmiechem na krzywy uśmiech i zaczerwieniła się wstydliwie na lubieżną sugestię, że przed dwutygodniowym rozstaniem powinni się porządnie pożegnać. Przynajmniej zaoszczędził jej nudnego kokietowania i nie musiała robić tego sama. Nakarmiła go, napoiła wódką – niestety, miał mocną głowę – i znów musiała pod nim leżeć, patrzeć, jak się poci, słuchać jego *ugowariwanij*, słów zachęty, pomagać jego ciału iść tropem umysłu i przekonująco mruczeć. Wreszcie pochylił się nad nią i zadrżały mu ramiona.

Potem przez upiorne pół godziny tuliła się do włochatej gąsienicy, twarzą w twarz, z *huile de Venus* schnącą na piersiach – w szkole jaskółek nazywano to oliwką Wenus – przez pół godziny rozmawiała z nim szeptem o wspólnych tajemnicach, jego przyszłości i perspektywie wspaniałej kariery u boku Zarubiny, nowej dyrektorki SWR. Ale tym razem pograła z nim stanowczo. Ujęła w dłonie jego szczeciniastą gębę i powiedziała: Myślę tylko o twoim dobru, nie ma najmniejszego powodu, byś miał wyrzuty sumienia. Nie odrzucaj tego. Przyznasz się i co? To będzie koniec, bo w ich oczach popełniłeś niewybaczalne przestępstwo. To będzie koniec twój, mój i nasz.

Uśmiechał się coraz częściej i dłużej: przekonała go. Czubkami nie do końca czystych paznokci przesunął po jej brzuchu. *Ni chuja*, pomyślała ze znużeniem, wybij to sobie ze

łba. Przytrzymała jego rękę, sięgnęła w dół i spojrzała mu w oczy, które natychmiast zrobiły się większe. Tego chcesz? – pomyślała bez emocji, poruszając dłonią w górę i w dół. Czy tak jest dobrze? Nr 96: „Pałeczki przewodniczącego Mao". Po godzinach ćwiczeń w szkole jaskółek to nie ból ręki czy nadgarstka był najgorszy. Najgorszy był porażający ból całego ramienia, bo bolało tak, że nie mogła go podnieść ani patrzeć na tłustego od oliwy ogórka. Od tamtej pory nie znosiła *okroszki*, podawanej na zimno zupy ogórkowej.

Zadrżała mu dolna warga, jakby miał się zaraz rozpłakać, więc musiała trochę zwolnić.

– Bóg… wie – wychrypiał, próbując się skupić. – To ona zaproponowała, żeby Trytona poprowadził nielegał i… i chciała to omówić.

Rzucić kość w drugą stronę.

– Ciekawe, ale nielogiczne – prychnęła. – Po co jej to?

Szybciej i wolniej.

Jewgienij zamknął oczy, miał urywany oddech.

– Przewiduje, że w najbliższej przyszłości uda się go zidentyfikować i Tryton zgodzi się, żeby ktoś go poprowadził. Jest tego pewna, mówi, że to tylko kwestia czasu, wszystko jedno, tygodnia czy miesiąca. Kiedy ten czas nadejdzie, spotka się z nim i go przekona. Ale potrzebuje do tego kogoś spoza oficjalnych rosyjskich przedstawicielstw dyplomatycznych, kogoś niezwiązanego. Tak jest bezpieczniej. – Wydał długie westchnienie.

– Nielegała? – Dominika omal nie usiadła, by zaprotestować; nie chciała, żeby za szybko skończył. – Niemożliwe. Chcą przydzielić mu kogoś bez przykrywki dyplomatycznej? Przecież z tego, co mówisz, ten Tryton może być bardzo ważnym źródłem.

– Dlaczego przestałaś? – spytał marzycielsko Jewgienij, patrząc na jej rękę. Gdyby miała pod łóżkiem siekierę, pewnie kontynuowałaby siekierą. – Zarubina chce się z nim spotkać osobiście – wykrztusił. – Z Trytonem, ale tylko na chwilę… O tak, tak jest lepiej, nie przestawaj… A potem… potem przekaże go anonimowemu nielegałowi, komuś, kto mieszka w Ameryce i dobrze zna teren. Wszystkie ślady znikną.

I Benford w życiu go nie złapie, pomyślała Dominika.

– Kadra nielegałów została zdziesiątkowana, kiedy zastępca dyrektora Zarządu S, ich bezpośredni szef, uciekł na Zachód – powiedziała, gorączkowo myśląc i pracując ręką; nie ma to jak wielofunkcyjność. – Amerykanie poznali ich tożsamość. Nie mamy innych, magazyn jest pusty.

Pletniew pokręcił głową. Mówił z dużym trudem.

– Zarubina twierdzi, że jest jeszcze jedna szkoła. Oprócz tej w Tiopłom Stanie, zupełnie inna, nawet nie szkoła, a program, w dodatku bardzo mały, jeden, dwóch kursantów rocznie. Nie podlegał Zarządowi S, dlatego nie został zdekonspirowany. Jest pod bezpośrednią kontrolą Kremla…

Wkręcić się tam i zdemaskować ich, zanim trafiliby do Ameryki, pomyślała Dominika. To by dopiero był numer.

– I Kreml zatwierdził tak ryzykowną operację? – spytała, doskonale znając odpowiedź. Niebieskooki Putin, były KGB-ista i dożywotni prezydent Rosji, chciał trzymać rękę na pulsie, ale nie przepadał za tajną geometrią rozsyłania szpiegów i sabotażystów w celu narzucenia światu swojego własnego porządku. Uważał, że wszyscy podwładni są wymienialni i do zastąpienia. Nie, to była kolejna demonstracja *mużestwiennosti*, męstwa Jego Wysokości Cara Władimira I.

Jewgienij skrzywił się, może z gniewu, a może poruszyła ręką w złą stronę. Dominika zwolniła.

– Zarubina bardzo dużo wie.

– Nie mam pojęcia skąd – wydyszał Pletniew.

– Może zostanie protektorką tego nowego nielegała? – myślała na głos Dominika, układając w głowie kolejny meldunek, tym razem do Benforda. Tak, Zarubina weźmie pod swoje skrzydła któregoś z gorącookich pupilków Putina i dostanie nagrodę: stanowisko dyrektora generalnego SWR.

– Nie, ona tego nie robi, nigdy – wymamrotał Jewgienij, spoglądając w dół przymkniętymi oczami. – Nie przestawaj.

Kiedy chcą wysłać go do Stanów? Czy już kogoś wybrali? Jak bardzo zaawansowane jest szkolenie? To mężczyzna czy kobieta? W jakim mieście będzie mieszkał? Jaki ma zawód? Jaką przykrywkę?

– Przyjemnie? – spytała, patrząc na jego to rozszerzające się, to zwężające włochate nozdrza.

– Ona jest opętana. – Pletniew zamknął oczy. Nawet nie wiesz, ile masz racji, pomyślała. – Żąda stuprocentowego bezpieczeństwa. Spotka się z Trytonem tylko na krótką chwilę i żeby zachować maksymalną tajność operacji, natychmiast przekaże go nielegałowi. Zarząd T ma zapewnić łączność. Wszystko to poza obszarem działania Zarządu KR. Nikt nie ma prawa o tym wiedzieć, nawet ty. Rozkaz Ziuganowa.

Dominika uśmiechnęła się i przyspieszyła. *Martellato*, młoteczek.

– Nie bój się, nikomu z centrali nawet o tym nie pisnę.

– Wiem. – Jewgienij oddychał coraz szybciej.

– Jesteś teraz taki… seksowny – dodała, myśląc, że łóżko to doskonałe miejsce na uprawianie ironii.

Jewgienij drgnął i z głośnym jękiem wygiął się w łuk. Minęło pół minuty, zanim otworzył oczy.

– To będą długie dwa tygodnie – wysapał, dysząc jak po ciężkim biegu.

Miną, zanim się spostrzeżesz, powiedziała Udranka z kąta sypialni.

– Miną, zanim się spostrzeżesz – powtórzyła Dominika.

OKROSZKA – CHŁODNIK OGÓRKOWY

Obrane i pozbawione pestek ogórki, szczypiorek, posiekane jaja na twardo, świeży koper, kwaśną śmietanę i wodę mieszamy do uzyskania konsystencji zupy. Możemy dodać kawałek pokrojonej w kostkę szynki. Zupę przyprawiamy, chłodzimy, posypujemy koperkiem lub miętą i podajemy.

23

Hanna Archer była bardzo zajęta. W zeszłym tygodniu w ciągu czterech kolejnych dni zaliczała cztery trasy sprawdzeniowe, pięcio-, sześcio-, cztero- i trzygodzinną, nie tylko po to, żeby ustalić swój status – sprawdzić, czy nie ma ogona – ale i po to, żeby coraz bardziej wprawnymi oczami i wyostrzonym instynktem ocenić, kogo na nią nasłali. Prawdopodobnie nie trafiła jeszcze na listę priorytetowych celów FSB, zauważyła jednak, że od przyjazdu liczba śledzących ją agentów trochę się zwiększyła. Jakiś funkcjonariusz wziął pewnie jej teczkę i rzucił ją na stos tych „zagranicznych do sprawdzenia".

Ku irytacji szefa rezydentury regularnie wysyłała do Langley raporty ze szczegółowymi opisami tego, co zauważyła w mieście. Vern Throckmorton stał na stanowisku, że ochrona i bezpieczeństwo to jego działka, ale ona dalej robiła swoje i zgodnie z instrukcjami co tydzień meldowała o wszystkim Benfordowi. Throckmorton burczał i kwękał, ale się nie wtrącał, dobrze znając wybuchowy charakter słynnego myśliciela z Langley. Nieważne. Zarówno ona, jak i słynny myśliciel zdawali sobie sprawę, że aktywność inwigilacyjna jest delikatnym barometrem wskazującym stopień zagrożenia kontrwywiadowczego – czy Rosjanie postawili ogon, czy zwęszywszy cel, przygotowują się do skoku – a Benford bał się teraz o Divę.

Dlatego nawet jeśli danego dnia miała tylko przejechać się samochodem i załadować lub rozładować któryś z ukrytych w mieście raptorów, musiała wiedzieć, jakiego rodzaju kleszcze na nią polują, ile dają jej luzu, czy są znudzone i zmęczone, czy też żwawe i wkurzone. Obserwowany przejazd w pobliżu niewidzialnego raptora nie był tak stresujący jak spotkanie twarzą w twarz, ale Chryste, i tak wymagał perfekcyjnego wykonania: siedząc prosto, patrząc przed siebie i nieustannie zerkając w lusterka, w ściśle określonym momencie musiała niedbałym ruchem włożyć rękę do torebki i nacisnąć przycisk, a potem, broń Boże, nie przyspieszać, nie uciekać z zagrożonej strefy ani nie wjechać w kufer przypadkowego moskwicza, czyli nie zrobić czegoś, co zwróciłoby uwagę wyczulonych na takie drobiazgi obserwatorów, którzy jadąc sąsiednim pasem trzy samochody dalej, zaglądali przez lornetkę do jej wozu.

Mimo zimna otworzyć okno, delektować się rytmem ulicy, słyszeć jej odgłosy – Boże, uwielbiała tak jeździć. Kilka razy doświadczyła czegoś, co według Jay, instruktorki ze Stanów, zdarza się sporadycznie oficerom operacyjnym pod obserwacją: swoistego stanu łaski, dzięki któremu mogła stać się jednym z posępnych, brudnych i nieogolonych mężczyzn w samochodzie z radionadajnikiem pod deską rozdzielczą. W takie wieczory jej duch przenosił się tam, rozsiadał na pachnącym piżmem tylnym siedzeniu i przysłuchując się ich okraszonym przekleństwami uwagom oraz szczekliwym komunikatom radiowym, meldował jej o ich ruchach.

Raz słyszała pisk opon na biegnącej równolegle ulicy, widziała ostrzegawczy błysk świateł pozycyjnych śledzącego ją wozu. Innym razem zauważyła – nie, wyczuła – że próbują ją zrobić „na żabkę”, więc natychmiast zajrzała do swojej szybko pęczniejącej prywatnej kartoteki: Oskar i Wąsaty, to wy? Oj, niegrzeczni z was chłopcy! Zgasiliście lewy reflektor, tak? A ta

furgonetka z piekarni? Widziałam ją w zeszłym tygodniu, więc kiedy znów będziecie zdejmować z dachu bagażnik, nie zapomnijcie zetrzeć tych ciemnych smug. Kolejne skrzyżowanie, a przed skrzyżowaniem… Och, przecież to mój idol! Powinieneś był czekać za autobusem, ale nie szkodzi. Kocham was, chłopcy. Dzisiaj wcześniej wracam do domu, więc odpoczniecie.

Najgorzej było wtedy, kiedy znikali, porzucali ją dla innego królika. W takie wieczory czuła się niespokojna i samotna, więc chwytała mocniej kierownicę i myślała: No dobra, skurwiele, gadać mi tu zaraz, co kombinujecie. To wasza słynna sztuczka, „dzień sądu ostatecznego”? Manewr wykonany tak perfekcyjnie, że nikt nic nie widzi i nie może nic zrobić? Chcecie dopaść Divę, co? Wy i te wasze płaskie słowiańskie mordy: chcecie ją zabić, zatopić szczęki w mojej – mojej! – agentce, ale chociaż mam tylko tego malutkiego, mruczącego jak kocię hatchbacka, pedał gazu, trzy wąziutkie lusterka i wzmocnioną strontem cipkę, w życiu jej nie dorwiecie, po moim trupie!

Wiedziała, że od tej ciągłej spiny może stać się trochę nerwowa. Wystarczyło spojrzeć na Janice i Benforda. Nie omieszkała jednak odnotować, że Nate nie jest nerwowy, przynajmniej w łóżku. Myślała o nim cały czas, jednak wysłanie przyjacielskiego mejla czy nawet zaszyfrowanej depeszy wewnętrznej nie wchodziło w rachubę. Było zbyt romantyczne i mógłby to źle zrozumieć.

Potrzebowała przyjaciela, tymczasem obowiązujący w Moskwie katechizm zabraniał kontaktów z oficerami z rezydentury: miała zachować przykrywkę, moralnie się prowadzić i kompartmentalizować swoje działania. Owszem, znała parę osób z ambasady, z wydziału konsularnego, gdzie oficjalnie pracowała, ale nie znalazła wśród nich

odpowiedniego kandydata. Moskwa należała do placówek z całkowitym zakazem bratania się, więc jeśli nie chciała wyciskać sztangi z osiemnastoletnim żołnierzem marines, który odbywał tam służbę, pozostawały jej tylko wieczory w kompleksie mieszkalnym ambasady, czyli siedzenie na kilimowych poduszkach przy stoliku do kawy, chrupanie krakersów serowych z sześcioma poważnymi trzecimi sekretarzami z Departamentu Stanu, słuchanie najnowszej płyty upamiętniającej Joni Mitchell i zastanawianie się, dlaczego pani domu, niejaka Marnie, tragicznie ubrana trzydziestosiedmioletnia absolwentka wydziału stosunków międzynarodowych w Mount Holyoke, nosi na szyi wiejskie korale z wielką drewnianą literą M.

Przestań. Dość tego. Po jednej stronie kontenera wiecznie rżący muł, po drugiej jego zwisająca z sufitu, wiecznie podpita i przepalona zastępczyni, a za ścianami kontenera banda czujnych jak rysie agentów FSB, którzy czekali, aż wyjdzie na ulicę i się z nimi pobawi – nic to, pozostało jej tylko półtora roku służby. Najważniejsze, że zrobiła to, czego żądał Benford: Diva miała już kryptokomunikator i mogła bezpiecznie gawędzić z CIA. Był to jej wielki, choć okupiony ryzykiem triumf. Pod koniec pierwszej tury przysługiwał jej urlop wypoczynkowy w wybranym miejscu. Na pewno odwiedzi rodziców w New Hampshire, ale może pojedzie gdzieś jeszcze? Powiedzmy do Grecji, po odrobinę słońca i morza. I odrobinę Nate'a?

– Cześć, tato – powiedziała, siedząc w ciemnym pokoju, który rozświetlał jedynie blask monitora. Uśmiechały się do niej trochę rozedrgane twarze matki i ojca w słonecznej kuchni. W Moultonborough był ranek.

– Jak się masz, córeczko? – spytała matka. – Wszystko dobrze? Ciepło się ubierasz?

– Tak, mamo – odrzekła. – Kupiłam dużą futrzaną czapkę. Jest okropna, chyba z piżmaka, ale bardzo ciepła.

– Dobrze się odżywiasz? – W zeszłym miesiącu przysłała jej pudełko ciasteczek.

– Nic się nie martw. W kantynie jest wszystko: masło orzechowe, mortadela i ser velveeta. – Wbiła w dłoń paznokcie. Koszmar, ale nie mogli inaczej rozmawiać: przed wyjazdem do Moskwy uprzedziła ich, że pod żadnym pozorem nie mogą jej pytać o pracę. Nigdy. Wiedzieli, gdzie pracuje. Niezadowoleni i przerażeni wytrzeszczyli oczy, kiedy powiedziała, że Rosjanie podsłuchują zawsze i wszędzie. Technicy z FSB oglądali teraz ten sam obraz, co ona, słyszeli te same słowa. Ale gdyby w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych pracowników ambasady nie używała Skype'a, wzbudziłoby to podejrzenia, które tamci zinterpretowaliby tylko w jeden sposób: To szpieg, przydzielcie jej dłuższy ogon.

– Są tam jakieś restauracje? – spytał ojciec.

Hanna uśmiechnęła się. Grał rolę głupkowatego kmiotka z Nowej Anglii. Ostrożnie, tato.

– Ależ naturalnie – odrzekła. – W kilka osób chodzimy po mieście i próbujemy lokalnych dań. Jest z tym kupa zabawy. Mają tu na przykład *czanachi*, baraninę w warzywach, jest naprawdę pyszna. – Ciekawe, czy ci z SWR odnotują, że wymieniła ulubione gruzińskie danie Stalina.

– Musi być trochę ciężkawa – powiedziała mama.

Boże. Tak bardzo chciałaby powiedzieć ojcu, czym się zajmuje, czego już dokonała, jak ją wybrano i wyszkolono po to, żeby stawiła czoło niedźwiedziowi w jego własnym legowisku. Wiedziała, że kocha ją i jest z niej dumny. Ale niestety, nie mogli świętować razem jej triumfu. Tuż przed jej wyjazdem Benford powiedział: „Wyrzeczenia wzmacniają charakter". Cokolwiek to znaczyło.

– Muszę kończyć. W Moskwie jest już późno. – Położyła rękę na myszce, żeby przerwać połączenie.

– Musisz się dobrze wysypiać – powiedziała mama. – Potrzebujesz czegoś? Może przyślę ci ciepłą koszulę nocną albo wygodne kapciuszki?

Koszula nocna i wygodne kapciuszki – prostaki z FSB ryczeli pewnie ze śmiechu.

– Nie, nie trzeba, wszystko mam. Do zobaczenia za tydzień.

Matka posłała jej całusa i wyszła z kadru. Ojciec został i wciąż patrzył w kamerę. Ostrożnie, tato.

– Miło było cię zobaczyć, córeczko – powiedział. – Uważaj na siebie. Kocham cię.

– Pa, pa. – Chciał powiedzieć: „zrób im piekło”, pomyślała. Właśnie to robię, tato.

Benford przeczytał jej depeszę z lodowatym podziwem. Hanna Archer spisała się na piątkę, system SRAC działał jak marzenie. Wybrała doskonałe miejsca, jej trasy sprawdzeniowe były prawie doskonałe i znakomicie sprawdzała się w terenie. Zachowywała się tak naturalnie, tak spokojnie, że FSB wzięło ją pewnie za pracownicę niskiego szczebla, młodszą urzędniczkę z ambasady, dlatego sprawdzali ją tylko okazjonalnie. Większość czasu była zupełnie czysta, dawał za to głowę. No i dzięki Bogu, że ten idiota Throckmorton jej nie przeszkadzał. Mimo to trzeba go mieć na oku.

Raport Divy o Trytonie i o tym, że Rosjanie próbują zidentyfikować Liryka, zerwał listwę przypodłogową i odsłonił wielkie gniazdo termitów. Spory kłopot. Benford spojrzał na depesze z miną człowieka cierpiącego na niestrawność. Jeśli Tryton działał w agencji, to ich nie zobaczy – Benford stworzył

naprędce specjalną komórkę, ograniczając dystrybucję dokumentów do siebie, trzech oficerów wywiadu i Dantego Heltona, nowego szefa Wydziału Proliferacji.

Helton – włosy rudoblond, okulary w drucianej oprawie i lekko drwiąca mina rozwiązłego akademika – był dość młody jak na szefa wydziału. Zaczynał w komunistycznej Europie Wschodniej jako młodszy oficer. Powiedział mu kiedyś, że w tych zwariowanych czasach operacje w dawnym bloku wschodnim były w rzeczywistości operacjami przeciwko Moskwie, tym groźniejszymi, że lokalni przeciwnicy – poczynając od szefów i planistów miejscowych służb wywiadowczych, na personelu operacyjnym najniższego szczebla kończąc – byli niezwykle bystrymi i zaangażowanymi spadkobiercami dziedzictwa narodowego Polski (Chopin), Czech i Słowacji (Freud), Węgier (Teller) i Rumunii (Wład Palownik). W zabójczym stresie Helton działał w Warszawie – pilnujący go tajniacy, doprowadzeni do furii tym, że ciągle wyprowadzał ich w pole, pewnej grudniowej nocy 1987 roku spłaszczyli dach jego polskiego fiata 125 szuflami do węgla. Następnego wieczoru Helton znów dał im popalić.

Benford siedział w swoim zaśmieconym minigabinecie z nim i Margery Salvatore, specjalistką z wywiadu, która wśród swoich sycylijskich przodków – był o tym przekonany – musiała mieć oskarżoną o czary sprzedawczynię ryb z Palermo, kobietę, która w 1588 roku przyznała, że latała na kozłach z miejscowymi wiedźmami. Margery umiała myśleć i dobrze kombinować w zagmatwanych sprawach, dlatego chciał poznać jej zdanie. Wezwał także Janice Callahan, ale ta – ku jego irytacji – jeszcze nie przyszła.

– Czekamy na Janice, dlatego jeśli nie macie nic przeciwko temu, zacznę od uwag wstępnych. – Po czym, wychyliwszy się zza biurka, przez otwarte drzwi ryknął do swojej sekretarki, tej

z drgająca powieką: – Ściągnij tu Callahan, ale natychmiast! Jeśli już idzie, niech zacznie biec! – Spojrzał na Dantego i Margery, szukając oznak dezaprobaty czy zmieszania. Nie zobaczył żadnych. Zdawał sobie sprawę, że ma wybuchowy charakter i że wszyscy o tym wiedzą, lecz zupełnie go to nie obchodziło.

– Za kilka dni lecę do Aten na konsultacje z rezydenturą i na przesłuchanie Divy. – Nerwowo przeczesał palcami niesforne włosy, robiąc sobie irokeza z boku głowy. Normalka: Dante i Margery nawet nie mrugnęli.

– Tylko kilku agentów z panteonu operacji rosyjskich, ludzi już nieżyjących lub w stanie spoczynku, składało raporty z rzutkością i rozmachem, z jakim składa je Diva. Mam nadzieję, że to zupełnie przypadkowe spotkanie dostarczy nam wielu ciekawych szczegółów.

Otworzyły się drzwi i weszła Janice w sukience kopertowej w ciapki i czarnych pantoflach od Jimmy'ego Choo. Benford zmarszczył brwi.

– Co tak długo?

Janice rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby usiąść. Dante i Margery zajęli dwa wytarte krzesła, zrzuciwszy z nich przedtem stos gazet i pudeł, a jedyne nadające się do tego miejsce – malutka zapadnięta sofa – było zawalona aktami.

– Kiedy biegnę, rozpina mi się sukienka i spadają buty – odparła z roztargnieniem, przeczesując ręką włosy i wciąż się rozglądając. – Ciągle zapominam przynieść stołek, kiedy tu przychodzę. – Chciała przesunąć część akt i z sofy spadła mała lawina. Kiedy pochyliła się, żeby choć trochę posprzątać, jeszcze bardziej odsłoniła już i tak spory dekolt. Helton skromnie odwrócił wzrok.

– Jak już mówiłem, Diva jest godną następczynią Marmura i świadectwem jego dalekowzroczności – ciągnął Benford. – Spoczywaj w pokoju, generale.

Zapadła cisza. Każdy z nich piął się po szczeblach kariery zawodowej, czytając raporty Korcznoja.

– Musimy zastanowić się nad kilkoma sprawami, ale tym razem nie będę omawiał jej wkładu w tajną akcję przeciwko Irańczykom ani niewątpliwego sukcesu, jakim jest to, że pozyskała względy prezydenta Rosji.

– Skoro już o tym mowa, kumplowanie się z Putinem to sport kontaktowy – zauważyła Margery. – Jeśli prezydent przestanie się nią interesować i odsunie ją za boczną linię, wszystko się może skończyć. Spławił nawet swoją żonę.

– Szanse na to, że Diva zostanie jego zaufaną powiernicą, są olbrzymie – zauważył Benford.

– „Zaufaną powiernicą". Co to właściwie znaczy? – spytał Dante. – Chcesz, żeby go uwiodła?

– Uspokój się. Wykorzystamy co się da, nie przestając jej kryć. – Benford spojrzał na nich spode łba. Doprowadzali go czasem do szału, dlatego ich lubił. Jego umysł ani na chwilę nie przestał poruszać kółkami, zębatkami i zapadkami mózgu.

– Podsumujmy. Po pierwsze: wiemy, że Rosjanie zaczęli otrzymywać okrojone raporty od kogoś o kryptonimie Tryton. Po drugie: Rosjanie nie znają jeszcze jego tożsamości. Po trzecie: Tryton doniósł im, że CIA zwerbowała oficera GRU, kogoś z dostępem do tajnych informacji wojskowych i naukowych, i nadała mu kryptonim Liryk. Po czwarte: żeby utrzymać kontakt z Trytonem, rezydentka SWR Julia Zarubina spotyka się z majorem naszych sił powietrznych, chociaż na kilometr widać, że to podwójny agent. I po piąte: niedawno zwerbowany przez nas informator SWR zostaje nagle odwołany z Caracas i wezwany do Moskwy. Jego status jest wciąż nieznany.

– Czy ktoś spoza CIA zna kryptonim Liryka? – spytała Margery. Wszyscy wiedzieli, że wewnętrzne kryptonimy są świętością, ale wiedzieli także, że często wymienia się je na naradach międzyagencyjnych.

– Ponieważ jego raporty cieszą się dużą poczytnością i są częstym przedmiotem narad, jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że tak, jego kryptonim jest znany poza murami tego budynku – odparł Benford.

– I według Divy podwójny agent naszych sił powietrznych jest łącznikiem między Trytonem a Zarubiną? – upewnił się Helton.

– Tak – potwierdził Benford. – Mam nadzieję, że kiedy z nią porozmawiamy, dowiem się czegoś więcej.

– Dobrze, ale to znaczy, że Tryton może pracować w wojskowości, tu, w Langley, w Białym Domu, NSC, na Kapitolu albo jako wykonawca czy podwykonawca współpracować z naszym przemysłem lotniczo-kosmicznym i mieszkać w Kalifornii.

– Zgadza się. Dlatego z konieczności musimy zorganizować polowanie na szeroką skalę. Problemem będą braki kadrowe.

– To może zająć wiele miesięcy – wtrąciła Margery, wyobrażając sobie te wszystkie grupy specjalne, systemy nadzoru i szacowania strat. Masakra.

– A nawet lat – mruknął Benford.

– To jeszcze nic – powiedział Helton. – Jeśli za odwołaniem informatora z Caracas rzeczywiście stał Tryton, niewykluczone, że pracuje w tym gmachu. Poza Langley nikt o tym werbunku nie słyszał, to zbyt świeża sprawa.

– Dowiemy się na pewno dopiero wtedy, kiedy dotrą do nas wiadomości, że ten z Caracas wisi na haku rzeźniczym na Butyrkach – powiedziała Margery.

– I nie możemy sobie pozwolić na luksus czasu – nadmienił Benford, bawiąc się ołówkiem. – Jeśli Tryton jest wśród nas, jeśli ma dostęp do międzydyscyplinarnych materiałów wywiadowczych, wojskowych, politycznych, naukowych i geograficznych, może sparaliżować pracę całego Dyrektoriatu Operacji.

– I zabić dziesiątki agentów – dodała Margery, która pracowała kiedyś w Chinach i znała na pamięć listę „prawdopodobnie zdemaskowanych", którzy „nie wrócili i nie nawiązali kontaktu". Kilku wspominała po dziś dzień, tak jak oni wszyscy.

Ominąwszy wzrokiem Heltona, Benford spojrzał na Janice, która siedziała cicho ze skrzyżowanymi nogami jak z mahoniu i rękami na oparciu sofy.

– Masz coś do dodania? – spytał.

– Trzeba go jak najszybciej znaleźć, to oczywiste – odrzekła.

Pełne furii milczenie Benforda było bardziej przerażające niż jego wściekłe tyrady.

– Bardzo ci dziękuję – syknął z wyszukaną ironią. – I na pewno wiesz jak, prawda?

Tik-tak, tik-tak – bomba termobaryczna już eksplodowała i czekali tylko na zapłon rozpylonego w powietrzu materiału wybuchowego.

Janice podniosła nogę i przyjrzała się pantoflowi.

– To może być łatwiejsze, niż nam się wydaje.

Benford miał ochotę wstać, wyrwać z głowy wszystkie włosy i zawirować jak bąk. Instynktownie dał jej trochę luzu, tak jak im wszystkim: Janice też chodziła wilgotnymi uliczkami za żelazną kurtyną, też słyszała echo rozbrzmiewających z tyłu kroków.

– Jak. To. Zrobić – powtórzył.

Janice spojrzała na niego spod rzęs i posłała mu swój charakterystyczny uśmiech.

– Trzeba zagłodzić przeziębienie i nakarmić gorączkę.

CZANACHI – ULUBIONA GRUZIŃSKA POTRAWA STALINA

Natarte solą, pieprzem, oliwą i chili małe kawałki jagnięciny wkładamy do żeliwnego garnuszka czanachi (lub do glinianego naczynia tagine) i podsmażamy na brązowo. Dodajemy pokrojoną cebulę i czosnek, znów lekko podsmażamy, następnie przyprawiamy posiekaną bazylią, pietruszką i koperkiem. Dodajemy podduszone pomidory wraz z sokiem oraz odrobinę octu z czerwonego wina. Mięso przykrywamy pociętymi na plastry ziemniakami, a ziemniaki pokrojonymi w kostkę wydrążonymi bakłażanami. Dolewamy wody, żeby pokryła zawartość, przykrywamy garnuszek pokrywką, wstawiamy do piekarnika i nie mieszając, dusimy na małym ogniu, aż warzywa zmiękną, a sos zgęstnieje. Posypujemy siekaną pietruszką i podajemy.

24

– Zagłodzić przeziębienie i nakarmić gorączkę? – powtórzył cicho Benford. – Będziesz tak dobra i wytłumaczysz mi, dlaczego cytujesz *Almanach Starego Farmera*?

Helton odwrócił się do niego z uśmiechem. Wpadł na jakiś trop, już coś zwietrzył i czekał na ciąg dalszy.

– Simon, jeśli Tryton nie będzie mógł przekazywać Zarubinie informacji za pośrednictwem podwójnego agenta z naszych sił powietrznych, czyli jeśli zagłodzimy przeziębienie, pieniądze, rozbuchane ego, słowem to, co go motywuje, czyli podkarmiana przez nas gorączka, każe mu zaryzykować i spotkać się z Zarubiną twarzą w twarz.

– A wtedy będziemy mieli okazję się jej przyjrzeć – powiedziała Margery.

– Zarubina to nie głupi jeleń – zauważył Helton. – Trudno ją będzie nakryć.

– Dużo łatwiej niż znaleźć Trytona, kiedy przejmie go anonimowy kontakt – odparła Janice. – Wszyscy czytaliśmy depesze Divy. Rosjanie chcą przydzielić mu nielegała. Jeśli zdążą, nigdy go nie znajdziemy.

Wymienili spojrzenia. Nielegał stanowiłby duży problem. Od zarania dziejów szpiegostwa idealnym rozwiązaniem był zagraniczny szpieg pod cywilną przykrywką, udający tubylca anonimowy agent ze szczegółowo przygotowaną legendą, ktoś mówiący płynnie kolokwialnym językiem danego kraju, prowadzący bezbarwne życie i mający zwyczajną, monotonną

pracę. Brak oficjalnego statusu. Brak związków ze służbami dyplomatycznymi. Brak związków ze służbami wywiadowczymi. Brak jakiegokolwiek profilu – taki ktoś mógł prowadzić najcenniejszych informatorów. Benford i wezwani przez niego specjaliści dobrze wiedzieli, że nikt nie przygotowuje i nie rozmieszcza nielegałów tak dobrze jak Rosjanie.

– Janice ma rację – stwierdził Helton. – Trzeba odwołać tego podwójnego agenta. Lotnicy wpadną w amok, ale możesz załatwić to z pominięciem OSI. Znajdziesz jakiegoś generała, który to zatwierdzi, i po krzyku.

– Nasz chłoptaś stanie przed dylematem – podsumowała Margery. – Bez podwójnego agenta będzie miał trzy wyjścia: znaleźć inny anonimowy sposób kontaktowania się z Rosjanami, przestać szpiegować albo zaryzykować i stanąć oko w oko z Zarubiną.

– Nasza miła babcia będzie musiała wyjść na ulicę i się z nami pobawić – dodała Janice. – Podskoczy jej ciśnienie, a wtedy zobaczymy.

– Zajmę się tym osobiście – zdecydował Benford, zastanawiając się już nad dalszymi krokami. – Lotnicy dostaną szału. A major Thorstad nie będzie już musiał zmagać się z trudami szpiegowania. Pozostanie mu tylko oglądanie filmów na kasetach wideo.

Janice wstała i poprawiła sukienkę.

– Na odtwarzaczu blu-ray, Simon. Albo w mediach strumieniowych. Kaset wideo już nie ma.

Benford podniósł wzrok.

– Jak to nie ma? Co ty mówisz?

Seb Angevine wracał czarnym SUV-em do Langley po naradzie w AFOSI, Biurze Dochodzeń Specjalnych Sił Powietrznych USA w Quantico w Wirginii. Zamyślony pędził autostradą Washingtona tak szybko, że pączkujące drzewa nad Potomakiem wyglądały jak ciemna smuga. Godzinę wcześniej z trudem opanował panikę, gdy cienkousty pułkownik lotnictwa poinformował go, że operacja „Szperacz", tajna operacja z podwójnym agentem majorem Thorstadem, została przerwana na rozkaz zastępcy szefa wywiadu Sił Powietrznych USA.

Pułkownik wyjaśnił, że mimo dobrego początku i obiecujących wyników „współpracy" z Rosjanami, żądania SWR zaczęły skupiać się na tajnych programach i technologiach, których pod żadnym pozorem nie można im było zdradzić. Potencjalne zyski taktyczne okazały się po prostu dużo mniejsze niż potencjalne straty. Major Thorstad miał natychmiast zerwać kontakt z SWR i nie reagować na próby jego ponownego nawiązania.

Planiści i kontrwywiadowcy z OSI gotowali się ze złości: odwołano ich wspaniałą operację, to zwykłe unikanie ryzyka! Ktoś cisnął notesem w podłogę, ktoś inny mruknął: „Tchórze!" i jak burza wyszedł z sali. Rudowłosy major Thorstad wstał i oznajmił kolegom, że chociaż jest zawiedziony decyzją Pentagonu („dużego domu", jak powiedział), pierwszeństwo mają czynniki strategiczne. Nadmienił, że udział w tej operacji był dla niego prawdziwym zaszczytem i wyraził niezachwiane przekonanie, że współpraca sił lądowych i powietrznych przyczyni się w przyszłości do umocnienia bezpieczeństwa kraju. Kiedy usiadł, niezidentyfikowany głos powiedział:

– Pierdu, pierdu, ruda małpo!

Z trudem zachowując spokój, Angevine pozdrowił ich skinieniem głowy i wyszedł. To była katastrofa. Bez Thorstada

i wabika ze spreparowanymi materiałami nie mógł przekazywać SWR informacji, a skoro nie mógł, Rosjanie przestaną mu płacić. Potrzebował pieniędzy. I nie wyrównał jeszcze wszystkich rachunków: tłumiąc gniew, na posiedzeniach komitetu wykonawczego wciąż musiał patrzeć na gębę tej *goinfre*, tej maciory Glorii Bevacquy, nowej szefowej Sztabu Tajnych Akcji. Ta wredna baba zajęła przysługujące mu stanowisko!

Musiał coś zrobić. Musiał to zważyć, na jednej szali położyć olbrzymie ryzyko osobistego spotkania z Zarubiną, a na drugiej stale wzrastającą potrzebę pieniędzy. Pokrzepiony na duchu trzema rosyjskimi wypłatami zdążył już trochę wydać, bo kupił nowe audi S7 (pięćdziesiąt siedem kawałków), nowego breitlinga chronomat 41 (dwanaście patoli) i zarezerwował miejsce w ośrodku wypoczynkowym w Belize, gdzie podczas urlopu chciał trochę ponurkować (pięć patyków). Jego oficjalna urzędnicza pensja po prostu nie wystarczała. *Merde*.

Wiedział, że dotarcie do Rosjan będzie jak pokonywanie pola minowego. Nie mógł rzucić przesyłki przez płot, bo zbudowana z białego kamienia rosyjska ambasada przy Wisconsin Avenue i trzypiętrowy budynek ich konsulatu przy Tunlaw Road były pod ciągłą obserwacją czuwających w okolicy agentów FBI. Nie mógł także zadzwonić, ponieważ linie telefoniczne ambasady – całe ich dziesiątki – były na dwudziestoczterogodzinnym podsłuchu. Nie mógł również zapukać do czyichś drzwi, ponieważ jedynie wysocy rosyjscy dyplomaci – tacy jak Zarubina – mieszkali poza kompleksem ambasady. Sęk w tym, że ich mieszkania i domy nieustannie obserwowano, jak choćby rezydencję ambasadora, pałacyk w stylu beaux-arts przy Szesnastej Ulicy.

A przelotny kontakt na ulicy, w supermarkecie, księgarni czy restauracji? Zbyt ryzykowne. Znanych i podejrzanych

funkcjonariuszy SWR inwigilowano losowo, a ciągła rotacja obiektów bardzo utrudniała zadanie. Angevine wiedział, że dzieje się tak na skutek cięć zatwierdzonych podczas dorocznego dramatu budżetowego w Kongresie. FCI, Wydział Kontrwywiadu Zagranicznego FBI, mógł wysłać w teren stosunkowo niewielu agentów i aby dowiedzieć się, którzy rosyjscy funkcjonariusze wywiadu są aktualnie aktywni, kiedy prowadzą działania operacyjne i z kim się kontaktują, korzystał głównie z ograniczonych środków technicznych. W głębi serca specjaliści z FCI zdawali sobie sprawę, że SWR doskonale wie, jak niewielu agentów działa przeciwko nim w terenie – przecież Moskwa mogła zapoznać się z amerykańskim budżetem zupełnie oficjalnie, czytając gazety. Tak, Rosjanie byli aż nadto świadomi ich słabości.

Co było jakimś plusem. Mimo to, myślał Angevine, nie sposób jest przewidzieć, kiedy ani na kogo FCI naśle swoich ludzi, dlatego próba nawiązania kontaktu w miejscu publicznym byłaby jak zabawa w rosyjską ruletkę. Roztrząsał to przez resztę dnia, a potem pojechał do Good Guys Club przy Wisconsin Avenue, żeby popatrzeć na tancerki, wypić piwo i pomyśleć.

Z zewnątrz klub nie wyglądał nadzwyczajnie, ot, neon, wejście i wąski szeregowiec z lat dwudziestych dziewiętnastego wieku – na fasadzie wciąż widniały ślady dawnej elegancji stylu federalnego – w skomercjalizowanej obecnie dzielnicy pełnej pizzerii, barów z sushi na wynos, sklepów spożywczych i salonów pedicure. Zostawiwszy za sobą świat gołębi i asfaltu, nie myśląc już o swojej przerwanej karierze rosyjskiego kreta, Angevine wszedł do środka. Sala klubu – co za brednie, pomyślał, przecież to zwykła nora ze striptizem – była długa i wąska. Seb skinął głową siedzącemu na stołku wykidajle i poszedł dalej. Tłok panował tu nawet w dni powszednie i na

wszystkich trzech podestach zawsze coś się działo. Lawirując między długimi stołami i ławami, Angevine ruszył w głąb pomieszczenia. Każdy podest miał pleksiglasową podłogę, podświetloną od spodu łagodnym białym światłem – po ciałach tańczących dziewcząt wędrowały cienie dekadenckiego Berlina z okresu Republiki Weimarskiej – na każdym była załamująca światło akrylowa rura oraz duże lustro. Pod sufitem wisiały ruchome reflektory, czerwone, pomarańczowe i oślepiająco białe, więc podesty były oświetlone lepiej niż niejeden plan filmowy. Na wędrującym bez końca pasku nad barem wyświetlano imiona tancerek. Z głośników płynęła striptizowa muzyka rockowa z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Angevine usiadł na końcu sali i zamówił piwo oraz małą kanapkę, którą sprzedawano tu podczas happy hour, zaskakująco dobrego hamburgera na grzance. Jego ulubiona tancerka kończyła właśnie występ na podeście numer trzy, dokładnie naprzeciwko niego. Dostrzegła go już z daleka, z bystrością wszystkich dziewcząt tańczących nago przed obcymi. Seb widział ją na scenie setny raz – te zielone oczy miały na niego dziwny wpływ. Ciało też nie wadziło.

Tuż obok niego siedział tęgi mężczyzna z dużą głową i imponującą zaczeską – wyglądał na urzędniczynę z Departamentu Zdrowia i Pomocy Humanitarnej albo Departamentu Gospodarki Mieszkaniowej i Urbanistyki, kancelistę z zaszeregowaniem płacowym GS-15 – który pocił się w workowatym garniturze w towarzystwie nerwowego, nieustannie mrugającego młodszego kumpla. Szyję grubasa uciskał kołnierzyk taniej niebieskiej koszuli upstrzonej czymś, co wyglądało na miniaturowe palemki, a kiedy wieszał marynarkę na oparciu krzesła, w świetle reflektorów błysnęły wytarte ramiona i łokcie. Departament Zdrowia, ocenił Seb. Na sto procent.

Jego tancerka (lubił ją tak nazywać), dziewczyna o imieniu scenicznym Felony, weszła na podest numer trzy i odegrała przedstawienie ze sprejem do szyb i papierowym ręcznikiem, pochylając się nisko na prostych nogach, aby wyczyścić dolną część lustra. Był to tradycyjny rytuał, jak w teatrze kabuki, ponieważ po każdym występie lustro pokrywały odciski palców i wyszminkowanych ust.

Siedzący obok Angevine'a prosiak wybuchnął śmiechem, pokazując palcem jej wypiętą pupę i stringi. Tak się nie robi, skarcił go w duchu Seb. Nie, to coś gorszego niż Departament Zdrowia. To urząd podatkowy! Z głośników popłynęły dźwięki *Hotelu Californ*ia i wieprz trącił łokciem cherlawego kumpla: Felony wciągnęła się na rurę, odwróciła do góry nogami i powoli, powolutku, gładko niczym mechaniczna winda, ześlizgnęła na dół. Stanąwszy na podeście, zaczęła tańczyć dla Porky'ego, który już dawno przestał się śmiać i tylko przełykał ślinę. Felony zakręciła się dla niego na rurze, rozsiewając wokoło zapach wody kolońskiej White Shoulders.

Gdy pod koniec występu puszczono *Jamesa Deana*, też Eaglesów, Felony włączyła dopalacze i na oczach zdumionego Angevine'a tłuścioch wstał i zaczął tańczyć niczym Borys Jelcyn, pochylając ramiona, potrząsając pięściami i pokrzykując coś, co brzmiało jak „Czejms Djin". Siedzący przy drzwiach wykidajło wstał ze stołka, lecz Felony odprawiła go machnięciem ręki. Kumpel pociągnął go w końcu za rękę i roztańczony Jelcyn usiadł. Po występie Felony włożyła obcisły gorset, dyskretnie poprawiła piersi, aby trafiły do miseczek, po czym usiadła między nim i jego kompanem; tancerki często urabiały widzów, licząc na większe napiwki.

Mówił głównie ten cherlawy, ale Seb zauważył, że jej opatrzone długimi paznokciami palce spoczywają na udzie grubasa, w dodatku wysoko nad kolanem. Coś jej widocznie

podszepnęło, że to gruba ryba. Po pięciu minutach obligatoryjnych pogaduszek, i po tym jak w zagłębienie między jej piersiami trafił – niezbyt dyskretnie – napiwek w postaci złożonego na pół banknotu – tłuścioch i jego kompan wstali, włożyli marynarki i wyszli.

Felony podeszła do Angevine'a, który wstał i uścisnął jej dłoń; według protokołu obowiązującego w świecie striptizu mężczyźni mieli być pełni galanterii i okazywać dziewczętom szacunek, czyli trzymać ręce przy sobie. Postawił jej piwo imbirowe w cenie szampana, uśmiechnął się i powiedział:

– Wspaniały występ, jak zawsze. – Wiedział, że dziewczęta rzadko umawiają się z klientami, dlatego nie nalegał. Poza tym Felony nie mogła siedzieć za długo przy jednym stole.

– Ci dwaj to Rosjanie – powiedziała, ruchem głowy wskazując miejsce, gdzie tamci siedzieli. – Z ambasady przy Wisconsin. Ten gruby słabo mówi po angielsku, więc przyprowadził znajomka. Dał mi dwadzieścia dolarów.

Angevine gwałtownie podniósł wzrok.

– Skąd wiesz, że to Rosjanie? – Musiał mówić głośno, bo cały czas grała muzyka. Rosyjska ambasada mieściła się ledwie dwieście metrów dalej, zaraz za następnym skrzyżowaniem. Poczuł, że cierpnie mu skóra na głowie.

Felony wyjęła wizytówkę spod paska pończochy, położyła ją na stole i dźgnęła paznokciem małego palca: „Radca-minister S.W. Łoganow. Ambasada Federacji Rosyjskiej".

– To ten grubas. Widziałeś, jak tańczył? Ten chudy mi ją dał, jakby nie wiedział, co zrobić, dać czy nie. – Zerknęła na przesuwający się pasek nad barem. – Muszę się przebrać. Zostajesz?

Zamyślony Angevine spojrzał na nią nieprzytomnie.

Od wielu dni łamał sobie głowę, jak skontaktować się z SWR i nagle spada mu z nieba ten spocony kawał łoju. Zastanawiał

się nad wieloma miejscami, w których mógłby spotkać się niezauważenie z agentami SWR, ale ani razu nie pomyślał o Good Guys Club. Ale nie, wykluczone, to zbyt niebezpieczne, ktoś mógłby go zobaczyć. Cholera, kto powiedział, że nawet teraz nie było tu tajniaków z FBI, że nie śledzili tych dwóch, żeby namierzyć Amerykanów, którzy z nim rozmawiali?

Nie, to nie może być jedyny sposób na przekazanie Rosjanom wiadomości, że chce ponownie nawiązać kontakt. Gdyby zagadał do grubasa wśród striptizerek, przy alkoholu i muzyce, ten bałby się wziąć do ręki zaklejoną kopertę, myśląc, że to prowokacja FBI albo CIA, próba szantażu. Ale jeśli nie w ten sposób, to w jaki? Desperacka próba kontaktu na ulicy? Schrzaniłby coś, a wtedy równie dobrze mógłby stanąć przed bramą rosyjskiej ambasady i przypiąć sobie do marynarki plakietkę z napisem: „Hej, to ja, Tryton!”. *Ce serait mauvais*. Byłoby fatalnie.

Felony wyszła z garderoby w jaskraworóżowej koszulce nocnej, podwiązkach i szpilkach na platformie. Puściła do niego oko i lawirując między stołami, poszła w stronę podestu na końcu sali. Z rękami w ciągłym ruchu często przystawała, żeby przywitać się ze znajomymi klientami, poklepać ich po policzku, potargać im włosy czy przesunąć palcami po ramieniu. Pozostałe tancerki zachowywały się tak samo. Angevine roześmiał się bezgłośnie. *Dieu pourvoira*, pomyślał. Bóg dopomoże.

Był to początek jego operacji werbunkowej połączonej z serią tajnych akcji. Bardzo się spieszył, dlatego musiał rozegrać to szybko i brutalnie. Nie specjalizował się w tego typu przedsięwzięciach, ale dużo czytał i dużo wiedział, poza tym

kobietom zawsze podobał się jego styl – widział, z jakim podziwem patrzą na jego spinki do mankietów z kutego srebra, z jakim zachwytem dotykają klap kaszmirowej marynarki.

Postanowił zrobić z Felony pośredniczkę – gdyby znał lepiej żargon agentów CIA, użyłby określenia „goniec" – i namówić ją, żeby skontaktowała się z Rosjanami w swoim miejscu pracy, w Good Guys Club. Jeśli napalony, roztańczony i spocony Łoganow przychodził tam w miarę regularnie, mogła przekazać mu znak życia, list do rosyjskiej rezydentury z wiadomością, że Tryton jest gotowy do „reaktywacji", czy jak to tam nazywali, i chce się z nimi spotkać w wyznaczonym przez siebie miejscu. No i przynieście kasę, towarzysze!

A jeśli Łoganow będzie wtedy pod obserwacją FBI? No i co z tego? Agenci siedzieliby przy sąsiednim stole, w ciemności, z marynarkami na kolanach, żeby ukryć wzwód, oglądając występy i od czasu do czasu sprawdzając, czy grubas nie rozmawia z jakimś N.N. Ale tancerki? Krążyły po całej sali i do wszystkich się przysiadały, wpychając banknoty za dekolt i podwiązki, kładąc gościom pachnące ręce na ramiona – Felony mogłaby przekazać Łoganowowi pieprzony toster, a tamci nic by nie zobaczyli. W dodatku jego, Seba, mogłoby tam nawet nie być!

Pozostał mały drobiazg: musiał szybko ją zwerbować. Przyjęła zaproszenie na kolację; sprzyjało mu szczęście, bo właśnie zerwała z chłopakiem, jakimś Fernandezem, który miał skłonność do depresji wywołanej chroniczną impotencją na skutek nałogowego wąchania kleju. Po półrocznej znajomości wyrzuciła go z mieszkania, skromnego, dwupokojowego gniazdka przy Benton Street w Glover Park. I była gotowa na znajomość z prawdziwym dżentelmenem.

Gdy wymieniła adres, uniósł brwi. Cóż za nieprawdopodobny zbieg okoliczności: mieszkała dosłownie kilkaset metrów od

tylnego muru rosyjskiej ambasady, w zielonej dzielnicy pełnej wolnostojących domów i małych bloków. Przy odrobinie szczęścia i finezji mógłby urządzić tam bezpieczne miejsce spotkań, skrytkę kontaktowo-sygnałową albo elektroniczną skrzynkę pocztową, o której istnieniu federalni nie mieliby zielonego pojęcia i której w żaden sposób nie mogliby połączyć z jego nazwiskiem. Dlatego werbunek Felony był tak strasznie ważny.

Pod koniec pierwszej randki powiedziała, że w rzeczywistości nazywa się Vikki Mayfield, ma dwadzieścia dziewięć lat i jest co prawda trochę za stara na striptizerkę, ale nieźle się trzyma, bo od tańca na rurze ma dobrze umięśnione nogi i brzuch. Dość wysoka, miała obcięte na chochlika włosy – uważała, że ta fryzura odejmuje jej lat – zielone oczy i troszkę za bardzo wystający podbródek. Dziwne było, ale i podniecające, zobaczyć ją w normalnym ubraniu, ponieważ wiele razy widział ją w stroju Ewy.

Używała samoopalacza w spreju, ponieważ nieopalone ślady po kostiumach kąpielowych wyszły już z mody. Zrobiła sobie implanty z pamięcią kształtu, bo z mody wyszły także nienaturalne balony. Tańczyła od ośmiu lat, dobrze znała tę branżę i dostawała duże napiwki; potrafiła momentalnie wyczuć, który facet czeka na „kołyskę”, który na „łyżwiarkę”, a który na „aniołka”. Wyjaśniła rozbawionemu Sebowi znaczenie tych określeń – podając ceny poszczególnych figur – pomyślała, że jest obyty i elegancki, i doszła do wniosku, że się jej podoba.

Następnego dnia miała wolne, więc znów zaprosił ją na kolację i poczynił duże postępy. Vikki była inteligentna, znała życie i potrafiła odróżnić wieśniaka od zalotnika z wielkiego miasta. Lubiła mówić, a on umiał słuchać. Pochodziła z wybrzeża Wirginii, co prawda nie z nizin społecznych, ale

i tak musiała pracować na nocną zmianę. Trochę studiowała. Dostała się na uniwersytet stanowy, ale szybko zrezygnowała (za dużo maminsynków i siusiumajtków), przeniosła się do Haverford College w Pensylwanii, i też zrezygnowała (za dużo płaczliwych, okropnie wrażliwych poetów), powędrowała na południe i zakotwiczyła w stolicy. Zaczęła tańczyć nago i zdumiona ilością zarobionych pieniędzy – całymi ich garściami! – wprowadziła się najpierw do jednego kochanka, potem do drugiego i trzeciego, ale ponieważ ci albo ją bili, albo chcieli zrobić z niej dilerkę, albo dorabiającą na boku prostytutkę, rzuciła ich w cholerę i wynajęła porządne mieszkanie. Wciąż miała z nimi do czynienia, ale teraz przynajmniej to ona mogła wyrzucić ich na ulicę.

Widziała Seba wiele razy, oczywiście w klubie, i zrobił na niej wrażenie bogatego. Początkowo myślała, że to jeden z tych, którzy lubią masaż erotyczny albo pegging. Ale nie, okazało się, że mówiący po francusku Sebastian umie słuchać, zamawiać dobre wina, pracuje w Departamencie Stanu czy czymś tam, nie próbuje łapać jej za tyłek i jeśli tylko chce, potrafi być zabawny. Po trzeciej randce (po dwóch dniach pracy miała trzy dni wolnego) zaprosiła go do siebie na kolację. Trochę się całowali, ale ponieważ wypił za dużo wina, położyła go na sofie, przykryła kocem, popatrzyła na niego i poszła spać sama. Rano, słodki jak cukierek, obudził ją filiżanką kawy rozpuszczalnej, więc wzięli razem prysznic i zrobili to na podłodze, w saloniku, słysząc, jak sąsiedzi wloką się schodami do pracy.

Dzień szósty. Było oczywiste, że Vikki wciąż ma do mężczyzn ukryte zastrzeżenia i nie darzy ich zbytnią ufnością, ale Seb przyniósł butelkę wina, a ona przygotowała kolację: steki i ziemniaki purée po irlandzku według przepisu babci, a na deser podała szarlotkę ze spożywczego. Seb opowiadał trochę o swojej pracy. Okazało się, że jest ważną fiszą

w Departamencie Stanu, kimś w rodzaju dyplomaty, eksperta od Rosji czy czegoś tam; nie było jasne od czego. Znów się kochali, tym razem w łóżku, i miała pierwszy od lat niewymuszony wibratorem orgazm – to bardzo dobry znak, pomyślała. Zgoda, czasem zachowywał się jak głupek, traktował kelnerki z góry i strasznie długo się czesał, ale i tak był bez porównania lepszy od jej poprzedniego chłopaka, Darryla, i jego łańcucha motocyklowego moczącego się przez tydzień w wiadrze pod drzwiami. W podziękowaniu za kolację i seks podarował jej srebrną bransoletkę z Eve's Addiction, co prawda ze sprzedaży wysyłkowej, ale nie zamierzała odmawiać.

Następnego dnia rano wszedł do łazienki, oparł się o toaletkę i patrząc, jak Vikki goli sobie nogi w wannie, od niechcenia rzucił, że chciałby płacić za jej czynsz. Dwa siedemset miesięcznie piechotą nie chodzi, mimo to spytała:

– Dlaczego? Jesteś bardzo słodki, ale daję sobie radę.

– Po prostu chciałbym coś dla ciebie zrobić – odrzekł z uśmiechem. Musiał wreszcie nawiązać kontakt z tymi zasranymi Rosjanami, za długo to trwało. – Naprawdę cię lubię.

– Ja ciebie też. – Może po prostu chce być miły, pomyślała.

Angevine oderwał się od toaletki, pochylił i pocałował ją.

– Uwielbiam patrzeć, jak się golisz – powiedział. Nic bardziej pikantnego nie przyszło mu do głowy.

– A może i ciebie ogolę? – zaproponowała. – Chcesz?

– Co takiego?

– Chodź, usiądź. Zobaczysz, to takie podniecające uczucie.

– No, nie wiem… – Seb wyobraził sobie, jak po treningu na siłowni w Langley bierze prysznic z wygolonym kroczem i łysymi *couilles*. – Z mężczyznami jest trochę… inaczej.

– Będę bardzo ostrożna. – Spojrzała na niego figlarnie i wyciągnęła rękę. – Jeśli tylko zechcesz, zrobię dla ciebie wszystko.

Seb zechciał.

Minął tydzień, zanim Łoganow pojawił się w klubie, ale wreszcie przyszedł i pewnego wieczoru zdyszana Vikki zadzwoniła do niego z wiadomością, że Rosjanin już jest i żeby Seb szybko przyjeżdżał. W ostatniej chwili Angevine doszedł do wniosku, że jednak chce zobaczyć, jak Vikki przekazuje mu list: w zatłoczonej sali nikt go nie rozpozna, poza tym byłoby niedobrze, gdyby ciekawska Vikki otworzyła kopertę i zobaczyła karteczkę z podpisem tajemniczego Trytona. Powiedział jej, że to taka zabawa: wymyślił bzdurną historyjkę o opracowanym przez Departament Stanu „programie wyciągniętej ręki", skierowanym do wybranych rosyjskich dyplomatów, których departament chciał zaprosić na prywatną rozmowę celem omówienia ważnych spraw międzynarodowych. Zaznaczył, że niezwykle ważne jest, aby zaproszenie zostało dostarczone dyskretnie – na przykład przez półnagą striptizerkę w klubie – żeby Moskwa nikogo nie „ukarała" za udział w programie.

Historyjka była tak absurdalna, że Vikki spojrzała na niego podejrzliwie i oświadczyła, że nie chce robić niczego niezgodnego z prawem (Seb, który zamierzał ją zwerbować jako świadomą agentkę, ponuro odnotował, że chyba nic z tego nie będzie), mimo to usiadła obok Łoganowa, z rękawa powłóczystego czarnego kimona wyjęła kopertę, nachyliła się i marszcząc nos od zapachu potu, gotowanej kapusty i śmierdzących spodni, wsunęła mu ją do kieszeni koszuli. Siedzący na końcu sali Angevine nic nie zauważył. Zrobiła to jak profesjonalistka.

Seb chciał tam być z jeszcze jednego powodu, ciekawiło go mianowicie, jak Łoganow zareaguje, czując, że Vikki wsuwa mu coś do kieszeni. Dzięki Bogu nie zareagował wcale – miał biust jak gruba baba, więc może nic nie poczuł – ale z drugiej strony, mogli go przeszkolić i wiedział, co i jak trzeba zrobić. W każdym razie będzie miał bezcenną minę, gdy po powrocie do ambasady otworzy kopertę i zobaczy drugą, z poleceniem PRZEKAZAĆ ZARUBINIE. Każdy pracownik ich waszyngtońskiej ambasady – nawet sam ambasador – bez chwili wahania pobiegnie tam, gdzie trzeba.

Tak więc piłka była w grze i późnym wieczorem Angevine miał znakomity nastrój: wypił z Vikki szampana, a gdy stacja Soft Rock 97 puściła *You wouldn't know love* Michaela Boltona, z jego albumu *Soul Provider*, porwał ją do tańca w salonie. Pieniądze znów popłyną szerokim strumieniem – miał już dla Zarubiny dodatkową wiadomość o wciąż trwających przesłuchaniach oficera GRU w Atenach. Spojrzał Vikki w oczy i pocałował ją. Może kiedy będzie już bogaty, spotka kogoś bardziej *savoir faire*, ale dzisiaj, teraz, tulił do siebie prężne ciało tancerki, która oddawała mu pocałunki i obejmowała go za szyję. Coś drgnęło mu pod podbrzuszem, ale ponieważ włosy w kroczu zaczęły już odrastać, musiał przystanąć i się podrapać.

Siedział na drewnianej ławce i czekał. Było ciemno jak w grobie. Gęsty las porastający tę część parku Little Falls niemal całkowicie przesłaniał widok na rozświetlone miasto i tłumił hałas dochodzący z pobliskiej Massachusetts Avenue. Nisko pochylony czuł się tak, jakby miał w żołądku kilka sztab ołowiu, więc zamknął oczy i wsłuchał się w potrzaskiwanie gałązek

i szelest liści, które nie spały nawet o północy. Zza drzew mrugały nieliczne światełka domów w Westmorland Hills. Dzięki Bogu, że o tej porze nikt nie wyprowadzał już psów na spacer. *Tu es con*, pomyślał, jesteś idiotą. Zerknął na zegarek.

Czekał na Rosjan w miejscu, które wybrał, przygotowując się do wznowienia błyskotliwej kariery pełnego fantazji agenta, w niewielkiej trawiastej niecce na terenie dawnego fortu artyleryjskiego Battery Bailey. Na obrzeżach Waszyngtonu było dużo takich miejsc, pamiątek z wojny domowej, z których większość, anonimowa i zapomniana, wyglądała teraz jak łagodne zielone pagórki, choć na niektórych stały tablice z napisem ZABYTEK HISTORYCZNY. Wiedział, że Rosjanie docenią ten wybór: łańcuch sześćdziesięciu czterech starych fortów to nic innego jak sześćdziesiąt cztery małe parki, oazy ciemności i spokoju w ruchliwej stolicy, nieogrodzone, zawsze otwarte, niepatrolowane przez policję i z łatwym dostępem do cichych dzielnic miasta, których broniły przed konfederatami 1864 roku. A teraz, podczas nowej zimnej wojny, były doskonałym miejscem na tajne spotkanie.

– Halo? – Usłyszał cichy głos po drugiej stronie trawiastego wału. – Czy jest tu ktoś?

Angevine wstał, podszedł do otworu strzelniczego i spojrzał w ciemność. Na ścieżce wijącej się u podstawy wału stała samotna kobieta. Patrzyła na niego.

– Źle skręciłam i za nic nie mogę się do pana dostać. – Była w lekkim płaszczu i miękko opadającym dużym kapeluszu, jakby spodziewała się deszczu.

Ja pierdolę, co to jest? – pomyślał Seb. To Zarubina? A kto, kurwa, inny? O tej porze? Podniósł rękę i szepnął:

– Proszę zaczekać, już schodzę. – Przerwa w obwałowaniu, mała, stroma ścieżka: kilka sekund później stał już obok niej.

– Pan… Tryton? – spytała. – Mam na imię Julia. Jak to miło, że nareszcie się spotykamy.

COLCANNON – ZIEMNIAKI PURÉE PO IRLANDZKU

Obrane i ugotowane do miękkości ziemniaki energicznie rozgniatamy z dodatkiem masła i śmietany. Podsmażamy na maśle pokrojony czosnek, posiekane pory i porwane liście jarmużu, przyprawiamy solą i pieprzem, mieszamy z ziemniakami i polewamy roztopionym masłem.

25

Wieczorna burza. Deszcz siekał markizy sklepów przy ulicy Arkadias, zmieniając drobny marmurowy pył, który nieustannie pokrywał ulice i chodniki Aten, w stalowoszary klej. Druga fala nawałnicy wyparła z powietrza zapach ziemi, zastępując go słodkim aromatem zmierzchu i… chyba lawendy, pomyślała Dominika. Stała pod markizą Lovable Experience 4, swojego hotelu przy Ambelokipi w handlowej części miasta, niemal dokładnie w połowie drogi między rosyjską ambasadą w zielonej dzielnicy Psychiko a Tulipanem, lokalem konspiracyjnym CIA w szykownej Kolonaki, gdzie miała spotkać się z Nathanielem i Gable'em.

Spojrzała na zegarek, czekając, aż przestanie padać. Nie miała parasolki, zresztą i tak by jej nie rozłożyla, bo w Atenach nikt ich nie używał. Powoli wzmagał się ruch i zapalały światła. Obliczyła, że piesza trasa sprawdzeniowa przez Nea Filothei i Gizi zajmie jej minimum półtorej godziny, a jeśli zauważy coś podejrzanego – dużo więcej. W okolicy było mnóstwo długich schodów, jednokierunkowych ulic i przeróżnych skrótów. Wiedziała, że w tak zróżnicowanym terenie bez trudu namierzy każdy śledzący ją pojazd, a jeśli naślą na nią piechurów, szybko dostrzeże podmiankę i zrezygnuje z podejścia. Włożyła szary sweter i granatową spódnicę, ponieważ plamy koloru rzucają się w oczy, ułatwiając zadanie pracującym z oddali obserwatorom.

Niczego nie zakładała z góry: mogli śledzić ją zarówno jej rosyjscy koledzy, jak i amerykańscy prowadzący, choć z różnych powodów i licząc na diametralnie różne rezultaty. Amerykanie mogli na przykład iść za nią, żeby sprawdzić jej status. Ocena agenta nie kończyła się na werbunku. Lojalność i prawdomówność informatorów była sprawdzana ciągle i dokładnie.

Natomiast obserwatorzy z rosyjskiej rezydentury to zupełnie inna sprawa. Rezydent – doświadczony funkcjonariusz SWR, znany w służbie jako *jubocznik*, uganiający się za spódniczkami – mógł kazać ją śledzić z powodów czysto proceduralnych. Ale bardziej prawdopodobne było, że to Ziuganow nasłał na nią swoich pachołków, żeby dyskretnie znaleźli coś, co mógłby potem wykorzystać przeciwko niej. Wycieczka do Aten była rzadką, bezcenną wprost okazją do spotkania z Amerykanami – o takiej gratce marzyli wszyscy informatorzy próbujący nawiązać kontakt ze swoimi prowadzącymi. Jednak inklinacje jej rodaków, ich ciągła podejrzliwość, niezmiernie to utrudniały.

Wieczorem sosny na wzgórzu Likavitos pachniały jeszcze intensywniej, zwłaszcza że nawdychała się spalin samochodowych w niżej położonej Filothei. Za drzewami widziała już kolorowe światełka na szczycie i światła klasztoru Świętego Jerzego. Trasa sprawdzeniowa niczego nie wykazała, ani powtarzających się przechodniów, ani podejrzanego zachowania, ani podchodów „na żabkę”, ani śledzenia równoległego.

Było już ciemno. Zeszła z głównej ulicy i wytężając słuch, chwilę odczekała. Nic, cisza, ani samochodów, ani skuterów. Szept lekkiego wiatru poruszającego wierzchołkami sosen

mieszał się z cichym szumem leżącego w dole miasta. Wszystko szło według planu i miała mnóstwo czasu na niespieszny spacer przez pagórkowatą Kolonaki. Wstydliwie poprawiła włosy, wyobrażając sobie, jak otwierają się drzwi i witają ją wesołe znajome twarze. Wróciła na główną ulicę, skręciła w Koniari, potem w Merkouri. Wąziutkie uliczki były słabo oświetlone, a sufity mieszkań rozbłyskiwały na niebiesko od telewizorów. Z któregoś okna płynęła muzyka.

Dominika przecięła jezdnię i skupiając wzrok na dalszym planie, na odległym skrzyżowaniu, po raz kolejny sprawdziła, czy nikt za nią nie idzie. Szła za rzędem gęsto zaparkowanych samochodów, krokiem szybkim i płynnym, wciąż wypatrując podskakujących głów i ramion. Nagle poczuła zapach cynamonu i bakłażanów – ktoś piekł musakę. Idąc pod górę, z troszkę szybciej bijącym sercem skręciła w prawo, w Marasli, potem w lewo, w Distria Doras, doszła do ostatniego apartamentowca pod lasem, przystanęła w mroku i znów wytężyła słuch. Popatrzyła na linię dachów, na domy naprzeciwko, powiodła wzrokiem po ciemnych oknach. Żadnego ruchu ani błysku soczewek lornetki, ani rozchylonych firanek. Nacisnęła klamkę. Drzwi cicho zaskrzypiały.

Mała winda gwałtownie ruszyła do góry i jeszcze gwałtowniej zatrzymała się ze stukotem na najwyższym piętrze. Był tam mały podest i pojedyncze solidne drzwi. Tulipan, jej kryjówka. Z mieszkania nie dochodził żaden odgłos. Regulator wyłączył prąd, zgasła żarówka, zapadła ciemność, a ona nie mogła znaleźć włącznika. Nie było tam również niczego, co wyglądałoby na podświetlony guzik dzwonka, więc jak niewidoma zaczęła sunąć rękami po ścianie. Po prostu zapukaj, idiotko! Ale czy to na pewno to mieszkanie? Ta ulica? Po omacku dotarła do drzwi i przytknęła ucho. Nic, ani głosów, ani brzęku naczyń, ani muzyki.

Żarówka się zapaliła i krok za nią wyrósł Gable. Nie słyszała go ani nie wyczuła jego obecności i omal nie podskoczyła ze strachu.

– Nieźle, *bratok* – powiedziała szeptem. – Jak na twoje lata, całkiem nieźle. – Wyprostowała się i wzięła pod boki, zastanawiając się, czy nie zdzielić go torebką, w której miała buty. Zanim się zdecydowała i zanim Gable zdążył ją wyściskać, trzasnęły zamki – jeden, drugi i trzeci – drzwi się otworzyły i zobaczyła sylwetkę Nate'a, ciemną na tle przygaszonego światła wewnątrz.

– Widzę, że poznałaś już odźwiernego – powiedział.

– Czy on zawsze tak się podkrada? – spytała.

– Musi, inaczej uciekliby na jego widok.

Nate wprowadził ją do mieszkania, a Marty trzasnął zasuwami. Krótkim korytarzem z angielskimi miniaturami myśliwskimi na ścianach weszli do eleganckiego białego salonu z podłogą z szaro-białego marmuru. Na środku stała duża beżowa sofa i fotele obite tym samym materiałem, a z kilku dużych ceramicznych lamp na niskich stolikach sączyło się złotawe światło. Mógł to być ze smakiem urządzony salon zamożnego prawnika, bankiera czy telewizyjnego celebryty.

Dominika odwróciła się i za automatycznie rozsuwanymi beżowymi zasłonami zauważyła wysokie po sufit drzwi wychodzące na ogromny taras owijający się wokół całego dachu. Stały tam kanapy, krzesła i rośliny w donicach dyskretnie oświetlone przez wpuszczone w ściany lampy. Wyszła na taras i popatrzyła na sieć mrugających światełkami ulic i na oświetlone wzgórze Akropolu górujące nad miastem jak łódź na spokojnej wodzie. Za rogiem tarasu w górę strzelał las na wzgórzu Likavitos. Usłyszała kroki Nate'a i poczuła jego rękę na ramieniu. Odwróciła się, pocałował ją i poczuła

znajomy smak jego ust. Boże, tutaj? Teraz? Ale nie, nie chciała, by przestał.

Odsunął się z uśmiechem.

– Gable jest w kuchni, ale zaraz przyjdzie. Napijesz się czegoś?

Pokręciła głową.

– Tęskniłam – szepnęła. Położyła mu rękę na ramieniu i przykrył jej dłoń swoją. Wystarczyła jedna pozbawiona słów chwila i znów było tak, jakby nigdy się nie rozstawali.

O balustradę tarasu opierała się Marta. Warto było zaczekać. Zawsze warto.

– Napracowałaś się – powiedział Nate. – Benford, Forsyth, wszyscy jesteśmy pod wrażeniem. Twoje raporty są niezwykłe, tak jak… ty – dodał cicho.

Wczytała się w jego twarz, w fioletową aureolę wokół głowy i roześmiała się.

– Oj, *duszka*, umiesz schlebiać kobietom. Mam wam dużo do powiedzenia.

Już dawno postanowiła nie mówić im o uwiedzeniu Jewgienija, ani Nate'owi, ani pozostałym. Nie miała się czego wstydzić. To była jej praca i zrobiłaby wszystko, dosłownie wszystko, żeby wywiązać się ze swoich obowiązków, mimo to nie szukała aprobaty i nie chciała widzieć ich znaczących spojrzeń. Powie tylko, że Jewgienij bał się Ziuganowa i mu nie ufał, i że zawarli sojusz. Tak, wystarczy podsunąć im mroczną rosyjską teorię spiskową i ze zrozumieniem pokiwają głowami. Jasne, wszyscy z wyjątkiem obdarzonego intuicją Gable'a, mądrego Forsytha i Nathaniela, którego serce w trzy sekundy rozgryzie jej duszę.

– Jak długo możesz dzisiaj zostać? – spytał Nate. Gable wyszedł na taras, pchając przed sobą wózek z drinkami.

– Zatrzymałam się w Lovable Experience Four – odrzekła. – Mimo nazwy jest całkiem, całkiem. Ambasada o tym nie wie. Nalegałam na pełną anonimowość, żeby wyglądało to na typową kontrolę z Zarządu KR. Ziuganow oddał nam przysługę, wysyłając mnie do Grecji. Dwa tygodnie. Mamy do dyspozycji wszystkie wieczory, a przynajmniej większość, chyba że będę musiała być w rezydenturze. Ziuganow myśli, że ten informator z GRU działa w Moskwie. Chce się tym zająć i usunął mnie z drogi, żebym mu nie przeszkadzała.

Marty i Nate milczeli; oficerowie prowadzący nigdy nie komentowali uwag informatora.

– W przeddzień mojego wyjazdu Zarubina przysłała raport z Waszyngtonu – ciągnęła. – Ziuganow nie wie, że o tym wiem. – Wzięła kieliszek z wózka i podniosła go jak do toastu. – *Na zdorowje*.

– Co napisała? – spytał Nate. Domyślali się odpowiedzi i bali się jej.

Wierzchołkami drzew poruszył lekki podmuch wiatru.

– Nawiązała kontakt z informatorem o kryptonimie Tryton. To musi być ktoś z waszych służb.

– Ale co napisała? – powtórzył Nate. Był zdenerwowany, jego aureola intensywnie pulsowała.

– Podejrzewają teraz, że Liryk działa tutaj, w Atenach. – Odpowiedź najgorsza z możliwych.

Dominika usłyszała hałas i odwróciła się. Na taras wyszedł Benford, który cały czas był w kuchni. W ciemnym garniturze, przekrzywionym krawacie i ze ściereczką na ramieniu, niósł półmisek *dolmades*, błyszczących od oliwy liści winogron nadziewanych ryżem. Postawił go na wózku. Uścisnęła mu rękę.

– Miło cię widzieć, Dominiko – powiedział. – Wszystko dobrze?

Gable dolał im wina.

– Domi opowiadała właśnie…

– Tak, słyszałem – przerwał mu Benford. – Czy Zarubina wspomniała w depeszy, jak Tryton nawiązał z nią kontakt? – Podwójny agent przestał działać, pomyślał, i Tryton musiał znaleźć inny sposób. Nasz chłoptaś jest pomysłowy i… wygłodniały.

– Nie wiem – odparła. – Nie widziałam tej depeszy. – Czuła, co zaraz będzie.

– Więc skąd masz tę informację? – drążył Benford.

Spojrzeli na nią wszyscy trzej.

– Od Jewgienija Pletniewa, zastępcy Ziuganowa.

Nie zdając sobie sprawy ze swojego okrucieństwa, Benford bezlitośnie pytał dalej:

– W jednym z raportów, chyba w szóstym, napisałaś, że Ziuganow odciął cię od informacji. – Miał nieludzką pamięć i wszystko pamiętał. – Ten Pletniew powiedział ci wbrew jego rozkazom?

– Nie, wymusiłam to na nim – odparła Dominika. – Jewgienij się go boi. Przekonałam go, że możemy się wzajemnie kryć. – Wiedziała, że zabrzmiało to mgliście i nieprzekonująco. Nie śmiała spojrzeć na Nathaniela. – Poza tym widział, jakie wrażenie zrobiłam na Putinie, zwłaszcza kiedy zaprezentowałam waszą trasę wodną, *gospodin* Benford – dodała. – Postawił na mnie, liczy na to, że go ochronię. Wszyscy Rosjanie umieją… *wysłużywat'sia*. Jak to jest po angielsku?

– Podlizywać się – przetłumaczył Nate, zerkając na nią z ukosa.

– Dużo zaryzykowałaś, werbując tego kochasia – zauważył Gable. – Odsłoniłaś się i…

– On nie jest moim kochasiem. – Powiedziała to trochę za szybko.

– Nie, chodziło mi tylko o to, że zaryzykowałaś i…

– Pletniew nie piśnie nikomu ani słowa, za dużo mi powiedział. On się boi.

Boże, to straszne. Te kamienne twarze, te spokojne kolory i wszystkowidzące oczy. Udranka roześmiała się, odsłaniając zęby. Nic im nie jesteś winna, ani wyjaśnień, ani przeprosin.

– Dobrze – mruknął Benford. – O sprawach bezpieczeństwa porozmawiamy później. Wejdźmy do środka. Mamy dużo pracy.

Dominika już przedtem zdjęła półbuty i włożyła czółenka, ale gdy usiedli przy zasłanym papierami marmurowym stoliku do kawy, zdjęła i czółenka. Gdyby spojrzeli w okno, na wschód, zobaczyliby srebrzysty sierp księżyca wschodzącego nad Hymetem. Postronny obserwator powiedziałaby pewnie, że są kolegami z pracy, którzy opracowują plan kampanii reklamowej jakiegoś produktu. Dominika była rosyjską informatorką, lecz z biegiem czasu stała się również członkinią ich bezimiennego zespołu, grupy specjalistów, którzy na przekór wszystkiemu pragnęli osiągnąć to, co było nieosiągalne, i odpierając atak nie do odparcia, zdobyć to, co było nie do zdobycia.

Benford, Gable i Nate robili notatki, rozmowa była rzeczowa, lecz serdeczna. Od czasu do czasu ktoś tłumił śmiech. Nate nagrywał wszystko na talona. Benford prowadził ich jak wytrawny dyrygent, omawiając informacje o bieżących działaniach SWR, raporty SRAC i przypominając Dominice, że musi je starannie numerować. Przedyskutowali sprawę Ziuganowa, przejrzeli najnowsze wiadomości w sprawie kontraktu z Iranem, porozmawiali o prezydencie Putinie i Zarubinie, przeanalizowali sposoby zdemaskowania Trytona. Powiedzieli jej o podejrzanym odwołaniu attaché wojskowego z Caracas, a ona obiecała to sprawdzić. Nate poruszył kwestię zwiększenia liczby raptorów ze względu na elastyczność terenową i zajrzeli do planu Moskwy, szukając najlepszych

miejsc na spotkania twarzą w twarz, gdyby doszło do awarii sprzętu. Takie spotkania – między rosyjskim informatorem i jego moskiewskim prowadzącym – wiązały się ze skrajnym ryzykiem. Dominika wskazała *Worobjowy Gory*, Wzgórza Worobiowe, gęsto zadrzewiony park na Łużnikach, w zakolu rzeki Moskwy. Rozciągał się w pobliżu tętniącego życiem uniwersytetu, miał mnóstwo wejść i wyjść i można tam było łatwo dojechać. Wróble Wzgórza, na których roi się od jaskółek, pomyślał Nate. Nie mogłaś lepiej wybrać.

Gable przyniósł Czerwoną Trasę Numer Dwa, plan eksfiltracji, gdyby Dominika musiała uciekać z Rosji. Analizowali go godzinę, aż zapamiętała wszystkie terminy, trasy i miejsca. Częścią Dwójki był mały pakunek z wyposażeniem, który Marty otworzył, żeby obejrzała jego zawartość – jeśli lokalizacja zostanie zatwierdzona, będą musieli dostarczyć go na Wzgórza Worobiowe, gdzie Dominika osobiście go odbierze. Nate spocił się, wyobrażając sobie anonimowego agenta CIA, który krąży po parku, trzymając w rękach jej życie. I nagle uświadomił sobie, że agentem tym będzie na pewno Hanna Archer, jej prowadząca. Hanna. Nerwowo zamrugał i poprawił się na krześle.

Benford siedział wygodnie na sofie, z przymkniętymi oczami słuchając słów Dominiki. Zasłony poruszały się na lekkim wieczornym wietrze. Po dwóch godzinach nasiadówki Nate poszedł z Gable'em do kuchni po szklanki.

– Ona jest niesamowita – rzucił Marty. – Większość agentów przywozi jeden raport i kilka fragmentów drugiego. A ona przychodzi z całą, kurwa, encyklopedią.

– Jeśli Rosjanie rzeczywiście podejrzewają, że Liryk działa w Atenach, uratowała mu życie. Teraz generał musi mnie posłuchać. Trzeba go ewakuować.

– A co ci mówiłem? – powiedział Gable. – Najlepszym gwarantem bezpieczeństwa operacyjnego jest penetracja przeciwnika.

Nate oparł się o blat.

– Jak choćby Pletniewa.

– A ty co? – warknął Marty. – Masz do niej pretensje? Do tego ją wyszkolono. Czego ty od niej chcesz?

– Niczego. Po prostu bardzo ryzykowała.

– Nie spytasz jej, czy poszła z nim do łóżka? Jesteś jej prowadzącym, powinieneś wiedzieć o niej wszystko: co wie, jak się tego dowiedziała i jaka jest jego ulubiona pozycja.

Nate przestąpił z nogi na nogę.

– Marty, jeśli chcesz mnie wkurzyć, jesteś na bardzo dobrej drodze.

– Miejmy tylko nadzieję, że nie złapała trypra.

– Wal się, dobra?

– Co ci mówiłem, głupi szczawiu? Zakochasz się, zainwestujesz kapitał emocjonalny i pewnego dnia oberwiesz po dupie, bo jedno z was będzie musiało zrobić swoje, kto wie, może tak jak ona w Moskwie. Ale ty mnie nigdy nie słuchasz.

Gable wziął tacę.

– Zdecyduj się: albo chcesz być rozważnym oficerem, który prowadzi agenta umiejętnie i z wyobraźnią, albo małym, płaczliwym wymoczkiem z kościelnego chóru, któremu wiecznie drży dolna warga.

Ruszyli do drzwi.

– Kurczę, Marty – rzucił Nate. – Teraz to już w ogóle nie umiem się zdecydować.

DOLMADES – GRECKIE GOŁĄBKI NA ZIMNO

Dokładnie mieszamy ryż, pietruszkę, koperek, miętę, drobno posiekaną cebulę i rodzynki. W każdy zblanszowany liść winogron zawijamy łyżeczkę nadzienia. Tak zrobione gołąbki, warstwa na warstwie, układamy ciasno jeden obok drugiego na dnie wyłożonego liśćmi garnka. Dolewamy wody – tylko tyle, aby przykryła zawartość garnka – skrapiamy gołąbki oliwą i dodajemy trochę masła. Przygniatamy gołąbki ciężkim talerzem i gotujemy pod przykryciem na średnim ogniu, aż ryż dojdzie, mniej więcej godzinę. Podajemy na zimno z cytryną.

26

Dziewiąta wieczorem. Ziuganow siedział na tylnym siedzeniu łady nivy, małej terenówki należącej do moskiewskiej policji. Za kierownicą papierosa palił policyjny kierowca po cywilnemu, a obok niego tkwiła nieruchomo Jewdokia Buchina, nowa protegowana pułkownika. Buchina patrzyła przed siebie na tonące w półmroku drzwi domu pół ulicy dalej. Była w lekkim kaftanie i spodniach, a pod rozpiętym kaftanem miała biały podkoszulek opinający biust, którego nie powstydziłaby się niejedna mezzosopranistka. Kierowca chciał poczęstować ją papierosem, ale ani na niego nie spojrzała, ani w ogóle nie zareagowała, więc wzruszył tylko ramionami, myśląc, że coś z nią nie tak, jak z każdym babochłopem. Gdyby wiedział, co bulgocze pod tymi czarnymi odrostami, za szarymi jak granit oczami albo między grubymi jak słupy udami, natychmiast by wysiadł i dokończył papierosa przy tylnym zderzaku.

Ziuganow spojrzał na zegarek. Jeszcze pięć minut i tam wejdą. Zapuszczony trzypiętrowy dom w dzielnicy Golanowo, drzwi, wąskie schody i mieszkanie, gdzie Madeleine Didier, druga sekretarz kulturalny ambasady francuskiej – a tak naprawdę szefowa trzyosobowej placówki Direction Générale de la Sécurité Extérieure (DGSE), francuskiej służby wywiadowczej – spotykała się z młodym moskwianinem pracującym w wydziale planowania Siewmaszu, największego rosyjskiego przedsiębiorstwa stoczniowego. DGSE urabiało go od roku, ale nie po to, by wykraść plany balistycznego okrętu

podwodnego najnowszej generacji, tylko po to, aby zebrać informacje na temat samego Siewmaszu, co zagwarantowałoby lepszą pozycję przetargową firmom takim jak STX Europe, która na korzystnych warunkach chciała sprzedawać Moskwie okręty zbudowane we Francji.

Śledztwo jak zwykle zaczęło się od jakiegoś drobiazgu, ale potem zrobiło się gorzej. Pewnego deszczowego popołudnia agenci FSB trafili za nieostrożną Didier do restauracji, gdzie spotkała się z równie nieostrożnym pracownikiem Siewmaszu. Jedno spotkanie, drugie – po trzecim specjaliści z FAPSI, Federalnej Agencji do spraw Komunikacji i Informacji Rządowej, zaczęli przechwytywać depesze DGSE dokumentujące postępy operacyjne w sprawie werbunku moskwianina, którego zdążono już „pokryć watą", całodzienną obserwacją w domu, pracy i podczas zabawy.

Ziuganow nie rozumiał niuansów szpiegostwa handlowego. Wiedział jedynie, że w Moskwie działają agenci obcej służby wywiadowczej i że prezydent Putin rzucił do walki z nimi SWR oraz jego. Podczas jakże radosnej dziesięciominutowej rozmowy w cztery oczy (pułkownik przyrzekł sobie, że w przyszłości rozmów takich będzie dużo więcej) kazał mu zająć się sprawą w „specjalny" sposób, aby Francuzi zrozumieli, że Rosja nie jest głupia i że „jednym uderzeniem łapy" rosyjski niedźwiedź może zniweczyć ich operację. Nadmienił także, że od lat respektowana konwencja o niestosowaniu przemocy między przedstawicielami tajnych służb „w tym przypadku nie obowiązuje". Kazał mu zasiać strach i wstrząsnąć Francuzami, aby wyzbyli się wreszcie „tej cuchnącej czosnkiem arogancji" i zaczęli sprzedawać okręty „na rosyjskich warunkach", czyli na warunkach, jakie osobiście im postawi, to znaczy, za przelaną na tajne konto łapówkę. Ziuganow przestał go słuchać po

słowach „zasiać strach”, bo układał już w myśli plan ataku na miejsce następnego spotkania DGSE.

Od swojego debiutu na Butyrkach Ewa pięknie się rozwijała, ale chciał ją sprawdzić w mniej stabilnej atmosferze działań terenowych, zobaczyć, jak sobie poradzi z przeciwnikiem nieprzywiązanym do krzesła czy stołu.

– Ewa – rzucił cicho i Buchina otworzyła drzwi. Wysiadła, obeszła samochód i stanęła obok niego w babcinych okularach, w których odbijało się światło latarni.

Drzwi i słabo oświetlone schody: Buchina szła przodem i zauważył – bez cienia lubieżnych myśli – że ma dobrze rozwinięte mięśnie pośladkowe, które bardzo ładnie pracują. Ciągnął się za nią zwierzęcy zapach koni, siana i obory.

Korytarz na drugim piętrze tonął prawie w zupełnej ciemności, ale pokonała go bezszelestnie i przystanęła przed wiadomymi drzwiami. Zerknęła na niego, a gdy skinął głową, cicho zapukała, tylko dwa razy. Pochwalił ją w myśli: nie załomotała do drzwi jak milicja, zapukała jak sąsiadka, która przyszła pożyczyć trochę masła. Drzwi uchyliły się i w szparze ujrzeli twarz jakiegoś mężczyzny.

– Muszę zatelefonować – powiedziała po rosyjsku Ewa płaczliwym, zalęknionym głosem.

Zanim tamten zdążył odpowiedzieć, pchnęła drzwi ramieniem, wyrywając łańcuch. Wyważone drzwi z impetem uderzyły mężczyznę w twarz i go powaliły, i wszedłszy do mieszkania, Ziuganow zobaczył, jak Buchina dźwiga go z podłogi. Stanęła za nim, jedną ręką chwyciła za czoło, drugą za podbródek, gwałtownym szarpnięciem skręciła mu kark, po czym rzuciła go na podłogę jak worek z mokrym praniem. Z kuchni wyszedł następny ochroniarz, w kurtce, i sięgnął za pazuchę po broń, ale chwyciła go za nadgarstki i wepchnęła z powrotem do kuchni. Ziuganow usłyszał brzęk tłuczonych

talerzy, zwierzęcy ryk i wyszła na korytarz z zakrwawioną twarzą, po czym kilka razy splunęła na wykładzinę. Pułkownik zajrzał do kuchni. Mężczyzna siedział na podłodze, trzymając się za szyję, a spomiędzy jego palców tryskała krew, bardzo daleko, bo aż na sąsiednią ścianę. Przy jego nodze leżał nóż do cięcia linoleum, krótki i zakrzywiony jak ptasi dziób. Ziuganow nigdy nie widział takiego u Buchiny.

No i po francuskiej ochronie, która miała zabezpieczyć miejsce tajnego spotkania. Byli w mieszkaniu od dziesięciu sekund.

Błysnęły okulary – Ewa zdjęła zbryzgany krwią kaftan i wytarła nim twarz. Ziuganow skrzętnie odnotował, że nawet się nie zadyszała, ale że sterczą jej sutki pod ciasnym podkoszulkiem. Przytknął palec poniżej jej podbródka i stwierdził, że ma równy puls. Podniósł rękę – za mną, tylko po cichu – i wszedł do krótkiego korytarza. Spod drzwi do sypialni sączyło się światło. Pułkownik sięgnął za siebie i ze skórzanej kabury u pasa wyjął automatycznego gawrona MP443. Nacisnął klamkę.

– *Qu'est-ce qui a fait ce bruit*? – spytał ktoś w środku. Co to za hałasy?

Ziuganow pchnął drzwi.

Na krześle przy łóżku siedziała Madeleine Didier w białej bluzce i granatowej spódnicy. Na kolanach miała notes. Moskwianin półleżał na łóżku, opierając się o wezgłowie. Oboje zamarli na widok upiornej pary rodem z rosyjskiego teatru kukiełkowego, karłowatego trolla z pistoletem, którego rękojeść nie mieściła mu się w dłoni, i szarookiej matrony z poprawczaka z sutkami sterczącymi jak pokrętła sejfu.

Buchina stanęła za Francuzką, czułym gestem objęła ją ramieniem za szyją, dźwignęła z krzesła i unieruchomiła. Ziuganow podszedł do Rosjanina, przykrył mu poduszką twarz

i wystrzelił. Prawie nie było huku, ale poduszka zaczęła tlić się od gorących gazów wylotowych. Didier wpadła w przerażenie, kiedy pułkownik odsłonił twarz jej informatora i wezgłowie oblepione czymś, co wyglądało jak mus jabłkowy. Wykonawszy egzekucję na zdrajcy, Ziuganow przeszedł do następnego punktu programu prezydenta Putina: musiał teraz zasiać strach, pogwałcić obowiązującą między szpiegami dżentelmeńską umowę i wysłać Francuzom jednoznaczną wiadomość. Skinął Buchinie głową, która obserwowała go, łagodnie, lecz nieustępliwie ściskając za gardło Francuzkę.

Byli w mieszkaniu od półtorej minuty.

Madeleine Didier – mężatka, dwoje dzieci – miała czterdzieści sześć lat, ostre rysy twarzy i długie do ramion czarne włosy. Karierę w nieskruszenie szowinistycznej DGSE zrobiła dzięki swojej inteligencji, aparycji i uporowi, z jakim walczyła z zakalcowatymi croissantami, kolegami po fachu, którzy próbowali wypchnąć ją za linię boczną, zablokować jej awans albo położyć jej na kolanach swoje mlecznobiałe łapska. Gdy zupełnie niespodziewanie zaproponowano jej tę moskiewską synekurę, postanowiła odznaczyć się w działalności operacyjnej, tak jak odznaczyła się w administracji. Sprawa Siewmaszu bardzo zainteresowała analityków z Basenu (paryska siedziba DGSE mieściła się w pobliżu basenu pływackiego, stąd jej przydomek: *La Piscine*) i Madeleine szybko wyczuła, że dzięki zdobytym w Moskwie informacjom może zapewnić sobie większe wpływy polityczne w Paryżu, gdzie zamierzała wrócić za rok.

Ale nawet stojąc na czubkach palców – wciąż podtrzymywana przez tego stwora rodem z lunaparku – nie do końca rozumiała, że jej przyprawiająca o zawrót głowy wyprawa do cudownej, skrzącej się szampanem krainy intryg i międzynarodowego szpiegostwa została nagle przerwana

przez dwie wyposażone w racice pierwotne bestie, o których słyszało niewielu z żyjących w zalanym słońcem świecie. Dla Madeleine Didier i dla DGSE okrutna Moskwa leżała o jedną planetę za daleko, dlatego z lekkim niedowierzaniem i typowo francuskim oburzeniem przyjęła fakt, że bezceremonialnie rzucono ją na łóżko, zdarto z niej bluzkę, spódnicę, stanik i *culottes* (od Chantelle), zdjęto skórzane czółenka Saint Laurent Escarpin (za czterysta sześćdziesiąt euro) i ciśnięto je w kąt pokoju. Ale na poważnie zaniepokoiła się dopiero wtedy, kiedy związano jej ręce za plecami.

Buchina zwlokła ją z łóżka, postawiła na nogi, zarzuciła jej na szyję pętlę z kabla elektrycznego i mocno ją zacisnęła, tłumiąc głośne protesty, które wraz ze zwiększającym się uciskiem na gardło ustąpiły miejsca serii krótkich, przeraźliwych krzyków przerywanych chrapliwym sapaniem. Ewa pchnęła ją na drzwi, jedną ręką objęła w talii i podniosła, niewysoko, ot, ledwie trzy centymetry nad podłogę. Wolną ręką przerzuciła kabel przez drzwi i okręciła nim klamkę, tę od strony korytarza. A potem zrobiła krok do tyłu. Kabel się napiął, zatrzeszczały nadmiernie obciążone zawiasy, zaprotestowała klamka, ale stopy Madame Didier dyndały już w powietrzu, pięty waliły już w drzwi, związane ręce drapały drewno, kabel coraz mocniej wrzynał się w szyję, przekrzywiając głowę i zmuszając Madeleine do otwarcia ust, z których wypływała strużka śliny. Ewa przyglądała się jej z bliska przez druciane okulary. Zadygotały ramiona i nogi, oczy przestały mrugać i rozszerzyły się z niedowierzania i przerażenia, że coś takiego przytrafia się akurat jej, szefowej placówki DGSE w cywilizowanej Moskwie, żonie czekającego na nią męża, właścicielce jeszcze ciepłych kosztownych bucików ciśniętych w kąt pokoju.

Ziuganow i Buchina byli w mieszkaniu od czterech minut.

Drgawki w końcu ustały i Madeleine znieruchomiała. Ewa odchyliła jej głowę, spojrzała na siną, sflaczałą twarz i zerknęła na pułkownika, który chował właśnie do kieszeni notes Francuzki i jej telefon. Wysypał na podłogę zawartość jej torebki, żeby policja znalazła paszport, i jeszcze raz spojrzawszy na martwego Rosjanina, dał Buchinie znak, że już pora. Kiedy otworzyli drzwi, ciało Madeleine Didier zakołysało się i na twarz opadł jej kosmyk włosów. W korytarzu leżał Monsieur Skręcony Kark, więc przestąpili nad nim, weszli do kuchni i ominąwszy kałużę krwi, Ziuganow podniósł pokrywkę ciepłego garnka stojącego na kuchence. Była to rosyjska zupa z soczewicy, jego ulubiona, więc wziął garnek i dwie łyżki, usiadł na sofie i zaczął jeść. Całkiem, całkiem, skonstatował, ale dodałbym trochę więcej kminku. Ewa, jego genetycznie wypaczona machina zemsty, zastygła bez ruchu z łyżką nad garnkiem, z respektem czekając, aż Ziuganow zanurzy swoją.

– Śmiało – rzucił pułkownik. – Częstuj się.

Przejrzał pierwszy raport Jegorowej. Metodycznie przesłuchiwała pracowników wszystkich sekcji ateńskiej ambasady, wysyłając uspokajające meldunki zaszyfrowanymi kanałami. Może tam sobie siedzieć i szukać, ile zechce, pomyślał, tymczasem ja zawężę krąg podejrzanych i złapię zdrajcę, który sprzedaje Amerykanom nasze tajemnice. I zrobię to tutaj, w Moskwie.

Z Irańczykami też dobrze się układało. Kilka razy umówił grube ryby z sektora energetyki, w tym Gowormarienkę, na spotkanie z ponurymi przedstawicielami AEOI, Irańskiej Agencji Energii Atomowej: omawiano już szczegóły kontraktu, warunki zakupu i dostawy oraz sposób transportu reaktywnej

sejsmicznie posadzki. By pewny, że prezydent Putin uważnie śledzi postępy w rokowaniach i docenia jego zasługi. Przed jednym z pierwszych spotkań wziął na bok Naghdiego, przedstawiciela irańskiego Ministerstwa Wywiadu i Bezpieczeństwa, i zarysował mu koncepcję transportu zamówionego sprzętu wodami wewnętrznymi, przez Rosję do Morza Kaspijskiego, co zagwarantowałoby całkowitą tajność operacji. Przedstawił plan jako własny, dodając, że rosyjscy specjaliści „przedyskutowali już jego wykonalność". Brodaty Irańczyk patrzył na niego spode łba, ale był pod wrażeniem. Ziuganow marzył, żeby Ewa zrobiła mu głęboki masaż dłutem ciesielskim.

Ewa. I Jegorowa. To byłby dopiero taniec. Zastanawiał się, czy nie wysłać Buchiny do Aten, żeby zaaranżowała tam jakiś wypadek. Wiedział, że nie może zlikwidować Jegorowej w sposób jawny i oczywisty: wpadła w oko prezydentowi. Ale Ewa mogłaby na przykład wepchnąć ją pod samochód, zrzucić ze schodów albo skręcić jej kark w śliskiej wannie. Najpyszniej by było, gdyby Jegorowa nagle zniknęła. Śledztwo poprowadziłby Zarząd KR. Uprowadzenie, przypadkowe utonięcie, dezercja – mógłby zwodzić wszystkich w nieskończoność.

Mimo to zabójstwo byłoby bardzo ryzykowne, zwłaszcza że Putin otaczał ją coraz czulszą opieką. Oczywiście Ziuganow nie zamierzał rozmawiać o tym ze swoim włochatym zastępcą. Jegorowa coraz bardziej go pociągała, a przynajmniej ślinił się na jej widok obficiej niż na widok innych kobiet z zarządu. Nie, pomyślał, wykluczone. Pletniew odpada. Nacisnął guzik na telefonie.

Ewa zjawiła się już dwie minuty później. Jak zwykle w szarej sukience nadzorczyni z poprawczaka, grubych pończochach, ciężkich czarnych pantoflach na grubym obcasie i jak zwykle

z przylizanymi blond włosami, na platfusowatych nogach weszła do gabinetu lekko pochylona, jakby chciała gdzieś zaraz czmychnąć. Stanęła przed biurkiem ze złączonymi obcasami i spojrzała na niego jak cyrkowa foka na stynkę w ręku tresera.

Ziuganow odchylił się do tyłu.

– Usiądź – rzucił surowo. Buchina usiadła sztywno obok biurka i położyła na kolanach pożółkłe ręce.

– Jestem z ciebie zadowolony, Ewo. Bardzo zadowolony. – Buchina bez słowa kiwnęła głową. Błyszczały jej okulary i nie widział jej oczu.

– Byłaś kiedyś za granicą? – spytał. Pokręciła głową. Boże, jakby rozmawiał z szympansem za pomocą tablicy symboli.

– Niewykluczone, że będziesz musiała wyjechać. To jeszcze nic pewnego, ale chciałem cię uprzedzić.

Ewa znów kiwnęła głową.

– Wedle rozkazu – powiedziała. – Jestem gotowa wyjechać w każdej chwili. Dokąd?

– To jeszcze nic pewnego – powtórzył ostrożnie. – Masz rodzinę? – Wyobraził sobie kolację w domu Buchinów.

Pokręciła głową.

– A kogoś bliskiego, jakiegoś mężczyznę? – Doszedł do wniosku, że warto by dowiedzieć się czegoś o jej zwyczajach.

– Kiedyś jednego poznałam – odparła enigmatycznie. Nie było do końca jasne, czy zawarła z nim znajomość, czy poszła z nim do łóżka, czy po prostu go zjadła. Poprawiła się na krześle, jakby poruszyły ją wspomnienia.

– Na pewno poznasz jeszcze wielu nowych przyjaciół – powiedział, zastanawiając się, co z nią zrobi, kiedy zostanie zastępcą szefowej SWR. – Dziękuję, to wszystko. Dam ci znać.

Buchina wstała i w prawie kobiecy sposób wygładziła sukienkę.

– Wedle rozkazu – powtórzyła. – Jestem gotowa wyjechać w każdej chwili.

Gdyby nasłał na Jegorową tego prehistorycznego stwora, żałowałby tylko jednego, tego, że nie zobaczy, jak ta suka umiera. Zanotował w pamięci, żeby sprawdzić, czy nie dałoby się sfilmować zabójstwa stacjonarną kamerą. Aha, tylko koniecznie ze ścieżką dźwiękową.

ROSYJSKA ZUPA Z CZERWONEJ SOCZEWICY

Na niewielkiej ilości tłuszczu podsmażamy do miękkości posiekaną cebulę, przeciśnięty czosnek i pokrojone w kostkę morele. Dodajemy soczewicę, kminek, oregano, pokrojone w kostkę pomidory, miód, sól i pieprz, następnie zalewamy bulionem drobiowym. Zagotowujemy i gotujemy na wolnym ogniu do uzyskania pożądanej gęstości. Podajemy na ciepło lub w temperaturze pokojowej, z miętą i kwaśną śmietaną.

27

Przed drugim spotkaniem w Tulipanie Nate zgarnął ją o zmierzchu w Ambelokipi, po czterogodzinnej trasie sprawdzeniowej. Spojrzał na zegarek, żeby upewnić się, czy zdąży – do celu miał jeszcze cztery minuty – zerknął w głąb wąskiej Fokios – czysto – zwolnił i skręcił w Levadias. Na skrzyżowaniu stał samochód ze skręconymi przednimi kołami, znak, że ktoś może go śledzić, ale sekundę później za samochodem zobaczył staruszkę, która wkładała pudła do bagażnika i nie zareagowała, kiedy ją mijał. Gdy znów zwolnił przed skrętem w rozwidlenie, spod zielonej markizy nad wejściem do drogerii wyszła Dominika, która silna i zwinna jak baletnica wsiadła do wciąż poruszającego się samochodu i zamknęła drzwi. Natychmiast pochyliła się i sięgnęła pod fotel, a kiedy usiadła prosto, była już w długiej blond peruce i wielkich przyciemnionych okularach. Elegancka słowiańska piękność z upiętymi włosami w cztery sekundy zmieniła się w tlenioną blondynkę nieco podejrzanego autoramentu, która jedzie na kolację z kochankiem. Nate spojrzał na nią, gdy zapinała pas.

– Nigdy nie myślałem, że jako blondynka możesz wyglądać… tak seksownie. – Chciał zażartować i powiedzieć „jak dziwka”, ale na szczęście tym razem jego mózg pracował szybciej niż usta. W dusznym, zakurzonym samochodzie zawisły słowa Gable’a.

Dominika wygładziła perukę, roześmiała się i zerknęła na niego z ukosa. Rytmiczny fiolet.

– Dziękuję, *Niejt*. Kto wie, może się przefarbuję. W ambasadzie nikt by mnie nie poznał.

– Nie zastanawia ich, gdzie spędzasz wieczory?

– Nie. Za kilka dni idę na przyjęcie u rezydenta, a w przyszłym tygodniu na koncert w ambasadzie. To wystarczy. Poza tym nikt nie śmie spytać kapitan Jegorowej z Zarządu KR, co robi w Atenach.

– Cieszę się, że pani kapitan Jegorowa z Zarządu KR spędzi ten wieczór z nami. Dziś będą wszyscy. Benford siedzi od rana z Forsythem i Gable'em, coś knuje.

– Ciebie tam nie było?

Pytała żartobliwie, ale pytanie wymagało wymijającej odpowiedzi. Próbował skontaktować się z Lirykiem i namówić go do ewakuacji, lecz generał się nie pokazał. Stary, uparty osioł. Ale nie, nie mógł jej o nim powiedzieć.

– Cały dzień byłem w sekcji politycznej – odparł. – Musimy być mili dla kolegów z ambasady. – Ponuro odnotował, że „opowiastka" i „kłamstwo" są określeniami wymiennymi.

– Myślisz, że długo będziemy dzisiaj siedzieli?

– Prawdopodobnie. Kupiłem jedzenie. – Na tylnym siedzeniu miał kilka toreb. – Dlaczego pytasz? Musisz wcześniej wrócić?

– Nie, po prostu byłam ciekawa.

Skręcił w sześciopasmowy Alexandros Boulevard, rozpoczynając stromy podjazd na wzgórze Likavitos; chciał przeciąć Neapoli, zaparkować w cichej uliczce i resztę drogi pokonać piechotą.

– Zastanawiałam się, kiedy będziemy mogli zostać sami – dodała.

Stali w połowie ulicy, w korku na cztery pasy szerokim i dziesięć samochodów głębokim. Czekali na zmianę świateł.

Między rzędami samochodów przemykali niepewnie motocykliści, chcąc wysunąć się jak najbardziej do przodu, jak najbliżej skrzyżowania; byli jak pierwsi osadnicy na starcie wyścigu po najlepszą działkę. Nate odruchowo spojrzał w lusterka i nachylił się ku niej.

– Sami? – powtórzył. – Czyżbyś coś sugerowała?

Odgarnęła z oczu kosmyk jasnych włosów i powiodła palcami po jego policzku. Nate nachylił się jeszcze bardziej i ich usta prawie się zetknęły. Dominika zamknęła oczy.

– Myślałam o dodatkowym szkoleniu w sposobach obsługi nadajnika krótkiego zasięgu – odrzekła. – Albo… bliskiego.

– Bardzo bliskiego? – Musnął ustami jej usta.

– Oj, bardzo. – Objęła go za szyję i pocałowała.

Zmieniło się światło i wybuchła typowo ateńska histeria, bo czterdzieści samochodów zaczęło trąbić, bo jakiś *malaka*, głupi palant, nie chciał ruszyć z miejsca i blokował im drogę.

Forsyth otworzył drzwi, chwycił ją za rękę i wciągnął do środka. Wymienili obowiązkowe rosyjskie pocałunki – w lewy policzek, prawy i znowu w lewy – potem objął ją i zaprowadził do salonu, tak że obwieszony torbami Nate musiał zamknąć drzwi i zasunąć zasuwy. Pozostali już tam byli, stali wokół tacy z napojami. Jej zespół. Jej rodzina. Z kuchni wyszedł Nate. I jej ukochany. Wciąż miała na ustach jego smak, wciąż czuła to mrowienie.

Coś się działo, coś się stało. Kiedy się do nich uśmiechała, kiedy ściskała im ręce i brała kieliszek, jej czarodziejski umysł chłonął wszystkie szczegóły. Pokój wypełniały niespokojne obłoki. Agenci byli rozluźnieni i cisi, ale chyba zbyt cisi. Grali tak dobrze, że z trudem wyczuła, że coś jest nie tak. Skąpany

w artystycznie niebieskiej mgle Forsyth – jasnoszary garnitur, granatowy krawat – przeczesał ręką przyprószone siwizną włosy. Tonący w gorącym fiolecie *bratok*, jej starszy brat Gable – koszula, podwinięte rękawy, grube ramiona – patrzył na nią, jak kiedyś jej nauczyciel ze szkoły baletowej. Benford – przekrzywiony krawat, rozczochrane włosy, wygnieciony ciemny garnitur – był w innym świecie, w wypełnionym granatową poświatą atelier zegarmistrzowskiego nestora, mistrza regulującego kółka, trybiki, bolce i zawleczki. I przygotowujący drinka Nate – sportowa marynarka, rozpięta koszula, zwinne, oszczędne ruchy – jego pulsująca rytmicznie jasnofioletowa aureola. *Niejt*. Tak, była jego namiętnością. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej swobodnie.

Tego wieczoru włożyła prostą granatową bawełnianą sukienkę i czarne pantofle na płaskim obcasie. Zazwyczaj nie nosiła biżuterii, ale dziś włożyła pojedynczy sznur pereł. Usiadła na kanapie, skrzyżowała nogi i zaczęła poruszać stopą. Tamci niespiesznie sączyli drinki.

– Jeśli natychmiast nie powiecie mi, co się dzieje, wyskoczę na taras i ucieknę do lasu. – Spojrzała na Benforda, potem na każdego z nich z osobna.

– Zuch dziewczyna! – powiedział siedzący najbliżej *bratok*. – A nie mówiłem? Wystarczyło pięć minut.

– Dominiko. – Benford poprawił się w fotelu i pochylił. – Przyjmij wyrazy wdzięczności za niezwykłą wprost pracę, jaką wykonałaś od powrotu do Moskwy. Wszyscy tu obecni nie mogą wyjść z podziwu, że dostarczyłaś nam aż tyle danych. To prawdziwe tsunami bezcennych wprost tropów, lawina informacji i powódź ryzykownych, acz potencjalnie niezwykłych możliwości. Wszystko dzięki tobie.

Gable ścisnął ją za rękę.

– Moje gratulacje – powiedział. – Słuchaj mnie, a będziesz gwiazdą.

Spojrzała na niego z kamienną twarzą i ze smutkiem pokręciła głową, jakby nie było dla niego ratunku.

Pałeczkę przejął Forsyth.

– Dominiko, wszystkie te działania operacyjne zwielokrotniają ryzyko. Na jednej szali jest twoje bezpieczeństwo, na drugiej pokusa, aby wykorzystać sytuację, dlatego chcemy zaproponować ci coś, co wzmocni twoją pozycję i zapewni ci dodatkową ochronę.

– Forsyth. – Zabrzmiało to jak „Fjorsyt” i było najbliższym odpowiednikiem czułego rosyjskiego patronimika. – Dobrze wiecie, że uwzględnię każde ryzyko i będę to rozgrywała po swojemu, najlepiej, jak umiem. Ale na pewno nie przestanę.

– Masz pomysłowego i bezwzględnego zwierzchnika – zauważył Benford. – Ziuganow to barbarzyńca, niezwykle groźny przeciwnik. Chcemy cię wzmocnić, jesteś dla nas zbyt cenna.

– I właśnie nadarza się okazja, choć to trochę… skomplikowane – dodał Forsyth.

– Da radę – rzucił Gable.

Nate poruszył się nerwowo na krześle, nie wiedząc, o co chodzi. Dominika siedziała nieruchomo, choć nie mogła zapanować nad nogą.

– No? – spytała. – Więc mówcie.

– Generał lejtnant Michaił Nikołajewicz Sołowiow – powiedział Benford. – Znasz to nazwisko?

Dominika poczuła na sobie ich wzrok. Nate natychmiast zrozumiał, do czego Benford zmierza. W przeciwnym razie nigdy, przenigdy nie zdradziłby agentowi nazwiska drugiego agenta.

– Tak, to attaché wojskowy w naszej ambasadzie – odparła. – Wyrzucony z Moskwy dwugwiazdkowy generał na podrzędnym stanowisku. Przesłuchiwałam go, to żołnierz ze starej szkoły, prawdziwy dinozaur. Jest rozgoryczony, nienawidzi Putina… – Urwała i zmrużyła oczy. W salonie zapadła cisza. – To… Liryk?

– Tak jest, mądra dziewczyna! – Gable wstał i zaczął rozpakowywać jedzenie.

Puścili w obieg sałatkę z bakłażanów, fetę, kiełbaski z grilla, gotowaną cukinię z octem, kruchą zapiekankę ze szpinakiem, grecką fasolę i pulpeciki na wykałaczkach. Ona i Gable pili ouzo z lodem i wodą, pozostali białe wytrawne moschofilero. Benford miał na krawacie płatki ciasta filo.

– Dzięki tobie wiemy, że to Tryton wskazał Rosjanom Liryka, choć nie do końca go zidentyfikował – powiedział Benford. – W swoim ostatnim raporcie dla Zarubiny po raz pierwszy pisze, że Liryk działa tutaj, w Atenach, a nie w Moskwie, dlatego spodziewamy się, że Ziuganow szybko zareaguje. Co paradoksalne, przysłał cię tu, żebyś nie wchodziła mu w drogę i niechcący naprowadził cię na cel.

Dominika odstawiła talerz. Forsyth uważnie ją obserwował.

– Tak więc wszystko wskazuje na to, że stracimy Liryka prędzej niż później – ciągnął Benford. – Przyjechałaś na kontrolę z ramienia Zarządu KR i przesłuchałaś generała Sołowiowa. Jeśli wyślesz do centrali depeszę z opisem jego niekonsekwentnego zachowania, wymijającego charakteru odpowiedzi i niepokornej postawy, żądając jego natychmiastowego odwołania do Moskwy pod zarzutem szpiegostwa, odkryjesz kolejnego kreta CIA.

Nate ocenił, że tym razem cisza trwała co najmniej dwadzieścia ciągnących się w nieskończoność sekund.

– Nie – odparła Dominika. – Nie zrobię tego. Już nigdy nie chcę odpowiadać za śmierć porządnego człowieka walczącego

z tymi *czudowiszczami*, tymi potworami. Nie, wykluczone.

– Uspokój się – łagodził Benford. – W dniu, w którym z moskiewskiej siedziby GRU przyjdzie depesza zwrotna, Liryk zniknie, ucieknie na Zachód, potwierdzając tym samym twoje podejrzenia.

– On się bezpiecznie wycofa, a ty odniesiesz kolejny sukces – dodał Forsyth. – Ziuganow nie będzie śmiał cię tknąć.

Dominika przyjrzała się ich twarzom.

– Przeszmuglujecie go do USA?

Forsyth kiwnął głową.

– Muszę mieć pewność – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Jego noga już nigdy nie postanie w Akwarium – zapewnił ją Benford. – Nathaniel wszystko przygotował.

– Chryste, nie straszcie jej – powiedział Gable.

Księżyc nad Hymetem był pomarańczowoczerwony od smogu, który wisiał nad miastem nawet po północy. Wyszli już wszyscy oprócz Dominiki i Nate'a, którzy mieli opuścić lokal jako ostatni i odjechać samochodem. Tamci rozeszli się szybko w różne strony, żeby nie zdekonspirować kryjówki, gdyby – co było mało prawdopodobne – zauważył ich rosyjski wywiad, grecka policja czy szukający kłopotów zwiadowcy z Hezbollahu. Ateny to niebezpieczne miasto, bo jest tu trochę Bałkanów, trochę Morza Śródziemnego i trochę Bejrutu.

Ateńska noc. Nate zgasił światło w salonie, rozsunął zasłony i stanęli obok siebie na tarasie w zapachu czarnych sosen na wznoszących się za nimi wzgórzach. Zatroskana Dominika pochyliła głowę i błysnęła klamerka sznura pereł na wdzięcznie wygiętej szyi. Nate wiedział, że bije się z myślami i nie chce skazywać Liryka na śmierć. Nie znała generała Sołowiowa, lecz

wzdragała się przed pocałunkiem Judasza. Ufała im, wierzyła, że zdążą go na czas ewakuować, mimo to zjadały ją nerwy. Nate stanął za nią i objął ją w talii. Położyła ręce na jego dłoniach, lecz się nie poruszyła.

– Wiem, że się martwisz – powiedział cicho. – Ale dwie godziny po uruchomieniu planu eksfiltracji Sołowiow będzie za granicą.

Poklepała jego dłoń jak matka uspokajająca dziecko i odwróciła się.

– *Do Boga wysoko, do caria daleko* – odrzekła szeptem. – Do Boga wysoko, do cara daleko. Wszystko się może zdarzyć i nie ma na to rady.

– Jasne, *do caria daleko* – powtórzył. – Czy jest coś, na co Rosjanie nie mają przysłowia?

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Uśmiechnęła się, trochę się odprężyła i objęła go za szyję, lecz na zebrany w duszy lód, na zmęczenie, z którym rok po roku żyć mogą jedynie najlepsi agenci, nie było lekarstwa. Spojrzała mu w oczy, zobaczyła skłębiony obłok fioletowej mgły za jego głową, który nigdy się nie zmieniał. Wiedziała, że się o nią martwi. On odczytywał jej nastroje jak ona barwy jego emocji.

Pragnęła go i potrzebowała, i mieli przed sobą całą noc w bezpiecznym, anonimowym mieszkaniu. Weszli do środka i usiedli na kanapie wciąż pachnącej Gable'em. Niech to szlag! Jego wonne molekuły krążyły wokół nich jak opętane i nie chciały zniknąć, nawet kiedy się całowali.

– Nieważne – powiedziała, czując, że on też ma wątpliwości. – Cokolwiek się zdarzy, wciąż mamy siebie. Nic innego się nie liczy. Ani to, co robię ja, ani to, co robisz ty. Ani to, co zrobimy razem.

Obojgu w głowie kołatała się jedna myśl: Jewgienij–Hanna, Hanna–Jewgienij.

Rozparte w fotelach Udranka i Marta zaklaskały w dłonie. Idźcie stąd, lafiryndy! – warknęła Dominika, lecz rusałki zostały, paląc papierosy i patrząc.

Siedzieli obok siebie, widząc się pierwszy raz w życiu. Zawsze mieli takie wrażenie, bo zawsze ogarniało ich przyprawiające o zawrót głowy uczucie, że nie jest to ciąg dalszy, tylko odkrywanie czegoś nowego i pierwotnego. Dominika chłonęła go całą sobą. Stwierdziła, że w ciągu ostatnich dwóch lat jej gibki chłopiec się zmienił. Miał teraz szersze ramiona, mądrzejsze oczy. Jego fioletowa aureola pulsowała spokojnie i rytmicznie, jak zawsze. Ucałowała jego ręce. One też się zmieniły, były mniej delikatne, bardziej szorstkie. Ucałowała wnętrze jego dłoni, przywarła ustami do jego ust, cichutko sapnęła, gdy dotknął jej piersi i wstała, kiedy zaczął szarpać się z suwakiem sukienki.

– *Tierpienije eto dobrodietel* – szepnęła. – Cierpliwość jest cnotą.

Rozpięta sukienka opadła na podłogę i w świetle księżyca Nate ujrzał jej ciało takim, jakim nigdy dotąd go nie widział, jej wezbrane piersi unoszące się i opadające wraz z oddechem, błyszczącą srebrzyście, ukośną bliznę na udzie, pamiątkę po jednej z dawnych bitew. Miała teraz ostrzejszą, jeszcze bardziej dystyngowaną twarz i delikatne zmarszczki wokół oczu i w kącikach ust. Widząc, jak na nią patrzy, uklękła między jego nogami, przesunęła rękami po udach i pchnęła go na kanapę, gdy chciał wstać.

– Nie dałam ci pozwolenia – szepnęła i nie odrywając wzroku od jego twarzy, zdjęła mu pasek, rozpięła rozporek, zsunęła spodenki i z kosmykiem włosów na oczach powoli zademonstrowała mu przedsmak pozycji nr 17: „Słupków i pręcików”.

Łaknęła jego smaku i zapachu, więc podniosła koszulę i przesunęła paznokciami po dwóch podobnych, błyszczących jak wosk bliznach, które przecinały jego brzuch, pamiątkach po tej samej bitwie sprzed lat. Ale tak naprawdę prowokowała samą siebie – nieważne, że Nate siedział z odchyloną do tyłu głową i zamkniętymi oczami – i nie przerywając tego, co robiła, wolną rękę wsunęła między swoje nogi. Przypomniał jej się nr 51: „*Battre les blancs en neige*, ubijanie białka na sztywno", i wkrótce zatrzepotała powiekami, zamknęła oczy, cicho jęknęła i znieruchomiała z twarzą częściowo zasłoniętą włosami.

Wróciwszy do siebie, zamrugała, wytarła górną wargę i stłumiła śmiech.

– Nie zaczekałam na ciebie. Czy jestem *niekulturna*?

– Gorzej – szepnął. – Poddaję się, nigdy za tobą nie nadążę. Nikt nie nadąży.

Znów zaczęła go dotykać, tym razem obiema rękami, natarczywie, jakby obejmowała trzonek siekiery.

– Nawet nie próbuj – rzuciła swobodnie. – To moja rada.

Zadrżały mu nogi, podbrzusze ścisnął znajomy skórzany pas, a ona patrzyła na niego niczym widz w teatrze, podziwiając spustoszenie, jakiego sama dokonała. Pas zacisnął się jeszcze mocniej.

– *Duszka* – szepnęła łagodnie. – *Duszka, duszka, duszka*…

Zawirowała kanapa, runęły ściany, eksplodowało okno, zapadł się dach. Dominika zamrugała, patrząc, jak Nate odzyskuje przytomność.

– *Les rubiat, szczepki letiat* – szepnęła. – Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Nate usiadł z cichym jękiem i pocałowali się. Odgarnął kosmyk włosów z kącika jej ust, a ona wytarła ręką twarz. Przypomniał mu się Fred Astaire i *Parada wielkanocna*.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że cię kocham?

Dominika roześmiała się wesoło.

Chichoczące naprzeciwko Udranka i Marta popatrzyły po sobie i przewróciły oczami.

Siedząc w jego koszuli na kuchennym blacie, patrzyła, jak Nate – w samych bokserkach i w chmurze fioletowej mgły – kroi cebulę i czosnek, by następnie podsmażyć je na zielonej oliwie. Potem wziął podpieczoną paprykę, pokroił ją na cieniutkie paseczki, wrzucił je na patelnię, otworzył puszkę pomidorów bez skórki i rozgniótł je ręką pod powierzchnią soku, żeby nie pryskały. Pomidory – ze szczyptą cukru – też powędrowały na patelnię, a kiedy zaczęły bulgotać, dodał do nich kilka delikatnie rozgniecionych listków z gałązki suszonego oregano. Sięgnął po kwadratową puszkę papryki w proszku.

– Papryka – powiedział. – Próbowałaś?

– Papryka – odparła ze śmiertelną powagą. – Hm, co za dziwne słowo… Nie, mieszkałam na wsi, ze świniami w izbie. – Nate uśmiechnął się i dodał szczyptę do sosu. – *Tupica.* To też dziwne słowo. Znasz je?

Znaczyło „matołek”, lecz udał, że słyszy je pierwszy raz. Dominika wiedziała, że to nieprawda.

Kiedy sos podgotował się trochę na wolnym ogniu, na górnej półce rozgrzanego piekarnika położył kilka kromek żytniego chleba. Gdy lekko zbrązowiały, natarł je czosnkiem.

– Czosnek kojarzy ci się pewnie z wioską, izbą i prosiakami – powiedział, nie podnosząc wzroku. Dominika z trudem zachowała poważną minę.

W gęstym kipiącym sosie zrobił trzy małe zagłębienia i w każde wbił jajko. Wstawił patelnię do piecyka i kiedy białko się ścięło, wyniósł ją na taras i postawił na niskim stoliku. Ona

przyniosła grzanki i dwie butelki zimnego piwa. Usiedli na podłodze – marmur był wciąż ciepły od popołudniowego słońca – i zaczęli jeść, paprykę, pomidory i jajka sadzone, przegryzając je maczanymi w sosie grzankami. Po pierwszym kęsie Dominika spojrzała na niego pytająco.

– *Pipérade* – powiedział. – Prosto z Kraju Basków.

– Gdzie się tego nauczyłeś?

– Na wakacjach w Europie. – Zanurzył grzankę w sosie.

– Bardzo romantyczne.

– Tak – przyznał. – Jestem romantyczny.

– Jesteś swoim największym wielbicielem. – Nachyliła się i pocałowała go lekko w usta. – Mogę spytać o tę kobietę, którą Benford chce do mnie przysłać? Znasz ją?

Kiwnął głową. Postanowił nie mieć wyrzutów sumienia ani nie zachowywać się tak, jakby je miał.

– Jest młoda, ale to jedna z najlepszych agentek, jakie widziałem. Benford też tak uważa.

Natychmiast spostrzegła, że jego aureola zaczęła pulsować.

– Byłem jej obserwatorem podczas szkolenia. Jest niesamowita. – Aureola pulsowała coraz intensywniej, a myślał, że tylko ją chwali, jak dobry znajomy.

– Powiedziałeś jej o mnie? – spytała obojętnie Dominika, sięgając po kawałek grzanki.

Wiedział, że kiedy kobieta pyta mężczyznę, czy mówił o niej innej, nadciąga niebezpieczeństwo, i to duże. Pierwsze podmuchy gorącego wiatru przed nadejściem nawałnicy, dwadzieścia par lwich uszu wycelowanych w unieruchomionego land rovera, szelest małpich skrzydeł na drodze do krainy Oz – sytuacja nie do pozazdroszczenia.

– Czytała twoje akta – odparł wymijająco. – Wie, co robisz. Podziwia cię.

Czytała moje akta i mnie „podziwia” – Dominika trochę się zirytowała. Uspokój się! Nie jesteś zazdrosnym podlotkiem. Tak, ale obłok nie przestawał pulsować.

– Jak ma na imię? – Sięgnęła po puste butelki i zebrała resztki grzanek. On wziął patelnię i wrócili do kuchni.

– Hanna – odparł, słysząc mroczny cień w jej głosie.

– *Khanna* – powtórzyła z gardłowym „h”. – Ładne imię, bardzo stare. W Rosji też je mamy.

Pochylona nad zlewem, zrobiła pianę z mydlin. Zeskrobała z patelni resztki sosu, zanurzyła ją w wodzie i zaczęła szorować. Nate stanął za nią i objął ją w talii.

– Domi, ona jest twoim kontaktem – wyszeptał. – To ona rozmieściła raptory. Ma dwadzieścia siedem lat, jest oficerem naszej agencji…

Dominika zmieniła temat.

– Lubisz ją?

– Tak, jest wspaniała. Co ważniejsze, ty też byś ją polubiła. – Poczuł, że odrobinę rozluźniają jej się ramiona. Chryste, jest cholernie spostrzegawcza, czyta w myślach. – Poza tym martw się lepiej o mydliny – dodał. – Okropnie chlapiesz.

Odwróciła się i ochlapała go wodą, więc zanurzył ręce w mydlinach i ochlapał ją. Chlapali się tak, aż przód mokrej koszuli przywarł jej do ciała, oblepiając nagie piersi. Jego bokserki też nie były w lepszym stanie.

Odwróciła się.

– Muszę wyszorować patelnię.

– Szoruj, szoruj. – Podwinął tył koszuli, ściągnął bokserki i wyszedł z nich, jakby tańczył rumbę. Pierwszy ruch pchnął ją do przodu i musiała się pochylić z rękami po łokcie w mydlinach. Następne sprowokowały narastającą falę intensywnych działań, które oprócz rytmicznego plaskania doprowadziły do małej powodzi na podłodze.

Po pewnym czasie wyglądali jak ostatni goście na przyjęciu u Kaliguli, bo oboje siedzieli w kałuży wody, opierając się o szafkę i czekając, aż wróci im normalny rytm serca. Jego zwinięta w kłąb, do cna przemoczona koszula leżała na środku kuchni, a bokserki pod stolikiem. Z blatu pokapywała woda, prosto na ich ramiona. Na jej piersi powoli zasychały białe mydliny, a na twarzy włosy.

– Dzięki za pomoc w zmywaniu – wymamrotał Nate.

Przed świtem odwiózł ją do domu opustoszałymi ulicami, jak duch przemykając przez skrzyżowania, na których pulsowały światła. Opony syczały na mokrej jezdni, którą w nocy zmyły ekipy sprzątające miasto. Chciał wysadzić ją kilka ulic przed hotelem, żeby resztę drogi przeszła piechotą.

– Pospieszysz się z tym raportem do centrali? – spytał. Miał dziwny głos, zupełnie nie swój. Był zmęczony.

– Zalecę, żeby generała Sołowiowa wezwano do Moskwy na przesłuchanie – odpowiedziała. – Tak się to robi. Napiszą, żeby pod jakimś niewinnym pretekstem stawił się w Akwarium, na konsultacje, kurs przygotowawczy czy na komisję doradczą.

– Ale kiedy napiszą?

– Bardzo szybko. Musicie go natychmiast ewakuować. Ziuganow będzie chciał dopaść go przed GRU, żeby ich ośmieszyć i zdobyć kilka punktów na Kremlu. Dam Hannie znać, jak zareagował na jego ucieczkę. I ile dostałam medali – dodała z uśmiechem. – Bardzo bym chciała ją poznać.

Imię Hanny, która stała się nagle kimś ściśle z nimi związanym, długo pobrzmiewało w powietrzu. Nate był pewien, że wspomniała o niej celowo. Chciał, żeby się skupiła.

– Ziuganow będzie wściekły, że zidentyfikowałaś zdrajcę przed nim.

Wzruszyła ramionami.

– I co mi może zrobić?

– A wtedy? Już zapomniałaś? Byłem tam. Pamiętam tego ze specnazu, paskudny nóż i bandaże.

– Teraz jest inaczej. Ziuganow nie pójdzie na takie gierki, nie zaryzykuje. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Ty masz zrobić tylko jedno: wywieź stąd generała. Nie zawiedź mnie.

Jej pilna depesza z żądaniem natychmiastowego odwołania generała lejtnanta Michaiła Nikołajewicza Sołowiowa i wezwania go do Moskwy pod zarzutem szpiegostwa była jak wybuch bomby. Nieliczni funkcjonariusze z zastrzeżonej listy oficerów dopuszczonych do najwyższych tajemnic Zarządu KR, którzy ledwie kilka dni wcześniej przeczytali najnowszy raport Trytona, wiedzieli, że kapitan Jegorowa – która nie mając dostępu do tych informacji, nie mogła go przeczytać – miała całkowitą rację i odniosła kolejny wspaniały sukces. Dodatkową korzyścią było bez wątpienia to, że Sołowiow został zdemaskowany podczas rutynowej kontroli w ambasadzie, co automatycznie chroniło Trytona.

Wszyscy powtarzali, że jest bohaterką. Dyrektor generalny, ministrowie, a nawet sam prezydent – wszyscy chcieli się z nią spotkać i zaczęły krążyć pogłoski o jej awansie na stopień majora. Jegorowa miała zostać w Atenach jeszcze kilka dni, niby po to, żeby dokończyć i podsumować kontrolę, ale tak naprawdę chodziło o to, by przypilnowała Sołowiowa, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać i spokojnie wrócił do kraju. A kiedy

generał znajdzie się za kratkami, Jegorowej będzie można oficjalnie pogratulować.

Ziuganow nie mógł skupić się na depeszy, ponieważ wydruk trząsł się mu w rękach. Jego pozycja zawodowa rosła, jego pozycja na Kremlu była z każdym dniem silniejsza, zwłaszcza w kwestii kontraktu z Irańczykami. Po akcji z Francuzami zaszyfrowaną *kremlowką* zatelefonował do niego sam prezydent Putin: widział policyjne zdjęcia Madeleine Didier, rosyjskiego zdrajcy, ochraniających ich agentów DGSE i zrujnowanego mieszkania. Rozhisteryzowany Pałac Elizejski zawył w proteście jak wilk, a DGSE wycofało z Moskwy swoich przedstawicieli. Flegmatyczny Putin tchnął do słuchawki tylko jedno słowo: „*Mołodiec*". Ziuganow napuszył się z dumy jak paw.

Ale blask tych sukcesów przygasł po greckim triumfie Jegorowej, zwycięstwie, które osłabiło szczególnie jego pozycję. W centrali mówiło się tylko o tej napompowanej dziwce, o niczym innym. W zaciszu swojego gabinetu Ziuganow dostał ataku cichej furii przekonany, że ta *blad'* chce go celowo ośmieszyć i poniżyć, że z niego szydzi. Był pewien, że zamierza go wygryźć z obecnego stanowiska i przekreślić jego awans na zastępcę dyrektora generalnego SWR. W jego duszy, mrocznej jak pełna nietoperzy jaskinia, kłębiły się mordercze myśli.

Siedział wściekły przy biurku i myślał. Wypadek, nawet dobrze zaaranżowany, byłby teraz zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Pomysł, że Jegorowa ucieknie na Zachód dzień po zdemaskowaniu innego zdrajcy, zakrawał na absurd. Gdyby po prostu zniknęła, nie wróciła do Moskwy, plotkom, pogłoskom i teoriom spiskowym nie byłoby końca. I nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, przyprawiająca o gęsią skórkę myśl rodem z bagniska, coś, co siejąc zamęt i dezinformację, mogło go ustrzec przed gniewem Putina.

Ewa usiadła przed nim tak jak przedtem. Podsunął jej teczkę osobową Jegorowej. Zdjęcie, przebieg służby, Systema, szkoła jaskółek i tak dalej. Buchina dosłownie wdychała to wszystko z rozszerzonymi nozdrzami, strona po stronie, aż zwietrzyła i zapamiętała trop. Zamknęła teczkę i zwróciła ją Ziuganowowi. Nie musiała robić notatek, miała doskonałą pamięć. Pułkownik położył na biurku mniejsze zdjęcie, paszportowe, do wizy Madeleine Didier. Pochylił się, spojrzał Ewie w oczy i wyszeptał:

– Uduś ją i zostaw to pod łóżkiem. Żadnych pistoletów ani noży, tylko kabel. I zabierz jej ubranie.

Żeton wpadł do odpowiedniej przegródki, zaskoczyły synapsy: śmierć Jegorowej będzie wyglądała na akcję odwetową francuskich służb wywiadowczych, mszczących się za śmierć Madeleine Didier. Ewa spojrzała na pułkownika, szukając potwierdzenia swoich domysłów.

Ten skinął głową.

Karłowaty potwór z wielkim zainteresowaniem obserwował, jak pochodna mu kreatura odchyla do tyłu głowę i wybucha śmiechem przypominającym odgłos, jaki wydaje wór tasaków rzeźnickich zrzucony ze schodów. Był *woschititielnyj*, cudowny.

PIPÉRADE – BASKIJSKI GULASZ Z PAPRYKI

Szklimy na oliwie cebulę i czosnek. Dodajemy pokrojoną w cienkie paski podpieczoną czerwoną paprykę, rozgniecione pomidory bez skórki, przyprawiamy solą, pieprzem, oregano oraz sproszkowaną papryką. Redukujemy, aż zgęstnieje. Na sos wbijamy jajka, wstawiamy patelnię do piecyka i czekamy, aż białko się zetnie; żółtka powinny być miękkie. Podajemy z przypieczonym żytnim chlebem lub jako przystawkę.

28

Benford poleciał incognito do Berlina, żeby porozmawiać z szefem SBE, Spezialle Bundestatigkeiten-Einheit, Federalnej Specjalnej Jednostki Operacyjnej, dwunastoosobowej cywilnej agencji wywiadowczej, podlegającej bezpośrednio prezydentowi Niemiec. Powierzano jej operacje tak wrażliwe lub tak ryzykowne politycznie, że lepiej było nie angażować w nie większych służb federalnych, takich jak BND czy BfV. Nikt spoza gabinetu prezydenta nie wiedział o jej istnieniu.

Benford przeszedł przez pachnącą świeżym chlebem Mitte, w okolicy placu Roberta Kocha niestrzeżonym frontowym wejściem wszedł do Bibliothek der Akademie der Künste, Biblioteki Akademii Sztuki, i rozdygotaną windą wjechał na wyłączone z użytku trzecie piętro, gdzie za zwykłymi drzwiami, opatrzonymi enigmatycznym napisem *Werkzeug*, „pomieszczenie gospodarcze", mieściła się siedziba SBE. Powitał go Herr Dieter Jung, szef jednostki, mężczyzna średniego wzrostu o rzadkich włosach i dużym nosie, na którym tkwiły okrągłe okulary. Szybko się okazało, że dużo bardziej sceptyczny, spostrzegawczy i dziwaczny, niż można by się spodziewać po pięćdziesięciolatku, jest także wytrawnym politykiem. Benforda przedstawiono pobieżnie kilku obecnym w biurze agentom – w tym dwóm atrakcyjnym kobietom w wieku trzydziestu kilku lat – i poczęstowano kawą oraz kawałkiem ciasta.

Szef kontrwywiadu CIA od razu przeszedł do rzeczy, prosząc Herr Junga o obstawę dla grupy techników CIA, którzy zamierzali – już bez niemieckiej obstawy – wejść do fabryki Wilhelma Petrsa przy Puschkinallee w dzielnicy Alt-Treptow. Co prawda pominął większość szczegółów technicznych, ale zdradził mu, że operacja może cofnąć irański program nuklearny o dobre pięć lat. Nonszalancko podkreślił, że chodzi jedynie o dyskretną eskortę w drodze do fabryki i z powrotem.

– To zrozumiałe – odrzekł płynną angielszczyzną Jung, przypalając papierosa i zdejmując źdźbło tytoniu z czubka języka. – Ale wykluczone.

Benford naciskał, powołując się na przyjaźń euroatlantycką i na Traktat Północnoatlantycki – siedzący ze skrzyżowanymi na piersi rękami Herr Jung był wciąż uosobieniem olimpijskiego spokoju. Benford nie ustępował, powołał się na powietrzny most berliński, na Johna F. Kennedy'ego, Marlenę Dietrich i Davida Hasselhoffa. Wciąż martwa cisza, choć rozcieńczona lekkim wahaniem. Benford chciał już wstać i wyjść, lecz w ostatniej chwili nieśmiało zaproponował: może podzieli się z nimi materiałami na temat rosyjskiej działalności wywiadowczej w Niemczech?

Rozdarty Herr Jung spojrzał w okno.

– Owszem, ta informacja wzbudziłaby nasze umiarkowane zainteresowanie.

Benford wiedział, że mimo chronionego statusu SBE jej szef potrzebuje sukcesów operacyjnych, żeby uzasadnić wydatki budżetowe, podtrzymać przychylność prezydenta i zapewnić sobie awans, dzięki któremu mógłby wreszcie wyjść z bibliotecznego strychu i zasiąść w gabinecie ministra. Dlatego pochylił się i streścił mu pokrótce raport o najnowszym nabytku SWR, pośle do Bundestagu z Partii Zielonych, którego

Rosjanie pozyskali głównie dzięki jego weekendowemu zamiłowaniu do łaźni parowej i brzozowych rózg.

– Ciekawy trop – ocenił Herr Jung, bawiąc się ołówkiem. – Pod warunkiem, że jest prawdziwy.

Ale Benford wiedział, że Jung połknął haczyk.

Dwie agentki SBE, te ładne, zostały łączniczkami ekipy CIA składającej się z chudego jak szczapa Hearseya i dwóch inżynierów analityków z Wydziału Proliferacji – Bromley i Westfalla. Włączono do niej także Marty'ego Gable'a, głównie po to, żeby zadbał o niuanse operacyjne, czyli dopilnował, żeby przydzielone im panie, Ulrike Metzger i Senta Goldschmidt, nie zrobiły czegoś głupiego.

Pewnego wczesnego, chłodnego ranka agenci SBE podrzucili ich do zamkniętej tylnej bramy fabryki Petrsa, żeby popatrzeć, jak pochylony Hearsey dłubie w zamku wbudowanych w nią drzwi i jak po dwóch minutach je otwiera. Jedno machnięcie ręką i Niemcy zniknęli; mieli czekać za rogiem, aż ekipa zrobi swoje i da im znać.

W półtorej minuty Hearsey otworzył wewnętrzne drzwi dla personelu i cała czwórka weszła cicho do holu. Bromley i Westfall mieli plecaki i każde z ich ciągnęło za sobą dużą, czarną płócienną torbę na kółkach.

– Tu nie ma kamer? – spytał szeptem Gable.

Hearsey pokręcił głową.

– Ich związki zawodowe zażądały usunięcia kamer przemysłowych ze wszystkich stołówek i pomieszczeń do wypoczynku. Wniosły pozew i wygrały proces. Europejskie prawo do relaksu, bracie. Nieźle, co?

– A strażnicy, alarmy?

– Alarm jest tylko przy wejściu do głównego biura – odparł Hearsey. – Tu nie ma nawet stróża. Posadzka sejsmiczna to nie aż taka tajemnica.

Minęli zimny barek, wciąż pachnący kawą i bułeczkami, i przystanęli na rogu korytarza.

– Całe piętro jest niestrzeżone? – nie dowierzał Gable.

– Niezupełnie – szepnął Hearsey. – Przeszkoda na ostatniej prostej. – Przytknął usta do jego ucha. – Na końcu korytarza jest czujnik ruchu.

Bromley i Westfall wyjęli z plecaków kilka plastikowych rurek teleskopowych, szybko połączyli je w kwadratową ramę długości niecałych dwóch metrów, po czym naciągnęli na nią cieniutką, nieprześwitującą tkaninę, którą przypięli do rurek klamerkami.

– Gęsiego. Trzymajcie się blisko siebie.

Hearsey chwycił ramę za jeden koniec, Westfall za drugi. Bromley uśmiechnęła się, podeszła do Gable'a, objęła go w pasie, przyciągnęła do siebie i wsunęli się między kolegów; było widać, że robią to nie pierwszy raz. Ściśnięci jak sardynki w puszce albo jak rugbiści w młynie, z rękami na ramionach tych idących przed nimi, nisko pochyleni za matowym ekranem, wyszli zza rogu i ruszyli w głąb korytarza niczym oddział średniowiecznego wojska oblężniczego atakujący mury zamku pod gradem strzał.

– Wolniej – szepnął Hearsey do Westfalla.

– Ekran pochłania promieniowanie podczerwone, mikrofale i ultradźwięki. Idąc powoli, unika się efektu Dopplera. – Bromley uśmiechnęła się i przesunęła ręce wyżej.

To gra wstępna? – pomyślał Gable.

W końcu minęli czujnik i znaleźli się w hali głównej, olbrzymim pomieszczeniu z okratowanymi pomarańczowymi lampami oświetlenia ewakuacyjnego pod sufitem. Wysoko w górze majaczyła gigantyczna suwnica. Wszędzie panowała cisza i stężały bezruch. Światła samochodów przejeżdżających Puschkinallee – a o drugiej nad ranem było ich niewiele –

omywały sięgające stropu okna, które zajmowały całą ścianę budynku.

Pod lampami tworzyły się rozmyte pomarańczowe kałuże i tylko one rozświetlały tonące w mroku wnętrze. Na stelażach na środku hali spoczywały panele o strukturze plastra miodu – fragmenty reaktywnej sejsmicznie posadzki, które montowano i testowano. Nieco dalej, na pomalowanych na biało ceglanych ścianach, widać było grube polimerowe bloki przymocowane do kwadratowych aluminiowych ram za pomocą potężnych sprężyn – amortyzatory. Na końcu hali, na rzędzie błyszczących w świetle półek z nierdzewnej stali, stały dziesiątki ponumerowanych plastikowych tac. Na każdej leżało obok siebie pięć długich na metr aluminiowych dźwigarów zakończonych małym ogniwem piezoelektrycznym.

Jeden za drugim, przeszli cicho wzdłuż półek, porównując numery tac i sprawdzając kody projektowe i przewozowe, które przekazała im z Moskwy Diva. Płócienne torby wylądowały z brzękiem na podłodze. Bromley obfotografowała półki miniaturowym aparatem z niewidocznym fleszem na podczerwień. Te aluminiowe belki, leżące na tacach w nieskazitelnie czystej niemieckiej fabryce, miały w przyszłości podtrzymywać reaktywną sejsmicznie posadzkę o powierzchni prawie siedmiu i pół tysiąca metrów kwadratowych, zamontowaną w hali kaskadowej zakładów wzbogacania uranu na irańskiej pustyni w cieniu gór Natanz.

Gable sięgnął na półkę i wziął do ręki jeden z nich.

– Maleństwo – rzucił.

Bromley wyjęła z torby identyczny.

– Zamienimy się? Ten to diabelska zapałka: czterdzieści procent białego fosforu.

Zaczęli rozpakowywać torby.

Godzinę później Gable i Hearsey przeprowadzili ostatnią kontrolę bezpieczeństwa. Ani warkotu maszyn, ani tykania stygnącego metalu, ani terkotu mechanizmów – było niesamowite, że w tak wielkiej fabryce panuje zupełna cisza. Hearsey klepnął Marty'ego w ramię i ruszyli powoli przez mrok, nie odrywając oczu od przyklejonych do czyściutkiej podłogi taśm wytyczających bezpieczne przejścia przez cmentarzysko słoni złożone z elementów posadzki, ciężkich maszyn roboczych, aluminiowych odkuwek i koszy z częściami.

Bromley skończyła pakować torbę.

– Masz wszystko? – spytał Hearsey.

Kiwnęła głową.

– Zamiast rozkładać nasze dźwigary po różnych półkach, postanowiliśmy z Westfallem umieścić je w jednym miejscu, skoncentrować nasycenie fosforem, żeby powstało jedno wielkie źródło ognia.

– A jeśli spróbują go ugasić? – spytał Gable. – Nie mają tam straży pożarnej?

Westfall pokręcił głową.

– Biały fosfor pali się nawet pod wodą, a kiedy zajmie się aluminium, w całym Iranie nie wystarczy piany gaśniczej.

– I mułłowie będą biegali w kółko jak szopy w dyskotece – dodał Gable.

Tamci wymienili spojrzenia, próbując przypomnieć sobie, czy szopy rzeczywiście występują w Iranie.

Westfall jeszcze raz przeliczył dźwigary, żeby sprawdzić, czy ich numery zgadzają się z numerami tych, które podmienili. Patrząc na zrobione wcześniej zdjęcia, Bromley wyrównała rząd tac, żeby wyglądały dokładnie tak, jak kiedy tu weszli.

Hearsey spojrzał na zegarek.

– Mamy dziesięć minut luzu. Zaczekajmy przy drzwiach.

Ruszyli do wyjścia i zaterkotały kółka płóciennych toreb. Już na miejscu usiedli na podłodze i oparli się o ścianę, nadsłuchując warkotu furgonetki za bramą.

Gable miał ochotę na cygaro, ale wiedział, że musi zaczekać.

– Jedno nie daje mi spokoju – powiedział. – Powiedzmy, że te dupki zamontują posadzkę, ale zanim zdążą zainstalować wirówki, dojdzie do trzęsienia ziemi, które odpali fosforowe dźwigary i pożar wybuchnie za wcześnie. Zapalnik czasowy nic nie da, bo go znajdą. Z oprogramowaniem też nie ma sensu się pieprzyć, bo i tak zmienią je na swoje. Skoro nie możemy ustawić zapłonu, więc co? Liczymy na łut szczęścia?

– Fakt, trochę ryzykujemy – przyznał Hearsey. – Dużo o tym rozmawialiśmy. Jeśli do silnego trzęsienia ziemi dojdzie za wcześnie, spłonie pusta hala. Trochę ich to spowolni, ale wykopią po prostu nową dziurę, i już.

– Mimo to warto spróbować – powiedział Westfall. – Wzięliśmy na to poprawkę i jest szansa. Dźwigary nie zapalą się od lekkich drgań, a nawet od trzęsienia ziemi o sile od dwóch do trzech stopni w skali Richtera. Zaskoczą dopiero podczas silniejszego, takiego z intensywnymi falami powierzchniowymi.

Gable zadarł głowę i spojrzał na pomarańczowe lampy pod sufitem.

– Dobra. A co będzie, jeśli do takiego trzęsienia nie dojdzie przez pięć lat? Iran zrzuci na nas bombę?

– W tej części świata to mało prawdopodobne – rzekł Westfall. – Średnia krajowa to u nich pięć małych wstrząsów dziennie. Statystycznie rzecz biorąc, porządna fala powierzchniowa występuje w tym rejonie co siedemnaście miesięcy. Dlatego kupują posadzkę. Siedemnaście miesięcy: to nasze okienko.

Bromley spojrzała na Gable’a i wiedząc, o czym myśli, postanowiła bronić projektu.

– Zgoda, plan nie jest doskonały – przyznała. – I nikt nie twierdzi, że jest. Ale innego sposobu nie mamy. Jeśli wszystko wypali, kaskada padnie, stopi się i okolice Natanz będą świecić w nocy przez dwadzieścia pięć tysięcy lat. Co jest warte ryzyka. Przynajmniej dla mnie.

Marty patrzył na jej poważną twarz, na pobłyskujące w świetle druciki aparatu korekcyjnego. Dziewczyna miała jaja. I klaustrofobię. I wymyśliła, jak przemycić do Iranu biały fosfor. Tak, była w porządku.

Wyszli po cichu pięć minut później, tuż przed świtem, i zaczekali pod ścianą na wewnętrznym dziedzińcu, w cieniu górującej nad nimi hali. Osobliwe było to – przynajmniej dla zmęczonych techników z ekipy – że na drzewie za murami fabryki ćwierkał jakiś ptaszek. Warkot silnika przybrał na sile, przed rozsuwaną bramą zatrzymała się furgonetka, otworzyły się boczne drzwi. Ulrike Metzger, popielata blondynka, wystawiła głowę i pomachała do nich ręką. Wyglądała tak, jakby właśnie wróciła ze swojego ulubionego rogu przy Oranienburger Strasse, bo była w kabaretkach, wysokich szpilkach i obcisłej cętkowanej kurtce, spod której wystawał fragment czarnego koronkowego stanika. W świetle latarni na murze fabryki pobłyskiwały duże złote kolczyki w kształcie kół. Znów machnęła ręką, żeby ich ponaglić.

Wcisnęli się do czarnego volkswagena routana, który czekał na nich z włączonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Bromley i Westfall wrzucili torby do kabiny i gdy zajęli trzeci rząd foteli, do wozu wsiedli Gable i Hearsey. Ulrike zamknęła drzwi i przecisnęła się na siedzenie obok kierowcy, Senty Goldschmidt, drugiej blondynki ubranej równie dziwacznie jak

ta pierwsza; siedzący z tyłu Gable widział jej fioletowy żakiet z surowego tajskiego jedwabiu i postawiony kołnierzyk, nad którym, niczym antyczne żyrandole, dyndały kolczyki z ametystami w kształcie kropli. W furgonetce rywalizowały ze sobą trzy albo cztery zapachy: aromat kobiecych perfum, sandałowy i różany, miętowa woń czyjegoś żelu pod prysznic i sosnowy zapach odświeżacza powietrza z dozownika na desce rozdzielczej. Uczulona na wszystko Bromley natychmiast zaczęła rzęzić. Gable uchylił okno.

Wstawał świt i wschodnie niebo pojaśniało. Bromley, Hearsey i Westfall wysiedli przed hotelem, a ponieważ Marty mieszkał w innym, w Cosmo w pobliżu dawnego przejścia granicznego Checkpoint Charlie, Ulrike i Senta zaproponowały, że go tam podrzucą albo może pojechać z nimi do Café Viridis na Kreuzbergu na drugim brzegu rzeki, na *Katerfrühstück*, śniadanie na kaca. Czekając na nich, nie spały całą noc i były głodne.

Gable przyjął zaproszenie. Dziewczyny mogły być jego córkami, ale podobały mu się i one, i ich swobodna poufałość, nie mówiąc już o czujności i profesjonalizmie. Słuchały jego wskazówek, nie zbaczały z trasy i obserwowały ulicę jak na zawodowców przystało. Wprawnym okiem zauważył, że w dużych torebkach mają broń. No i ani razu nie spytały, dlaczego SBE potajemnie ułatwiło czwórce obładowanych torbami Amerykanów wejście do supernowoczesnej fabryki montażowej, gdzie przez trzy godziny przebywali bez żadnego nadzoru.

Senta obserwowała go kątem oka, gdy parkowali i wchodzili do restauracji. Czuł, że uważnie się mu przygląda. Jego instynkt operacyjny wył na pełnych obrotach – oficer wywiadu nigdy go nie wyłącza – bo nie istniało coś takiego jak życzliwa służba łącznikowa. Zamówiły kawę, koniak i obazdę – aromatyczną

pastę serową z dodatkiem papryki i kminku. Usiedli na wytartej skórzanej sofie w kącie sali, on między nimi, w samym środku cyklonu perfum, rozkołysanych kolczyków i obleczonych w kabaretki ud.

Nawijały non stop, często jednocześnie – wykluczone, żeby próbowały coś z niego wyciągnąć. Obserwował je i oceniał, gdy jadły, wypatrując zdradliwych znaków i sygnałów, które ujawniają się podczas posiłku. Hałaśliwe, tryskające energią, pewne siebie – co jeszcze? Bystre i ciekawskie, śmiejąc się, zasłaniały pełne usta. Zarzucając sieć, zadał im wścibskie pytanie o zarobki. Chciał sprawdzić, która z nich odpowie, która zda się na którą. Odpowiedziały jednocześnie, śmiejąc się i narzekając, że zarabiają stanowczo za mało. Aha, ta sama ranga, to samo zaszeregowanie.

– Świetnie się dzisiaj spisałyście – podsumował. – Wielkie dzięki za pomoc.

Zadowolona Ulrike uśmiechnęła się promiennie. Zabawiał je, raczył opowieściami z linii frontu i w pewnym momencie powiedział:

– Dwie prostytutki. Idealne przebranie, zwłaszcza kiedy siedzi się w nocy w pustej furgonetce.

– Jakie prostytutki? – Nie zrozumiała Ulrike.

Musiał się szybko wycofać.

– Chcę was prosić o przysługę – odparł. – Musimy wiedzieć, kiedy to wszystko skompletują, zapakują i wyślą. Możecie trzymać rękę na pulsie?

– Bundeszollverwaltung nas uprzedzi – odrzekła Senta.

Tajski żakiet miał z przodu głębokie rozcięcie i Marty stwierdził, że dziewczyna nie ma nic pod spodem.

– Kto?

– Federalna Służba Celna – przetłumaczyła Senta.

– Data transportu to żaden problem – wyjaśniła Ulrike. – Będą o tym pisać w gazetach i pokazywać w telewizji. Trzy lata temu ta sama firma wysyłała olbrzymi ładunek do laboratorium w Stambule. Platforma, na której przewozili go do portu, miała sto dwadzieścia kół. Jechała tak powoli, że zajęło to trzynaście godzin. Będą to pokazywali i pokazywali…

– A potem pokażą moment załadunku na statek – dodała Senta.

– Dobra, przekażę naszym – powiedział. – Dzięki.

Dopili kawę i podziękował za kolejną brandy. Rozmowa znalazła się na rozstajach dróg, w fazie decyzyjnej, kiedy trzeba było albo zmienić temat, albo uznać, że to już koniec wieczoru. Ostatnia chwila na próbę werbunku bez przynęty, pomyślał, ale nie, to niemożliwe, nie tutaj, nie one. Jakby czytając w jego myślach, Ulrike i Senta wstały, wygładziły kuse spódniczki i zarzuciły na ramię wielkie torebki. Ulrike pomachała do rozespanego barmana i położyła pieniądze na ladzie.

Niebo było ociupinę jaśniejsze, a brzuchy chmur czerwonawe od słońca, które nie zdążyło jeszcze wychynąć zza horyzontu. Większość samochodów spała. Ulrike powiedziała, że do szóstej musi odstawić furgonetkę do parku samochodowego – surowe przepisy – ale Senta wezwie taksówkę i odwiezie go bezpiecznie do hotelu. Rozbawiony odparł, że nie, wykluczone, po tak męczącej nocy nie chce sprawiać im kłopotu i może wrócić do hotelu sam, bo przecież Berlin – bez urazy – to nie Bejrut czy Wientian albo Chartum, dlatego jeszcze raz wielkie dzięki za obstawę i do widzenia.

Ulrike spojrzała na zegarek, oznajmiła, że musi iść, wycałowała Sentę w policzki, uścisnęła mu rękę i odeszła. Senta zatrzymała przejeżdżającą taksówkę, otworzyła drzwi, usiadła na tylnym siedzeniu i przesunęła się, robiąc mu miejsce. Więc

wsiadł i on, a kiedy zamknął drzwi, Senta podała kierowcy adres i spojrzała na niego, żeby sprawdzić, czy jest zły.

– Martin – zaczęła przepraszająco – wiem, że mógłbyś wrócić sam. – Nie przedstawili się sobie z imienia, ale SBE miała prawo zajrzeć do hotelowej księgi meldunkowej jak każda inna służba. Za radą Benforda i żeby okazać gospodarzom dobrą wolę, przylecieli do Berlina pod prawdziwym nazwiskiem.

– Na pewno to rozumiesz, jesteś doświadczonym zawodowcem – ciągnęła Senta. – Nasz szef, Herr Jung, jest bardzo *stur*… bardzo uparty i kazał nam odwieźć cię bezpiecznie do domu. Nie wiem, może liczy na to, że pochwalicie go przed prezydentem za skuteczność działania. Może nie chce, żeby *Kopfgeldjäger* chodził po Berlinie bez obstawy. A może po prostu lubi rozmazywać.

– *Kopfgeldjäger*? – Gable spojrzał w okno.

– Łowca głów – wyjaśniła z uśmiechem.

On też się uśmiechnął. Miała około dwudziestu pięciu lat, niebieskie oczy, zadarty nos, jasne włosy do ramion, ładny uśmiech i równe zęby. Do Divy nie ma startu, pomyślał, ale jest bystra, pewna siebie i nie boi się starego capa z CIA.

– A ty? – spytał. – Nie boisz się jeździć z jankeskim łowcą głów?

Roześmiała się.

– Nie. W torebce mam broń.

Jej uścisk dłoni był silny i poprawny i kiedy postukując obcasami, wychodziła z hotelowego holu, pomachała mu na do widzenia. Niezłe nogi, zauważył. Zamknij się, kretynie, jesteś taki sam jak Nash. Tak, ale pupę ma naprawdę apetyczną. Jesteś zmęczony, lepiej się prześpij. Miał tylko parę godzin, bo potem zabierali go do ambasady na cały dzień pisania tych cholernych sprawozdań dla Benforda i słuchania, jak Bromley i Westfall zamawiają bezglutenowy lunch.

Spojrzał w zaparowane lustro i stwierdził, że ma zmęczoną twarz. Przeczesał ręką krótkie włosy – były bardziej siwe, niż myślał. W sypialni coś stuknęło i przekrzywił głowę. Ktoś tam jest? Pokojówki zawsze pukają. Więc kto? O wpół do ósmej rano w czterogwiazdkowym hotelu w Berlinie? Złodziej? Riposta Niemców? Rosjan? Najgorsza odpowiedź: dowiedzieli się o wypadzie do fabryki. Albo rozpracowali Liryka. Niemcy zawsze byli bezczelni i cyniczni, stare nawyki nie umierają.

Wyprostował się, owinął w biodrach ręcznikiem i wprawnym okiem w trzy sekundy omiótł łazienkę w poszukiwaniu broni. Mało tego, cholera: uchwytem szczoteczki do zębów w gardło, piekącym płynem do ust w oczy albo – gdyby udało mu się podejść dostatecznie blisko – garotą z kabla suszarki do włosów. Wszystko to gówno, bo jeśli w pokoju był prawdziwy zawodowiec… Zdjął z półki ręcznik kąpielowy, zawiązał węzeł na końcu i zmoczył go pod kranem. Kiedyś czymś takim walczył. Ulewa, zacinający deszczem wiatr, wąska uliczka w Manili – tak, to była paskudna nawalanka. Miejscowy informator opowiadał mu o *Sayaw ng Kamatayan*, wyspiarskiej sztuce walki, w której wykorzystywano wszystko, czym można było chlasnąć przeciwnika z niewielkiej odległości. Otworzył drzwi i wszedł do sypialni gotowy wziąć zamach.

Na łóżku, pod naciągniętym na nos prześcieradłem, leżała Senta Goldschmidt. Na widok ociekającego wodą ręcznika uniosła brew. Gable pokręcił głową, wrzucił go do wanny i usiadł na brzegu łóżka. Senta zsunęła prześcieradło na brodę.

– Wystraszyłam cię? – spytała.

– Co ty tu robisz? – odparł, biorąc ją delikatnie za palec.

– Gdyby mój szef się dowiedział, do lunchu wyleciałabym z pracy. – Poszukała oczami jego oczu.

– No i?

– Zaciekawiłeś mnie. Jesteś bardzo pociągający i…

– Trochę dla ciebie za stary.

– Dużo wiesz, dużo widziałeś…

– Jesteś za ładna dla takiego…

– I masz *empfindlich*… masz czułe oczy.

– Posłuchaj, kiedy ja ochraniałem przesmyk Fulda, ciebie nie było jeszcze na świecie.

Zmarszczyła nos.

– Co to jest Fulda?

Ścisnął ją za rękę.

– Zimna wojna? Granica wschodnioniemiecka? Dwie doliny, którymi Rosjanie chcieli zaatakować Zachód, gdyby wybuchła trzecia wojna światowa? Nic?

Roześmiała się i powoli zsunęła prześcieradło. Miała na sobie tylko kabaretki i kolczyki.

– To już historia. – Odęła wargi i rozchyliła nogi. – A dzisiaj? Też są jakieś przesmyki?

OBAZDA – BAWARSKA PASTA SEROWA

Rozcieramy do gładkości przechowywany w temperaturze pokojowej ser camembert z serkiem śmietankowym, miękkim masłem, ciemnym lagerem, drobno pokrojoną cebulą, papryką, kminkiem, solą i pieprzem. Podajemy z czerwoną cebulką lub szczypiorkiem na ciemnym chlebie lub preclach.

29

Zostały jej tylko dwa wieczory. Benford wrócił już do Waszyngtonu, tego samego dnia, kiedy zarekomendowała centrali odwołanie Liryka. Nate spotkał się z nim i jeszcze raz przećwiczyli procedurę eksfiltracyjną. Teraz wszystko wisiało na włosku.

Znów Tulipan: podczas ostatnich spotkań przed powrotem informatora do kraju zawsze panowała napięta atmosfera. Agenci CIA maglowali ją godzinami, wiedząc, że to zniesie, i zdając sobie sprawę, że nieprędko ją zobaczą. Mogła wyjechać z Rosji dopiero za kilka lat.

– Kiedy wrócisz na ranczo, spuść manto temu porąbanemu karłowi i powieś go za jaja – powiedział Gable. – Wytrąć go z równowagi. I zbierz pochwały za kolejne zwycięstwo. Zasłużyłaś.

Zrozumiawszy tylko połowę z tego, co powiedział, uśmiechnęła się i spojrzała na jego aureolę. Gładki, głęboki fiolet.

Puścił do niej oko.

– A jeśli prezydent Władimir wezwie cię na Kreml, żeby poklepać cię po kuperku, włóż coś ładnego. I koniecznie wysokie szpile, żebyś nad nim górowała.

Przewróciła oczami.

– Domi, pochwały i lepsza pozycja na Kremlu niesie ze sobą pewne ryzyko – wtrącił Forsyth. – Dopóki będziesz ulubienicą Putina, zachowasz wpływy. Ale inni cię znienawidzą, ci

z Kremla i ci spoza jego murów. Jeśli stracisz względy prezydenta, czeka cię bardzo długi upadek. – Jego głowa tonęła w jasnoniebieskiej mgle, szczerze się martwił.

– Jest jeszcze inne ryzyko – dodał Nate. – Jeśli Benford złapie Trytona, wasza centrala zacznie szukać przyczyn tej katastrofy. Musisz trzymać dystans. – Myślał o Jewgieniju: Pletniew był słabym ogniwem i na przesłuchaniu mógł zacząć śpiewać, narażając ją na poważne niebezpieczeństwo. Szybko odpędził od siebie obraz anonimowego Rosjanina w jej ramionach.

Gable dolał jej trochę ouzo i wody.

– Czekają cię dwa, może trzy spotkania z naszą agentką – powiedział. – Chcę, żebyś zachowała maksymalną ostrożność. Zobaczysz coś, co ci się nie spodoba, to zmiataj stamtąd gdzie pieprz rośnie.

Poklepała go po ręku.

– Chcesz jeszcze raz obejrzeć miejsce spotkania na Wzgórzach Worobiowych? – spytał Nate.

Pokręciła głową.

– Mówiliście, że ta agentka jest bardzo dobra. Wierzę wam, ale całkowitej pewności nabiorę, kiedy ją zobaczę. – Wciąż nie była pewna, czy chce wzbudzić w sobie niechęć do tej dwudziestosiedmiolatki.

– To patrz, byle szybko – powiedział Gable. – Spotkanie może trwać maksymalnie cztery minuty. Da ci coś do przybornika eksfiltracyjnego. – Przeczesał ręką włosy. – Zdążycie poznać się potem, będziecie miały dużo czasu.

– Ona na pewno nie zawali – dodał Nate. – Jest świetnie wyszkolona.

– Dlaczego mówicie o niej „ona”, zamiast Hanna? – spytała niecierpliwie.

Forsyth i Gable spojrzeli przelotnie na Nate’a. Znakomicie rozszyfrowywali emocje i wiedzeni instynktem nerwowego psa,

który mieszka na terenie często nawiedzanym przez trzęsienia ziemi, doskonale rozumieli sytuację. W operacjach na wrogim terenie nie było miejsca na zazdrość, nieufność i rywalizację, i to bez względu na płeć, ego czy osobowość. Forsyth zanotował w pamięci, aby zasugerować Benfordowi, żeby przydzielił Dominice innego oficera prowadzącego, chociaż czuł, że szef odprawi go z kwitkiem. Wybrał Hannę osobiście. Była jego gwiazdą i świetnie się spisywała.

Gable, bardziej cyniczny i dosadny, podejrzewał najgorsze. Zerknął na Forsytha i przesłał mu wzrokiem wiadomość, że rano zrobi Nashowi kolonoskopię, czyli nastraszy go tak, że się zesra. Siedzący na końcu sofy Nate, który też umiał odczytywać służbowe sygnały, zrozumiał, że znalazł się na cenzurowanym. I był wściekły, na siebie i na nią. Tymczasem Dominika stała z boku i patrzyła, jak ich aureole zderzają się ze sobą i rozdzielają. Prawdziwa zorza polarna, pomyślała. Brakuje tylko Czajkowskiego, tych wszystkich armat i cymbałów.

Byli zbyt dobrzy, żeby roztrząsać swoje wewnętrzne problemy w jej obecności, ale tak, wiedziała, że wepchnęła Niejta do gorącej bani i że – sądząc po minie *bratka* i kłębiącym się nad jego głową fioletowym obłoku – jutro rano Gable będzie czekał na niego z lewatywą. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła, ale była trochę rozkojarzona i zdenerwowana. Najpierw ten twój przeklęty temperament, a teraz wyłazi z ciebie zielonooka *klikusza*, zazdrosna, rozhisteryzowana zmora. Skup się na pracy, idiotko, na szarych eminencjach Kremla! Zachowaj gniew dla nich! Gdy zebrawszy papiery, tamci ruszyli do drzwi, zerknęła ukradkiem na Nate’a.

Pocałowała Forsytha trzy razy w policzki i objęła Gable’a, uśmiechając się do jego oczu.

– Podwieziesz mnie do hotelu? – spytała, nie patrząc na Nate’a.

Zbierało się w niej coraz więcej przekory i zastrzegła sobie prawo do tego, żeby być małostkowa wobec Hanny. Dlatego nie, nie zostanie, tylko wyjdzie. Robiła to dla niego, chcąc, żeby *bratok* zobaczył, że tej nocy nie spędzą razem. Boleśnie go jej brakowało, pragnęła znów poczuć go w sobie, chciała się z nim kochać, lecz zrezygnowała właśnie dlatego, że tak bardzo go kochała. Spojrzała na niego, wychodząc.

– Nie martw się – szepnęła. – Nic mi nie jest.

Udranka obserwowała ten dramat z kąta pokoju. Rób, co chcesz, powiedziała, ale nie oczekuj, że to pochwalę.

Lewatywy nie było. Rano, tuż po rozpoczęciu pracy, za biurkiem Margie zadzwonił telefon operacyjny i kiedy podniosła słuchawkę, usłyszała drżący gwizd, jeden i drugi. Szybko zajrzała do gabinetu szefa, a chwilę później do pokoju obok. Wkrótce potem Forsyth i Gable pokonali plątaninę pomieszczeń i weszli do ostatniego w rzędzie, do klitki, gdzie Nate pisał właśnie depeszę do Langley, sprawozdanie z ostatniego spotkania z Divą. Marty spojrzał na niego i złożył usta w ciup. Poza ścianami „klatki” nie wymawiali na głos jej kryptonimu ani nie wspominali o umówionym sygnale, który oznaczał prośbę o spotkanie nadzwyczajne. Nate spojrzał na zegarek – dokładnie za godzinę.

Przyjechali do Tulipana oddzielnie, on kwadrans po Martym. Na stoliku do kawy w salonie wciąż stała pusta szklanka ze śladami szminki. Zobaczyli ją jednocześnie i ogarnął ich jeszcze większy niepokój. Szybko sprawdzili mieszkanie, a potem Gable zszedł na dół, żeby ją ubezpieczać.

Zastukotała winda, zaskrzypiały drzwi i Marty przekręcił klucz w zamku. Dominika wpadła do salonu jak dziesięć furii

na rydwanie. W cienkim beżowym swetrze, plisowanej granatowej spódnicy i czarnych skórzanych pantoflach na niskim obcasie; miała niedbale ściągnięte włosy i była nieumalowana. Nate zawsze uważał, że brak makijażu pasuje do jej klasycznych rysów twarzy – zawsze, lecz nie tego koszmarnego ranka. Pod swetrem widać było sutki, które sterczały nie tyle seksownie, co groźnie, i nie spojrzał na nie tylko dzięki sile woli. Do pokoju wszedł Marty i na wszelki wypadek obydwaj rozejrzeli się szybko, odnotowując pozycję popielniczek i lamp, którymi mogłaby w nich rzucić. Stanęła na środku salonu. Głos miała spokojny, lecz patrzyła na nich oczami Wizygotki.

– Wczoraj wieczorem przyszła depesza z Moskwy – zaczęła. – Nie byłoby żadnych kłopotów, miał parę dni, żeby przygotować się do podróży. Ale dziś rano ten stary dureń przychodzi do mnie i z dumą oświadcza, że GRU zaproponowało mu kierownictwo ściśle tajnego projektu. Jest przekonany, że go zrehabilitowano i wraca do kraju, żeby objąć ważne, prestiżowe stanowisko.

– Mówiliśmy mu sto razy, że go podejrzewają – odezwał się Gable. – Twierdził, że jest gotowy dać nogę, kiedy tylko mu powiemy.

– Cóż, *bratok*, jak widać, nic do niego nie dotarło. – Zaczęła chodzić nerwowo po pokoju, trzy kroki w jedną stronę, trzy w drugą. Skrzyżowała ręce. – Najadł się kwiatu lotosu i zapomniał o wszystkim! Myśli, że naprawdę go potrzebują!

– Powiedział, kiedy wyjeżdża? – spytał Nate. – Podał numer lotu?

Nie przestając chodzić tam i z powrotem, spojrzała na niego z ukosa i kurczowo objęła się wpół.

– Siedziałam tam i słuchałam, nie mogłam nawet mrugnąć. Wiedziałam, że zmierza prosto do lochu. Bo co mogłam

powiedzieć? „Panie generale, może przypomina pan sobie słowa pewnego agenta CIA, który zapewniając pana, że plan ucieczki do Stanów jest od dawna przygotowany, ostrzegał, że SWR pana podejrzewa i że to wezwanie jest tylko pretekstem”? Musiałam tam siedzieć i kiwać głową.

– Domi, o której on wyjeżdża? – powtórzył Nate.

– Powiedział, że w samolocie Aerofłotu, tym o pierwszej, nie było już miejsc, więc poleci wcześniejszym.

Nate spojrzał na zegarek. Dominika przystanęła dokładnie naprzeciwko nich.

– Już go nie ma. Ktoś z GRU odwiezie go na lotnisko i dopilnuje, żeby wszedł na pokład. Możecie sobie darować. Sołowiow jest już na Butyrkach, tylko jeszcze o tym nie wie.

Usiadła na sofie, skrzyżowała nogi i zaczęła machać stopą. Nagle wstała, podeszła do okna, rozchyliła zasłony i wyjrzała na ulicę. Gable spojrzał na Nate’a, dał mu znak i poszedł do kuchni, gdzie zaczął otwierać szafki i pobrzękiwać szkłem. Nate stanął na środku pokoju.

– Dominiko, chodź tu i usiądź. – Wskazał sofę.

Zerknęła na niego przez ramię.

– Ależ oczywiście – powiedziała. – Przejrzyjmy listę i wybierzmy następnego do wyeliminowania.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła fioletowy smoczy ogon nad jego głową. Przypomniało jej się, jak poobijany wlókł ją przez trzęsawisko nad Dunajem i przez most w Wiedniu. Miał wtedy taką samą minę. Przełknęła żółć, obeszła sofę i opadła ciężko na fotel.

– Jeśli myślisz, że masz prawo…

– Nie wystawiaj mnie na próbę, Domi. Milcz i posłuchaj, dobrze?

Marty wrócił z trzema szklankami ouzo i jedzeniem, które znalazł w lodówce. Postawił tacę na stoliku.

– Lepiej go posłuchaj, pysiaczku – poradził. – Jest źle, bardzo źle. Liryk jest jego agentem. Tak jak ty jego agentką.

Przywalił jej z grubej rury i wpadła we wściekłość.

– Obiecaliście, że wywieziecie go do Ameryki – syknęła. – Mówiliście, że doskonale zna plan eksfiltracji. A teraz jest w drodze do Moskwy i będą czekali na niego na lotnisku.

– Myślisz, że tego chcieliśmy? – spytał Nate.

– Chcieliście tego czy nie, przez was, sukinsyny, mam na sumieniu śmierć kolejnego porządnego człowieka! – Dominika usiadła i znów zaczęła machać nogą.

– W tej grze ginie wielu porządnych mężczyzn i kobiet – odparł Nate. – Ale dzięki nim możemy ochronić wielu innych.

– Wiedzieliście, że tak będzie? – spytała. Kochali się na tej sofie. Na sofie i kuchennym zlewie, a on od początku o wszystkim wiedział.

– Posłuchaj – odparł – to nie jest żaden spisek. Nie wykorzystaliśmy cię, żeby go wykończyć. Był naszym agentem.

– Chcieliście go wydać, żeby wzmocnić moją pozycję, tak? – spytała. – Nie powinnam się była zgodzić.

Pokręcił głową.

– Pamiętasz, co mówił Benford? Wydał go już ten skurwysyn, ten pieprzony kret z Waszyngtonu. Generał o tym wiedział, sam mu powiedziałem, i przyjął to bardzo spokojnie. Był gotowy wyjechać i zamieszkać w Stanach. Zawsze był uparty i wciąż opłakiwał swoje dzieci, ale w głębi duszy nie przestał być patriotą. Po prostu wmówił sobie, że ojczyzna go potrzebuje. I chciał wrócić. Może coś przeczuwał, ale tkwiący w nim stary rosyjski żołnierz nie chciał w to wierzyć.

– Przestań, Domi – odezwał się Gable. – To nie był podstęp, wybij to sobie z głowy. To jest zwyczajne PKZ. Waszyngton będzie nas męczył tygodniami. Forsytha i mnie, jako szefa i jego

zastępcę, ale zwłaszcza tego tu palanta, bo to on prowadził Liryka.

– Co znaczy PKZ? – Nie zrozumiała; *bratok* mówił czasem od rzeczy.

– Po królewsku zjebane. – Gable dolał im ouzo.

Spojrzała na Nate'a.

– Dostaniesz naganę?

– Będą jeździć po nim miesiącami – odparł Marty. – Ale musimy robić swoje. Tak jak ty.

Oparła się ciężko i skrzyżowała ręce. Nie pomyślała o tym, o konsekwencjach, jakie będzie to miało dla Nate'a, i czuła się teraz podwójnie winna.

– A to znaczy… – powiedział Nate. – Spójrz na mnie! A to znaczy, że ty też masz robić swoje. Nie możesz nic po sobie pokazać, a to z kolei znaczy, że musisz dać odpór Ziuganowowi. I jeśli za dwa dni każe ci zejść do lochu i dać Lirykowi w twarz, to, kurwa, zrobisz to!

O tym też nie pomyślała. Było całkiem prawdopodobne, że pułkownik zaciągnie ją na przesłuchanie generała. W obecności obserwującego ich jadowitego karła jeden kret CIA przesłuchiwałby drugiego, znając prawdę. Nawet jeśli zachowałaby kamienną twarz, na pewno nie ukryłaby dreszczu, który by ją przebiegł. A karzeł od razu by to zauważył.

– Nie zrobię – odparła.

– Pamiętasz, co wam powiedziałem w Wiedniu? – wtrącił się Gable. – Pewnego dnia będziecie musieli podjąć decyzję, która wywróci wam żołądek na drugą stronę, ale nie będziecie mieli wyboru i podejmiecie ją, raniąc przy okazji kogoś, kogo szanujecie i komu ufacie. Ten dzień właśnie nadszedł, kolejny nadejdzie jutro i pojutrze. – Spojrzał na zegarek. – Prawie pierwsza. Jesteście głodni?

Dominika pokręciła głową. Marty zerwał folię z aluminiowego pojemnika. W środku leżały rzędem trzy bakłażany nafaszerowane błyszczącymi od oliwy pomidorami.

– Chcesz?

Nate też podziękował. Gable odsunął pojemnik. Wstał i włożył marynarkę.

– Co robimy? – spytał. – Wracasz do ambasady?

Dominika skinęła głową.

– Widzimy się jak zwykle wieczorem?

Skinęła głową jeszcze raz.

– Jutro wracam do Moskwy – odrzekła.

– Potrzebujesz czegoś?

Pokręciła głową.

– Dobra, dajcie mi dziesięć minut, sprawdzę ulicę. Na razie.

– Do widzenia, *bratok*.

Nie słyszeli windy, musiał zejść schodami. Siedzieli bez słowa naprzeciwko siebie. Aureola Nate'a żarzyła się fioletowym blaskiem, pulsowała energią. Dominika miała ochotę usiąść obok niego i go objąć, lecz tego nie zrobiła: katastrofalna decyzja Liryka, jej uraza i perspektywa nieuchronnego powrotu do Rosji przygniatały ją jak ciężki pled. W uszach wciąż pobrzmiewały jej słowa Gable'a i czuła smak żółci w gardle. Zerknęła na zegarek i wstała.

– Idę.

– Trzymaj się. Na tym samym parkingu, co wczoraj?

– O tej samej godzinie? – Zastanawiała się, czy wieczorem pójdą ze sobą do łóżka.

Byliby bezbrzeżnie smutni, gdyby wiedzieli, że nie dane im będzie się pożegnać.

IMAM BAYILDI – FASZEROWANE BAKŁAŻANY

Bakłażany przekrawamy na pół, wydrążamy środek i pieczemy do miękkości. Podsmażamy cienko pokrojoną cebulę, czosnek i pokrojone w cienkie kliny pomidory, doprawiamy solą, cukrem, koperkiem i natką pietruszki. Faszerujemy bakłażany nadzieniem i skrapiamy oliwą. Do brytfanny wlewamy trochę wody z dodatkiem cukru i soku cytrynowego, przykrywamy i pieczemy w niskiej temperaturze, od czasu do czasu polewając bakłażany sosem, aż prawie się zapadną, a sos w brytfannie zgęstnieje. Chłodzimy i podajemy w temperaturze pokojowej.

30

Wpadła na chwilę do ambasady, żeby sprawdzić, czy są nowe wiadomości o Liryku, ale nie było żadnych: ten stary dureń poleciał porannym samolotem. Myślał, że na lotnisku Domodiedowo będzie czekał na niego młody oficer protokolarny, który czarnym mercedesem zawiezie go do kwatery głównej GRU. Tak, będzie czekał, ale zamiast do mercedesa, zaprowadzi go do poczekalni dla VIP-ów w głównym terminalu, gdzie pięciu mężczyzn w garniturach chwyci go za ręce, nogi i szyję, przytrzyma, rozepnie mu koszulę, zdejmie buty i powita go w *rodinie*. Sołowiow już nie żył.

Zeszła do stołówki, zjadła kawałek zapiekanki z warzywami, nie czując smaku, i poszła do hotelu. Było gorące południe. Sprawa Liryka przybiła ją i odrętwiła. Znów jej to zrobili, a raczej ona zrobiła to sobie. Wiedziała, że agenci CIA odchodzą od zmysłów z niepokoju: właśnie stracili informatora, częściowo przez jego upór, częściowo dlatego, że mieli pecha, częściowo przez nieuwagę. Tak czy inaczej, znów tkwiła po uszy w znajomym bagnie. Witaj w życiu, które sama sobie wybrałaś.

Idąc zakurzonym chodnikiem, fantazjowała o ucieczce. Jak by to ujęła, jak powiedziałaby Nate'owi, że chce, by zabrał ją do Ameryki, już teraz, zaraz, że pragnęłaby zamieszkać w domu z kominkiem pośród sosen i leniwie kochać się z nim o poranku? Mała geniuszka z ciebie, prawdziwa marzycielka.

Kogo ty chcesz oszukać? Będziesz tak egzystowała aż do śmierci, żyła tym głęboko zamrożonym życiem, aż wyda cię jakiś zdrajca, zastrzeli snajper czy zaszlachtuje obłąkany zabójca.

Idąca obok Marta paliła papierosa, przyglądając się młodym mężczyznom na chodniku. Skup się, powiedziała, oczyść umysł, kochaj go i się nie bój.

Tak, kochaj go. Oczyściła umysł, wzięła klucz z recepcji i weszła na górę wąskimi schodami, ciemnymi i chłodnymi w porównaniu z ulicą. Chciała zdjąć sweter i przebrać się na wieczorne przyjęcie w ambasadzie, z którego zamierzała niepostrzeżenie wyjść na spotkanie z Nate'em i Gable'em. Postanowiła ich obu przeprosić, powiedzieć, że jej przykro. W sklepie z bielizną u Wolforda w Kolonaki kupiła czarne body, które chciała włożyć pod krótki żakiet ze spódnicą, a więc ubrać się nie na galowo, tylko jak elegancka królowa nocy. Cieniutki materiał był przezroczysty i Nate (albo ona) mógł jedną ręką rozpiąć body w kroku.

Nie przypominała sobie, żeby zasuwała zasłony w saloniku i coś wypadło z charkotem z sypialni, niewyraźna plama ruchu, szok i żelazna obręcz rąk wokół talii – rozstawiła szerzej nogi i wygięła się w lewo, lecz zamiast ją puścić, niewyraźny cień – na pewno nie cień mężczyzny, nie z tym okropnym zapachem – dźwignął ją z podłogi i z demoniczną wprost siłą przyparł do ściany, więc jedną ręka uderzyła go w głowę, a kantem drugiej między nogi, lecz cień tylko sapnął, złapał ją za gardło i wbił kolano w krzyż, próbując ściągnąć na podłogę, na szczęście w ostatniej chwili zdążyła chwycić małą ceramiczną lampę z abażurem w muszelki: wzięła zamach, wygięła się do tyłu i zdzieliła skurwysyna w skroń, a kiedy zabrał ręce, odwróciła się, by stwierdzić, że to nie on, tylko ona – podkoszulek, owijana spódnica, szerokie bary, grube łydy, szare jak cement oczy

i przylizane jasne włosy – lecz zanim to do niej dotarło, ta dziwka znów rzuciła się na nią bez ostrzeżenia i zaprawiła ramieniem w brzuch, skutkiem czego runęły obie na szklany stolik do kawy i choć roztrzaskały go w drobny mak, ten paszczur ruszył za nią na czworakach przez rozbite szkło i połamane drewno, okładając pięściami jej głowę i boki, łamiąc żebra, więc szybkim ruchem wbiła kciuk w to szare ślepie, lecz monstrum tylko stęknęło i potrzasnęło łbem, dlatego wiedząc, że nie pokona go siłą fizyczną, odpędziwszy strach i panikę, zaczęła się zastanawiać, czy nie krzyknąć, nie wezwać pomocy, bo morda tej poczwary była coraz bliżej i bliżej, ale nie, natrafiła ręką na kawałek szkła i chlasnęła ją na skos przez twarz, od lewej brwi, przez mięsisty nos, po prawy policzek – ot, mała pamiątka, piracka blizna – a wtedy stwór stoczył się z niej i chwycił za gębę, wycierając ją podwiniętym podkoszulkiem i odsłaniając piersi, wielkie ciemnobrązowe sutki, lecz trwało to tylko chwilę, bo zakrwawiony, jak ranny bawół znów zaatakował, tymczasem ona, wciąż zgięta wpół nie mogła złapać oddechu, wciąż trzymała się za bok – straszydło trafiło ją hakiem w bok głowy, ucho eksplodowało oślepiającym bólem i wtedy dostała furii: nie zważając na pęknięte żebra, trafiła ją prawym hakiem w twarz, raz i drugi, lecz jedynym tego efektem było to, że splecione nogami, upadły tyłem na sofę, szarpiąc się za włosy, walcząc o przewagę, rzucając się tak gwałtownie, że nogi sofy ustąpiły i to bydlę usiadło na niej, obróciło ją na brzuch, wgniotło jej twarz w poduszkę: poczuła krople krwi na policzku i w ostatniej chwili zdążyła wcisnąć rękę pod zaciskający się na szyi kabel elektryczny, wiedząc, że i tak może zaraz stracić przytomność i dziękując Bogu, że to tylko kabel, a nie struna fortepianowa – zdesperowana szarpnęła się gwałtownie dwa razy, z trzaskiem pękającego drewna sofa przewróciła się do tyłu, runęły na ścianę i zdając

sobie sprawę, że jeśli nie wstanie jako pierwsza, tu, w tej ciasnej szczelinie między ścianą a oparciem sofy, za chwilę będzie martwa, chwyciła zdzirę za podbródek, wbiła jej w brzuch kolano, mocno pchnęła, przetoczyła się na bok i wstała, wciąż z kablem na szyi, lecz ten demon z błyszczącymi od krwi wymionami już wycierał mordę, już przestępował lekko nad przewróconą sofą, więc zrobiła krok do tyłu i przygotowując się na kolejną szarżę, pod wpływem kaprysu rzuciła:

– *Suka ty złojebuczaja*, ty suko jebana!

Mając trochę miejsca tylko z lewej strony, chciała ją podpuścić, sprowokować, i kiedy tamta sięgnęła do jej gardła, ona zrobiła unik, chwyciła ją za ramię, wykonała ćwierć obrotu, założyła jej dźwignię i mocno pociągnęła w dół, wyrywając ze stawu kość ramieniową i miażdżąc wyrostek łokciowy – rozległ się suchy trzask, jaki wydaje rozłupywany orzech włoski, lecz choć kreatura szczeknęła z bólu i zamrugała zalanym krwią okiem, ze zduszonym jękiem znów wzięła zamach zdrową ręką, ale wtedy ona pociągnęła ją za podkoszulek, zakręciła nią jak kamieniem na sznurku i kopnęła pod kolano: zakrwawiony podkoszulek pękł, maszkaron upadł i nie mogąc podeprzeć się bezwładną ręką, grzmotnął gębą w podłogę, a wtedy pochyliła się, przewróciła jędzę na plecy, trzy razy owinęła kablem szyję i wyszedłszy poza zasięg zdrowej ręki, stanęła za jej głową, postawiła nogę na ramieniu i pociągnęła za kabel, mocno, ze wszystkich sił, bo tylko tak mogła uniknąć tych szponów i kłów, tylko tak mogła ją udusić, zapierając się obiema nogami i ciągnąc za końce owiniętego wokół pięści kabla, ciągnęła więc, odwróciła głowę, zwymiotowała i znów ciągnęła, cicho skomląc z wysiłku i czując, że coraz bardziej bolą ją żebra – babsztyl powoli odchylił do tyłu zakrwawioną głowę, zobaczył ją do góry nogami i zadrżały mu piersi, i zmieszana z krwią ślina popłynęła w stronę czoła, a ona wciąż ciągnęła, słysząc, jak

szkarada wydaje agonalny ryk, a raczej chrapliwie rzęzi, patrząc, jak szarpie za wrzynający się w szyję kabel, lecz choć wreszcie kilka razy wierzgnęła, dwa razy wygięła grzbiet i mlasnęła obwisłymi piersiami, ona nie przestała ciągnąć i ciągnęła tak w nieskończoność, choć dzwoniło jej w uszach, choć jej pole widzenia zawęziło się do małego, rozmazanego kółka z czarną obwódką – oprzytomniała dopiero po pięciu albo dwudziestu pięciu minutach, nie wiedziała kiedy, a ponieważ upiór wciąż się na nią gapił, ostrożnie obeszła go na czworakach, czekając, kiedy znów drgnie i wstanie, ale nie, przepona i pierś nie podnosiły się ani nie opadały, spódnica była zakrwawiona od talii po brzeg, stopy pocięte przez szkło, łokieć wykręcony w dziwną stronę, dlatego nie mogąc złapać oddechu, doszła do wniosku, że jędza nie żyje. Że ją zabiła.

W skórzanym portfelu były pieniądze, karta telefoniczna i zdjęcie paszportowe ładnej brunetki o lekko drwiącym uśmiechu. Megiera nie miała ani tożsamości, ani choćby narodowości. Ubranie i buty nic jej nie powiedziały, okulary też nie. Kim była? Dominika zacisnęła zęby, pochyliła się nad wytrzeszczonymi ślepiami, otworzyła szerzej jej rozchylone usta i zobaczyła znak firmowy rosyjskiej stomatologii: utlenione już metalowe plomby, brązowe ślady próchnicy między szkliwem i amalgamatem i odkryte przez parodontozę szyjki. A więc delegatka z Moskwy. Nie miała najmniejszych wątpliwości, kto ją nasłał, ale Ziuganow musiał mieć jakiś plan, jakieś alibi. Schowała zdjęcie do torebki. Usiadła chwiejnie na przewróconej sofie i spojrzała na martwą kobietę, która wciąż demonstrowała swoje plomby.

Zgięta wpół uświadomiła sobie nagle, że podczas dziesięciominutowej walki z tą bestią ani razu nie widziała ludzkich kolorów wokół jej głowy ani nawet nietoperzych skrzydeł czystego zła.

Ból się wzmagał, obejmował już plecy. Prawie nie mogła oddychać. Wiedziała, że nie ma wyjścia i musi wrócić do ambasady. Ktoś musiał ją dyskretnie opatrzyć, pomóc jej wyjechać z Grecji. I to natychmiast, bo kiedy pokojówki znajdą tę uduszoną megierę, zacznie jej szukać policja. Aresztowaliby ją, zrobiłaby złą reklamę ambasadzie i w Moskwie czekałoby ją niemiłe przyjęcie. Tak, musiała zniknąć. A w centrali powie, że ktoś ją napadł, nic więcej. Prawdę będą znali tylko ona i Ziuganow, to będzie ich doczesny sekret, leżący między nimi nagi nóż.

Kiedy nie pojawiła się w Tulipanie, Gable i Nate zwinęli interes i CIA uruchomiła standardową w takich przypadkach procedurę: przywarować i zaczekać na kontakt. Ateńska rezydentura przeanalizowała możliwe powody, dla których Dominika mogłaby nie przyjść: uroczystość w ambasadzie, nagły rozkaz z Moskwy wzywający ją do powrotu, kłopoty w mieście. Wstrząśnięty stratą Liryka Nate zgubił kolejnego agenta.

– Poradzi sobie – rzucił bez przekonania Marty. – Dopięliśmy wszystkie sprawy, przećwiczyliśmy procedurę ewakuacyjną. Zna punkty kontaktowe, sieć SRAC działa jak marzenie, będzie pod opieką świetnej dziewczyny. Mieliśmy dzisiaj zrobić małe podsumowanie i wypić po kielichu, chyba że nasz casanova miał inne plany.

Nate puścił to mimo uszu.

– Przejadę się tam. Sprawdzę.

Forsyth martwił się tak bardzo, że kiwnął głową.

– Byle po cichu.

Nate miał tylko przejechać przed hotelem, ale zrobił coś więcej. Znalazł odpowiednią uliczkę, kawałkiem sztywnego plastiku zablokował zasuwkę w drzwiach dla serwisu, tylnymi schodami wszedł na drugie piętro, zobaczył rozpiętą na podeście taśmę policyjną i znalazł jej pokój. Futryna drzwi też była przecięta na krzyż taśmą, a gdy je uchylił, ujrzał krew, połamane meble i porysowane ściany.

Jeden z chętnych do pomocy greckich policjantów przekazał rezydenturze makabryczne zdjęcia z sekcji zwłok, więc przynajmniej wiedzieli, że to nie Dominika leży w chłodni ateńskiej kostnicy, jednak wszyscy byli zgodni co do tego, że Ziuganow zaatakował ponownie, nasyłając na nią swoją agentkę, która – sądząc po zdjęciach – mogła być lub też nie być kobietą. Długie dyskusje telegraficzno-telefoniczne zaowocowały trzema sugestiami: natychmiast ewakuować Divę (Nate); dać jej miękką buteleczkę jadu *Latrodectus katipo*, czerwonego pająka, żeby psiknęła nim do herbaty Ziuganowa (Gable); wysłać jej kilka depesz ostrzegawczych SRAC (Forsyth przyszedł już z gotowymi). Benford wszystkie odrzucił, upierając się, że Dominika dobrze wie, co jej grozi, i że zalew depesz mógłby ją tylko rozproszyć. Dodał, że zapozna Hannę Archer z sytuacją, więc kiedy się spotkają, ta będzie już o wszystkim wiedziała.

W ostatnim telefonie do Forsytha przyznał jednak, że się niepokoi.

– Cholera jasna – powiedział do słuchawki – Diva stoi na progu Kremla, może wyrobić sobie ważne dojście, a topór opada, ostrze jest coraz bliżej i bliżej. Nie wiem, czy ta dziewczyna to wytrzyma i jak długo przetrwa.

– Chcesz ją ewakuować? – spytał Forsyth. – Nash napiera.

– Nie. Utrzymajcie ją przy życiu, jak długo możecie, ale musimy grać dalej bez względu na koszty.

– To trochę za surowe, nawet jak na ciebie – zauważył Simon.

– Ty też byłbyś surowy, gdybyś czuł na karku oddech tego zasranego Trytona.

Całą korespondencję operacyjną z Divą, czyli wszystkie depesze krążące między Atenami, Moskwą i Langley, przechowywano w ściśle tajnym archiwum kontrwywiadowczym CIA, do którego dostęp miała jedynie garstka upoważnionych. Niestety, Seb Angevine, wicedyrektor do spraw wojskowych, się do nich nie zaliczał. Ale tak, poszedł na codzienną odprawę w sali konferencyjnej dyrektora na szóstym piętrze gmachu, i tak, słyszał, jak podczas służalczej kotłowaniny, do jakiej dochodziło po każdej naradzie, ta maciora Gloria Bevacqua, nowa szefowa Sztabu Tajnych Akcji, szepcze dyrektorowi, że Liryk zignorował ostrzeżenia, wrócił do Moskwy i na pewno go aresztowano, chociaż ona „była przeciwna planowi jego wydania”.

Angevine wrócił do biura i dokładnie to przemyślał. Plan wydania Liryka? Napisał notatkę, sfotografował ją – informacja na pewno dotyczyła Rosji – i dołączył do przesyłki, którą dla Zarubiny pod koniec tygodnia zostawił w skrytce kontaktowej. Waszyngtońska rezydentka przekazała ją z kolei do centrali jako ściśle tajną wiadomość dla Zarządu KR, gdzie przeczytał ją Ziuganow i jego zastępca Jewgienij Pletniew, ten pierwszy z gwałtownym rozbłyskiem podejrzliwości w brzuchu, drugi ze strachem.

Amerykanie mogli się dowiedzieć o Sołowiowie tylko w jeden sposób: od innego kreta. A ten „plan jego wydania”? Nieistotne przeinaczenie? Cudownie ocalona Jegorowa wróciła z Aten i natychmiast poprosiła o zwolnienie z powodów zdrowotnych, twierdząc, że została napadnięta na ulicy i jest lekko ranna.

Ponoć szybko dochodziła do siebie. Chcieli z nią porozmawiać analitycy, chciał ją zobaczyć naczelny, wezwano ją na Kreml. Ziuganow uważał, że coś tu śmierdzi.

Kiedy w końcu dotarła do niego wiadomość, że Buchinę znaleziono martwą w pokoju hotelowym w Atenach, był szczerze zdumiony, że ktoś pokonał ją w walce. Jak zdołała tego dokonać ta baletnica, szczupła, elegancka Jegorowa? Czy ktoś jej pomógł? Koniec tematu, ani słowa więcej. Bez względu na to, co się stało, Ewa przegrała i choć była bardzo użyteczna, przyjął jej śmierć z pewną ulgą. Była nie do opanowania i z czasem zmieniłaby się w węża, który robiłby się coraz dłuższy i grubszy, by w końcu spojrzeć na niego przez szybę terrarium jak na mysz.

Jegorowa zbierze pochwały i nagrody, a on będzie czekał i obserwował. Wierzył, że Tryton powie mu to, co chciał usłyszeć.

ZAPIEKANKA WARZYWNA PO ROSYJSKU

Podsmażamy na maśle pokrojoną w kostkę cebulę i grzyby. Gdy lekko zbrązowieją, dodajemy porwane liście kapusty i smażymy, aż zmiękną. Przyprawiamy obficie tymiankiem, oregano, estragonem, solą i pieprzem. Dno żaroodpornego naczynia smarujemy serkiem śmietankowym, przykrywamy warstwą pokrojonych jajek na twardo i posypujemy posiekanym koperkiem. Całość zalewamy masą grzybowo-cebulowo-kapuścianą i zamykamy plastrem ciasta. Pieczemy w wysokiej temperaturze, aż ciasto zbrązowieje. Przed podaniem studzimy.

31

Miejsce spotkania – Potok. Wydeptana ścieżka biegła w dół, aż do ostrego skrętu w inną, schodzącą do nadbrzeżnej drogi spacerowej. Latarnia na skrzyżowaniu w kształcie litery V nie paliła się – klosz był rozbity – i okolica tonęła w ciemności; zza drzew dochodziło jedynie słabe światło latarni nad rzeką, które mrugały między prawie nagimi gałęziami. Nagie czy porośnięte liśćmi – na Wzgórzach Worobiowych, w gęstym parku na Łużnikach w zakolu rzeki Moskwy zawsze było ciemno i strasznie. Opierając się o pokryty gładką korą pień jesionu, Hanna Archer rozprostowała bolące nogi, spojrzała na podświetloną tarczę zegarka i ukryła go pod rękawem wodoodpornej czarnej bluzy z kapturem.

Już czas. Bezszelestnie wstała i z bocznej kieszeni kurtki wyjęła scouta PS24, noktowizyjną lunetkę wyposażoną w obiektyw i zabezpieczony gumą okular. Ustawiła obiektyw na „maksymalny kontrast” – źródło ciepła (na przykład człowiek) wyglądało wówczas jak duch na tle zupełnie czarnego tła. Skierowała noktowizor w stronę opadającej ku rzece ścieżki i zatoczyła nim stustopniowy łuk. Gdzie jesteś, Divo? Co cię zatrzymało?

Na końcu krętej dróżki zobaczyła sunące między drzewami widmo. Bo dokładnie tak wyglądała, jak widmo, zjawa sfotografowana przez polujących na duchy na strychach starych domów. Płynęła w powietrzu lekka i bezcielesna, lecz Hanna skupiła wzrok nie na niej, tylko na biegnącej za nią

ścieżce. Czysto. Omiotła noktowizorem drzewa po jej obu stronach. Czysto. Nie odrywając od ziemi nóg, skręciła ciało, żeby sprawdzić drzewa na zboczu wzgórza. Też czysto. Spojrzała w dół. Zjawa utykała, leciutko, prawie niedostrzegalnie, i widać to było dopiero wtedy, gdy ktoś wiedział, czego szuka. Diva.

Hanna schowała noktowizor do plecaka i wyszła zza drzewa w chwili, gdy Dominika znalazła się dwa kroki przed nią.

– Kapitan Jegorowa? – spytała cicho. – Jestem Hanna. – Zdjęła kaptur. Wysypały się jasne loki, zaskrzyły oczy i park pojaśniał od szerokiego, szczerego uśmiechu. Wraz z uśmiechem wykwitła nad nią czerwona jak cukierek aureola zaangażowania, ambicji i zdecydowania. I… namiętności? Wysoka jak Dominika, może trochę drobniejsza, ale na pewno wysportowana, promieniała energią i adrenaliną. Skinąwszy przepraszająco głową, znów wyjęła noktowizor i omiotła nim okolicę.

Chętnie dałaby go do wypróbowania Dominice, ale moskiewskie zasady operacyjne podkreślały, że amerykański oficer prowadzący nie może mieć kontaktu fizycznego z zagranicznym agentem z obawy przed skażeniem go „metką” – związkiem chemicznym o nazwie nitrofenyl-pentadienal, znanym jako NPPD – którą tajniacy z FSB ukradkiem rozpylali na klamkach amerykańskich mieszkań, klamkach samochodów, wycieraczkach, kierownicach i na kieszeniach płaszczy. Wystarczył jeden uścisk ręki czy rozwinięty batonik i rosyjski agent (jeśli FSB czy SWR zaczęły go podejrzewać) świecił jak neon Samsunga na Twerskiej.

– Trzeba z tym ostrożnie – szepnęła, opuszczając lunetkę. – Promieniowanie podczerwone widzą nawet zwykłe noktowizory, więc nie można długo patrzeć.

Widzą promieniowanie i ten uśmiech, pomyślała Dominika.

– Przejdźmy się – rzuciła Hanna i ruszyły pod górę, w głębszy mrok, z dala od rozmytego światła nabrzeżnych latarni. Szybko ustaliły datę i godzinę następnego kontaktu, co zawsze było pierwszym punktem spotkania na wypadek, gdyby agentów nakryto i musieli się rozdzielić.

Hanna zaimponowała Dominice. Była uporządkowana, zebrana w sobie i pełna wigoru.

– Mam pani przekazać, że Ateny wiedzą już, dlaczego nie przyszła pani na wczorajsze spotkanie – mówiła. – Wiedzą, że ta kobieta próbowała panią zabić. Jak się pani czuje?

– Mam nadwerężone żebra, posiniaczone palce i boli mnie gardło. W centrali powiedziałam, że ktoś mnie napadł. Mój szef patrzy na mnie jak na wiedźmę.

– Pytają, czy Ziuganow pani zagraża. Mam przekazać, że możemy panią w każdej chwili ewakuować.

Dominika zerknęła na jej prostoduszną twarz i czerwony obłok pasji nad jej głową.

– Proszę im podziękować, ale nie, nic mi nie grozi i robię postępy. – Mówisz jak stara baba do młodej, świeżej dziewczyny, pomyślała. Ciekawe, czy *Niejt* też tak uważa.

– To dobrze. Nate bardzo się niepokoił.

Hm, na pewno.

Umilkła. Hanna przeszła do następnego punktu na liście.

– Dodatkowe wyposażenie. – Wyjęła małą płócienną torebkę w plastikowym woreczku. Otworzyła woreczek, żeby Dominika mogła ją wyjąć. – Sprawdzone i czyste. Wie pani, co to jest, ćwiczyła pani na identycznym. W razie jakichś pytań wszystko wyjaśnię przez SRAC. Okej?

Sprawna, kompetentna i pewna siebie. Wie, co robi. Ile ona ma lat? *Niejt* mówił, że dwadzieścia siedem? Boże.

– Tak, dobrze – odrzekła, czując się jak informatorka przesłuchiwana przez prowadzącego, którą przecież była. –

Mam kilka spraw. – Proszę im przekazać, że ustaliłam miejsce pobytu Liryka. Generał żyje. Ten stary *morż* do niczego się nie przyznał. Widziałam go w celi, ale on mnie nie widział. Ziuganow denerwuje się, że nie może nic z niego wyciągnąć. Śledztwo za bardzo się przedłuża. Boją się teraz o jego serce. Jest w areszcie domowym w swoim moskiewskim mieszkaniu, czeka na drugą rundę. Nie przeżyje drugiego poziomu. – Zerknęła na Hannę. – Zapamięta pani?

– Tak. – Hanna poklepała plecak. – Wszystko nagrywam, nie chcę niczego przegapić. Ale… co to jest *morż*?

Mors. Dominika nie wiedziała, jak to jest po angielsku, więc spróbowała go opisać, a nawet cicho chrząknęła i parsknęła. Hanna zasłoniła ręką usta, więc ona też się roześmiała – szły przez ciemny park, wymieniając tajne informacje, nadsłuchując zgubnego trzasku pękającej gałązki i śmiejąc się jak siostry.

– Proszę uważać z tym nagraniem, dobrze? Z moim głosem. – Omal nie spytała, czy usłyszy go *Niejt*. Oczywiście, że usłyszy.

Hanna momentalnie spoważniała.

– Będę pilnowała go jak oka w głowie. Poza tym jeśli ktoś spróbuje je odtworzyć, nie naciskając odpowiednich guzików, w dwie i trzy dziesiąte sekundy wszystkie pliki zostaną skasowane.

– Widzę, że ma pani dobry sprzęt.

– Tak, mamy mnóstwo różnych zabawek, ale najważniejsze jest pani bezpieczeństwo. To moje zadanie.

Niesamowite: Dominika słyszała w jej głosie intonację i rytm słów Nate’a. Ćwiczyli razem, jakie to urocze. A teraz stoję tu po ciemku, a ta mała gladiatorka mówi, że się mną zaopiekuje. Przyszła jej do głowy niezbyt życzliwa myśl.

– Od razu czuję się bezpieczniej. – Mówiła do urządzenia nagrywającego w plecaku. Do *Niejta*.

Hanna przyjrzała się jej uważnie.

Bystra jest, pomyślała Dominika. A ja wredna.

– Jeszcze coś – dodała. – Proszę im przekazać, że Jewgienij wciąż współpracuje i mówi mi wszystko, co chcę wiedzieć. – Słyszałeś to, *Niejt*? – Powiedział mi dzisiaj, że Zarubina poprosiła o nadzór satelitarny miejsca, gdzie ma dojść do spotkania. W Stanach, w Waszyngtonie. Jewgienij przygotowywał oficjalne pismo do Dyrektoriatu Wywiadu Satelitarnego w Watutinkach. Pokazał mi je za… całusa. – Przestań, wystarczy. – Zapisałam współrzędne. – Podała jej karteczkę. – Przypuszczam, że Zarubina chce w ten sposób namierzyć Trytona.

Hanna przeczytała współrzędne na głos, żeby je nagrać, porwała kartkę, wrzuciła kawałki do buteleczki przezroczystego płynu i mocno nią potrząsnęła. Aceton wszystko zniszczy, wyjaśniła. Ma miły uśmiech, pomyślała Dominika. Bystra dziewczyna.

Marta siedziała na pniu powalonego drzewa, kręcąc głową. No przestań, z zazdrością ci nie do twarzy.

– Niesamowite – szepnęła Hanna. – To prawdziwa bomba, Nathaniel oszaleje z radości. To może nas zaprowadzić do Trytona. – Pojaśniała jej twarz.

Już nie Nate, tylko Nathaniel, zauważyła Dominika. Nie ma w niej ani odrobiny fałszu. Jasnoczerwona aureola, jak posypane cukrem pudrem truskawki, i te rzymskie loki.

Hanna podciągnęła rękaw i spojrzała na zegarek.

– Przekroczyłyśmy limit czasu. Coś jeszcze? Potrzebuje pani czegoś? Sprzęt działa?

Dominika kiwnęła głową. Już miała spytać ją o Nate’a, lecz ugryzła się w język. Nie, nie chciała być *niekulturna*.

Hanna wyjęła noktowizor i jeszcze raz sprawdziła las. Nic. Pusto.

– Dobrze, w takim razie do zobaczenia. *Skład*, magazyn. Pamięta pani? Tam się widzimy.

– Tak, pamiętam – przytaknęła Dominika.

Hanna spojrzała na nogi i podniosła wzrok.

– Cieszę się, że panią poznałam. Jest pani wspaniała i robi pani świetną robotę.

Dominika sondowała jej twarz w poszukiwaniu śladów sarkazmu czy lizusostwa. Ale nie, jej aureola pulsowała równym, spokojnym rytmem.

– Ja też się cieszę – odrzekła. – Będzie nam się dobrze współpracowało. Proszę pozdrowić ode mnie Nathaniela i pozostałych. Przejęła pani po nim pałeczkę.

– Przeczytałam całe akta. Nate to fantastyczny prowadzący. Pomógł mi przygotować się do tego zadania. Bardzo pomógł.

Dominika zauważyła ten mały wybuch emocji, zauważyła także, że Hanna szybko go stłumiła. Nie, nie mogła jej nie lubić.

– Wspiera panią całym sobą – dodała nagle Hanna. – Naprawdę. Wszyscy panią wspieramy.

Nadany kanałem feromonowym chemiczny przekaz był jednoznaczny: bez względu na to, do czego mogło między nami dojść, on kocha tylko ciebie. Nieważne, co czuję. Nate jest twój. Mało brakowało, a Hanna wzięłaby ją za rękę, odruchowo objęła i uścisnęła, lecz się powstrzymała. Odwróciła się, włożyła kaptur, odeszła i szybko zniknęła w ciemności. Diva stała przez chwilę zupełnie nieruchomo, a potem ruszyła w przeciwną stronę, do rzeki.

Towarzyszyła jej Udranka. *Kak tiebie nie stydno* – szepnęła. Jak ci nie wstyd.

Głośno sapiąc, Jewgienij przygniótł włochatą nogą jej pośladki. Dominika przewróciła się na brzuch, częściowo po to, żeby wytrzeć ukradkiem usta, ale głównie dlatego, że nie chciała patrzeć na włosy w jego nosie i uszach, na pofałdowane paznokcie u nóg i ogryzione skórki u rąk. *Boże moj*, nawet fiuta miał owłosionego jak kamczacki niedźwiedź. Jaskółki szkolono w sztuce uwodzenia po to, żeby ułatwić ojczyźnie realizację celów strategicznych – seksszpiegostwo to kombinacja dwóch najstarszych zawodów świata – ale ona sypiała z Pletniewem, żeby przeżyć, bo tylko on mógł dostarczyć jej informacji o postępach w sprawie Trytona.

Wróciła do pracy przed tygodniem. Ziuganow się nie zmienił i wciąż kłębił się nad nim czarny obłok zazdrości i oszustwa. We wszystkich służbach kontrwywiadowczych aż huczało od rozmów na temat jej niezwykłego sukcesu, tego, że wyczuła pismo nosem i zarekomendowała odwołanie Sołowiowa z Aten, co było wspaniałą demonstracją intuicji i profesjonalizmu. Ziuganow, oszalały z zazdrości o jej dokonania i o Putina, robił, co mógł, żeby zmusić generała do mówienia, na razie bezskutecznie. Jewgienij twierdził, że właśnie dlatego na Sołowiowa nałożono areszt domowy i zabroniono mu wychodzić ze swojego małego mieszkania w Chimkach w północno-zachodniej części Moskwy. Mieszkał z nim na stałe strażnik, ale dokąd generał mógłby uciec? Bez paszportu? Dać mu miesiąc odpoczynku i zaczniemy od nowa.

Jewgienij za nią tęsknił. Przyszedł zaraz po pracy, więc poczęstowała go kotletami pożarskimi, złocistobrązowymi kotletami mielonymi z piersi kurczaka w pikantnym sosie ajwar. W tym czasie delikatnymi palcami pociągnęła za odpowiednie sznurki, żeby zaczął mówić. Komuś innemu byłoby pewnie trudno, ale on potrafił mówić, jedząc.

Zarubina prowadziła teraz Trytona, spotykając się z nim osobiście. Schlebiała mu, prawiła komplementy, podsuwała sugestie i delikatnie go nakłaniała, żeby dostarczał jej coraz to bardziej rewelacyjnych informacji z samego serca CIA. Według Jewgienija była geniuszem, prawdziwą artystką. Najważniejszy punkt listy: Tryton miał dla niej sprawdzić, czy w centrali działa kolejny amerykański kret, ktoś, kto zastąpił zlikwidowanego Korcznoja. Błękitnooka Oaza Spokoju z Kremla poleciła służbom wywiadowczym – wszystkim i każdej z osobna – natychmiast go złapać. Najpierw attaché wojskowy w Caracas, a teraz generał GRU w Atenach – wrzawa była coraz głośniejsza. Amerykanie nie próżnowali i wszyscy wiedzieli, po prostu wiedzieli, że czyha na nich jeszcze groźniejszy przeciwnik. Szukają mnie, pomyślała Dominika.

Było tego więcej, ale ponieważ Jewgienij włączył wiadomy kierunkowskaz, zaprowadziła go kokieteryjnie do małej łazienki, gdzie jak konia pociągowego polała go prysznicem i pokazała mu niegrzeczną sztuczkę z mydłem. Potem wytarła go, wepchnęła do sypialni, wyłączyła umysł, zamknęła oczy, podrapała mu paznokciami plecy i wbiła pięty w jego włochaty tyłek, na czole i ustach czując krople jego potu.

Omal się nie rozpłakała, myśląc o *Niejcie*, o ich kłótni, o tym, że tak fatalnie poszło im z Lirykiem, i wtedy coś zaświtało jej w głowie, trudna do uchwycenia mglista myśl, ale ponieważ Jewgienij właśnie dochodził, rżąc jak ogier w stajni, ukryła ją w jakimś zakamarku, udając, że ona też ma orgazm – standard: kilka razy rzucić na boki głową i głośno zajęczeć – a potem opadła na łóżko z tą włochatą golonką na pupie. Kiedy wrócił mu oddech, znów pociągnęła za sznurki.

– Zarubina wie, że wezwano cię na Kreml i pogratulowano – wysapał. – Kiedyś zostanie naszą szefową i ma cię na oku. Jesteś

ustawiona. – Poklepał ją po pośladkach. – Tylko nie zapomnij o przyjaciołach!

To absurdalne, ale Udranka siedziała na szafie w kącie pokoju i machała nogami. Trudno wytrzymać, co? – rzuciła. Ale nie musi ci się to podobać, po prostu masz to zrobić.

Wezwanie z prezydenckiego sekretariatu przyszło dwa dni po jej powrocie, ale samochód, który po nią przysłano, minął Bramę Borowicką, kilometr dalej wjechał do dzielnicy Twerska – który przecinała elegancka ulica Twerska pełna sklepów z butami, ubraniami i artykułami skórzanymi nieznanymi w *Matuszkie Rossii* poza obwodnicą moskiewską – i skręcił w szeroki, czyściutki *Szwiedskij Tupik*, zaułek Szwedzki. Budynek oznaczony numerem trzecim był nowoczesnym dziesięciopiętrowym wieżowcem z cegły i szkła, niepasującym do okolicznych barokowych gmachów z epoki sowieckiej i – sądząc po budce strażnika z Federalnej Służby Ochrony przed głównym wejściem – dość wyjątkowym.

Czekał na nią adiutant, który zaprowadził ją do bezszelestnej windy bez guzików, a gdy otworzyły się drzwi, zobaczyła wyłożony parkietem luksusowy salon z ozdobnymi sztukateriami na ścianach i suficie. Przy kredensie na końcu salonu stał prezydent Putin; rozmawiał przez telefon. Był w sportowej koszuli koloru khaki i skórzanej kamizelce z zapinanymi na suwak kieszeniami. Na brokatowej sofie i w fotelach siedziały trzy osoby, kobieta i dwóch mężczyzn: nad ich głowami unosiła się cuchnąca żółta mgła. Postukując szpilkami – pamiętała o wskazówkach Gable'a na temat obcasów – Dominika ruszyła w tamtą stronę. Była w granatowym kostiumie i ciemnych rajstopach, miała upięte

„na służbowo” włosy i szła przez salon jak posągowa baletnica. Tamci przestali rozmawiać. Otoczony zimnoniebieską poświatą Putin odłożył słuchawkę, uścisnął jej dłoń, wziął pod rękę i poprowadził z powrotem w stronę czekającego adiutanta i wciąż otwartych drzwi windy. W szpilkach była od niego o głowę wyższa.

– Dziękuję, że zechciała pani przyjść – powiedział. – I gratuluję kolejnego sukcesu. – Jego zakrzywione jak łuk kupidyna usta leciutko drgnęły, być może z życzliwości albo nawet rozbawienia. – Widać, ma pani szczęście do Aten. – Spojrzał jej w oczy i nie pierwszy raz pomyślała, że umie czytać w myślach.

– Dziękuję, panie prezydencie. – W tej szalonej chwili nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Żałuję, ale będę musiał zaraz wyjść, w przeciwnym razie zaproponowałbym pani coś do jedzenia i przedstawił kilku osobom. – Wskazał dyskretnie swoich gości. – Przez dziesięć dni będę przewodniczył konferencji w Strielnej. Była pani w Pałacu Konstantynowskim?

– Bardzo dawno temu, jako dziecko. Zaproszono mnie tam z rodziną z Petersburga. – Przypomniały się jej wspaniały barokowy pałac i ciągnące się aż do morza neoklasycystyczne ogrody. Na tym samym odcinku wybrzeża, na południe od Petersburga, znajdował się także zespół pałacowo-ogrodowy Peterhof i Oranienbaum, dawna rezydencja rosyjskich carów.

– Oczywiście. Tam mieszkali pani krewni.

Tak, pomyślała, moja babcia, która ukryła się w studni, kiedy bolszewicy spalili jej dom.

– W takim razie najwyższa pora na kolejną wizytę.

Zapraszał ją. Ale chyba nie jako jedynego gościa? Forsyth! Benford! Co ja mam robić?

– Jeden z domów na terenie kompleksu jest przeznaczony do nieformalnych spotkań ludzi, których powinna pani poznać. – Putin dał znak adiutantowi, żeby odprowadził ją do holu. – Gowormarienkę już pani zna.

Tego wieprza, cara energetyki, który pomaga ci ciągnąć kasę z irańskiego kontraktu? No jasne. Boże, oby tylko nie było tam okrągłej wanny.

– Jest pan zbyt łaskawy, panie prezydencie – powiedziała. – Przy okazji będę mogła odwiedzić rodzinę. – Uścisnęła mu rękę, suchą i twardą, i weszła do windy.

– Proszę dopilnować, żeby nazwisko pani kapitan znalazło się na liście – rozkazał Putin adiutantowi.

Drzwi się zamknęły, lecz wciąż czuła na sobie jego wzrok.

KOTLETY POŻARSKIE

Namoczoną w mleku nieodciśniętą kajzerkę dokładnie mieszamy z mielonym mięsem kury z dodatkiem masła, soli i pieprzu. Formujemy niewielkie kotleciki, które zanurzamy w roztrzepanym jajku i obtaczamy w tartej bułce. Smażymy na maśle, aż staną się złocistobrązowe. Podajemy z ziemniakami purée i sosem ajwar.

32

Benford spóźnił się na swoją własną naradę. Był w Wydziale Proliferacji, na spotkaniu informacyjnym w sprawie posadzki sejsmicznej W. Petrsa, jej odysei przez kontynentalną Rosję w drodze do Iranu. SBE, niemiecka Federalna Specjalna Jednostka Operacyjna, zawiadomiła rezydenturę CIA w Berlinie, że potężny ładunek opuścił już fabrykę. NGA, Narodowa Agencja Wywiadu Satelitarnego, w porozumieniu z CIA śledziła go za pomocą Indigo Eye, satelity trzeciej generacji, który krążąc po eliptycznej orbicie biegunowej na wysokości trzystu dwudziestu kilometrów, mógł odczytać nazwę na kwadratowej rufie barki płynącej obecnie przez jeziora na północ od Sankt Petersburga; miała następnie skręcić na południowy wschód, dotrzeć Wołgą do Astrachania w jej delcie, a potem do Morza Kaspijskiego.

W zaciemnionej sali pokazano mu zdjęcia olbrzyma zabezpieczonego termokurczliwą folią winylową, przykrytego płachtami burego brezentu i jak Guliwer przymocowanego do pokładu dziesiątkami krzyżujących się lin. Irytujący analityk NGA, wytrzeszcz z żabimi oczami, wyjaśnił, że orbitalny ruch precesyjny, czyli zjawisko zmiany kierunku osi obrotu obracającego się ciała, wymuszone działającym nań momentem siły ze składową prostopadłą do momentu pędu ciała – Benford łypnął na niego spode łba, czekając, aż facet zacznie tłumaczyć im trzecie prawo Keplera – będzie z każdym kolejnym obrotem spychał satelitę coraz dalej na zachód. Znaczy to, kontynuował

zadowolony z siebie, że kiedy barka wpłynie na Morze Kaspijskie, szybujący coraz niżej Indygo straci ją z oczu. Jednak szybko dodał, że zastąpi go wtedy Solar Fist, Pięść Solarna, dron wysłany z bazy Sił Powietrznych USA w Incirlik w Turcji, który pokonawszy niezauważenie pięćset kilometrów azerskiej i irańskiej przestrzeni powietrznej, przez pięć dni będzie leniwie krążył nad Morzem Kaspijskim, robiąc ósemki na wysokości dwudziestu kilometrów.

Pod koniec spotkania wytrzeszcz – facet gapi się ciągle w niebo, więc te wybałuszone ślepia do niego pasują, pomyślał Benford – z wyższością oświadczył, że za pięć lat drony zastąpią oficerów operacyjnych. W sali zapadła cisza. Benford zesztywniał.

– Bardzo dziękujemy za ten spontaniczny komentarz – powiedział. – Nie wątpię, że wasze drony potrafią zajrzeć nam z góry do gaci, ale na pewno nie są w stanie przewidzieć, co zrobimy z fiutem, z kim i kiedy.

Wyszedł i pospieszył do jaskini alchemika, jak nazywał swój gabinet. Na krzesłach wokół zawalonego papierami biurka siedziały już jego zaufane doradczynie, Margery Salvatore i Janice Callahan. Benford opadł ciężko na fotel i nachmurzył czoło. Margery i Janice wiedziały, że w takich chwilach lepiej milczeć. Świadom, że w CIA działa donoszący Rosjanom kret, Benford zachowywał się jak opętany. Przez chwilę milczał, wreszcie zaczął.

– Przepraszam za język, ale kurwa mać! Odkryliśmy, że mamy w Langley kreta i żeby uniemożliwić Trytonowi kontakt z Rosjanami, kazaliśmy OSI zamknąć operację z podwójnym agentem, mając nadzieję, że dzięki temu ten kutas wyjdzie z ukrycia i nawiąże bezpośredni kontakt z Zarubiną. Z raportów Divy wiemy, że rzeczywiście nawiązał, ale niestety, to pieprzone FBI dało dupy i ją zgubiło. Tak baba jest ostrożna

i nieprzewidywalna. Kiedy wyczuje, że coś jest nie tak, natychmiast się wycofuje i cholernie trudno ją dyskretnie śledzić.

– Odetnijmy ją – zaproponowała Janice. – Naślijmy na nią kilkunastu naszych i zmuśmy do popełnienia błędu.

– To mogłoby zadziałać – zgodziła się z nią Margery – ale jeśli za mocno ją przyciśniemy, jest bardzo prawdopodobne, że Rosjanie uśpią Trytona do chwili, kiedy przejmie go wysłany przez Moskwę nielegał.

– A wtedy sprawa trafi na półkę i będzie mógł pracować spokojnie przez trzydzieści lat – dodała Janice, która prowadziła agentów w komunistycznej Europie Wschodniej i z doświadczenia wiedziała, że średnia długość ich życia w roli szpiega wynosiła półtora roku.

– To przygnębiające, ale Janice ma rację – stwierdził Benford. – Okienko czasowe, w którym możemy namierzyć Trytona i jego prowadzącą, powoli się zamyka. Zarubina stosuje agresywne techniki kontrwywiadowcze i regularnie wpuszcza FBI w maliny.

– W ciągu tych wszystkich lat – odezwała się Margery – niemal w każdej sprawie zawsze pojawiało się coś nieprzewidywalnego i pozornie mało znaczącego, co zmieniało przebieg operacji, dekonspirowało kreta czy umożliwiało werbunek informatora. Tego właśnie potrzebujemy.

Benford rzucił monetę na biurko.

– Masz tu centa – mruknął. – Wrzuć go do naszej fontanny i pomyśl życzenie.

– Margery, zachowaj tego centa na gorsze czasy. – Do gabinetu wszedł Dante Helton, szef Wydziału Proliferacji. Zdjął z krzesła stertę teczek, przestawił je bliżej biurka i usiadł obok niej. – Simon, przeczytaj najnowszą depeszę z Moskwy. Numer dwadzieścia pięć osiemdziesiąt cztery. Właśnie przyszła.

Benford ciężko westchnął.

– Dante, jak to miło, że tak punktualnie wpadłeś na naradę, która trwa już od dwudziestu minut.

Helton wskazał monitor.

– Przeczytaj.

Benford znalazł depeszę, nasunął na nos okulary i pochylił się.

– Hanna Archer odbyła pierwsze spotkanie twarzą w twarz z Divą – powiedział. – Na Wzgórzach Worobiowych. – Podniósł wzrok. – Janice, twoja protegowana znów świetnie się spisała. Co więcej, pisze, że… Ja pierdolę! – Zaczął sunąć palcem po ekranie. – Trzydzieści osiem stopni i dziewięćdziesiąt dwie minuty szerokości geograficznej północnej, siedemdziesiąt siedem stopni, trzy minuty długości geograficznej zachodniej. – Znów podniósł wzrok i popatrzył na każdego z nich z osobna.

Choć zawsze wobec niego lojalna, Margery od dawna przewidywała, że Benford zacznie się kiedyś ekscentrycznie starzeć – najwyraźniej chwila ta właśnie nadeszła. Zastanawiała się, czy kiedy dokumentnie zdziecinnieje, nie wystawić go w bibliotece, gdzie mógłby zbierać datki na Dzień Rodzinny pracowników CIA.

– Wiem, o czym myślisz, Margery, ale natychmiast przestań – warknął. – Diva uzyskała tę informację od Jewgienija Pletniewa z Zarządu KR. Pewnie z nim jaskółczy. Ma ikrę, nie ma co. – Wywołując papierową lawinę, wyciągnął gruby plan miasta spod stery gazet. Nikt nie raczył ich podnieść.

– Zarubina zażądała nadzoru satelitarnego miejsca o tych współrzędnych – ciągnął, przerzucając kartki. – My też tak robimy… – Znalazł odpowiednią stronę. – Śródmieście, Meridian Hill Park w Columbia Heights między Piętnastą i Szesnastą. – Spojrzał na Margery. – Jesteś prorokinią, sybillą,

możesz praktykować haruspicję. Zarubina podała nam właśnie współrzędne następnego spotkania z Trytonem.

Od chwili ponownego nawiązania kontaktu Seb Angevine spotkał się z nią pięć razy i wybitnie tych spotkań nie znosił. Czuł się za bardzo odsłonięty. Zupełnie się na tym nie znał, ale musiał przyznać, że zawsze wybierała mało uczęszczane miejsca, uliczki, zaułki i dziedzińce, o których istnieniu nie miał pojęcia. Mimo to wzdragał się przed ryzykownymi spotkaniami ze znaną rezydentką SWR i za każdym razem zżerały go nerwy, dlatego gotów w każdej chwili uciec, zwykle ukrywał się gdzieś przed spotkaniem i uważnie obserwował teren, sprawdzając, czy jest sama. Zarubina musiała o tym wiedzieć, bo kiedyś objęła go jak życzliwa babcia i powiedziała, że jest kochany, że tak się o nią troszczy. Dupa, dupa, dupa! – pomyślał. Troszczę się o swoje jaja!

To dla pieniędzy do niej wracał. Rosjanie dobrze teraz płacili, grubymi zwitkami banknotów i sowitymi przelewami na anonimowe konta zagraniczne; Zarubina wspomniała, że przekroczyli właśnie granicę dwóch milionów dolarów. Wiedział, że Rosjanie jadą na jego sprzedajności i rozbuchanym ego, ale proszę bardzo, niech jadą, byle tylko mógł podejść do okienka i wybrać tyle, ile chciał. Zarubina nie odpuszczała, była nieustępliwa i choć wyglądała i zachowywała się jak dobrotliwa babcia, po pięciu spotkaniach obdarzony wyobraźnią Seb zaczął dostrzegać w niej toksyczny cień procesów pokazowych, gułagu, politbiura, masowych grobów i brzozowych lasów.

Natomiast z Vikki układało mu się świetnie, i dzięki Bogu. Co prawda odrzuciła jego sugestię, żeby przestała się publicznie rozbierać, ale spędzili razem miły urlop, poza tym opłacał jej

czynsz i pokrywał wydatki. Seks, pełen wygibasów i łamańców, też był świetny. Myśląc, że znaleźli już wspólną płaszczyznę, zaproponował jej kiedyś, żeby zaprosiła do trójkąta którąś z dziewczyn z klubu, ale dostała szału i przez tydzień nie chciała go widzieć. Jezu, o co tyle szumu? Kupił jej złote kolczyki w Market Street Diamonds przy M Street i na przeprosiny poszli do łóżka, ale wciąż była na niego zła.

Wykorzystując stanowisko „starszego urzędnika" CIA, mógł czytać depesze operacyjne, do których jako „niższy" nie miałby dostępu. I czytał ich mnóstwo. Nigdy niczego nie ściągał ani nie kopiował, bo ciągle sprawdzano ich komputery i drukarki. Zarubina, której zaimponował tym, że ufa jedynie zdjęciom ekranu służbowego monitora, dała mu niezwykły miniaparat fotograficzny, japońskiego chobi cama. Wielkości małej gumki ołówkowej, ważył ledwie czternaście gramów i robił zdjęcia o lepszej rozdzielczości niż jego iPhone (którego używanie i tak było w Langley zabronione).

– Zarząd T ma oczywiście lepsze – prychnęła – ale ten był akurat pod ręką. – Co znaczyło, że gdyby wpadł z japońskim, SWR mogłaby się wszystkiego wyprzeć. – Przełącz go na tryb wideo i jak najszybciej przewiń ekran. Spokojnie, mój drogi, na pewno pobierzemy wszystkie zdjęcia.

Z kciukiem na klawiszu przewijania nagrywał teraz obrazy przesuwające się tak szybko, że nie wiedział nawet, co fotografuje. Pracowali na trzy kamery – Alfa, Beta i Gamma – którymi wymieniali się na każdym spotkaniu. Opróżniali skarbiec.

Na ostatnim spotkaniu Zarubina przypomniała mu słodkim głosem, że wciąż nie znają nazwiska działającego w Moskwie kreta CIA, a on po raz trzeci powtórzył, że istnieje niewielki procent spraw tak tajnych, iż dostęp do nich mają jedynie trzy osoby. I ze względu na ochronę informatora opracowane na ich

podstawie materiały są tak dokładnie edytowane i przesiewane, że nie zna ani ich nazwisk, ani płci, ani narodowości. Słodka jak miód Zarubina poprosiła, żeby nie ustępował w wysiłkach.

I to właśnie na cotygodniowym spotkaniu zastępców ze znienawidzoną Glorią Bevacquą odkrył sposób obejścia murów strzegących tożsamość najtajniejszych agentów. Podczas jednego z nudnych i nieudolnych wywodów ta maciora zaczęła narzekać na biurokrację panującą w biurze finansów, gdzie, jak wspomniała, przechowywana jest lista „prawdziwych nazwisk", bez której nie można by przelewać pieniędzy na anonimowe konta bankowe agentów. Podkreśliła, że ten narzucony odgórnie biurokratyczny wymóg rozliczania się z państwowych pieniędzy jest niezamierzoną luką w systemie. Nikt inny nie zwrócił na te słowa uwagi. Jako zastępca szefa Seb miał prawo wglądu do ściśle tajnej bazy danych finansowych, musiał jedynie znaleźć dobry pretekst, powołać się na coś, co mogłoby go zainteresować jako wicedyrektora do spraw wojskowych. Rzecz była niebezpieczna, ponieważ istniało ryzyko, że namierzą go po śladach. Dlatego mógł to zrobić tylko raz.

Dla większego dramatyzmu wyszedł z tym dopiero pod koniec spotkania z Zarubiną.

– To będzie pierwsze i ostatnie podejście – oświadczył. – I będzie kosztowało milion dolarów.

Rezydentka wzięła od niego kamerę Beta i wręczyła mu kamerę Gamma, która miała sfotografować prawdziwe nazwiska najtajniejszych zagranicznych informatorów CIA, w tym rosyjskich. Koniec ze szpiegowaniem w Moskwie – poklepała go po ramieniu, nazwała „klejnotem" i bez wahania dodała, że dolary, euro, krugerrandy czy nawet „krwawe brylanty" zostaną mu przekazane, kiedy tylko zwróci kamerę. Angevine oblizał usta. Dosłownie.

– Widzimy się za dwa tygodnie w Rusałce. – Znów poklepała go po ramieniu. – Proszę na siebie uważać.

Potem wróciła do rezydentury, żeby napisać depeszę, która zelektryzuje całą centralę. Widziała już siebie przy biurku dyrektora generalnego SWR w Jasieniewie, siebie i aparat telefoniczny, z którego można zadzwonić bezpośrednio na Kreml.

Boże moj, kolejny wieczór z kroplami potu na twarzy i kłakami włosów w ustach. Pletniew już wyszedł, a ona leżała na łóżku, wsłuchując się w bicie swojego serca. Najnowsze pogłoski z Zarządu KR wstrząsnęły nią tak bardzo, że omal nie zwymiotowała. Za dwa tygodnie Tryton miał dostarczyć Zarubinie listę nazwisk zagranicznych informatorów. Jej nazwisko też, Benford jej nie ochroni. Wilki podchodziły coraz bliżej. To dziwne, ale zamiast się bać, odczuwała coraz większą determinację, żeby przeżyć i zniszczyć ich przeżarty korupcją świat.

Zostały jej dwa tygodnie życia. Ta świadomość i jedwabiste zaproszenie Putina do pałacowej rezydencji nad brzegiem Zatoki Fińskiej zrodziły gorączkową myśl, która przekształciła się w niewykonalny samobójczy plan: rozgnieść opite krwią pijawki, które przywarły do brzucha ojczyzny. Tak, zrobi to, choćby miał to być jej ostatni uczynek. Ogarnięta palącą potrzebą działania napisała dwie depesze SRAC i nadała je z samochodu, myśląc o jasnowłosej Hannie. Przekaż to dalej, *siestrienka*, siostrzyczko, nie zwlekaj.

DEPESZA 35. PILNE. ZARUBINA DONOSI, ŻE ZA DWA TYGODNIE TRYTON DOSTARCZY JEJ NAZWISKO

ROSYJSKIEGO KRETA. MIEJSCE SPOTKANIA: RUSAŁKA. WYSOKI STOPIEŃ PEWNOŚCI. BRAK INNYCH SZCZEGÓŁÓW. olga.

DEPESZA 36. W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH DZIESIĘCIU DNI JADĘ DO STRIELNEJ NA ZAPROSZENIE PREZ. WYKORZYSTAM OKAZJĘ I 12-GO WCZESNYM RANKIEM DOSTARCZĘ LIRYKA DO PUNKTU EKSFILTRACYJNEGO. URUCHOMCIE CZERWONĄ TRASĘ 2. olga.

Depesze wstrząsnęły Moskwą, Atenami i Langley z siłą wybuchu bomby atomowej; Gable powiedział, że „Diva wrzuciła kamień w gówno". Benford natychmiast zaczął wydzwaniać do rezydentur i jak obłąkany – czyli jak zwykle – wydawać polecenia. Poprosił Forsytha, żeby ten przysłał do Waszyngtonu Nate'a: potrzebował kogoś dobrego do realizacji dopiero rodzącego się planu, którego celem było uniemożliwienie Trytonowi – wszelkim kosztem – spotkania z Zarubiną i przekazania listy nazwisk. Osobiście napisał depesze zwrotne do Divy i rozkazał Hannie załadować je do raptorów.

DEPESZA ZWROTNA 35. PRZYJMUJEMY, ŻE RUSAŁKA TO MIEJSCE O WSPÓŁRZĘDNYCH Z POPRZEDNIEJ DEPESZY. CZY MOŻESZ TO POTWIERDZIĆ I PODAĆ DOKŁADNĄ DATĘ?

DEPESZA ZWROTNA 36. POD ŻADNYM/ŻADNYM POZOREM NIE PODEJMOWAĆ PRÓBY EKSFILTRACJI L. BEZWZGLĘDNIE ZACHOWAĆ CZERWONĄ TRASĘ WYŁĄCZNIE DLA SIEBIE. PROŚBA O PILNY KONTAKT JUTRO W SKŁADZIE. POTWIERDŹ.

Vern Throckmorton, szef moskiewskiej rezydentury, jeszcze bardziej napompowany wagą kryzysu zadzwonił do niego i oświadczył, że spotka się z Divą osobiście i osobiście każe jej się wycofać.

– Ta sprawa wymaga powagi, stateczności i doświadczonej ręki – zakończył.

– Ani mi się waż! – wrzasnął Benford, wiedząc, że ten czerwonodupy pawian ściągnie do Składu połowę agentów FSB. – Archer to zrobi, po to tam jest. Czy wyraziłem się jasno?

Throckmorton mruknął coś pod nosem i się rozłączył.

Wymiana depesz była coraz intensywniejsza. Schindler, jego zastępczyni, musiała zrezygnować z popołudniowego ochlaju, przejechać samochodem w pobliżu raptora numer trzy i odebrać kolejną wiadomość od Divy, słynną depeszę numer trzydzieści siedem.

DEPESZA 37. POTWIERDZAM JUTRZEJSZY KONTAKT W SKŁADZIE. NIE ZOSTAWIĘ L. NIE USTĄPIĘ W SPRAWIE CZERWONEJ TRASY. RANKIEM 12-GO BĘDZIEMY W PUNKCIE E NA PLAŻY. UWAGA: ON NIE UMIE CHODZIĆ PO WODZIE. olga.

Hanna siedziała przy małym biurku w moskiewskiej rezydenturze. Jadła kanapkę z pastrami z bufetu w ambasadzie. Rosyjscy kucharze regularnie psuli większość amerykańskich dań w karcie, dodając do nich bardzo zagadkowe składniki – pikle do lasagne albo blanszowane orzechy włoskie do cheeseburgera – ale z jakichś powodów robili pyszne kanapki z pastrami. Może słowiański romans z salami, kiełbasą, marynowaną wołowiną, peklowaną szynką i soloną słoniną

z pieprzem kazał im obejść się czulej z pastrami? W kanapce było mnóstwo sera, szalotki i kwaskowatej surówki z białej kapusty z dodatkiem majonezu. Podawano ją z chrenowiną, piekielnie ostrym czerwonawym sosem – kucharze nazywali go *wyrwigłazom*, „tym, który wyrywa oczy z głowy” – ale Hanna nawet nie otworzyła pojemniczka: tylko tego brakowało, żeby w czwartej godzinie wieczornej trasy sprawdzeniowej zaczęła odczuwać wulkaniczne skutki jego spożycia. Szła na rozstrzygające spotkanie, „wóz albo przewóz”, jak wysyczał przez telefon Benford.

– Ona jest na mesjanistycznym haju i musisz sprowadzić ją na ziemię – mówił. – Do kurwy nędzy, nie pozwolę, żeby się tak narażała! Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz czy skłamiesz, powiesz, że nie mamy chwilowo odpowiedniego sprzętu, czy że punkt ewakuacyjny jest spalony. Cholera jasna, powiedz jej, że miałem atak serca i jestem na oiomie, co w ciągu najbliższych dwunastu godzin może okazać się prawdą.

– Myślę, że wcześniej – rzuciła z pełną pewności siebie beztroską i krzepiącą poufałością. Hm, powinna była milczeć.

– Hanno Emmeline Archer – warknął Benford po chwili przyprawiającej o skurcz serca ciszy.

Skąd on zna moje drugie imię – pomyślała – i dlaczego mówi jak tata?

– Zawsze doceniałem twój młodzieńczy entuzjazm i pochwaliłem cię za twoje moskiewskie osiągnięcia. Ale od dzisiaj nie waż się żartować, chyba że wyraźnie dam ci to do zrozumienia, mówiąc: „A teraz mnie rozbaw”.

Dokładnie jak tata. Zjadła tylko połowę kanapki i miała już nie zjeść drugiej.

– Simon – odrzekła – to pan mnie wybrał. I nie popełnił pan błędu. Porozmawiam z nią.

– Dziękuję, Hanno. W tej sytuacji najstosowniejszym błogosławieństwem będzie chyba to, którego nasi oficerowie prowadzący używają od z górą sześćdziesięciu lat: „Udanych łowów”. I niech Bóg ma cię w opiece – dodał agnostyczny mizantrop, który modlił się co wieczór do świętego tryptyku kłamstwa, oszukaństwa i kradzieży. W słuchawce rozległ się głuchy szum wartko płynącej wody – bezpiecznej linii – i rozmowa dobiegła końca.

Już prawie pora. Na trasę sprawdzeniową przeznaczyła osiem godzin – spotkanie było o jedenastej – i musiała zrobić to po mistrzowsku. Stać się niewidzialna, pozostać niewidzialna, i żadnych błędów. Przerwać akcję? Wykluczone, nie dzisiaj. Wróciła do biurka, przejrzała opis i zdjęcia Składu i jeszcze raz zerknęła na trasę sprawdzeniową, którą opracowała wiele miesięcy temu i którą najpierw zatwierdził Throckmorton (nie, żeby się na tym znał), a potem Langley. Mogła ją przejść z zamkniętymi oczami. Była w ciemnych spodniach i luźno dzianym swetrze; zdjęła pantofle i zmieniła je na wełniane skarpetki i botki śnieżne na gumowej podeszwie. Dokładnie opróżniła kieszenie, telefon, klucze do domu i portfel zostawiła na półce nad biurkiem. Zabrała tylko małą legitymację dyplomatyczną, wydaną przez rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, i kluczyki samochodowe.

Było za zimno, żeby wyjść bez zewnętrznego okrycia – po zachodzie słońca chwytał mróz – więc włożyła grubą rosyjską kurtkę z czarną wełnianą podpinką, wełnianym kołnierzem i mankietami. Po wyjściu z ambasady, na początku trasy sprawdzeniowej, chciała włożyć „babciną” chustkę, żeby ukryć jasne włosy i choć trochę zmienić profil. Do wewnętrznej kieszeni kurtki wsunęła podłużny noktowizor w kształcie małej kiełbaski. Ostatnia kontrola: była gotowa. Dominiko, pomyślała.

Musisz mnie posłuchać. Mam dopilnować, żebyś wróciła do domu w jednym kawałku.

Przecisnęła się między dwoma biurkami i zapukała do drzwi szefa, żeby przed wyjściem zamienić z nim kilka słów. Zgodnie z poleceniem Benforda wciąż odnosiła się do niego z szacunkiem, chociaż coraz wyraźniej widziała, że Throckmorton jest niekompetentny i, co gorsza, nie zdaje sobie sprawy, jakim jest idiotą. Wiedząc, że trafiła do Moskwy na bezpośredni rozkaz Benforda, początkowo nie przeszkadzał jej w pracy. Ale z czasem zaczął łączyć jej sukcesy ze swoim stanowiskiem i coraz częściej pokazywać rogi. Cierpliwie go zbywała, nie skarżąc się Benfordowi i oszczędzając mu biurokratycznego odpowiednika wziernikowania esicy endoskopem. Ale może do tego dojść, pomyślała. Ta przygoda z Divą go rajcuje, chce być bohaterem.

– Nie ma go. – Głos z drugiego końca kontenera. W drzwiach stała Irene Schindler, jego zastępczyni.

Hanna odwróciła i ruszyła w jej stronę.

– Irene, powiesz mu, że musiałam wyjść? Po powrocie za tylną szybą samochodu zostawię pudełko chusteczek higienicznych na znak, że wszystko gra.

Schindler oparła się o futrynę i zamrugała. Ona jest wlana, stwierdziła Hanna.

– Poszedł na spotkanie z Divą.

– Jak to na spotkanie z Divą? – Po jej plecach, czubku głowy i ramionach przeszedł silny dreszcz.

– Powiedział, że wystarczy z nią porozmawiać. Że…

– Zamknij się. Jak chce się tam dostać? Nawet nie wie, gdzie to jest? Jaki wziął wóz? Którędy pojechał?

Schindler podniosła rękę.

– Czytał opis lokalizacji. Ma swoją trasę. Robi to od lat.

– Muszę iść. – Hanna wpadła w panikę. – Posłuchaj. Natychmiast dzwoń do Benforda. Numer jest na moim biurku. Skup się! Powiedz mu, co się stało. Powiedz, że spróbuję go wyprzedzić i ostrzec Divę. Zrozumiałaś?

Schindler kiwnęła głową. Hanna spojrzała na nią, zrobiła dwa kroki i tuż za progiem zalatującej dżinem klitki chwyciła ją za ramiona, czując pod palcami cienkie jak patyk kości. Miała ochotę strząsnąć jej głowę z karku.

– Irene, masz to zrobić natychmiast – szepnęła. – Musimy ochronić Divę. Ty i ja. Razem. Dobrze? Przecież kiedyś to robiłaś. Nie wiem, co z tego pamiętasz, ale przypomnij sobie i pomóż mi. – Spojrzała jej w oczy. – Muszę iść.

– Zabierz te ręce – wychrypiała Schindler. – Muszę zadzwonić.

PASTRAMI Z AMERYKAŃSKIEJ AMBASADY W MOSKWIE

Plasterki chudego pastrami wrzucamy na rozgrzaną patelnię i szybko podrzucając, podsmażamy, aż brzegi staną się chrupkie. Przykrywamy je plastrami sera asiago oraz grillowaną szalotką i dusimy pod przykryciem, aż ser się roztopi. Wykładamy pastrami na żytni chleb posmarowany musztardą i wyłożony kwaskowatą surówką z białej kapusty z dodatkiem majonezu. Skrapiamy chrenowiną – gęstym sosem z pomidorów, chrzanu i czosnku, przyprawionego solą, pieprzem, mieloną papryką, ostrą i słodką, oraz octem i cukrem.

33

Pędząc jak szalona małą skodą i stosując jeden agresywny manewr po drugim, złamała kilkanaście reguł prawidłowo wykonanej trasy sprawdzeniowej. Chciała sprowokować i wypłoszyć z ukrycia ewentualną obstawę, lecz nikogo nie zauważyła. Musiała przyjąć na wiarę, że jej dzisiaj nie śledzą i jest czysta. W gęstym ruchu ulicznym jechała najpierw na wschód, potem na południe, aż znalazła się na Lubiercach, w odludnej dzielnicy pełnej magazynów i parkingów dla ciężarówek. Nieustannie zerkała w lusterka, oznaczając w pamięci skręcające za nią samochody i stopniowo je eliminując, aż została sama. Odczekała kwadrans, zostawiła samochód na opustoszałym placu budowy i dalej poszła pieszo. Wóz mógł wyparować. Prawdopodobieństwo? Pół na pół. Czekał ją czterdziestominutowy marsz.

Punkt kontaktowy Skład był ogrodzonym chodnikiem wokół ciemnego magazynu, który po drugiej stronie kończył się rudą od rdzy nitowaną kładką nad przewodami trakcji pociągu podmiejskiego, tak zwanej elektryczki. W ciemności ciągnęły się rzędy ogromnych magazynów – łączące je tłuste od oleju drogi dojazdowe tworzyły błotnisty labirynt, oświetlony rtęciówkami, przynajmniej tymi jeszcze nieprzepalonymi. W przejściach włóczyły się bezpańskie psy, które wyły, ilekroć z przeraźliwym gwizdem torami przetaczała się lokomotywa, trzęsąc blaszanymi dachami magazynów. Wszędzie błoto, rdza, druty

kolczaste i łuszcząca się farba – Gomora w ruinie, czyli przedmieścia Moskwy.

W stężałym od zimna powietrzu Hanna mijała wielkie, ciemne budynki dyszące olejem i metalowymi opiłkami. Na rogu jednego z nich przystanęła, żeby zlustrować noktowizorem teren przed nią, za nią i z boków. Powtórzyła to na następnym rogu. Czysto. Zerknęła na zegarek, zastanawiając się, czy Throckmorton ściągnie jej na kark hordę rosyjskich tajniaków. Przy odrobinie szczęścia mógł się zgubić i wodził ich teraz w kółko po obwodnicy.

Przejście i zardzewiałe schody – cicho jak duch weszła na biegnącą nad torami kładkę. Przewody zaśpiewały, rozległ się suchy elektryczny trzask, błysnęło oślepiające światło i tuż pod nią przejechał z łoskotem kolejny ciemnozielony pociąg. Świat się zakołysał, więc przykucnęła z ręką na brudnej poręczy. Miała stąd widok na cztery krzyżujące się przejścia między magazynami. Nie było księżyca, zaczął padać lekki deszcz i na oleistych kałużach wykwitły drobne zmarszczki.

Wszystko wydarzyło się szybko i nagle, kurtyna poszła w górę i rozpoczęło się koszmarne przedstawienie. Dokładnie naprzeciwko kładki jak spod ziemi wyrosła zwalista postać i po szpotawym chodzie rozpoznała Throckmortona. A jednak. Przeczytał opis, zapamiętał namiary i przyjechał. Opatulony płaszczem, w wielkiej jak góra futrzanej papasze, z pochyloną głową i rękami w kieszeniach ostrożnie obchodził kałuże. Nie mógł bardziej rzucać się w oczy. Kilkanaście metrów za nim zza rogu magazynu wychynęła maska samochodu ze zgaszonymi światłami. Stary, musiałeś ich tu zapraszać? Hanna spojrzała w prawo i w przejściu naprzeciwko zobaczyła drugi samochód. Wóz zwolnił, zatrzymał się i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Zza rogu sąsiedniego magazynu ktoś wyjrzał i parę sekund później ruszył powoli w stronę Throckmortona. Jego kumple

trzymali się z tyłu. Liczny zespół, pomyślała. Serce waliło jej jak młotem.

Ale koszmar dopiero się zaczynał. Wiedziona instynktem oficera operacyjnego wiedziała, gdzie patrzeć. Po lewej stronie, trzy magazyny dalej, zobaczyła kolejną postać, szczuplejszą i wyprostowaną, która szła niespiesznie w kierunku krzyżujących się przejść. Chryste, to Diva! Na jej oczach trzy ciemne postacie – Dominika, Throckmorton i jeden z tajniaków – powoli zbliżały się do siebie i wiedziała, że wejdą na skrzyżowanie jednocześnie. Na flankach pojawiło się więcej ciemnych sylwetek. Zza rogu najbliższego magazynu wyłoniła się maska kolejnego samochodu, z którego wysiadło dwóch kolejnych mężczyzn. Widziała ich niewyraźnie, ale byli chyba w czapkach. Stali tam i obserwowali.

Schodząc ostrożnie schodami, ze zdziwieniem stwierdziła, że myśli o ojcu, nie o Benfordzie, Divie czy Nathanielu, tylko właśnie o ojcu. Zeszła na dół, poprawiła chustkę i z postawionym kołnierzem przystanęła na początku przejścia. Była spięta i ciężko oddychała, ale świadomość tego, co zamierzała zrobić, napawała ją lodowatym spokojem. Zaczekała, aż Throckmorton ją zobaczy. Zobaczył, stanął jak wryty, a wtedy dopadło go dwóch idących z tyłu mężczyzn, którzy rzucili go w błoto, przygnietli mu kolanami kark i wykręcili ręce. Throckmorton szarpał się, przeraźliwie wył i zawodził, dopóki nie usiadł na nim trzeci mężczyzna.

Trwało to dwie sekundy, a w trzeciej Hanna puściła się biegiem w prawo, błotnistym przejściem, w kierunku przeciwnym do tego, z którego nadchodziła Diva. Jeden z tajniaków coś krzyknął, próbując przeciąć jej drogę, lecz poślizgnął się i upadł, gdy go mijała. Coraz więcej krzyków, wrzasków i ryków wściekłości, wycie silników i wizg oblepionych błotem kół – zaczęło się polowanie. Throckmorton

wciąż kwiczał jak zarzynane prosię. Tak trzymaj, pomyślała. Rób jak najwięcej hałasu.

Tamci ją gonili, lecz wciąż miała przewagę. Ha! Myślą, że wypłoszyli ruską agentkę. Dalej, chłopcy, nie zgubcie królika! Utrę skurwielom nosa, może uda mi się nawet zwiać, przez płot i między ciężarówki… Noktowizor obijał jej się o pierś. Wiedziała, że im dłużej będą ją ścigać, tym więcej czasu zyska dla Divy.

Samochód – zabłocone volvo C30 z pracującymi pełną parą wycieraczkami – wyprysnął z bocznego przejścia, lewą stroną przedniego zderzaka uderzył ją w prawe biodro i wyrzucił sześć metrów w górę. Spadła na pofałdowaną ścianę magazynu. Samochód zahamował i stanął w poprzek przejścia. Mężczyzna siedzący w fotelu pasażera wysiadł i podszedł bliżej. Kierowca został, jakby bał się tego, co może tam zobaczyć. Wycieraczki wciąż pracowały. Nadjechał drugi samochód i podbiegło do nich czterech kolejnych mężczyzn. Przestało padać.

Hanna poczuła jedynie silne uderzenie w bok. Coś błysnęło i ocknęła się na plecach, patrząc na krąg spoconych twarzy. Brwi, słowiańskie kości policzkowe, pieprzyki na skórze, czapki z dzianiny. Czuła dotyk ziemi, lecz nie czuła nóg. Spróbowała poruszyć rękami i chyba drgnęły jej palce, lecz ich nie widziała. Spróbowała wziąć oddech, ale miała wrażenie, że wciąga powietrze przez zgniecioną słomkę. Oddychanie nie było najgorsze – coś oberwało się jej w brzuchu. Patrzyły na nią posępne, milczące twarze, a ona patrzyła na nie. Nie, nie rozpłacze się, nie przy nich. Tato, uratowałam ją. Byłbyś ze mnie dumny, tatusiu. Nie rozpłaczę się, ale przyjedź i zabierz mnie do domu.

Dowódca grupy inwigilacyjnej pochylił się, delikatnie poluźnił chustkę pod jej policzkiem i głowa Hanny opadła bezwładnie na bok. Jej spokojną twarz przesłaniały jasne loki.

Dominika od godziny stała w porzuconym magazynie, patrząc przez szparę na błotniste przejście. Były tam dwie grupy ludzi, oświetlone co najmniej przez cztery samochody, które pojawiły się jak spod ziemi. Pierwsza przytrzymywała jakiegoś mężczyznę, który krzyczał coś niezrozumiałego, gdy wpychano go na tylne siedzenie samochodu. Druga, złożona z dziesięciu czy dwunastu osób, stała kręgiem w głębi przejścia, wokół czegoś leżącego na ziemi. Było za daleko, żeby mieć całkowitą pewność, ale kiedy jeden z mężczyzn schylił się po chustkę, dostrzegła chyba długie, jasne włosy.

Była dwa magazyny – niecałe sto metrów – od właściwego punktu kontaktowego i przywarła do ściany, słysząc krzyki i warkot silników. Zobaczyła kogoś, kto uciekał w kierunku przeciwnym do miejsca, gdzie się ukryła, lecz zaszokowana hałasem i liczbą samochodów, przecisnęła się przez dziurę w siatce i wpełzła do skorodowanego czerpaka koparki, której ostatni raz używano pewnie podczas budowy Kanału imienia Moskwy w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku. Samochody i ludzie krążyli tam i z powrotem przez kwadrans, a ona czekała zwinięta w kłębek w zawiesinie wody i rdzy. Kiedy hałasy ucichły, ostrożnie wyjrzała zza krawędzi czerpaka. Nie, nie zamierzała wychodzić, jeszcze nie. Tajniacy z FSB na pewno zostawili tam dwóch ludzi, żeby sprawdzili, czy po ich odjeździe nikt nie wyjdzie z ukrycia.

Marta i Udranka siedziały na skrzyniach pod drzwiami. Potraktowałaś tę młódkę trochę za surowo, powiedziała Marta, a Udranka zastukała nogą. Widzisz, jak wszyscy cię kochają?

Dominika zadrżała i zamknęła oczy. Nie wiedziała, co się stało, ale miała tu być Hanna, i ogarnęło ją straszne przeczucie, że to właśnie ona leżała na ziemi. Agenci FSB nie zrobiliby

świadomie krzywdy dyplomacie, ale kiedy zwietrzyli krew, stawali się watahą drapieżnych wilków, zdolnych do wszystkiego psów.

À propos psów. Zza rogu magazynu widziała dwa patrzące na nią czerwone ślepia. Po chwili przysunęły się bliżej i zmieniły w czarny pysk i wygięty grzbiet olbrzymiego psa, pół psa, pół wilka z piekła rodem. Spojrzał na nią w obłoku pary z pyska. Szczeknięcie czy warkniecie, nie mówiąc już o ataku, natychmiast zwróciłoby uwagę tajniaków, ale nie, obserwował ją spokojnie ze spuszczonym łbem. Przypomniało się jej dzieciństwo, to, jak ojciec obłaskawiał ich małego jamnika Gustawa, i wyciągnęła do niego rękę. Potężny pies zawahał się, podszedł bliżej, potem jeszcze bliżej i obwąchał jej palce.

Jak ci się żyje, stary diable? – pomyślała z wciąż wyciągniętą ręką. Od ścian magazynu odbiło się echo głosów z zewnątrz. Biją cię i głodzą? Nienawidzisz ich jak ja? Pies spojrzał jej w oczy i powoli odszedł. Zanim zniknął w ciemności, odwrócił się, jakby chciał powiedzieć: *S wołkami żyt', po-wołczi wyt'*. Chcesz żyć z wilkami, to wyj tak jak one. Podziękowała mu w duchu. Diabeł podpowiedział jej właśnie, co ma robić.

Benford nie mógł się poruszyć, myśleć ani mówić. Po telefonie od Irene Schindler, która powiedziała, że Throckmorton poszedł na spotkanie z Divą, a Hanna pojechała za nim, przez dwanaście godzin szalał. Wieczorem, w samym środku kryzysu, do Waszyngtonu przyleciał Nate. Siedział teraz na sofie nieogolony i otumaniony różnicą czasu. Janice Callahan przyniosła kawę i herbatę, a Margery Salvatore kilka pojemników z domową *soupe au pistou*, gęstą zupą warzywną z purée z bazylii; mieli nadzieję, że dociągną na niej do rana, do

otwarcia stołówki. W gabinecie pachniało prowansalskim jedzeniem dla podtrzymania ducha, ale duch podupadł – nikomu nie chciało się jeść.

Czekali na katastrofę, triumfalną wiadomość w dzienniku telewizyjnym WGTRK, Wszechrosyjskiej Państwowej Kompanii Telewizyjnej i Radiowej, że organy kontrwywiadowcze tajnych służb federalnych zdemaskowały kolejnego zdrajcę opłacanego przez Głównego Wroga – Towarzysze, pora odkurzyć zimnowojenne etykiety, bo Amerykanie tym właśnie są: Głównym Wrogiem Rosji! – i że zdrajca ten przebywa obecnie w areszcie, gdzie czeka na rozpoczęcie śledztwa i nieuchronny proces. Benford rozmawiał kilka razy z roztrzęsioną Irene, pytając ją o najświeższe doniesienia, lecz nie było żadnych: ani Throckmorton, ani Hanna nie wrócili do ambasady i byli już bardzo spóźnieni. Wciąż żadnych wiadomości o Divie. Amerykański konsul generalny interweniował na jej prośbę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych – ostatecznie chodziło o dwoje zaginionych dyplomatów – lecz bez rezultatu.

Nate nieźle ostatnio obrywał i siedząc u Benforda, oczyma wyobraźni przeglądał wielki album fotograficzny z wytłoczonym na okładce napisem *Twoje dokumentnie skopaneżycie*. Stracił Liryka (nie ze swojej winy, ale jednak stracił). Jego rozdwojony związek z Dominiką (czyli między agentką i jej prowadzącym) był kompletnie porąbany, na dobitkę przespał się z Hanną Archer, koleżanką po fachu, która właśnie zaginęła w Moskwie. Diva wyskoczyła nagle z samobójczym zamiarem ewakuowania Liryka z rosyjskiego brzegu Morza Bałtyckiego na przekór temu, że ten był podejrzany o szpiegostwo i przebywał w areszcie domowym. Benford kazał mu objąć dowództwo bliżej niesprecyzowanej operacji, która miała uniemożliwić bliżej niesprecyzowanemu kretowi przekazanie nazwiska Divy waszyngtońskiej

rezydentce, dobrodusznej wiedźmie, która wodziła ich wszystkich za nos. A na prośbę Marty'ego Gable'a po powrocie do Aten miał zgłosić się do niego na ochrzan za brak profesjonalizmu, olewanie poleceń służbowych i za to, że jest – tu cytat – „ambasadorem Republiki Durniów".

Osiem tysięcy kilometrów na wschód od Waszyngtonu, w siedzibie Zarządu KR w Jasieniewie, Aleksiej Ziuganow też gotował się ze złości. Te świniopasy z FSB w ostatniej chwili wszystko spieprzyły. Gdyby wzięli na wstrzymanie i zaczekali sekundę dłużej, wpadłby im w ręce rosyjski skunks, z którym Amerykanie mieli się spotkać w tej ponurej dzielnicy. Był tego pewny. Co więcej, istniało duże prawdopodobieństwo, że skunks okazałby się kretem, poszukiwaną przez nich grubą rybą. Zamiast tego mieli teraz na głowie incydent dyplomatyczny. Przez przypadkową śmierć Amerykanki pracę straci niejeden członek grupy inwigilacyjnej, a on zamierzał osobiście dopilnować, żeby trafili także za kratki. Jasnowłosa Amerykanka nic dla niego nie znaczyła, była zupełnie nieważna, ale na wieść o wypadku natychmiast pojechał do kostnicy policyjnej w Lublinie w południowo-wschodnim okręgu Moskwy, żeby obejrzeć jej rzeczy. Znalazł tylko legitymację dyplomatyczną i zwykły noktowizor. Z nadgarstka zdjęto jej błękitną bawełnianą plecionkę. Ani zapisków, ani śmieci w kieszeni, które mogłyby podpowiedzieć, z kim miała się spotkać. Sprawdził podszewkę i wszystkie szwy. Rozciął podeszwy butów i wyrwał wkładki. Nic. Podnieśli prześcieradło, żeby pokazać mu jej wklęśnięty sinoczarny bok, ale on spojrzał na twarz i na ułamek sekundy ogarnęło go zwątpienie. Taka młoda dziewczyna? Wykradała ich tajemnice

i werbowała Rosjan? Tutaj, w stolicy? Ile jeszcze takich było? Co to za przeciwnik?

Zerknął na zegarek. Za godzinę Ministerstwo Spraw Zagranicznych miało poinformować o jej śmierci amerykańską ambasadę. Szefa ich rezydentury przez sześć godzin tłukli z wrzaskiem po twarzy. Wystraszony, utytłany w błocie, z gilami zwisającymi z wielkiego jak pancernik nosa, dał świetne przedstawienie, które oczywiście sfilmowano, łącznie z fragmentem, w którym posikał się w spodnie. Znakomity materiał na film dokumentalny. Ale trzeba przyznać, że do niczego się nie przyznał ani nie potwierdził tego, co już wiedzieli: że młoda dziewczyna na wózku w kostnicy była agentką CIA. Krótko mówiąc, zmarnowany wieczór.

Nieudolność i amatorszczyzna, słowem burdel. Jednak instynkt podszeptywał mu, że ten niepotrzebny incydent nie zdenerwuje prezydenta. Co więcej, że Putin każe go nagłośnić. Każdy dowód na to, że CIA próbuje perfidnie pogwałcić suwerenność Rosji, pasował jak ulał do kanonów jego polityki wewnętrznej. Musimy dać stanowczy odpór zachodnim grabieżcom. Zimna wojna trwa. Trzeba odbudować potęgę i majestat Rosji. Lubił opowiadać następujący dowcip:

Odkryto, że Stalin żyje i mieszka w chatce na Syberii. Wysyłają do niego delegację, żeby namówiła go do powrotu do Moskwy; miałby objąć władzę i przywrócić Rosji wielkość. Stalin niechętnie się zgadza. „Dobrze – mówi – wrócę, ale nie będę już miły”.

W głębi duszy Ziuganow cieszył się, że FSB spaprało sprawę. Chciał złapać kreta sam, na podstawie danych, które Tryton miał dostarczyć Zarubinie za pięć dni. Pragnienie, by zawlec go w kajdanach do Putina, było tylko odrobinę mniejsze niż to, żeby przywiązać tę świnię do stołu i posłuchać syku uciekającego z płuc powietrza po tym, jak przebije jej klatkę

piersiową chirurgicznym trokarem. Poza tym od jakiegoś czasu coraz bardziej pochłaniała go pączkująca dopiero teoria na temat działającego w Moskwie kreta. Nieśmiała, niedająca spokoju myśl, rozkoszna hipoteza, której nie mógł się oprzeć. Wciąż nad nią pracował. Był jak cętkowany karakurt, jadowity pająk stepowy, który krąży po sieci, ciągle ją wzmacniając i poszerzając, by wreszcie znieruchomieć z malutkimi odnóżami na nici sygnałowej i zaczekać, aż ta zawibruje.

Kapitan Dominika Jegorowa. Elegancki chód i błękitne jak lód oczy. Spektakularna kariera i… niesamowite szczęście. Odparła – co nieprawdopodobne – atak zabójcy ze specnazu, mechaników z departamentu V i Ewy Buchiny. Cudownym zrządzeniem losu zdobyła informacje, które doprowadziły do ujęcia Korcznoja. Wprost zadziwiające. A kontrakt z Iranem, to, że zaproponowała trasę wodno-lądową, która tak zachwyciła Putina? Podekscytowany umysł podpowiadał mu, że musiano ją przeszkolić. Bo skąd u niej tak doskonała znajomość geografii? A ta niezwykła intuicja w sprawie odwołania Sołowiowa? Zupełnie nieprzekonujące. Bo co, wpadła na to po jednym przesłuchaniu?

Pajęcza sieć drżała ostatnio coraz częściej. Ateński rezydent przysłał do Zarządu KR depeszę gratulacyjną w związku z owocnym śledztwem Jegorowej. Piejąc z zachwytu, napisał, że bardzo żałuje, iż nie mógł zabawiać pani kapitan tak często, jak by chciał, lecz doskonale rozumie jej preferencje. Zaciekawiony Ziuganow zadzwonił do Aten i okazało się, że Jegorowa nie mieszkała na terenie ambasady, tylko w nieznanym hotelu. Z wyjątkiem kilku przyjęć, przez dwa tygodnie była bez żadnego nadzoru. Przepisów niby nie złamała, ale takie postępowanie odbiegało od przyjętych norm. Mętna sprawa, jak ją wyjaśnić? Co ta cycata baletnica robiła wieczorami? Spytać

ją? Nie, lepiej nie wzbudzać w niej podejrzeń. Tryton i Zarubina i tak wkrótce dostarczą odpowiedzi.

Jak kamyk w bucie uwierało go coś jeszcze. Otóż zauważył przelotną interakcję między Jegorową i swoim zastępcą, Jewgienijem. Ona wychodziła akurat z sali konferencyjnej, a on przepuścił ją przodem, skłaniając się przy tym jak kamerdyner z opery komicznej. Niby nic – włochaty Pletniew zawsze zachowywał się wobec kobiet jak błazen – ale Ziuganow z zainteresowaniem, i to dużym, odnotował, że Jegorowa posłała mu uśmiech. Nie znał się na flirtowaniu, zalotach ani uwodzeniu, lecz momentalnie odpaliły inne synapsy, pojawiły się inne czarne jak atrament myśli: czyżby ta celebrytka nad nim pracowała? Próbowała go zaszantażować i usidlić?

To, że była faworytą Putina, doprowadzało go do szału. Myśląc o tym, dosłownie zgrzytał zębami. Łapał szpiegów. Trzymał w ryzach Irańczyków. Aby załatwić ten kontrakt, zrobił tyle samo co inni. Sam Gowormarienko to przyznał, wspomniał o tym Putinowi. Więc dlaczego prezydent tak bardzo ją lubił? Kiedy zostanę pierwszym zastępcą dyrektora generalnego SWR, pomyślał, będą mi okazywali więcej szacunku. A do tego czasu Putin znudzi się Jegorową i jej los będzie zależał ode mnie. O tak, chętnie przydzielę jej odpowiednie stanowisko, na przykład doradczyni SWR w bazie Floty Północnej w Siewieromorsku, szefowej wywiadu w Groznym w Czeczenii albo starszej wykładowczyni w Instytucie Kona. Tak jest, niech wraca do szkoły jaskółek i do emerytury demonstruje wieśniaczkom sposoby robienia fellatio. Oczywiście jeśli nie jest kretem, bo jeśli jest…

Ziuganow dostałby apopleksji, gdyby wiedział, że Putin zaprosił ją do Pałacu Konstantynowskiego na weekend dla najbardziej wpływowych osobistości w Rosji. Wściekłby się jeszcze bardziej, gdyby doniesiono mu, że namówiła Jewgienija

– jaskółczym sposobem – żeby podpisał zlecenie na służbowy samochód, którym zamierzała pokonać sześciusetkilometrową trasę do Strielnej. Pletniew ostatecznie przejrzał na oczy: tak, mądrze zrobił, biorąc ją na sojuszniczkę. Dlatego zaryzykował i nie powiedział o tym Ziuganowowi.

Wiadomości nadeszły jednocześnie z dwóch źródeł, z centrum operacyjnego i z Departamentu Stanu, i powaliły ich jak brutalny cios w brzuch. Rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych oficjalnie poinformowało amerykańskiego konsula generalnego w Moskwie, że pierwszy sekretarz ambasady Vernon Throckmorton został zatrzymany przez Federalną Służbę Bezpieczeństwa pod zarzutem szpiegostwa. Ponieważ powołał się na immunitet dyplomatyczny, pozwolono mu wrócić do ambasady, jednak ministerstwo uznało go za osobę niepożądaną. Pan Throckmorton miał czterdzieści osiem godzin na opuszczenie kraju.

Drugą złą wiadomością był właściwie brak wiadomości: Diva nie odpowiedziała na trzy pilne depesze SRAC załadowane do raptorów przez rozhisteryzowaną Irene Schindler. Nie dawała znaku życia. Mogła być w domu i spać, dochodząc do siebie po koszmarze ostatniej nocy. Ogarniające nogi lodowate zimno, gorący pot pod warstwami ubrania, warkot samochodów, krzyki ludzi nadchodzących z tyłu, z boków, ze wszystkich stron naraz – Janice, Dante i Nate doskonale wiedzieli, jakie to uczucie. Ale skuta i rozebrana do bielizny mogła także siedzieć na krześle w dusznym, przegrzanym pokoju przesłuchań, w którym zamknięto czarne od brudu kratki szybów wentylacyjnych, w towarzystwie zmieniających się co jakiś czas funkcjonariuszy FSB, drobnych, przebiegłych chytrusów,

krzepkich, brutalnych zwyrodnialców lub mokroustych babochłopów, którzy zmiękczali ją przed przyprawiającą o zawrót głowy przejażdżką do Lefortowa czy na Butyrki, gdzie przejmą ją wytrawni profesjonaliści, bractwo katów z krokodylkami i akumulatorami samochodowymi, chemicy, lekarze i psycholodzy. Jeden potwór wychodzący z drugiego, jak z matrioszki, każdy następny gorszy od poprzedniego, aż w końcu przyjdzie ten najstraszniejszy. Benford wiedział, że będzie to Ziuganow.

Trzecia wiadomość ostatecznie ich dobiła. Po północy Dantego wezwano do centrum operacyjnego, gdzie czekała depesza z departamentu protokolarnego rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, chłodna, lekceważąca i po sowiecku cyniczna: „Wczoraj późnym wieczorem zginęła w wypadku trzecia sekretarz ambasady amerykańskiej Hanna Archer, która podczas deszczu przez własną nieuwagę wtargnęła na jezdnię prosto pod przejeżdżający samochód. Uprasza się o poinformowanie ministerstwa celem rozporządzenia ciałem”.

Dante siedział, obejmując rękami głowę. Margery i Janice miały zaczerwienione oczy i milczały, pociągając nosem. Benford westchnął.

– Była wyjątkową dziewczyną – powiedział cicho. Spojrzał na Nate’a. – Co chcesz zrobić?

Pozostali poszli za jego wzrokiem.

– Przycisnę Zarubinę – odparł spokojnie Nate. – Nie dostanie nazwiska Dominiki, po moim trupie.

W zupełnej ciszy długo patrzyli sobie w oczy.

– Uruchom czerwoną dwójkę, Simon – dodał Nate. – Ona tam przyjdzie. Nikt jej nie powtrzyma.

SOUPE AU PISTOU

Na rozgrzanej w garnku oliwie podsmażamy pokrojoną w kostkę cebulę, por i seler. Dodajemy ugotowaną białą fasolę, botwinkę lub liście jarmużu, zalewamy bulionem, lekko zagotowujemy, po czym dodajemy posiekane pomidory, pokrojone w kostkę ziemniaki, drobny makaron (anelli lub ditalini), pokrojoną w kostkę cukinię oraz drobno pokrojone łodygi botwinki lub jarmużu. Gotujemy do miękkości. Obficie przyprawiamy. Tuż przed podaniem dodajemy łyżkę pistou (gęsty sos z czosnku, soli, listków bazylii, posiekanych pomidorów, oliwy z oliwek i tartego sera gruyère lub parmezanu).

34

Na porannej odprawie Jewgienij powiedział jej o młodej kobiecie Hannie Archer, prawdopodobnie agentce CIA, którą podczas nocnej akcji na Lubiercach śmiertelnie potrącił samochód grupy inwigilacyjnej; FSB utrzymywała to na razie w tajemnicy. Dominika natychmiast wyłączyła się i zbierając ze stołu teczki, usłyszała, jak jej głos mówi coś w rodzaju: „Mam nadzieje, że głupi idiota, który to zrobił, będzie smażył się w piekle". Wróciła do biura, usiadła przy biurku i z trudem powstrzymując łzy, spróbowała nabrać powietrza.

Z kąta pokoju odezwała się Udranka: *Duszka*, wszystkie jesteśmy rusałkami Kremla, wszystkie jesteśmy z tobą. I przyszła Hanna, i uśmiechnęła się do niej.

Zawsze umiała panować nad emocjami i nigdy ich nie uzewnętrzniała, choć wściekłość, którą regularnie dokarmiała, cyzelowała i polerowała, już dawno stała się częścią jej osobowości. Śmierć Hanny wstrząsnęła nią tak jak morderstwo Udranki, była jednak tym boleśniejsza, że ta dzielna, oddana, naturalna dziewczyna uratowała jej życie. Zamknęła oczy i poprosiła Nate'a o pomoc, pytając go, dlaczego zawsze chodzi za nią śmierć. Poza tym pewien stary żołnierz wciąż czekał w swoim mieszkaniu na drugą rundę przesłuchań i proces, na którym dostanie *wysszuju mieru*, najwyższy wymiar kary. To ona wrzuciła go do lochu i to ona go stamtąd wyciągnie. Jeszcze dzisiaj.

Wychodząc z pracy, oczyma wyobraźni ujrzała inny obraz, jasny i ciepły, jednocześnie groźny i straszny. Przypomniały jej się babcine opowieści o rusałkach, mitycznych rosyjskich boginkach wodnych, pięknych długowłosych chimerach, złowrogich duchach przedwcześnie zmarłych młodych kobiet, które siedząc na brzegu, wabiły śpiewem młodzieńców, by wciągnąć ich w głębinę.

Wiedziała, że z nią pojadą duchy Marty, Udranki i Hanny. – Usiądziemy na brzegu i zaśpiewamy, a ty sobie odpoczniesz. I pomyślała: Pospiesz się, bo zaraz zwariujesz! A wtedy słodkie rusałki zmieniły się w coś, co miało czerwone ślepia i mieszkało w zimnym, ciemnym magazynie. Ty też pojedziesz, pojedziemy wszyscy razem. Nie wiedziała, co się dzieje w jej przegrzanym mózgu i udręczonym sercu, ale Jewgienij to zobaczył i nawet się nie pożegnał, tym bardziej nie zaproponował pożegnalnych igraszek w łóżku. Kiedy przechodziła korytarzem, widział ją także Ziuganow i jego schizofreniczne receptory natychmiast zarejestrowały, że Jegorowa wygląda inaczej niż zwykle, że chyba coś ją dręczy. Ot, i kolejna anomalia do teorii o krecie, kolejna kulka soczystego gnoju, którą mógł wtoczyć do wylęgarni i pożreć.

Dziewiąta. Trzęsącymi się rękami umyła talerzyk i filiżankę z jaskółkami. Nie pamiętała, żeby spakowała małą podręczną walizkę, ale tak, były w niej szpilki i sukienka z głębokim dekoltem. Sprawdziła przybornik Czerwonej Trasy Eksfiltracyjnej: wszystkie diody kontrolne zamrugały na zielono. Nie wiedząc, czy jeszcze tu wróci, rozejrzała się po mieszkaniu, zobaczyła starannie posłane łóżko i przypomniało jej się, co w nim robiła. Ohyda. Ale tak, uda jej się i pośle ich

wszystkich do piekła. W wyposażonej w ręczną przekładnię granatowej ładzie priori z parku samochodowego SWR pachniało łuskanymi orzeszkami pistacjowymi; biegi wchodziły początkowo z opornym zgrzytem, ale szybko je wyczuła. Prospekt Kutuzowski był zakorkowany, na tonącej w spalinach obwodnicy panował wieczorny ruch, więc nie mogła otworzyć okna, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza – nie pamiętała już, kiedy ostatni raz wzięła normalny oddech – lecz w końcu zjechała z M10 w kierunku Jubilejnego, skręciła w Ławoczkina, ulicę przy której mieszkał Liryk, i dokładnie naprzeciwko parku Dubki i złocistych kopuł kremowej jak kość słoniowa cerkwi Objawienia Pańskiego w Chimkach znalazła jego dom, blok mieszkalny z wyblakłym, pomalowanym na różowo wejściem pod betonowym daszkiem. Schody, jedne drzwi, drugie, trzecie, grające telewizory, płaczące dzieci, serce w gardle, zaciśnięte zęby i szary stożek pola widzenia – otworzyły się drzwi, te właściwe. Pilnujący Liryka znudzony policjant miał brzydką płaską twarz, rzadkie proste włosy i był w dresie. W salonie zobaczyła generała – w starych filcowych papuciach siedział na sofie wśród walających się na podłodze gazet. Celując w zagłębienie na grubej szyi, ręka wystrzeliła do przodu, zanim mózg zdążył wydać rozkaz. Policjant zachwiał się, chwycił za zmiażdżone gardło, zrobił krok do tyłu i upadł. Przestąpiła nad jego siną twarzą i kiedy skurczony, zapadnięty w sobie Sołowiow włożył spodnie, buty i palto – bez żadnych dyskusji – obcym głosem kazała mu wyjść. Gdy się zawahał, wzięła go za rękę i nie zwracając uwagi na śledzące ją z podłogi martwe oczy, wyciągnęła na korytarz, a potem na schody. W kwaśnym odorze strachu zapięła mu pas, zawróciła i znów wjechała na M10, miejscami cztero-, choć zwykle dwupasmówkę. Pełno ciężarówek z przyczepami o łysych oponach – te sukinsyny nie chciały jej przepuścić, więc lusterko i gaz do dechy, lusterko

i gaz do dechy, i tak bez końca. Generał milczał, o nic nie pytał, tylko gapił się przed siebie, a teraz to ona za niego odpowiadała. Jedenasta. Tonące w błocie miasteczka, Zielenograd, Sołniecznogorsk, Klin, Nowozawidowsk, Twer: spytała go, ile mają czasu, wiedząc, że minie co najmniej godzina, zanim znajdą ciało policjanta. Generał zaczął bredzić coś o honorze, Armii Czerwonej i Rosji, stwierdził, że jest głupcem, starą żopą, że teraz już o tym wie, potem spytał, kim ona jest, rozpłakał się na wspomnienie swoich dzieci, zaczął jej dziękować, nie chciał przestać i w końcu jego oszalałe słowa wypełniły całe wnętrze łady. Niezbyt prosta środkowa linia, światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów, znów zerknięcie w górne lusterko – było, ciemne i czyste – i nagle miasteczka zniknęły, ustępując miejsca bezkresnej *rodinie*, świerkom i sosnom migającym za oknami z regularnością metronomu. Północ. Krajobraz płaski aż po horyzont, gwiezdny pył na niebie i mroczki przed oczami. Potrzasnęła głową i na drogę wyskoczył pies – gdy spojrzał na nią czerwonymi ślepiami, hen, z dalekich czarnych pól dobiegł śmiech Udranki i czerwone ślepia zmieniły się w migające światła stojącego na poboczu radiowozu drogówki – kołami do góry w rowie leżała ciężarówka – lecz policjant ponaglił ich tylko machnięciem lizaka, a więc nie, jeszcze nie ogłoszono alarmu. Tonąca w bezkresnej ciemności droga rozwijała się przed nimi jak wstęga – Dominika zerknęła w prawo, zamiast generała zobaczyła Hannę, która siedziała tuż obok z rękami na kolanach i wiatrem we włosach, i gdyby w ostatniej chwili nie odbiła w lewo, wpadliby na drzewo. Sołowiow nie pozwolił jej zasnąć. Wpuścił do samochodu więcej zimnego powietrza, głośnym basem zaśpiewał dwie pieśni patriotyczne – *Katiuszę* i *Swiaszczennuju Wojnu*, Świętą Wojnę – dostał czkawki i wybuchnął śmiechem, roześmiała się więc i ona, i śmiali się w duecie, dwoje szpiegów pędzących przez noc z mokrymi

policzkami i psim królem piekieł w świetle reflektorów, aby dalej, aby szybciej. Pierwsza. Nowogród Wielki, jeszcze dwieście kilometrów. Śpiewy i wspomnienia wzięły górę i generał oświadczył, że chce wracać. Zapadła cisza, lecz w oddali widać już było wiszącą nad Petersburgiem łunę, a tam na pewno czekały na nich blokady drogowe. Druga. Żeby ominąć miasto, zjechali z M10 na obwodnicę KAD, o tej porze prawie pustą. Musiała teraz pilnować lusterek, bo gdyby zobaczyła dżipy na drodze, byliby ugotowani. Trzecia. Mała granatowa łada mknęła już A121, szosą Peterhofską, dawnym carskim wybrzeżem pałacowym. Za drzewami mignęła woda, Zatoka Fińska, i w zapachu morza minęli oświetloną bramę Pałacu Konstantynowskiego – prezydent już tam urzędował – potem ciemny pałac Peterhof, z oddali wielki i biały, jeszcze potem kopuły pałacu Oranienbaum. Lusterka? Czysto. Sprawdziła odległość – Benford mówił, że dokładnie dwa kilometry i czterysta metrów – i nagle po prawej stronie zobaczyli bagnisty brzeg i morze płaskie jak tafla srebrzystego szkła. Za przycupniętą na poboczu tablicą skręcili w ciemną, wąską drogę i światła reflektorów prześlizgnęły się po wielkich głazach narzutowych, kamienistej plaży i kępach trawy morskiej. Zgasiła je i zaciągnęła hamulec. Prawie czwarta. Tam, w omywającej brzeg czystej wodzie, dokładnie naprzeciwko głazu przeciętego pionowo dwiema czerwonymi liniami, zaczynała się Czerwona Trasa Numer Dwa.

Za generała Sołowiowa, jego przesłuchanie i skazanie, odpowiadał Ziuganow. O północy zadzwonił zmiennik martwego policjanta, który zameldował, że w mieszkaniu nie ma nikogo oprócz trupa starszyny Bogdanowa, któremu ktoś

zmiażdżył tchawicę. Godzinę później zawiadomiono pułkownika i ten omal nie postradał zmysłów. W pół godziny zjawił się w biurze, chwycił telefon i zaczął wrzeszczeć do słuchawki, że w Moskwie grasuje grupa specjalna CIA. Wysokim, piskliwym głosem skrzyczał oficera dyżurnego SWR, każąc mu natychmiast wystosować ogólnomoskiewski nakaz zatrzymania Sołowiowa i przekazać jego rysopis wszystkim funkcjonariuszom policji i milicji. Nieogolonemu i zaspanemu Jewgienijowi kazał zadzwonić do Wydziału Transportu i Transportu Specjalnego komendy głównej moskiewskiej policji i zażądać natychmiastowego wszczęcia obserwacji międzynarodowych lotnisk Domodiedowo, Szeremietiewo i Wnukowo oraz lotniska krajowego Bykowo. Natomiast sam obudził dyrektora FTS, Federalnej Służby Celnej, i zażądał, żeby Wydział Zwalczania Kontrabandy zaczął prześwietlać pocztę dyplomatyczną ambasad Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii i Nowej Zelandii, a więc członków Sojuszu Pięciorga Oczu, którzy szpiegowali w Rosji od rewolucji październikowej tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. Kiedy dyrektor – były KGB-ista i stary druh Putina – uświadomił mu, że poczta i bagaż dyplomatyczny są nietykalne, pułkownik bardzo niepolitycznie zagroził, że osobiście zmiażdży mu jądra moskiewską książką telefoniczną, na co dyrektor powiedział: *Idi na chui* i odłożył słuchawkę.

Ziuganow robił raban w całym mieście, grożąc i wydając rozkazy – nawet o tak późnej porze w sieci *siłowikow* aż huczało od plotek o jego potknięciu, katastrofalnej wpadce małego gnoma z SWR, którego zresztą i tak nikt nie lubił i któremu nikt nie ufał. Gdyby pogłoski te wyszły na światło dzienne i, niczym skrzep do mózgu, dotarły w końcu na Kreml, pracę – i nie tylko pracę – straciłoby wielu ludzi. Ziuganow wiedział, że robi z siebie pośmiewisko, ale nie mógł pozwolić

Sołowiowowi uciec. Był już wyczerpany, lecz burza piaskowa w jego umyśle na sekundę osłabła i mógł nareszcie pomyśleć. Nie, to nie moskiewska rezydentura CIA; w nocy stracili jednego ze swoich i zostali bez przywódcy. Nie, zorganizowanie ucieczki Sołowiowa CIA zleciłaby agentowi, który działał w Rosji od lat. Zaryzykowaliby i powierzyli to zadanie najlepszemu, swojemu kretowi? Możliwe. W przeszłości wiele razy zadawali sobie dużo trudu, żeby uratować spalonego informatora, czym rosyjskie służby nie zawracały sobie głowy.

Tylko kto mógł zadać tak potwornie silny cios, że dobrze wyszkolony *starszyna* Bogdanow, mistrz ligi policyjnej w pchnięciu kulą, poległ bez najmniejszego oporu? Jegorowa, która trenowała Systemę. Jegorowa, która zabiła agentów specnazu i niepokonaną przedtem Buchinę. Baletnica Jegorowa, która oczarowała Putina. Jegorowa, jego nemezis. Wrzasnął na Pletniewa, każąc mu do niej zadzwonić, żeby natychmiast stawiła się w centrali, lecz włochaty zastępca nie chciał spojrzeć mu w oczy. Coś tu śmierdziało. Pułkownikowi przypomniało się, jak ta dziwka się do niego uśmiechała – czyżby ten szczur ją krył? Podczas gdy Jewgienij pocił się na krześle, do Jegorowej zadzwoniła sekretarka. Pani kapitan nie odebrała. O wpół do trzeciej w nocy!

Dziesięć minut wrzaskliwych pytań nie przyniosło rezultatów, ale śledczy Ziuganow czuł, że przerażony Pletniew coś ukrywa. Jego podniecone już instynkty stały teraz na tylnych łapach i wyły do księżyca. Otworzył szufladę i chwycił stalową pałkę. Ogarnięta paniką sekretarka szybko wstała zza biurka i wybiegła na korytarz, nie chcąc słyszeć odgłosów nieuchronnych atrakcji. Pułkownika ogarnęło coś w rodzaju swędzącego zniecierpliwienia: zdawał sobie sprawę, że – tyk-tyk – czas ucieka, a wraz z czasem – uciekinierzy. Wziął zamach i grzmotnął w podłokietnik, łamiąc cztery z pięciu długich kości

śródręcza lewej ręki Pletniewa. Włochaty pawian zawył jak… cóż, jak włochaty pawian, chwycił się za złamaną rękę i zgiął się wpół. Ziuganow szarpnął go za kołnierz, posadził prosto i uderzył pałką w dolną część lewego uda, tuż nad kolanem: kość udowa pękła w „zieloną gałązkę", Pletniew stęknął jak zwierzę i spadł z krzesła. Niczym owad, który potrafi dźwignąć ciężar ważący dziesięć razy więcej niż on sam, pułkownik podniósł go, posadził, zbliżył twarz do bezwładnie zwisającej głowy i oślinionego policzka i wdychając znajomy, jakże rozkoszny zapach, cichutko zanucił:

– *Pora spat', połnocz, skoro zapojut pietuchi*. – Pora spać, już północ, niedługo zapieją koguty. Łubiańska kołysanka.

– Spaliśmy ze sobą – wykrztusił przez łzy zasmarkany i zaśliniony Jewgienij.

Pułkownik szarpnął go za włosy.

– Świnia. Z kim świnia spała?

– Z Jegorową – wychrypiał Pletniew. – Z kapitan Dominiką Jegorową.

Oczywiście.

– Co jej powiedziałeś? O czym rozmawialiście?

– O sprawach służbowych, ona pracuje w naszym zarządzie, więc…

Pułkownik podniósł mu głowę trzonkiem pałki.

– *Mudiło*, ty skurwysynu. Konkretnie!

Ponieważ Jewgienij zdobył się na odwagę i zamilkł, pałka uderzyła w kość policzkową, lekko, tylko z jedną czwartą siły, żeby zadzwoniło mu w uszach i żeby do oczu napłynęły łzy.

– O jakich sprawach? – powtórzył Ziuganow.

– O Zarubinie – wystękał Pletniew. – O Trytonie, o areszcie domowym Sołowiowa…

Było tego więcej. Podpisał zlecenie na służbowy samochód, którym miała pojechać do Petersburga, żeby odwiedzić rodzinę;

bojąc się dalszych zabiegów demonicznego karła, nie wspomniał o zaproszeniu prezydenta. Ziuganow wyprostował się triumfalnie. Dla niego było to wystarczające potwierdzenie podejrzeń, że Jegorowa jest poszukiwanym przez nich kretem, że odbiła Sołowiowa i jedzie do Petersburga, żeby przekazać go Amerykanom. Statki wycieczkowe, promy, pociągi do Finlandii i krajów nadbałtyckich, niezliczone rejsy samolotowe – możliwości było bez liku. Zostawił szlochającego Pletniewa, podniósł słuchawkę, zadzwonił do dyspozytorni SWR, w ciągu kilku sekund ustalił, jaki wydano jej samochód, i rozkazał, żeby za pomocą szyfrowanego telefonu natychmiast włączono transponder; transpondery, aktywne namierniki lokalizacyjne, instalowano we wszystkich służbowych samochodach, aby zapobiec nieupoważnionemu wykorzystywaniu ich do celów prywatnych (chyba że dyspozytor dostał w łapę).

Potem zadzwonił do Wielkiego Domu – okręgowej kwatery głównej SWR w Sankt Petersburgu – i kazał oficerowi dyżurnemu obudzić szefa. Była trzecia nad ranem, lecz go nie przeprosił. Co więcej, podejmując olbrzymie ryzyko administracyjne, żądał, aby ten natychmiast uruchomił wszystkie siły i rozpoczął poszukiwania takiego to a takiego samochodu. Był niemal stuprocentowo pewny, że Jegorowa jedzie do Petersburga. Szef, kolejny stary druh Putina, niechętnie się zgodził – zarzut szpiegostwa to nie byle co, więc ustąpił – postanowił jednak zameldować o niezrównoważonym zachowaniu Ziuganowa dyrektorowi generalnemu w Moskwie, a zważywszy, że wybierał się rano na śniadanie do Strielnej, powiadomić także prezydenta.

Tymczasem jednak postawiono w stan gotowości wszystkie jednostki policji i milicji, którym przekazano numer rejestracyjny poszukiwanego samochodu oraz rysopisy podróżujących nim osób. Dodatkowe zespoły miały włączyć się

do akcji, kiedy do pracy zgłoszą się kierowcy, w tym – co najważniejsze – załogi dwóch niewielkich dwusilnikowych śmigłowców Kamow Ka-226, które miały wzbić się w powietrze w ciągu najbliższych trzydziestu minut. Te ciemnoniebieskie dwuogonowe maszyny były standardowo wyposażane w specjalne odbiorniki i lecąc na wysokości trzystu metrów, mogły wychwycić sygnał transpondera z odległości ponad trzech kilometrów. Przeczesanie miejskiej przestrzeni powietrznej nad podkowiastą Zatoką Newską trochę potrwa, ale kiedy śmigłowce namierzą sygnał z samochodu Jegorowej, jednostki naziemne dotrą na miejsce w ciągu kilku minut. Ziuganow zamknął oczy, wyobrażając sobie niebieskie światła migające wokół unieruchomionego wozu i Jegorową i Sołowiowa leżących na asfalcie ze skutymi na plecach rękami.

Poprosił szefa petersburskiej SWR, żeby informował go na bieżąco o sytuacji. Oświadczył, że pościg jest punktem kulminacyjnym długiego, ściśle tajnego polowania na działającego w Moskwie kreta, które zakończy się aresztowaniem dwojga niebezpiecznych zdrajców. Oczywiście Sankt Petersburg będzie miał w tym swój udział. Wspólnie pokrzyżują wrogowi szyki i Rosja, pod przywództwem wielkiego Putina, pozostanie silna i niepokonana. Szef petersburskiej SWR wymruczał do słuchawki kilka gładkich *wranij,* biurokratycznych łgarstw: doskonale wiedział, że Ziuganow kłamie, Ziuganow z kolei wiedział, że tamten o tym wie, tak więc bez mrugnięcia okiem kłamali we dwóch. Pułkownik odłożył słuchawkę w miarę udobruchany. Tak, mógł jeszcze nad tym zapanować.

Zwieszona głowa, sięgająca podłogi nitka śliny z ust – Jewgienij wciąż siedział na krześle. Jego nielojalność wobec służby i kraju była czymś potwornym, ale to, że zdradził osobiście jego, Ziuganowa, wzbudziła w pułkowniku toksyczno-

mizantropiczne wątpliwości, czy aby jego matka – nestorka Jekatierina Ziuganowa, obecnie doradczyni polityczna w paryskiej rezydenturze – nie popełniła błędu, zakładając mu kiedyś pieluchę i jako małego chłopca umieszczając go na Łubiance. Ale nie, przecież został dyrektorem Zarządu KR, był zupełnie niezależny i już wkrótce miał ująć dwoje agentów CIA. No i współpracował z genialną Zarubiną, prowadząc bardzo owocną sprawę Trytona. Ciekawe, czy Jegorowa zameldowała o tym Langley. Nieważne. Kiedy Trytona zacznie prowadzić nielegał, Amerykanie nigdy go nie znajdą.

A on i Zarubina pokierują razem SWR. Służba będzie się rozwijała i kwitła, Główny Wróg będzie się bezradnie rzucał i miotał, pozostali wrogowie zadrżą, zbuntowane republiki wrócą na łono *rodiny,* silniejsza niż kiedykolwiek Rosja, z Władimirem Putinem na czele, znów zdominuje świat, a zdrajcy – spojrzał na włochatą głowę zgiętego wpół Pletniewa, który właśnie po cichu zwymiotował na podłogę – zdrajcy tacy jak on, ten cuchnący świński gnój – słysząc swój własny piskliwy głos, podniósł stalową pałkę i ze śpiewnym sykiem opuścił ją na jego potylicę – zostaną wreszcie wyeliminowani.

Zjedli w świetle księżyca, na masce samochodu, pyszne pierogi z buraczkami. Nathaniel by się z tych buraczków nabijał, pomyślała. Nagle dotarło do niej, że jest to ostatni typowo rosyjski posiłek Liryka i że jeśli w ciągu najbliższych dwunastu minut nie nadpłynie łódź marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, ona też nie zje już pierogów poza murami więzienia. Dokładnie siedem minut po czwartej nad ranem wyjęła z torby nadajnik i niczym posągowa rusałka, która ma zaraz zaśpiewać do księżyca (to nic, że była w czarnych

dżinsach, swetrze i czarnych butach do biegania), stanęła na sterczącym z wody głazie. Puste morze było jak idealnie gładka płyta szarego łupku, zwieńczona srebrzystą linią dalekiego horyzontu. Eleganckimi rękami, palcami o prosto przyciętych paznokciach, tymi samymi, którymi przed sześcioma godzinami zmiażdżyła kość gnykową moskiewskiemu policjantowi, nacisnęła guzik zmodyfikowanego przez CIA małego, czarnego nadajnika AN/PRC-90, wysyłając trójnumeryczny kod do Skynet 5, satelity brytyjskiego Ministerstwa Obrony krążącego po orbicie geosynchronicznej – dokładnie na piętnastym południku długości geograficznej wschodniej – ponad trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad Ziemią Franciszka Józefa, archipelagiem w północno-zachodniej części Morza Barentsa. Diva nie znała tych szczegółów, wiedziała jedynie, że ma to zrobić.

Gdy przed trzema laty zaczęto opracowywać drugą, trzecią i czwartą Czerwoną Trasę Eksfiltracyjną, Simon Benford niechętnie zgodził się nawiązać współpracę z brytyjskim MSZ-em i SIS-em (MI6), brytyjskim odpowiednikiem CIA, i skorzystać z usług ich satelitów krążących nad północną częścią Rosji i Arktyką; ostatecznie Anglicy też ewakuowali agentów, jako sojusznicy więc mogliby dzielić się zadaniami. Jednak prowadzone w Londynie negocjacje utknęły w martwym punkcie, kiedy Benford zażądał, aby brytyjska sieć satelitarna przesyłała wiadomości „natychmiast”, oschle wytykając Anglikom, że działania MI6 podczas ostatniego kryzysu operacyjnego przypominały „zakończony remisem wyścig leniwych sterowców”, za co szef wydziału operacyjnego Szóstki, dostojny oksfordczyk, nazwał go „wypierdkiem”. Ponieważ Benford tego nie zrozumiał – oksfordczyk użył nieznanego mu, typowo angielskiego określenia *tossbag* – szybko zapomniano

o tej przykrej wymianie zdań i negocjacje zakończyły się sukcesem.

Zainstalowane w Skynet 5 mikroprocesory przechwyciły wysłany przez Divę sygnał, odczytały go, ponownie zaszyfrowały i w ciągu jednej i sześciu dziesiątych sekundy przekazały dalej. Sygnał dotarł do tak zwanego Pączka – Brytyjskiej Agencji Wywiadu Elektronicznego (GCHQ) w Cheltenham – skąd wraz z kodem natychmiastowego wykonania automatycznie wysłano go do siedziby MI6 w Vauxhall Cross, do siedziby CIA w Langley, a potem do dziesięcioipółmetrowej anteny za rufą przystosowanej do działań na płytkich wodach czterdziestostopowej amerykańskiej miniłodzi podwodnej SWCS, krążącej na głębokości niewiele ponad dziewięciu metrów niecały kilometr od miejsca, gdzie stali Diva i Liryk.

Jakby dla spotęgowania dramatyzmu sytuacji kilka chwil później łódź wynurzyła się powoli w namalowanej na wodzie srebrzystej smudze księżyca i wystawiwszy nad wodę jedynie sześćdziesiąt centymetrów kadłuba, znieruchomiała niczym błyszczący grzbiet śpiącego wielorybiątka. Dominika wyjęła z torby plastikowy pojemnik wielkości pudełka zapałek, pstryknęła malutkim przełącznikiem, postawiła go na głazie i pegaz zaczął pulsować niewidzialną dla nieuzbrojonego oka podczerwienią. Dominika popatrzyła na łódź przez lunetkę noktowizyjną, zobaczyła takie same zielonkawe błyski i podała lunetkę Sołowiowowi, który przytknął ją do oka i mruknął coś z aprobatą.

Od łodzi oderwała się mała, czarna plama i bezszelestnie ruszyła w ich stronę: nadmuchiwany ponton z nisko pochyloną ciemną postacią na rufie. Ciągnąc za rufą warkocz piany, jedynym dźwiękiem, jaki wydawał, było prawie niesłyszalne zawodzenie silnika elektrycznego. Miał dotrzeć do brzegu już

za kilka minut i Dominika musiała się pospieszyć. Schowała do plecaka nadajnik, lunetkę i pegaza – cały sprzęt miał trafić wraz z Lirykiem na pokład łodzi. Po generale nie zostanie najmniejszy ślad, rusałki zabiorą go na dno morza. Ponton był wciąż daleko i ze strachem pomyślała, że za wolno płynie. Ponieważ liczyła się każda zaoszczędzona minuta – musiała się przebrać na prezydenckie garden party – wróciła do samochodu, otworzyła bagażnik, potem walizkę, zrzuciła buty, zdjęła skarpetki, ściągnęła sweter i dżinsy. Na boska, w samym staniku i figach, zadrżała na chłodnym nocnym powietrzu. I wtedy z południowego wschodu dobiegło przytłumione dudnienie helikopterowego silnika.

PIEROGI Z BURACZKAMI

Mleko, margarynę i masło zagotowujemy i studzimy. Mieszamy w wodzie cukier z drożdżami i odstawiamy. Łączymy drożdże ze schłodzonym mlekiem, roztrzepanymi jajkami, solą oraz cukrem i dodajemy mąkę, tak aby powstało miękkie ciasto. Rozwałkowujemy je na cienki placek, z placka wycinamy małe kółka, nakładamy farsz (podsmażone na maśle starte buraczki, przyprawione cukrem i solą), składamy kółka na pół i dokładnie zlepiamy brzegi, pozostawiając na środku mały otworek. Pieczemy w średniej temperaturze, aż zbrązowieją. Podajemy z topionym masłem, kwaśną śmietaną lub jogurtem.

35

Ziuganow siedział w gabinecie z trzema funkcjonariuszami wydziału wewnętrznego SWR. Przykryte prześcieradłem ciało Jewgienija wyniesiono na noszach pół godziny temu, a pułkownik z pianą na ustach tłumaczył im właśnie, że Pletniew był w zmowie z kretem CIA i bez wątpienia przekazywał mu tajne informacje, a kiedy on, pułkownik Ziuganow, mu to zarzucił, ogarnięty paniką *szpion* go zaatakował.

– Zaatakował? Czym? – spytał jeden z funkcjonariuszy. Nawet reputacja egzekutora i wybitnego specjalisty od mokrej roboty, spadkobiercy wątpliwego majestatu *Wożdia*, wieloramiennego potwora, który użyczył swojego imienia Wujaszkowi Stalinowi, nie chroniła Ziuganowa przed odpowiedzialnością w sprawie nieusprawiedliwionego zabójstwa na terenie centrali. Ale rozgrzeszenie mogło być kwestią piętnastosekundowego telefonu z Kremla albo, pomyślał pułkownik, ułamka sekundy po triumfalnym ujęciu kreta CIA.

– Tym – odparł, pokazując im małą, zakrzywioną igłę chirurgiczną. – Chciał mnie poharatać.

– Igłą? Skąd się tu wzięła? – spytał tamten.

– Co to za różnica? – Ziuganow huknął pięścią w biurko i w tej samej chwili zaterkotał telefon, biały WuCze, szyfrowany aparat telefoniczny wysokiej częstotliwości. Dzwonił szef petersburskiej SWR, aby zameldować, że milicyjny śmigłowiec namierzył sygnał na M10 w południowo-wschodniej części

miasta. Pułkownik zerknął na zegarek: czwarta trzydzieści. To na pewno Jegorowa. Jedzie z Moskwy, złapią ją w ciągu godziny. Rozkazał, żeby rzucić wszystkie siły na M10 i zablokować wszystkie zjazdy na A120, biegnącą za Tosnem obwodnicę. Odłożył słuchawkę, spojrzał na trzech *zadnicewow*, dupków z wewnętrznego, i doskonale wiedząc, że słyszeli jego rozmowę, kazał im się wynosić. Ci zawahali się i wstali, lecz jeden z nich mruknął, że dokończą rozmowę kiedy indziej. Jasne, pomyślał podekscytowany Ziuganow, kiedy jako wicedyrektor SWR wezwę cię na dywanik i na zbity pysk wyleję z roboty.

Nie przyszło mu przedtem do głowy, że jako zastępca dyrektora generalnego będzie mógł stworzyć i regularnie poszerzać listę nielubianych osób, które go złościły lub irytowały. Mógłby także zainstalować w gabinecie monitory z przekazem na żywo z piwnic Lefortowa i Butyrek. I będą go wozili na Kreml na herbatę u prezydenta! Przypomniał mu się odgłos, jaki wydaje pękający melon, ustępujący opór kości, gdy uderzył Pletniewa stalową pałką, i zadrżał z rozkoszy na myśl o widokach i dźwiękach, jakie będą towarzyszyły przesłuchaniom Jegorowej i Sołowiowa. Znów zadzwonił telefon.

– Szukaj wiatru w polu – zameldował szef petersburskiej SWR. – Sygnał przybrał na sile, śmigłowiec zszedł tuż nad ziemię i omal nie wessał go pęd sapsanu z Moskwy. Szybki jest, sukinsyn, jak nic dwieście pięćdziesiąt na godzinę.

Ziuganow zaklął.

– A sygnał?

– Droga była czysta, ani jednego samochodu – odparł tamten. – Obudziłem ministra kolei i okazuje się, że sapsany też mają transpondery. Montują je z przodu, na nosie lokomotywy, i śmigłowiec go namierzył. Mieli szczęście, że nie wpadli…

– Kurwa mać! – przerwał mu pułkownik. – Co ten pociąg robił tam o czwartej nad ranem? Przyjeżdża do Petersburga o północy!

– Tak, o to też go spytałem. Odjechał z Moskwy z pięciogodzinnym opóźnieniem, bo znaleźli coś na torach. Pech. Śmigłowiec wraca do bazy na przegląd. Pilot omal nie zesrał się ze strachu…

– Chuj z pilotem! – wrzasnął Ziuganow. – Niech szuka dalej. Znajdźcie ten samochód, wiem, że ona tam jest. – Trzasnął słuchawką. Sapsan, sokół wędrowny ścigający jaskółkę: *eto prosto pizdiec*! Totalnie zjebana sprawa!

Słysząc warkot śmigłowca krążącego w południowej części nocnego nieba, rzuciła wszystko, obiegła samochód i wepchnęła do plecaka resztę sprzętu. Wzięła pod rękę generała i po kamienistej plaży zaprowadziła go na brzeg, siłą woli popędzając ponton i odpędzając śmigłowiec. Zgodnie z procedurą eksfiltracyjną pomogła mu zdjąć palto i też schowała je do plecaka. W Atenach zastanawiali się, czy nie zostawić go na plaży wraz z butami, by stworzyć wrażenie, że zdesperowany uciekinier popełnił samobójstwo, topiąc się w morzu, ale przekonała Benforda, że byłoby to zbyt *inostrannoje*, zbyt obce i zupełnie nierosyjskie. Dlatego Sołowiow miał zniknąć bez najmniejszego śladu.

Ponton dobił do brzegu. Siedzący na rufie mężczyzna wstał, przestąpił nad gumową burtą i ujrzała… prawdziwego Gary'ego Coopera – a przynajmniej tak według niej wyglądał mierzący metr osiemdziesiąt pięć żołnierz SEAL. Mat Luke Proulx był w czarnym kombinezonie z nomexu, a na jego piersi wisiał

krótki, czarny pistolet maszynowy MP7 na pasie z pojedynczym zapięciem. Podszedł do nich i zdjął czarną czapkę z dzianiny.

Blondyn, jakżeby inaczej. Jasne włosy i aureola koloru schłodzonego różowego wina na tle srebrzystego księżyca. Oczywiście.

– Panie generale – powiedział. – Pani kapitan.

No proszę. Nie dość, że mówi doskonale po rosyjsku, to ma jeszcze niebieskie oczy, pomyślała i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest w samej bieliźnie, wprawdzie od Simone Perele, ale w bieliźnie. Żołnierz nawet nie mrugnął na widok jej nagości. Postanowiła się nie wstydzić.

– Przed chwilą słyszałam śmigłowiec – powiedziała. – Musicie natychmiast odpłynąć.

Mat Proulx kiwnął głową, włożył czapkę i wziął od niej plecak.

– Jest pan gotowy, generale? – Poprawił broń i ruszył w stronę pontonu.

Sołowiow zadrżał na zimnie. Stanął przed nią na baczność, zasalutował, bezgłośnie szepnął: *„Spasibo”*, odwrócił się i wsiadł do pontonu, który Proulx zepchnął już na płyciznę. Żołnierz spojrzał na nią, uśmiechnął się i rzucił cicho: *Udaczi*, powodzenia. Wskoczył do pontonu, uruchomił silnik i popłynęli w kierunku czarnej łodzi drzemiącej w świetle księżyca. Patrząc na rozchodzące się srebrzyste fale, ona też zadrżała, ze zdumieniem stwierdzając, że na czubku języka ma cztery słowa: „Hej, zaczekajcie na mnie!”. Ale nie, wiedziała, że nie mogłaby teraz odejść.

– *Stupaj s Bogom* – wyszeptała. Odwróciła się szybko, przebiegła po kamieniach i zanurkowała do walizki w otwartym bagażniku. Sukienka koktajlowa przez głowę – gnieciona szara tunika – szpiczaste szpilki od Fendiego – musiała wytrzeć stopy z piasku – sznur onyksowych korali na

szyję. Zatrzasnęła bagażnik, wsiadła, wygładziła włosy i lekko pociągnęła usta szminką. Chciała stworzyć wrażenie, że przyjeżdża do Strielnej po całonocnej podróży, troszkę niestosownie ubrana na śniadanie czy cokolwiek te rządzące krajem *kabany*, rozparte w fotelach wieprze, które żarły, chlały i okradały jej rodaków, zamierzały tam wydać, oczywiście za zezwoleniem Jego Wysokości Cara.

Spojrzała na puste srebrzyste morze. Znów było zupełnie płaskie. Łódź zniknęła. Rusałki uprowadziły już swoją ofiarę. Może teraz Udranka, Marta i Hanna będą mogły odpocząć. Hanna. Boże, jak by się cieszyła, stojąc na tej kamienistej plaży. Walcząc ze zmęczeniem, emocjami i tęsknotą, zacisnęła palce na kierownicy. Brakowało jej Nate'a. Chciała go zobaczyć, porozmawiać z nim, pragnęła, żeby objął ją i przytulił – przynajmniej na chwilę, bo zaraz potem wylądowaliby w łóżku. Śmigłowiec wciąż dudnił, coraz bliżej i bliżej, więc nie włączając świateł, skręciła w nadbrzeżną drogę – tylko nie wpadnij na jakiś głaz! Mam nadzieję, że jest za ciemno i nie zobaczą z góry smugi kurzu – z piskiem opon wpadła na A121 i ruszyła z powrotem w kierunku Petersburga. Piąta rano. Znów ciemne pałace, znów żadnego ruchu i czysto w lusterkach.

Kiedy dojechała do bramy kompleksu państwowego „Pałac Kongresów w Strielnej", śmigłowiec zadudnił jeszcze głośniej. Strażnik spojrzał w niebo, podszedł do samochodu i zaświecił jej latarką w oczy.

– Zabieraj to! – warknęła. – Kapitan Jegorowa ze Służby Wnieszniej Razwiedki, SWR. Czekają na mnie.

W miniłodzi podwodnej SWCS było się kruchym, nieistotnym elementem wąskiej stalowej rury pełnej przewodów, wskaźników cyfrowych, rurek i pęków kabli. Mat Luke Proulx pomógł Lirykowi przecisnąć się przez właz na grzbiecie łodzi i usiąść na siedzisku z nylonowej taśmy. Zarzucił mu na ramiona pas bezpieczeństwa, zapiął go na brzuchu, po czym zwolnił dźwignię, przesunął siedzisko i zablokował je na trzeciej pozycji. Odkręciwszy zawory w pontonie – napompowany nie zmieściłby się w łodzi – zaczekał, aż ich gumowa tratwa pójdzie rufą na dno, przecisnął się przez właz, zabezpieczył pistolet i włożył go do futerału pod środkowym siedziskiem. Wrzucił do bocznej szafki plecak ze sprzętem eksfiltracyjnym, trzasnął przełącznikiem rygla włazu i zakręcił kołem, żeby go docisnąć. Właz się uszczelnił, w kabinie wzrosło ciśnienie i strzeliło im w uszach.

Proulx odwrócił się – w takiej ciasnocie to nie lada wyczyn – zdjął z haczyka słuchawki i podał je generałowi. Włożył swoje i poprawił mikrofon na policzku.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Sołowiow kiwnął głową.

– *Da*.

Z bocznej kieszeni siedziska Proulx wyjął butelkę z miękkiego plastiku.

– Proszę, niech pan wypije. Sucho tu i gorąco. – Owocowy w smaku napój zawierał małą dawkę benzodiazepin, środków o działaniu przeciwlękowym, miorelaksacyjnym i usypiającym. „Benzokoktajl” należał do standardowego wyposażenia każdej jednostki pływającej, która brała udział w akcji eksfiltracyjnej.

– Jest zdecydowanie lepsza od łajb, którymi dotąd pływaliśmy – powiedział siedzący przed nim starszy bosman sztabowy Mike Gore, przysadzisty, wiecznie niezadowolony

sternik. – Dobra, zjeżdżajmy stąd. Na płyciznach zawsze robię w gacie.

Siedzieli jak trzyosobowa załoga sań bobslejowych, jeden za drugim, z lekko ugiętymi nogami i kolanami na oparciu siedzenia przed nimi. Zabulgotała woda i ogarnęło ich uczucie opadania. Jedynym oświetleniem ciasnej kabiny była trupia poświata bijąca ze wskaźników.

– Chce pan posłuchać muzyki, panie generale? – powiedział do mikrofonu Proulx. – Może Czajkowskiego?

To Benford zasugerował, żeby mieli pod ręką trochę rosyjskiej muzyki klasycznej, którą mogliby wyłączyć, gdyby sonar wykrył kręcące się na powierzchni jednostki. Lekko przyspieszyli. Z przedziału maszynowego na rufie dobiegło ciche buczenie i łódź przechyliła się nagle na burtę jak samolot, opadając jednocześnie na dziób pod przyprawiającym o zawrót głowy kątem. Kwadrans później Proulx zerknął na mały kawałek wypolerowanego na błysk metalu pod sufitem i zobaczył, że Liryk siedzi z odchyloną do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Wyłączył mikrofon i klepnął Gore'a w ramię.

– Niesamowite – rzucił. – Czysta strefa lądowania, plaża, a na plaży on i ten aniołek w samej bieliźnie, Ingrid Bergman i Jane Russell, dwa w jednym. Kurde, myślałem, że zza krzaków wyskoczą zaraz ci ze specnazu.

Gore mruknął coś pod nosem i oznajmił:

– Proulx, następnym razem ty zostaniesz, a ja popłynę. Ta pieprzona CIA werbuje w Rosji gwiazdki porno. Muszę się do nich załapać. – Umilkli. – Jak nasz staruszek? – spytał po chwili Gore. – W porządku?

– Tak, śpi – odparł Proulx.

– No i dobrze. Wystarczy tego Czajkowskiego. Puść ZZ Top.

Pięć godzin później miniłódź podwodna amerykańskich sił specjalnych SEAL dobiła do rufy USS Arlington, okrętu desantowego LPD-24, który wraz z VI Flotą Stanów Zjednoczonych brał udział w ćwiczeniach morskich marynarek wojennych Estonii i Łotwy. Przystosowany do zwalczania okrętów podwodnych Arlington płynął powoli wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy Suursaari w Zatoce Fińskiej, sto dwadzieścia kilometrów na zachód od punktu eksfiltracyjnego. Miniłódź wpłynęła do zalanego doku rufowego podczas silnego szkwału i przy zerowej widoczności. Liryk był wolny i bezpieczny.

Dominika jechała za dżipem, na którego dachu obracało się żółte światło. Szeroka aleja, majaczący po lewej stronie pałac, szeroki zakręt przed budynkami administracyjnymi i wielopiętrowym hotelem dla uczestników konferencji, park z ładnie utrzymanymi trawnikami i fontanną, barokowy domek z piernika z dwugłowym orłem na dachu, znów brama z podniesionym już szlabanem w biało-czerwone wstążki i rząd nowoczesnych piętrowych rezydencji z mansardowymi zielonymi dachami – zaczęła liczyć: jedna, druga, trzecia… Naliczyła dziesięć czy dwanaście, lecz dalej, w głębi, wypatrzyła ich więcej, wszystkie ciemne, stojące nago w parku pozbawionym drzew i poprzecinanym betonowymi dróżkami. Były to vipowskie rezydencje dla głów państw biorących udział w spotkaniach w leżącym nad brzegiem Bałtyku kompleksie państwowym „Pałac Kongresów”. Robiło się coraz jaśniej i na widok połyskujących w oddali wód Zatoki Fińskiej pomyślała, co powiedziałby prezydent Putin, gdyby wiedział, że gdzieś tam płynie amerykańska łódź podwodna, wywożąc na Zachód

rosyjskiego oficera, dwugwiazdkowego generała i informatora CIA. Zazgrzytałby zębami tak mocno, że pękłyby mu zakrwawione kły?

Wjechali na okrągły podjazd przed ostatnim pałacykiem – był jasno oświetlony. Na przylegającym do niego małym parkingu stało kilkanaście samochodów. Z osiemnastu rezydencji tę zbudowano najbliżej morza. Ubrany w białą marynarkę kamerdyner usłużnie wziął jej żałosną walizkę, a gdy parkingowy odprowadził samochód, uświadomiła sobie poniewczasie, że na podeszwach sportowych butów w torbie i na dywanikach na pewno jest piasek z plaży. Trudno, teraz nic nie mogła na to poradzić. Gdy niskimi schodami wchodzili do środka, tuż nad dachem przeleciał z rykiem mały, ciemnoniebieski śmigłowiec, który błyskając światłami pozycyjnymi, wszedł nad wodą w ostry zakręt i zawrócił.

Wielki marmurowy hol wejściowy był ozdobiony pięknymi złoceniami i freskami na suficie. Rosjanie mieszkający w nędznych miasteczkach między Petersburgiem a Moskwą spali na klepisku, ale *prawitieli*, panowie tego kraju, otaczali się rokokowym przepychem. Tik-tak, tik-tak – szpilki stukały w błyszczący trawertyn i w holu niosło się złowieszcze echo. Otworzyły się boczne drzwi i podszedł do niej majordomus z uniżoną propozycją, aby po wyczerpującej podróży raczyła coś zjeść. Po wyczerpującej podróży? Nie masz pojęcia, mój Tołstoju. Leciała z nóg. Wysokimi szklanymi drzwiami wyszli na rozległy kryty taras z szerokim widokiem na morze. Dyskretnie rozmieszczone grzejniki odpędzały poranny chłód. Długi bufet pod ścianą uginał się pod ciężarem podgrzewanych pojemników z potrawami, kryształowych karafek i srebrnych mis z kwiatami.

Wzięła wąski, wysoki kieliszek soku, podeszła do balustrady i spojrzała w dół, na olbrzymi basen oświetlony

zielononiebieskimi podwodnymi lampami, który jaśniał nawet teraz, o świcie. Nad podgrzewaną wodą unosiła się para. Na końcach basenu stało dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach – głowa jednego i drugiego tonęła w rozmytej brązowej chmurze – pilnując prezydenta Federacji Rosyjskiej. Putin płynął morderczym motylkiem, wynurzając się do pasa i młócąc wodę zaciśniętymi pięściami. Ale nie robił tego dobrze. Nie miał ruchów wytrawnego pływaka, nie wyginał się jak zręczny, jedwabisty delfin – widziała kiedyś płynącego motylkiem Nate'a, który opadał do wody bez jednego rozbryzgu. A Putin? Ilekroć się wynurzał, woda zalewała mu twarz i jak wieloryb prychał w fontannie pary, zielononiebieskiej albo od podwodnych lamp, albo od aureoli nad jego głową. Gdy bez wysiłku dopłynął do końca basenu, odwróciła się i popatrzyła na taras. Na jego końcu stało kilka krzeseł i na jednym z nich tyłem do niej siedział jakiś mężczyzna. Słysząc jej kroki, podniósł wzrok.

Przecinkowate ciemne brwi, haczykowaty nos, faliste białe włosy starego degenerata – był to Gowormarienko z Iskry-Eniergietiki, nieznający umiaru pijak i obżartuch, kamrat Putina, który negocjował z Irańczykami kontrakt na posadzkę sejsmiczną. Gdy podeszła bliżej, wstał i wytarł usta lnianą serwetką. Był ubrany na sportowo, w czarne spodnie, brzoskwiniowy sweter i białe skórzane mokasyny od Gucciego. Na niskim stoliku stał kopiasty talerz jedzenia i na wpół pusty kufel piwa.

– Kapitan Jegorowa – powiedział z uśmiechem; choć skorzystał z serwetki, w kącikach ust wciąż miał drobinki jedzenia.

Pamięta moje nazwisko, stwierdziła. Albo jestem na porządku dziennym obrad, albo chce się ze mną wykąpać.

– *Gospodin* Gowormarienko. – Skinęła mu głową.

– Ranny z pani ptaszek, ale miło znów panią zobaczyć. – Wskazał krzesło.

– Jadę prosto z Moskwy. – Nocne alibi. Mała podkładka nie zaszkodzi. Usiadła w stojącym obok fotelu. – Chcę odwiedzić rodzinę w Petersburgu. – Popatrzyła na morze. Wschodzące słońce malowało na różowo szczyty małych fal; zanosiło się na bezchmurny dzień. Choć taras wychodził na rozległy brzeg, nieskazitelnie czyste szklane tafle skutecznie osłaniały go przed wiatrem. Było jej ciepło i wygodnie.

– Boże, z Moskwy? – powtórzył Gowormarienko. – Samochodem? Szczęście, że pani przeżyła. Trzeba mi było powiedzieć – dodał zalotnie – przysłałbym po panią samolot.

Daj mi lepiej miskę, żebym mogła zwymiotować, pomyślała. Była pewna, że w jego prywatnym samolocie znalazłaby plamy zaschniętej spermy na siedziskach i odciski palców na oknach.

– Może innym razem. – Spróbowała go osadzić. – Ale widzę, że pan też wcześnie wstał. – Pewnie wolał ciepło swojego cuchnącego kwaśnym potem, wielkiego jak chlew łóżka.

Na talerzu leżały *draniki*, złociste placki ziemniaczane. Wziął jeden, złożył go na pół i nie zważając na wyciekający z obu końców sos grzybowy, wepchnął go do ust.

– Pani kapitan – wymlaskał – nalegam, żeby mówiła mi pani po imieniu: Wasilij. – Zerknął na wielkiego złotego breitlinga z cyferblatem koloru toffi. – Prezydent wstaje wcześnie, żeby popływać. Chce omówić z nami stan kontraktu z Irańczykami. Słyszała pani najnowsze wieści?

– Mam nadzieję, że są dobre – odparła, starając się nie patrzeć na plamę od sosu na jego swetrze.

– Dobre? Wspaniałe! Barka z ładunkiem dotarła już do Astrachania. Przy sprzyjającej pogodzie w cztery dni przepłynie Morze Kaspijskie i zacumuje w Bandar-e Anzali. Teheran przelał już czterysta pięćdziesiąt milionów euro, a resztę

zapłaci pięć dni po odebraniu sprzętu. Nabiullina ma dziś złożyć raport.

Nabiullina. Nie miała specjalnej ochoty oglądać prezeski Banku Centralnego, podejrzliwej baby, faworyty Putina, która nie wierzyła, że udało jej się opracować trasę wodno-lądową przez Rosję. Wredna suka.

Gowormarienko złożył na pół kolejny placek i połknął go w całości.

– Trzydzieści siedem miliardów rubli – dodał. – Już nigdy nie będzie pani musiała jeździć do Petersburga samochodem. – Rozparł się na krześle.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała.

– Myślę, że rozumie pani aż za dobrze. Zarobi pani osiem i pół, dziewięć milionów rubli. Jeśli chce pani wybrać się na zakupy do Nowego Jorku, to ćwierć miliona dolarów.

Liczy i przelicza jak maszyna, pomyślała, ma kalkulator we łbie. Ciekawe, jak tę kwotę podzielą. Ile dostanie Putin. I dobrze by było wiedzieć, gdzie przechowują skradzione pieniądze.

– Umowa z Iranem jest znakomitym przykładem zakulisowych działań wywiadowczych, wspomagających korzystny dla Rosji kontrakt handlowy. – Gowormarienko opróżnił kufel. – Pomogliśmy newralgicznemu państwu klienckiemu, umocniliśmy wpływy w strategicznie ważnym regionie i podnieśliśmy prestiż Rosji w świecie.

No i proszę, znów to *wranjo*, rosyjskie kłamstwo.

– Kontrakt korzystny dla Rosji? – powtórzyła.

Zignorował ironię machnięciem ręki.

– Należy pani do konsorcjum twórczych wspólników, dzięki którym wszystko wypaliło. Dlatego powinna pani coś z tego mieć i będzie pani miała. To dopiero początek, będą inne inicjatywy handlowe. Potrzebujemy kogoś w służbach, kogoś takiego jak pani.

– A co powiedziałby na to dyrektor generalny? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Wkrótce przechodzi na emeryturę. A Zarubina albo w to wejdzie, albo nie. Jest świetna, ale to stara szkoła. Jej wybór. – Poklepał ją po kolanie. – Najważniejsze, że mamy w centrali błyskotliwą protegowaną.

Ten wieprz chce, żebym została agentką penetracyjną rosyjskich oligarchów. Oczywiście z błogosławieństwem Putina. Co pan na to, panie Benford? I właśnie potwierdził, że po powrocie z Waszyngtonu Zarubina zostanie nową szefową SWR.

– A pułkownik Ziuganow? – spytała. – Ściśle z wami współpracował, żeby dokonać tych wszystkich cudów. On też należy do tego twórczego konsorcjum?

– Z Ziuganowem jest trochę inaczej – odparł. – Powiem pani w zaufaniu, że przydałby mu się kurs uroku osobistego.

Nie mógł powiedzieć tego jaśniej: pułkownik nie należy do spisku. Został wyłączony i długo nie pociągnie. Nie ma to jak zajrzeć do mrocznej jaskini. Nate i Benford się ucieszą.

Wtedy niemal jednocześnie wydarzyły się trzy rzeczy: na taras wybiegł majordomus, który pochylił się i szepnął coś do ucha Gowormarience. Szklanymi drzwiami weszło czterech mężczyzn w policyjnych mundurach – ci też podeszli do ich stolika. W tym samym momencie na szczycie prowadzących na basen schodów pojawił się prezydent Putin w towarzystwie dwóch goryli w ciemnych garniturach. Był w samych kąpielówkach, na ramionach miał ręcznik. Spojrzał na policjantów, na Gowormarienkę, a potem, z lekko uniesionym kącikiem ust, co mogło być oznaką przed chwilą minionej wesołości lub narastającego gniewu, skinął głową Dominice.

Jest w mokrych kąpielówkach, a ja w sukience koktajlowej, pomyślała ze znużeniem. A dziś rano, gdy byłam w samych

majtkach i staniku, żołnierz Seal zwrócił się do mnie per „pani kapitan”.

Wzeszło już słońce i morze z szarego zmieniło się w niebieskie, takie jak pierścień pulsujący nad głową prezydenta.

– O co właściwie chodzi? – spytał Gowormarienko, uprzedzając Putina.

Dowodzący policjantami oficer stanął na baczność.

– Rozkaz z kwatery głównej, towarzyszu.

Gowormarienko włożył do ust kolejny placek.

– Ale jaki?

– Szukamy jadącego z Moskwy samochodu. Policyjna jednostka napowietrzna namierzyła go na tym terenie.

– Czyj to samochód?

– Prawdopodobnie mój – odrzekła Dominika znad kieliszka soku. – To służbowy wóz z Jasieniewa.

Dowódca zerknął nerwowo na swoich kolegów. Kurwa, ona jest z SWR, a trzy kroki dalej stoi Putin!

– Dlaczego go szukacie? – spytał Gowormarienko.

Policjant wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wiem tylko, że na rozkaz Moskwy.

W końcu odezwał się znajomy głos, wysoki i ostry.

– Nieważne – rzucił krótko prezydent. – Kto go wydał?

Policjant miał zlane potem czoło.

– Melduję, że nie wiem, panie prezydencie.

Prezydent spojrzał na Dominikę, która próbowała zachować jak najswobodniejszą pozę. Zobaczyła, że na nią patrzy i już wiedziała: Putin ją rozgryzł.

– Nie przypuszczam, żeby kapitan Jegorowa była poszukiwaną przez was uciekinierką – powiedział cicho. – Możecie odejść.

Seb Angevine położył nogi na biurku, podziwiając sznurowane półbuty od Crocketta & Jonesa – trzysta pięćdziesiąt funtów, czyli sześćset dolarów – które jakiś sumienny Bob Cratchit uszył ręcznie specjalnie dla niego. A na wieszaku na zamkniętych drzwiach gabinetu wisiał grafitowy garnitur z lekkiej wełny – od Brioniego: cztery i pół tysiąca funtów, czyli sześć tysięcy dolarów – do którego idealnie pasował granatowy krawat siedmiokrotnie składany z jednego kawałka jedwabiu – od Marinelli w Neapolu, za jedyne dwieście dolarów. Seb zabijał czas. Czekał, aż sekretarka skończy pracę i pójdzie do domu, żeby móc spokojnie ustawić kamerę – tym razem była to Gamma – i szybko przewinąć ekran z materiałami, które Gamma nagra z najwyższą rozdzielczością. To był wyjątkowy wieczór: miał zamiar sfotografować listę płac z prawdziwymi – prawdziwymi! – nazwiskami najbardziej wrażliwych informatorów ze stajni CIA. Nie obchodziło go, kim są – powinni byli wiedzieć, że szpiegowanie jest zajęciem bardzo ryzykownym, sami tego chcieli. *Merde*, przecież on też ryzykował, szpiegując dla Rosjan. Ale jedyne naprawdę ważne nazwisko na liście, to, za które zażądał od Zarubiny miliona dolarów, było nazwiskiem rosyjskim. Kiedy Muriel wetknęła do gabinetu głowę i się pożegnała, wyjął giętki, składany minitrójnóg, przykręcił do niego kamerę, sprawdził ustawienie i nacisnął guzik. Przewinął około pięćdziesięciu depesz, nagle zamarł i pod wpływem impulsu zgarnął trójnóg do otwartej szuflady biurka. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i zobaczył słoniowatą twarz Glorii Bevacquy, szefowej Sztabu Tajnych Akcji.

– Przeszkadzam? – Weszła do gabinetu. Jej ostrzyżone na pazia włosy koloru brudny blond miały ciemne odrosty

i sterczały z tyłu. Była w mandarynkowym spodnium z orlonu czy rayonu: miała brudne rękawy i zaschniętą plamę na lewym ramieniu, jakby odbijała dziecko, któremu ulał się pokarm.

Owszem. Właśnie kopiuję setki ściśle tajnych depesz CIA, które jutro wieczorem zamierzam przekazać Moskwie za siedmiocyfrową gażę, co – mam nadzieję – skutecznie uniemożliwi ci kierowanie sztabem.

– Nie, Glorio – odrzekł. – Czym mogę służyć?

Słonica wyszła po kilku minutach urażona, że nie chciał zasiąść w nowej komisji rewizyjnej, którą właśnie utworzyła. Potrzebowała zapchajdziury z długim stażem i myślała, że jeśli poprosi go osobiście, to Seb się zgodzi. Masz pecha, flejtucho. *Allez au charbon*, wracaj do chlewa.

Znów ustawił kamerę i zaczął nagrywać. Listę płac zostawił na sam koniec i przewijał ją powoli, uważnie czytając. I wreszcie… jest! Cacuszko za milion dolarów. Przejrzał listę jeszcze raz: innego rosyjskiego nazwiska nie znalazł. Hm, w dodatku kobieta. To możliwe?

Dominika Wasiljewna Jegorowa. Zanotował je w pamięci. Ciekawe, czy jest ładna? Nawet jeśli jest, Zarubina szybko pozbawi ją urody.

DRANIKI – PLACKI ZIEMNIACZANE Z SOSEM GRZYBOWYM

Obrane ziemniaki i cebulę trzemy na tarce. Dodajemy surowe jajko, sól i mąkę, aby utworzyła się gęsta masa. Nakładamy porcję masy (1 łyżkę) na rozgrzany olej, rozprowadzamy na cienki placek i smażymy, aż stanie się złocistobrązowy. Podajemy z sosem grzybowym, który robimy, mieszając pokrojoną w kostkę zeszkloną cebulę z grzybami, kwaśną śmietaną i kremówką. Sos gotujemy na wolnym ogniu. Przyprawiamy dodatkowo kremówką i garnirujemy posiekaną nacią pietruszki.

36

Nate i Benford siedzieli samotnie w bezpiecznej sali konferencyjnej w nowej siedzibie delegatury FBI w północno-zachodniej części Waszyngtonu. Benford narzekał, że musieli jechać aż do Swampoodle, jak w dziewiętnastym wieku nazywano irlandzką dzielnicę slumsów, którą wyburzono, by na jej miejscu wznieść Union Station, stację i reprezentacyjny dworzec kolejowy. Poza tym zwrócił uwagę na fakt, że przeprowadzka z ponurego Buzzard Point nad Potomakiem była najpewniej celowa, ponieważ kowboje z FBI znaleźli się wreszcie na celowniku GAO, Rządowego Biura Odpowiedzialności Stanów Zjednoczonych, którego siedziba mieściła się przy G Street, na skos od nich.

Benford współpracował z nimi od lat i ich nie lubił, ale miał w FBI kilku dobrych znajomych, jak choćby Charlesa Montgomery'ego, szefa Wydziału Kontrwywiadu Zagranicznego, FCI, z którym mieli się zaraz spotkać. Gdy czekali, do sali zajrzał znany mu agent specjalny, irytujący wąsacz.

– Szpiedzy przyszli! – wrzasnął, zrobiwszy tubę z dłoni.

Benford spojrzał na niego z niesmakiem. Wąsacz miał gęste włosy i… cóż, wąsy jak pędzelki do smarowania ciasta.

– McGaffin, dlaczego nie czekasz w zasadzce? – spytał. – Czyżby w stolicy nie grasowali już bankowi rabusie?

– Panujemy nad sytuacją – odparł tamten. – Co wy tu robicie?

Benford posłał Nate'owi znaczące spojrzenie.

– Dostaliśmy cynk z Moskwy, że rosyjska centrala ma w FBI kreta, więc przyszliśmy złożyć wniosek do Sądu Nadzoru Wywiadu, żeby pozwolono nam przejrzeć twój profil internetowy. Spodziewam się tam znaleźć dowody zarówno twojej esencjonalnej infantylności, jak i libertyńskiej lubieżności.

McGaffin pokręcił głową.

– Po angielsku, kolego, po angielsku – mruknął i zniknął za drzwiami.

Benford westchnął.

– Teraz już chyba rozumiesz, dlaczego tak chętnie z nimi współpracuję.

– Tryton nie może spotkać się z Zarubiną – powiedział z naciskiem Nate. – Musimy go zidentyfikować i zgarnąć, i mamy tylko jedno podejście, dlatego jeśli ci tutaj mają jakiś pomysł, trzeba ich wysłuchać.

Agent specjalny Montgomery wszedł do sali, obszedł stół i uścisnął im ręce. Szczupły i przedwcześnie posiwiały miał pięćdziesiąt lat, okulary do czytania na czubku nosa i szare policyjne oczy, którym nic nie umykało.

– Przepraszam za spóźnienie. – Usiadł na drugim końcu stołu. – Dobija mnie zmiana czasu, byłem w Londynie. Konferencja ciągnęła się w nieskończoność… – Potarł twarz.

– Ale przynajmniej mogłeś podelektować się przysmakami angielskiej kuchni – powiedział Benford.

– Tak – mruknął Montgomery – pierwszy raz w życiu jadłem *haggis*. Choć to szkockie danie, nie angielskie. Zjadłem cały talerz i wtedy moi gospodarze z MI5 powiedzieli mi, że są to flaki zaszyte w owczym żołądku. Jak tu przyjadą, podam im ostrygi z Gór Skalistych.

– Zawsze myślałem, że specjałem kuchni FBI są jądra, bycze albo inne.

– Simon, Anglicy powiedzieliby, że jesteś odstręczający – odparł ze śmiertelną powagą Montgomery i otworzył teczkę. – Albo że wyżarło ci mózg.

– Możemy zaczynać? – poprosił Benford.

Montgomery był jedną z kilku osób, które wiedziały o Trytonie.

– Posłuchajcie. Przedyskutowaliśmy to. Zarubina ma się z nim spotkać w ciągu tygodnia. Na waszą prośbę daliśmy jej spokój, żeby czegoś nie zwęszyła i się nie wycofała. Ale nadal uważam, że moglibyśmy ją nakryć na gorącym uczynku i zwinąć. – Na naradzie konsekwentnie utrzymywał, że zespół FCI, zwany Gs, jest w stanie dyskretnie ją obserwować.

Nate pokręcił głową.

– Nie możemy ryzykować. Twoi ludzie są dobrzy, ale jeśli Zarubina coś wyczuje, natychmiast przerwie podejście i Rosjanie przekażą Trytona anonimowemu nielegałowi, którego nigdy w życiu nie znajdziemy.

Montgomery znów potarł twarz.

– Właśnie o tym chciałem pogadać. Mamy tu asa. – Przewrócił jakąś kartkę. – Wiemy, że mają się spotkać w Meridian Hill Park…

– To za mało, Charles – przerwał mu Nate. – Ci z SWR będą go obserwowali wiele dni przedtem, a zwłaszcza w noc spotkania. Zobaczyliby was, obojętnie, jak bardzo jesteście dobrzy. Trzask radia, błysk lornetki, to nieuniknione.

– Zgoda, ale zastanawiam się nad pewnym rozwiązaniem – nie ustępował Montgomery. – Mamy tu dwóch chłopaków. Są trochę… niestabilni…

– Czyli? – spytał Benford.

– Przedtem często zmieniali pracę.

– Bo?

– Czasem nie słuchają przełożonych. – Montgomery złożył ręce na stole.

– To znaczy? – drążył Benford.

– Mówią to, co myślą.

– Czyli…

– Czyli każą im się wypchać.

– Słowem chcesz, żeby w newralgicznej dla CIA operacji, która może kosztować życie kogoś bardzo dla nas ważnego, udział wzięło dwóch rozchwianych emocjonalnie bliźniaków, tak? Można wiedzieć dlaczego?

– Bo od dwudziestu pięciu lat nie widziałem lepszych obserwatorów – odparł Montgomery. – Jeśli ta wasza Zarubina jest jasnowidzącą wiedźmą, to Fileppo i Proctor są czarownikami.

Benford spojrzał na Nate’a, który lekko skinął głową.

– Tylko nas trzech – powiedział. – Nikogo więcej i żadnych nadajników. Zwijamy Trytona, zanim zdąży nawiązać kontakt z Zarubiną.

– Właśnie to miałem na myśli – potwierdził Montgomery. – Przepaski na biodra, dmuchawki do ręki, i do roboty. To może wypalić.

Benford poprawił się na krześle.

– Czarodzieje, powiadasz… Kiedy możemy się z nimi spotkać?

– Czekają na korytarzu. – Montgomery wstał i otworzył drzwi.

Fileppo i Proctor weszli do sali i usiedli po jego lewej i prawej stronie. Obaj byli w dżinsach i zamszowych trzewikach na miękkiej podeszwie od Clarksa. Ten po lewej miał na sobie czarną bluzę, ten po prawej polar z zapinanym na suwak kołnierzykiem.

– To są Donnie Fileppo i Lew Proctor – przedstawił ich Montgomery.

Nate uścisnął im ręce. Obydwaj odpowiedzieli silnym, zdecydowanym chwytem dłoni. Donnie Fileppo miał około dwudziestu pięciu lat, krótko ostrzyżone brązowe włosy, wysokie czoło i czujne oczy. Lew Proctor był ostrzyżony na wojskowego jeża i miał śmieszki wokół oczu i w kącikach ust. Siedzieli niedbale na krzesłach i patrzyli na nich z udawanym brakiem zainteresowania.

– A więc Donnie i Lew, tak? – zaczął Benford.

– Donnie, czyli Donatello. – Proctor pochylił się do przodu i z poważną miną zerknął na kumpla. Zdradzały go jedynie roześmiane oczy. – We Włoszech to dziewczęce imię. – Fileppo nawet na niego nie spojrzał.

– Pracowaliście kiedyś solo? – spytał Nate. – Mamy poważny problem i potrzebujemy dwóch ludzi, którzy pomogliby mi w parku.

– W którym? – spytał Fileppo.

– I kogo mielibyśmy obczaić? – dodał Proctor.

– Dowiecie się, kiedy wyrazimy zgodę na wasz udział – odparł Benford. Nate natychmiast rozpoznał ten ton głosu: Simon w swoim najlepszym wydaniu. Był nieprzyjemny, żeby sprawdzić, jak tamci zareagują. Fileppo tylko wzruszył ramionami.

– Trudno – rzucił Proctor. – Jeśli nie powiecie, kto jest celem i gdzie to ma być, wasz przerażająco wielki problem pozostanie waszym problemem.

– Agent specjalny Montgomery mówi, że jesteście dobrymi obserwatorami – powiedział Nate.

– Niezłymi – potwierdził Fileppo. – Ty też bawiłeś się gdzieś w obserwatora?

– Tak, w Moskwie.

Proctor skinął głową.

– Dlatego to takie ważne – dodał Nate. – Wszystko musi wypalić, bo jeśli nie, ktoś umrze.

– Nie mówiąc już o tym – wtrącił Benford – że pewien amerykański parszywiec i zdrajca, który pracuje dla bandy czerwonych zasrańców, zniknie nam z oczu na wiele, wiele lat.

– Na to nie możemy chyba pozwolić – powiedział Proctor. – Prawda, Donatello?

Nate ich sprawdził i okazało się, że Montgomery nie przesadzał: Fileppo i Proctor byli szybcy, zwinni i sprawni fizycznie. Porozumiewali się prawie niezauważalnymi sygnałami ręcznymi i potrafili błyskawicznie zmienić wygląd, wkładając kaptur lub wywracając kurtkę na drugą stronę. Fileppo uprawiał nawet parkour. Potrafił wbiec na czterometrowy mur, zrobić dwa kroki – ot tak, po prostu, jakby po nim szedł – i resztę drogi pokonać podskokiem.

Przerwy na posiłek też były pouczające: ani jeden, ani drugi nie pił na służbie. A po – najwyżej dwa piwa. Rozmowy były głośne i wulgarne, ale Nate szybko wychwycił oznaki wskazujące na to, że są prawdziwymi profesjonalistami i świetnie się dogadują. Jeden kończył zdanie za drugiego, wzajemnie się pilnowali, a jeśli któryś zauważył coś interesującego, lekkim ruchem głowy dawał znak drugiemu. Umieli przewidzieć, co każdy z nich zaraz zrobi. Nate przegonił ich po Connecticut Avenue – ich własnym podwórku – i stwierdził, że są jak dwa pracujące w tandemie psy myśliwskie. Chodzili za ćwiczebnymi królikami – niczego niepodejrzewającymi celami cywilnymi – zbliżając się do nich, odpadając, przewidując, gdzie skręcą, wyprzedzając ich

i podążając za nimi, kiedy przechodzili przez ulicę. Obaj robili to bezbłędnie.

Fileppo miał twarz niewiniątka, dzięki czemu potrafił oszukać każdego odźwiernego. Proctor świetnie udawał kuriera i chodził swobodnie po wszystkich biurowcach. Obydwaj potrafili odczytać napisany jedenastopunktową czcionką mejl leżący do góry nogami na biurku w recepcji. Byli hultajami i piratami, prawdziwymi Wizygotami. Po dwóch dniach Nate zameldował Benfordowi, że są okej i że przez pięć nocy będą we trzech obstawiali park.

Zajmujący prawie pięć hektarów Meridian Hill Park leży na stromym wzgórzu w Columbia Heights, cztery kilometry na północ od Białego Domu, i jest tam pełno krętych ścieżek, posągów i eleganckich betonowych schodów. Na środku stoi sześćdziesięciometrowej wysokości włoska fontanna kaskadowa z trzynastoma opadającymi piętrowo basenami w kształcie podłużnych kamiennych mis. Przelewając się, woda spływa z mniejszych do coraz to większych – najmniejsza ma półtora metra szerokości, a największa prawie sześć – by w końcu trafić do wytwornie zakrzywionego basenu na dole. Różnica wysokości między najwyższą a najniższą misą wynosi około piętnastu metrów. Po obu stronach fontanny pną się w górę szerokie schody z kruszywa, które spotykają się na ozdobionym kolumnami tarasie górującym nad najwyżej położoną kaskadą.

Nate, Fileppo i Proctor rozdzielili się, przeczesali górny poziom parku – wysadzany lipami trawiasty deptak – a potem zeszli na dół, żeby sprawdzić dolny, w tym fontannę. Nie wiedząc, czy Rosjanie nie wysyłają do parku zwiadowców, umówili się, że wyjdą oddzielnie i minąwszy rząd okazałych szeregowców przy W Street, spotkają się w barze kanapkowym o nazwie Szybki Smakosz. Idąc na miejsce spotkania, Nate nie

zauważył ani Fileppa, ani Proctora. Mieli do czynienia z agentem CIA, gościem „po Moskwie”, i chcieli mu pokazać, na co ich stać.

Szybki Smakosz, skromny bar z gablotą wystawową, ladą i dwoma stolikami, mieścił się na zapleczu stacji benzynowej na rogu W Street i Czternastej. Fileppo był już na miejscu, co więcej, zdążył zamówić trzy *chivitos*. Proctor przyszedł dwie minuty później. Na jedzenie czekali w milczeniu. Nate się z nimi nie zakumplował, ale łączył ich cichy koleżeński szacunek. Każdy z nich umiał docenić umiejętności i profesjonalizm kolegów po fachu.

– Spotkają się na górnym tarasie – zaczął w końcu Proctor, siadając przy stoliku. – Dwa wejścia od Szesnastej, pełno drzew i krzaków.

– Absolutnie. – Fileppo przystawił sobie krzesło. – To jedyne logiczne miejsce. Deptak możemy sobie odpuścić. Taras jest osłonięty od tyłu murem i widać stamtąd cały teren aż po W Street. A na schodach jest jak na patelni.

Nate przyglądał się niepewnie swojej kanapce – stek z grilla, ser, gotowane na twardo jajko i marynowane cebulki – z której wyciekał podejrzany sos.

Fileppo poszedł za jego wzrokiem.

– *Escabeche* – wymlaskał. – Cebulki są marynowane w occie.

– Z Urugwaju – dodał Proctor. – Najlepsze w stolicy.

Nate ugryzł kawałek i stwierdził, że kanapka jest rzeczywiście pyszna. Wytarł usta serwetką.

– Dobra. Jesteście Zarubiną. Jak tam wejdziecie? Jak rozstawicie obstawę? Z której strony nadejdzie Tryton?

– Rosjanie lubią mieć na oku teren działania, tak? – odparł Proctor. – Zarubina wejdzie schodami na taras i zaczeka. Tryton też skorzysta ze schodów, jednych albo drugich.

– Jeśli Zarubina przyjdzie z obstawą, jej ludzie przywarują za drzewami albo na wzgórzu za fontanną – dodał Fileppo. – Będą wypatrywali dużej ekipy, samochodów, radiowozów, i tak dalej, po to, żeby w razie czego ostrzec staruszkę i przerwać akcję.

– Podobno jest niesamowita – rzucił Nate.

Fileppo i Proctor wymienili spojrzenia.

– To my jesteśmy niesamowici – powiedział Fileppo. Proctor potwierdził jego słowa skinieniem głowy, po czym odłożyli kanapki i przybili żółwika.

– Jezu – mruknął Nate – zanim razem zamieszkacie, powiedzcie mi, jak się rozstawimy.

Tamci spojrzeli na niego bezradnie, zacinając się na dobre trzy sekundy.

– Jasne – odparł w końcu Proctor. – Instynkt mówi nam, że najlepiej byłoby tak: Donnie i ja zaczekamy na dole, przy tym największym basenie. Będziemy chodzili oddzielnie, obserwując teren za basenem, te wszystkie balustrady, żywopłoty i murki. Jeśli zaczniemy przed dziesiątą, w parku będzie trochę ludzi. Jeśli później, chcąc sprawdzić, czy teren jest czysty, Ruscy mogą się natknąć na strażników parkowych…

– I jeśli wasz kret wejdzie na schody, dopadniemy go w połowie drogi – wtrącił Fileppo.

– Skąd będziecie wiedzieli, że to on? – spytał Nate, przysłuchując się, jak Donnie i Lew dopracowują szczegóły.

– Zarubina da mu jakiś znak, na sto procent – odparł Proctor. – Coś prostego, pstryknie zapalniczką, zdejmie szalik czy położy na balustradzie białą reklamówkę. Zrobi coś, co facet zobaczy nawet po ciemku. To ona nam powie, że to on.

– I wtedy go zgarniemy – dodał Fileppo. – Nie ma mowy, żeby zdążyli coś do siebie powiedzieć, tym bardziej przekazać.

– Donnie ostro się wtedy nakręca – powiedział Proctor. – Ale zaczekasz na mnie, tak?

– Ja? – zaprotestował Fileppo. – Ja się nie nakręcam. Co ty, kurde, pogięło cię?

– Nakręcasz się, nakręcasz.

Jezu Chryste, jak stare małżeństwo, pomyślał Nate, skupiając się na kanapce.

– Dobra, wy jesteście na dole, a ja chcę być tuż za jej tyłkiem, bardzo blisko. Jakieś pomysły? – Nie wstydził się zadawać takich pytań. Specjalizował się w wykrywaniu i eliminowaniu wrogich obserwatorów, a oni byli właśnie obserwatorami, dlatego opłacało się ich wysłuchać.

– Jest tylko jedno takie miejsce – odparł Fileppo. – W murze na górnym tarasie są trzy głębokie nisze, a w każdej fontanna i każda sika z rozbryzgiem na metr w górę. Ubierzesz się na czarno, przykucniesz za którąś, i po robocie. Bąbelki, szum tych wszystkich kaskad: jesteś niewidzialny. A jak przyjdzie Zarubina, robisz dwa kroki i siedzisz jej na karku.

– Kalosze by się przydały – dodał Proctor.

– Dobra, czyli wychodzę z ciemnej niszy i grzecznie proszę ją po rosyjsku, żeby nigdzie nie odchodziła. Baba zesra się ze strachu. Wy zgarniacie Trytona, zakładacie mu kajdanki i Lew puszcza sygnał. Tak? – Na polecenie Benforda i Montgomery'ego cztery ulice dalej miało czekać dwanaście radiowozów waszyngtońskiej policji metropolitalnej, trzy pojazdy FBI, furgonetka i karetka pogotowia, które na sygnał ze Szrapnela, skonstruowanego przez CIA zaszyfrowanego pagera, włączą światła i zrobią najazd na park. Zabronione było używanie radionadajników, telefonów komórkowych i wszelkiej elektroniki. Rosjanie nie tylko obserwowali, ale i nadsłuchiwali.

Tryton zostanie aresztowany, a Zarubina, jako nietykalna przedstawicielka korpusu dyplomatycznego, grzecznie zatrzymana do chwili, aż wyciągnie ją z aresztu rosyjski konsul

generalny, który najpierw zaśpiewa starą zimnowojenną śpiewkę, że *gospoża* Julia Zarubina poszła do parku, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem zacznie grzmieć i ciskać gromy na faszystowskie metody amerykańskiej policji. Zarubina otrzyma status osoby niepożądanej i wróci na łono *rodiny*, żeby odpowiedzieć na kilka pytań pary niebieskich oczu i gniewnie ściągniętych ust.

A Domi znów uniknie wizyty w lochach Łubianki, pomyślał Nate. Będzie bezpieczna.

URUGWAJSKA KANAPKA CHIVITO

Do rozkrojonej miękkiej bułki wkładamy skarmelizowany stek z grilla, przykrywamy go plasterkami mozzarelli i wstawiamy bułkę do piekarnika. Kiedy ser się roztopi, dodajemy gotowaną szynkę, smażoną pancettę, pokrojone w kostkę zielone oliwki, pokrojone jajko na twardo, cienko pokrojone marynowane cebulki, sałatę, pomidory i sos aioli. Przekrawamy kanapkę na skos i podajemy.

37

Czas: 22.19. Jeśli coś miało się wydarzyć, to teraz. Tajnych spotkań nigdy nie wyznaczano na pełną godzinę czy pół godziny. Nie robiła tego CIA ani SWR – zbyt ryzykowne. Mimo chłodnego wieczoru Nate pocił się w gumowych kaloszach i plastikowej pelerynie z kapturem, kucając w czarnej niszy w murze za najwyższym basenem. Podłoga niszy była śliska od glonów, a sięgająca łydek woda cuchnęła czymś metalicznym i toksycznym. Patrząc przez strumień bulgoczącej tuż przed nim fontanny, ledwo widział pusty taras i srebrzystą kaskadę basenów poniżej. Rozciągający się dalej ciemny park rozświetlała jedynie pomarańczowa poświata miasta.

Na domiar złego z tą przeklętą fontanną było coś nie tak, bo sikała nieregularnym strumieniem, raz wyżej, raz niżej, ochlapując z grzechotem pelerynę i jego. Bał się, że ktoś to usłyszy, ale nie, zewsząd dochodziło wiele innych hałasów, niosący się echem plusk wody trzech górnych fontann i arpeggio fal przelewających się z basenu do basenu. Po trzech nocach spędzonych w cudownej krainie śmierdzącej wody zaczynał żałować, że nie przydzielił niszy Fileppowi albo Proctorowi – niechby któryś z nich kucał godzinami w tej zalatującej miedzianymi rurami gęstej zawiesinie, w której, niczym we włoskiej zupie warzywnej *ribollita*, pływało coś zielonego. Ale wiedział, że jego miejsce jest tutaj, na górze: on musiał zatrzymać Zarubinę, a Fileppo i Proctor, agenci FBI,

aresztować łamiącego prawo amerykańskiego obywatela. Dobra, Tryton, ty kutasie. Przyjdziesz wreszcie czy nie?

Nagle odezwały się resztki paleolitycznego instynktu i poczuł, że mrowi go skóra na głowie. Ktoś tam był, dokładnie nad niszą, na trawiastym deptaku. Nie było księżyca ani cienia. Nie słyszał żadnych głosów, panowała zupełna cisza. Ale wyraźnie czuł, że ktoś się zbliża. Chwilę później, patrząc przez rozczapierzony strumień tej przeklętej fontanny, zobaczył niską postać, która tuż przed nim, niczym bezszelestna zjawa, wyszła na taras. Wstrzymał oddech z nadzieją, że w tej lepkiej, wilgotnej ciemności jest naprawdę niewidzialny. Tak, to była Zarubina: widział ją na setkach zdjęć w albumie FBI. W palcie z wielbłądziej wełny i luźno zawiązanym szaliku, na krótkich, grubych nogach miała ciężkie pantofle na średnim obcasie. Przystanęła przed balustradą, spojrzała w lewo, a potem w prawo, powoli lustrując wzrokiem rozciągający się przed nią opustoszały park. No, Apacze, obyście naprawdę byli dobrzy, pomyślał, łącząc się telepatycznie z Fileppem i Proctorem. Zarubina przestała się rozglądać i znieruchomiała ze spuszczoną głową niczym starożytna kapłanka, która stojąc na podwyższonym ołtarzu, wzywa skrzydlatego boga nietoperzy.

Nadsłuchuje, próbuje wychwycić wibracje. Wyczuwa ukłucie elektronów uciekających z czubków moich palców? Chryste, ta babcia może zabić dzisiaj Divę. Ale nie zabije. Po moim trupie.

Rosjanka odwróciła się, spojrzała w stronę biegnącego górą deptaka – lekko przymknięte błyszczące czarne oczy prześlizgnęły się po jego niszy – i skinęła głową: dała znak, że teren jest czysty i jej ludzie nie muszą się już spinać. Podeszła bliżej balustrady, oparła na niej ręce i pochyliła się do przodu niczym dyktatorka przemawiająca z balkonu do wpatrzonych w nią tłumów. Po chwili zdjęła szalik i położyła go na

balustradzie, tak że jego koniec dyskretnie zwisł na zewnątrz. Kolejny sygnał.

Zaczekajcie, jeszcze nie teraz! Nie teraz!

Nate zamarł na pełne dwie minuty – sto dwadzieścia sekund ciągnęło się jak dwie godziny – a potem zobaczył głowę i ramiona wysokiego, kanciastego mężczyzny wchodzącego powoli na górę. Szedł schodami po lewej, tymi od strony W Street. Tryton? Nie wyjmując rąk z kieszeni, podniósł głowę. Nate wytężył wzrok: chciał zobaczyć jego twarz, miał nadzieję, że zna go z korytarzy Langley. No pokaż się, palancie! Pokonawszy jedną trzecią drogi, mężczyzna przystanął i popatrzył na taras. Zobaczył ciemną sylwetkę Zarubiny i podniósł rękę. No dalej, pomachaj jej na dzień dobry! Rosjanka nie zareagowała, ale on poszedł dalej. Był już w połowie drogi.

Wtedy zza gęstego żywopłotu u stóp schodów wyskoczył duch, skrzydlaty ogr. Oparłszy się rękami o ceglany murek, przesadził go jednym susem i popędził na górę. Fileppo. W tym samym momencie – jakim cudem tak dobrze się zgrali? – za żywopłotem biegnącym wzdłuż schodów naprzeciwko zmaterializował się Proctor, który przemknąwszy po stopniach, wskoczył na brzeg basenu i z rozłożonymi dla równowagi rękami, przeszedł na schody, którymi pędził Fileppo. Wyglądało to tak, jakby chodził po wodzie. Wszystko razem trwało cztery sekundy. Zarubina ryknęła głosem rozwścieczonego mężczyzny na widok dwóch ciemnych postaci biegnących w stronę Trytona, który z zadziwiającą prędkością pokonał jeszcze dwa stopnie schodów, gwałtownie skręcił i wśród trzasku łamanych i deptanych gałęzi zniknął za żywopłotem. Proctor i Fileppo skoczyli za nim, jeden przez dziurę wyrwaną przez niego w żywopłocie, drugi wąskim przejściem dwa stopnie niżej. Myśliwskie psy rozpoczęły polowanie.

W piątej sekundzie akcji u stóp schodów błysnęło światło latarki i rozległ się czyjś głos. Światło ruszyło w górę i Nate zobaczył zarys „wyciskarki do cytryn", charakterystycznego kapelusza z płaskim rondem, które nosili strażnicy parkowi. Ten na dole musiał usłyszeć głośny trzask gałęzi i ciężki tupot nóg uciekającego szpiega, pomyślał, że to jacyś gówniarze i postanowił dać im do wiwatu. Nie było na to czasu. Nate wyszedł z niszy, lecz przerzucając nogi przez brzeg basenu, zahaczył kaloszem o podpinkę peleryny i na łokcie i kolana runął do gęstej jak zupa cieczy. Wstał, znów usiadł i znów przerzucił nogi – kalosze miał pełne wody. Ściągnął je i potoczył wokoło wzrokiem. Zarubina zniknęła, taras był pusty, a przecież na pewno nie pobiegła ani w lewo, ani w prawo. Wtedy usłyszał głośny plusk. Utknąwszy między chlapiącym się jak idiota Nate'em i zmierzającym w ich stronę strażnikiem, przeszła przez balustradę i basen po basenie, brnęła na dół. Nie widział jej w ciemności, lecz hałasowała jak stado słoni.

Przesadził balustradę i ruszył za nią. Ta baba ma pięćdziesiąt pięć lat, czy naprawdę tak trudno ją dogonić? Poślizgnął się – dno było oślizgłe – przytrzymał brzegu, przerzucił nogi i opuścił się do nieco większego następnego basenu niecały metr niżej. Jeszcze jedenaście. W wiszącej nad miastem łunie prawie nic nie widział, lecz wciąż słyszał dochodzące z dołu głośne chlapanie – Zarubina. Pomyślał o Fileppie i Proctorze, wyobraził sobie, że siedzą na Trytonie i przyciskając do ziemi jego twarz, z trzaskiem zakładają mu plastikowe kajdanki. Ześlizgnął się do kolejnej kamiennej misy – zostało jeszcze dziesięć. Gdzie oni są? I dlaczego nie słychać syren?

Muszą go dorwać. Muszą. Znał prawdziwe nazwisko Dominiki.

Wieczór był chłodny i cichy, a nawet spokojny. Angevine zaparkował samochód Vikki – idiotyczną, czerwoną jak cukierek kię rio z indiańskim pierzastym łapaczem snów na górnym lusterku – przecznicę od parku, pod żelaznym ogrodzeniem przy Ecuador Alley, typowej waszyngtońskiej alejce dla śmieciarek, biegnącej za rzędem szeregowców i garaży. Mógł stąd przejść na skróty przez podwórza, niezauważenie dotrzeć do Piętnastej Ulicy i tak jak kazali mu Rosjanie, wejść do parku od W Street. Vikki spytała go, dlaczego chce pożyczyć wóz, skoro ma zupełnie sprawne bmw – nowiuteńkie, ciemnosiwe M3 (sugerowana cena producenta: siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów), które kupił, gdy znudziło mu się audi S7 – ale przecież nie mógł jej powiedzieć, że nie zostawi nowej beemki w ciemnym zaułku, idąc na spotkanie z Rosjanami.

Nie mógł się doczekać rozmowy z Zarubiną. Przećwiczył w domu krótką, dramatyczną przemowę o olbrzymiej wartości nazwiska, które miał jej zdradzić, i stosownej premii, jaką spodziewał się za to otrzymać. Zastanawiał się nawet, czy nie potargować się o cenę, ale nie, to nie miałoby sensu. Rosjanie płacili bardzo dobrze i wiedział, że nie przestaną. Musiał okazać dobrą wolę, zwłaszcza że Zarubina przekazała mu ostatnio uszanowania od samego prezydenta Putina. Wyobraził sobie, że podczas potajemnej wizyty w Moskwie gości u niego w ośnieżonej luksusowej daczy: huczący pod kominkiem ogień, lodowata wódka i długonoga ukraińska ślicznotka na niedźwiedziej skórze. Na pewno tam będą – Putin lubił pieprzyć się z Ukrainkami.

Nie, da jej kamerę od razu, a marzenia zachowa na później. Delektował się zapamiętanym nazwiskiem, ćwiczył jego wymowę. Dominika Wasiljewna Jegorowa. Ci idioci z operacyjnego werbowali teraz kobiety. Postanowił, że dla

większego dramatyzmu wypowie je na głos, żeby zobaczyć, jak ciepła, babcina twarz Zarubiny zmienia się w drapieżny pysk sowieckiego welociraptora, który zwietrzył zdobycz. Raz już to widział.

Tak, nie mógł się już doczekać. Wszystkie pieniądze świata i słodka zemsta na durniach z agencji, którzy nie chcieli go docenić – był już w parku, wchodził na schody. Jest! Ciemna plama za balustradą tarasu i jasny szalik ledwo widoczny na ciemnym kamieniu. Ciche chrobotanie tuż za nim, szelest żywopłotu. Odwrócił się i zobaczył obłąkanego małpoluda pędzącego po schodach, małpoluda i pozbawioną twarzy zjawę, która wypadłszy z krzaków, też gnała w jego stronę. Krzyk Zarubiny poraził go jak prąd i Angevine zareagował, nim zdążył go świadomie zarejestrować: pokonał jeszcze dwa stopnie i przebił się przez żywopłot, czując, jak gałęzie smagają mu wyciągnięte przed siebie ręce i twarz.

Wyskoczył po drugiej stronie i popędził w kierunku najbliższej kępy drzew. Głośne sapanie i dudnienie kroków: ścigający go sprinter był tuż-tuż. A jemu pękały płuca i wiedział, że tamten zaraz przyspieszy, chwyci go za nogi i powali na ziemię. Z desperacją uciekiniera wyjął z kieszeni cyklopa, siedmioipółcentymetrowy pojemnik z aerozolem, który CIA stworzyła dla żołnierzy biorących udział w drugiej wojnie w Zatoce Perskiej, drobniutkim różowym proszkiem, związkiem chlorofenyloetanu i eteru metylowego glikolu dipropylenowego, odpowiednikiem gazu pieprzowego, który rozpylony na błonę śluzową, wywoływał ostry ból i chwilową ślepotę; jako wicedyrektor do spraw wojskowych uczestniczył kiedyś w laboratoryjnym pokazie jego skuteczności i korzystając z okazji, podwędził dwa cyklopy. Psiknął za siebie różową mgiełką i gdyby nie wyjątkowy refleks, Fileppo zostałby skutecznie wyeliminowany. Uchylił się w ostatniej chwili

i w twarz trafiło go jedynie kilka drobin proszku, mimo to lewe oko wyłączyło się natychmiast jak rozregulowany teleskop. Fileppo stęknął, chwycił się za nie i upadł. Angevine schował pojemnik do kieszeni i popędził dalej.

Ścigali go jak pospolitego złodziejaszka, który wyrwał torebkę staruszce. Z trudem łapiąc oddech, przesadził niski murek przy Piętnastej, przebiegł na drugą stronę ulicy, skręcił za najbliższy róg, z zatkanym flegmą gardłem ukucnął za kubłem na śmieci i wytężył słuch. Nic. Cisza. Zgubił ich? W normalnych okolicznościach trochę by odczekał, ale musiał jak najszybciej stąd uciec. Miał posiniaczone i podrapane ręce i twarz. Wstał, przeszedł przez drucianą siatkę, obszedł dom i wyszedł w miejscu, gdzie zaparkował samochód Vikki. Trzęsącą się ręką otworzył drzwi, odpalił silnik i ze zgaszonymi światłami ruszył, bardzo powoli, choć miał ochotę popędzić przed siebie na złamanie karku. Na rogu pstryknął włącznikiem i zobaczył w lusterku czyjąś twarz, czerwoną od tylnych świateł i szybko się powiększającą. Ktoś biegł za nim szybciej, niż on jechał, biegł i go doganiał! Angevine wdepnął pedał gazu, z piskiem opon wypadł na Czternastą, skręcił w prawo, potem w lewo i znów w prawo. Nie miał pojęcia, kto go ściga, ale jedno wiedział na pewno: mężczyzna był na tyle blisko, że mógł zobaczyć i zapamiętać numer rejestracyjny samochodu.

Zarubina dostrzegła jakiś ruch i w rozbłysku zawodowej przenikliwości natychmiast wszystko zrozumiała. Krzyknęła z wściekłości, że ktoś śmie sprzeciwiać się jej woli. Przecież to niemożliwe, nie do przyjęcia! Zobaczyła, jak Tryton przebija się przez żywopłot, w tym samym momencie usłyszała plusk wody z tyłu, a u stóp schodów zatańczyło światło latarki. Julia

Zarubina, słynna *szwieja*, nie wahała się ani chwili: z trudem przerzuciła nogi przez balustradę i opuściła się do najwyższego basenu. Zamierzała zejść na dół, rozpruć szew i wyślizgnąć się przez dziurę z obławy. Zdjęła już i tak przemoczone palto, które zatonęło i zawisło tuż pod powierzchnią wody. Przełożyła nogi przez brzeg następnego basenu, ostrożnie się opuściła, lecz palce straciły przyczepność i z głośnym chlupotem usiadła ciężko na dnie. Powoli wstała i z mozołem poszła dalej. Nagle poczuła pulsujący, przesuwający się do góry ból – jakby ktoś przeciągał kolcem róży po wewnętrznej stronie nadgarstka – i zdrętwiała jej lewa ręka. Słysząc plusk wody, przyspieszyła: usiadła, przełożyła nogi, zsunęła się i poszła dalej. Spadły jej buty, a nasiąknięta wodą, zapinana z przodu nobliwa sukienka przywarła do obfitych piersi i ud. Z trudem oddychała, jakby coś uciskało jej klatkę piersiową.

Wciąż słysząc z tyłu plusk wody, spojrzała w dół, na rozciągające się przed nią kaskady, po czym zeszła do następnego basenu i do kolejnego. Zaczęła wpadać w rytm: usiąść, przerzucić nogi, opuścić się, usiąść i tak dalej. Światło latarki minęło ją i pobiegło w górę schodów – jedno zagrożenie mniej, ale dochodzący z tyłu chlupot był coraz głośniejszy. Usiąść, przerzucić nogi i zsunąć się na dół. Wziąć oddech. Jeszcze tylko dwie kamienne misy, potem duży basen u stóp schodów i wyjście z parku, to po prawej stronie, gdzie przejmie ją zaalarmowana hałasem obstawa. Wciąż brnęła przed siebie – im bliżej końca, tym misy były większe – gdy nagle poczuła silny ból w lewym ręku. Wędrował do góry, obejmował szyję i dolną część twarzy, więc ucisnęła pachę dłonią prawej z nadzieją, że to pomoże.

Kiedy przerzuciwszy nogi, usiadła na brzegu przedostatniej misy, zakręciło jej się w głowie. Miała coraz większe kłopoty z chodzeniem, oddychała płytko i nierówno. Park, drzewa,

fontanna i ta przeklęta woda – wszystko się poruszało, nawet dziwnie pulsująca pomarańczowa łuna na niebie. Przełożyła nogi przez kamienny brzeg, lecz nie mogła się zsunąć, więc siedziała ze zwisającymi nogami, walcząc z bólem, który nadchodził falami jak woda omywająca jej uda. Dosłownie czuła jego smak. Lewa ręka zwisała bezwładnie z boku. Wtem usłyszała straszny, coraz bardziej narastający szum, a gdy spojrzała w niebo, upstrzone teraz malutkimi punkcikami światła, jej pierś zalała nowa fala bólu.

Z zadartą głową, otwartymi oczami i ustami, powoli pochyliła się do przodu i wpadła bezwładnie do ostatniego basenu. Unosiła się na brzuchu, z podwiniętymi rękami, a cicha kaskada delikatnie kołysała jej obleczonymi w pończochy nogami. Kok się rozwiązał, włosy rozłożyły się jak wachlarz na czarnej wodzie – była niczym sowiecka Ofelia, której, co smutne, błękitnooki książę nigdy nie miał opłakiwać.

Nate zsunął się do ostatniego basenu. Zarubina zniknęła. To niemożliwe, był ledwie kilka sekund za nią. W tej samej chwili zobaczył ją w basenie u stóp schodów. Przeskoczył przez brzeg, podbiegł bliżej i wyjął jej głowę z wody. Spojrzała na niego małymi, czarnymi oczami. Miała zwiotczałe usta, do jej policzka przylgnęły zielone wodorosty. Spróbował ją podnieść, zaciągnąć do brzegu i wywlec na suchy chodnik. Usłyszał tupot biegnących nóg i z ciemności wyłonił się Fileppo z przyciśniętą do oka ręką. Wyciągnęli ją i wzięli się do roboty. Nate splótł dłonie i zaczął uciskać jej pierś – sto trzy razy na minutę, co pasowało do rytmu *Stayin'alive*. *Ah, ha, ha, ha, stayin'alive*…

– No? – rzucił. – Dmuchaj! – Zabulgotało i z ust Zarubiny wypłynęło trochę brudnej wody.

Fileppo podniósł wzrok.

– Stary, ja nie znam rosyjskiego.

– Nie musisz odmieniać czasowników, wystarczy mocno wdmuchiwać powietrze. – Kiedy Donnie się pochylił, Nate zobaczył jego oko. – Co ci się stało? – spytał, nie zwalniając. – Powiedz, że go macie.

Donnie oderwał usta od ust.

– Ten kutas psiknął mi w oczy jakimś świństwem. – Znów się nachylił.

Nate wciąż uciskał pierś Zarubiny.

– Powiedz, że go macie – powtórzył.

– Lew za nim pobiegł.

– Dlaczego nie zawiadomiliście reszty? Powinno się tu od nich roić. – Sinousta Rosjanka przysłuchiwała się ich rozmowie, patrząc w niebo. Od rytmicznych ucisków kołysała się jej głowa.

– Nie wiem – odparł żałośnie Donnie. – To on miał Szrapnel. – Znów dmuchnął, wydymając jej policzki.

Nagle zrobiło się tłoczno. Od strony W Street nadszedł Lew, zlany potem i zdyszany. Nadbiegła równie zdyszana strażniczka, drobna dziewczyna z równo obciętą czarną grzywką w służbowej kurtce z kapturem i kapeluszu z zapiętym pod brodą paskiem. Oświetliła latarką twarz Rosjanki.

– Co tu się dzieje? – spytała. – Co wy robicie?

– Sztuczne oddychanie, pani władzo – odparł Fileppo, nabrawszy powietrza. – Metodą usta w usta.

– Jesteśmy z oddziału G-men – wyjaśnił Proctor. – Próbujemy ją reanimować.

Strażniczka wybałuszyła oczy.

G-men? – powtórzył w duchu Nate. Oni naprawdę tak siebie nazywają?

– Masz radio? – rzucił Lew. Strażniczka poruszyła grzywką. – Wezwij gliny i sprowadź karetkę.

Dziewczyna ocknęła się i sięgnęła po wielki jak cegła radioodbiornik. Trzęsły jej się ręce, a wraz z nimi krótka antena.

Proctor spojrzał na Nate'a. Jego mina mówiła wszystko. Znający ulicę agenci, tacy jak oni, dobrze wiedzieli, że nie pomogą żadne wykręty, nawet wtedy, kiedy nie sprzyja szczęście i los.

– Przebijałem się przez żywopłot i zgubiłem sygnalizator – powiedział z goryczą. – Potem Donnie oberwał w twarz, a ja pogoniłem za tym sukinsynem aż do Piętnastej, idąc za brzękiem fruwających kubłów na śmieci i szczekaniem psów. Tam mi zwiał, ale mam coś.

Cicho zawyły syreny, ale już po chwili zalała ich powódź kakofonicznych dźwięków i okoliczne budynki, fontanny, wierzchołki drzew i twarz posągów utonęły w niebiesko-czerwono-żółtych rozbłyskach światła. Trzasnęły drzwi, zapiszczały koła wózka. Nate i Donnie wstali, ustępując miejsca sanitariuszom, którzy rozpięli Zarubinie sukienkę i przyłożyli jej „łyżki" do piersi. Ta rzuciła się dwa razy jak ryba, ale na tym się skończyło.

W końcu nadeszli Montgomery i Benford. Wyglądali jak śmierć na chorągwi. Proctor wstał, wziął Montgomery'ego za łokieć i odeszli na bok. Benford, Nate i Fileppo ruszyli za nimi, oddalając się od ciała Rosjanki i jej stóp sterczących spomiędzy nóg stojących nad nią ludzi. Benford spojrzał w niebo i zamknął oczy.

– Zgubiłeś sygnalizator? – spytał.

Proctor kiwnął głową.

– A ty oberwałeś sprejem w oczy?

Głową skinął Fileppo.

– Rozpoznalibyście go na okazaniu? – wtrącił Montgomery.

Teraz obydwaj pokręcili głowami.

– A więc uciekł? – upewnił się Benford. – Tryton, rosyjska wtyczka w CIA, człowiek, który zna prawdziwe nazwisko naszej najważniejszej agentki, jest na wolności?

– Simon, Rosjanie mają takie przysłowie – powiedział Nate. – *Eto jeszczo cwietoczki, a jagodki wpieriedi*. To są tylko kwiaty, jagody dopiero będą.

Benford łypnął na niego spode łba.

– Nathanielu, jeśli tymi słowami składasz rezygnację ze służby federalnej, aby kontynuować karierę zawodową w charakterze nauczyciela języka rosyjskiego na uniwersytecie internetowym Walden Online, wiedz, że natychmiast ją przyjmę. – Spojrzał na Donniego i Lew. – A ci dwaj znajdą na pewno pracę w każdej wędrownej rewii na lodzie. Jako choreografowie.

– Panie Benford, z całym szacunkiem, ale niech się pan od nas odpierdoli – powiedział Fileppo.

– Hej, spokojnie, panowie – zainterweniował Montgomery.

– Cytując to przysłowie, chciałem tylko powiedzieć, że najlepsze może być wciąż przed nami. – Nate spojrzał na Proctora. – Powiedz im, Lew.

– Facet zwiał, ale mam numer rejestracyjny jego wozu – wyjaśnił Lew. Montgomery zawołał jakiegoś agenta i kazał mu natychmiast go sprawdzić.

– To mógł być jakiś cywil – zaznaczył Proctor.

– To czemu uciekł?

– Widząc tę gębę w ciemnym zaułku? Każdy by uciekł – mruknął Benford.

Proctor już otwierał usta, lecz Montgomery powstrzymał go gestem ręki.

Zarubinę włożono do gumowego worka, worek podniesiono i z głuchym stukotem położono na wózku. Wrócił agent, który

zdążył już namierzyć widziany przez Proctora wóz. Podał Montgomery'emu notes, a ten przeczytał:

– Samochód należy do Vikki Mayfield zamieszkałej przy Benton Street w Glover Park.

– To kilka ulic od ruskiej ambasady – stwierdził Fileppo.

Benford nachmurzył czoło.

– To tylko kwiatki, co? – Pokręcił głową. – Charles, czy mógłbym zaproponować, żebyś dokładnie sprawdził tę Mayfield?

– Oczywiście – odrzekł Montgomery.

– Pora na Gs – ciągnął Benford. – Zwykła obserwacja. – Spojrzał na Proctora. – Czy przed udaniem się na wieczorny odpoczynek zechciałbyś łaskawie pochodzić po tych krzakach i poszukać sygnalizatora? Kosztuje tyle, ile twoja trzyletnia pensja.

– Naturalnie, panie Benford – odparł Lew. – A potem? Gdzie mam go włożyć?

RIBOLLITA – TOSKAŃSKA ZUPA WARZYWNA

Na oliwie z oliwek szklimy pokrojoną w kostkę cebulę z dodatkiem przecieru pomidorowego. Dodajemy pokrojoną w kostkę marchew, seler, cukinię, por oraz pokrojone w kostkę ziemniaki i gotujemy do miękkości. Zalewamy rosołem z kury, dodajemy posiekany jarmuż, botwinę oraz kapustę i zagotowujemy. Dodajemy fasolę, przyprawiamy solą i pieprzem i gotujemy na wolnym ogniu. Dodajemy pokrojony w kostkę czerstwy chleb toskański i dobrze mieszamy. Lekko skrapiamy zupę oliwą i/lub octem balsamicznym, posypujemy startym parmezanem i podajemy.

38

Na wykładzinie, w miejscu, gdzie coś wyciekło z głowy Pletniewa, wciąż była rdzawa plama. Ziuganow patrzył na nią zza biurka, lecz jej nie widział. Na bibularzu leżały cztery depesze z Waszyngtonu, szczegółowe opisy wczorajszej katastrofy. W pierwszej funkcjonariusze z obstawy Zarubiny twierdzili, że rezydentka wpadła w zasadzkę: informator zniknął w ciemności, ścigany przez dwóch mężczyzn. Rezultat pościgu – nieznany. Druga opisywała scenę u stóp fontanny, gdzie sanitariusze próbowali kogoś reanimować. W trzeciej konsul generalny meldował, że rezydentka Julia Zarubina nie żyje. Konsul był już w kostnicy miejskiej, żeby ją zidentyfikować. Ciało miało zostać wydane ambasadzie dopiero jutro, ale udało mu się zabrać jej rzeczy osobiste – zegarek, palto, jeden but i drobiazgi z kieszeni – aby sprawdzić, czy nie ma wśród nich czegoś o wartości operacyjnej. Obecny w kostnicy lekarz powiedział mu, że plamy na twarzy i sine usta niemal jednoznacznie wskazują na rozległy zawał serca.

Ziuganow był wstrząśnięty. Zamierzał wjechać na niej na trzecie piętro Jasieniewa, ale to *zastupniczestwo*, ten patronat, przestało właśnie działać. Łuskowaty instynkt płaza podpowiadał mu, że mimo służalczych wysiłków Putin za nim nie przepada, a raczej ledwo go toleruje. Czwarta depesza z Waszyngtonu była prognozą operacyjną: do czasu ostatecznej weryfikacji statusu Trytona rezydentura nie podejmie z nim kontaktu. Po tak wielkiej wpadce istniało poważne ryzyko, że

aresztowany przez miejscowe władze informator zostanie wykorzystany przeciwko swoim dawnym prowadzącym. Dlatego dopóki Tryton nie zgłosi się do nich z „niekompatybilnymi informacjami" – czyli takimi, jakich Amerykanie nigdy by nikomu nie zdradzili – sprawa jest zamknięta. Ziuganow zaklął. Tylko tego brakowało: nie mógł udowodnić, że Jegorowa jest kretem, Sołowiow zniknął i był już pewnie w rękach Amerykanów, a wielkie przedstawienie ze śledzeniem służbowego samochodu tej przeklętej baleriny zaprowadziło policję do rezydencji w Strielnej, gdzie podejmował ją sam prezydent Putin!

Co złowróżbne, w sprawie tych wpadek i komplikacji nie telefonował do niego ani prezydent, ani dyrektor generalny – za Stalina całkowite zerwanie łączności z górą oznaczało tylko jedno: szybko pocałuj żonę i dzieci na do widzenia. Natomiast jedyny telefon, jaki otrzymał, był bardzo niepokojący. Otóż bezpieczną linią zadzwonił do niego Gowormarienko – odkąd to cywil ma dostęp do szyfrowanych telefonów rządowych? Odtąd, odkąd Putin podał mu słuchawkę – aby mu oficjalnie zakomunikować, że jego udział w sprawie dostawy sprzętu dla Iranu nie jest już konieczny. Kontrakt został zrealizowany i Teheran dokona na dniach transferu ostatnich należności, dlatego służba może zakończyć swoją działalność. Ziuganow dobrze wiedział, co to znaczy: za swój udział w operacji nie dostanie żadnej wypłaty, ani jednej łyżeczki miodu. Znaczyło to także, że jego związki z otaczającymi Putina *siłowikami* są odgórnie przecinane jak cumy odpływającego statku, które jedna po drugiej spadają z nabrzeża do wody.

Jegorowa. Pułkownik zamknął oczy i ujrzał ją na błyszczącym stole z nierdzewnej stali w piwnicy na Butyrkach. Najpierw metodycznie skatowałby ją żelaznym prętem, zaczynając oczywiście od nóg: stopy, golenie, miednicę, brzuch,

żebra, nadgarstki, mostek i szyję. Oczy wydłubałby zagiętą łyżką. Wrzeszczałaby jak sflaczały skórzany worek potłuczonego szkła. Śledczy nadal chcieli rozmawiać z nim o Pletniewie. Roztrzaskał temu durniowi czaszkę, lecz ani przez chwilę nie miał wyrzutów sumienia. Jewgienij wszystko wyśpiewał, nie powiedział mu jednak, jak przygwoździć Jegorową. Ziuganow miał coraz mniej możliwości, chwiała się jego kariera, a perspektywy były ponure. Kariera: *Bog nie wydast, swinja nie sjest*. Bóg nie da, to świnia nie zje.

Matka. Przetrwała czterdzieści lat w sowieckim młynie, była wysoką funkcjonariuszką NKWD, KGB i SWR, przeżyła Chruszczowa, Breżniewa, Andropowa, Czernienkę i Gorbaczowa, widziała rozpad Związku Radzieckiego, pijackie wyczyny Jelcyna i nowosowiecki księżycowy krajobraz Putina. Kiedy obsypana zaszczytami przeszła na emeryturę, w nagrodę za wierną służbę *rodinie* przydzielono jej reprezentacyjne stanowisko oficera politycznego w rosyjskiej ambasadzie w Paryżu. Tak, wszystko jej opowie. *Mamula* będzie wiedziała, co robić.

Dominika gościła w Strielnej od trzech dni. Nie wiedziała, co stało się w Meridian Hill Park i w każdej chwili spodziewała się dekonspiracji, szybkich kroków idących po nią policjantów i wymownego spojrzenia zimnych, niebieskich oczu, kiedy będą ją wyprowadzać z tego zagadkowego domu wariatów. Weekend oligarchów powoli dobiegał końca i miała już dość tych wszystkich mdłych kremowych sosów, niekończących się rzędów butelek schłodzonej wódki, pachnącej różami pościeli, panoramicznych widoków szarego morza i puszczanych przez głośniki pieśni patriotycznych – ulubioną Putina była *Od czego*

zaczyna się ojczyzna – które towarzyszyły im przy śniadaniu, obiedzie i kolacji. Brzuchaci oligarchowie, ministrowie o zażółconych nikotyną palcach, ciemnookie modelki, rozwiązłe aktorki – strumień gości nie miał końca. Wszyscy udzielali się towarzysko, stojąc grupkami w salonie, siedząc w jadalniach czy na tarasie, potem rozdzielali się, by dołączyć do innych grupek tonących w żółtych oparach chciwości, zielonkawych chmurach lęku i – od czasu do czasu – niebieskawych obłokach intelektu.

Otoczony brudnożółtą aureolą Gowormarienko wziął na siebie obowiązek przedstawiania jej przyjeżdżającym w odwiedziny luminarzom, obejmując ją w talii i przekazując im jednoznaczną wiadomość „ona jest z nami". Zwężały się oczy, skłaniały głowy, kobiety zerkały na jej jędrne pośladki, mężczyźni na biust, a wtedy Gowormarienko znów ją obejmował i prowadził do następnej grupki gości. Początkowo zastanawiała się, czy nie złamać mu małego palca, zaginając go aż do nadgarstka, jednak szybko zrozumiała, jak cenna okazja jej się nadarza. Nie mogła wysłać do Hanny depeszy SRAC – Boże, przecież ona nie żyje – ale wiedziała, co powiedzieliby na to Nate i Gable, słyszała głos Benforda, więc uśmiechała się i żartowała z mężczyznami, robiąc mroczne aluzje na temat służby w SWR, i schlebiała kobietom ze śladami podkładu na kołnierzykach i białymi od soli pachami sukienek.

Jej czuły radar szybko zarejestrował całkowity brak seksualnych podchodów ze strony mężczyzn. Tak, oczywiście, gapili się nią, jedni otwarcie, inni ukradkiem, ale czuła się tak, jakby miała na szyi łańcuch z wielkim wisiorem w kształcie litery „Z": *zapowiednaja*, zarezerwowana, zakazana, precz z łapami. Ale zarezerwowana dla kogo? Po początkowych, nieco wymuszonych zalotach Gowormarienko, którego dużo bardziej interesowało jedzenie i picie, ograniczał się jedynie do tego, że

obejmował ją w talii i od czasu do czasu, niby przypadkiem, ocierał się ramieniem o jej pierś. Było oczywiste, że tylko jeden samiec alfa spryskał moczem pień drzewa i że słabsze samce omega doskonale wyczuwają zapach jego terytorialnych feromonów.

Duch Udranki, który siedział na brzegu morza, śpiewając rzewną pieśń rusałki, odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem. Zostałaś cipką Putina!

Tak? *Choroszo*, dobrze. Będzie kretem nie tylko w SWR, ale i w otaczającym Putina stadzie sępów z rządu, biznesu i polityki. Prezydent zagadywał ją przy każdej okazji, co odnotowała jedna z aktorek, która – sądząc po jej minie – musiała być jego poprzednią mechaniczną zabawką. W rozpiętej pod szyją koszuli i dopasowanym garniturze Putin wyglądał jak dandys. Chodził żwawym marynarskim krokiem, zwykle w towarzystwie majestatycznej piękności, szeptano, że gimnastyczki artystycznej, mistrzyni olimpijskiej. Plotki potwierdziły się już drugiego dnia, w dużej podziemnej sali gimnastycznej, pełnej luster, przyrządów i ciężarów, gdzie ubrana w obcisłą lycrę blondynka zademonstrowała kilka ćwiczeń, w tym to, w którym leżąc na brzuchu, zarzuciła nogi za głowę, dotykając maty czubkami palców. Prezydent, w przewiązanej czarnym pasem grubej bawełnianej dżudodze, promieniał na widok swojego mięciutkiego precelka.

Przyszła kolej na pokaz dżudo. Ku zachwytowi przesadnie wystrojonych gości, którzy otoczyli wielką matę, zaczął walczyć z krępym dwudziestokilkulatkiem, za każdym razem z wielką siłą rzucając go na tatami. Natomiast jego dwudziestolatek nie rzucał – dobrze znał się na swojej robocie. Po jednym z wyjątkowo brutalnych ataków – Putin zastosował *hane goshi*, rzut przez podbicie biodrem – któraś z kobiet aż krzyknęła z wrażenia, lecz natychmiast ją uciszono, jakby przeszkodziła

pianiście podczas koncertu. Po dziesięciu minutach prezydent wyprostował się, wytarł ręcznikiem twarz i raczył podejść do łaszących się pochlebców, którzy nagrodzili go gromkimi oklaskami. Przyjął je z olimpijską skromnością, wypatrzył ją w tłumie i spotkali się wzrokiem.

– Pani kapitan, uprawia pani dżudo?

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę.

– Nie, panie prezydencie – odrzekła.

– I jakie ma pani wrażenia?

– To bardzo imponujący sport.

– O ile wiem, trenowała pani Systemę.

Spojrzały na nią wyczekująco wszystkie oczy.

– Tak, panie prezydencie. – Miała nadzieję, że nie robi z siebie idiotki.

Putin zarzucił ręcznik na szyję.

– Jak porównałaby pani te dwie szkoły walki?

– Byłoby trudno, panie prezydencie. Na przykład teraz znalazłam jedynie cztery momenty, w których mogłabym pana zabić.

Znerwicowana kobieta znów wydała stłumiony okrzyk i wszyscy spojrzeli na Putina, czekając na jego reakcję. Ale jego niebieskawa aureola spokojnie pulsowała i drgnęły mu kąciki ust.

– Oto słynna wstrzemięźliwość naszych służb – powiedział, po czym ruszył przez salę w stronę szerokich schodów do jadalni, ciągnąc za sobą stado rozgęganych gęsi.

Histeryczka minęła ją z zadartym nosem, spocony przemysłowiec wytarł chustką twarz i pokręcił głową, ale ona wiedziała, że zdobyła u Putina kolejny punkt. Choć był jednowymiarowym, prymitywnym nacjonalistą, choć działał instynktownie i widział świat w czarno-białych barwach, był także urodzonym spiskowcem, któremu zależało tylko na

jednym: na władzy, mocy i sile. Bo z walki o jej zdobycie i utrzymanie brała się cała reszta: jego fortuna, odrodzenie się Rosji, nowe terytoria, ogólnoświatowy szacunek, strach i kobiety. Dlatego szanował wyłącznie silnych. Miała jedynie nadzieję, że nie przesadziła.

Tego wieczoru po kolacji rozmawiała na tarasie z kimś z Gazpromu, mężczyzną o szczurzej twarzy, który przewidywał, że kontrolując eksport gazu naturalnego, w ciągu trzech lat Rosja odzyska swoje dawne republiki, obecnie kraje nadbałtyckie; wyobraziła sobie minę Benforda, kiedy będzie to czytał. W pewnym momencie podszedł do nich adiutant w białej marynarce. Strzelił obcasami i oznajmił, że oczekuje jej prezydent.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, wchodząc do gabinetu, było to, że pod ścianą nie stoi rząd tajniaków, którzy po nią przyszli. Putin siedział przy ozdobnym biurku, pokrytym zielonym filcem i grubym szkłem. Był w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i groteskowym welurowym smokingu; myślał pewnie, że właśnie tak powinien ubierać się po kolacji prawdziwy *dżentlmien*. Wskazał jej krzesło i patrzył na nią bez słowa dobre dziesięć sekund. Zmusiła się, żeby patrzeć na niego. Czy Tryton zdradził im jej nazwisko? Czy zaraz otworzą się drzwi i wpadnie tu banda zbirów z bezpieki? Jego aureola pulsowała równym rytmem i nie robił wrażenia wzburzonego. Przyglądał się jej z dłońmi leżącymi płasko na szkle. Męcząca sztuczka à la bezduszny Svengali: miała ochotę strzelić go w pysk, żeby zobaczyć, jak zezują mu oczy.

– Rezydentka Zarubina nie żyje – oznajmił. – Zmarła wczoraj podczas spotkania z informatorem w Waszyngtonie.

To pułapka? Pamiętaj, że nic nie wiesz o Trytonie. Udawaj głupią.

– Boże – powiedziała z kamienną twarzą. – Ale jak umarła? – Ujdzie. Tylko czy znają moje nazwisko?

– Na atak serca – odparł. – Próbowała uciec z zasadzki.

Miałaś pecha, Babo-Jago. Nie mogłaś zwiać na miotle?

– Z zasadzki? Jak to? Była świetną agentką. – Pokręciła głową. – A ten informator? – Znają moje nazwisko czy nie?

– Status nieznany. – Putin nie odrywał od niej wzroku.

To jakaś gra? Wie o czymś jeszcze?

– To prawdziwa katastrofa, panie prezydencie. Ale w mojej pracy, mówiąc o zasadzce, mamy na myśli uprzednią wiedzę niezbędną do jej zastawienia. Poza nią i jej zespołem, jedynymi osobami z Zarządu KR, które wiedziały, gdzie dochodzi do tych spotkań, były pułkownik Ziuganow i major Pletniew. Madame Zarubina niechętnie zdradzała szczegóły.

– Pletniew też nie żyje – powiedział Putin.

Tym razem nie musiała udawać zaskoczonej. Biedny włochaty Jewgienij nie stanowił już zagrożenia. Szybko przeanalizowała ryzyko, jakie zamierzała podjąć.

– Pletniew? Pułkownik go zabił?

Putin pochylił się do przodu.

– Ciekawe pytanie. Dlaczego pani tak uważa? – Wyczuwał intrygę, jak krokodyl wyczuwa smród rozkładającego się w rzece truchła. I jak krokodyl Stalin doskonale wiedział, jak można skorzystać na tym, że jego podwładni skaczą sobie do gardła. Widząc, że wzbudziła w nim ożywione zainteresowanie, wzięła głęboki oddech i powiedziała, że Ziuganow odciął ją od informacji, że Jewgienij się go bał i że pułkownik miał obsesję na punkcie działającego w Moskwie kreta.

– Jest bardzo nerwowy i niezrównoważony – dodała od niechcenia. – Traktował Pletniewa jak bydlę. Jewgienij zwierzył mi się kiedyś ze swoich kłopotów i szczerze mówiąc, kilka razy poprosił mnie o radę w sprawach zawodowych. – Teraz nic mu

już nie zaszkodzi, pomyślała. – Ziuganow kazał mnie śledzić, sam pan widział, uważa, że mam coś wspólnego ze zniknięciem Sołowiowa, a przecież to ja go namierzyłam. – Zrobiła pauzę, dla lepszego efektu. – Pułkownik pracuje pod wielkim stresem. Zaczyna popełniać błędy. – To, że wspomniała o Sołowiowie, błędem nie było. O jego zniknięciu wiedziała od plotkarza Gowormarienki.

– Tak, zauważyłem – przyznał Putin. – Co pani o nim myśli?

Teraz delikatnie i wymijająco.

– Panie prezydencie, opierając się na nielicznych informacjach od majora Pletniewa, uważam, że wszystko nasiliło się dwa dni przed tym, jak Zarubina zameldowała, że informator ma jej przekazać nazwisko moskiewskiego kreta CIA. Wybuchło wielkie zamieszanie. Ziuganow nasłał na mnie policję, a teraz mówi pan, że zabił Pletniewa i że bezkonkurencyjna jak dotąd Zarubina wpadła w zasadzkę.

– Co pani chce przez to powiedzieć? – spytał Putin.

Pora na dezinformację, małe kłamstewko.

– Moim zdaniem te wszystkie niefortunne wypadki jednoznacznie wskazują, że pułkownik próbuje się zabezpieczyć z pomocą Amerykanów. Bo kto szuka kreta najgłośniej i najbardziej hałaśliwie? Sam kret.

Putin wciąż przeszywał ją wzrokiem, lecz otaczający go błękitny obłok lekko zapulsował i już wiedziała, że prezydent jej uwierzył.

W nocy nie mogła zasnąć. Średniowieczne uczty trwały: tego wieczoru podano rostbef, medaliony cielęce, *bużeninu* – pieczoną szynkę, pieczoną kaczkę i *patyczki*, ukraińskie szaszłyki z adżiką – ostrym mołdawskim sosem. Między

srebrnymi świecznikami kursowała flotylla mis z sosami śmietanowymi na maśle. Na półmiskach leżały śledzie, łososie, jesiotry w sosie koperkowym i kulebiak z wędzonym łososiem. *Pielmieni* i *warieniki* wyławiano z waz chochlami jak dopiero co wyklute rybki ze zbiorników na farmie rybnej. Smażone na maśle warzywa w eleganckich podgrzewanych garnkach, półmiski z plastrami wieprzowiny, łososia i dzika, pełne trufli gorące zapiekanki z grzybami – stoły uginały się od jedzenia. Ku uciesze obżerających się gości Gowormarienko zażartował w obecności Putina, że najpyszniejsze są specjały z Ukrainy, Gruzji i Mołdawii. Wszędzie kłębiły się tumany żółtej mgły.

Leżąc w łożu z baldachimem pod wspaniałą różową, puchową pikowaną kołdrą, wsłuchiwała się w tykanie mosiężnego antycznego zegara kominkowego i cichy szum morza za oknem. Pozostał jeszcze tylko jeden dzień tego długiego weekendu i nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do Moskwy, odpali sprzęt i zasypie Langley depeszami o ostatnich wydarzeniach, o tym, co tu widziała i słyszała. Poza tym było oczywiste, że na elektroniczny uścisk dłoni jej odbiornika w raptorach czekają wiadomości od Nate’a i Benforda. Umierała z ciekawości: co z Trytonem? W jakich okolicznościach zginęła Zarubina? Czy Liryk jest bezpieczny? No i jeszcze drobnostka: kwestia jej własnego bezpieczeństwa. Wiedziała, że w drodze do Moskwy będzie jej towarzyszył duch Hanny, że troszkę naiwny i roześmiany pomoże jej wysyłać depesze.

Stres ostatnich dni – jazda do Sankt Petersburga, eksfiltracja generała, koszmarna menażeria Putina – do cna ją wyczerpały. Tak bardzo brakowało jej Nate’a. Tęskniła za jego dotykiem, za dotykiem jego ust. Boże, jak go pragnęła. Leżąc pod puchatą kołdrą, wsunęła rękę między nogi. Babcina szczotka do włosów, szylkretowy talizman o długiej, pięknie rzeźbionej rączce, który

pomógł jej rozszyfrować ciągotki wieku dorastania, leżała w luksusowej łazience na końcu pokoju – za daleko. Nie szkodzi. Zamknęła oczy, ujrzała Nate'a, wygięła się w łuk, wbiła głowę w poduszkę i z lekko rozchylonymi ustami, cicho posapując, zaciskając powieki i gwałtownie poruszając oczami, czekała, aż przejdzie ją znajomy dreszcz, od ud aż po końce palców u nóg. W końcu przeszedł i gdy po kilku delirycznych sekundach znów zaczęła normalnie oddychać, zamrugała, zastanawiając się przez chwilę, gdzie jest. Wciąż dygotały jej uda i wytarła wilgotną górną wargę. Za oknem roześmiała się Udranka i nagle wydarzyło się niemożliwe.

Z cichym grzechotem obróciła się klamka i otworzyły drzwi. Dominika podparła się łokciami. Zza drzwi wypłynęła powoli przednia krawędź jaskrawoniebieskiego obłoku. Boże, pomyślała. Ja chyba śnię.

Marta, jej martwa siostra ze szkoły jaskółek – ponętna, bujna, obfita, z burzą włosów wokół twarzy – siedziała na sofie z założonymi nogami i papierosem w ustach. Wypuściła smugę dymu, spojrzała na drzwi, potem na nią. Na co jesteś gotowa, *siestrionka*? – spytała szeptem.

Prezydent wślizgnął się do sypialni – widocznie kiedy już coś postanowił, pukanie przestawało być istotne. Szedł powoli w smudze księżycowego światła, które wpadając przez okno od strony morza, nadawało jego aureoli zielonkawy odcień. Gdy okrążył łoże, Dominika spiesznie wsunęła ręce pod kołdrę – myślała o Nathanielu i miała zadartą nad biodra koszulę. Czyżby ta nagła wizyta była rezultatem tego, że w sypialni zamontowano kamerę? Czy Putin oglądał te ziarniste nocne obrazy, tę poruszającą się jednoznacznie kołdrę? Jeśli tak, bardzo szybko zareagował.

Był w granatowej jedwabnej piżamie; z rozbawieniem zauważyła, że nie ma na piersi żadnego herbu, ani dwugłowego

orła Romanowów, ani sierpa i młota, ani czerwonej gwiazdy. Przystawił sobie filigranowe antyczne krzesło i usiadł przy niej jak wiejski lekarz, który przyszedł zmierzyć temperaturę pacjentce. Dominika usiadła i już miała skromnie podciągnąć kołdrę, lecz pozwoliła jej opaść. Co to za różnica? Przecież była jego jaskółką. Wyciągnęła rękę, zapaliła małą koralową lampkę na stoliku nocnym i zobaczyła, jak jego oczy wędrują po cienkiej koszuli bez rękawów i ukrytych pod koronkami piersiach.

Na antycznej leżance po drugiej stronie pokoju siedziały teraz dwie, Marta i Udranka. Martwe przyjaciółki, które przyszły, żeby dodać jej sił. Hanny nie było. Nie, Hanna nie przyjdzie. Nie ona, nie po to.

– Dobry wieczór, panie prezydencie – powiedziała swobodnie, jakby niezapowiedziana nocna wizyta odzianego w jedwabie władcy Wszechrosji w damskiej sypialni zaproszonego do Strielnej gościa była czymś zupełnie normalnym; po krótkim namyśle doszła do wniosku, że pewnie tak jest.

– Pani kapitan – odrzekł, bynajmniej niespeszony, wciąż wpatrując się w jej dekolt. – Zalewa mnie strumień depesz. Na temat tego, o czym rozmawialiśmy. Najświeższa przyszła przed chwilą.

– Ale konkretnie na temat czego, panie prezydencie? – spytała.

Udranka pokazała jej na migi, że powinna teraz dyskretnie wzruszyć ramionami, żeby zsunęło jej się ramiączko. Zamknij się, dziwko!

– O informatorze Zarubiny, Trytonie, i amerykańskim krecie w moskiewskiej centrali – odparł bez najmniejszego zniecierpliwienia. – Wieczorem przyszła depesza z paryskiej rezydentury. Tryton próbował skontaktować się z naszą

ambasadą, ale ci głupcy myśleli, że to jakiś wariat i go odprawili. Zostawił numer telefonu.

Mój Boże, pomyślała. Człowiek, który może mnie zabić, jest na wolności, o krok od ponownego nawiązania kontaktu.

– Więc najprawdopodobniej uciekł – powiedziała. – Czy rezydentura zamierza go szukać? – Będzie musiała wysłać kilkanaście depesz do Nate'a, Gable'a i Benforda, bo jeśli nie zdążą go dopaść…

Putin długo milczał, w końcu odrzekł:

– Pułkownik Ziuganow wie, że Tryton tam jest. Poinformowała go o tym jego matka, nieautoryzowanym telefonem z Paryża.

Co znaczyło, że założono mu podsłuch. Jej sugestia, że Ziuganow może być kretem CIA, najwyraźniej poskutkowała. Znakomicie.

Putin odchylił się do tyłu. Jego aureola intensywnie pulsowała. Doskonale się bawił. Może wyobrażał sobie, jak wślizguje się pod jej kołdrę?

– Na lotnisku Wnukowo odnotowano, że wieczorem poleciał do Paryża. Jak dotąd nie skontaktował się z ambasadą. Nie wiemy, gdzie jest. Jego matka, Jekatierina, nie żyje. Została zamordowana w swoim mieszkaniu.

– Myśli pan, że uciekł na Zachód?

– Możliwe – odparł prezydent. – Ale sądzę, że do wyjazdu zmusiła go desperacja. Moim zdaniem zadzwoni pod numer, który Tryton zostawił w ambasadzie, i poprosi o spotkanie.

Myślał i analizował, co było niebezpieczne. Może miał wątpliwości co do jego winy? Boże, musiała jak najszybciej skontaktować się z Langley, inaczej nie złapią Trytona. Jeśli Ziuganow porozmawia z nim choćby przez chwilę, będzie po niej.

– To możliwe – powiedziała. – Ale co miałby przez to osiągnąć?

– Czy to nie oczywiste? – odparł Putin. – Chce wyeliminować Trytona, informatora, który wie, że pułkownik jest amerykańskim kretem.

– Ależ panie prezydencie! – Udała, że jest wstrząśnięta, choć ucieszyła się, że zrobił takie założenie. Jego aureola dosłownie rozbłysła. Tkwiący w nim Rosjanin upajał się grą w szachy. Były KGB-ista – delektował labiryntem sprzeczności. Despota – rozsmakowywał w chaosie. Budziło się w nim coś jeszcze: znów spojrzał na jej piersi, zarys ciemnych sutków pod delikatną koronką. Pochylił się i przykrył dłonią jej rękę. W ciemnym kącie sypialni głośno zacmokała Udranka.

– Chcę, żeby pani coś zrobiła. – Pogłaskał ją po nadgarstku.

Dominika czekała, katalogując w myśli babilońskie możliwości. Tak czy nie, *gospodin* Benford? Zrozumiesz mnie, Nathanielu?

– Jeszcze dziś rano poleci pani do Paryża. Mówi pani płynnie po francusku, prawda?

Ręka przesunęła się po brzuchu i musnęła lewą pierś. Dominika zmusiła się do tego, żeby nawet nie drgnąć, nakazała to sobie siłą woli. Czuła, że rozszerzają jej się oczy. Jego wzrok przeszywał jej twarz jak promienie rentgena.

– Spotka się pani z Trytonem, zanim zrobi to Ziuganow…

Czubki palców ześlizgnęły się z koronek i nakreśliły linię na skórze między piersiami. Dominika siedziała nieruchomo. Czuł bicie jej serca? Potrafił odróżnić normalny puls podniecenia od grzmotu kotłów odrazy? Boże, czy to gra wstępna, czy coś innego: pieszczoty wygłodniałego kolekcjonera podziwiającego antyczną wazę, potwierdzenie prawa własności? Otoczyła ją jego aureola. Silny zapach wody kolońskiej, koszmarna mieszanka wody różanej i nasączonej czarnuszką wody

toaletowej, którą przysłali mu pewnie z Soczi, wpadł jej do nosa jak komar. Obserwując jej twarz, Putin włożył palce pod brzeg koronki i powoli przesunął nimi wokół lewego sutka. Tkwiąca w niej zimna, wyrachowana jaskółka wiedziała, że wywołany uwolnieniem oksytocyny mimowolny odruch pilomotoryczny powoduje ściąganie się gładkich komórek mięśniowych na otoczce brodawki sutkowej, ale on wiedział tylko, że kapitan Jegorowa zaczyna się podniecać.

– I uzyskawszy ostateczne potwierdzenie, że Ziuganow jest kretem, zlikwiduje go pani. On jest spalony. Ucieka i może przysporzyć nam wstydu.

Jakie to urocze, pomyślała. Z rękami na moich cyckach każe mi popełnić morderstwo w imieniu państwa. Chce, żebym zabiła dla dobra *matuszki Rossii*. Nie wystarcza mu to, że ją wykrwawia i chce – po raz kolejny – przynieść jej ujmę. Spojrzała mu prosto w oczy. Miał ściągnięte usta, jakby zęby skleiła mu mordoklejka. Siedział bardzo blisko łóżka i wyraźnie czekał, więc za podszeptem chorej intuicji, podobnie jak dwa tysiące lat przedtem Mesalina, która wsunęła śliską od oliwki rękę pod togę Klaudiusza, położyła swoją na jego kolanie.

– Mam go… zabić? – spytała szeptem. A więc tak się będzie czuła jako członkini tego elitarnego klubu. Pomacała palcami w jedwabistym gąszczu, żeby poszukać drzemiącej tam łasiczki.

– A potem wyjaśnić wszystkie związane z nim nieporozumienia.

Palce coś znalazły, możliwe, że to, czego szukały. Łasiczka spała.

– Ale jak…

Uciszył ją delikatnym ściśnięciem sutki; miał zgrubiałe palce. Doszła do wniosku, że stosownie będzie zrobić to samo i ścisnęła łasiczkę, lecz ta ani drgnęła.

– Ziuganow nie może wrócić do Rosji. – Zabrał rękę.

Powinna zabrać swoją?

– Mamy od tego Zarząd V – powiedziała, przesuwając opuszką kciuka w górę i w dół. – Panie prezydencie, chyba nie jestem najlepszą kandydatką. – Wciąż żadnej reakcji. Czyżby wychodziła z wprawy? Przecież w tym, co instruktorki ze szkoły jaskółek nazywały „małpią miłością", należała do najlepszych w grupie.

Siedzące w kącie Marta i Udranka wymieniły spojrzenia i pokręciły widmowymi głowami.

– Chcę, żeby to pani się tym zajęła – odparł. – Po powrocie z Paryża zostanie pani szefową Zarządu KR i to pani będzie odpowiadała za cięcia kadrowe.

„Cięcia kadrowe" – eufemizm Stalina oznaczający, że ten i ten mają zniknąć z powierzchni ziemi. Klasyczna pułapka: awans. Łaski Kremla. Udział w profitach. A potem będzie do nich należała, do tych czarnoustych gadów, które, niczym ośmiornica, otoczą ją mackami i wciągną w otchłań. Nie do końca to rozumiała, zwłaszcza sens wyjazdu do Paryża i podwójnego zabójstwa, ale nie musiała rozumieć. Wzdragała się przed wykonaniem przypochlebnych rozkazów tego z pozoru łagodnego tyrana, wiedząc, że jeśli je wypełni, do końca życia będzie miał ją w ręku. Co paradoksalne, od pięciu minut to ona miała go w ręku, jednak bez zauważalnych rezultatów.

Szefowa Zarządu KR. Będzie kierowała całym kontrwywiadem. Będzie miała dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic. Nathaniel, Gable i Forsyth jej nie uwierzą. Poza tym jej ciepły niebieskooki dobroczyńca dał jej właśnie okazję do wyjazdu i spotkania. Boże, musiała natychmiast lecieć do Paryża i pokrzyżować Ziuganowowi plany. Wiedziała, że kiedy wyśle sygnał do systemu Sentry, Nate natychmiast też tam przyleci. I znajdą rozwiązanie. Razem.

Tęskna myśl o Nathanielu przypomniała jej, że wciąż trzyma rękę na udzie prezydenta. Putin miał kamienną twarz, ale coś tam lekko drgnęło, a właściwie się poruszyło, i to wyraźnie, jakby potrafił siłą woli wywołać łasiczkę z lasu. Wprawnymi palcami szybko ustaliła średnicę: była poniżej średniej, jednak nie brakowało jej sztywności. Putin wyciągnął rękę i znów popieścił jej pierś, lekko, samymi czubkami palców. Chciało jej się krzyczeć, lecz uśmiechnęła się tylko i spuściła oczy.

Spojrzał na nią nieporuszony.

– Czy zrobi to pani?

Głowa obudzonej łasiczki wybrzuszyła dół piżamy i Dominika zdała sobie sprawę, że wydanie rozkazu zabicia Ziuganowa i Trytona go podnieciło. Na jednej szali wagi położyła perspektywę wieloletniej współpracy z CIA, cennych informacji, jakie mogłaby im przekazać, a na drugiej nikczemną egzystencję członkini tego stada szczurów, której przykładem było to, co właśnie robiła, drażniąc prezydencką łasiczkę.

– Zrobię wszystko, żeby pomóc panu i ojczyźnie – odrzekła, posyłając mu spojrzenie z cyklu: „Nie jestem twoją własnością”.

Odpowiedział rzadkim u niego uśmiechem – „Jesteś, jesteś” – i jakby po to, żeby zademonstrować swoją niezłomną wolę, wstał, skinął jej głową i po cichu wyszedł, tak że z wciąż mrowiącą ręką mogła tylko patrzeć na powoli zamykające się drzwi. Do cna wyczerpana ostatnimi siedmioma minutami opadła na poduszkę wśród dobiegających z kąta oklasków. Ucieszyła się, bo do Marty i Udranki dołączyła Hanna – „Rany, lepiej się szykuj, mamy mnóstwo roboty!” – tym bardziej że wkrótce miała zobaczyć Nate’a. Malutki zegar na kominku, który przed dwustu laty wybijał godziny dla Wielkiego Księcia Konstantego, wybił teraz godzinę dla niej, jakby na znak, że oto rozpoczyna się wyścig do Paryża.

PATYCZKI – UKRAIŃSKIE SZASZŁYKI

Marynowane w occie kawałki mięsa nabijamy na patyczki, ściskamy, obtaczamy w bułce tartej z dodatkiem curry, soli i pieprzu, następnie w rozbitym jajku i znów w bułce. Dociskamy panierkę do mięsa i smażymy szaszłyki na oliwie, aż się zezłocą. W żaroodpornym naczyniu podsmażamy na maśle pokrojoną w krążki cebulę, wkładamy szaszłyki i pieczemy do miękkości w średnio *nagrzanym* piekarniku. Podajemy z sałatką i adżiką.

39

Seb Angevine przeczesał ręką włosy, wziął się w garść i otworzył drzwi. Uciekał wstrząśnięty i ogarnięty paniką, aby jak najdalej od parku, nieustannie wypatrując w lusterkach migających czerwonych świateł i zmuszając się do tego, żeby jechać wolno, najpierw Columbia Road, potem w miarę cichą Dwudziestą Drugą. Dalej był most Buffalo Bridge, opustoszałe Georgetown, przez które przejechał jeszcze wolniej, wreszcie Trzydziesta Siódma i Glover Park. Jadąc, skasował wszystkie pliki w kamerze i trzęsącymi się palcami wyjął malutką kartę pamięci. Kamerę wrzucił z mostu do Rock Creek, a dwudziestodwugigabajtową kartę ze ściśle tajnymi depeszami CIA – w tym prawdziwymi nazwiskami informatorów – do studzienki ściekowej przy Q Street. Nie szkodzi: jedno nazwisko dobrze zapamiętał. Dominika Jegorowa. Dziesięć minut później zaparkował tuż przy tylnym wejściu do bloku Vikki, za wielkim pojemnikiem na śmieci, i ssąc krwawiący palec, spróbował pomyśleć.

Putain de bordel, niech to szlag! Katastrofa, masakra – właśnie dlatego nie chciał nawiązywać osobistego kontaktu z Rosjanami. Jego nowe bmw stało samochód dalej i z pełną protekcjonalności dezaprobatą wykrzywiało rekini pysk. Nie miał pojęcia, jak Vikki zareaguje na wieść, że jest rozgoryczonym, zawistnym starszym urzędnikiem CIA, zdrajcą, który w zamian za nieprzyzwoicie duże pieniądze przekazuje istotne dla bezpieczeństwa narodowego tajne informacje

agentom wrogiej służby wywiadowczej Federacji Rosyjskiej, że przed chwilą ledwie uciekł z parku, unikając zastawionej przez Bóg wie kogo zasadzki – najpewniej przez FBI – i że według wszelkiego prawdopodobieństwa ludzie ci jadą teraz do jej mieszkania, żeby go aresztować. Miał nadzieję, że Vikki zniesie to wszystko za jednym podejściem.

– Ty durny kutasie! – wrzasnęła.

– Przekazywałem im tylko nieistotne materiały – powiedział.

– Pomogłam ci przekazać list temu grubasowi w klubie!

Tego wieczoru nie tańczyła. Kiedy wszedł w samej bieliźnie, siedziała na sofie i oglądając telewizję, szyła nowy kostium, ale gdy skończył mówić, stanęła przed nim i wzięła się pod boki. Podświadomie zauważył, jak wspaniałe ma ciało i przemknęło mu przez myśl, że może włączy ją do naprędce ułożonego planu. Ale nie. To kryjówka dla jednej osoby. Szkoda. Naprawdę szkoda.

– Nikomu nie stała się krzywda. Absolutnie nikomu – powiedział, zapominając o odwołanym z Caracas attaché i trzydziestodniowym przesłuchaniu generała Sołowiowa.

– Jestem twoją wspólniczką, ty sukinsynu! – krzyknęła. – Mogą mnie oskarżyć! – Zacisnęła pięści, jej wzburzone implanty podnosiły się gwałtownie i opadały.

– Te informacje pozwoliły Rosjanom zrozumieć, że Stany Zjednoczone i Federacja Rosyjska mogą działać razem na arenie międzynarodowej – oznajmił wyniośle, niemal cytując broniącego się w sądzie Aldricha Amesa, choć tak naprawdę zabrzmiało to jak oświadczenie muzułmańskiego przedstawiciela Organizacji Narodów Zjednoczonych, który siedzi w taniej ulicznej budzie, zajada krewetki i poprawiając fez, dyskutuje o globalnych inicjatywach pokojowych.

– Świetnie, kurwa, świetnie! – odparowała Vikki. – Wspólne przedsięwzięcia!

– Musisz mi pomóc, ostatni raz.

– Oczywiście, że pomogę. Spakuję twoje ubrania i wykopię cię za drzwi!

– Jeśli chcesz, to odejdę, ale proszę cię tylko, żebyś mnie kawałek podwiozła, to wszystko. – Wiedział, że będzie ciężko, ale sam nie mógł tego zrobić. Czytał o tym sposobie, kiedy pracował w NCIS, Kryminalnym Biurze Śledczym Marynarki Wojennej, ale teraz musiał urobić Vikki. Pomachał jej przed oczami kluczykami do beemki.

– Podaruję ci samochód. Chciałem zrobić ci niespodziankę przy kolacji. – Po jej minie poznał, że mu nie wierzy. – Posłuchaj, nie będę kłamał. Zakochałem się w tobie po uszy. Musisz pomóc mi uciec do Francji. Tam się spotkamy, pod wieżą Eiffla – dodał dla większego efektu.

Vikki skrzyżowała ręce na piersi – przyjmując trochę niepewną pozycję obronną – i pokręciła głową.

– Musimy się pospieszyć, skarbie. – Stanął przy oknie wychodzącym na tylne wejście i zerknął przez szparę w żaluzjach. Nikogo. Przynajmniej na razie. Odwrócił się, objął ją i przesunął rękami po plecach. – Dużo razem przeżyliśmy – wymruczał – ale najlepsze czasy są wciąż przed nami.

– Ale co miałabym zrobić? – spytała powoli, zaskoczona, że trochę mu współczuje, chociaż wszystko zepsuł. No i chciał dać jej samochód. No i nigdy nie była w Paryżu.

Seb odsunął ją na długość ramion.

– Gdzie jest głupia Agata?

– W szafie – odrzekła. – Po co ci Agata?

– Zobaczysz.

Ziuganow odłożył słuchawkę. *Odurielnyj* – matka czterdzieści minut tłumaczyła mu, jak wielkim jest durniem i dlaczego. Kompletna wariatka: rugała go, mieszając *soupe à l'ail*, kremową zupę czosnkową, którą gotowała na lunch. Chciał powiedzieć: Odłóż tę cholerną łyżkę i posłuchaj! – ale nie dała mu dojść do słowa. Weź na wstrzymanie, powtarzała, przestań wszystkim rozkazywać i przywaruj. Nie zwracaj na siebie uwagi. *Nie było u baby chłopot, tak kupiła porosia*. Nie miała baba kłopotów, to kupiła sobie prosiaka – sam się o to prosiłeś, głupcze. Tak, podzwoni po starych znajomych, odświeży kontakty i się odezwie. Ale jego pierwszym obowiązkiem jest Rosja, Rosja się nim zajmie, dlatego ma jej być wierny aż po grób. Ona wciąż jest bolszewikiem, pomyślał. Zdążył już zapomnieć, jaka jest staromodna.

Jekatierina znała Zarubinę i była wstrząśnięta – wiadomość o jej śmierci lotem błyskawicy obiegła wszystkie rezydentury na świecie. Powiedziała synowi, że dalsze losy Trytona – a w konsekwencji losy amerykańskiego kreta w moskiewskiej centrali – nie będą przez jakiś czas znane, ale ze zdobytego za czasów Stalina doświadczenia wie, że wszyscy zdrajcy w końcu zostają zdemaskowani.

– „W końcu" to dla mnie za wolno – powiedział. Śledczy prowadzący sprawę „kłótni", która zakończyła się śmiercią Pletniewa, żądali, żeby zwrócił służbowy paszport, zaznaczając, że lepiej by było, żeby w najbliższym czasie nie planował zagranicznych podróży. Chcieli także przeprowadzić kontrolę całego wydziału, chociaż Zarząd KR zawsze należał do tych chronionych. Ba! wyznaczono już terminy przesłuchań wszystkich pracowników. Wiedział, co to znaczy. Na dobrą sprawę znalazł się w areszcie domowym. Wkrótce zdejmą go ze stanowiska, aresztują, postawią przed sądem i skażą. Tymczasem Jegorowa – był absolutnie przekonany, że to ona

jest kretem CIA – jadała wytworne kolacje z prezydentem i jego świtą.

Mieli obserwować Vikki Mayfield i ustalić, z kim mieszka, dlatego pięć samochodów z Wydziału Kontrwywiadu Zagranicznego FBI zajęło pozycję charakterystyczną dla tego rodzaju akcji. Obserwacja nie musiała być dyskretna, a jej celem było zidentyfikowanie mężczyzny, który zbiegł po wpadce w parku. Fileppo i Proctor podali jego rysopis, wykłócając się o szczegóły, a teraz jechali w tym samym samochodzie; Nate jechał z innym G-manem, niejakim Vannoyem, flegmatycznym dwudziestosześciolatkiem o profilu gwiazdora filmowego i ramionach Popeye'a. Już na miejscu jeden z zaciemnionych samochodów przejechał cichutko przez parking, żeby siedzący obok kierowcy agent mógł przeczytać do mikrofonu numery rejestracyjne mijanych samochodów, które miały być natychmiast sprawdzone w bazach danych FBI, federalnej, metropolitalnej i krajowej. Zespół podzielił się na dwie grupy, po dwa wozy w grupie „dziobowej i rufowej", i obstawił wszystkie możliwe drogi dojazdowe do domu Vikki Mayfield. Akcję koordynował jadący roverem Nate. Zajęli miejsca.

– Zawsze jestem po drugiej stronie lady – powiedział Nathaniel. – Czekanie dobija. Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Przywykniesz – mruknął Vannoy. – Pracowałeś u Ruskich, tak?

Nate kiwnął głową.

– Dobrzy są? – W ulicznym świetle Vannoy wyglądał jak gwiazdor niemych filmów.

– Mają ciężką rękę, nieograniczone środki i nie muszą się przed nikim tłumaczyć.

Przez chwilę patrzyli przed siebie.

– Kilka tygodni temu straciliśmy tam agentkę – dodał Nate. – Potrącili ją samochodem. Chyba przypadkiem.

Vannoy zmrużył oczy.

– Agentkę? Kobietę?

– Tak. Hannę Archer. Miała większe jaja niż ty i ja razem wzięci. A teraz ma gwiazdę na ścianie pamięci w Langley.

– Widziałem tę ścianę – powiedział Vannoy. – Mnóstwo ich tam.

– Na waszej też.

Zamilkli, wsłuchując się w nocne odgłosy. Na lekkim wietrze szeleściły martwe liście w rynsztoku. Ochłodziło się; było już po północy. Krótko beknęło ściszone radio.

– Długo będą sprawdzać te numery? – spytał Nate.

– W nocy trochę to trwa – odrzekł Vannoy.

– Fileppo i Proctor chcą go pewnie dorwać, wszystko jedno, kto to jest. Zwłaszcza Fileppo; ten dupek zdrowo zaprawił go w oczy.

– Proctor go ostudzi – powiedział Vannoy.

Hm, pomyślał Nate. Czyżbym słyszał coś w jego głosie?

– Są niesamowici. Poważnie, nigdy nie widziałem tak zgranego duetu.

Vannoy poprawił się na siedzeniu.

– Są dobrzy, może nawet najlepsi w zespole. Wszystkich wkurzają, ale mają rezultaty.

– Jakby czytali sobie w myślach.

– Nic dziwnego, są razem od lat.

– To znaczy? – Nie zrozumiał Nate. – Mieszkają razem?

Vannoy spojrzał na niego, żeby sprawdzić, czy nie leci z nim w kulki i stwierdził, że nie.

– Właśnie.

Nate otworzył usta, żeby coś dodać, ale w tym samym momencie trzy razy z sykiem beknęło radio – ktoś się gdzieś wybierał – i Vannoy odpalił silnik. Na Benton Street wyjechała czerwona kia Vikki Mayfield. Za kierownicą siedziała kobieta w kurtce z kapturem, a na miejscu pasażera wysoki mężczyzna w kapeluszu. W pewnej chwili dotknął on ramienia kierowcy i Nate, patrząc przez lornetkę, wyraźnie zobaczył jego wydatny nos. Vannoy przepuścił przodem dwa samochody i zajął trzecią pozycję. Nie musieli stosować wyrafinowanych taktyk, jak jazda „na żabkę" czy zmiana prowadzącego. Mieli po prostu jechać za kią, i już. Vannoy zameldował przez radio, że ruszyli. Dwie minuty później zadzwoniła komórka Nate'a. Benford. Wkurzony. W dodatku poważnie.

– Nash, przełącz mnie na głośnik, bo musi to usłyszeć dowódca grupy. Agent specjalny Montgomery i ja siedzimy właśnie w waszyngtońskim centrum operacyjnym w otoczeniu dzikich bestii z Biura Głównego Radcy Prawnego FBI. Podobnie myślące stado gnu siedzi w Langley. Prowadzimy, wybacz, że użyję tego określenia, wideokonferencję w czasie rzeczywistym.

– Słychać cię głośno i wyraźnie. – Nate puścił oko do Vannoya, który stłumił śmiech. Krótka pauza i znów Benford, niemal namacalnie poruszony.

– Uważamy, że mężczyzna z parku i ten, którego śledzicie, to ta sama osoba, niejaki Sebastian Angevine, zastępca dyrektora do spraw wojskowych CIA. Pod domem Vikki Mayfield parkuje jego samochód. Właśnie sprawdzamy jego profil komputerowy. Kontrola finansów i kont bankowych rozpocznie się jutro rano. Vikki Mayfield pracuje jako tancerka egzotyczna w jednym z waszyngtońskich klubów nocnych i jest przypuszczalnie jego metresą. – Nate miał na końcu języka ciętą uwagę à propos „metresy", lecz uznał, że nie pora na dowcipy.

– Zarówno doradcy z FBI, jak i CIA uważają, że jak na razie ani według działu osiemnastego Kodeksu Stanów Zjednoczonych, punkty a i b paragrafu siedemset dziewięćdziesiątego czwartego, ani według działu siedemnastego tegoż kodeksu, paragraf siedemset dziewięćdziesiąty czwarty, punkt c, nie ma żadnych dowodów, że Angevine popełnił przestępstwo szpiegostwa. Może się to zmienić, jeśli, i kiedy, dowody takie wyjdą na jaw. Dlatego słuchaj uważnie: nie mamy prawa zatrzymywać, a tym bardziej aresztować, ani Sebastiana Angevine'a, ani Vikki Mayfield. Upewnij się, proszę, czy twój zespół to rozumie. Agent specjalny Montgomery podpowiada mi, że „to rozkaz", co w kulturze FBI znaczy najpewniej, iż żadne dyskusje nie wchodzą w grę.

– Zrozumiałem – potwierdził Nate. – Przekażę dalej. Wyjeżdżamy z Glover Park. Jesteśmy na Wisconsin i jedziemy na północ. Ruch jest mały, Mayfield prowadzi w miarę spokojnie. Jest za wcześnie, żeby przewidzieć, dokąd się kierują. Może odwozi go do domu. Rozumiem, że Angevine mieszka w Wirginii, tak?

Przytłumiony głos Benforda spytał o to kogoś z obecnych w centrum.

– Tak, w Vienna, przy Beulah Road. Nathanielu, dla nas, nieznających się na prawie, acz przytomnie myślących, to, że w dniu nieudanego tajnego spotkania z wyłączoną obecnie rezydentką SWR w Waszyngtonie tych dwoje jedzie gdzieś o tak późnej porze, jest wyraźnym dowodem winy. Nie wiemy jednak, jak tę sytuację ocenia Angevine, zwłaszcza w kontekście dowodu winy. Może być pewny siebie albo spanikowany. Dlatego macie trzymać się blisko i nie spuszczać ich z oczu. Jeśli pójdą do baru, usiądziecie przy sąsiednim stoliku. Jeśli Angevine pójdzie do toalety, zajmiecie sąsiednią kabinę. Jeśli pojadą do domu, obstawicie wszystkie wyjścia, żeby nie

wyślizgnął się tylnymi drzwiami. Zgłoście nam to, a my dopilnujemy, żeby nie postrzeliła was tamtejsza policja. Czy to jasne?

Vikki mamrotała do siebie, jadąc zgodnie z jego wskazówkami. Wisconsin Avenue była prawie pusta. Seb siedział na fotelu pasażera z głupią Agatą między nogami, a właściwie tylko jej korpusem i gładką, pozbawioną twarzy plastikową głową. Vikki korzystała z niej, szyjąc kostiumy striptizerskie i stroiki. Teraz Agata była w kurtce, a na głowie miała beżową reklamówkę, mocno oklejoną taśmą wokół szyi. Vikki aż jęknęła, gdy Seb wyrwał z niej metalowy stojak, ale zapewnił ją, że od Bożego Narodzenia zamiast szyć sukienki, będzie je tylko nosić, w dodatku te najładniejsze, paryskie, od Chanel. Powiedziała: „Już ci wierzę!", ale bardzo chciała, żeby tak było.

Najwyraźniej dobrze wiedział, gdzie chce jechać; musiał opracować tę trasę dużo wcześniej. Z ożywieniem kazał jej minąć Tenley Circle, skręcić w Albermarle i jechać prosto aż do American University Park, okolicy gęsto poprzecinanej uliczkami i wąskimi alejkami na tyłach domów. Cały czas widziała w lusterku reflektory trzech samochodów, które utrzymując dyskretny dystans, skręcały za nimi jak po sznurku. Seb powiedział, żeby się tym nie martwiła, i kazał jej jeszcze raz powtórzyć, co ma robić, kiedy on wysiądzie. W końcu nadeszła pora. Kazał jej skręcić w prawo i natychmiast w lewo, w Murdock Mill Road, krótką jednokierunkową uliczkę, w którą wjechali pod prąd. Gdy światła reflektorów zniknęły na chwilę za rogiem, klepnął ją w ramię, a ona zaciągnęła hamulec ręczny, żeby zwolnić. Wtedy pchnął ramieniem drzwi,

wyskoczył z samochodu i popędził w stronę rzędu kubłów na śmieci w ciemnej alejce. Tam przykucnął i wstrzymał oddech.

Jak na przerażoną amatorkę, która robi to pierwszy raz, Vikki sprawiła się znakomicie. Zwolniła hamulec, jadąc z tą samą prędkością, zamknęła drzwi, chwyciła Agatę, posadziła ją na miejscu pasażera i włożyła jej na głowę kapelusz Seba. I kto tu jest teraz głupi? – pomyślała z goryczą sam na sam ze światłami reflektorów, które właśnie znów pojawiły się w lusterku. Jechała na wschód. Butterworth, Westmoreland Circle, Dalecarlia, Canal Road, Chain Bridge, i tak aż do Wirginii. Miała zaparkować w garażu, wejść do domu, zaciągnąć wszystkie zasłony i spędzić tam noc, ale przedtem rozebrać Agatę i ukryć ją w pakamerze w piwnicy. Rano wróci do domu, a ci z FBI będą się zastanawiali, jakim cudem Seb rozpłynął się w powietrzu.

W głowie jadącego trzy samochody za nią Nate'a rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Trasa przez American University Park była bzdurna, zupełnie nielogiczna, ten kutas coś knuł. Chciał dać nogę? Nate poprosił Vannoya, żeby wywołał kolegów jadących „na oku" i kazał im zmniejszyć odległość na wypadek, gdyby podejrzany próbował zbiec. Nie wiedział, czy Angevine potrafi wyskoczyć z jadącego samochodu, jednak ważne było, żeby tamci regularnie sprawdzali, czy w śledzonym przez nich wozie są dwie osoby. On sam wisiał na telefonie, na bieżąco opisując Benfordowi, co się dzieje. Jadący środkowym samochodem Fileppo i Proctor pieprzyli trzy po trzy, aż Vannoy kazał im zmienić tych „na oku" i sprawdzić status kii. Natychmiast zameldowali, że w wozie są dwie osoby, kobieta i mężczyzna w kapeluszu.

Uliczką przejechało cztery czy pięć samochodów, ale żaden nie zwolnił, nikt nie spojrzał w ciemność za kubłami – Angevine odetchnął. Nic nie zauważyli i potrzebował teraz czasu. Wszystko zależało od Vikki (i Agaty). Zerknął na zegarek.

Prawie druga w nocy. Będzie musiał wydostać się stąd piechotą, ale o piątej zaczynało kursować metro. Chciał dotrzeć na Union Station i złapać najbliższy pociąg podmiejski do BWI. Jeśli odkryją, że uciekł, natychmiast zamkną lotnisko Dullesa i krajowe, a dopiero potem pomyślą o międzynarodowym porcie lotniczym BWI, Baltimore/Waszyngton. A wtedy będzie już siedział w pierwszym samolocie dokądkolwiek, do Mexico City, Kostaryki czy Toronto. Bilety kupi na pierwszym postoju, na kartę kredytową i paszport z prawdziwym nazwiskiem. Owszem, zostawi za sobą ślad, ale zaraz potem przesiądzie się na samolot do któregoś z krajów Unii Europejskiej, a stamtąd, już bez żadnego śladu, do Paryża. Tak, Paryż to było to: znał język, znał miasto, miał tam krewnych. Miał też pieniądze i mógł kupić fałszywe papiery na czarnym rynku. W rosyjskiej ambasadzie, nowoczesnej fortecy ze stali i szkła przy Boulevard Lannes, w pobliżu Lasku Bulońskiego w szesnastej dzielnicy, powitają go z otwartymi ramionami, zwłaszcza że przywiózł im nazwisko kreta CIA w moskiewskiej centrali. Wryło mu się w chciwą pamięć jak żadne inne: Dominika Wasiljewna Jegorowa.

Nie zamierzał spędzać reszty życia na wygnaniu jak Kim Philby, Ed Howard czy Edward Snowden, w przegrzanej moskiewskiej klitce, pod czujnym okiem ponurych psów z FSB. Nie chciał, żeby gotował mu jakiś gruby babsztyl i żeby raz na dziesięć dni obsługiwała go zużyta prostytutka z trądzikiem między piersiami i brodawkami na szyi. Nie, wielkie dzięki. Chciał od Rosjan tylko wypłaty emerytalnej i dostępu do zagranicznego konta, na którym według jego skromnych szacunków było około pięciu milionów dolarów. Wybierze pieniądze i zniknie: ocieniony kwitnącymi pnączami mały domek z tarasem na Wyspach Liparyjskich, a może penthouse przy Avenida Atlantica z widokiem na plażę w Copacabanie

albo kamienny dom wśród winnic na wzgórzu w Toskanii. Do tego jedna lub dwie przyjaciółki – Brazylijki były niesamowite – ale nie, Vikki by tam nie pasowała. Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, że klepiąc ją w ramię na znak, że wysiada, dotykał jej ostatni raz w życiu. Cóż, miała przynajmniej bmw.

Gdy tak szedł ciemnymi uliczkami, myśląc o kobietach, ni z tego, ni z owego przypomniały mu się słowa Glorii Bevacquy, maciory, która ukradła mu stanowisko, to, jak szydziła z niego w dniu, kiedy oficjalnie ogłoszono, że to ona zostanie nową szefową Sztabu Tajnych Akcji. „Seb, pominięto cię, ale to jeszcze nie tragedia. Dziewczyny i tak za tobą szaleją". To właśnie te słowa rozsierdziły go i zmusiły do obłąkanej, niszczycielskiej podróży z Rosjanami, która zakończyła się tym, że umierając z niepokoju i obcierając sobie pięty, łaził po nocy jak uciekinier. Mało brakowało i wpadłby w łapy tych, którzy ścigali go w parku, i nie miał żadnej gwarancji, że uda mu się przejść przez kontrolę na lotnisku. Nie było mu żal, że zrobił to, co zrobił, było mu żal samego siebie. Ścisnęło go w gardle i cicho zapłakał. On, król życia, wielki szpieg. „Dziewczyny i tak za tobą szaleją". Jasne. Ciekawiło go, co Zarubina przekazała Moskwie, pewnie, że go złapali i aresztowali. Zdziwią się, kiedy nagle wypłynie w Paryżu. Rozpogodził się, wyobrażając sobie, jak wchodzi do ambasady i spokojnym głosem każe recepcjoniście zadzwonić „do stosownego biura" i powiedzieć komu trzeba, że na dole czeka Tryton.

Vikki też płakała, ściskając kierownicę i zastanawiając się, czy pójdzie do więzienia za to, że aby Seb mógł zyskać trochę czasu, wpuściła w maliny agentów FBI i zaciągnęła ich na pustkowie podmiejskiej Wirginii. Mogłaby zasłaniać się niewiedzą – Seb okłamał ją, wprowadził w błąd, nie ma z tym nic wspólnego – ale obecność siedzącej tuż obok Agaty, krawieckiego manekina w kapeluszu, byłaby jednoznacznym

dowodem współudziału. Miała ochotę skręcić na parking przed najbliższym centrum handlowym, podejść do śledzących ją samochodów i wszystko powiedzieć, choć w sumie niewiele wiedziała. Nie była winna. Instynkt zawodowej striptizerki podpowiadał jej, że Seb nie ściągnie jej do Paryża. Mimo to nie mogła go skrzywdzić. Tak czy inaczej, niespodziewanie ostateczna decyzja zapadła gdzieś na górze.

Wyjeżdżający z całonocnego fast foodu pijany kierowca przeciął dwa pasy drogi 123 w Viennie i nie wpadł na nią tylko dlatego, że gwałtownie skręciła i zahamowała. Jadący za nią Fileppo i Proctor też gwałtownie zahamowali i przekonani, że zaraz usłyszą głuchy metaliczny stukot, zatrzymali się dosłownie kilka centymetrów od tylnego zderzaka kii. Głuchy stukot, a właściwie dwa, usłyszeli dopiero wtedy, kiedy z impetem wpadł na nich samochód jadący na drugiej pozycji, który popchnął ich prosto na wóz Vikki. Na skutek wywołanej tą reakcją łańcuchową fali uderzeniowej zderzak-rama lekka jak piórko Agata uderzyła w przednią szybę i opadła z powrotem na fotel. Zagłówek urwał jej pozbawioną już kapelusza głowę, która odbiwszy się od fotela, wylądowała na półce pod tylną szybą, gdzie przez chwilę zachowywała się jak zimnowojenny piesek kiwający głową. Vikki ukryła twarz w dłoniach. Więcej czasu dla ciebie nie zdobędę, pomyślała. Do kii podeszli Fileppo i Proctor. Fileppo pochylił się, spytał, czy jest cała, i kazał jej zgasić silnik. Vikki oparła głowę o kierownicę, zamknęła oczy i usłyszała czyjś głos.

– Simon, to manekin, ten kutas zwiał. Najprawdopodobniej w okolicy American University Park, bo nie było powodu, żeby tamtędy jechali. Tak, czterdzieści minut temu. Dwa wozy pojadą tam sprawdzić, ale jeśli złapał taksówkę albo wsiadł do metra, szukaj wiatru w polu.

Vikki otworzyła oczy i zobaczyła młodego ciemnowłosego mężczyznę z telefonem przy uchu. Przez chwilę uważnie słuchał, potem zakończył rozmowę i spojrzał na swoich kolegów. Wszyscy byli młodsi, niż się spodziewała, wszyscy mieli ponure miny.

– Siedzimy tu i czekamy na agenta specjalnego – powiedział ten pierwszy. – Żaden z nas nie ma prawa jej aresztować.

Nate nachylił się ku niej i uśmiechnął.

– Wszystko dobrze?

Kiwnęła głową.

– Tak zupełnie nieoficjalnie: czy wie pani, dokąd ucieka pani przyjaciel? – Nate pogwałcił właśnie jej prawa.

– Hej, wyluzuj, stary – rzucił Fileppo. Proctor poparł go skinieniem głowy. Znali prawo, wiedzieli, co to za syf.

– Wpadliśmy tak kilkanaście razy – powiedział Lew. – Lepiej zbastuj.

Nate nie zwracał na nich uwagi.

– Nie wiem, co pani wie – ciągnął – albo co pani powiedział ani co pani o tym myśli, ale jeśli ten człowiek ucieknie, zginie kobieta mniej więcej w pani wieku. Spalą ją żywcem w piecu. Zaczną od nóg.

Zaskoczony Fileppo zmarszczył brwi.

– Niech pani powie – rzucił odruchowo – czy może pani do tego dopuścić.

– Ty też? – warknął Proctor. – Kurwa mać, nie możecie się wreszcie zamknąć?

Vikki zamrugała.

– Mówił, że leci do Paryża. Nic więcej nie wiem. – I dopiero teraz, pierwszy raz w swojej karierze zawodowej, uświadomiła sobie, jak ironicznie brzmi jej sceniczne imię. Felony. Ciężkie przestępstwo. Albo zbrodnia.

SOUPE À L’AIL – FRANCUSKA ZUPA CZOSNKOWA

Zagotowujemy bulion drobiowy. Na kaczym tłuszczu (lub oliwie z oliwek) podsmażamy dużą ilość przeciśniętego czosnku, wraz z mieszanką ziół dodajemy go do bulionu i gotujemy na wolnym ogniu. Wyjmujemy zioła, dodajemy ubite białka jajek, czekamy, aż się zetną i zdejmujemy garnek z ognia. Hartujemy mlekiem ubite żółtka, dodajemy do zupy i przyprawiamy solą i pieprzem. Na dno wazy kładziemy kromkę jednodniowego chleba wiejskiego, oprószamy ją parmezanem i wlewamy zupę. Białka można pokroić na mniejsze kawałki.

40

Rankiem dzień po ucieczce Angevine stał przed bramą rosyjskiej ambasady w Paryżu. Ruch na Boulevard Lannes był uosobieniem galijskiego obłędu: podczas *pointe du matin*, porannej godziny szczytu, wszystkie cztery pasy tego zazwyczaj eleganckiego szerokiego bulwaru tonęły w niebieskich obłokach spalin i kakofonii klaksonów, nie wspominając już o tłumach podenerwowanych paryżan. Udało mu się uciec bez najmniejszych kłopotów, pewnie dlatego, że na międzynarodowym lotnisku Baltimore/Waszyngton nie zdążono ogłosić alarmu. Pod wpływem zewnętrznego przymusu postanowił zaryzykować i poleciał bezpośrednio do Amsterdamu, a tam od razu pojechał na dworzec i wsiadł do Thalys, szybkiego pociągu do Paryża. Na mocy układu z Schengen w 1995 roku w krajach Unii Europejskiej zniesiono kontrolę paszportową, dlatego jedynym śladem tego, że udało mu się zbiec, było jego nazwisko na liście pasażerów samolotu, ale po wylądowaniu w Amsterdamie zniknął, rozpłynął się w powietrzu. I sądząc po tym, dokąd uciekali w przeszłości inni amerykańscy szpiedzy, CIA założy pewnie, że Angevine jest już w Moskwie.

Przyjechawszy do Paryża, udał się prosto do mansardowego mieszkania ciotki na najwyższym piętrze kamienicy przy Quai de Bourbon 11 na Île Saint-Louis, rombowatej Wyspie Świętego Ludwika na Sekwanie, leżącej nieopodal nieco większej Île de la Cité. Owdowiała ciotka była siostrą jego ojca, kobietą głuchą

i zdziecinniałą, ale najważniejsze, że miała inne nazwisko. Uniknął dzięki temu meldowania się w hotelach, a tutaj nikt go nie wytropi. Mieszkanie pełne półek pękających od książek, papierów i przeróżnych figurek było zagracone, lecz wygodne; to nic, że pachniało kotami i kapustą. Z brudnych okien pokoju gościnnego roztaczał się widok na prawy brzeg rzeki i górujące nad drzewami mansardowe wieżyce l'Hôtel de Ville, ratusza miejskiego, a gdy dzwon w katedrze Notre Dame wybił godzinę, Seb pomyślał: jestem w domu. A przynajmniej tak się czuł, co więcej, mógł tu działać! Nie byłby zdziwiony, gdyby zdumieni Rosjanie zmienili mu kryptonim z Trytona na Łazarza.

Myślał tak jeszcze do niedawna. Bo teraz stał na chodniku i rozcierając bolące ramię, patrzył przez kratę na pozbawionego szyi krzepkiego strażnika, który na oczach rozbawionych Francuzów czekających na wizę wyprowadził go z ambasady i wyrzucił za bramę. Małpolud! Miał ochotę go skrzyczeć – Rosjanie nie wiedzieli, jaki popełniają błąd – lecz gapili się na niego stojący w kolejce ludzie, a nie chciał zwracać na siebie uwagi. Ale przedtem zdążył naryczeć na wystraszoną recepcjonistkę, powtarzając swoje nazwisko, literując je, żądając rozmowy z kimś ważnym i powtarzając, że jest związany zawodowo z Madame Zarubiną. Biednej dziewczynie nic to nie mówiło – była żoną młodszego wicekonsula – jednak dobrze znała takie typy, *biezumcew*, szaleńców, którzy przychodzili do sekcji wizowej przyciągnięci magią ambasady obcego mocarstwa, twierdząc, że prowadzą właśnie nieokreśloną, lecz niezmiernie ważną misję, zwykle kosmiczną lub szpiegowską. Żeby go uspokoić i zyskać na czasie, nacisnęła ukryty pod biurkiem guzik i czekając na strażnika, zaczęła zapisywać jego numer telefonu.

Kompletny wariat – podczas lunchu w pobliskiej Brasserie Alaux przy Rue de la Faisanderie, przy *blanquette de veau*,

jedwabistym, mlecznobiałym gulaszu cielęcym, opowiedziała o nim mężowi. Wicekonsul słyszał nazwisko Zarubiny, choć nie mógł sobie przypomnieć gdzie, pamiętał jedynie, że miało związek „z tymi na górze", a z nimi trzeba było ostrożnie. Dlatego po lunchu spisał z notatnika żony numer wariata, poszedł na górę i nacisnął guzik dzwonka przy zakratowanym wejściu do rezydentury. Przez pół minuty nic się nie działo, potem usłyszał czyjeś kroki i zza kraty spojrzała na niego bez słowa zwalista Jekatierina Ziuganowa; w ambasadzie szeptano, że była ulubienicą Andropowa, który zostawszy sekretarzem generalnym partii, ściągnął ją do siebie z KGB. Prawdziwa bolszewiczka, pomyślał wicekonsul, niewielu takich zostało. Powiedział krótko, po co przyszedł, i przez otwór na listy podał jej kartkę z numerem.

– Na wypadek, gdyby to było coś ważnego – dodał i lekko się skłonił.

– Dziękuję, towarzyszu – powiedziała Ziuganowa z kamienną twarzą.

Towarzyszu? – pomyślał wicekonsul, wracając na dół.

Ziuganowa zapisała numer w kołonotatniku, po czym zaniosła kartkę do rezydenta, który nie lubił rozmawiać o sprawach operacyjnych z tą starą babą, tym odlanym z żelaza sowieckim *apparatczikom*, politrukiem, z którym usadziła go moskiewska centrala. Mimo to wysłuchał opowieści o wariacie i o tym, że wymienił nazwisko Zarubiny, a przecież wszyscy słyszeli o jej śmierci w Waszyngtonie – plotki rozchodziły się w służbie szybciej niż informacje wywiadowcze – dlatego sprawa może być ważna. Jekatierina Ziuganowa poprawiła kunsztowną fryzurę z epoki Chruszczowa, dodając, że jej zdaniem należy podjąć natychmiastowe działania: paryska rezydentura powinna nawiązać kontakt z Amerykaninem i jak najszybciej się z nim spotkać. Nie wspomniała, że wie od syna

o Trytonie i polowaniu na kreta CIA, ani nie zawiadomiła Aleksieja, który – jeśli SWR zidentyfikuje kreta – zostanie oczyszczony z zarzutów, zrehabilitowany i przywrócony do łask.

Paryskiemu rezydentowi to się nie podobało. Miał na głowie swoje sprawy, przede wszystkim wielce stresujące działania kontrwywiadowcze francuskiej DST, Dyrekcji Nadzoru Terytorium, które ostatnio bardzo się nasiliły. Wszędzie upatrywał niebezpieczeństwo: nikt nie wiedział, co się stało w Waszyngtonie, czy doszło do wpadki i aresztowania, ale wiadomość o śmierci kogoś takiego jak Zarubina nigdy nie jest dobra. Na dobitkę jak spod ziemi zjawił się ten amerykański wariat, żądając kontaktu z SWR. Nie, wykluczone, odpada. To musiała być pułapka, coraz bardziej agresywni Amerykanie zmówili się pewnie z Francuzami. Rezydent wietrzył podstęp, prowokację i zagrywkę z podwójnym agentem.

Ziuganowa zauważyła oznaki bojaźliwego karierowiczostwa w pocącym się przy biurku funkcjonariuszu, lecz była zdeterminowana zmusić Jasieniewo do działania: jeśli rezydent nie chce interweniować, mogliby przynajmniej wysłać telegram do Moskwy ze szczegółami wizyty wariata i zdać się na ich decyzję. Licząc się z jej starszeństwem i szczątkowymi wpływami w Jasieniewie, rezydent poszedł na ustępstwo i napisali razem pilną depeszę do centrali. Odpowiedź mogła przyjść dopiero nazajutrz. Ziuganowa odczekała godzinę, po czym zadzwoniła do syna bezpieczną linią i wszystko mu opowiedziała.

– Jadę do Paryża – oświadczył Aleksiej. Chciał jak najszybciej zdobyć numer telefonu Trytona.

– Nigdzie nie jedziesz! – warknęła. – Polecono ci zostać w Moskwie. Masz pracować, a nie podróżować.

Była aż nadto świadoma, w jak niebezpiecznej sytuacji znalazł się jej ukochany synek, i jak ważne – i konieczne! – jest to, żeby wykonywał rozkazy przełożonych – inaczej nie wyjdzie z tego cało. Przeżycie w dżungli, jaką była SWR, nie było łatwe, bo w każdej chwili mogło wypaść z niej *czudowiszcze*, drzemiący w gęstwinie potwór, i pożreć każdego odszczepieńca. Kto jak kto, ale ona doskonale o tym wiedziała, bo sumiennie przestrzegała przepisów przez czterdzieści lat i bijąc na głowę samego Heroda, rzucała frazesami w kolegium KGB, Komitecie Centralnym i biurze sekretarza generalnego partii.

Dlatego gdy następnego dnia zjawił się w jej mieszkaniu w Neuilly na modnych przedmieściach Paryża, powitała go z niepokojem i gniewem. Nieogolony i fatalnie ubrany – był w workowatych spodniach i drelichowej kurtce – miał szkliste oczy, co było złowróżbną oznaką napastliwości i nieobliczalności, nastroju, w jaki wpadał na Łubiance. Centrala uprzedziła już rezydenturę, że wybiera się do Paryża: odleciał z lotniska Wnukowo z cywilnym paszportem, pogwałcając zakaz wystosowany przez SWR w związku z toczącym się przeciwko niemu śledztwem, dlatego jeśli pojawi się w ambasadzie, miano go niezwłocznie odwieźć pod eskortą na lotnisko i wsadzić do pierwszego samolotu do Moskwy. Nie, jeszcze nie był uciekinierem, lecz Ziuganowa wiedziała, że jeśli syn natychmiast nie wróci, będzie po nim bez względu na wynik sprawy z Trytonem. Postanowiła go uratować, wydając go swoim.

Tymczasem Aleksiej nie myślał już ani trzeźwo, ani tym bardziej racjonalnie. Odczuwał jedynie zwierzęcy przymus poznania prawdziwego nazwiska kreta CIA i jeśli jedynym na to sposobem był wyjazd z kraju wbrew rozkazom śledczych, z narażeniem, że wpadnie w zasadzkę zastawioną przez amerykański wywiad, to tak zrobi. Matka stała na środku ze

smakiem urządzonego salonu i przemawiała do niego jak w Komitecie Centralnym partii, to rycząc, to monotonnie perorując, zależnie od tego, co chciała powiedzieć. Teraz ryczała wściekła, że jest taki głupi, że jej czterdziestoparoletni syn śmiał wystąpić przeciwko *rodinie*. *Gowniuk!* Gówniarz!

Podeszła do kredensu i podniosła słuchawkę telefonu. Funkcjonariusze bezpieczeństwa z ambasady mieszczącej się po drugiej stronie Lasku Bulońskiego przyjadą w dwie minuty i odwiozą go do domu choćby w wiklinowym koszu na brudną bieliznę. Przedstawiła się i poprosiła o połączenie z rezydentem. Była to ostatnia rzecz, jaką w miarę przytomnie zapamiętała. Ziuganow podszedł do niej z tyłu, wziął zamach i uderzył ją pięścią w bok szyi. Jekatierina jęknęła, upuściła słuchawkę i upadła na wyłożoną parkietem podłogę. Potrząsnęła głową, podniosła wzrok i ujrzała to, co widzieli niezliczeni więźniowie w podziemiach Łubianki – mrożące krew ślepia rzeźnika o północy – ale czego żadna matka nie chce zobaczyć w twarzy swojego ukochanego *malczika*. Ziuganow wyrwał ze ściany sznur telefonu.

Jekatierina z trudem wstała i trzymając się za szyję, chwiejnym krokiem poszła do sypialni, gdzie był drugi telefon. Aleksiej pchnął ją brutalnie na łóżko. Jekatierina krzyknęła na niego i wypowiedziała jego imię, próbując przerwać psychotyczny trans jarzący się w jego oczach. Lecz jej drobniutki syn wskoczył na nią i musnąwszy palcami sukienkę w plastikowej folii, którą niedawno przyniosła z *teinturier*, pralni chemicznej, owinął rozdętą folią jej głowę, raz i drugi, po czym zacisnął ją mocno pod podbródkiem. Z wykrzywioną twarzą i odsłoniętymi zębami centymetry od jej twarzy patrzył, jak rozszerzają się jej oczy, jak szeroko otwarte usta zasysają plastik, jak rzuca głową, rozpaczliwie walcząc o haust tlenu. Przygniótł ją mocniej i przytrzymał, aż oddech zwolnił, ustało

wierzganie, aż przeszło ją gwałtowne drżenie, które tak dobrze znał. Gdy spojrzała na niego martwymi oczami, przewrócił ją na bok i obszukał. Bułka z masłem: miał numer telefonu Trytona. Wiedział, że musi natychmiast uciec z mieszkania. Poszperał w szufladach i spiesznie wyszedł.

Oddalając się ulicą, zobaczył, jak przy krawężniku zatrzymuje się peugeot z ambasady rosyjskiej; dyplomatyczny numer rejestracyjny i okrągłe głowy siedzących w nim mężczyzn nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Oczywiście znajdą trupa, ale nie będą mogli jednoznacznie go z nim połączyć. Zechce go przesłuchać francuska policja. Ale to nic, pomyślał irracjonalnie. Wrócę triumfalnie do Moskwy z dowodem, że Jegorowa jest płatną agentką CIA i zostanę oczyszczony z wszelkich zarzutów. Pogratulują mi i dadzą awans. Roiło mu się, że przywozi Putinowi Trytona, kolejne trofeum na ścianę.

Minąwszy rząd domów i sklepów przy Rue de Longchamp, doszedł do Pont de Neuilly, wsiadł do metra i opuścił niebezpieczny teren. W drodze do Paryża – zamierzał zadzwonić do Trytona z automatu na kartę w Galeries Lafayette przy Boulevard Haussmann – jego rozkojarzony umysł odgrywał winylową płytę pamięci, szereg szybko następujących po sobie wydarzeń: zniknięcie Sołowiowa, Jegorowa gościem Putina, niewypał ze spotkaniem Trytona w Waszyngtonie, śmierć Zarubiny, przyjazd Trytona do Paryża i prośba o kontakt z SWR, telefon od matki i w końcu ostateczne rozstrzygnięcie nierozstrzygniętych dotąd problemów. Wieczorem porozmawia z Trytonem i zwycięsko wróci do Moskwy. Kłopoty z Putinem przeminą, a śledztwo w sprawie Jewgienija pójdzie w niepamięć.

Nie wiedział tylko, że prezydent Federacji ma inne plany.

BLANQUETTE DE VEAU

W wodzie z dodatkiem masła gotujemy do miękkości cebulę perłową i pokrojone grzyby. Zalewamy wodą pokrojoną w kostkę cielęcinę, grubo pokrojoną cebulę, marchew oraz seler i gotujemy na wolnym ogniu, aż mięso stanie się miękkie. Odcedzamy je, usuwamy warzywa i przyprawy. Robimy zasmażkę, dodajemy do niej rosołu i gotujemy, aż sos zgęstnieje. Dodajemy cebulę perłową, grzyby oraz cielęcinę, doprawiamy śmietaną, solą i pieprzem, gotujemy na wolnym ogniu. Dodajemy zahartowane mlekiem żółtka jajek, przyprawiamy sokiem z cytryny i podajemy z ziemniakami purée lub białym ryżem.

41

Dominika uwolniła się wreszcie od brudnoszyich oligarchów ze Strielnej, od cmokania i mlaskania kobiet o łamliwych włosach, dłubiących w zębach srebrnymi wykałaczkami i od nocnych pieszczot ubranego w piżamę prezydenta. Poleciała do Paryża pierwszym porannym samolotem, wylądowała na lotnisku De Gaulle'a, wybrała numer Sentry, dwukrotnie powtórzyła swój kod, powiedziała dyspozytorce, że jest w Paryżu i podała jej nazwę hotelu oraz numer telefonu na kartę, który przed chwilą kupiła. Nate zjawiał się zwykle po czterdziestu ośmiu godzinach.

Gdy ostatni raz mieszkała w Hôtel Jeanne d'Arc w Le Marais, skopał ją na bruku nasłany przez Ziuganowa długowłosy bandzior w skórzanej kurtce. Pamiętała ciche kliknięcie szminki, z którym posłała eksplodującą kulę w pierś tego drugiego, tego, który szedł na nią z czarną „kichą". Teraz miała w torebce dwa jednostrzałowe pistolety – jedyną broń, jaką udało się jej zdobyć w tak krótkim czasie – z prawdziwą szminką w każdym. Jedna była po rosyjsku czerwona, druga w kolorze cielistym. Jedna dla Trytona, druga dla Ziuganowa.

No i tak, pomyślała. Dominika-jaskółka zmieniła się w Dominikę-zabójczynię i dziwkę Władimira. Czysta perwersja. Spojrzała na leżące na łóżku złowrogie szminki, piekielną broń SWR. Zabijała już przedtem, żeby ratować Nate i Gable'a, ale tym razem było inaczej. Ziuganow uciekł z kraju, nie miał czasu na przygotowania – czy przyjdzie uzbrojony? Chociaż nim

pogardzała i chociaż chciał ją wyeliminować, czy potrafiłaby przystawić mu szminkę do skroni i nacisnąć guzik? Czy potrafi minąć na ulicy Trytona, odwrócić się i strzelić mu w tył głowy? Doszła do wniosku, że tak, zrobi to, by chronić siebie lub Nate'a, że zniszczy wszystko, czego tak nienawidziła. Tylko jakim kosztem?

Podtrzymywała ją na duchu wściekłość na *siłowikow*, całą tajną służbę i na niebieskookiego dżudokę, który chodził marynarskim krokiem. Czy zaprzedanie duszy warte jest wprost nieprawdopodobnego dostępu do ściśle tajnych informacji, które mogłaby przekazywać przyjaciołom z CIA? Czy Nate, jej bystry, troszkę szyderczy i namiętny *Niejt*, powstrzymałby ją, mówiąc, że nie, nic nie jest tego warte, nawet największe tajemnice świata? Tak? Czy nie?

Udranka stała w kącie pokoju, wyglądając przez okno. Czemu go o to nie spytasz? – rzuciła.

Ciche pukanie do drzwi. Ze szminką w zaciśniętych palcach Dominika zdjęła łańcuch. W progu stał Nathaniel w lekkiej kurtce z postawionym kołnierzem i rękami w kieszeniach. Wypełniająca korytarz fioletowa aureola wpadła do pokoju i zawirowała wokół niej. Uśmiechnął się i zauważył szminkę.

– Czy to jest to, o czym myślę? – spytał szeptem po rosyjsku. – Pokojówka przyniosła za mało ręczników?

Dominika pokręciła głową.

– *Parszywyj*, drań. Właśnie o tobie myślałam. – Wciągnęła go do środka, zamknęła drzwi, rzuciła szminkę na łóżko, objęła go, pocałowała i zakręciło jej się w głowie od smaku jego ust, dotyku rąk na plecach. Oderwali się od siebie, bez słowa spojrzeli sobie w oczy, Nate wsunął ręce w jej włosy i znów ją pocałował. Dominika odsunęła się.

– Krótka przerwa. Chcę ci tylko powiedzieć, że Hanna uratowała mi życie. – Szybko zamrugała, żeby odpędzić łzy.

– Tak, domyśliłem się.

– Byłam sto metrów od niej, odciągnęła ode mnie tajniaków. Podniecili się i któryś potrącił ją samochodem, prawdopodobnie przez przypadek.

– Byłem na jej pogrzebie w New Hampshire. Rodzina była zdruzgotana. – Nate'owi też oczy błyszczały od łez.

Popatrzyli na siebie i przekazała mu wzrokiem wiadomość: „Wszystko wiem". Odpowiedział: „Przepraszam", również bez słów, i już do tego nie wrócili. Ze względu na Hannę.

– Jakim cudem tak szybko przyjechałeś? – spytała Dominika.

– Wiedzieliśmy, że Angevine ucieka do Paryża, siedzę tu z Gable'em od dwóch dni. Wczoraj przyleciał Benford, przeczesujemy miasto. Cały czas wysyłaliśmy ci wiadomości w Moskwie, ale…

– Odstawiłam generała na plażę i utknęłam w Strielnej. Właśnie: co z nim? Wszystko dobrze?

– Tak, tylko jest strasznie upierdliwy. Benford się wkurzył, że go nie posłuchałaś. Nie masz zapasowego planu eksfiltracji.

Wzruszyła ramionami.

– Kto to jest Angevine?

– Dla ciebie Tryton.

– Mam numer jego telefonu, ten, który zostawił w rezydenturze. Dali mi go przed wyjazdem ze Strielnej.

Nate natychmiast zadzwonił do ambasady i przekazał go Gable'owi, który próbował namierzyć telefon Trytona.

– Mam do niego zadzwonić, podać się za kogoś z centrali i umówić się na spotkanie – dodała Dominika.

Nate odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

– Po co? Chcesz go aresztować?

Czekała, aż przestanie bawić się jej włosami.

– Nie. Żeby go zabić. – Od razu przestał. – A potem mam zabić Ziuganowa. Przyleciał wczoraj wieczorem.

Nate wziął ją za ręce.

– Nie sądzisz, że to trochę zbyt ambitne plany?

– Tak? – Zabrała ręce. – Rozkaz Putina. – Opowiedziała mu pokrótce o wizycie w Strielnej, nocnych odwiedzinach prezydenta, jego poleceniach i obietnicy awansu. Z trudem stłumiła uśmiech, bo aureola Nathaniela momentalnie rozbłysła.

– Wsadził ci łapy pod koszulę?

– *A ty szto? Riewniwyj?* – Położyła mu rękę na ramieniu. – *Duszka*, jako zazdrośnik jesteś jeszcze przystojniejszy.

Godzinę po przylocie Nate i Gable stali w gabinecie Gordona Gondorfa, szefa paryskiej rezydentury. Jego zastępca, anielsko cierpliwy oficer prowadzący nazwiskiem Ebersole, podpierał ścianę w kącie pokoju. Znał Gable'a z azjatyckiej tury. Nate zauważył, że Marty uścisnął mu rękę i poklepał po plecach, co według jego kodeksu oznaczało aprobatę. Jego planeta miała dwa księżyce: albo kogoś tolerował, albo uważał za ignoranta.

Ale z Gondorfem było inaczej. Nate nie widział go od Moskwy, kiedy to mściwy szef, niezasłużenie i niesprawiedliwie, w trybie natychmiastowym odesłał go do domu. Znany jako Gondork, żył nieustannie w stanie histerycznej trwogi zawodowej. Uważał, że wszyscy – zwierzchnicy, podwładni, szefowie innych rezydentur, oficerowie łącznikowi krajów, w których pracował – dosłownie wszyscy mogą przysporzyć mu kłopotów, że każdy jest dla niego zagrożeniem, rywalem, który tylko czyha, żeby prędzej czy później wykoleić rozpędzoną lokomotywę jego kariery – po prostu o tym wiedział. Niski, o twarzy cyrkowego charcika, miał przerzedzone włosy, osadzone za blisko siebie świńskie oczka,

malutkie stopy i chodził w dziwnych mokasynach z wysokimi bokami, które wtajemniczeni nazywali „butami pielgrzyma”. Zwykle nie miał pojęcia, co jego podwładni myślą, mówią i robią. Symbolem jego wirtuozerii zawodowej był plakat na ścianie gabinetu, który przedstawiał małego kotka zwisającego na przednich łapkach z gałęzi drzewa. Pod kotkiem widniał wielki napis: „Trzymaj się, maluszku!”.

Na jego widok Nate’owi przypomniało się, jak niewłaściwym zarządzaniem, błędną oceną sytuacji i licznymi zaniedbaniami Gondorf skutecznie rozpirzył cały wydział Ameryki Południowej. Zasłynął swoim niedorzecznym kodeksem – Dwunastoma Zasadami Gondorfa – zbiorem restrykcyjnych przepisów, które ograniczając uprawnienia szefów stacji i ich podwładnych, miały nie dopuścić do wpadek, skandali czy kłopotów, a które – w konsekwencji – zaowocowały całkowitym brakiem sukcesów. Po serii genialnych pociągnięć i decyzji Langley powinno zakuć go w dyby przed siedzibą agencji, tymczasem – zgodnie z obowiązującą tam kosmiczną polityką zarządzania kadrami – wysłano go na prestiżową placówkę do Paryża, aby dalej od stolicy (tym samym obdarowując nim niesfornych i wybrednych Francuzów).

Przedstawienie mu planu pilnej i niebezpiecznej operacji zawsze było wielką sztuką i przypominało podchodzenie pasącego się jelenia: podejdziesz za szybko, za bardzo po prostej, i natychmiast się spłoszy. Nate opowiedział mu o ucieczce Trytona i niebezpieczeństwie grożącym ich cennemu informatorowi, nie wspomniał jednak o Dominice. Gondorf posikałby się w spodnie.

Nate mówił dziesięć minut. Przez cały ten czas siedzący przy biurku szef rezydentury robił młynka palcami, choć – sądząc po jego minie – pewnie wolałby bawić się łożyskiem kulkowym. Nate zerknął na Ebersole’a, który stał w kącie jak posąg

z Wyspy Wielkanocnej, co było najwidoczniej jedynym sposobem przetrwania w podziemnym bunkrze, jakim stała się paryska rezydentura za panowania Gondorka.

– Dlatego musimy namierzyć jego telefon – dodał Gable. – Nie chcemy iść do Francuzów ze względu na ryzyko dekonspiracji naszego informatora. I chcemy poszukać go sami, bez pomocy miejscowej policji. I musimy to zrobić szybko.

– To, czego chcecie, a to, co ewentualnie dostaniecie, to dwie różne rzeczy – powiedział Gondorf. Mówił drżącym głosem, jak świnka morska, gdyby świnki umiały mówić. – Nie zamierzam wkurzać Francuzów tylko dlatego, że polujecie na jakiegoś kreta. Trzeba było lepiej go pilnować. – Powiódł wzrokiem po ich twarzach, oszacowując ryzyko negatywnej reakcji. Reakcji Gable'a oszacować nie zdążył.

– Pora wytężyć słuch, szefie – warknął Marty. – Stawką jest życie informatora. Dlatego trzeba podjąć decyzję. Nie „może", nie „potem", tylko teraz, natychmiast. – Wstał i pochylił się nad biurkiem. – Jeśli masz za ciężką dupę i nie chce ci się ruszyć, Ebersole zaprowadzi nas na górę i sami spróbujemy namierzyć telefon tego kutasa. Jeżeli się nam uda, ze schowka na broń weźmiemy dwa browningi, wyjdziemy na ulicę i go poszukamy. A jeśli żeby ocalić naszego informatora, będę musiał kogoś zastrzelić, w ambasadzie albo poza ambasadą, to Bóg mi świadkiem, że to, kurwa, zrobię. – Jego krótko ostrzyżona głowa zawisła nad głową Gondorka jak złowieszcza kula.

Gondorf ułożył w myśli listę biurokratycznych przestępstw, jakich dopuścił się ten gówniarz z Langley, wśród których poczesne miejsce zajęła prawie niezawoalowana groźba ciężkiego uszczerbku na zdrowiu.

– Macie natychmiast stąd wyjść i opuścić ten kraj! – Nic innego nie przyszło mu do głowy, nie w obecności śliniącego się nad biurkiem rottweilera.

Nate wstał.

– Chodź, Marty.

– Wieczorem przylatuje Simon Benford – powiedział Gable. – Będziesz mógł mu osobiście powiedzieć, co możemy, a czego nie możemy. – Spojrzał na Ebersole'a. – Zaprowadzisz nas na górę i pokażesz, co i jak?

Od pięciu minut Ebersole wyczuwał, że płyty tektoniczne zaczynają się przesuwać. Wiedział, co jest właściwe, konieczne i sprawiedliwe. Gdyby mściwy Gondork odesłał go do domu, uznałby to za błogosławieństwo.

– Już nie mamy browningów – odparł. – Ale mam dwie dziewiątki Hecklera i Kocha.

– W jakiej kaburze? – spytał Gable, żeby przeciągnąć rozmowę i jeszcze bardziej wkurzyć Gondorka.

– W nylonowej Bianchi, na pas. Nie ma lepszych.

– Chodźmy.

Szli już do drzwi, gdy gotujący się ze złości Gondork rzucił:

– Nash, zawsze byłeś wypierdkiem.

Nate stwierdził, że ani się nie wściekł, ani nie ogarnął go żal, co znaczyło, że już pokonał strachy pierwszych lat służby i jest ponad to, ponad Gondorkiem i takimi jak on. Grał teraz w pierwszej lidze, prowadząc operacje, o jakich jego były szef mógłby jedynie pomarzyć. Przystanął.

– Gordon, bardzo żałuję, że nasze stosunki nie uległy poprawie. Pamiętam, że w Moskwie bałeś się ulicy. Widzę, że od tamtej pory nic się nie zmieniło.

Wychodząc, poklepał plakat z kotkiem.

– Trzymaj się, maluszku.

Nie udało im się namierzyć ani jednego amerykańskiego numeru, ale następnego dnia, gdy zadzwonili pod francuski numer telefonu na kartę, który dostarczyła im Dominika, znaleźli go w czternaście minut na podstawie mocy sygnału satelitarnego. Ustalili, że przez większość dnia aparat nie opuszcza Wyspy Świętego Ludwika. Większa dokładność namiaru nie wchodziła w grę, ponieważ na wyspie – o powierzchni niecałych jedenastu hektarów – nie było wież telefonii komórkowej. Co więcej, Île Saint-Louis leżała dokładnie na granicy między czwartą a piątą dzielnicą. Obie wyspy znajdowały się w strefie słabego zasięgu, jednak była to wystarczająca wskazówka. Szybko przejrzeli „odwrotną" książkę telefoniczną, z wyszukiwaniem nazwisk po numerach, lecz nie znaleźli w niej ani jednego Angevine'a.

Île Saint-Louis. Ten skurwiel był blisko, na wyspie wielkości czterech pokładów lotniskowca, ot, trzy ulice połączone z lądem pięcioma mostami, dyskretna, ekskluzywna enklawa w centrum Paryża, pełna barokowych rezydencji z siedemnastego wieku, które wyrosły na miejscu piętnastowiecznych pastwisk, szarych kop siana i sokolniczych punktów obserwacyjnych. Gable i Nate przeszli się wąskimi ulicami dwa razy, mijając po drodze rzędy zaopatrzonych w zewnętrzne żaluzje okien, bogato zdobionych dębowych drzwi z mosiężnymi kołatkami w kształcie lwiej głowy i pochylając się pod pasiastymi markizami, które sklepikarze opuszczali, żeby uciec przed słońcem. Odległość mierzyli, licząc urokliwe witryny pełne stosów sera, bochnów chleba czy butelek wina i omijając ludzi wracających z przedwieczornych zakupów z siatkami w ręku i bagietkami pod pachą. Pod powiekami mieli twarz Angevine'a i płaską jak patelnia gębę Ziuganowa ze zdjęcia, które na usilną prośbę Benforda wygrzebał skądś analityk, specjalista od Rosji.

Benford szedł ku nim nieprawdopodobnie ubrany – w okularach słonecznych, płaszczu przeciwdeszczowym i berecie, które kupił w jednym z dziesiątków sklepów z pamiątkami za katedrą Notre Dame na Île de la Cité. Gable powiedział mu, że wygląda jak właściciel księgarni porno, co Benford puścił mimo uszu. Był w parszywym nastroju po ożywionej wymianie zdań z Gondorfem, a jego zachowanie podczas rozmowy porównał do reakcji jaszczurki, która straciwszy ogon, czmycha pod kamień.

– Zarekomenduję, żeby odwołano go przed upływem kadencji – dodał. – Może do emerytury tańczyć z Throckmortonem klasyczne tańce indyjskie w Bollywood.

Usiedli przy wiklinowym stoliku w barze winnym, on tyłem do okna.

– Gdzie Diva? – spytał.

– Właśnie przyjechała – odrzekł Nate. – Zatrzymała się w hotelu po drugiej stronie rzeki, w Marais, piętnaście minut spacerkiem stąd. – Opowiedział mu o Ziuganowie, Putinie i jego rozkazach.

– Bezprecedensowa sprawa – mruknął po chwili milczenia. – Jedna na sto lat. Rzecz w tym, że możemy stracić i Divę, i całą resztę, jesteśmy o włos. Jeśli nie uniemożliwimy Angevine'owi spotkania z Ziuganowem, będzie po wszystkim. Nie wyślę jej z powrotem, żeby udawała, że nic się nie stało. Nie zamierzam ryzykować.

– Przecież wiesz, że ona nie ucieknie – powiedział Nate. – To wykluczone.

– Nic nie jest wykluczone – wtrącił Gable.

– Ale to jest. Znam ją. Wrzeszczeliście na mnie, jeździliście jak na łysej kobyle, ale przynajmniej umiem ją wyczuć i wiem, co nią kieruje. Ona tego nie zrobi.

– Wiem, że nie, nie z własnej woli – przyznał mu rację Benford. – Niezwykła kobieta. – Usiadł wygodniej. – Aha. Słyszałem, że pewna przesyłka dotarła na miejsce po długiej morskiej podróży. Kontrahent odebrał ją i po forsownej podróży lądem rozpoczął instalowanie zakupionego sprzętu. Możecie jej to przekazać, bez niej nic by z tego nie wyszło.

– I tak nie ucieknie – powtórzył Nate.

Benford zbył go machnięciem ręki.

– Nathanielu, wynajmij pokój na wyspie. Nie powinna nigdzie wychodzić, ale na wszelki wypadek niech jeden z was stale jej towarzyszy.

Zamówili piwo i zaczekali, aż kelner je naleje.

Benford zdjął okulary.

– Na zatrzymanie Angevine'a mamy dzisiejszy wieczór i być może jutrzejszy dzień. Jeśli się nam nie uda, założę, że zdrajca przekazał jej nazwisko Moskwie. Wtedy jeden z was zarzuci ją sobie na ramię, zaniesie do ambasady i wywieziemy ją w bezpieczne miejsce.

Gable dopił piwo.

– A jeśli zaraz zobaczymy Ziuganowa?

Benford włożył okulary i wstał.

– To w imieniu Divy wykonacie rozkaz Putina.

Nate wynajął pokój w Hôtel du Jeu de Paume, małym, eleganckim przybytku z błyszczącymi drewnianymi belkami na suficie, które ociosano pod budowę sali do gry w piłkę ręczną dla Ludwika XIII. Dominika spojrzała znacząco na łoże z baldachimem, ale Gable zdjął buty i wyciągnął się na sofie. Nate zerknął na zegarek.

– Obejdę wyspę jeszcze raz. Nie sprawdziliśmy nabrzeża i tego małego parku po wschodniej stronie.

Marty machnął ręką.

– Wrócisz i się zmienimy. Masz telefon?

Dominika już wkładała kurtkę, lecz Gable zmarszczył czoło.

– A ty dokąd?

– Idę z Nate'em – odparła.

Marty pokręcił głową.

– Zostajesz. Lepiej, żeby Ruscy nie zobaczyli cię na ulicy z Amerykaninem. – Wskazał Nate'a. – Zwłaszcza z kimś seksualnie wątpliwym.

Nate pokazał mu środkowy palec.

Dominika odwróciła się powoli w stronę sofy. Ups! – pomyślał. Zaraz się zacznie.

– *Bratok*, chcesz powiedzieć, że nie mogę stąd wyjść?

– Właśnie – odparł Marty, który nie znał jej humorków, a już na pewno był na nie odporny. – Do rozwiązania sprawy musimy trzymać się siebie jak letnia bielizna.

Dominika przekrzywiła głowę jak szczeniak, który słyszy gwizdnięcie, i spojrzała na Nate'a.

– Podzielasz jego zdanie?

– Możemy wyjść po zmierzchu – odparł. – Po prostu nie chcę, żeby Ziuganow zobaczył nas razem. Zna z Moskwy moją twarz, przecież wiesz.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie bierz tego do siebie, pysiaczku – dodał Gable. – Benford też się zaszył. Tryton zna z kolei jego twarz. Posłuchaj, jesteśmy tu po to, żeby ich powstrzymać i chronić twoją przykrywkę.

– Moją kryszę ochronicie najlepiej, pozwalając mi znaleźć i zabić Ziuganowa. Trytona możecie sobie aresztować i zrobić z nim, co chcecie.

– Żeby na procesie wymienił twoje nazwisko? – spytał Marty. – Odpada.

– Więc co zamierzacie?

Melodyjnie szczęknęło suwadło pistoletu. Nate przesunął skrzydełko bezpiecznika i schował go do kabury na prawym biodrze.

– Wracam za godzinę.

Wrócił zmęczony, zziębnięty i głodny. Obszedł wyspę trzy razy, wypatrując wysokiej, kanciastej sylwetki Angevine'a, galijskiego nosa i burzy falujących włosów, oraz płaskiej słowiańskiej gęby i odstających uszu rosyjskiego psychopaty. Sprawdził pochyłe brukowane rampy na przystani dla łodzi, zerknął na szorstkie głazy omywane przez wartki nurt Sekwany przeciskającej się kanałem oddzielającym Wyspę Świętego Ludwika od większej Île de la Cité. Powęszył trochę w Le Square Barye, małym parku na wschodnim cyplu wyspy, gdzie rosły nagie zimą libańskie cedry i rachityczne wierzby, zerknął na szerokie schody prowadzące na zakrzywiony kamienny taras, przed którym szarobłękitna rzeka rozstępowała się jak przecięta dziobem okrętu.

Gable wciąż byczył się na sofie z gazetą w ręku. Dominika leżała na boku z zamkniętymi oczami. Była wściekła, że nie pozwolili jej wyjść i traktowali ją jak swoją własność, chociaż z drugiej strony na swój sposób nią była.

Omówiła sytuację z Martą, Udranką i Hanną, które siedziały na łóżku jak na babskiej imprezie dla rusałek. Oni wiedzą, co robią, twierdziła Hanna-agentka. Cierpliwości, radziła mądra Marta. Oj, przestań, syczała roznamiętniona Udranka. Ciesz się, że kogoś kochasz i że on kocha ciebie.

Kiedy Nate wszedł do pokoju, zapiszczała komórka Marty'ego. Dominika obudziła się, zamrugała i obciągnęła wełnianą spódnicę. Miała rozczochrane włosy. Gable wstał i wbił nogi w buty.

– Benford – mruknął. – Nie chciał mówić przez telefon, ale przyszło coś z Langley i uważa, że powinniśmy na to zerknąć.

– Może ci z wywiadu elektronicznego przechwycili coś nowego o Putinie? – powiedział Nate.

– SIGINT? Co ty, nie po Snowdenie. Ten palant sprzedał Ruskim wszystkie kody, a oni zmienili wszystkie kanały. Od tej pory cisza w eterze, brachu, od Morza Barentsa po Bosfor. – Gable zapiął kurtkę i pas. – Spadam. Nie wiem, kiedy wrócę. – Wyszedł.

– Widziałeś coś? – Dominika wstała i objęła Nate'a za szyję.

Pokręcił głową.

Musnęła ustami jego usta.

– Czy mój *tiuremszczik*… nie wiem, jak to jest po angielsku, pozwoli mi wyjść, może na kolację? Jestem głodna. – Przesunęła rękami po jego plecach.

– Nie jestem twoim strażnikiem – odparł. – I łapy precz od mojego pistoletu.

Cofnęła się z uśmiechem.

– Wprawdzie jest pan wątpliwy seksualnie, ale bardzo sprytny, panie *Niejt*. Zabierzesz mnie na kolację?

Usiedli w dyskretnym boksie w Brasserie de l'Île Saint-Louis. Nie wiedzieli, bo i skąd, że Angevine był w tej chwili dwieście metrów od nich, w mieszkaniu ciotki. Patrzył na ścienny zegar w salonie.

Przy *salade frissee*, sycącym *cassoulet* i pieczonym camembercie ze skarmelizowaną cebulką Nate przekonywał ją, że przecież mogłaby od razu wrócić z nim do Stanów.

Spojrzała na niego znad kieliszka.

– I co bym tam robiła, wiedząc, że Moskwa wydała na mnie wyrok śmierci i że szukają mnie *czystilszczyki*?

– Nie możesz wrócić, przynajmniej dopóki Ziuganow i Angevine są na wolności.

– Ziuganow jest poszukiwany. Tryton też. Miałabym czas, żeby wzmocnić swoją pozycję.

– Bzdura. – Wziął ją za rękę i jego fioletowa aureola zapulsowała szybszym rytmem. – To i tak bardzo trudne. Jeśli nie przestaniesz pracować, dobra, zgoda, będziesz najlepszą agentką w historii rosyjskich operacji wywiadowczych. Ale jeśli wpadniesz i cię zabiją, wszystko pójdzie na marne. Dlatego nie, Domi, jeżeli będziesz musiała wiać, spójrz na to trzeźwo i wiej.

– Łatwo powiedzieć.

– Po prostu martwi mnie, jak to wszystko się rozwija. – Fioletowy obłok nad jego głową mówił, że Nate jest głęboko zaniepokojony.

– Zapłać rachunek. – Wiedziała, że nie unikną tego sporu, lecz chciała go odłożyć na później.

Wrócili główną ulicą, mijając rząd ciemnych już sklepów i galerii i przyglądając się twarzom nielicznych przechodniów spieszących do domu w ten chłodny wieczór. Ledwo weszli do pokoju – nie zdążyli się nawet rozebrać – kiedy zadzwonił wkurzony Gable. Wróci dopiero za dwie godziny i mieli na siebie uważać. Ciekawe, z czym przyjdzie, pomyślał Nate. Ewakuujemy ją? Pozwalamy jej wrócić do Rosji? Wyobrażał sobie tę kłótnię. Nie przerywajmy napływu tak cennych informacji. Niech pracuje, dopóki będzie mogła. Nie psujmy tego. Jasne, niech o jej losie zdecydują prawnicy i politycy.

Spojrzeli na siebie. Wiedział, że przystosowanie się do nowego życia jest dla uciekinierów prawdziwym koszmarem, ciągłym, skumulowanym atakiem obcej kultury na psychikę, który może zniszczyć nawet doświadczonego agenta, który

pracował na Zachodzie: cichutka muzyka z ukrytych głośników w windzie, wiecznie zatłoczone natrętne centra handlowe, inny smak wody z kranu, tysiące kolorów na półkach z płatkami śniadaniowymi w supermarkecie. Szerokie ekrany telewizorów, iPhone'ów i tabletów, piszczących, pulsujących i mrugających. Co więcej, ta piękna Rosjanka musiałaby przywyknąć do nowego życia w miejscu ustronnym i odległym. Wyobraził ją sobie na Central Avenue w Whitefish w Montanie, jak chodzi po sklepach, na próżno szukając *solanki*, *pirożkow* czy *pielmieni*.

Spojrzał na nią i natychmiast rozpoznał charakterystyczne oznaki, błysk kobaltowych oczu i zaróżowione policzki. Chciał pomóc jej zdjąć kurtkę, ale pchnęła go łagodnie na pluszowy fotel i usiadła na nim okrakiem.

– Wytłumaczę ci teraz, jak to wygląda z mojej strony – powiedziała.

– Nie – odparł. – Posłuchasz swojego oficera prowadzącego i zrobisz to, co ci powie.

Położyła mu ręce na ramionach.

– A co powie?

Chwycił ją za klapy kurtki, przyciągnął i pocałował.

– Nie ruszaj się. – Włożyła rękę pod kurtkę, potem pod spódnicę i zaczęła przebijać się przez warstwy ubrań, swoich i jego, ciągnąc, podciągając, podwijając i rozpinając, aż stało się niemożliwe i poczuła go między nogami. Byli w butach, całkowicie ubrani, lecz pod spodem nierozerwalnie złączeni i patrząc na niego rozszerzonymi oczami, i nie zwracając uwagi na stojącą w kącie Udrankę, powoli na nim usiadła. Poczuła w brzuchu znajome motylki, silny prąd, który dotarł aż do piersi, tak że prawie nie mogła oddychać. Pochyliła się, zbliżyła twarz do jego twarzy i zadrżały jej usta, i zamknęła oczy, i oparła się czołem o jego czoło, szepcząc:

– *Dawaj, dawaj…*

A potem przeszedł ich gwałtowny dreszcz i zadrżeli, i omal nie odpłynęli z tego świata.

– No więc? – spytała po chwili. – Co powie mój oficer prowadzący?

PIECZONY CAMEMBERT ZE SKARMELIZOWANĄ CEBULKĄ

Wyjmujemy camembert z drewnianego pudełka i robimy na nim płytkie nacięcie w kształcie litery X. W nacięcie wciskamy cienko pokrojony czosnek i listki tymianku. Wkładamy ser do pudełka, skrapiamy oliwą z oliwek (albo białym winem lub wermutem), wstawiamy do średnio nagrzanego piekarnika i pieczemy, aż ser stanie się lejący. Podajemy z cebulką skarmelizowaną na maśle z dodatkiem octu balsamicznego.

42

Poruszyli się dopiero po kilku minutach zesztywniali po stosunku w zimowym ubraniu, w swetrach i kurtkach, w przegrzanym pokoju, w którym kąpiel parową brano ostatnio w 1634 roku. Kiedy on zaproponował prysznic, ona skontrowała propozycją chłodnego wieczornego spaceru po romantycznej wysepce. Może przejdą mostem do Saint-Germaine-des-Prés, poszukają jakiegoś bistra i napiją się wina? Nate widział, że jest spięta i podekscytowana – podświadomie chciała się przejść nie tylko dlatego, żeby rozruszać miękkie jak wosk nogi – i rozumiał, że spacer podziałałby na nią jak lekarstwo na uspokojenie. Nie mówili tego na głos, lecz jej szpiegowskie życie mogło dobiec nagle końca i chciała o nie zawalczyć.

Kiedy wyszli z hotelu, wzięła go pod rękę. Jak zwykle rozejrzeli się po opustoszałej ulicy i ruszyli w prawo, w kierunku Île de la Cité. Chcieli zobaczyć podświetloną katedrę i przejść się Pont des Arts, „mostem zakochanych" obwieszonym tysiącami kłódek. Doszli do małego placu na zachodnim końcu wyspy, też zupełnie opustoszałego. Wszystkie bistra i restauracyjki były ciemne, stoliki i krzesła poustawiane i pospinane łańcuchami. Zbliżała się północ i jeszcze bardziej się ochłodziło. Zadudniły silniki: lewym kanałem Sekwany płynęła barka, gasząc odbijające się w wodzie światła latarni pamiętających *grand siècle* Ludwika XIV.

I raptem Dominika szarpnęła go za rękę, odwróciła się, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała w usta. Zareagował, jak trzeba, lecz kiedy chciał się odsunąć i powiedzieć coś dowcipnego, mocno go przytrzymała. Miała otwarte oczy i leciutko pokręciła głową, więc objął ją i przytulił. Widział, że zerka w bok i wyczuł, że ktoś ich właśnie minął, ale zasłaniała mu widok. Gwałtownie poruszyła rękami i znów pokręciła głową. W końcu go puściła. Miała rozszerzone oczy.

– Ziuganow – szepnęła. – To był Ziuganow. – Odwróciła się i ruszyła w stronę, w którą szedł, Quai d'Orléans wzdłuż południowego brzegu wyspy. Nate złapał ją za rękę.

– Nie. Pójdę za nim i wezwę posiłki. Gable będzie tu za piętnaście minut.

Uwolniła rękę.

– Jeśli Ziuganow ucieknie, będzie po mnie.

– W hotelu nic ci nie grozi.

– No to *zabud' pro eto*. On chce mnie zabić i nie zamierzam uciekać jak kura. Nawet nie próbuj mnie zatrzymywać.

– Chciałaś powiedzieć „uciekać jak szczur".

Pokręciła głową.

– Nie ma czasu, *Niejt*. Skoro jest tu Ziuganow, jest i Tryton. Mogą się gdzieś zaszyć i nigdy ich nie znajdziemy. – Znów ruszyła przed siebie. – No chodź!

Szli pod ścianami domów, przystając w bramach i drzwiach, żeby nie podejść za blisko. Ciemna sylwetka Ziuganowa sunęła chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Pułkownik się nie spieszył – od czasu do czasu spoglądał na rzekę – a już na pewno nie dbał o to, czy ktoś go śledzi. Chryste, pomyślał Nate, nie możemy tego spieprzyć. Kiedy Ziuganow przecinał świetliste refleksy na rzece, jego głowa to pokazywała się, to znikała. W połowie ulicy zwolnił, skręcił na szeroką nadrzeczną rampę i zniknął na dobre. Nate i Dominika szybko przecięli

jezdnię i ostrożnie wyjrzeli zza murku. Karzeł stał na końcu rampy, opierając się o słup latarni.

– Czekamy na Trytona czy wchodzimy? – spytała Dominika.

Nate pociągnął ją za rękaw w cień rosnącego przy chodniku drzewa.

– On nie ma się gdzie ruszyć. A żeby zejść na rampę, Tryton musi nas minąć.

Kiwnęła głową i wyjęła dwie szminki. Jezu, znów te cholerstwa, pomyślał. Ach, ci Rosjanie. Umilkli, obserwując szczyt murku. Czekali dwie, trzy, pięć minut. Było im zimno.

I nagle usłyszeli przytłumione odgłosy rozmowy. Z dołu, z rampy. Ostrożnie wyjrzeli zza murku i zobaczyli wierzchołki głów Ziuganowa i Angevine'a. Nate wyprostował się. Ten skurwiel przyszedł z drugiej strony, nadbrzeżną promenadą! Dominika pociągnęła go za rękaw. Tamci kłócili się, rozmawiali coraz bardziej podniesionymi głosami. W pewnej chwili Angevine chwycił Ziuganowa za klapy kurtki. Gnom wyszarpnął się gniewnie, odwrócił i ruszył w górę rampy. Angevine poszedł za nim, kilka razy wykrzykując coś, co brzmiało jak „euro". Pułkownik szedł przed siebie, nie zwracając na niego uwagi.

– Tryton podał mu właśnie moje nazwisko – szepnęła Dominika.

A Ziuganow odparował, że nie ma pieniędzy, domyślił się Nate. Może się wzajemnie pozabijają.

Podeszli do końca murku.

Na szczycie rampy Angevine znów chwycił Ziuganowa za rękę, odwrócił ku sobie – górując nad nim jak wielkolud nad krasnalem – i wtedy zobaczyli Nate'a i Dominikę, ich ciemne sylwetki. Zaskoczeni wymienili spojrzenia i zamarli półtora metra od siebie. Angevine przeczesał ręką włosy. Ziuganow

miał wykrzywioną szaleństwem twarz i ciężko dyszał. Popatrzył na Dominikę.

– *Wot, suczka* – rzucił gardłowo, gdy spotkali się wzrokiem. – Gotowa wrócić do domu po śmierć?

– Bardziej zależy mi na tym, żeby twoja noga już nigdy tam nie postała – odparła Dominika. – Pochowają cię w Thiais, na cmentarzu dla bezdomnych.

Słuchając tej zimnej, nieludzkiej wymiany zdań, Nate pomyślał, że jedynymi ludźmi, których Rosjanie nienawidzą bardziej niż obcokrajowców, są sami Rosjanie.

Bezruch ustąpił nagle miejsca ruchowi.

Jakby na wystrzał startera, zabuczała syrena płynącej rzeką barki, a wtedy zdarzyły się dwie rzeczy naraz: Angevine odwrócił się, skoczył w lewo i ślizgając się na nierównym bruku, zbiegł rampą na dół, natomiast Ziuganow minął Dominikę i popędził w prawo. Zareagowali instynktownie: Nate ruszył w pościg za Amerykaninem, a ona za Rosjaninem. Chciała go podciąć, lecz gnom zwinnie przeskoczył nad jej nogami i pognał przed siebie ciemną Quai d'Orléans. Pobiegła za nim środkiem opustoszałej jezdni. Przypomniało jej się, że we wschodniej części wyspy jest Pont de Sully, most, a właściwie dwa mosty łączące Île Saint-Louis z dwoma niezależnymi bulwarami na lądzie. Nie mogła pozwolić mu uciec. Wiedział, że to ona jest kretem.

Był zaskakująco szybki i długo nie udawało się jej go dogonić, chociaż aby zmniejszyć dzielącą ich odległość, przebiegła po masce jakiegoś samochodu. Ale w końcu go dogoniła. Ziuganow wyczuł, że depcze mu po piętach, gwałtownie skręcił i zamiast pobiec dalej, w stronę mostu, przesadził wysoki do pasa płotek ogradzający skwer Barye i przebiwszy się przez zwisające gałęzie wierzb, popędził na oślep schodami prowadzącymi na betonowe nabrzeże. Z mroku dobiegł chrapliwy krzyk strażnika

parkowego. Byli na wschodnim cyplu wyspy, który rozcinał spienioną rzekę jak miecz. Karzeł zatrzymał się i odwrócił. Dominika przystanęła na szczycie schodów, ciężko dysząc. Była w plisowanej wełnianej spódnicy, rajstopach, swetrze, wodoodpornej kurtce i sportowych butach. Opadły jej włosy i schodząc powoli na dół, bezwiednie założyła je za ucho. Na wewnętrznej stronie ud wciąż czuła Nate'a. Była bezgranicznie zmęczona.

Skręcając za róg, Nate poślizgnął się na mokrym bruku i upadł ciężko na tyłek, co uratowało go przed ciosem trzymetrową rurą – jedną z kilkunastu stojących pod ścianą, elementem porzuconego rusztowania – którą Angevine celował w jego głowę. Trafił w kamienny mur i rura zadźwięczała jak dzwon. Dźwignął ją niczym wielki pałasz, wziął potężny zamach i żeby nie zmiażdżył mu czaszki, Nate przekręcił się na bok i stoczył do lodowatej wody, gorzkiej i przesyconej słodkawym odorem ścieków. Natychmiast zrozumiał, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, prąd porwie go w dół rzeki i w trzy minuty zaniesie za zakręt w Orsay i wieżę Eiffla – o ile przedtem nie wessie go wir albo nie utknie pod jakimś pomostem i się nie utopi. Wbił palce i czubek buta w spojenie między betonowymi płytami i sięgnął do kabury, lecz prąd był za silny i omal nie oderwał go od nabrzeża.

Angevine stanął nad nim w rozkroku i ciężko dysząc, szykował się do zadania ciosu w głowę lub kurczowo wczepione w beton ręce.

– Nie docenialiście mnie – wysapał z rurą na ramieniu, jak czekający na swoją kolej baseballista. – Nie wiedzieliście, z kim macie do czynienia.

– Masz rację – odparł Nate. – Jesteś większym zdrajcą, niż myśleliśmy.

Dotknięty Angevine ujął rurę obiema rękami, dźwignął ją nad głowę i podszedł bliżej brzegu. Wtedy Nate zaryzykował: chwycił go za nogawkę spodni, mocno szarpnął i Angevine stracił równowagę. Jego nogi ześlizgnęły się po bruku, wystrzeliły do przodu i wpadł do rzeki wraz z rurą, która odbiwszy się od kamieni, też zniknęła pod wodą. Wypłynął, parskając tuż obok Nate'a i chciał chwycić się czegoś na brzegu, lecz zabrakło mu pół metra i porwał go prąd, tak że obracając się i na próżno młócąc rękami wodę, w trzy minuty znalazł się na środku kanału.

Jego środkiem płynął akurat statek wycieczkowy spółki Bateaux-Mouches, długi, szeroki i wesoło oświetlony. Włączył syrenę, gdy podskakując na falach, głowa Angevine'a zaczęła przesuwać się powoli wzdłuż kadłuba w stronę rufy. Gdy tam dotarła, rozległ się głośny krzyk i wessał ją spieniony nurt. Ciało zniknęło pod wodą, lecz już po chwili wyrzuciła je na powierzchnię łopata śruby, ciało, a zaraz potem odciętą głowę. Syrena zahuczała basowo i rozpaczliwie, a zgromadzeni na górnym pokładzie japońscy turyści rozświetlili noc dziesiątkami fleszy. Omywane refleksami świateł nabrzeża ciało Angevine'a popłynęło w dół rzeki i w końcu zniknęło za Île de la Cité.

Nate z trudem wdrapał się na brzeg. Ociekał wodą i drżał z zimna. Biegnąc w kierunku ulicy, gorączkowo myślał. Angevine nie żył. Ten kutas nie zapłacił za zdradę kraju i już nigdy nie zapłaci. Gable kopnąłby jego głowę i kiedy wpadłaby z powrotem do rzeki, powiedziałby pewnie: „Do życia nie przywróci go nawet największy smutek". Przypomniała mu się fontanna i unosząca się w basenie Zarubina. I Dominika. Przyspieszył. Pędził Quai d'Orléans, głośno sapiąc, mlaszcząc

mokrymi butami i wciąż czując smród rzeki. Drugi koniec wyspy jaśniał od świateł. Wyły syreny.

Schodząc na dół, wiedziała, że go zabije. Myśl, że mogłaby zawieźć go w kajdanach do Moskwy, była kusząca – Putin zapiałby z zachwytu – ale nie: Tryton zdradził mu jej nazwisko. Wymacała szminkę w kieszeni i położyła palec na tłoczku. Chciała podejść na długość ramienia i wycelować w środek masy ciała, lecz nawet gdyby trafiła w rękę, eksplodujący pocisk urwałby ją do nadgarstka, co spowodowałoby potężny krwotok. Natomiast bezpośrednie trafienie w korpus wywoła wstrząs hydrostatyczny, który zmieni klatkę piersiową w rozdętą torebkę słodyczy.

Ziuganow obserwował ją, strzelając oczami w lewo i prawo, ale nie było tam ani schodów, ani choćby drabiny, którą mógłby uciec z nabrzeża. Rzeka? Kiepsko pływał i raczej by nie przeżył. Znał Jegorową, wiedział, że ćwiczyła Systemę i umie zabijać, ale czy na pewno jest taka dobra? Doświadczał znajomego uczucia niecierpliwości: jak każdy zabójca, chciałby jak najszybciej podejść bliżej i wbić w ofiarę coś ostrego, najchętniej w jakieś miękkie miejsce. Instynkt kazał mu czekać, aż ta dziwka podejdzie bliżej, bo wtedy mógłby ją oślepić, okaleczyć, a potem wykończyć. Poza tym chciał widzieć jej twarz, kiedy będzie umierała.

Dominika szła ku niemu ze szminką w ręku. Nad jego głową łopotały czarne skrzydła nietoperza, straszniejsze od gargulców z pobliskiej katedry Notre Dame. Marta i Udranka śpiewały na brzegu pieśń rusałek. Chociaż łomotało jej serce, wyraźnie słyszała, że Hanna idzie krok w krok za nią.

Wyprostowała rękę, wymierzyła w pierś i nacisnęła tłoczek. Ziuganow drgnął, uchylił się i wtedy świat zwolnił, zamarły gwiazdy i przestała płynąć rzeka. Dało się słyszeć cichutkie ping!, jakby pękła sprężyna w zegarku. Niewypał. Wadliwy zapalnik. Wybrakowana część.

Nie było czasu na grzebanie w kieszeni i szukanie drugiej. Ręka zatoczyła łuk, szminka wpadła do rzeki, a ona zrobiła krok do przodu i chwyciła Ziuganowa za rękaw. Cofnął się, chciał się wyszarpnąć, lecz poszła za nim, gwałtownie pociągnęła go ku sobie i mierząc w szyję, podniosła drugą rękę, ale zanim cios dosięgnął celu, karzeł jakimś cudem zablokował go i znów się cofnął. Poruszał się szybko i zwinnie. Stanęli naprzeciwko siebie. Patrzył na nią z wściekle wykrzywioną twarzą, z jego oczu i ust buchała czarna mgła. Dominika pomyślała, że unieruchomi jego rękę, drugą uderzy w głowę i dokończy dzieła zapasową szminką.

Nagle runął na nią dwoma dziwnymi susami, więc żeby wykorzystać siłę rozpędu, wyszła mu na spotkanie, lecz zarzucił jej rękę na szyję i obnażył zęby. Czy ten mały kanibal chciał ją ugryźć? Odchyliła się do tyłu i dwa razy uderzyła go z byka, bardzo szybko, celując w miejsce pięć centymetrów pod nosem. Odskoczyła mu głowa, oczy zaszły mgłą, mimo to, wciąż z zaciśniętymi na jej szyi szponami, gwałtownie przyciągnął ją ku sobie. Cuchnął octem i nocną ziemią.

Wolną ręką wyjął nóż do filetowania, który zabrał z kuchni matki, i wbił go w jej bok, tuż powyżej biodra. Lekko zakrzywione dwudziestocentymetrowe ostrze było cienkie i zabójczo ostre, lecz giętkie – bo takie być powinno – więc przebiwszy kurtkę, weszło jedynie na trzy centymetry w głąb ciała. Dominika poczuła piekący ból, który objął ją w talii i powędrował w stronę piersi. Szybkim ruchem wbiła mu kciuki w oczy, lecz choć trafiła tylko jednym, potrząsnął z bólu głową.

Wiedząc, że cios jest mało skuteczny – dobrze znał reakcję ugodzonego ciała – wyszarpnął nóż, zadał następny i tym razem poczuł pod palcami wełniany sweter, lecz zdążyła chwycić go za nadgarstek, tak że zdołał wbić jedynie dwa i pół centymetra ostrza. Znów wyszarpnął nóż i znów uderzył, tym razem celując w dół pleców, w nerki lub niższy płat wątroby. Spojrzał na nią jednym okiem – drugim, mocno załzawionym, prawie nic nie widział – i zobaczył, że suka ma rozdziawione usta, ciężko dyszy i szybko mruga tymi niebieskimi ślepiami. Po chwili zadrżała i osunęła się na ziemię. Gdy puścił jej szyję, usiadła ciężko na kamieniach, chwyciła się za bok i odchyliła do tyłu.

Leżąc na zdrowym boku, Dominika czuła jedynie intensywny ból w talii, dotyk kamieni i mokrego piasku pod policzkiem. Tonący w czarnej chmurzę Ziuganow przewrócił ją na plecy i poczuła potworny ból, jakby od wnętrzności oderwało się coś płynnego i gorącego. Usłyszała głos jakiegoś mężczyzny – pomóż mi, Nathanielu, pomyślała – zaraz potem wrzask wywijającego nożem Ziuganowa i głos – pewnie strażnika parkowego – ucichł w oddali. Karzeł usiadł na niej okrakiem i zabolało ją jeszcze bardziej. Ziuganow głęboko żałował, że nie dane mu jest spędzić z nią kilku godzin w podziemiach Łubianki, ale cóż, musiało mu wystarczyć to. Ten namolny strażnik wezwie policję, miał więc tylko kilka minut czasu.

Paryż, Miasto Światła – i rzeczywiście, Dominika widziała jedynie światło, nic więcej. Ból napływał falami, obejmował ciało aż po twarz, uciskająca pierwszą ranę ręka była lepka od krwi. Otworzyła oczy i zobaczyła Ziuganowa, który pochylał się nad nią z rozpostartymi czarnymi skrzydłami. Poczuła muśnięcie chłodnego powietrza na brzuchu i piersiach i zdała sobie sprawę, że podwinął jej sweter. Ten aseksualny karzeł chciał ją zgwałcić? To do niego niepodobne. Małymi jak owadzie nóżki palcami przesunął powoli po jej boku, aż znalazł

miejsce między czwartym i piątym żebrem, gdzie chciał wbić nóż, żeby wyfiletować serce i płuca.

Nie, to nie były zaloty. Palce znieruchomiały – znalazł miękkie zagłębienie i teraz wystarczyło jedynie przytknąć czubek noża. Pochylił się jeszcze bardziej – oko miał tak spuchnięte, że nie mógł go otworzyć – chwycił ją za kark i podniósł jej głowę jak ktoś, kto chce nakarmić zupą ciężko chorą krewną.

– Nikt nie wie, kiedy i jak umrze – wycharczał – ale ty zaraz się dowiesz: zdechniesz o północy w Paryżu, na śmierdzącym brzegu Sekwany, smakując swoją krew i czując jej zapach. Potnę twoje ubranie, wrzucę cię do wody i twoi amerykańscy przyjaciele znajdą cię w dole rzeki, twojego napęczniałego, rozkładającego się trupa. Słowem, *pizdiec*, Jegorowa, *pizdiec*, taki będzie twój koniec.

Dominika zatrzepotała powiekami i coś wyszeptała. Zbliżył ucho do jej ust – uwielbiał słuchać słów ofiar w agonii, zwłaszcza tych, którym własnoręcznie zadał ból.

– A ty? – spytała. – Chcesz wiedzieć, kiedy zdechniesz?

Spojrzał jej w oczy – były mętne i nieruchome. Uśmiechnął się i lekko przekrzywił głowę.

– Mała jaskółeczko, co ty możesz…

Dominika wbiła szminkę pod jego podbródek i nacisnęła tłok. Rozległo się ledwo słyszalne kliknięcie i odgłos, jaki wydaje ciśnięty w ścianę melon. Ziuganow runął do tyłu z otwartym okiem, grzmotnął potylicą w kamienie i znieruchomiał z nogą na jej brzuchu. Jego pusta aż po zęby głowa wyglądała jak włochata miseczka na cukierki. Nocny wiatr poruszał włosami na wystrzępionej krawędzi czaszki.

Niepewnym rzutem z bekhendu Dominika posłała szminkę do rzeki. Ruch przysporzył jeszcze większego bólu, więc zepchnęła z brzucha nogę martwego karła. Ręce odmawiały

posłuszeństwa, zdrętwiały jej dłonie, pierś zalała nowa fala bólu, w uszach zaszumiało, dlatego nie słyszała, że ktoś do niej podbiega i zaskoczona zobaczyła, że pochyla się nad nią młody mężczyzna w pomarańczowej kurtce, bardzo przystojny, nie tak czarujący jak Nate, ale uśmiechał się do niej i czuła zapach jego płynu po goleniu. Powiedział: *Ne bouge pas*, nie ruszaj się, podwinął jej sweter, ostrożnie ucisnął rany i zaczęła się zastanawiać, czy wrzuci ją do rzeki, bo w rzece mogłaby pływać i śpiewać z Martą i Udranką. Poczuła zapach spirytusu, coś ukłuło ją w ramię, więc wzięła Hannę za rękę, ale wtedy położyli ją na noszach czy wózku i ponieśli schodami na górę. Nocna poświata w jej oczach szybko gasła.

Na fasadach domów tańczyły mrugające światła. Stał tam tłumek gapiów, pewnie tych, którzy lubili wcześnie wstawać, więc musiał się przez nich przebić. Podbiegł do policjanta w ciężkich butach i hełmie, lecz ten go zatrzymał. Nie przychodziło mu nic do głowy, więc dławiąc się ze wzruszenia – bo czyż to nie ironia losu? – wykrztusił tylko: *Ma femme*. Policjant przepuścił go, Nate zrobił kilka kroków i zatrzymał się na szczycie schodów. Porozrzucane opakowania po bandażach, kupki przesiąkniętej krwią gazy, dwie kałuże czegoś przypominającego melasę – w świetle latarni krew była błyszcząca i czarna – nóż z misternymi smużkami krwi na ostrzu: leżąca w dole rampa wyglądała jak plaża Omaha po desancie Amerykanów. Nóż. Dominika nie miała noża. To nóż Ziuganowa i jej krew.

Stał tam inny policjant, tuż obok przykrytego gumowym prześcieradłem ciała, spod którego wypłynęło jeszcze więcej krwi. Sanitariusz rozpinał czarny worek. Kolejny policjant – ten

był w kombinezonie i furażerce – pisał coś na podkładce z klipsem. Po chwili dał znak sanitariuszom, którzy położywszy worek obok ciała, zdjęli prześcieradło. Nate wstrzymał oddech.

To był Ziuganow. Miał tylko połowę głowy. Szminka, pomyślał Nate. Gdzie Dominika? Dźgnął ją? Boże, rzeka! Wyobraził sobie, że odstrzeliwszy karłowi głowę, trzymając się za brzuch i wlokąc za sobą wnętrzności, Domi ruszyła chwiejnie przed siebie i wpadła do wody.

Nosze z ciałem Ziuganowa były już na schodach, idący za nimi policjanci też. Spalcie skurwysyna, pomyślał, bo podczas następnej pełni wypełznie z krypty.

Jeden z policjantów machnął ręką, każąc mu odejść. Nate próbował go o coś spytać, ale mógł myśleć tylko po angielsku i rosyjsku. Powtórzył więc: *Ma femme?*, a tamten wzruszył ramionami, odrzekł: *Elle était mourante*, i Nate zrozumiał wystarczająco dużo, żeby krew odpłynęła mu z twarzy. *Mort*? – spytał, lecz zniecierpliwiony policjant pokręcił głową i powtórzył swoje: *Elle était mourante*. Czyli, że żyła, lecz była umierająca. Zaciekawiony gliniarz przyjrzał mu się z zawodowym zainteresowaniem.

Nate usiadł na ławce i zamknął oczy. Trzęsły mu się ręce i ociekał wodą. Trzeba to zgłosić. Telefon był szyfrowany, mimo to musiał zachować ostrożność.

Gable odebrał po pierwszym sygnale.

– Czego? – warknął.

– Widzieliśmy ich. Tu, na wyspie. Pobiegłem za Trytonem, a…

– Dorwałeś go? Powiedz, że go dorwałeś.

Coś zabuczało, trzasnęło i odezwał się Benford.

– Nash? Jesteś na głośniku. Co się stało?

– Simon, twój kret nie żyje. Wpadł do rzeki, wciągnęło go pod statek i śruba obcięła mu głowę. Widziałem to. Teraz jest pewnie koło Wyspy Łabędziej, za wieżą Eiffla.

– A gdzie pysiaczek? – spytał Marty.

– Pobiegł za swoim szefem i…

– Do kurwy nędzy, dlaczego nie siedzieliście w hotelu?

– Byliśmy na kolacji i już wracaliśmy. Wyrzucisz mnie za godzinę.

– Nieważne – włączył się Benford. – Co się stało? Gdzie ten pieprzony karzeł?

– Stracił pół czaszki. To ona, ale Chryste, chyba dźgnął ją nożem. Tam jest krew, mnóstwo krwi, sanitariusze zabrali ją, zanim przybiegłem, ale policjant mówi, że jest umierająca, przynajmniej tak zrozumiałem.

– Może to jego krew – rzucił Benford.

– Na ziemi leżał zakrwawiony nóż. Ten gliniarz powtarzał: „szpital, szpital”…

– Powiedział który?

– Nie, nie wiem, ale ją znajdę.

– Zabraniam – warknął Benford. – Masz się wycofać.

– Jak to się wycofać? Kurwa mać, ona umiera!

– Miała przy sobie paszport?

– Tak. – Nate chwycił się za głowę.

– Szpital zawiadomi ambasadę. Usłyszą jej nazwisko i w ciągu pół godziny będzie tam konsul z dwoma tajniakami.

– Skąd wiesz?

– Hej, głupku – powiedział Gable. – Jesteś ślepy? Nic nie widzisz? Chcesz tam pójść z bukietem stokrotek i wpaść na stado towarzyszy?

– Nie możemy jej zostawić! – Nate kiwał się do przodu i do tyłu.

– Przestań gadać i rusz mózgownicą. Zrobiła, co miała zrobić, wypełniła swoją misję. Jest prawdziwą bohaterką.

– Pewnie już martwą – mruknął Nate.

– Może tak, może nie – odrzekł Marty. – Przemyśl to.

– Więc wycofujemy się i zostawiamy ją samej sobie?

– Tak – odparł cicho Benford – i nie tracąc nadziei, czekamy, aż się odezwie, już stamtąd.

– Co znaczy „nie tracąc nadziei”? A jeśli umrze? Kto będzie odbierał wiadomości?

– Ale jeśli przeżyje, już nikt nie podważy jej wiarygodności – zauważył Benford. – Wszyscy ci, którzy mogli jej zaszkodzić, nie żyją. Doskonała sytuacja.

– Chryste, czy ty słyszysz, co mówisz? – krzyknął Nate. – On jej omal nie zarżnął, a ty pieprzysz o przykrywce?

– Martwię się o nią tak samo jak ty – odparł Benford. – Ale w służbie dla kraju przeszła samą siebie. Będzie nietykalna.

– Pod warunkiem że nie umrze w którymś z ich zasranych szpitali.

– Nash, za dwadzieścia minut chcę cię widzieć w hotelu – rozkazał Gable. – Pomogę ci się wymeldować.

– Jasne – mruknął Nate. – Wspaniały z ciebie *bratok*.

– Żebyś wiedział. Zrobię wszystko, żeby była bezpieczna, bez względu na koszty.

– Tak? – Nate zacisnął palce na telefonie. – I chcesz, żeby ją zabrali? To jakiś nowy sposób? – Dobrze, że go tu nie ma, pomyślał.

– Najlepszy z możliwych – odparł Marty. – Pamiętasz, jak mówiłem wam o czarnym dniu, który prędzej czy później nadejdzie? Właśnie nadszedł.

Nate zacisnął powieki i zobaczył Dominikę z rurką w ustach. Parametry życiowe na zielonym monitorze, jedna ręka oklejona czujnikami i pokłuta kroplówkami, druga nie – tę przytulałby do policzka, by wiedziała, że przy niej jest. Zapiekły go oczy i umilkł.

– Nash? Jesteś tam? – spytał Gable.

Nate nie odpowiedział. Patrzył na rzekę, mrugając do rozmytych świateł.

– Nathanielu – odezwał się Benford. – Porozmawiaj z nią. Teraz. Co by ci powiedziała?

– Nie wiem.

– Owszem, wiesz. Posłuchaj jej.

Nate'a przeszedł zimny dreszcz. Usłyszał jej głos, to surowy, to słodki, z lekkim zaśpiewem, głos, który przeniknął go na wskroś. Wypowiedziała jego imię, *Niejt*, mówiła, *duszka*, pozwól mi odejść. Wyjadę i zobaczymy się następnym razem, więc spytał ją kiedy, a ona powtórzyła, że następnym razem i wydawało mu się, że słyszy śpiew kremlowskich rusałek nad brzegiem rzeki.

Westchnął tak ciężko, że zadrżały mu ramiona.

– Wracam do hotelu – rzucił i trzasnął klapką telefonu.

Półtora roku później. Ośrodek wzbogacania uranu w Natanz, trzysta dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Teheranu. Północ.

W podziemnej sterowni hali kaskadowej C dźwięcznie zadzwonił dzwonek. Dwaj technicy z nocnej zmiany ocknęli się i spojrzeli na siebie ponad konsoletą. Czuli, że rusza się podłoga i drżą fotele. Przekrzywił się wiszący na ścianie portret ajatollaha Chamenei, szklanka z herbatą przesuwała się, podskakując na biurku jak nakręcana zabawka. Dzwonek wciąż dzwonił. Trzęsienie ziemi.

Jeden z techników podjechał na fotelu do CMT40T, trójosiowego sejsmometru w kącie sali, by sprawdzić, czy urządzenie rejestruje wstrząsy i przesyła dane do komputerów. Według odczytu miały od czterech do czterech i pół stopnia

w skali Richtera. Były silne, lecz niegroźne. Zwłaszcza teraz, gdy wszystkie maszyny stały na reaktywnej posadzce antysejsmicznej.

Technicy odruchowo zerknęli na cyfrowe i analogowe wskaźniki, żeby sprawdzić prędkość przepływu mieszanki, stan wirników i temperaturę łożysk. Wszystko w normie. Hala C działała idealnie, było tak od roku, odkąd zainstalowano posadzkę. Tysiąc siedemset wirówek gazowych wirowało z prędkością siedemdziesięciu tysięcy obrotów na minutę, ponad dwóch machów. Po sześciu miesiącach starannie monitorowanej produkcji – utrzymywanej w tajemnicy przed kontrolerami z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej – zakład stopniowo zwiększał wydajność i stopień wzbogacenia uranu, aby już wkrótce zdobyć surowiec nadający się do budowy urządzenia nuklearnego. A stworzył to wszystko nieżyjący już męczennik, profesor Jamshidi, najprawdopodobniej ofiara żydowskich morderców. Wspaniałe dziedzictwo, pomyślał jeden z techników.

Dzwonek nie przestawał dzwonić, jednak siła wstrząsów słabła. Mogły jeszcze wystąpić wstrząsy wtórne, ale właściwe trzęsienie ziemi się skończyło. Technicy zerknęli na monitory przekazujące obraz z hali kaskadowej, chłodnej, spokojnej i tonącej w przyćmionym świetle. Rósł tam las cylindrów pod baldachimem posplatanych ze sobą rur i przewodów, a jedynym dźwiękiem, jaki stamtąd dochodził, był monotonny szum wirników. Wszystko w normie, wszystko działało doskonale. Nawet podczas trzęsienia ziemi o sile czterech i pół stopnia w skali Richtera – dzięki posadzce, reaktywnej sejsmicznie posadzce, prawdziwemu cudowi niemieckiej techniki.

Technicy wiedzieli, że wyprodukowali ją Niemcy – mówiły tak wszystkie naklejki – ale wiedzieli także, że przy montażu

pomagali Rosjanie. Kto wie dlaczego, lepiej nie pytać. Nowa tablica rozdzielcza była wprost hipnotyzująca, mogli patrzeć na nią godzinami. Graficzny schemat posadzki – była w stu procentach skomputeryzowana – setki – nie, tysiące! – ledowych światełek sygnalizujących stan pracujących pod nią sworzni, czopów i zawiasów. Te ciemnoniebieskie mrugały i błyskały, raz pojedynczo, raz blokami, rzędami lub szeregami, raz przyprawiającymi o zawrót głowy falami, wskazując, że ukryty pod granulowaną aluminiową podłogą mechanizm nieustannie dokonuje drobniutkich poprawek stabilizacyjnych. Jak mrugające markizy w kasynach i hotelach w Las Vegas, myśleli technicy, noc zmienia się w dzień. Chcielibyśmy to zobaczyć, najlepiej zanim zbombardujemy Nowy Jork.

Tablica działała, a lampki, najpierw te po jednej, potem po drugiej stronie, wskazywały, że posadzka reaguje prawidłowo na wstrząsy, których oni już nie odczuwali. Zdumiewające. Ale potem na głównej tablicy rozdzielczej zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza, czego nigdy nie spodziewali się zobaczyć: pożar. Spojrzeli na wskaźniki, potem na siebie. Zwarcie? Nie. Usterka mechaniczne? Nie. Stojaki? Wentylatory? Zasilanie? Też nie.

I nagle rozjarzyła się cała konsoleta, lampki błysnęły i zgasły. Wszystkie. Technicy spojrzeli na monitor przekazujący obraz z hali i zobaczyli oślepiające światło bijące spod posadzki, widoczne już między cylindrami wirówek, białe jak łuk elektryczny i rzucające na ścianę czarne cienie rodem z *Mechanicznej pomarańczy*. Jeden z techników zerwał się z fotela i nacisnął przycisk awaryjnego wyłączania, lecz posadzka topiąca się pod trzecią wirówką w drugim rzędzie pierwszej kaskady minimalnie ją zdestabilizowała. Maszyna wypadła z dolnego łożyska, straciła szczelność – dotąd wypełniała ją próżnia – obracający się wirnik naruszył

najpierw skorupę cylindra, potem ją roztrzaskał i jego szczątki ze świstem wbiły się w rząd sąsiednich wirówek, co wywołało reakcję łańcuchową, głęboki, coraz szybciej i wściekłej narastający trzask, gdy rząd po rzędzie, wirujące jak derwisz maszyny zaczęły wypadać z łożysk. Towarzyszący tej horrendalnej destrukcji hałas zagłuszało jedynie kakofoniczne wycie syren pożarowych we wszystkich korytarzach ośrodka.

Jeden z techników włączył alarm radiacyjny i do wycia syren dołączyło przeraźliwe beczenie klaksonu. Drugi zadzwonił do Rezy Bhaktiego, czterogwiazdkowego generała Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej i dowódcy ośrodka w Natanz. Krzycząc do słuchawki i wulgarnie przeklinając, generał kazał im zostać w dyspozytorni i czekać. Włożył czapkę ze złotym liściem na daszku, wsiadł do dżipa i popędził do naziemnej przybudówki nad tunelem hali C. Technicy znali procedury i zachowali spokój: zaczekają w hermetycznie zamkniętej, pozbawionej okien sterowni, a kiedy kryzys zostanie zażegnany, wyjdą na zewnątrz w kombinezonach antyradiacyjnych wiszących teraz w szafie. Procedury nie uwzględniały jednak pożaru fosforowo-aluminiowej posadzki i coraz szybszego jej topienia się, procesu, który – teoretycznie rzecz biorąc – mógł wyhamować dopiero w jądrze ziemi.

Obraz na monitorze zbielał od nadmiaru pikseli, potem zbrązowiał, gdy pod wpływem temperatury spalił się obiektyw kamery, by w końcu sczernieć, kiedy zamontowana na ścianie kamera stopiła się jak woskowa świeca. Gdyby wciąż pracowała, technicy zobaczyliby, jak nieliczne, wciąż stojące wirówki osuwają się na posadzkę niczym podmyte falami zamki z piasku na brzegu morza. Ponieważ do rozgrzanego powietrza przedostał się radioaktywny gaz, pożar stał się pożarem radioaktywnym. Biały fosfor spalił już całe aluminium i trawił teraz betonowe ściany oraz wzmacniające sufit stalowe

belki, tworząc wirujący z ponaddźwiękową prędkością ognisty pierścień, który wsysał powietrze z tak wielką siłą, że grodzie przeciwpożarowe wybrzuszyły się do wewnątrz. Prowadzące do hali czterystumetrowe pochyłe wejście zmieniło się w tunel aerodynamiczny, który z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wsysał sprzęt, wózki i nieprzymocowane do podłoża materiały konstrukcyjne. Zewnętrzne szyby wentylacyjne hali C zmieniły się natomiast we wloty powietrza silników odrzutowych o mocy, której osobiście doświadczył generał Bhakti, parkując pod jednym z takich szybów: został momentalnie wyrwany z fotela, ciśnięty na kratę osłonową i wessany do środka, by w połowie szybu zająć się ogniem niczym knot lampy naftowej. Nie wiedzieć czemu, jego czapka została na podłodze samochodu.

W sterowni robiło się coraz goręcej i nie działały już telefony. Liczniki były martwe, wskaźniki cyfrowe czarne, do drzwi dobijało się z rykiem pędzące tunelem powietrze. Technicy usłyszeli głośny syk i odwrócili się w fotelach. Tuż nad podłogą w kącie pomieszczenia pojawił się ogień, który szybko wpełznął na ścianę – sterownia była zbudowana z betonu i nie powinna się palić. Kiedy ogień dotarł do sufitu, technicy włożyli kombinezony, ale gotująca się magma nie odpuszczała i ściana oddzielająca ich od hali kaskadowej zaczęła zmieniać kolor. Technicy zawahali się pod drzwiami, nie wiedząc, czy wyjść i zginąć w tunelu, czy zostać. Portret ajatollaha Chamenei spadł z trzaskiem na podłogę i stanął w ogniu.

Tydzień później Najwyższy Przywódca Chamenei rozkazał przewodniczącemu irańskiego parlamentu, Ali Larijaniemu, zadzwonić do sekretariatu prezydenta Federacji Rosyjskiej.

Ponieważ Larijani zajmował poprzednio stanowisko sekretarza Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego i głównego negocjatora irańskiego programu nuklearnego, znał ten program od podszewki. Wysokie stanowisko upoważniało go ponadto do rozmów z niewiernymi bałwochwalcami z północy, dlatego z przyjemnością poinformował Kreml, że Teheran zawiesza stosunki dyplomatyczne z Moskwą i zamierza odnowić kontakty oraz współpracę z kaukaskimi ugrupowaniami islamskimi. Zakończył rozmowę osobistym przesłaniem Najwyższego Przywódcy do prezydenta Rosji. *Eeshala tah akhareh ohmret geryeh bakoney*. Mam nadzieję, że będziesz żałował tego do końca życia.

43

Prezydent Putin siedział przy biurku w wyłożonym brzozową boazerią gabinecie w kremlowskim gmachu Senatu. Był w granatowym garniturze, błękitnej koszuli i srebrzystym niebieskim krawacie. Bębniąc krótkimi palcami w blat, czytał pilny, tajny raport SWR o katastrofie, do jakiej doszło w ośrodku wzbogacania uranu w Natanz w Iranie. W przepasanej niebieską wstęgą teczce były także zdjęcia z Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej. Zrobione w podczerwieni przez satelitę Yobar przedstawiały długą na prawie dwa kilometry chmurę gorącego dymu wydobywającego się z południowo-wschodniej części ośrodka. Ten toksyczny obłok mógł zabić wszystkich tych, którzy znaleźliby się tam, gdzie zapędzi go wiatr, a więc Irańczyków, Afgańczyków i Pakistańczyków. Przebiwszy się przez nią, zainstalowany w satelicie radar z syntetyczną aperturą dostrzegł radioaktywną kalderę w miejscu, gdzie stopił się i zawalił strop hali C. Według technicznej notki na końcu raportu przyrost temperatury pożaru w Natanz dorównywał temu, jaki zaobserwowano w 2014 roku podczas wybuchu wulkanu Kelud we wschodniej Jawie.

Kakaja raznica, pomyślał prezydent, zamykając teczkę i wrzucając ją do marmurowej przegródki na dokumenty wychodzące. Miał to gdzieś. Brak równowagi globalnej, zamieszanie i chaos odpowiadały i jemu, i Rosji. Kto wie, może pożar w Natanz był dziełem Amerykanów albo Izraelczyków,

a może te *babuiny*, perskie pawiany, nie umiały obchodzić się z uranem. Teheran już dawno zapłacił za sprzęt, już dawno złożono „depozyty inwestycyjne”; pieniądze podzielił Gowormarienko. Nieważne. Kiedy Irańczycy zechcą odbudować halę, Rosja zaproponuje im sprzęt i pomoc techniczną. Cena? À la carte.

Chcą mącić na Kaukazie? Proszę bardzo, niech spróbują. Są bez szans: miał w ręku prawie całą publiczność. Dziewięćdziesiąt sześć procent Rosjan popierało jego ostatnie inicjatywy militarne na Ukrainie, a dziewięćdziesiąt pięć wierzyło, że Amerykanie namawiają odszczepieńczy Kijów do prześladowań etnicznych mieszkających tam Rosjan. Dziewięćdziesiąt dwa wierzyło – nie, wiedziało! – że podobna sytuacja ma miejsce w rosyjskich enklawach na Kaukazie, w Mołdawii, Estonii, na Litwie i Łotwie. Okazji będzie bez liku, jak zawsze.

Musi tylko mieć na oku oligarchów. Zaczynali narzekać na kłopoty finansowe w związku z zachodnimi sankcjami bankowymi. Ale wystarczy kilka procesów i wyroków skazujących za korupcję. Zresztą wielkie kontrakty na dostawę gazu i ropy naftowej do Chin, Indii i Japonii szybko wyrwą kły wszelkim sankcjom. I tak będzie dalej zniesławiał i podkreślał słabość NATO. Sprzyjały mu okoliczności, więc nadeszła pora, żeby raz na zawsze rozbić ten przeklęty sojusz, co byłoby stosownym zadośćuczynieniem za rozpad Związku Radzieckiego. A gdy zetrze NATO z powierzchni ziemi, plany czesko-polskiej tarczy antyrakietowej wezmą w łeb.

Zastanawiał się nad swoją nieograniczoną władzą i rosło mu serce. Zawsze uważał, że jego opinie są prawdami objawionymi. Że tylko on potrafi rozgromić stojących u bram barbarzyńców. Już wkrótce znów wszyscy będą bali się Rosjan i ich szanowali. Koszty go nie obchodziły: ukraińskie sieroty płonęły na ulicy

kiedyś i w razie konieczności zapłoną ponownie. To wszystko należało do niego, to była jego własność. Jego słowiańska dusza rozwinęła zakończone szponami skrzydła, wzleciała ponad mury Kremla i poszybowała nad Moskwą. Nad placem Błotnym, gdzie tysiące demonstrantów na próżno domagały się uwolnienia aresztowanych opozycjonistów, skręciła, by przelecieć nad rzeką i dachem Lefortowa, gdzie umierali rosyjscy zdrajcy. Złapawszy wiatr, pofrunęła jeszcze wyżej, nad Łubianką, by strzec poddanych mieczem i tarczą, a potem znów skręciła, by śmignąć nad dachem domu Tołstoja w Chamownikach i dorycką fasadą konserwatorium, gdzie Władimir Sofronicki, pianista zesłany przez samego Boga, zadziwiał śmiertelników swoją grą, choć nigdy nie pozwolono mu zasiąść przy fortepianie za granicą. Podmuch wiatru poniósł ją jeszcze dalej, nad las w Miednoje, gdzie Wasilij Błochin w ciągu dwudziestu ośmiu dni własnoręcznie zastrzelił siedem tysięcy mężczyzn, a potem nad sosnowe lasy Jasieniewa i górującą nad drzewami wieżę ze stali i szkła, siedzibę SWR. Tam zawirowała, ustabilizowała lot, zeszła niżej i z cichym szeptem przecinających powietrze skrzydeł przez chroniące przed słońcem zasłony wpadła do gabinetu.

Nieświadoma tego, kto ją odwiedził, nowa szefowa Zarządu KR założyła za ucho kosmyk włosów, zamknęła teczkę z raportem na temat pożaru w Natanz i wrzuciła ją do stojącego na rogu biurka koszyka na dokumenty wychodzące.

Podziękowania

Pisanie powieści jest samotniczą pracą. Pisarskie pustkowie pomogło mi pokonać wielu ludzi, którzy doradzali, wspierali, przeglądali, sugerowali, poprawiali i recenzowali, przyczyniając się do powstania produktu ostatecznego.

Dziękuję mojemu agentowi literackiemu Sloanowi Harrisowi z International Creative Management, który jak zwykle był nieomylnym probierzem smaku, klasy i wdzięku na wszystkich etapach powstawania tej powieści. Jego mądrość i rady były i są bezcenne. Dziękuję Josie Freedman z Los Angeles, która umie tłumaczyć pismo klinowe tabletów hollywoodzkiego Babilonu, Heather Bushong, która potrafi dać odpór atakującym hordom, i Heather Karpas za niekończące się wsparcie.

Moim redaktorem w wydawnictwie Scribner jest Colin Harrison, najfajniejszy gość w galaktyce. Wyprowadził mnie za rękę z wilgotnej piwnicy, jaką była pierwsza wersja powieści, nieustannie sugerując i zachęcając, będąc kimś dużo więcej niż redaktorem czy korektorem. Przeczytał tę książkę wiele razy, zastanawiając się tak nad historyczną spuścizną współczesnej Rosji, jak nad problemami związanymi ze wzbogacaniem uranu i tłumacząc mi różnicę między „błotem” a „szlamem”. Bez niego nic by z tego nie wyszło.

Dziękuję także mojej wielkiej rodzinie u Scribnera oraz Simona & Schustera, w tym Carolyn Reidy, Susan Moldow, Nan Graham, Roz Lippel, Brianowi Belfiglio, Katie Monaghan, Kyle’owi Radlerowi, Ricie Madrigal i Benjaminowi Holmesowi.

Wyjątkowe podziękowania składam Katrinie Diaz za liczoną w setkach godzin pomoc. Bardzo doceniam wsparcie, jakiego doświadczyłem w trakcie przedłużającego się procesu koordynacji.

Muszę także wspomnieć o kolegach z Komisji Kontroli Publikacji CIA i podziękować im za pomoc w uzyskaniu wszelkiego rodzaju pozwoleń i zatwierdzeń.

Mój brat i szwagierka, William i Sharon Matthews, przeczytali pierwszy szkic powieści i zasugerowali szereg zmian i poprawek. William sprzedaje nieruchomości, wykłada ekonomię na uniwersytecie i jakimś cudem wie, jaka jest różnica między satelitą szpiegowskim krążącym na niskiej orbicie i satelitą krążącym na orbicie geostacjonarnej. Co zupełnie niewytłumaczalne, wie także, jak skand oddziałuje na aluminium. Wykorzystana w powieści łatwopalna posadzka antysejsmiczna jest jego wynalazkiem. Zachęcał mnie do pracy, omawiając ze mną sprawy wielkiej i małej wagi. I to właśnie jemu dedykuję tę książkę. CAJW byłby dumny.

Serdeczne podziękowania składam BB, weteranowi zimnej wojny, który przejrzał powieść, wnosząc dziesiątki poprawek do użytych w niej rosyjskich słów i zwrotów. BB jest znakomitym oficerem operacyjnym, naukowcem i legendarnym lingwistą. Dzięki jego krytycznym uwagom lepiej poznałem zachowanie współczesnych Rosjan. Dziękuję mu za pomoc i oddaję mu cześć.

Moje córki, Alexandra i Sophia, doradzały mi cierpliwie i wesoło w sprawach muzyki popularnej, mody oraz kina.

Mimo tak wielkiej pomocy ze strony tak dużej liczby osób spieszę nadmienić, że wszelkie błędy faktograficzne, językowe czy naukowe są wyłącznie moim dziełem.

Na koniec pragnę podziękować mojej żonie Suzanne za to, że przeczytała szkic powieści aż dwa razy, czyli dwa razy więcej,

niż powinna. Suzanne, dziękuję Ci za wprawne oko, pewną rękę i doświadczenie, jakiego nabyłaś podczas trzydziestoletniej pracy w CIA. Niektóre z rzeczy opisanych w tej książce robiliśmy naprawdę, dlatego Suzanne dobrze wie, co jest fikcją, a co nie. Dziękuję jej za entuzjazm i cierpliwość.